

magazyn fantastyczny

THE BEST



magazyn fantastyczny

THE BEST

część 1

SPIS TREŚCI

- Smak deszczu - Henryk Tur
In odore sanctitatis - Piotr Patykiewicz
Wczorajszy deszcz - Sebastian Uznański
Stirlitz i japoński Go-lem - Eugeniusz Dębski
Gejsza - Tomasz Przewoźnik
Wystarczy - Łukasz Śmigiel
Non omnis moriar - Sebastian Chosiński
Wyrwane skrzydła - Tomasz Kaczmarek
Nieproszone - Michał Gacek
Syrenka - Marcin M. Drews
100. 000 BC - Marek Ścieszek
Oczy Mahaberysa - Magdalena Zimniak
Synowie Kaina - Grzegorz Gajek
Rolf, diabeł i czarna wieża - Paweł Lach
Pies i dusze łotrów - Andrzej W. Sawicki
Hipopotam - Kazimierz Kyrz & Łukasz Radecki
Odgłosy cytadeli - Robert Cichowlas

The Best t.01

Magazyn Fantastyczny: **The Best** - część 1

Redakcja serii: *Wiesława Zaręba* Projekt okładki i rysunek
na okładce: Mariusz Gandzel Korekta: Halina Bogusz

Copyright for this edition by Wydawnictwo Roberta
Zaręby

Wydawca: Wydawnictwo Roberta Zaręby ul. Woźnicka
15 26-600 Radom telefon 530-700-034



Henryk Tur

SMIAK DESZCZU

- Hej, Vurtok! Vurtok!!! Dwunastoletni chłopiec o czarnych włosach śpieszył się bardzo. Już z daleka wołał kolegę i machał do niego ręką.

Piegus o ognistorudej czuprynie niechętnie oderwał wzrok od kolorowej łamigłówki, nad którą trudził się od godziny.

- Co się stało, Aspal?

- Strażnicy zestrzelili kilka skrzydlaków! Zdyszany Aspal zatrzymał się przy nim. - Pójdziemy zobaczyć, co?

- Mamusia i tatuś są przy uprawach - rudy spojrzeli smutno - a samemu nie wolno wychodzić poza osiedle.

- E, tam - Aspal machnął ręką. - Przecież nikt się nie dowie. No, chodź.

- Ale...

- Chodź - Aspal energicznie chwycił go za rękę i pociągnął. - Zaraz wrócimy.

Chłopcy pobiegli ku zachodniej części miasta. Po minucie opuścili granice osiedla i wkroczyli do Strefy, gdzie znajdowały się lśniące budynki Kontroli. Wewnątrz siedzieli ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo miasta. Ani Vurtok, ani Aspal nie wiedzieli, na czym to właściwie polega, ale rodzice mówili im, że to najważniejsze zajęcie.

Uprawy biegły wokół miasta, wyznaczając jego granice. Dziesiątki baterii słonecznych wycelowanych było w wiecznie bezchmurne niebo, skąd w ciągu dnia pobierały ciepło słońca, a cicho buczące silniki przerabiały je na energię. I dzięki temu w każdym miejscu miasta było światło, zaś filtry wody pracowały non stop.

Na miejscu zdarzenia zgromadziła się już spora grupka ludzi - zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Byli też technicy w błękitnych drelichowych kombinezonach. Najważniejszymi jednak postaciami byli dwaj Strażnicy - rośli mężczyźni ubrani w czarne mundury. Trzymali w dłoniach wielkie strzelby. Jeden opowiadał zebranym o zdarzeniu:

-... a ledwo łeb wychynał, to ja go - paf! I poleciał. A Safi jeszcze mu raz i gadzisko przestało się ruszać.

Kopnął nogą kształt leżący u jego stóp. Był to pierwszy skrzydlak, jakiego Vurtok w życiu widział. Ponieważ słyszał już, że to straszne bestie, spodziewał się czegoś wielkiego, więc to, co zobaczył, rozczarowało go bardzo.

Skrzydłak miał około metra długości. Przypominał wielką dżdżownicę o kilkunastu czarnych oczach na szypułkach w przedniej części ciała i niewielkim pysku z rzędem ostrych, małych zębów. Wzdłuż miękkiego grzbietu stwora wyrastały małe, błoniaste skrzydełka. Było ich kilkanaście i w mieście uważane były za talizman przynoszący szczęście. Strażnicy zapewne zarobią sporo na ich sprzedaży, gdyż prawo miasta dawało własność nad truchłem temu, kto ubił potwora. Skrzydlak wydał się Vurtokowi podobny do wielkiego gluta.

- A dru... drugi od.., od... zachodu przyleciał - zająkał Safi, wskazując ręką kierunek. - Mało dwóch na... naszych nie strącił z platformy. Ale krzyk usłyszał i po... poleciałem tam zaraz. Żarł już gad n... nasze uprawy. Trzy razy strzeliłem, zanim go ubił.

Chłopcy wracali na osiedle w milczeniu. Dopiero gdy znaleźli się blisko swoich domów, Aspal ożywił się:

- Też bym tak chciał. Paf-paf! I nie ma skrzydlaka - złożył palce jak do strzału i wycelował niebo. - Paf-paf! I drugi pada. Fajna robota, co nie?

The Best t.01

- No - mruknął zamyślony Vurtok.
- Coś taki markotny? - Aspal szturchnął kolegę w bok. -

Przestraszyłeś się?

- Nie... Wcale nie... - zmieszał się Vurtok. - One są takie...

Takie wstrętne... Jak glutu.

- Ale jak w czasie Dnia Wyboru każą ci być Strażnikiem, to będziesz musiał do nich strzelać.

- Może będę kim innym...

- E tam, kim możesz być? Chcesz cały dzień spędzać przy plewieniu upraw, jak twoi rodzice? Albo moi?

- No nie, ale...

- Ale co? Możesz najwyżej trafić do Kontroli albo Techników. Będziesz siedział cały czas przy maszynach. To już lepiej być Strażnikiem. Chodzisz sobie cały czas ze strzelbą, popatrzysz w niebo, czasem postrzelasz. Ja tam bym tak chciał. To jest życie!

Gdy tego wieczoru Vurtok zasiadł z rodzicami do kolacji, zapytał ojca:

- Tata, a co oni w tej Kontroli robią?

Ojciec przełknął łyżkę zupy i spojrzał na syna z rozba-
wieniem:

- A co? Chciałbyś kiedyś tam pracować?

- No,.. - mały wzruszył ramionami.

- To bardzo odpowiedzialna praca i dostają się tam tylko najzdolniejsi -ojciec nagle spoważniał. - Dzięki ludziom, którzy tam siedzą, nasze miasto wciąż istnieje. Oni pilnują, żeby wije nie przewróciły platformy.

- Ale jak?

- Tego nie wiem, synku - wyznał szczerze Fassi i pogłaskał syna po głowie.

The Best t.01

- Ale jak widzisz, spisują się dobrze. Może nauczyciel mógłby ci coś więcej na ten temat powiedzieć.

Nauczyciel miał na imię Derwin. Zajmował się dziećmi w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Uczył je o rodzajach roślin, jakie hodowano na platformie, o niebezpieczeństwach, jakie czyhają za jej brzegami, zasad działania mechanizmów oraz czytania i pisanie.

Po skończonej lekcji Vurtok podszedł do niego i przystanął z opuszczonym wzrokiem, jak nakazywał regulamin.

- Vurtok, syn Fasiego i Jiliany. O cóż chciałbyś spytać, młody człowieku? Krzaczaste brwi Derwina uniosły się, a twarz rozjaśnił mu zachęcający uśmiech. Lubił ciekawskich.

- Bo, proszę pana...

- Nie zaczynamy zdania od „bo”. Więc?

- Bo... to znaczy... - mały zmieszał się. - Ja chciałem spytać o Kontrolę.

- O, to dość poważna sprawa - stwierdził Derwin. - A cóż takiego chciałbyś wiedzieć?

- Bo, proszę pana, tatuś nie wie, jak oni nas chronią.

- A ty byś chciał wiedzieć?

Vurtok skinął głową.

- Cóż, chłopcze... - Nauczyciel westchnął. - To dobre pytanie. Prędzej czy później ktoś je musiał zadać i coś mi mówiło, że to będziesz ty. Jutro wezmę was na małą wycieczkę i wyjaśnię wszystkim, dlaczego Kontrola jest taka ważna. A teraz zmykaj do domu.

Nauczyciel dotrzymał słowa. Następnego dnia zamiast siedzieć w sali zajęć cała grupka wyruszyła z osiedla na północ, w kierunku upraw. Dwadzieścia dwoje dzieci szło parami, trzymając się za ręce. Partnerką Vurtoka w tym marszu była Inna, rezolutna dziewczynka o złotych włosach splecionych w

dwa warkocze. Jej ojciec czasem odwiedzał ojca Vurtoka i upijali się wtedy razem do nieprzytomności piwem z kolb kukuzydzy. Vurtok nie lubił ojca Inny.

- Aspal mówił mi - powiedziała cicho - że widzieliście wczoraj skrzydlaki.

Vurtok skinął głową, zły na kolegę. Czasem za dużo gadał!

- Mówił mi - ciągnęła dziewczynka - że były tak straszne, że aż się przestraszyłeś.

Vurtok poczerwieniał.

- Nieprawda! - syknął. - Aspal kłamie! Skrzydlaki wcale nie są straszne. Są brzydkie i glutowate. I nieduże. Do pasa mi nie sięgają.

- Ale tatuś mi mówił - odparła Inna - że jeden ugryzł pana Timmena tak, że odgryzł mu rękę. I podobno było dużo krwi.

- Bzdury gada.

Derwin przystanął.

- Teraz wchodzimy na teren upraw. Nie rozdzielajcie się, bo niektóre rośliny mają ostre kolce. Wiecie o tym, mówiłem wam to parę lekcji temu.

Dzieci posłusznie pokiwały głowami.

Wkroczyli pomiędzy wysokie na dwa metry rośliny przypominające kwiaty na wielkich łodygach. Jak pamiętał z lekcji Vurtok, były to akkaki, z których nektaru robiło się złocisty napój, zaś grube łodygi były dość smacznym daniem.

Szli aleją pomiędzy nimi, milczący i cisi, z ciekawością patrząc na rośliny, które nieraz zjadali w swych domach pod postacią naleśników lub placków. Gdzieś przy korzeniach uwijali się robotnicy w złocistych koszulkach i spodniach. Piełili glebę przy korzeniach, aby akkaki rozwijały się bez przeszkód.

The Best t.01

Dalej alejka zakręcała na zachód. Po kilkunastu metrach akkaki znikły, a ich miejsce zajęły przypominające wielkie kapusty spongi. Rośliny te wyglądały tak, jakby pociły się od żaru słońca. Na ich liściach pobłyskiwały krople niczym pot na ludzkiej skórze. Była to silna, działająca przez skórę trucizna. Pielęgnujący je robotnicy nosili grube rękawice. Po spongach skręcili znów na północ, pomiędzy niewysokie cierniste drzewka talko, rodzące czerwone owoce, które używane były przez techników zdrowia do produkcji leków.

Tak doszli do północnej krawędzi - wielkiej, grubej na cztery metry ściany ze stali, na wierzch której prowadziły metalowe schodki. Derwin znów zatrzymał pochód.

- Ja pójde pierwszy i stanę na górze. Kiedy zawołam, ruszycie za mną.

Szybkimi susami zaczął pokonywać stopnie.

Inna ścisnęła mocniej dłoń Vurtoka.

- Boisz się? - szepnęła.

- No pewnie, że nie - szybko zaprzeczył, choć musiał przyznać, że serce biło mu szybciej. Pierwszy raz w życiu miał zobaczyć, co znajduje się poza platformą.

- A ja tak.

- Nie bój się, nauczyciel jest z nami.

Derwin stał już cztery metry powyżej.

- Wchodzimy! - zakrzyknął do swych podopiecznych.

Vurtok i Inna byli czwartą parą. Chłopiec nie mógł już doczekać się, kiedy stanie na szczycie, zaś dziewczynka bała się tego, musiał ją więc niemal ciągnąć.

Na górze wszystkie dzieci przystanęły i w milczeniu spoglądały na krajobraz wokół. Derwin wyjaśniał:

- Nasze miasto znajduje się na wielkiej platformie, którą wieki temu wzniesli nasi wspaniali przodkowie. Platforma

przypomina wielki kwadrat, którego każdy bok ma dziesięć kilometrów długości. Znajduje się on równo kilometr nad poziomem gruntu.

Wsparł się jedną dłonią na barierce, drugą wskazał na widok pod nimi.

- Jak widzicie, gleba pod nami jest jałowa, ziemia spękana i sucha. To sprawka wijów, które od wieków drążą w niej swoje tunele i przez to zniszczyły jej naturalne składniki. Nasi przodkowie dysponowali wspaniałą techniką, jednak wobec wijów byli bezsilni. Dlatego też gdy tam, na dole, nieużytki zaczęły wypierać żyzne ziemie, postanowili ratować ludzkość. Tak powstały platformy, a na nich miasta.

Dzieci ze zdziwieniem spojrzały na nauczyciela, niektóre były tak zaskoczone, że rozdziawiły szeroko buzie.

- To są jeszcze inne miasta?

Derwin spojrział w milczeniu gdzieś daleko.

- Nie wiem - przyznał po chwili. - Może są, może były, a może już nie ma. Były na pewno, bo kiedyś ludzi było naprawdę wielu. Tu, gdzie widzicie tylko szarą ziemię, rosły dziesiątki drzew i kwiatów, matki bawiły się z dziećmi na trawnikach, a rzeki toczyły swe wody...

- Co to są rzeki, proszę pana?

- To dawne słowo, które dziś już jest bez znaczenia - Derwin westchnął. - „Rzekami” nazywało się wodę, która płynęła.

- Tak, jak z kranu?

- Tak - zgodził się nauczyciel. - Tylko nie wypadała z rury, a leżała jak niebieska wstęga pośród zielonych pól.

- Gdzie płynęła? - Zainteresował się Vurtok.

- Tego nie wiem - Derwin rozłożył bezradnie ręce. - Może płynęła w koło? Ale wróćmy do rzeczy... Platforma nie wisi ot tak sobie, w powietrzu.

Odwrócił się do dzieci i położył poziomo dłoń w powietrzu.

- To nasza platforma.

Przystawił pod nią drugą dłoń, skierowaną do niej pionowo.

- A to potężny słup, na którym ona stoi. Jeśliby któregoś dnia wij dostał się w tę okolicę, mógłby go przewrócić. Wtedy runąłby, a platforma wraz z nim i wszyscy by zginęli.

Dzieci jęknęły ze strachu, kilka dziewczynek zaczęło płakać.

- I dlatego tak ważna jest Kontrola - Derwin wskazał na miasto, a konkretnie na Iśnie, kopulaste budowle. - Wszędzie wokół kolumny, głęboko w gruncie, spoczywają czujniki. Odchodzą od nich przewody, które wewnątrz słupa idą aż tutaj. To czujniki podziemne. Dostarczają nam informacji o drganiach. Kontrolerzy bez przerwy sprawdzają te dane, aby wiedzieć, czy jakiś wij nie znalazł się w pobliżu.

- A jak się znajdzie, to strzelają? - wyrwał się z pytaniem Aspal.

Derwin uśmiechnął się smutno.

- Nie. Wije są tak potężne, że nie mamy broni, za pomocą której moglibyśmy je zabić. Ba, nawet nasi przodkowie jej nie mieli.

- To co się dzieje, jak wij jest tutaj? - zapytał chłopiec imieniem Annan.

- Razem z czujnikami w glebie zakopano emitery - Derwin znów wsparł się na barierce. - Gdy drgania wskazują, że wij się zbliża, Kontrolerzy uruchamiają je. Emitują one dźwięk

niesłyszalny dla ludzkiego ucha, zaś niesamowicie podrażniającą wije. Bestie oddalają się wtedy na długo. No, czas wracać.

Przy kolacji Vurtok opowiedział rodzicom o tym, co usłyszał.

- Derwin to mądry człowiek - pochwalił nauczyciela ojciec. - Pewnie wie jeszcze bardzo wiele rzeczy, ale jesteście za mali, żeby was o tym uczyć. Musisz się przyzwyczaić, synku, że teraz będziesz odkrywał świat tak, jak elementy swojej łamiągłówki. Może któregoś dnia zrozumiesz wszystkie jego mechanizmy.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Potem matka zaczęła narzekać na ból głowy, więc ojciec poradził jej, aby szybciej się położyła.

- My z Vurtokiem pozmywamy.

Matka skinęła, pocałowała syna w głowę i poszła do sypialni rodziców, zaś dwaj mężczyźni - młody i starszy - dojedli posiłek i zabrali się do mycia talerzy i garnków.

- Widzisz synku - Fassi odkręcił kran i wskazał na strumień wody. - Zdradzę ci kolejny element naszego miasta. Ta woda wróci do nas za jakiś czas.

- Jak to tato?

- Weź szmatkę, będziesz od razu wycierał. Jak to? A tak to, że jeśli zrobisz siusiu, to popłynie ono rurami razem z wodą, którą je splukujesz z sedesu. Jak myślisz, gdzie prowadzą te rury?

Vurtok wzruszył ramionami.

- Te rury prowadzą do filtrów na południu miasta. Tam, gdzie byliśmy dwa miesiące temu. Pamiętasz?

- Tak, tatusiu, pamiętam. Tam cały czas coś buczy.

- To generatory energii - wyjaśnił ojciec, szorując garnek. - Tam pracują mechanicy. Są tam różne takie urządzenia,

nie wiem, jak się nazywają. One zmieniają twoje siuśki znowu w wodę. I ta woda, która spływa z umytych naczyń do zlewu, też tam trafia. Fachowo to się nazywa... Ojciec mi mówił, bo on był mechanikiem... O, mam - obieg wtórny.

Ręka Vurtoka zamarła w pół wycierania talerza.

- Ja... ja piję swoje siki? - wyjąkał z niedowierzaniem. - I Aspala też?

- I jego, i swoje, i każdego w tym mieście - westchnął ojciec. - Nie ma innego sposobu pozyskiwania wody. Kiedyś, jak miałeś ledwie rok, spadł deszcz. Ludzie wyszli na zewnątrz i stali z otwartymi ustami, aby poczuć ten smak... Ten najwspanialszy na świecie smak. Smak czystej deszczowej wody...

Rozmarzony ojciec uśmiechnął się do swoich wspomnień, lecz zaraz potem westchnął ciężko.

- Ale deszczu nie było już od wielu, wielu lat... Kiedy ostatni raz widziałeś chmurę?

- W zeszłym roku. Aspal mnie zawołał, żebym zobaczył. Była taka biała jak włosy jego dziadka.

- Jedna chmura na rok... - ojciec pokręcił głową. - Mój dziadek mówił mi, że podobno kiedyś - bo sam to słyszał od swojego dziadka, a ten od swojego - niebo pełne było chmur, a deszcze ciągle padały. I dlatego świat tam, na dole, był zielony i nie trzeba było uciekać na górę. Słońce nie prażyło tak jak teraz. Podobno czasem nawet było chłodno.

- Czyli jak, tata?

- Jakby ci to wyjaśnić? - Fassi zakręcił kurek kranu i wytarł ręce w szmatkę.

- To tak, jakbyś z zewnątrz wszedł do cienia. Tylko że ten cień był wszędzie.

- Oj, to musiało być przyjemne.

The Best t.01

- Pewnie tak - zgodził się ojciec. - No, a teraz czas już spać.

Następnego dnia w sali lekcyjnej Derwin uczył dzieci o roli słońca w życiu miasta:

- Słońce znajduje się bardzo wysoko na niebie i oddala od nas, a potem wraca. Dlatego na przemian mamy dwanaście godzin światła i tyle samo mroku. Tak, Annan?

- A mój tata mówił mi, że to właśnie przez słońce nic na dole nie rośnie.

- Owszem - Derwin skinął głową. - Roślinom z dawnych czasów nasze słońce szkodziło. Było za silne, za gorące. Jednak to samo bezlitośnie prażące słońce, które nie dopuszczało do rozwoju roślin tam na dole, jest dla platformy źródłem życia. Wielkie baterie słoneczne chwytają jego ciepło i przetwarzają je na energię, którą zasilamy maszyny służące do uprawy roślin i inne. Nawet strzelby Strażników ładowane są przez baterie słoneczne.

- Proszę pana! - Inna podniosła rękę do góry. - A to przedtem nie było roślin? Nie rosły akkaki ani spongi?

- Z tego co mi wiadomo - odparł nauczyciel - jedynymi roślinami, jakie rosły na dole i jakie rosną też tutaj, były kukurydza i szpinak. Dlaczego - tego nie wie nikt.

- A dlaczego? - dopytywała się Inna. - Dlaczego nikt nie pamięta ani nie wie, co było przedtem?

Derwin spojrzał na nią zmieszany.

- Bo tak... - zaczął, ale spostrzegł, że daje zły przykład i poprawił się.

- Ponieważ nasi przodkowie utracili wiedzę, którą dysponowali. Wszystko przez wije. Kiedyś istniały tam, na dole, miasta jak nasze. Ale wije zniszczyły je... może same nawet o tym nie wiedząc? Wynurzały się z gruntu pomię-

dzy budynkami, miażdżyły ściany domów, całe dzielnice i strefy. Nic nie mogło ich powstrzymać, a mnożyły się szybko.

- Proszę pana! - Aspal wzniosł dłoń. - Czy skrzydlaki to takie mniejsze wije?

Nauczyciel uśmiechnął się.

- Tak. Ale o wiele mniejsze - dodał, widząc kpiący uśmiech na twarzy chłopca. - O wiele, wiele, wiele...

- A jak bardzo? - zapytał Aspal.

Derwin uniósł palec wskazujący.

- Ten palec to skrzydlak. A wij to ja.

Dzieci patrzyły z niedowierzaniem to na palec, to na nauczyciela. Porównanie spowodowało, że wiele z nich wstrzymało oddech. Aspal pobladł.

- Taki... taki wielki...? - wykrztusił w końcu.

Nauczyciel skinął głową.

- Możemy się tylko cieszyć, że wije nie mają skrzydeł. Wtedy nie byłoby już dokąd przed nimi uciekać.

- A skąd się biorą skrzydlaki, proszę pana? - dociekał Annan.

- To jakiś całkiem inny gatunek wijów, chłopcze - odpowiedział Derwin. - Widać są do czegoś im potrzebne, ponieważ wije nie zniszczyły ich jak innych zwierząt.

Dzieci patrzyły na niego, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

- Doszliśmy do kolejnego przykrego momentu - stwierdził. - Przynajmniej dla mnie. Wyobraźcie sobie, że tam, na dole, istniały różne zwierzęta, nie tylko wije i skrzydlaki. Były też różne inne.

- Też żyły pod ziemią? - zapytał Inna.

- Niektóre. Inne chodziły normalnie po powierzchni. Podobno wielu ludzi trzymało zwierzęta w domach, niczym

członków rodziny. Trudno mi mówić, jak było naprawdę, a tamtych czasów już nikt nie pamięta.

- A czy ktoś będzie kiedyś pamiętał nasze? - zaskoczyła Derwina Inna.

W odpowiedzi rozłożył tylko bezradnie ręce.

Czas płynął, choć na platformie prawie nic się nie zmieniło. Prawie nic prócz dzieci, które szybko rosły. Derwin obserwował je wszystkie, aby w Dniu Wyboru wiedzieć o nich jak najwięcej. A ten zbliżał się szybkimi krokami.

Choć dni na platformie nie różniły się od siebie, a pory roku były takie same, to wciąż mierzono upływ czasu za pomocą kalendarza. Jedyne kalendarza w mieście, liczącego sobie 365 dni. Wisiał on w oszklonej gablocie w hallu budynku Zarządu, zaś specjalnie do tego celu powołany człowiek przesuwał co dnia czerwoną ramkę o jeden dzień do przodu. Minęły trzy lata i wnet nadejść miał Dzień Wyboru.

Cztery dni wcześniej coś wydarzyło się w życiu Vurtoka. Aspal odwiedził go późno po południu i wyciągnął na podwórko. Tam, w cieniu niewielkiego drzewka, wyjął z kieszeni kilka czerwonych owoców podobnych do małych kulek.

- To niedojrzałe talko - wyjaśnił cicho, rozglądając się nerwowo na boki.

- Skąd je masz? - zdziwił się Vurtok.

- Dał mi je Safi, wiesz, ten Strażnik jakała. Mówił, żebym zjadł dwa przed snem, to przyśni mi się coś, czego nigdy nie widziałem.

- Jak to?

- Nie wiem, ale jesteśmy kumplami, to dam ci część - Aspal podał koledze trzy owoce. - Zjedz przed snem, nie pożałujesz.

The Best t.01

- Ale... - Vurtok popatrzył z powątpiewaniem na podarunek.

- Nie ma żadnego „ale” - zniecierpliwiał się Aspal. - Safi mówił mi, że jada je od lat. Podobno lepiej mu się po tym strzela.

- A skąd ty znasz Safiego?

- Łażę sobie od jakiegoś czasu na krawędź, bo chciałbym zobaczyć, jak strzelają do skrzydlaków - wyjaśnił chłopiec cicho. - To dlatego nie ma mnie teraz na podwórku. Strażnicy mnie polubili.

- Aha... - Vurtok skinął głową. Jego przyjaciel jeszcze przed Dniem Wyboru chciał poznać życie Strażnika.

- Może przyśni ci się Inna z gołymi cyckami - Aspal mruknął okiem, a Vurtok poczuł, że robi się czerwony. Piersi ich koleżanki zaczynały się ostro odcinać od sukienek i chcąc nie chcąc, przyciągały uwagę obu chłopców.

- Może... - Vurtok skinął głową, zakłopotany i zmieszany. Schował owoce do kieszeni. - Dzięki.

- Nie ma sprawy - Aspal klepnął go w ramię. - Powiesz mi jutro, jak było? A ja ci za to opowiem, co mi się przyśniło, dobra?

- Dobra.

- No to cześć - chłopak odwrócił się i odszedł już kilka kroków, gdy Vurtok usłyszał, że znów go woła.

- Tylko pamiętaj, to sekret - wyszeptał, przykładając palec do ust. - Ani moi, ani twoi rodzice nic nie mogą wiedzieć.

- Sekret - zgodził się Vurtok.

Kolację zjadł bardzo szybko.

- Oho, rośniemy - zinterpretowała fałszywie jego pośpiech matka.

- Co chcesz - uśmiechnął się Fassi. - Toż to za trzy dni nasz syn stanie się mężczyzną. Już zbiera sił do dorosłego życia.

Skinął tylko głową. Rozpalała go ciekawość. Słyszał raz w rozmowie rodziców, kiedy już leżał w swoim łóżku, a oni wciąż siedzieli w jadalni, jak tatuś mówił, że jeden z robotników „znów najadł się talków i bredzi”. Na wszelki wypadek postanowił po zjedzeniu owoców udawać, że śpi.

Zamknął drzwi do swojego pokoju i zapalił małą, prostokątną lampkę. Wyjął z kieszeni niedojrzałe talko i chwilę przyglądał się im. Słyszał, jak matka śmieje się z czegoś, co mówił ojciec, więc raczej nie powinni tu zajrzeć. Na wszelki wypadek schował je pod poduszkę.

Szybko rozebrał się do naga, wciągnął spodenki, w których sypiał i położył się do łóżka, gasząc przy tym lampkę. Leżał długo, czekając, aż rodzice skończą się krzątać, a gdy już był pewien, że śpią, sięgnął z drżącym sercem po zakazany owoc. Talko było twarde, miało gorzką łupkę. Vurtok nie wiedział, czy ma je zjeść wraz z nią, czy też bez niej. Po chwili wahania zdecydował się je obrać, a łupki schować. Jeden owoc zostawił na wszelki wypadek nieobrany.

Gdy ugryzł pierwszy, poczuł cierpko-gorzki smak. Sok spłynął mu po brodzie, zaś usta wykrzywiły się w grymasie obrzydzenia. Przełknął jednak, a potem kolejny kęs. Nie minęła minuta, a talko było zjedzone. Leżał chwilę, czekając na efekty. Poczuci się nagle dziwnie, lekki i rozkosznie rozleniwiony. Twarz rozjaśnił błogi uśmiech. Sięgnął po drugi owoc. Teraz smak wydawał mu się o wiele lepszy, wcale nie tak gorzki i kwaśny.

Zjadł owoc, a potem przymknął oczy i dał się wciągnąć w kolorowy sen, gdzie unosił się w jakiejś przestrzeni, a wokół

niego latały różnokolorowe kule. W każdej odbijała się jego twarz, lecz zawsze nieco inaczej zniekształcona. To za wysokie czoło, to długi nos, to jedno oko mniejsze a drugie większe. Było to zabawne, śmiał się jak szalony, a odbicia odpowiadały mu tym samym. W jednej z kul pojawił się zniekształcony Aspal. Chichotał i powtarzał wciąż: „cycki Inny”, a zdanie to odbijało się tysięcznym echem i powracało do Vurtoka.

Czuł się cudownie, wiedział, że zaraz wydarzy się coś wspaniałego, czego nawet nie umiał nazwać. Ktoś gdzieś zaczął go wołać. Z początku cicho, potem natarczywy głos narastał i psuł całą przyjemność. Vurtok poczuł irytację - któż to śmie przerywać mu tak wspaniałą relaks?

A głos zbliżał się, zaczynał wypełniać całą przestrzeń, rozsadzać ją; kolorowe kule pękały jedna po drugiej, rozbite siłą głosu, który zmienił się w ryczący piorun. Piorun grzmiał:

- Vutrok! VurtokM Vurto... H!

- OK! Czyżbyś był chory? - Jiliana z troską wpatrywała się w twarz syna.

- Co? - Vurtok zamrugał oczyma. W pokoju było jasno, lecz nie od lamp. Był już ranek. - Co się dzieje?

- Nie mogłam cię dobudzić -. matka przesunęła ręką po jego policzku. - Już zaczynałam się bać... Masz trochę rozpalone czoło.

Vurtok uniósł się na rękach, chcąc usiąść, lecz nagle zakręciło mu się w głowie. Poczuł się jak uderzony młotem i opadł z powrotem na poduszkę.

- Synku? - matka popatrzyła mu uważnie w oczy. Vurtok zmrużył je, gdyż światło zdawało się ranić. - Fassi! Przyjdź tutaj!

W drzwiach pokoju ukazał się ojciec. Spojrzał pytająco na matkę.

- Nie mogłam go dobudzić, jest bardzo osłabiony, nie może wstać - wyjaśniła mężowi.

Vurtok chciał coś powiedzieć, wytłumaczyć, że zaraz wstanie, lecz naraz osunął się z rzeczywistości w senne mary. Nie odnalazł jednak przestrzeni pełnej kolorowych kul, a pustkę i ciemność.

Obudzono go dwie godziny później. Technik zdrowia przyszedł do domu, aby zbadać go. Uważnie posłuchał bicia serca, kazał Vurtokowi wyciągnąć język, spojrział w źrenice.

- Zatrął się czymś - zawyrokował. - Niech przeleży do jutra. - Wyjął z małej torby jakieś pastylki w szklanej fiolce i podał je matce Vurtoka. - Jedną teraz, drugą przed snem, a rano znów jedną. Zmieszać z ciepłą wodą.

Ledwie wyszedł, Vurtok znów zaczął osuwać się w senne mary, lecz naraz coś błysnęło w jego głowie:

„Lupy! Usuń łupy głupcze, bo się dowiedzą! ”.

Skupił się. Matka odprowadzała technika zdrowia do drzwi, miał chwilę czasu. Sięgnął pod poduszkę. Dowody zbrodni wciąż tam były. Zebrał je szybko w garść, z trudem uniósł siennik i wsunął pod niego. Zdążył jeszcze schować tam ostatni z owoców, nim matka wróciła z przygotowanym lekarstwem.

Następnego dnia Aspal pokłócił się z Vurtokiem, gdy ten powiedział mu, że więcej nie będzie jadł talko.

- Wstyd, żebym na drugi dzień nie mógł wstać - powiedział. - Moi rodzice myśleli, że jestem chory.

- Pff... - prychnął Aspal. - Ja tam zjadłem i nic się nie działo. I śniła mi się Inna... - uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Spróbuj dzisiaj jeszcze raz... Prawdziwi mężczyźni jadają talko co dnia!

The Best t.01

- Nie będę już próbował - zezłościł się Vurtok. - Jakieś kulki kolorowe się śnią, a potem nie można się podnieść. Jak ten jakaś może po tym lepiej strzelać?

- Bo on je talko cały czas - Aspal zniżył głos do konfiden-
cjonalnego szeptu. - Podobno wszyscy Strażnicy wcinają je, ile
wlezie. Przyzwyczaili się. Ty też się...

- Bzdury! Przecież muszą być cały czas gotowi.

- I są. Jak przydzielą cię do straży, to będziesz musiał je
jeść - Aspal uśmiechnął się złośliwie. - Bo inaczej skrzydlak cię
pogryzie. Talko są dla prawdziwych mężczyzn.

- Głupoty gadasz - Vurtoka zaczynała irytować ta roz-
mowa.

- A wcale że nie! - zaprotestował Aspal. - Tak mi powie-
dział Safi, a on wie, co mówi. Powiedział, że poza Strażnikami
w mieście są same dupki. Kto nie jest prawdziwym mężczyzną,
tego nie biorą do straży.

- A ty niby jesteś?

- A co? - Aspal zacisnął pięści.

- A nic - Vurtok wzruszył ramionami. - A co zrobisz, jeśli
nie przydzielą cię do straży?

- Przydzielą, przydzielą... Pan Derwin wie, co robi. No, to
co? Zjesz dzisiaj talko?

- Nie. *

- Jak nie zjesz, to...

- To co?

- To nie będziesz prawdziwym facetem!

- E tam - Vurtok machnął ręką na odchodne. - Mam lep-
sze rzeczy do roboty.

Trzy lata po pytaniu Inny, na które Derwin nie miał od-
powiedzi, dokładnie ósmego dnia dwunastego miesiąca, nad-
szedł Dzień Wyboru.

Dzieci miały stać się tego dnia dorosłe i już więcej nie przychodzić na zajęcia, zaś nauczyciel miał przyjąć kolejną grupkę do szkoły. Taka zasada stosowana była od wielu, wielu lat.

Na placu przed budynkiem, w którym znajdowała się sala lekcyjna, zgromadzili się mieszkańcy - rodzice i krewni dzieci, ich przyjaciele i koledzy. Dzień Wyboru był jednym z nielicznych świąt, jakie obchodzone były w mieście.

Za stołem przykrytym białym obrusem zasiadło trzech nauczycieli. Jednym był Derwin, dwaj inni uczyli w południowym i wschodnim sektorze platformy. Dzieci z rejonu Aspala i Vurtoka było wraz z nimi dwadzieścia dwoje, z sektora zachodniego czterdzieścioro, z południowego trzydzieścioro.

Postawiono ich w dziewięciu szeregach, posegregowanych alfabetycznie według imion. Pierwszy był Abar z sektora południowego. Jego nauczyciel wstał i odczytał z kartki:

- Abarze, synu Mekuna i Tiriany, zostajesz przydzielony do techników. Aspal był szósty w kolejności. Pan Derwin wstał i przeczytał:

- Aspalu, synu Erena i Telgi, zostajesz przydzielony do Strażników. Aspal podniósł ręce w geście triumfu i odszedł z szeregu do rodziców.

Jego marzenie spełniło się.

Vurtok czekał niecierpliwie na swą kolej. Po drodze była jeszcze Inna. Po kilkunastu minutach przysła jej kolej:

- Inno, córko Hessiego i lalany, zostajesz przydzielona do upraw.

Inna spuściła głowę. Była inteligentną dziewczyną i jej marzeniem było dostać się do Kontroli. Vurtok skrycie marzył, że będą tam pracować oboje. Rzeczywistość zweryfikowała ich

marzenia. Stracił nagie całą sympatię i szacunek dla nauczyciela.

Długo czekał na swą kolej, minęło ponad półtorej godziny stania na skwarze, gdy w końcu usłyszał z ust Derwina upragnione zdanie:

- Vurtoku, synu Fassiego i Jiliany, zostajesz przydzielony do Kontroli.

Przed pierwszym dniem pracy w Kontroli Vurtok długo nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, ale sen nie przychodził. Zbyt dużo wydarzyło się tego dnia. Wybór dla niego i dla Aspala był jak najbardziej pomyślny, lecz bardzo rozczarował się przydziałem Inny. Nie mógł zrozumieć decyzji Derwina.

Zasnął w końcu po północy, a sen bez rojeń przeleciał mu błyskawicznie. Rankiem śpiesznie zjadł śniadanie, pożegnał rodziców i ruszył do Strefy. Nieraz wpatrywał się w te lśniące, kopulaste budowle, teraz miał spędzić w nich resztę życia, wychodząc tylko po to, aby położyć się spać. Rodzice dumni byli z syna i wychwalali pana Derwina za wybór.

Vurtok poszedł do piętrowego budynku, gdzie mieściło się jedyne wejście do Kontroli. W niewielkim, przyjemnie chłodnym hallu zasiadał na plastikowym krześle jeden z Kontrolerów. Miał dłonie założone za głowę i pogwizdywał cichutko jakąś wesołą melodię. Na widok chłopca uśmiechnął się szeroko:

- Vutrok, jak mniemam?

- Tak, proszę pana.

- Jestem Remmi, będę twoim przewodnikiem przez najbliższy rok. W tym czasie poznasz wszystkie mechanizmy działania Kontroli. Gotów?

- Tak, proszę pana.

- No to idziemy.

Poprowadził Vurtoka długim korytarzem, po którego obu stronach znajdowało się wiele drzwi. Na pytanie, co się za nimi kryje, Remmi uśmiechnął się tajemniczo:

- Zobaczysz później.

Przeszli do drugiego budynku, a tam schodami na piętro. Wkroczyli do wielkiej sali, w której wzdłuż ścian stało kilkanaście metalowych stołów, a na nich jakieś dziwne skrzynki. Siedzący przed nimi ludzie popatrywali tam co jakiś czas i zapisywali coś na kartkach. Potem wracali do rozmów. Jak zauważył Vurtok, niektórzy w wolnych chwilach bawili się rozwiązywaniem łamigłówek.

- To najważniejsze miejsce w mieście - Remmi z dumą potoczył wkoło ręką. - Jego serce. Tutaj pilnujemy, żebym żaden wij nie dotarł nawet w pobliże platformy. Odpowiadamy za życie wszystkich mieszkańców miasta.

Okazało się, że te dziwne skrzynki mają z jednej strony ekrany ukazujące zielone linie. Linie od czasu do czasu drgały, wznosząc się nieznacznie i opadając.

Jak wyjaśnił Remmi, były to mierniki drgań w zasięgu kilkudziesięciu kilometrów. Pokazał Vurtokowi wielką mapę, podzieloną na kwadraty. Na samym jej środku znajdował się jeden ciemny. Była to platforma.

- Każdy kwadrat zawiera w sobie kilkadziesiąt czujników. Jeden monitor pokazuje pomiary z jednego kwadratu. Ty na początku będziesz odpowiedzialny za ten na samym skraju - palec Remmiego wskazał północno-zachodnią krawędź mapy. - Jeśli popełnisz jakiś błąd, będzie wystarczająco dużo czasu, aby go naprawić.

Dalej pokazał Vurtokowi małe dźwigienki, sterczące z biurek.

- Ta wajcha uruchamia emitery w twoim kwadracie. Jest parę zasad, kiedy można uruchomić emiter.

Tu nastąpił długi wykład, w czasie którego Remmi pokazał Vurtokowi tabelę. Była na niej zaznaczona skala drgań wraz z przypisaniem do niej wartości alarmowej. Najwyższa - 60 punktów - oznaczała wija w kwadracie.

- Kiedy wij pojawi się w twoim rejonie, uruchamiamy emitery również w sąsiednich. Tam wartości drgań sięgają wówczas 45-55 punktów. To odstrasza bydłaka bardzo szybko. Masz zapamiętać tę tabelę. Za trzy dni przepytam cię z niej.

Dwa tygodnie później Vurtok znał już na pamięć wszystkie wartości drgań, wiedział, kiedy należy zwiększyć czujność, potrafił bezbłędnie przewidzieć, co może przynieść ze sobą zmiana drgań.

Ze zdziwieniem dowiedział się, że pod ziemią krążą także nierozwinięte wije.

- Przecież one nie rodzą się od razu takie wielkie - roześmiał się na zdziwienia Vurtoka Remmi. - Muszą dorastać, tak jak i ludzie. Pełno tych cholerstw kręci się wokół słupa.

- Nie włączamy wtedy emiterów?

- Nie - Remmi pokręcił głową. - System jest nastawiony na wykrywanie obiektów o powierzchni powyżej pięćdziesięciu metrów. Mniejszych nawet nie zauważy.

- Nie można tego zmienić?

Remmi wzruszył ramionami.

- Nikt tego nie potrafi. Może dawniej można było, ale teraz...

Wciąż jeszcze pozostawała sprawa pomieszczeń za drzwiami wzdłuż korytarza, którym prowadził Vurtoka pierwszy raz. Na razie jednak jego przewodnik kazał mu o

nich zapomnieć, co jeszcze bardziej rozbudziło ciekawość chłopca.

Pierwszy miesiąc minął mu szybko. Wychodził z domu rankiem, wracał wieczorem. Jadł tylko kolację i zaraz kładł się spać. Jego praca polegała głównie na wpatrywaniu się w monitory. Było to zajęcie monotonne, męczące bardziej niż całodzienna praca fizyczna. Dla zabicia czasu rozmyślał o różnych sprawach. Szczególnie brakowało mu codziennych spotkań z Inną. W szkole widywał ją codziennie, teraz nie widział od długich dni i tęsknił.

Wracając pewnego razu z pracy, postanowił ją odwiedzić. Rażnym krokiem ruszył przez uliczki na osiedlu. Było cicho i pusto, większość mieszkańców siedziała przy wieczornych posiłkach. Zapewne Inna także. Skrzywił się na myśl, że będzie znów musiał oglądać jej ojca, ale była to przykra konieczność.

Dom, w którym mieszkała z rodzicami Inna, znajdował się na rogu jednego z kwartałów. Vurtok zbliżał się do niego od tyłu. Nim doszedł do narożnika, dotarły do niego dwa znajome głosy. Jeden należał do Inny, drugi do... Aspala.

Przystanął, mimowolnie zaciskając pięści. Widać kolega wpadł na ten sam pomysł, co i on. Podszedł cicho do narożnika budynku i ostrożnie wyjrzał. Inna stała na progu domostwa, oświetlana przez jarzeniówkę nad wejściem. Aspal wspierał się na strzelbie i żywo gestykulował jedną ręką.

- ... a on wtedy sru! Prosto na spongi!

Oboje roześmieli się głośno.

Vurtok odszedł cicho. Zły humor nie opuszczał go przez kolejne dni.

Przełamał się po miesiącu.

Jeszcze raz ruszył drogą pomiędzy domami, lecz tym razem nie usłyszał żadnych głosów. To polepszyło mu nieco nastrój. Zapukał energicznie w drzwi domu Inny.

- Vurtok! - Na jego widok uśmiechnęła się radośnie. - Cześć, Inna - uśmiechnął się z wysiłkiem. - Jak się masz?

- To jednak prawda, że praca w Kontroli całkowicie pochłania człowieka - powiedziała wesoło. - Dawno cię nie widziałam.

- A, wiesz... - wzruszył ramionami, nie wędząc, co odpowiedzieć.

- I Aspal cię szuka...

- Aspal?

- Tak, też ciekaw, co u ciebie.

- Przecież wie, gdzie mieszkam - prychnął Vurtok. - Jakby chciał, toby przyszedł.

- Z kim tam gadasz? - dobiegł z wnętrza domu głos ojca Inny.

- Z Vurtokiem, ojciec - odpowiedziała, odwracając się do niego.

- A, powitać - Hessi pojawił się za córką, odsłaniając w uśmiechu rząd nierównych zębów. - Jak tam praca? W samej Kontroli? - podkreślił.

- Dziękuję, dobrze - Vurtok skinął głową i uśmiechnął się uprzejmie. - To bardzo trudna praca. I odpowiedzialna.

- Wiem, wiem - Hessi przytaknął skwapliwie. - Liczyłem, że moja mała też się tam dostanie, ale widać za mało się przykładała do nauki...

Inna zacisnęła wargi, co nie umknęło uwadze Vurtoka.

- ... to musi przy roślinkach cały dzień robić.

„Tak jak pan” - miał ochotę stanąć w obronie Inny Vurtok, ale pohamował się. Ojciec mógłby po czymś takim zabronić jej widywać się z nim.

- No, to pogadajcie tu sobie, pogadajcie - Hessi znów ukazał garnitur zębów - a ja napiję się piwka. Może poczęstujesz się, chłopcze?

- E... dziękuję, muszę się położyć. Męczący dzień dzisiaj miałem - wykręcił się Vurtok. - Właściwie to wpadłem tylko tak, zobaczyć, jak się ma Inna.

- Zagłądaj częściej, zapraszamy - Hessi skinął mu głową.
- Dobranoc.

- Dobranoc - Vurtok odczekał chwilę, aż mężczyzna znikł we wnętrzu domostwa, a potem zwrócił się do Inny: - Jakiś sympatyczniejszy się zrobił. Inna spojrzała za siebie, a upewniwszy się, że ojciec jej nie słyszy, wyjaśniła:

- Bo dostałeś dobre stanowisko. A mi zrobił straszną awanturę. Że głupka w domu trzyma, że... - jej głos zadrżał.

- Nie przejmuj się nim, wcale nie lepszy - powiedział Vurtok, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, jaką gafę strzelił. - To znaczy...

- Tak, pewnie jestem głupia - Inna spojrzała na niego jakos tak nieprzyjemnie, a potem zamknęła drzwi.

Vurtok ruszył do domu, przeklinając się za gafę.

Siedząc następnego dnia w Kontroli, rozmyślał o Aspalu. Pytał o niego. Ale dlaczego Inny?

„Po prostu znalazł sobie pretekst, aby się z nią widywać” - doszedł w końcu do wniosku. „Przecież zawsze mógł do mnie przyjść sam!”

Zabębnił palcami o blat stołu. Drgania na ekranie monitora były w normie. Właściwie trochę tego żałował. Nie mógł już doczekać się dnia, kiedy pojawi się wij, a on pociągnie za waj-

chę i odpędzi go. Może będzie wtedy bohaterem miasta? A właściwie kiedy...?

- Remmi - machnął ręką do swego przewodnika, a gdy ten podszedł, zapytał cicho: - Kiedy ostatni raz odstraszono wija?

Remmi podrapał się po brodzie i zamyślił.

- No... ja nie pamiętam - odparł po chwili z ociąganiem.

- Długo tu jesteś?

- Dwadzieścia kilka lat.

- I w tym czasie nic się nie zdarzyło?

- No... nie. Ale podobno przed moim urodzeniem pojawił się jakiś olbrzymi...

Vurtok poczuł się nagle jak uderzony obuchem.

- To znaczy, że ich może już dawno nie być, a my tracimy swoje życie, siedząc...

- Milcz! - warknął Remmi. - Nawet nie mów takich głupot. Wije istnieją. Najlepszym przykładem skrzydlaki. I ciesz się, że więcej podobnych nie ma. Ani słowa o tym. To polecenie służbowe.

Oddalił się, zagniewany.

„Więc może nie ma już żadnego niebezpieczeństwa tam, na dole, a my wciąż tkwimy tu, na górze, uwięzieni...” - dokończył w myślach Vurtok.

Po pracy udał się do Derwina.

Nauczyciel mieszkał samotnie.

- Vurtok? - zdziwił się na jego widok. - Co ty tu robisz?

- Chciałbym porozmawiać, jeśli ma pan chwilę czasu...

Derwin zaprosił go gestem do wejścia. Zasiedli w tonącym w półmroku salonie, dyskretnie oświetlanym przez niewielkie lampki w kątach pomieszczenia.

- Cóż cię sprowadza do mnie? Czyżby jakiś ważny problem?

- No cóż... Zastanawiam się, czy jest możliwe sprawdzenie, czy wije jeszcze istnieją.

Derwin spojrział na niego ze zdziwieniem. Vurtok szybko wyjaśnił mu, w czym rzecz.

- Interesująca koncepcja, chłopcze - nauczyciel podrapał się po brodzie, przymykając w zamyśleniu oczy. - Ja również nie pamiętam, kiedy po raz ostatni coś naprawdę zagroziło naszemu miastu. Ostatni raz zanotowano wija 130 lat temu, lecz ich nieobecność od tamtej pory nie oznacza, że już nie istnieją.

- Jakże więc to sprawdzić?

- Nijak - Derwin wzruszył ramionami. - A nawet jeśli ich nie było, co byś zrobił? Zszedł na dół? Po co? Ziemia jest nieurodzajna jak okiem sięgnąć, tam nie ma żadnego życia, żadna roślina nie przyjmie się w martwym gruncie. Musimy żyć tu, na platformie.

Vurtok milczał długą chwilę, przemyśliwując to, co usłyszał. W końcu zapytał:

- A jeśli wijów nie ma, czy gleba odrodzi się? Czy tam, na dole, znów wyrośnie trawa i drzewa i rośliny?

Derwin w odpowiedzi rozłożył tylko bezradnie ręce.

Minął rok.

Vurtok dość często widywał się z Inną. Udało mu się załagodzić niefortunną gafę i odtąd wszystko było w jak najlepszym porządku. Spacerowali często wieczorami po platformie, rozmawiając o przeróżnych rzeczach. Dzięki sobie poznawali inne role na platformie, jakie przypadły w udziale tej drugiej osobie.

Aspał unikał Vurtoka i widać było, że ma mu za złe spotkanie się z Inną.

- Raz przyszedł trochę pijany - mówiła Vurtokowi Inna podczas jednej z przechadzek. - Chciał, żebym przeszła z nim się, ale nie miałam ochoty. Akurat byłam zmęczona, cały dzień miałam ciężki, a poza tym... po prostu nie chciałam. A on wtedy zaczął mówić straszne rzeczy...

- Co takiego?

- Mówił, że i tak będę jego, że lepszy chłop z krwi i kości, który nadstawia karku za bezpieczeństwo niż jakiś łamaga, który cały dzień siedzi na tyłku w Kontroli...

Vurtok poczerwieniał, słysząc te słowa.

-... że robię błąd, spotykając się z tobą a nie z nim i że on jeszcze wszystkim pokaże. Och, tak się bałam Vurtoku - ścisnęła mocno jego dłoń. - On miał takie... takie straszne oczy, kiedy to mówił.

Przytulił ją do siebie.

- Zawsze będę cię bronił, Inno. Zawsze.

A potem zamknął oczy i pocałował ją. Gdy tkwili w miłym uścisku, poczuł, że cały świat wiruje wokół nich.

Odtąd co wieczór przychodził po nią i długo razem wędrowali. Znaleźli ciche i spokojne miejsce w strefie upraw, gdzie rosły wysokie drzewka, a trawa była miękka i zielona. Tam poznawali własne ciała i odkrywali rozkosze gier miłosnych. Choć na drugi dzień oboje byli w pracy zmęczeni i rozkojarzeni, to żadne nie żałowało i z tęsknotą wyczekiwało na wieczór.

Vurtok zapominał o wijach; siedząc przed monitorem, duchem był przy niej, gładząc w marzeniach gładką twarz, całując krągłe piersi i bawiąc się złotymi włosami. Ciężko było wysiedzieć tyle godzin za biurkiem, nie czując jej zapachu, do-

tyku ani nie słysząc jej głosu. Koniec dyżuru był dla niego wybawieniem niczym po dniu niewoli.

Pewnego wieczora szli objęci przed siebie. Byli już przy uprawach, gdy naraz ich uszu doszły dziwne odgłosy, rozchodzące się w nocnej ciszy. Zatrzymali się zdumieni. Odgłosy brzmiały, jakby ktoś przewracał pomarszczone ze starości stronnice wielkiej księgi. Najpierw jedną, potem dwie, trzy, potem naraz całe dziesiątki stronnice.

- Co się-dzieje? - Inna odruchowo przywarła do Vurtoka.

- Nie wiem... - odpowiedział, niespokojnie rozglądając się wokół. - Może to wiatr...?

- Tam! - krzyknęła Inna, wskazując palcem w nocne niebo.

Na tle ciemności szybowały podobne robakom wielkie kształty. Skrzydlaki.

- Uciekajmy! - Vurtok pociągnął Innę za rękę i puścili się biegiem w kierunku osiedla. Serce zaczęło mu walić szybko jak młotem; oglądał się co chwila przez ramię. Dwa, trzy, cztery stwory... Potem następne. Wszystkie wznosiły się nad uprawami, a wciąż przybywały nowe. Chmura skrzydlaków wyglądała jak chmura ciemności, kierująca się ku centrum platformy.

Ktoś biegł z naprzeciwka.

- Uciekaj! - krzyknął do niego Vurtok. - Skrzydlaki atakują!

- Wiem, durniu! - ryknął wściekły Aspal i wzniosł broń. Zrobił to na tyle szybko, że gdyby celował w Vurtoka, ten nie zdążyłby zareagować. Jednak dawny przyjaciel nie celował w niego.

Noc przeciął biały promień. Jeden ze skrzydlaków spadał, wirując wokół własnej osi.

Vurtok nie odpowiedział na zniewagę, pociągnął Innę dalej. A Aspal strzelał raz po raz, strącając kolejne bestie. Skrzydlaki nigdy nie cechowały się inteligencją, dlatego też dopiero po zestrzeleniu szóstego odkryły przyczynę. Skierowały się wielkim stadem ku samotnemu Strażnikowi.

Aspal nie cofnął się ani o krok - stał wciąż w tym samym miejscu, strzelając raz po raz. Baterie słoneczne jego strzelby pozwalały mu na dwadzieścia strzałów z pełną mocą. Po dziesiątym zmienił siłę rażenia na 50 procent. Dopiero wówczas pojawili się inni Strażnicy i noc zmieniła się w iluminację pocisków energetycznych, rażących napastników jednego po drugim.

Vurtok z Inną zatrzymali się zdyszani przy jednym z pierwszych budynków osiedla. Jakiś mężczyzna stał na progu domostwa i wyglądał z niepokojem. Szybko wyjaśnili mu, co się dzieje.

- Dawno tu cholerstw nie było - mężczyzna splunął. - Mieliście szczęście, że paskudy was nie obsiadły. Po co włóczycie się po nocy?

Stali we troje, patrząc na wielkie stado skrzydlaków, które zniżało się do poziomu gruntu. Raz po raz biały promień uderzał w któreś ze stworzeń, strącając je na dół. Vurtok patrzył na nie z przerażeniem - parę lat temu widział skrzydlaki ostatni raz i to dwa na krzyż. W porównaniu z tymi, tamte były niewyrośniętymi sztukami.

Ludzie z całego osiedla wychodzili przed domy, nawet dzieci. Dorośli pokazywali im bestie żyjące poza miastem. Poza ich światem. Mimo grozy sytuacji ciekawość przeważała. Naraz rozległ się przeraźliwy krzyk. Któryś ze Strażników został zabity albo raniony. Vurtok odruchowo pomyślał o Aspalu.

- Wracajmy do domów - skinął na Innę. - Rodzice będą się o nas niepokoić.

Poszli szybko pomiędzy budynkami. Hessi stał przed domem, wytężając

wzrok. Na ich widok uśmiechnął się:

- A cóż tam się dzieje, dzieci moje?

- Skrzydlaki! - przerażona Inna spojrzała na wciąż iluminowane przez strzały niebo. - Olbrzymie stado!

- Ale Strażnicy zaraz się pojawili - dodał Vurtok. - Dobrze, że to noc, bo za dnia toby ludzi mogły natłuc.

- Ale słyszeliśmy krzyk. Ktoś ucierpiał. Może nawet... - nie dokończyła.

Jak okazało się nad ranem, miała rację.

Zginęło dwóch Strażników - jękała Safi i niejaki Kaddem. Lecz nie polegli na marne - atak został odparty, martwe skrzydlaki zebrano na kupie na wielkim placu. Stos miał dwa i pół metra wysokości. Polano go paliwem, podpalenia miały dokończyć żony zabitych.

Aspal został okrzyknięty bohaterem, który samotnie stawiał czoła całemu rojowi bestii. Była to prawda, gdyż jako pierwszy wydał walkę wrogom. Grzał się teraz w blasku chwały, dumny i z pogardą patrzący na wszystkich wokół. U jego stóp piętrzył się stos skrzydełek. Ich sprzedaż mogła mu zapewnić dostatek na długie lata.

Wielu z mieszkańców miasta dostało wolny dzień w pracy, aby móc obejrzeć ceremonię spalenia pokonanych skrzydlaków. Było to największe stado, jakie zaatakowało miasto w czasie jego niktnej w mrokach dziejów historii. Zebrało się ponad tysiąc osób, zgodnie twierdzących, że to wyłącznie dzięki Aspalowi miasto ocalało. W tłumie była pewnie też i In-

na, lecz Vurtok nie mógł jej nigdzie znaleźć. Ujrzał za to Hessiego.

- Czy nie wie pan, gdzie jest Inna? - zapytał.

Ojciec ukochanej spojrział na niego z góry:

- Nie wiem,, chłopcze. Dziś wieczór powinna być w domu. Mam nadzieję, że Aspal nas odwiedzi.

- Jak to? - zdumiał się Vurtok.

- A tak to - wyszczerzył nierówne zęby Hessi. - Zaprosiłem go do nas. To będzie prawdziwy zaszczyt gościć bohatera.

- Ale... - zaskoczony Vurtok nie wiedział, co powiedzieć. - Ale my...

- Słuchaj no, chłopcze - twarz Hessiego przybrała gniewny wyraz. - Spotykasz się z moją córką już długi czas i nic. A Aspal lubi od razu przejść do rzeczy.

Vurtok coraz bardziej nie rozumiał.

- O czym pan mówi?

- Jak zaczęliście ze sobą spacerować, Aspal raz przyszedł do nas. Pogadałem z nim chwilę i powiedziałem mu, że moja córka - zaakcentował mocno słowo „moja” - nie może spotykać się z pierwszym lepszym. Wiesz, co mi powiedział?

- Skąd mam wiedzieć? - zirytował się Vurtok, czując przez skórę, że nie usłyszy pomyślnych wieści.

- Powiedział mi, że chciałby się z Inną ożenić i nie jest pierwszym lepszym. Ja mu na to, że Strażnikiem może być każdy chłystek, a do Kontroli biorą tylko najlepszych. Poszedł sobie, ale następnego wieczora przyszedł znów. I zapytał, czy jeśli udowodni, że jest lepszy od tych z Kontroli, to czy będzie mógł ożenić się z Inną. Roześmiałem się i powiedziałem mu, że nie da rady tego zrobić. Na to odparł, że jesteś jeszcze zbyt dziecinny na ślub i mogę długo sobie poczekać. I spytał, czy dam słowo, że jeśli zostanie doceniony przez wszystkich, to

będzie mógł ożenić się z Inną. Powiedziałem mu, że tak. No i mam zamiar słowa dotrzymać.

Vurtok zacisnął pięści i pohamował się od rzucenia na Hessiego.

- Inna nie jest jakimś cholernym przedmiotem - syknął przez zaciśnięte zęby. - I sama zdecyduje, z kim chce być.

- Inna nie ma nic do gadania - stwierdził Hessi, patrząc na niego zimno. - Będzie tak, jak ja mówię. Trzeba się było z nią ożenić. Straciłeś swoją szansę, chłopcze.

Vurtok chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tym momencie wdowy rzuciły na stos pochodnie i wielki płomień wystrzelił z hukiem w niebo. Wściekły obrócił się na pięcie i ruszył na poszukiwanie Inny. Niestety, nie odnalazł jej w gęstym tłumie.

Wściekłość mieszała się w nim wraz z coraz większą chęcią upokorzenia Hessiego i Aspala. Tylko jak miał tego dokonać?

Całe popołudnie Vurtok spędził w swoim pokoju. Rodzice byli na ceremonii spalenia skrzydlaków, więc nikt mu nie przeszkadzał. Leżał na łóżku z przymkniętymi oczyma, rozmyślając nad słowami Hessiego, które ugodziły go w serce niczym sztylety.

Ojciec Inny był człowiekiem, który niczego w życiu nie dokonał i chciał dowartościować się poprzez ożenek córki z kimś lepszym niż on sam, zwykły robotnik. Kontrolerzy rzeczywiście uznawani byli za najważniejszą grupę zawodową w mieście, lecz Vurtok już stwierdził, że jest to szacunek na wyrost. Skoro wijów nie było w okolicy od tylu lat...

Westchnął ciężko. Świat, w którym dorastał, zdawał się rozpadać jak źle złożona łamigłówka. To, o czym był przekonany, okazało się fałszem. Kłamstwem, w które wierzyło dzie-

się tysiacy mieszkańców miasta na platformie wysoko ponad ziemią.

„Aspal... ”.

Na samą myśl o nim Vurtok zacisnął pięści.

„Niech no tylko spróbuje dotknąć Inny! ”.

Cisza trwała przez kilka godzin. Potem rozległy się śmiechy i śpiewy. Uczestnicy ceremonii wracali do domów, pijani kukurydzianym piwem, które zapewne lało się dziś obficie. Po kilkunastu minutach osiedle zmieniło się w hałaśliwe miejsce. Do pory snu było jeszcze daleko, sąsiedzi siadali na ławkach przed domami, aby porozmawiać. Wiele razy do uszu Vurtoka docierało imię Aspala. Z początku burzyła w nim się krew, lecz potem przywykł.

„Jakiś czas bohater, potem zwykły strażnik” - pocieszył się w myślach.

Gdy rodzice wrócili do domu, zdecydował się przejść do Inny. Pewnie i ona już wróciła. Zapewne ojciec zatrzymał ją na placu, aby widział ją Aspal.

Może nawet zaaranżował „przypadkowe” spotkanie. Gdyby nie znalazła Vurtoka, zapewne przyszłoby sprawdzić, czy przypadkiem nie jest u siebie. I naraz robak zazdrości zaczął gryźć jego serce. Złośliwy głos szeptał:

„A może nie chciała przyjść? Może stwierdziła, że ojciec ma rację? Lepszy bohater, choćby tymczasowy, niż dupowaty chłopaczyna, który cały dzień siedzi i gapi się w monitor”.

Poszedł, kiedy słońce znikło za horyzontem, a noc przyniosła ciepłe, łagodne podmuchy wiatru. Po osiedlu kręciło się jeszcze wiele ludzi. Śmiali się i zataczali w pijackich tańcach. Wszędzie rozlegały się wesołe pokrzykiwania. Niektórzy mieli już dość piwa i spali na ławkach.

Vurtok szedł przed siebie różnym krokiem, choć serce biło mu szybko. Nie wiedział, jak zacząć rozmowę. „Gdzie byłaś? Czemu nie przysłaś?”.

Doszedł do domu, który znał tak dobrze. Naraz wydał mu się obcy i nieprzyjazny. Zastukał po chwili wahania, lecz odpowiedziała mu tylko głucha cisza. Albo nikogo nie było w domu albo też Inna nie chciała mu otworzyć.

Odczekał chwilę, a potem zawrócił szybkim krokiem do siebie. Czuł się jak w dziwnym śnie.

Następnego dnia Vurtok siedział pogrążony w ponurych myślach, gdy do jego stanowiska podszedł Remmi.

- No, młody - zwrócił się do niego. - Nadszedł czas, abyś poznał kilka sekretów znanych tylko Kontroli. Uznałem, że można ci zaufać i liczę na to, że nie zawiedziesz.

Vurtok skinął głową bez zbytniego entuzjazmu.

- Mart, zastąp go! - Remmi zawołał jednego ze starszych kontrolerów, a gdy mężczyzna zajął miejsce Vurtoka, poprowadził go na parter, do korytarza z zamkniętymi drzwiami. Stanęli przy jednych.

- Pamiętaj, że wszystko co zobaczysz i o czym się dowiesz, jest przeznaczone tylko i wyłącznie dla twoich uszu - Remmi odpiął od paska spodni pęk długich, karbowanych kluczy i wsadził jeden do zamka. Przekręcił. - Oto pierwszy sekret Kontroli - pchnął ciężkie drzwi.

Weszli do małego prostokątnego pomieszczenia. Znajdowało się tu tylko łóżko i mała lampka nad nim.

- To miejsce wypoczynku.

Vurtok popatrzył na niego, jakby ten rozum postradał.

- Mam swój dom i tam wypoczywam - odparł.

- Tak, ale w czasie nocnej zmiany ciężko jest wytrzymać - rzekł Remmi.

- Na nocce siedzi pięć osób. Każda z nich ma pod sobą kilka monitorów. Jedna może w tym czasie nabierać sił. Potem zmiana.

- A co mi do tego?

- Od jutra zaczniesz pracować na nocne zmiany. Potrwa to cały następny miesiąc.

Vurtok skinął głową, choć nie uśmiechało mu się to, gdyż znaczyło, że cały miesiąc nie będzie miał czasu, aby widywać się ze swoją ukochaną. Westchnął ciężko, gdyż nie miał wyboru.

Uznał, że musi ją odwiedzić zaraz po pracy i wyjaśnić, dlaczego nie będzie go przez wiele długich dni.

Dlatego też nie skierował się wieczorem jak zwykle do domu, lecz ruszył prosto do niej. Złość przeszła mu i sam się ganił za to, że dopuścił do swych myśli tę o zdradzie.

Dom Inny był zamknięty, w środku panowała głucha cisza. Zasiadł na progu, postanowiwszy czekać aż do skutku. Kiedyś musiała przecież wrócić. Ona albo Hessi.

„Powinienem się z nią ożenić” - powziął zamiar. „Jeszcze dziś jej to powiem. I może już od jutra będziemy mężem i żoną”.

Odgłos kroków wyrwał go z rozmyślań. Ktoś nadchodził, a sądząc z ciężkości chodu był to Hessi. Vurtok wstał. I stanął twarzą w twarz z Aspalem.

- A ty co tu robisz? - Strażnik uśmiechnął się ironicznie. - Innę chciałbyś odwiedzić?

- Nie twoja sprawa - warknął Vurtok.

- A moja i to jak najbardziej - Aspal podszedł bliżej. Górował nieco nad Vurtokiem. Spojrzał na niego hardo. - Za trzy dni ja i ona bierzemy ślub. Wkrótce będzie rodzić moje dzieci, więc trzymaj się z daleka.

Vurtok poczuł, że robi mu się słabo.

- Coś... Coś powiedział? - potrząsnął głową, nie chcąc przyjąć do świadomości słów Aspala.

- To, żebyś stąd zjeżdżał, łamago z Kontroli - Strażnik pokazał mu palcem kierunek.

- To nie może być prawda! - Vurtok podniósł głos. - Łżesz!

Aspal uśmiechnął się złośliwie i Vurtok już wiedział, że mówi prawdę. Z dzikim okrzykiem uderzył Aspala pięścią w twarz. Zaskoczony Strażnik zachwiał się, lecz nie upadł. Zablokował ręką kolejny cios Vurtoka i kopnął go z całej siły w prawe kolano. Vurtok poczuł potworny ból, nie dał rady ustać i runął. Nim upadł, Aspal zdzielił go kilka razy pięścią po głowie.

Świat przed oczyma Vurtoka zawirował i pociemniał. W ostatnim desperackim ataku rzucił się szczupakiem na Aspala, lecz ten odsunął się tylko i Vurtok runął na twarz. Nie miał już siły, aby się podnieść.

Po tej bójce przeleżał w łóżku przez tydzień, posiniaczony i poobijany.

Gdyby nie interwencja sąsiadów, kto wie, czy przeżyłby, gdyż Aspal z nienawiścią kopał jeszcze leżącego. Technik zdrowia zszył rozcięcia na głowie. W tym celu obciął włosy Vurtoka do skóry. Założył też kilka plastrów i zrobił parę zastrzyków pobitemu Kontrolerowi.

Inna nie odwiedziła go ani razu. Nie wiedział, czy zabronił jej tego ojciec, czy też może Aspal. A być może w jej oczach zbłąźnił się i nie chciała go już widywać?

Prawda wyszła na jaw piątego wieczora jego rekonwalescencji, kiedy odwiedził go Remmi.

- Inna ożeniła się z Aspalem w samo południe - poinformował młodszego kolegę. - Wiem, bo będą teraz mieszkać koło mnie. Aspal kupił dom tuż obok.

Vurtok przyjął informację w milczeniu. Zacisnął tylko mocniej zęby.

Rodzice nie byli zadowoleni z całego zajścia.

- Wstydu tylko sobie narobiłeś, Vurtoku - mówiła Jiliana. - Kto to widział, żeby Kontroler wdawał się w bójkę ze Strażnikiem. Wstyd!

- Chciałem mu dać nauczkę - mruknął tylko Vurtok.

- Źle zrobiłeś, synu - westchnął ciężko Fassi. - Czy ty zdajesz sobie sprawę, że gdyby miał przy sobie strzelbę, to mógł cię nawet zastrzelić?

- Podobno raz omal nie pobił swojego ojca - dodała Jiliana. - Co się z tym chłopcem stało?

- Źre talko - odpowiedział Vurtok. - Dlatego jest nienormalny.

- Ponoć to prawda... - mruknął Fassi. - Jak matka powiedziała, raz w kłótni omal nie pobił swego ojca. Wiem, bo sam Eren mi mówił. I podobno większość czasu łązi ze strzelbą, czekając na skrzydlaki.

Vurtoka nawet ucieszyły nocne zmiany.

Spędzał noc w Kontroli, nad ranem wracał do domu, kiedy wszyscy byli już w pracy. Tak więc nie spotykał niemal nikogo. Ani rodziców, ani sąsiadów. Dobrze mu było z samotnością.

Spędzał czas na bezmyślnym wpatrywaniu się w ekrany, na których rzadko drgnęła linia wykresu. Widok zielonej pulsującej kreski był teraz dla niego ukojeniem. Nie musiał wówczas rozpamiętywać ostatnich wydarzeń, choć czasem jednak mimowolnie cofał się do nich pamięcią. Wówczas zaczyna-

ła się w nim gotować wściekła furia, złość rodząca siłę, którą mógłby zniszczyć wszystko dookoła. Jednak nie mogła znaleźć ujścia.

Pewnego ranka zatrzymał się zdziwiony, widząc Innę przed budynkiem Kontroli. Chodziła tam i z powrotem, najwyraźniej na niego czekała. Zmieniła się nieco. Była blada, pod oczyma miała worki, zaś spojrzenie zalęknione.

- Vurtok! - uśmiechnęła się słabo na jego widok.

- Inna... - zatrzymał się kilka kroków od niej, nie wiedząc, jak powinien się zachować.

- Smutno żyje mi się bez ciebie - podeszła do niego. - Ojciec zmusił mnie do małżeństwa z Aspalem...

- Słyszałem - spojrzał w jej oczy. Wyczytał w nich wielki smutek i ból. - Nie mogłem nic zrobić...

- Cieszę się, że cię nie zabił - Inna rozejrzała się nerwowo na boki. - Ukryjmy się gdzieś, ktoś mu może powiedzieć, że rozmawialiśmy...

- A co mu do tego?

- Powiedział, że jeśli choć spróbuję się z tobą skontaktować, to dostanę. On jest taki brutalny, Vurtoku...

- Chodźmy do środka - Vurtok skinął głową.

Weszli do hallu, potem otworzył szybko drzwi do pokoju z łóżkiem. Gdy weszła, zamknął je i przekręcił klucz.

Chciał porozmawiać o tym wszystkim, co ostatnio zaszło, lecz Inna bez słowa rzuciła się mu na szyję. Padli razem na łóżko. Natura była od nich silniejsza; spędzili razem na grach miłosnych godzinę.

Gdy skończyli, leżeli w ciszy, wyczerpani i dziwnie szczęśliwi.

- Jeśli on się o tym dowie, zabije cię - szepnęła Inna.

Ścisnął jej dłoń.

The Best t.01

- To ja muszę go zabić. On stoi na drodze do naszego szczęścia.

- Nie dasz rady, kochany. On jest bardzo silny. I cały czas je talko. Jest nieobliczalny. Te owoce dają mu straszną siłę.

- Kiedyś dał mi kilka... Dawno temu. Miałem po tym jakieś głupie sny. Nic więcej.

- Słyszałam przy uprawach, że trzeba ich zjeść dużo. Wtedy siła rośnie. Ach! - zerwała się z łóżka. - Muszę biec do pracy. Technicy mogą mu powiedzieć, że się spóźniłam.

Zaczęła szybkimi ruchami wciągać roboczy kombinezon.

- Muszę go zabić - powtórzył Vurtok, siadając na brzegu łóżka. - Jakimkolwiek sposobem.

Ostrożnie otworzył drzwi i rozejrzał się. Korytarz był pusty. Szybko wyszli na zewnątrz. Rozstali się bez słowa pożegnania. Dopiero gdy Vurtok wsunął się w domu do swojego łóżka, przypomniał sobie, że nie umówili się.

Siedem dni musiało minąć, gdy ponownie zobaczył Innę. Stała w cieniu jednego z niskich drzewek rosnących wzdłuż uliczki prowadzącej do budynku Kontroli.

Nie trzeba było słów. Skinął tylko głową, a ona szybko przebiegła dzielący ich kawałek drogi. Znowu spędzili wspaniałą godzinę, a gdy leżeli już zaspokojeni, Inna zapytała:

- Wiesz już jak?

- Jak co? - nie zrozumiał Vurtok.

- Jak zabijesz Aspala. Siedem dni minęło, a on jeszcze żyje.

- Nie. Nie mam jeszcze sposobu - westchnął Vurtok. - To nie takie proste, jakby mogło się zdawać. Jeśli go zabiję, Strażnicy zaraz zaczną szukać sprawcy. Musiałbym to zrobić tak, aby nie zobaczył mnie nikt. Najlepiej nocą. Ale na razie

wszystkie noce spędzam tu. Powiedz mi, jak wygląda dzień Aspala.

Inna usiadła na łóżku i zaczęła splatać włosy w warkocz.

- Aspal cały czas gdzieś łązi z tą swoją strzelbą - zaczęła.

- W domu jest zawsze wieczorem, bo wie, że wtedy wracam. Bierze mnie, czy mam na to ochotę czy też nie mam, a potem je kolację. Po niej albo kładzie się do łóżka, albo wychodzi znowu. Spodobało mu się bycie bohaterem. Myśli, że to jego miasto i chce mieć cały czas na nie oko. Podobno pokłócił się z jakimś Strażnikiem sektora południowego i złamał mu szczękę w bójce. Boję się go, Vurtoku... Gdyby wiedział, co robimy, zabiłby bez wahania nas oboje.

- Że też żyjemy na tej przeklętej platformie! Gdybyśmy byli tam, na dole, ucieklibyśmy gdzieś daleko, gdzie nikt nie mógłby mnie znaleźć... A tak...

- Wyrzuć go za platformę - oczy Inny błysnęły. - Zwabię go na skraj, a ty go ogłuszysz i razem ciśniemy jego ciało.

Vurtok chwilę rozważał pomysł.

- Tak. To chyba jedyne wyjście.

Noce skończyły się i następny miesiąc Vurtok miał znowu dzienne zmiany. To oznaczało brak kontaktu z Inną. I choć serce się krajało, to wolał jednak nie odwiedzać jej w domu.

Pewnego dnia przysiadł się do niego Remmi.

- Musisz nauczyć się jeszcze jednej umiejętności, chłopcze - przyjacielsko poklepał go po plecach. - Od niej może zależeć los miasta.

- Cóż to za umiejętność?

- Konserwacji emiterów.

Vurtok parsknął śmiechem.

- Jak można konserwować coś, co znajduje się tak daleko stąd? Siłą woli?

- I to jest czas, aby zdradzić ci kolejny sekret. Tym razem bardzo poważny sekret, chłopcze... Chodź za mną.

Poszli na parter, do korytarza z tajemniczymi drzwiami.

- Możemy konserwować emitery bezpośrednio z Kontroli? - próbował zgadywać Vurtok. - A może potraficie spuszczać na dół nowe?

Remmi uśmiechnął się wyrozumiale. Masywne drzwi, które otwierał, zaopatrzone były w cztery solidne zamki.

- Zawsze robimy to w dwie osoby - powiedział. - No, pomóż mi pchnąć to cholerstwo.

Drzwi stawiały opór, jedna osoba nie byłaby w stanie ich otworzyć. Zasapali się, nim otwarli je do wewnątrz. Oczom Vurtoka ukazało się wielkie, kwadratowe pomieszczenie. Na środku znajdowało się coś podobnego do podtrzymującej sufit wielkiej kolumny. Pod jedną ze ścian stała ławka, koło niej kilka par dziwnych, ciężkich butów z cholewami.

- Z tej strony drzwi chodzą lekko - Remmi pchnął je bez wysiłku. Zamknęły się bezgłośnie. - Otwierają również - ujął za uchwyt i bez problemu przyciągnął do siebie. - Takie sprytne urządzenie z dawnych czasów.

Vurtok spróbował. Rzeczywiście, od wewnątrz drzwi nie stawiały żadnego oporu.

- Sztuczki naszych przodków - wyjaśnił Remmi, siadając na ławce i zzuwając buty. - Musimy się przebrać.

Vurtok posłusznie zmienił obuwie.

- To specjalne buty - odezwał się jego przewodnik. - Podeszwy wydzielają jakieś substancje, które zabijają zarazki. Albo też są jakimś urządzeniem. Mniejsza z tym. Nawet, jeśli nie jest to prawdą, to taka tradycja, że zakładamy je przed podróżą.

- Jaką podróżą?

Remmi nie odpowiedział. Podeszedł do kolumny i dotknął jej. Płyty rozsunęły się z cichym sykiem, ukazując kwadratowe, oświetlane lampką wewnątrz. Było tam wystarczająco dużo miejsca dla kilkunastu osób.

- Wchodzimy do środka - zakomenderował Remmi, przestępując próg. Vurtok wszedł za nim. Przypominało mu to wchodzenie do szafy.

Płyty zasunęły się. Coś drgnęło i Vurtok poczuł nagle dziwne sensacje w żołądku. Nie umknęło to uwadze Remmiego.

- Co, czujesz w brzuchu?

Vurtok skinął głową.

- Każdy tak ma - pocieszył go Remmi. - Ja za pierwszym razem mało się nie porzygałem. Kiedyś takie urządzenia nazywali „winda”. Podobno było ich na świecie pełno.

- Do czego to służy? Do konserwacji emiterów?

- Pośrednio - uśmiechnął się Remmi. - Za jej pomocą docieramy do nich.

- Jak to?

- Zjeżdżamy teraz wnętrzem słupa na poziom gruntu, chłopcze.

Vurtok poczuł na plecach zimny dotyk strachu. Remmi zaśmiał się mimowolnie.

- Aleś pobladł, niech mnie!

- To... to gdzie my jesteśmy?! - wykrztusił w końcu Vurtok.

- Gdzieś w połowie słupa - odparł beztrąsko Remmi. - Pokonywałem tę drogę tyle razy, że już mogę wyczuć bez sprawdzania. Zjeżdżamy w ciągu sekundy kilka metrów w dół.

- Rozbijemy się!

- Nie, skąd. Wyjaśnię ci, jak to działa... - zaczął Remmi.

Gdy skończył, winda dotarła do celu. Płyty rozsunęły się, ukazując bardzo długi korytarz oświetlony małymi prostokątnymi lampkami przymocowanymi do ścian i sufitu.

- I jeszcze mały spacer - Remmi pewnym krokiem wyszedł z windy i ruszył przed siebie.

Vurtok poszedł za nim, zastanawiając się, gdzie mogą być? Korytarz pachniał dziwnie, takiego zapachu jeszcze nigdy w życiu nie czuł. Droga zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Minęło dobrych kilka minut szybkiego marszu, nim gdzieś w oddali ukazał się jasny prostokąt wyjścia.

I po chwili Vurtok ujrzał wielkie, oszklone pomieszczenie. Co jednak zapało mu dech w piersiach, to krajobraz za wielkimi oknami. Jak okiem sięgnąć widać było jałową ziemię.

- Jesteśmy... - wyszeptał cicho, nie mogąc uwierzyć. - Jesteśmy... na dole...?

- Tak jest - Remmi klepnął go w ramię. - I mamy robotę. Chodź. Ale najpierw popatrz w górę.

Vurtok spojrzął i krzyknął.

Dach pomieszczenia również był oszklony. Ku górze, gdzieś hen poza zasięg wzroku biegł olbrzymi słup. Odrastały od niego pod kątem prostym filary.

- Tak, mój chłopcze - westchnął Remmi. - Tam, na górze, to nasz świat. Platforma na głównym słupie. Gdyby jeden z ośmiu filarów puścił, pewnie przechyliłby się na bok i... bum! Koniec świata. Dla nas.

- Sądziłem... - Vurtok potrząsnął głową. - Sądziłem, że ten słup ma jakiś solidny fundament... Jakąś podstawę...

- Bo i ma. Tylko pod ziemią. Jeszcze z kilkadziesiąt metrów. A te szyby, które tu widzisz, są twardsze od najtwardszej stali. Nic nie da im rady. No, czas na małą przechadzkę.

Okazało się, że pomieszczenie znajduje się kilka metrów nad poziomem gruntu.

Fundament słupa wystawał kilka metrów ponad glebę; wyglądał jak trzy wielkie okręgi, ułożone ku górze od największego do najmniejszego. Na najmniejszym znajdowało się przeszklone pomieszczenie, do którego prowadził korytarz z windy. Jak można było zobaczyć z oddali, cały znikał we wnętrzu gigantycznego słupa.

Remmi wyprowadził Vurtoka w szczerze pole, dobre kilkaset metrów dalej. Przystanął przy metalowej klapie w gruncie. Podniósł ją z nieznacznym wysiłkiem, cicho przy tym stękając. Oczom mężczyzny ukazała się metalowa drabinka, prowadząca wprost w ciemność.

- Ja przodem - Remmi wyjął z kieszonki latarkę, włączył ją, wsadził sobie między zęby i zaczął schodzić zwinnie w dół.

Po chwili stali w małym tunelu, prowadzącym do jakiegoś skomplikowanego mechanizmu, z którego wyłaniały się grube, czarne kable, znikające w betonowej podłodze. Przypominało to schowanego do połowy w ścianie pająka. Na płytkach połyskiwały jakieś skomplikowane ornamenty.

- To jest właśnie emiter, chłopcze - Remmi poklepał dłonią mechanizm. - Gdyby teraz ktoś na górze go włączył, byłoby po nas. Silny dźwięk spowodowałby, że mózgi wyprysłyby nam uszami. Oczywiście, jeśli pojawiłby się wij, to my dwaj jesteśmy żadną stratą w porównaniu z resztą miasta.

Vurtok wyobraził sobie ściekający po ścianach mózg i poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Spójrz na to - Remmi poświecił latarką na kable. - Musisz sprawdzić, czy wszystkie są w porządku i żaden nie jest przerwany. No i jak?

Vurtokowi czynność ta zajęła kilka minut.

- Żaden nie jest uszkodzony - zaraportował.
- I bardzo dobrze. Idziemy do następnego.

Gdy opuścili tunel, jasność dnia oślepiła ich na moment. Vurtok przystanął, pozwalając chwilę grzać słońcu swoją twarz. Kiedy otworzył ponownie oczy, zobaczył że Remmi oddalił się znacznie. Musiał iść z zamkniętymi oczyma. Zatrzymał się i machnął na Vurtoka, aby szedł za nim.

Sprawdzili jeszcze trzy emitery. Zajęło im to dwie godziny. Vurtok spociał się; gleba oddawała ciepło i było tu znacznie goręcej niż na górze. Zaszło mu w ustach, oddałby wszystko za łyk zimnej wody. Toteż z ulgą przyjął słowa Remmiego:

- Wracamy. Koniec na dziś. Następnym razem zejdziemy tu za trzy miesiące.

Gdy szli tunelem do windy, Remmi pouczył go:

- Zawsze chodzimy dwójkami. Gdyby jeden zasłabł albo coś innego, wtedy drugi zawsze może mu pomóc. Pamiętaj o tym i nie strugaj bohatera, schodząc samemu.

Vurtok skinął posłusznie głową. Gdy już jechali do góry, zapytał:

- Remmi, a co będzie, jeśli któryś z emiterów okaże się zepsuty?

Mężczyzna nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Wbił wzrok w ścianę, jakby nie usłyszał pytania.

- Remmi?
- Tak nie może się stać. Nawet nie myśl, żeby mogło.

Vurtok siedział na dziennej zmianie i rozmyślał o świetle tam, na dole. Jałowa, pozbawiona życia pustynia. A pod glebą ukryte emitery. Kable, które widział, dostarczały im energii, utrzymując w gotowości do działania. Lecz jak sprawdzić, czy działa coś, co nie było używane co najmniej od stu lat?

Zaczął nabierać podejrzeń, że żyją celowo wyizolowani. Że ktoś zamknął ich na wielkiej platformie i nakładł do głów bzdur o wielkich wijach. Skrzydlaki? A cóż to za dowód? Tylko czy jałową ziemię dałoby się jeszcze odzyskać? Vurtok dochodził coraz częściej do wniosku, że byłoby to możliwe. Technicy i robotnicy potrafili nawilżać glebę. Mogliby przecież zabrać nawet w wiadrach ziemię stąd i spróbować zaszczepić ją tam, na dole.

Myśl o powrocie ludzi na dół pochłonęła go całkowicie. Rozmyślał niemal bez przerwy o plusach i minusach, nie dzieląc się jednak z nikim swymi przemyśleniami. Wiedział, że wzięto by go za szaleńca. Lecz wierzył, że jednak mu się powiedzie. Oczyma wyobraźni już widział się jako przyszłego bohatera, który znowu sprowadził ludzkość na ziemię.

Sam nawet nie zauważył, jak idea ta zajęła w jego myślach miejsce Inny. Kilka razy złapał się na myśli, że coś powinien zrobić z Aspalem, jakoś zemścić się na nim, lecz po chwili bezmyślności wzrusza! tylko ramionami i wracał do rojeń o życiu na dole. Remmi patrzył na niego z wyrozumiałością:

- Sam tak kiedyś miałem. Potem dół ci spowszednieje. Uwierz mi, to ziemia bez przyszłości. Żadna roślina się tam nie uchowa. Poza tym - skąd wziąć wodę?

Vurtok na te pytania nie umiał odpowiedzieć, choć podejrzewał, że byłby jakiś sposób. Wiedział, że Remmi jest zbyt wygodnicki, aby próbować zdziałać coś samemu. Dobrze mu było tu na górze i nie chciał zaryzykować, aby wrócić tam, skąd pochodzili jego przodkowie.

„Inna mnie zrozumie” - doszedł w końcu do wniosku.

Nie widział jej od miesiąca, kiedy to miał dzienne zmiany. Czekał tylko na nocne, aby ponownie się z nią spotykać. Na

samą myśl, że być może nawet teraz, w tym momencie dotyka jej Aspal, robiło mu się niedobrze.

W końcu doczekał się nocnych zmian; pierwszą przesiedział jak na szpilkach, czekając bladego świtu. Inna jednak nie przyszła. Nic dziwnego, nie zawsze mogła. Może Aspal odprowadził ją do pracy? Vurtok wiedział, że musi być cierpliwy. Inna pojawi się prędzej czy później. Sam nie chciał ryzykować spotkania z jej mężem, swoim dawnym przyjacielem.

Doczekał się po czwartej nocy. Stała niedaleko wejścia, rozglądając się nerwowo na boki. Gdy machnął jej ręką z wejścia do Kontroli, przybiegła szybko.

- Boję się - zaczęła na powitania - że on mnie śledzi.

- Dlaczego? - spytał Vurtok, otwierając drzwi do małej sypialni. - Nabrał jakichś podejrzeń?

- Popadł w paranoję. Cały czas mnie śledzi, wypytuje, z kim i gdzie pracowałam... Zrobił się taki zazdrosny... Potrząsnęła głową. - Nienawidzę go, Vurtoku... Z całego serca nienawidzę!

Vurtok objął ją.

- Niedługo ten problem zniknie, moja miła - szepnął jej wprost w ucho. - Mam ci wiele do opowiedzenia. Możemy uciec razem i żyć gdzieś indziej...

- O czym mówisz? - spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Vurtok zaczął jej opowiadać o sekrecie Kontroli, o tym, jak można dostać się na sam dół, na prawdziwą ziemię. O tym, co widział i co czuł, będąc tam.

- Możemy uciec, kochana - szeptał do Inny. - Nie wierzę już w to, że wije istnieją. Ktoś celowo umieścił tutaj nas wszystkich, lecz czemu - tego nie wiem. Może nigdy się nie dowiem. Wije nie istnieją, a my razem możemy zejść na dół i

spróbować wskrzesić stary świat, w którym niegdyś żyli nasi przodkowie.

- Ale jak? - zapytała.

Vurtok już otwierał usta do odpowiedzi, gdy nagle coś załomotało w drzwi. Nie były to drzwi sypialni, lecz sąsiednie, prowadzące do windy.

- Co się...? - Inna spojrzała na Vurtoka z przerażeniem.

- Otwierać! - rozległ się ochryply wrzask Aspala. - Wiem, że tam jesteście!

Siedzieli sparaliżować, strachem. Aspal dobijał się do sąsiednich drzwi i wiedział, że Vurtok i Inna są razem. I był wściekły.

Vurtok poczuł dziwny skurcz w żołądku, czoło oblał mu zimny pot. Inna zaczęła drżeć jak w febrze.

- Nic nie mów - szepnął do niej, przytulając mocniej. - Nie wie, gdzie jesteśmy. Pokrzyczy i pójdzie... Kiedyś musi pójść...

Pięści Aspala załomotały w drzwi sypialni.

- Otwierać! Wiem, że tam jesteście!

- Niech stuka - Vurtok uśmiechnął się ironicznie. - Zamek w drzwiach dobry, nie ma szans, aby go sforso...

Nie skończył mówić, gdy rozległ się huk. Coś błysnęło, na moment eksplozja oślepiła Vurtoka i Innę. Gdy otworzyli oczy, ujrzeli że Aspal strzelił w zamek z drugiej strony. Stał teraz w otwartych drzwiach, z morderczą nienawiścią w oczach patrząc na tulącą się do siebie w przerażeniu parę. W dłoniach trzymał dymiącą strzelbę.

- Ty dziwko... - szepnął, patrząc na swą żonę. - Zawsze wiedziałem, że się puszczasz...

- Inna cię nie chce! - krzyknął Vurtok, wstając. Poczuł w sobie naraz przyływ desperackiej odwagi.

- Stul pysk, chudzino - Aspal wykierował strzelbę w jego stronę. - Nic mnie nie obchodzi, kogo chce moja żona. A jeśli miałeś na myśli siebie, to już nie będę miał rywali...

Vurtok rzucił się błyskawicznie do przodu, aby podbić strzelbę, lecz w rozgorączkowaniu potknął się i przewrócił dość niespodziewanie. Aspal zdołał strzelić; pocisk energetyczny przeleciał tuż koło policzka Vurtoka i wybił dziurę w ścianie. Vurtok poczuł ciepły podmuch, a upadając uderzył Aspala głową prosto w krocze.

Zaskoczony Strażnik wrzasnął z bólu, zgiął się w pół, mimowolnie puścił broń i odruchowo złapał się za genitalia. Vurtok zerwał się szybko i uderzył go kolaniem w czoło. Aspal odbił się od zniszczonych drzwi i z morderczym rykiem skoczył na niego, starając się rękoma chwycić za gardło.

- Uciekaj! - krzyknął Vurtok do Inny, unikając chwytu i łapiąc zapaśniczo Strażnika.

Runęli na podłogę, Vurtok kątem oka zobaczył, że kobieta przeskakuje nad nimi i wybiega na korytarz. Zobaczył to także Aspal.

- Inna! - krzyknął, lecz wówczas Vurtok trafił go ciosem w szczękę. Strażnik prychnął, wyswobodził się łatwo z uścisku, kopnął go w bok i pobiegł za uciekającą. Vurtok z trudem złapał oddech, lecz udało mu się wstać i pobiec za nimi.

Aspal był już w drzwiach wyjściowych. Vurtok zacisnął zęby i użył wszystkich sił, aby go dogonić. Zignorował piekący ból w boku, nie był on ważny teraz, gdy Aspal gonił Innę, aby ukarać ją za zdradę.

Widział plecy Aspala; do kobiety brakowało mu dobrych kilkunastu metrów, lecz ten dystans zmniejszał się.

Przebiegli przez Strefę Kontroli. Ślepy strach pogał Innę w kierunku upraw, tam, gdzie nieraz spędzała z Vurtokiem

długie, upojne wieczory. Wbiegła pomiędzy zagony akkaków. Pracujący tam robotnicy przystawali zdumieni, widząc pędzącą kobietę, ścigającego ją Strażnika i mężczyznę z Kontroli, który z kolei ścigał jego.

A Inna pędziła przed siebie jak wichur, ścigana nie tylko przez Aspala, lecz także przez własne przerażenie. Nieraz mąż potrafił uderzyć ją tylko za to, że nie spodobała mu się jej mina, a gdy zaczął podejrzewać, iż spotyka się z Vurtokiem, stał się groźny jak tykająca bomba. Wystarczyło tylko jedno nieszczęśliwe zdarzenie, aby wybuchł. I to się już stało. A Inna panicznie bała się bólu.

Przebiegła przez uprawy akkaków, potem spongów i taloko. Tu kończyło się miasto. To w to miejsce przyprowadził ich niegdyś Derwin, aby pokazać prawdziwy świat.

Zatrzymała się, serce jej waliło.

- Inna! - ujrzała pędzącego ku niej Aspala. Twarz męża wykrzywiła czysta nienawiść. - Wracaj natychmiast! Odpowiesz za zdradę! Już ja cię nauczę!

Inna wbiegła na schody prowadzące na szczyt. Pokonała je błyskawicznie. To był koniec, dalej nie miała dokąd uciec. Aspal złapie ją i...

Naraz szalony zamysł błysnął w jej głowie. Ostateczne rozwiązanie wszystkich problemów.

Obróciła się w jego stronę. Biegł już po schodach. Uśmiechnęła się mściwie.

- Nigdy nie byłam twoja! - krzyknęła.

I jednym susem przeskoczyła barierkę.

- Inna... - wyszeptał Aspal, stając w osłupieniu. Na swój sposób kochał ją. Lecz była to miłość myśliwego do najcenniejszego trofeum. Trofeum, które należało się tylko jemu i nikomu więcej. Teraz ujrzał jak w zwolnionym tempie, że

dziewczyna puszcza poręcz barierki, odbijając się jeszcze nogami, jakby symbolicznie oddalała się od niego i miasta na platformie, gdzieś wysoko, wysoko ponad ziemią.

Vurtok wyczuł, że coś jest nie tak. Minął w biegu Aspała i zrozumiał. Dopadł do barierki, przerażenie i rozpacz ścisnęły mu gardło niczym żelazne szczypce.

Widział jej sylwetkę, spadała z rozłożonymi rękoma, już wolna od problemów świata, szykująca się na spotkanie z glebą, tak odległą, lecz przybliżającą w szybkim tempie z każdą sekundą.

Vurtok siedział sztywno na stopniach wiodących na szczyt platformy.

Technik zdrowia powiedział, że jest w szoku i potrwa to jeszcze jakiś czas. Aspał stał nieopodal, wpatrzony gdzieś w pustkę. Dla nich świat bez Inny już nie był tym samym co wcześniej. Zabrakło w nim najważniejszego elementu.

Vurtok nie wiedział, jak i kiedy dotarł do domu. Ktoś go chyba zaprowadził, być może twarz Remmiego nie była tylko złudzeniem zrozpaczonego umysłu.

Zapadł w sen, z którego obudził się dopiero po dwóch dniach. Śniła mu się wielka, ciemna pustka, a gdy otworzył oczy, widział już, że jego życie będzie odtąd jak ten sen - puste i ciemne. Wiedział, że wraz z Inną zginął także Vurtok, pracownik Kontroli.

Zapomniał o swoich planach, nie wiedział ani nie miał żadnego pomysłu, jak dalej żyć. Chciał uciec z Inną i odrodzić ludzkość na dole. Teraz zaś nie było jej i wszystko stało się nagle bezsensownym bajdurzeniem.

Tkwiał jak w letargu przez miesiąc. Leżał w łóżku, karmiła go matka po powrocie z pracy. Nie wyrzekł przez ten czas ani

jednego słowa. Aż pewnego wieczora rodzice nie wrócili na noc do domu. To wyciągnęło go z letargu.

Wstał na osłabionych nogach, ubrał się pośpiesznie i ruszył w stronę upraw. Ledwie uszedł kilkadziesiąt metrów, gdy natknął się na Etminna, mężczyznę, który często pracował z ojcem.

- Vurtok. - Etminn stanął i spojrzał na niego ze smutkiem. - Twój rodzice... Mieli wypadek. Zawaliło się rusztowanie, na którym robotnicy zrywali owoce i... Oni spadli. Z nimi jeszcze parę osób. Wszyscy nie żyją.

- Nie żyją - powtórzył jak echo Vurtok. - Nie żyją...

A potem padł na kolana, skrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Drugi szok, szok po śmierci rodziców, doprowadził go do równowagi. Wszak dwa minusy dają plus...

Poszedł do Kontroli zaraz po pogrzebie. Zwłoki spłonęły w wielkim ogniu, dzieci innych ofiar płakały rzewnie. Nie mógł tego znieść. Brakowało mu spokoju, patrzenia w tę przyjemną, miłą, zieloną kreskę.

- Witaj, chłopcze! - Remmi ucieszył się szczerze na jego widok. Podszedł do Vurtoka i uścisnął go. - Bardzo nam cię tutaj brakowało.

Inni Kontrolerzy podchodzili kolejno i obejmowali Vurtoka, aby poczuł, że otaczają go przyjaciele. Uśmiechnął się słabo, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

- Dziękuję za wszystko - zasiadł na swoim stanowisku. - Znow jestem w akcji.

Pod koniec dnia Remmi podszedł do niego.

- Zaczekaj na mnie po pracy - szepnął. - Mam coś dla ciebie.

Vurtok skinął głową, nie odrywając wzroku od ekranu. Nie miał pojęcia, co też za prezent może mieć dla niego Remmi, lecz nigdzie mu się nie śpieszyło, więc mógł zaczekać.

Gdy przyszła nocna zmiana, marudził dłużej niż zwykle, aż w końcu wyszedł jako ostatni. Przechodząc korytarzem, spojrzął na drzwi pokoju sypialnego. Wciąż widniała w nich dziura po zamku.

Remmi czekał na niego w miejscu, gdzie zwykle stała Inna. Coś zakłuło Vurtoka nieprzyjemnie w sercu. Starszy Kontroler dał mu ręką znak, aby zatrzymał się i sam przyszedł do niego.

- Chodź - poprowadził Vurtoka do pomieszczenia sypialnego. - Kiedy pobiegłeś za Aspalem i Inną, zapomnieliście czegoś zabrać.

Przykucnął i wyjął spod łóżka strzelbę Aspala.

- Schowałem to dla ciebie - rzekł, podając broń Vurtokowi. - Teraz możesz się zemścić na tym gnojku, chłopcze.

Vurtok trzymał w dłoniach metalicznie chłodną broń. Gdyby wtedy miał ją w rękach... Jedno naciśnięcie spustu i problem Aspala znikłby na zawsze, a Inna byłaby jego.

- Dziękuję, Remmi - powiedział, patrząc na stan energii. Wystarczyłoby na kilka strzałów z pełną mocą. - Przyda mi się to... może.

- Zrobisz, co będziesz uważał, chłopcze - Remmi klepnął go po plecach. - Pamiętaj, że na moją pomoc możesz zawsze liczyć.

Vurtok czekał do nadejścia nocy, nim wyruszył do domu. Gdyby paradował ze strzelbą na oczach wszystkich wokół, zaraz sprowadziłoby to na jego głowę Strażników. W domu długo siedział w ciemności, gładząc pieczołowicie podłużny kształt.

„Zemsta... Jakie to wspaniałe słowo” - uśmiechnął się sam do siebie.

Wyszedł z domu tuż po północy.

Wiedział, gdzie mieszka Aspal, gdyż odwiedził raz Remiego. Inna i Strażnik byli jego sąsiadami. Noc była ciepła, niebo pełne gwiazd. Vurtok czuł, że tej nocy rozstrzygnie się na zawsze jego los. Albo on albo Aspal.

Niedaleko domu Strażnika zwolnił tempo. Chciał go zaskoczyć. Jednak gdy wyjrzał ostrożnie zza węgła pobliskiego budynku, okazało się, że Aspal siedzi nieruchomo jak posąg przed swoim domem.

Czekał na niego.

Nie było sensu się ukrywać; Vurtok wyszedł odważnie, aktywizując broń. Aspal ani drgnął, nadal siedział zapatrzony w migoczące gwiazdy. Nie zwracał uwagi na przybliżającego się Vurtoka, który stanął metr przed nim i wycelował broń prosto w jego głowę.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - odezwał się, nadal patrząc w niebo.

- Zabiję cię, Aspal - odezwał się Vurtok. - Zasłużyłeś na to.

- Wiem - Aspal zdawał się nie zwracać uwagi na wycelowaną tuż przed jego czołem lufę. - Dlatego też nie wróciłem po strzelbę.

- Wie... wiedziałeś o tym...? - Vurtok spojrzał na niego zdumiony. - Łżesz!

Aspal pokręcił głową i po raz pierwszy spojrzał na Vurtoka.

- Nie. Ja już po prostu nie mam po co żyć. Nie uwierzysz pewnie, ale kochałem Innę. Może nie byłem dla niej ideałem, ale i tak była dla mnie najważniejsza. Ponad wszystko. I dlatego

go nie mogłem znieść, że widuje się z tobą, a potem, gdy już była moja, byłem o ciebie po prostu zazdrosny. Ale gdy odkryłem, że puszcza się z tobą, chciałem cię zabić. Ona uratowała ci życie... Takiego obrotu sprawy nie spodziewałem się ani trochę. A teraz wszystko mi jedno. Teraz już nic nie ma sensu...

- I biłeś ją z miłości? - Vurtok wykrzywił się pogardliwie.
- I brałeś ją za każdym razem, czy tego chciała, czy nie chciała, też z miłości? Nie masz bladego pojęcia o czym mówisz, Aspalu. Nie wiesz, czym jest miłość. Próbujesz zyskać na czasie.

Aspal milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Mylisz się. Siedzę tu od dnia jej śmierci i czekam na ciebie. Niech wszystkie zaczęte sprawy będą zakończone. Niech szlag trafi wszystko.

- Gdybyś naprawdę chciał się zabić, skoczyłbyś za nią. Czyżby wielkiemu bohaterowi zabrakło odwagi? - Vurtok prychnął z przekąsem.

- Z początku myślałem, żeby dostać się jakoś na dół. Za nią. Ale nie skoczyć, o nie.

- Więc po co?

- Żeby spojrzeć na nią po raz ostatni - Aspal zamknął oczy. Po policzkach popłynęły mu łzy. - Ona była najpiękniejszą istotą na całym tym cholernym świecie. Zbyt późno zdałem sobie sprawę, jak bardzo była dla mnie ważna. Zbyt późno...

Vurtok opuścił broń. Nie tak wyobrażał sobie ten moment. Miał z okrutnym uśmiechem wycelować prosto w twarz Aspala i pociągnąć za spust. Przedtem chciał mu dać odczuć powagę sytuacji, aby wiedział, że to koniec. Aby Aspal za wszelką cenę pragnął przeżyć. Aby czuł skręcający trzewia strach... Lecz teraz...

Bez słowa obrócił się na pięcie i odszedł do swojego domu.

Trzy dni później obudził się przed świtem.

Nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego otworzył oczy tak wcześnie, jednak czuł, że przebudziło go jakieś dziwne przecucie. Czego by jednak miało dotyczyć?

Próbował zasnąć, ale po kilkunastu minutach kręcenia się z boku na bok poddał się. Wstał, szybko zjadł śniadanie i ruszył do pracy. Po drodze natknął się na mężczyznę, który stał z głową wysoko zadartą do góry, obserwując coś na niebie. Vurtok podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i znieruchomiał.

Daleko, daleko, hen nad horyzontem unosił się na dniewjącym niebie jasny kształt. Kształt, który po raz ostatni Vurtok widział jako chłopiec. Chmura.

Patrzył długo, urzeczony niezwykłym zjawiskiem. Promienie wstającego słońca wspaniale zabarwiły chmurę na różowo. Vurtok nie miał pojęcia, jakie są normalne kształty chmur, lecz ta - choć daleko - zdawała się być ogromna.

Uśmiechnął się szeroko. Ruszył biegiem do budynku Kontroli.

- Chmura! - Zaczął krzyczeć już od progu. - Na niebie jest chmura!

Siedzący przed monitorami Kontrolerzy poderwali się jak oparzeni.

Za chwilę wszyscy stali przed budynkiem Kontroli i patrzyli w niebo.

- Ależ piękna... - stwierdził jeden.

Stali w milczeniu, a podobne im grupki zebrały się w całym mieście. Ludzie podziwiali tak rzadkie w ich czasach zjawisko. Wszyscy wiedzieli, że widzą coś, co kiedyś było codziennością, lecz teraz jest prawdziwym cudem.

- Wiatr wieje w naszą stronę - zauważył po długiej chwili jeden z kontrolerów. - Powinien przypędzić ją ku nam.

- Kiedy? - zapytał Vurtok. Perspektywa ujrzenia chmury z bliska wydawała się nagrodą. Za co? Za to, że nie zabił Aspala, choć mógł to zrobić bez problemów.

- Nie pójdę spać - jeden z Kontrolerów z nocnej zmiany pokręcił głową. Pójdę na szczyt platformy i będę patrzył na chmurę cały dzień.

- Ja też - odezwał się inny.

- I ja - zadeklarował kolejny.

- Masz pecha, młody - starszy Kontroler poklepał Vurtoka po ramieniu. Przesiedzisz cały dzień przy monitorze. Oby nie zmienił się w tym czasie wiatr i chmura nie odpłynęła.

Po paru minutach zaczęli pojawiać się Kontrolerzy ze zmiany Vurtoka. Między nimi zaaferowany czymś Remmi.

- Słyszałeś, co się stało? - zapytał.

- Przecież widzę - roześmiał się Vurtok. - To prawdziwy cud!

- Nie o tym mówię! - Remmi machnął ręką. - Mam wiadomość, która ci się pewnie spodoba.

Vurtok spojrzał na niego pytająco.

- Godzinę temu Aspal popełnił samobójstwo.

- Jak... jak to?

- Przyszedł po niego jeden ze Strażników, chyba jego kumpel. Aspal siedział przed swoim domem. Akurat wychodziłem od siebie... Poprosił tego gościa o strzelbę. Rozmawiali o czymś, po czym Aspal nagle przystawił sobie strzelbę do gardła i... - Remmi zamknął oczy. - Widziałem to... Jego głowa rozprysła się jak bańka. Ten kumpel był cały czerwony od jego krwi i mózgu.

Vurtok słuchał słów Remmiego jak opowieści. Nie mógł uwierzyć, że to prawda, że Aspala już nie ma, że poszedł za Inną, aby być bliżej niej tam, po drugiej stronie rzeczywistości.

„Chciał zobaczyć ją po raz ostatni... Nie mógł tak, więc zdecydował się inaczej...”.

- Co, nie cieszysz się? - zdumiał się Remmi. - Twój największy wróg nie żyje.

- I moja największa miłość też - szepnął martwo Vurtok. - Nie ma już tych,

z którymi dorastałem. A świat jest inny, niż mnie zawsze uczono.

Ten dzień był inny niż wszystkie. Kontrolerzy co chwila opuszczali swoje stanowiska, aby wyjść na moment na zewnątrz i spojrzeć na chmurę. Chodził i Vurtok. W kształcie rozpoznawał twarz Inny, czasem białoszare kłęby układały się w rysy twarzy Aspala.

W końcu machnął ręką na monitory.

- Ludzie! - krzyknął do Kontrolerów. - Po co te bzdury? I tak wykresy ani drgną, jak co dzień. A chmura zdarza się raz na wiele lat. Zostawmy to w cholerę i chodźmy popatrzeć!

Kontrolerzy popatrzyli po sobie, a potem z aplauzem zerwali się ze stanowisk. Nawet Remmi uśmiechnął się szeroko.

- Wystawiamy fotele na zewnątrz! - krzyknął.

Przesiedzieli parę godzin, bawiąc się w opowiadanie sobie, co widzą w zbliżającej się chmurze. Lekki zefirek leniwie pchał chmurę nad platformę.

- Będzie nad miastem wieczorem - zawyrokował Remmi. - Wiatr raczej się nie zmieni.

Kontrolerzy przyjęli tą prognozę z niekłamana radością.

- Co planujesz zrobić? - zwrócił się Remmi do Vurtoka.

Ten wzruszył tylko ramionami.

- Czas, żebyś sobie ułożył życie na nowo - ciągnął Remmi. - Znalazł jakąś kobietę, kupił dom...

- Pomyślę o tym - obiecał Vurtok. - Na razie za wcześnie. Muszę ochłonać po tym wszystkim.

Wstał.

- Idę popatrzeć z innego punktu - wyjaśnił kolegom. - Tam, na szczycie platformy - wskazał dłonią.

- Idziemy z tobą! - zdecydował jeden, a reszta nie sprzeciwiła się i po chwili cała obsługa Kontroli przemierzała drogę do upraw.

Nieświadomie poszli tą samą trasą, którą uciekała przed Aspalem Inna. Wiedział o tym tylko Vurtok. Coś nieprzyjemnie zakłuło go w sercu, lecz wiedział, że Remmi ma rację. Powinien ułożyć sobie życie od nowa. Choć,, prawdę mówiąc, wcale a wcale nie miał na to ochoty. Na razie.

Pewien etap skończył się i oto stał u progu nowego.

Spędzili całe popołudnie przy barierkach, patrząc na imponująco wielką, zbliżającą się z minuty na minutę chmurę. Wszyscy mieszkańcy byli na ulicach; wielu czekało na szczycie platformy, tam, gdzie i oni.

Gdy zaczęło zmierzchać, wiatr przyniósł chłód bijący od wielkiej chmury.

- Będzie padać! Będzie deszcz! - rozległy się radosne okrzyki.

Niebo zaczynało ciemnieć, słońce malało, niewidoczne przez chmurę. Ciemność zaczynała ogarniać świat. Gdyby któryś z Kontrolerów siedział teraz na swym posterunku, ujrzałby na ekranie, że w jednym z północno-wschodnich sektorów nastąpiło drgnięcie z siłą 58 punktów. Po kilku minutach przesunęło się do sektora bliższego platformie i osiągnęło siłą 59 punktów.

Gdyby któryś z Kontrolerów siedział na stanowisku, ujrzałby jak zielona, kojąca zwykle nerwy Vurtoka kreska skacze jak szalona, wypełniając sobą cały ekran.

Jednak wszyscy czekali na deszcz. Nikt nie siedział w domu, nikt nie spał. Kontrolerzy z nocnej zmiany także.

Nawet chorzy wyszli z pomocą rodzin na zewnątrz. Tuż zanim spadły pierwsze krople deszczu, na wszystkich ekranach kontroli zapalił się sygnał alarmu. Oznaczało to, że wij jest przy samej platformie. Siła drgania przekroczyła przewidzianą skalę; osobnik musiał być ogromny.

Vurtok poczuł pierwsze krople deszczu na swej twarzy, a wraz z nimi coś jak tąpnięcie. Położył to na karb wspaniałego zjawiska i podnieconego tłumu na platformie.

Lecz gdy poczuł drugi wstrząs, otworzył oczy i spojrzał poza nią, w dół. Było już ciemno, lecz blask zachodzącego słońca pozwalał jeszcze ujrzeć ziemię. Pojawiły się na niej liczne pęknięcia. Vurtok patrzył zafascynowany jak rosną, a potem grunt osuwa się na podobieństwo powstającego wąwozu.

Nikt inny chyba tego nie dostrzegął ani nie poczuł; większość ludzi stała z otwartymi ustami i głowami przechylonymi w tył, aby zasmakować wody z nieba. Vurtok nie krzyknął, gdyż domyślił się, co się pojawiło tuż przy mieście. I wiedział, że już za późno, że nie dobiegnie do Kontroli i nie uruchomi emitera...

Zresztą czy teraz, gdy wij wydobywał się na powierzchnię, ukryty pod nią emiter zdołałby go odstraszyć?

Deszcz przybrał na sile; Vurtok ujrzał potężny ciemny kształt, unoszący się z wąwozu. Wij był prawdziwym gigantem, miał dobry kilometr szerokości, zaś jego dokładna długość pozostać miała na zawsze zagadką. Vurtok wi-

dział gorejący czerwienią łeb stwora; łeb większy od wszystkich budynków Kontroli razem wziętych; widział potężne skośne ślepią, błyszczące złowrogo żółtym blaskiem; widział paszczę wielkości dużego budynku, a w niej rząd podobnych skałom kłów.

Wij uniósł się niczym nieznany Vurtokowi wąż i chwiał chwilę w lewo i prawo. Niektórzy ludzie na szczycie platformy zobaczyli go, wybuchły okrzyki trwogi i zaczęła się panika. Wij nic sobie z tego nie robił. Nie zdołał ranić go strzał jednego ze Strażników; stwór nawet go nie odczuł. Unosił się wyżej i wyżej, stając w pozycji pionowej. Był wielką, ucieleśnioną siłą i potęgą jałowej ziemi, w której trzewiach dojrzewał. Jego łeb wznosił się ku Vurtokowi, który jak zahipnotyzowany patrzył w żółte ślepią bestii.

Lecz wij nie sięgnął platformy; był na to za krótki. Opadł w dół, zginając się jak sprężyna, aby wyprostować się nagle i kierowany instynktem, w samobójczym bezrozumnym pędzie wystrzelić do przodu, uderzając łbem w filar platformy.

Uderzenie było potężne, wij zginął od razu, lecz jego misja powiodła się - słup został złamany w połowie wysokości i pchnięty impetem padającego cielska. Górna część słupa zachwiała się, przekrzywiła, na moment zatrzymała, jakby wahając, a potem ześlizgnęła w dół, ku zagładzie tysięcy metrów poniżej.

Lecz Vurtok nie dbał o to. Nie zwracał uwagi na krzyki i panikę, był obojętny na potracających go w panicznej ucieczce ludzi - już nie było gdzie się skryć.

Staął z rozłożonymi rękoma, głową odrzuconą w tył i otwartymi ustami, wiedząc, że już zaraz spotka Innę, lecz nim to nastąpi, pozna wreszcie ten wspaniały smak, o którym opowiadał mu niegdyś ojciec.

Piotr Patykiewicz

IN ODORE SANCTITATIS

Pierwszy samodzielny wywiad. Już nie obdzwanianie bucowatych rzeczników prasowych policji i straży pożarnej, nie zbieranie materiałów dla lepszych od siebie, którzy podpisują teksty pełnym imieniem i nazwiskiem. Nie kilkuwersowa notka, wciśnięta gdzieś w róg plotkarskiej rubryki. Poważna dziennikarska robota, nareszcie! Rozmawiała: D. Wilk. Nie! Dorota Wilk. Jeszcze lepiej: Dorota M. Wilk.

I to z kim? Naczelny zdębiał, kiedy mu powiedziała. Wcisnął zgięty paluch między węzeł krawata i tłuste podgardle, odchylił się na oparcie fotela i przez chwilę dumał, patrząc w sufit.

- Nic z tego nie będzie, dziecko - cmoknął wreszcie, jakby coś weszło mu między zęby. - On nie cierpi dziennikarzy. Wierz mi, nie takie asiory próbowały, cała pierwsza liga.

Nienawidziła go za to „dziecko”, za sposób, w jaki się do niej uśmiechał. Nienawidziła go nawet za to cmokanie - ciekawe, czy w łóżku przy żonie robi tak samo?

Ale dziś nienawidziła tego wszystkiego odrobinę mniej niż zwykle.

- Dzwoniłam - założyła nogę na nogę, skromnie złożyła dłonie na kolanie.

- Zgodził się.

Naczelny sapnął, sięgnął po szklanekę z zimną herbatą, wypił duszkiem.

- Zgodził się? Tak po prostu? Domyślnie zmrużył oczy, mlasnął lubieżnie.

- Coś ty mu naobiecowała, dziecko?

Podniosła głowę, zaskoczona, a kiedy dotarł do niej pełny sens tego, co usłyszała, poczerwieniała gwałtownie.

- Co pan sobie...

- Nic! - uciął zdecydowanym ruchem dłoni. - Ostrzegam cię tylko. To stary dziwak, ale też święta krowa. - Przechylił się nad biurkiem, na ile pozwalał brzuch. - Uważaj, dziecko. Jeden poślizg i to będzie twój koniec w zawodzie.

Wstała tak energicznie, że fotel na kółkach odjechał na środek gabinetu.

- Mogę robić ten wywiad czy nie?

Naczelný wyprostował się powoli, uniósł jedną brew. Czekwała na cmoknięcie, ale zamiast tego naburmuszył się nagle.

- Jasne, rób. Doceniam praktykantki z inicjatywą.

Miała wrażenie, że przefrunęła do drzwi, nie dotykając stopami ziemi. Była już w korytarzu, kiedy usłyszała jego nabrzmiąły złością głos.

- I załóż jakąś porządną kieckę, za kolana, bo w tej widać ci majtki!

Andrzej siedział w fotelu nabzdyczony, jak zawsze, kiedy wracała spóźniona. Nawet na nią nie spojrział, zaciskając wargi w wyrazie urażonej godności. Bawił się pilotem od telewizora. Jakiś czarny koszykarz wrzeszczał na sędziego - pstryk - uśmiechnięta panienska zapowiadała parszywą pogodę - pstryk- facet w kominiarce wezwał do samobójczych zamachów w imię czogośtam.

- Cześć - rzuciła kontrolnie.

- Cześć.

Pstryk. Cios koszykarza, maleńki sędzia, padając, przewrócił stolik.

- Jadłeś?
- Nie.
- Zjesz?
- Nie.

Pstryk. Niż znad Skandynawii. Słońce na Majorce.

- Co robiłeś?
- Czekałem.

- Chociaż ani odrobinę nie zmienił obojętnego tonu, to już była zaczepka. Nie miała ochoty na kłótnię, nie w takim dniu.

- Uprzedzałam, że wrócę później - spróbowała załagodzić.

Bez słowa spojrział na zegar, znacząco zmarszczył brwi.

Pstryk. Wybuch, wycie syren, rozbite szkło, krew.

- Mam wywiad! Nie wytrzymała, choć powinna zostawić najcięższą amunicję na sam koniec. Wpatrywała się w niego z przymarzniętym do ust, wyczekującym uśmiechem. Coś takiego musiało przecież zrobić na nim wrażenie!

- Tak? Niezobowiązująco podtrzymał rozmowę. - A z kim? Z tym gościem, którego kosmici porywają w każdy czwartek na eksperymenty?

- Nie - spąsowiała. Twardziel, cholera. - Z jednym profesorem.

- Znam go?

Kiedy usłyszał nazwisko, po raz pierwszy łypnął na nią jednym okiem. Pstryknął z rozpędu, na koszykarza leciały z trybun plastikowe kubeczki.

- Czy to ten fizyk?

- Ten sam! - wyrwała wtyczkę z gniazdka, ekran zgasł. - Mógłbyś się ucieszyć, choćby z uprzejmości.

Po chwili nieprzyjemnej ciszy stuknął odkładany pilot. Andrzej wstał i przeciągnął się, ziewając.

- Przecież się cieszę. Gratulacje, jestem pod wrażeniem. Tylko, że... - podrapał się po głowie, zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Że co?

- To świr.

- Sam jesteś świr! To geniusz. Autor najważniejszej teorii fizycznej wszech czasów.

- Nie wściekaj się. Każdy wie, że byt wielki, ale dawno temu. Czy zrobił coś godnego uwagi od tamtego czasu? Minęło pół wieku.

To nie tak miało być. Wieczór, nastrój, szampan, świece... Nie rozpląkała się tylko dlatego, żeby nie dawać mu okazji do wyrozumiałego westchnienia, jakim zwykle kwitował jej łyzy.

- Wiesz nad czym twój geniusz pracował przez ostatnie pięćdziesiąt lat? - zawiesił głos dla większego efektu. - Podobno chce stworzyć uniwersalną Teorię Wszystkiego. Jeden wzór, który opíše wszechświat.

W drodze do łazienki chichotał z umiarem, ale kiedy zasumiała spuszczana woda, śmiał się już na cały głos.

- Tam! Pielęgniarka machnęła ręką w stronę parkowej alejki, mierząc Dorotę nieprzyjemnym spojrzeniem. - Ma pani kwadrans, nie więcej.

Ruszyła powoli wzdłuż szeregu ławek, dziurawiąc szpilami obcasów suche liście. Już po chwili wiedziała, że popełniła błąd, nie słuchając naczelnego. Wygrzewający się we wrześniowym słońcu staruszkowie przerywali rozmowy i partyjki

szachów, niektórzy nerwowo szukali po kieszeniach okularów. Obciągnęła krótką spódniczkę, przyspieszyła kroku.

Rozpoznała go od razu, wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciach. Długie, siwe, rozwichrzone włosy, wysokie czoło, krzaczaste brwi. Siedział na uboczu, samotny, jakby nikt nie miał odwagi przysiąść się do niego. Zdawało się, że drzemie, ze zwieszoną głową i dłońmi złożonymi na lasce.

Przystanęła, obejrzała się niepewnie, ale u wylotu alejki nie dostrzegła już białego czepka pielęgniarki.

- Panie profesorze...

Kaszlnął, chrypnął, ale nie otworzył oczu.

- Panie profesorze!

Podeszła bliżej, czuła na plecach i nie tylko dziesiątki ciekawskich spojrzeń. Nic. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego ramienia. Odskokzyła w popłochu, kiedy nagle odezwał się całkiem trzeźwym głosem.

- Co wiesz o miłości?

- Słucham?

- O miłości - poruszył brwiami. - Opowiedz mi, czym jest prawdziwa miłość.

- No więc... To znaczy... Dlaczego właśnie mnie pan o to pyta?

Spojrzał teraz prosto na nią, ale nie umiała odgadnąć wyrazu jego wodnistych oczu.

- Jesteś młoda i ładna. Podobno kobiety znają się na tych rzeczach.

Usłyszała z tyłu szepty, ktoś zakrztusił się śmiechem. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo niewygodne są szpilki. Miała ochotę zrzucić je i zanurzyć bose stopy w chłodnych liściach.

- Nie wiem, czy pan profesor mnie pamięta. Umówiliśmy się na rozmowę.

- Przecież rozmawiamy - zaszurat niecierpliwie laseczką. - Masz chłopaka?

Spojrzała za siebie. Staruszkowie na kilku sąsiednich ławeczkach chichotali w chusteczki, któryś stukał się palcem w skroń. Środkiem alejki truchtała pielęgniarka, poły rozpiętego fartucha powiewały za nią jak skrzydła wielkiego ptaszyska.

Nieoczekiwanie zamiast gniewu poczuła smutek, jakby nagle odkryta, że święty Mikołaj ma sztuczną brodę.

- Nie musi pan mnie ośmieszać - powiedziała bardzo cicho. - Mógł pan po prostu nie zgodzić się na wywiad.

Chyba był zaskoczony. Podniósł pokrytą brązowymi plamkami dłoń, jakby w geście obrony, ale nie zdążył się odezwać.

- Co pani sobie wyobraża? Pielęgniarka złapała ją za łokieć. - To porządny zakład. Nasi pensjonariusze potrzebują spokoju, a pani wywołuje sensację.

Dorota wyrwała rękę, odwróciła się na jednym obcasie. Odeszła z podniesioną głową, prowokacyjnie kręcąc biodrami. Miała mściwą nadzieję, że choć jeden z tych stetryczających świntuchów tej nocy dostanie wylewu.

Nie zwróciła uwagi na policyjny wóz zaparkowany przed budynkiem redakcji. Zresztą, dziś w ogóle niewiele widziała. Całą noc przesiedziała w kuchni, gapiąc się na muchę utopioną w zimnej kawie i próbując znaleźć jakiś sposób, żeby oddalić klęskę.

Poddała się nad ranem. Postanowiła, że będzie błagać naczelnego o zmiłowanie. Pokornie zniesie wszystkie cmokania i uśmieški, przytaknie każdej bredni. Będzie pracować za połowę wierszówki. Za ćwierć. Weźmie każdy temat, nawet najgłupszy, byle tylko dostać jeszcze jedną szansę.

Pani Oleńka z sekretariatu nerwowo zamrugła ciężkimi od tuszu powiekami, dyskretnym ruchem głowy wskazując uchylone drzwi gabinetu naczelnego. Dorota przeżegnała się ukradkiem, udając, że poprawia grzywkę.

Boże, jak ja go nienawidzę! - pomyślała, jednocześnie uśmiechając się promiennie.

- Jesteś wreszcie. Szef położył dłonie na biurku, zakręcił młynka kołkowatymi kciukami. - Myślisz, że nie mamy niczego lepszego do roboty, jak czekać na ciebie?

Na krześle siedział jakiś obcy facet, odwrócony bokiem do drzwi, z niedbale wyciągniętymi nogami. Spojrzał na Dorotę spod oka.

- Wilk? - zapytał bez wstępów.

- Nie! - zagotowała się ze złości. - Czerwony Kapturek.

- Grzeczniej, proszę! Naczelnny uderzył otwartą dłonią w blat. - Nie powiększaj swoich kłopotów, dziecko. Pan oficer ma do ciebie kilka pytań.

Poczuła przelotny skurcz niepokoju, zrobiła błyskawiczny rachunek sumienia. Ostatni występki, jaki pamiętała, to jazda autobusem bez biletu w klasie maturalnej.

- Słucham - usiadła, choć nikt tego nie zaproponował.

Policjant zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, marszcząc brwi.

- Gdzie profesor?

Tego się nie spodziewała. Jakimś autonomicznym zakątkiem kobiecej świadomości skonstatowała, że rumieniec zapewne będzie widoczny nawet pod grubą warstwą pudru.

- Skąd mam wiedzieć?

- Ustaliliśmy, że była pani ostatnią osobą, z którą rozmawiał, zanim uciekł.

- Uciekł? Od razu obudziła się w niej zawodowa czujność.

- Oddalił się z zakładu bez informowania personelu, jeśli pani woli - dmuchnął jej dymem prosto w twarz.

- Mógł wybrać się do rodziny.

- Nie ma rodziny.

- Więc może po prostu chciał zmienić otoczenie? - odsunęła się demonstracyjnie razem z krzesłem. - O ile wiem, nie jest ubezwłasnowolniony.

Wrzucił papierosa do popielniczki, wstał, pochylił się nad nią.

- Posłuchaj uważnie, gówniario - zobaczyła z bliska jego zaczerwienione z niewyspania oczy. Machinalnie zastanowiła się, czy jej własne wyglądają teraz podobnie. - Profesor spędził bez opieki pierwszą noc od trzydziestu lat. Szuka go grupa specjalna, ale nie mamy żadnego tropu. Dlatego musimy wiedzieć, o czym rozmawialiście, rozumiesz?

Nie miała powodu, żeby mu tego nie mówić. Zrobiłaby to, gdyby spytał grzeczniej. Ale był chamem i ział jej w twarz smrodem źle przetrawionej kawy.

- To moja prywatna sprawa - uśmiechnęła się zimno.

Coś napęczniało mu na szyi, ale opanował się.

- Jak wolisz. Jeśli profesor nie odnajdzie się do wieczora, zostaniesz oficjalnie wezwana na przesłuchanie - rzucił jej na kolana wizytówkę. - To na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie.

Skinieniem głowy pożegnał naczelnego, wyszedł trzaskając drzwiami. Dorota podniosła wizytówkę za sam rozek, jak śmieć, położyła w popielniczce na wciąż dymiącym niedopałku. Przez chwilę przyglądała się z zadowoleniem, jak płonie.

Podniosła wzrok i znieruchomiała - jak mysz, która nagle znalazła się oko w oko z wężem.

- Wiesz, co jutro Wydrukują na pierwszych stronach wszystkie szmatławce w tym kraju? Grubas wykonał ruch, jakby rozprostowywał na biurku płachtę gazety. - „Nachalna dziennikarka przyczyną tragedii”, „Profesor zaszczyty przez hienę bez sumienia”. Będziemy mieli wszystkich przeciw sobie, od „Kwartalnika Literackiego” do „Playboya”.

- Mogę to wytłumaczyć...

- Dość! - zakrztusił się gniewem. - Ostrzegałem cię. Za pół godziny twoje biurko ma być puste.

Boże. Przecież miała położyć uszy po sobie, a nie stawiać się jak głupia. To przez tego gliniarza, wszystko zepsuł.

- Szmatławce? - wstała z niewymuszonym wdziękiem. - Jedyne szmatławce, jaki znam, redaguje się właśnie tutaj.

Telefon milczał, na automatycznej sekretarce ani słowa. Sprawdziła e-maile - tylko spam. Zrobiła sobie drinka, ale ledwie umoczyła wargi, wylała do zlewu.

Drań! Właśnie teraz, kiedy najbardziej potrzebowała wsparcia, nie ma go. Pewnie chleje z kolegami, a może przysgarnęła go na noc ta wypacykowana Sandra, która od dawna robiła do niego słodkie oczy. Łajdak!

Złamała się około północy, wymęczona czekaniem. Wstukała numer jego komórki, odczekała dziesięć sygnałów. Na próżno. Przysięgła sobie, że jeśli wróci pijany, wyniesie mu poduszkę na wycieraczkę.

Ostry terkot dzwonka wyrwał ją z ciężkiego snu. Budzik? Nie, telefon. Podniosła się z kanapy, obolała od niewygodnej pozycji. Za oknem szarówka, już dzień.

- Tak?

Długa, bardzo długa cisza, wypełniona chrapliwym sapaniem.

- Halo! - podniosła głos.

Nic. Nawet sapanie się urwało, jakby ktoś wstrzymał oddech.

- Odpieprz się, zboczeńcu! Jeśli jeszcze raz zadzwonisz, znajdę cię i...

- To ja.

Usiadła powolutku, przygryzając wargę.

- Profesor?

- Tak.

- Gdzie pan jest? Drżącym palcem włączyła nagrywanie.

- W budce.

- Proszę zgłosić się na policję. Szukają pana.

- Wiem. Nie ukrywał zniecierpliwienia. - Muszę się z tobą zobaczyć. Możesz przyjechać?

- Dokąd?

Chwila ciszy, skrzywnicie uchylanych drzwi, szum ulicy.

- Bar Paradajs. Znasz?

- Tak, wychowałam się w tamtych okolicach. Kiedy?

- Natychmiast.

Nie sądziła, że w tej dzielnicy coś jeszcze potrafi ją zaskoczyć. Nie bywała tu od lat, ale dobrze zapamiętała krzywe chodniki, rdzewiejące lampy uliczne i łysawe skwerki, gdzie szukali cienia osowiali menele. Wiedziała, że za brzydkimi fasadami kamienic kryją się jeszcze brzydsze podwórka; że przy silnym wietrze na głowy przechodniów sypią się kawały gzymsu, a przy ulewie obłamane rynny rzygają deszczówką. Grupki dresiarzy, zakapturzonych zimą i latem, mroczne zaułki, huczące ujadaniem na wpół zdziczałych psów.

Ot - zapomniany rejon miasta, zlekceważony nawet przez wielkie sieci handlowe, gdzie ziemniaki po staremu kupowano od chłopa, a bimber na melinie.

A jednak ten lokal był tak obskurny, że aż nierzeczywisty, jakby czas zatrzymał się tu przed ćwierćwieczem. Niepewnie przystanęła w progu, patrząc na brudne okna za szarymi firaneczkami, spękane linoleum na podłodze, zakurzone pajęczyny pod sufitem. Było pustawo, jakiś sterany życiem gość drzemał w kącie z łokciami opartymi na lepkiem stoliku. Kilku innych przerwało rozmowę, podnosząc znad kufli mętne oczy. Zrobiło się tak cicho, że wyraźnie usłyszała brzęczące wokół gołej żarówki muchy.

Szybkim krokiem podeszła do baru, gdzie za pochyłą szybką na poszczerbionym talerzyku zieleniało kilka plasterków wędliny. Zza lady podniosła się rumiana bufetowa o barkach szerokich jak u mężczyzny i wielkich pierśsiach, rozpychających przyciasny fartuch.

- Dzień dobry - Dorocie zaschło w gardle.

Bufetowa zmrużyła jedno oko, przez chwilę przyglądała się jej nieprzyjaźnie.

- Komu dobry, temu dobry - warknęła wreszcie. - Znowu sanepid? Byliście dwa tygodnie temu!

- Ależ nie! Chciałam... to znaczy... Ktoś miał tu na mnie czekać.

Baba złagodniała trochę, ale zachowała czujność.

- Podać coś?

- Może... - spociła się ze wstępu, w popłochu omiotła wzrokiem zakurzone półeczki - może musztardę?

- Musztarda tylko do parówek.

- Proszę nie robić sobie kłopotu - pogrzebała w torebce, położyła na ladzie zmiętą dwudziestkę. - Czy nie widziała tu pani takiego siwego, rozczochanego staruszka?

Bufetowa powoli wytarła dłonie w fartuch, nie odrywając od banknotu wyłupiastego spojrzenia.

The Best t.01

- Nie przyglądam się gościom, nie jestem wścibska.

- Ten na pewno zwróciłby pani uwagę - zaszeleściła następna dwudziestka. - Nie należy do stałych klientów.

- Był taki - mruknęła, zgarniając pieniądze do wysuniętej szuflady. - Przestraszony chyba, cały czas oglądał się na drzwi. Zamówił setkę, zapłacił, ale nie wypił. Wyszedł do kibla i już nie wrócił. Uciekł przez zaplecze, dziwak.

- Uciekł? Przed czym uciekł?

Za witryną powolutku, bezgłośnie przetoczył się radiowóz. Bufetowa rzuciła w tamtą stronę krótkie spojrzenie, a potem z nagłym zniecierpliwieniem wzruszyła ramionami.

- Nie zwierzał mi się - trzasnęła szufladą. - Grzać te parówki?

- Nie, dziękuję. Dziewczyna zająknęła się, kiedy ulicą przemknął kolejny policyjny samochód. Wysypała z portfela na ladę wszystkie drobne, jakie jej jeszcze pozostały. - Jeśli pani pozwoli, skorzystam z toalety.

Ciemny korytarzyk, stos skrzynek i kartonów, brudne drzwi z jaśniejszym śladem po oderwanym trójkątku. Nie miała nic, żadnych przesłanek, tylko swoje dziennikarskie przeczucie. Weszła tam, zderzając się z gęstym, nigdy nie wietrzonym smrodem. Zżółkły pisuar, kabina bez klamki, czarna dziura po odkręconym sedesie. Zakryła chusteczką nos i usta, rozejrzała się bezradnie. Nie wiedziała, czego szukać, ale wierzyła, że to musi tu być. Myśleć, myśleć... Urwany kran, pety w umywalce. Na ścianach plugawe rymowanki, z powtarzającym się błędem ortograficznym wszędzie tam, gdzie powinno być "ch"

Nagle - jest!

Nierówne litery wydrapane w lamperii wprost nad pisua-rem, może kluczem albo sprzączką od pasa, pod ścianą białą

pył osypanego tynku. Upuściła chusteczkę, przez jakiś czas rozpaczliwie szukała w torebce długopisu, wyrzucając kobiece drobiazgi. Usłyszała kroki w korytarzu; złapała za telefon i w ostatniej chwili pstryknęła fotkę, nawet nie patrząc na wyświetlacz.

W drzwiach zderzyła się z chudym człowieczkiem o kwaśnym oddechu, który chyba przestraszył się bardziej niż ona. Pchnęła go na ścianę, znalazła tylne wyjście i dopiero na zagraconym podwórku pozwoliła sobie na pierwszy głębszy oddech.

Mało brakło, a wyrzuciłaby tę kopertę razem z plikiem ulotek reklamowych, które zapchały skrzynkę na listy. Nie było znaczka ani adresu, w środku pojedyncza kartka i tylko parę słów, skreślonych Andrzejowym charakterem pisma: „Mają mnie. Musisz wystawić im profesora, inaczej zabiją”.

To było jak cios w głowę, przez długą chwilę nie mogła się pozbierać. Nie odpowiedziała na ukłon przechodzącego sąsiada, usiadła na schodach. Odczytała wiadomość jeszcze raz i jeszcze, i znowu, jakby próbowała doszukać się tam jakiegoś innego sensu niż ten najbardziej oczywisty. Kretyński żart? Ciąg dalszy sprzeczki? A może prowokacja policyjna? Tak, tamten arogancki oficer mógłby posunąć się do czegoś takiego.

Mógłby... Ale list napisał przecież Andrzej, nie miała żadnych wątpliwości.

Ktoś zapytał, czy nic jej nie dolega, chwiała się nad nią jakieś twarze za zasłoną szarej mgły. Uciekła do domu. Nie zdjęła butów, przez kilka godzin krążyła od okna do telefonu, wychulona na cichy szmer silnika windy. Za każdym razem, kiedy słyszała człapanie na schodach, przywierała okiem do judasza.

Kiedy wreszcie zadzwonił telefon, długotrwałe napięcie skupiło się mroźnym ciężarem w żołądku. Podniosła słuchawkę, ale była zbyt przestraszona, żeby odezwać się pierwsza.

- Czytałaś? Dziwny, obcy głos, chyba zniekształcony elektronicznie

- Tak.

- To wystarczy, czy mamy dostać palec narzeczonego?

Z całej siły zacisnęła zęby, żeby odegnąć narastającą panikę. Spokój, spokój... Najgorsze jeszcze się nie wydarzyło.

- Wystarczy.

- Świetnie. Podaj adres profesora, a przed wieczorem chłopczyk wróci pod pierzynę.

Nie krzyczeć. Nie płakać. Przekonać go, za wszelką cenę.

- Miałam dziś spotkać się z profesorem, ale uciekł, zanim przyszedłam. Ukrywa się przed policją.

Gniewne chrząknięcie, cisza, potem głos znizony prawie do szeptu.

- Który kciuk wolisz, prawy czy lewy?

- Nie róbcie mu krzywdy! Mówię prawdę, przysięgam!

Z tamtej strony milczenie - im dłuższe, tym straszniejsze. Chciała jeszcze coś powiedzieć, prosić, błagać, ale nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

- Wszystko w twoich rękach, złotko. Głos drgał od trzymanej na uwieży złości. - Stary chyba ma do ciebie zaufanie i pewnie spróbuje spotkać się z tobą jeszcze raz. Nie spieprz tego. Uważaj, żeby nie dopadła go psiarnia. To by było na tyle, miłego dnia.

Nawet sygnał przerwane połączenia, który wwiercił się w ucho, jęczał ze strachu.

Tępo wpatrywała się w niezrozumiałe ciągi liter i symboli matematycznych, pogrupowanych w nawiasach, ze znakiem

równości pośrodku. Zwracało uwagę wyraźne duże „X”, wydrapane głębiej niż inne znaki, jak wyrzut sumienia, przyznanie się do niewiedzy, dysharmoniczny zgrzyt w strukturze wzoru.

Dlaczego profesor zostawił na ścianie właśnie to? Czy tak wygląda najpilniejsza wiadomość, jaką ma do przekazania człowiek w niebezpieczeństwie? Absurd! A jednak - wciąż musiała śnić swój czarny sen humanistki, która przez przedmioty ściśle w ogólniaku prześlizgnęła się tylko dzięki wielkiemu szczęściu i małym oszustwom. Ale z drugiej strony, gdyby nie musiała wówczas brać korepetycji, nigdy nie poznałaby Andrzeja. Był wątłutkim studentem pierwszego roku; tak słodko szeptał jej o wielomianach, zaglądając głęboko w oczy...

Chlipnęła, rozmazała tusz pod okiem i włączyła internet. Ten napis w klozecie był jedynym punktem zaczepienia, jaki miała, tylko w ten sposób mogła złapać jakiś trop.

Wyszukiwarka wypluła jedynie suchy komunikat o porażce. Spróbowała jeszcze raz, wstukując cały wzór symbol po symbolu. Nic. Może nazwisko profesora? Tylko sensacyjne relacje z poszukiwań. W skupieniu zmarszczyła nos, przysunęła klawiaturę bliżej siebie. Pobieźnie przejrzała kilka portali popularnonaukowych, trafiła na specjalistyczną stronę o fizyce współczesnej. Tam ugrzęzła na dłużej pośród trudnych terminów, wykresów i liczb. Wzory. Setki wzorów, tysiące, jak zaszyfrowane wtajemniczenie w świat rozkoszy dostępnych tylko dla facetów w grubych okularach i krzywo zawiązanych krawatach. Znowu zebrało jej się na płacz, rozpaczliwie kliknęła na link do Uniwersytetu. Znalazła forum Wydziału Fizyki, zarejestrowała się pośpiesznie. Przez dłuższy czas błądziła wśród wrogo brzmiących tematów, aż wreszcie trafiła na wątek: „Nie ma głupich pytań, są tylko głupie odpowiedzi”.

Przepisała wzór z pamięci, bez sprawdzania, wysłała post i wyszła do kuchni, żeby zrobić sobie mocnego drinka.

Wróciła spokojniejsza, opadła na fotel, pociągając długi łyk. Spojrzała na ekran, zamarła ze szklanką przy ustach. Użytkownik o nicku „ryzyk fizyk” odpisał na PW:

„Kimkolwiek jesteś, muszę się z tobą zobaczyć”.

Czarna, pękata teczka wypchana papierzyškami była umówionym znakiem rozpoznawczym, ale Dorota i bez tego nie miałyby wątpliwości, że to on. Wyglądał dokładnie tak, jak powinien - okulary spawacza, krawat ušwiniony drugim śniadaniem, do tego nieświeża koszula i marynarka o wypchanych łokciach. W przyćmionym oświeteniu sali kinowej połyskiwało jego wysokie czoło. Siedział w pierwszym rzędzie, ścisnąc teczkę pod pachą, sztywny i nieruchomy. Wpatrywał się uporczywie w biel ekranu, gęste brwi od czasu do czasu poruszały się góré i w dół.

- Dzień dobry, to ja - przywitała się cicho.

Nie odpowiedział, nie spojrział na nią, tylko nieznacznie skinął głową. Rozejrzała się, onieśmielona - kilkanaście rzędów wyżej chichotała jakaś parka, bliżej nie było nikogo. Bez przekonania usiadła obok, zerkając na niego z ukosa!

- Czy dobrze się pan czuje? Może...

- Pst! - syknął, na skroni nabrzmiała mu żyła.

Przez następnych kilka minut niemal wyzbyła się nadziei, którą wiązała z tym człowiekiem. Powinna nabrać podejrzeń już na początku, gdy wyznaczył jej spotkanie w kinie, ale wówczas odebrała to jako niewinne dziwactwo naukowca, od lat pogrążonego w oparach abstrakcji. Teraz zaczęła żałować, że pozwoliła wywabić się z domu. Obserwowała kątem oka jego gądzi bezruch! kurczowo splecione palce i drżenie fioletowych warg.

Kiedy przygasły światła i gruchnęły reklamy, niespodziewanie pochylił się do niej.

- Przepraszam za te środki ostrożności. Nikt nie powinien widzieć, że pani to daje - poczuła na kolanach ciężar teczki. Chciał wstać, w popłochu złapała go za wilgotną dłoń.

- Zaraz! Nie może pan tak po prostu odejść.

- Muszę. Zapewne już mnie śledzą, ale może uda mi się odciągnąć ich od pani choć na chwilę. To jedyna szansa.

- Kim pan jest? Bezwiednie podniosła głos, rzuciła niepokojne spojrzenie w głąb ciemnej sali.

- Kiedyś byłem doktorantem profesora, pracowaliśmy razem. Wszystko, co wiem, znajdzie pani w teczce. Proszę jej strzec, od tego zależy więcej, niż się pani zdaje. Znacznie więcej.

- Czy coś panu grozi?

- To żart? - parsknął z irytacją. - Oni z pewnością podsłuchują pani rozmowy, czytają e-maile, grzebią w każdym worku ze śmieciami, który pani wyrzuca. Od chwili, kiedy odpowiedziałem na pani post, wiedzą także o mnie.

- Czy... - zająknęła się, musnęła końcami palców zatrask teczki. - Czy w środku jest to, czego się domyślam?

- Tak. Trzyma pani w rękach owoc czystego geniuszu, piękniejszy i doskonalszy niż najbardziej świetliste wizje mistyków. Prześmiewcy, którzy kiedyś nazwali tę rzecz Teorią Wszystkiego, nawet nie przypuszczali, jak bliscy są prawdy. Nic nie wymyka się temu opisowi - ani grawitacja, ani elektromagnetyzm, ani oddziaływania silne, ani słabe...

- Wystarczy! - przerwała mu w samą porę, kiedy już zaczynał go ponosić zawodowy entuzjazm. - Proszę nie marnować dla mnie czasu, z tych wyjaśnień rozumiem głównie spój-

niki. Bardziej ciekawi mnie, skąd pan ma te zapiski? Myślałam, że profesor zarzucił poważną pracę naukową wiele lat temu.

- Bo zarzucił. Wyznaczył kres fizyki, nic więcej nie zostało do zrobienia. Prawie... W ostatecznym wzorze brak jednego elementu, ale myślę, że profesor go zna, chociaż nie ma o tym wzmianek w notatkach.

- Więc dlaczego nie ogłosił tego dzieła?

- Nigdy nie byłem mu na tyle bliski, żeby zasłużyć na jego zwierzenia -zapadł się głębiej w fotel. - Może przewidział wszystkie konsekwencje teorii i zwyczajnie przestraszył się? Te odkrycia łatwo można przekuć na potęgę, która przerasta ludzką wyobraźnię. Któregoś dnia po prostu przestał pokazywać się na uczelni, potem dowiedziałem się, że zamieszkał w domu starców. Wtedy zacząłem zbierać jego papiery. Nigdy nie przywiązywał wagi do starannej dokumentacji, pisywał byle jak - na serwetkach, na mankiecie koszuli, nawet na papierze toaletowym. Udało mi się połapać w tym chaosie tylko dlatego, że śledziłem jego pracę dzień po dniu. Przepisałem wszystko, sam uzupełniłem luki. Gdy niedługo potem zaczęły się włamania do mojej pracowni, do samochodu, do domu, zrozumiałem, że profesor miał rację. Włożyłem teczkę do worka, zakopałem w ogródku i starałem się zapomnieć. Po jakimś czasie dali mi spokój, chyba uwierzyli, że wszystkie zapiski przepadły.

- Chryste Panie! Co to wszystko ma ze mną wspólnego?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Nie mam nawet pewności, czy w tej chwili pani pomagam, czy ją gubię. Ale profesor z jakiegoś powodu panią wybrał, a ja z ulgą pozbywam się tego brzemienia. To wszystko.

- Co mam robić? - spytała szeptem.

- Niech pani odczeka kwadrans po moim wyjściu, spróbuję odwrócić ich uwagę. Proszę nie wracać do domu.

- A dalej?

Wyrwał rękę tak gwałtownie, jakby nagle poczuł do niej wstręt. Wstał, przemknął skulony pod ekranem i stopił się z cieniem.

Dorota szklanym wzrokiem obejrzała pierwsze sceny filmu, potem chwiejnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia. W drzwiach stał ziewający bileter; minęła go ze spuszczoną głową, tuląc teczkę jak niemowlę.

Szła środkiem ciemnej, pustej ulicy, echo kroków wsiąkało w czarne jamy bram. Tam, gdzie zza okien mżyło światło, widziała unoszące się ku chmurnemu niebu strzepy mgły i kikuty latarni z potrzaskanym szkłem. Pod murami kamienic, pod zarosłymi zielskimi siatkami płotów czasem przemknął cień kota albo szczura. Miała wrażenie, że ktoś stąpa cicho w ślad za nią, ale nie mogła przebić wzrokiem gęstego mroku. Nie przyspieszała kroku, z całych sił opierała się narastającej panice. Kusiła myśl, żeby wezwać taksówkę i uciec do centrum, gdzie noc zawsze migocze tęczowym blaskiem reklam i witryn sklepowych. Sięgnęła nawet po telefon, ale po chwili przygryzła wargę i ruszyła dalej.

Jeśli miała się ukryć, to właśnie tutaj, w tej niepotrzebnej dzielnicy, gdzie po zmroku nawet policja zapuszcza się tylko na wezwanie. Nie pozostał tu już nikt z rodziny, wszyscy powymierali albo wynieśli się, jeśli tylko mieli dokąd, ale przecież powinna znaleźć któregoś z dawnych sąsiadów. Wciąż pamiętała wiele imion, dziesiątki twarzy. Tylko czy oni pamiętali ją?

Znowu szelest za plecami, odwróciła się gwałtownie. Nie pomyliła się - pień starego drzewa grubiał u dołu, ktoś tam

stał. Rozejrzała się szybko na boki, wszystkie okna w pobliżu były ciemne.

- Zabłądziłaś, kotku? Może pomóc? Niski, chropawy głos.

Cofnęła się o krok, ale nie dalej. Wiedziała, że nie wolno jej okazać strachu.

- Nie trzeba. Jestem u siebie.

Cień oderwał się od drzewa, powoli wypłynął na środek jezdni. Nie widziała twarzy, choć był tak blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć.

Kogo chcesz oszukać? - pociągnął nosem. - Nie pachniesz, jak miejscowe dziewczyny.

- Ty za to cuchniesz, jak należy.

Gwizdnął cicho, z powściągliwym uznaniem. W perspektywie ulicy błysnęła snopami świateł zagubiona taksówka, szybko znikając za rogiem.

- Uważaj, kochanie. Masz farta, że trafiłaś na mnie. Kto inny już zaciągnąłby cię w krzaki, ale ja nie lubię świntuszyć od razu na pierwszej randce - mówił z łagodną perswazją, jak do dziecka. - Nie zrobię ci krzywdy, nawet pomogę nieść torebkę.

- Bandyta!

- Każdy orze, jak może.

Wyczuła w tonie jego głosu, że uważa temat za wyczerpany. Bezcelnością nie mogła wygrać już nic więcej. Rzuciła mu torebkę pod nogi, długopis ze stukotem potoczył się do rynsztoka.

- Bardzo rozsądnie - schylił się, ani na chwilę nie opuszczając wzorku. Pogrzebał wśród damskich drobiazgów, wyciągnął tylko portfel i telefon, schował do kieszeni. - Teraz ta druga.

- Nie! - schowała teczkę za plecy, zachłysnęła się przerażeniem. - Tam są tylko papiery, nic cennego.

Był szybki, złapał ją mocno za ramiona. Zbliżył rozgrzaną, szczeciniastą twarz.

- Jeśli nic cennego, dlaczego się tak trzęsiesz, skarbie?

Nagle zawyły syreny, jezdnią chlusnęła fala ostrego światła. Kilka przecznic dalej zza rogu wysunął się radiowóz, z tyłu drugi. Reflektory liznęły mury kamienic, szybko zbliżało się dudnienie ciężkich buciorów.

- Psy! - syknął wściekle, szarpnięciem za włosy odciągnął jej głowę w tył.

- Jesteś tu na wabia, suko?

Patrząc mu prosto w oczy, wysunęła stopy z butów i stanęła boso na zimnym asfalcie.

- To po mnie - szepnęła.

W oczach zeszkliło mu się zdumienie, zamrugał szybko. Drgnął, kiedy rozszczękały się policyjne owczarki.

- Trzeba było tak od razu. Wyrywamy.

Pociągnął ją do najbliższej bramy, odgłosy obławy na chwilę przycichły za ciężkimi drzwiami. Skręcili w jakiś wąski korytarzyk, dalej po omacku starymi, drewnianymi schodami na strych. W ciemnościach sznury mokrego prania, stopy rupieci, mysie piski. Dalej jaśniejszy kwadrat okienka, zimny wiatr na twarzy.

- Tędy nie pójde... - osłabła ze strachu.

Na drugim końcu strychu już podskakiwały pierwsze światła latarek, schody jęczały pod ciężarem wielu stóp.

- Tak trzeba, aniele. Nie będą nas gonić po dachach, nie nocą.

Serce długo jeszcze łomotało po tym szalonym podniebnym biegu, drżały kolana; zwolna dochodziła do siebie. Spo-

dziewała się brudnej nory, zapluskwionej meliny bez światła i wody, ale nie było tak źle. Pokoik z kuchnią, urządzony z kawalerskim brakiem dbałości o szczegóły, ale raczej przytulny.

- Będiesz tak stać przy drzwiach? - zaciągnął zasłony, postawił na kuchence czajnik. - Rozgość się.

Dopiero teraz mogła przyjrzeć mu się lepiej. Pomimo zarosniętej twarzy i schrypniętego głosu był chyba o wiele młodszy, niż sądziła z początku. Kiedy spojrzał na nią wyczekująco, mrużąc oczy, miała wrażenie, że już go kiedyś spotkała.

- Kiedy skończy się to zamieszanie na ulicy, pójdę sobie.

- Nie skończy się - wyjął z szafki dwie szklanki, obejrzał pod światło. - Kawa czy herbata?

- Niech będzie kawa. Nieufnie obeszała pokój dookoła, wodząc końcami palców po meblach. - Dlaczego mi pomogłeś?

- Nie mogłem się oprzeć. Jesteś przecież moją pierwszą prawdziwą miłością.

Zastygła w pół kroku, mimo woli rzuciła szybkie spojrzenie na drzwi.

- Znamy się?

- Przez pierwsze trzy lata podstawówki siedziałem w ławce za tobą. Kochałem cię po szczeniacku, ale prawdziwie. Na każdy Dzień Kobiet kradłem dla ciebie goździka, pamiętasz? Potem mnie przenieśli, bo na przerwie rozkręciłem matematyczne krzesło.

- Romek! - odnalazła w pamięci chudego chłopczyka z odstającymi uszami, wystrzyżonego do gołej skóry w obawie przed wszawicą. - Jak mogłam cię nie poznać? Matematyczka złamała wtedy rękę.

- Należało jej się.

The Best t.01

- Co porabiasz? Od razu pożałowała pytania, opuściła wzrok.

Zrobił kawę, podsunął Dorocie fotel, sam usiadł na żelaznym łóżku.

- Włamania, paserstwo, rozboje - skrzywił się lekko, jakby opowiadał o nieciekawej pracy. - Lepiej pomówmy o tobie. Masz chyba duży kłopot.

Na tę krótką chwilę beztroskich wspomnień odprężyła się - powrót do rzeczywistości był tym bardziej bolesny.

- A mam - odstawiła szklanke. - Pójdę już.

- Oni ci nie odpuszczą, perełko. W tej dzielnicy znamy się na psach jak górale na pogodzie. Ostatni raz było takie polowanie, kiedy Czesiu Piroman podpalił im komisariat.

- Nie zrobiłam nic złego!

- Wiem tylko tyle, że bardzo chcą cię dostać. Teraz pewnie każdy kapuś w okolicy nosi przy sobie twoje zdjęcie.

- Nie mogę tu zostać. Mocniej ścisnęła teczkę, ani na chwilę nie wypuściła jej z rąk.

- Spokojnie. Połowa miejscowych dekuje się po melinach i jakoś żyją.

- Ale ja...

Komórka zabręczczała cicho pierwszymi taktami „Bolera”. Romek kaszlnął, zmieszany, sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki i położył telefon na stole.

- Zaczekam na korytarzu - mruknął.

Odczekała, aż zamknie drzwi, dopiero wtedy przyłożyła komórkę do ucha. Łudziła się, że to dzwoni Andrzej albo profesor, ale zanim zdążyła zaczerpnąć oddechu, nadzieja zgasła.

- Gdzie włączysz się po nocach? Narzeczony tęskni.

- Szuka mnie policja. Nie mogę wrócić do domu.

Chwila ciszy, tamten chyba szacował jej szczerość.

- To twój problem. Znalazłaś starego?
- Nie. Ale mam jego notatki, chyba jest tu cała teoria.
Sapnął głośniej, w żaden inny sposób nie okazał zaskoczenia.

- Bez profesora możemy tymi papierami podetrzeć sobie tyłki, nikt tego nie zrozumie. Szukaj dalej.

Zamknęła oczy, osunęła się głębiej w fotelu. Nie miała pojęcia, jak powinna to rozegrać, ale rozumiała, że musi podjąć ryzyko.

- Najpierw Andrzej. Wypuście go.
- Udam, że tego nie dosłyszałem. Do roboty, natychmiast.

Wdech, wydech. Spokojnie, spokojnie. To są tylko negocjacje, nie wolno spanikować.

- Nie.

Długa, absolutna cisza, potem powolne słowa, cedzone każde z osobna.

- Chyba jednak nie kochasz narzeczonego wystarczająco mocno. Zmartwi się tym.

Chciała krzyknąć, powstrzymać to coś straszego, o czym nie miała odwagi nawet pomyśleć, ale było już za późno. Połączenie przerwano.

Sok pomarańczowy ze spirytusem. Spirytus z sokiem. I jeszcze pięćdziesiątka czystego, płynnego ognia, po której na chwilę sufit zamienił się miejscami z podłogą.

- Nie szarżuj, rusałko. Romek zabrał butelkę, podsunął spodeczek z kiszonymi ogórkami. - Nawet zawodowcy po tym zagryzają.

Skuliła się w fotelu, opierając brodę na kolanach. Myślała, że uda się utopić rozpacz w alkoholu, ale to nic nie pomagało. Za mało wypita albo zgryzota była zbyt wielka.

- Zabiłam go! - czknęła.

Romek wyburczał jakieś zdawkowe pocieszenie, ale wi-
dać było, że myśli o czymś innym. Siedział pochylony nad
otwartą teczką, w skupieniu odwracał kartkę po kartce.

- Opowiedziałas mi wszystko trzy razy, ale ciągle nie
mogę tego zrozumieć - poskrobał szczecinę na podbródku. -
Po co im właściwie profesor? Chcą wyłudzić Nagrodę Nobla?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Mają Andrzeja, tylko to
się liczy. Mogłam go uratować, a teraz nie wiadomo, czy on
jeszcze... czy go już... Język jej się poplątał, ukryła twarz w po-
duszce.

- Nie rycz. Nie pozbędą się go, dopóki ty jesteś dla nich
ważna. Postawiłaś się, teraz zaczną cię szanować. Ale... hm...
Zaglądałaś tutaj?

- Nie.

- To mi nie wygląda na fizykę.

Pomimo głębokiego smutku poczuła nagłe ukłucie iryta-
cji. Dlaczego musiała upić się właśnie przy nim? Pożałowała
zwierzeń, wyrzuciła poduszkę w kąt i usiadła prosto.

- Od dawna studiujesz nauki ścisłe? - wzruszyła ramio-
nami.

- Przy tabliczce mnożenia doszedłem tylko do sześć razy
siedem. Ale za to byłem ministrantem, dopóki proboszcz nie
odkrył, że handluję na bazarze mszalnym winem. - Nie obraził
się, postukał palcem w poźółkłą stronicę. - To są jakieś wypis-
ki z Biblii, z „Żywotów Świątych”, kilka broszurek pielgrzym-
kowych, odpustowe obrazki.

Wyrwała mu teczkę, podniosła do oczu plik kartek. Litery
rozpływały się we łzach, wiersze zachodziły na siebie, z tru-
dem udało jej się odcyfrować pojedyncze wyrazy. Martyrium,
cnoty heroiczne, świętych obcowanie...

- Asystent profesora oszukał mnie! - wytrzeźwiała gwałtownie.

- Może nie. Na końcu znalazłem stroniczkę ze wzorami, jakieś definicje. Niewiele tego, ale zawsze coś - wyjął papiery z jej trzęsących się dłoni, zamknął teczkę i wrzucił do szuflady. - Nie martw się na zapas, bo dostaniesz zmarszczek. Odpocznij, teraz kolej na mnie.

- Co chcesz zrobić?

- Nie bój nic, to moja działka. Z bandytami trzeba po bandycku. Nie otwieraj nikomu, wieczorem będę z powrotem.

Długo patrzyła w okno, mglisty poranek opornie nasyczał się jasnością, wreszcie zapadła w czarną otchłań bez snów.

Rzucił na podłogę wypchaną torbę, pochylił się nad umywalką i zwilżył twarz zimną wodą. Wyglądał na zmęczonego, postarzały go głębokie cienie pod oczami. Nie usiadł, oparł się o framugę, splatając ramiona na piersi.

- Jak się czujesz? Patrzył w kąt pokoju, unikat jej wzroku.

Przespała cały dzień, w szparze między zasłonami widziała sierp księżycy. Była zmarznięta, nieszczęśliwa i skacowana. Zarzuciła koc na plecy, bez słowa przedreptała do łazienki. Przestraszyła się własnej twarzy w lustrze - opuchniętej, ze smugami rozmazanego makijażu na policzkach. Wzięła szybki gorący prysznic, starała się nie myśleć o niczym. Włożyła zbyt obszerny, męski szlafrok, po chwili wahania wystawiła głowę przez uchylone drzwi.

- Czy mógłbyś pojechać do mojego mieszkania? Nie mam się w co ubrać.

- Lepiej zapomnij na jakiś czas, gdzie mieszkasz - przysunął torbę stopą.

- To na początek powinno wystarczyć.

Zajrzała do środka - spodnie, kilka bluzek, płaszcz, sportowe buty, na samym dnie trochę bielizny. Wszystko nowiutkie, na wieszakach, z dyndającymi cenówkami.

- Kradzione! - upuściła koronkowe majteczki, poczuła, że się rumieni.

- Jasne, że tak. Nie jestem cudotwórcą tylko złodziejem. Uważnie oglądał czarne obwódki paznokci. - To, co znalazłem w twoim portfelu, wystarczyło tylko na tramwaj.

- Nie założę tego.

- Musisz. Tutaj wiele uchodzi, ale przecież nie pokażesz się na ulicy w moim szlafroku.

- Wychodzimy? Dowiedziałeś się czegoś? - odłożyła na potem wyrzuty sumienia, przeciągnęła torbę przez próg łazienki i zatrzasnęła drzwi.

- Twojego chłopaka nie porwał nikt z dzielnicy, to muszą być przyjezdni

- podniósł głos, żeby mogła go usłyszeć.

- Skąd ta pewność?

- Trzeba wiedzieć, gdzie pytać.

Ciuchy leżały jak trzeba. Z zadowoleniem pomyślała, że Romek ma dobre oko do kobiet, ale zaraz potem ochrzaniła w duchu samą siebie. Poprawiła włosy, wyszła. Mimo woli poczuła lekkie ukłucie zawodu, że nawet na nią nie spojrział.

- No więc przyjmijmy, że to obce zbiry, nie miejscowe. Co to zmienia?

- Bardzo wiele. Najważniejsze, że wszyscy, którzy liczą się w branży, są po twojej stronie. Zbiegła się tu psiarnia z całego województwa, po knajpach tajniacy, a to każdemu psuje robotę. Wiedzą, że urodziłaś się tutaj. Pomogą, jeśli będzie trzeba.

- To miłe, ale chyba nie chciałabym takich ludzi o nic prosić.

Drgnął, spochmurniał nagle.

- Jeśli chcesz wyciągnąć narzeczonego z bagna, bądź gotowa, że pobrudzisz sobie rączki.

Zawstydziała się własnej głupoty, chciała przeprosić, ale Romek już otworzył drzwi wejściowe i wyjrzał na korytarz.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Niedaleko. Znalazł się twój profesor.

Chociaż księżyc tylko z rzadka przebijał się przez chmury, u boku Romka czuła się bezpiecznie. Nie wiedziała, dokąd ją prowadzi, w ciemnościach ledwie rozróżniała zarysy kamienia, ale nie zadawała pytań. Chciała mieć to jak najszybciej za sobą, wyplątać się z tej gry bez reguł, w której mogła tylko przegrać.

A jednak przeszły ją ciarki, kiedy Romek zatrzymał się przed żelazną bramą cmentarza. Przyświecił zapalniczką, zdjął kłódkę - nie była zamknięta.

- Nie ma tu stróża? - obejrzała się nerwowo.

- Jest. To kolega spod celi - przypalił papierosa. - Bądź mu wdzięczna, właśnie on odkrył tego pomyłonego staruszka.

- Profesor nie jest pomyłony!

- Jasne. Każdy normalny człowiek od czasu do czasu przemieszkuje na cmentarzu.

- Zabraniam ci tak o nim mówić! To geniusz, a ty ledwie skończyłaś podstawówkę.

- Nie skończyłem - pchnął jedno skrzydło bramy, urwany pisk zawiasów rozniósł się daleko po pustej ulicy. - Wcześniej musiałem zarabiać na chlebuś. No, leć.

- A ty?

- Zaczekam tutaj. Nie myśl, że się boję, ale... - odchrząknął.
- To nie dla mnie.

Przeszła kilka kroków, zatrzymała się przy pierwszym nagrobku.

- Jak go znajdę? - spytała półgłosem.

- Tak samo jak cięć.

- To znaczy?

- Po ostatnim wyroku zaczął prowadzić uporządkowane życie: we dnie chleje, a nocami pokutuje. - Czerwony ognek papierosa powędrował w górę i w dół. - Idź do końca alejki, znajdziesz starą kaplicę pogrzebową. Drzwi są otwarte. Połóż się krzyżem przed ołtarzem i czekaj.

- To nie było śmieszne.

- I nie miało być - zdusił papierosa, iskierki rozsypały się po asfalcie i zgasły. Pobiegła wąską dróżką, nie rozglądając się. Serce waliło, spotniały dłonie zaschło w gardle; światełka pojedynczych zniczy kładły na marmurach pomarańczowy odblask. Gęstwa krzyży, nagrobki, szum wiatru w chaszczach pod murem. Wreszcie kaplica, czarna i przysadzista, jakby wrosnięta w ziemię. Po omacku znalazła klamkę, wstrzymując oddech, wsunęła się do chłodnego wnętrza.

Bez szelestu przemknęła między rzędami ławek w stronę światełka nad ołtarzem. Potrąciła klęcznik, w kamiennych ścianach zagrzmiało echo; wciągnęła głowę w ramiona. Nie umiała zapanować nad drżeniem łydek. Osunęła się na chropawe płyty posadzki, rozłożyła ramiona, zamknęła oczy.

Zdrętwiała ze zgrozy, kiedy dotarło do niej, że oprócz swojego własnego oddechu słyszy także cudzy. Zebrała się w sobie, mocniej przycisnęła czoło do podłogi.

- Profesorze? - szepnęła. - To pan?

Sapanie ucichło na chwilę, potem zaświszczało głośniej.

- Kto tu jest? Ciche pytanie dobiegło gdzieś z dołu, chyba ze szczeliny między płytami. Przesunęła się kawałek, przyłożyła do tego miejsca wargi.

- To ja, Dorota Wilk.

Zachrobotąło, zgrzytnęło, płyta podniosła się z chrzęstem na kilka centymetrów. Ciemność kaplicy przedziurawił snop światła latarki, ze szpary zadymiła mgiełka przyspieszonego oddechu.

- Jak tu trafiłaś? Profesor wystawił łokieć i napał barkami na ciężką płytę, dźwigając ją wyżej.

- Stróż wygadał... - zająknęła się, zaskoczona jego krzepą.

- A, ten... - wysunął głowę i drugie ramię, pobieżnie omiótł świetlistym krążkiem ołtarz i pierwsze ławki. - Z początku chyba uwierzył, że jestem duszą czyścicową, ale potem przyłapał mnie, jak kradłem jabłka w sadzie za murem. Polubiliśmy się, mamy podobne zainteresowania.

- Miejscomi nie wydadzą pana policji.

- Wszystko jedno. I tak nie dam się wziąć żywcem - usunął się na bok, robiąc miejsce. - Właż.

Czarna czeluść tchnęła zimnem i wilgotnym zapachem krypty.

- Czy to konieczne? Dorota niespokojnie podniosła się na łokciach.

- Chcesz mieć wywiad życia, zapraszam. Nie chcesz - zostaw mnie w spokoju i zapomnij o wszystkim.

Wsunęła się bokiem, natrafiła stopami na kamienne schodki, ostrożnie zeszła niżej. Zadudniła opuszczona płyta, zaraz potem zgasła latarka.

- Co pan wyprawia? Przysiadła na najniższym stopniu schodów, ogłuszona zwiętokrotnionym brzmieniem swego głosu.

- Radzę szeptać. Profesor pociągnął ją dalej, pod stopami trzeszczał miążki gruz. - Zgasilem, żeby cię nie przestraszyć.

- Co może być gorszego od ciemności w krypcie?

- To - pstryknął przełącznikiem.

Dorota zatoczyła się z przerażenia.

W krótkim błysku jasności dostrzegła szeregi grobowych nisz, wykute jedna nad drugą w skalnej ścianie. Obraz odcisnął się pod powiekami jak fotografia - czaszki, piszczele, różańce oplecione na kościstych dłoniach, gdzieś tam butwiejące resztki habitów. Niektóre ciała wydawały się nietknięte rozkładem, jakby zmumifikowane; jakaś twarz o zapadniętych policzkach, obciążona brązową skórą, szczyrzyła zęby w trupim uśmiechu.

- Ma pan rację, lepiej będzie po ciemku - pomacała dłonią za sobą, w tym miejscu ściana była gładka. Przyłgnęła do niej plecami, żeby nie upaść.

- Nie bój się, to mnisi. Umarli setki lat temu.

- To chyba niemożliwe? W takiej wilgoci zwłoki nie miały prawa się zachować.

Wyczuła ruch powietrza, profesor chyba podszedł bliżej.

- Jesteś katoliczką?

- Tak... Chyba tak.

- Więc powinnaś wiedzieć, że ciała tych, którzy odeszli w opinii świętości, często w wiele lat po śmierci pozostają nie-naruszone.

- To ciekawe, ale...

- Ciekawe? Ta krypta jest największym skarbem tego miasta! I co z tego? Mnisi leżą tu sobie w zapomnieniu, jak

kłopotliwy podarunek, z którym nie wiadomo, co zrobić. Dzisiaj nawet teologowie z niedowierzaniem patrzą na cuda.

Był poirytowany, mówił twardym, zdecydowanym głosem. Dorota z trudem mogła uwierzyć, że to ten sam zniedołężniały starzec, którego spotkała zaledwie kilka dni wcześniej. Zdawało się, że jego witalna siła rozsadza grobową martwość; wciąż dreptał, szurał, krążył, jakby nie potrafił usiedzieć na miejscu.

- Chyba służy panu życie poza zakładem.

- Wpływ otoczenia, ale to minie. Jestem teraz jak świeca, która najmocniej płonie tuż przed zgaśnięciem.

- Nie rozumiem...

- Dawno temu nauczyłem się czerpać siły z Bożego Tchnienia.

- Słucham?

- To kwestia nomenklatury, może kiedyś nauka znajdzie właściwszy termin. Mówię o twórczej energii, która spowodowała Wielki Wybuch, a potem pobudziła martwą materię do życia. Nie trzeba być koniecznie religijnym, żeby odkryć tę potęgę, wystarczy wyciszenie wewnętrzne i odrzucenie uprzedzeń. Zwykle jest rozproszona, ale bywają miejsca, gdzie aż kipi, gdzie można ją poczuć, oddychać nią, pławić się w niej. Ta krypta jest jednym z najsilniejszych ognisk Tchnienia w Europie, nasiąkł nim każdy kamień i najmniejsze drobinki kurzu.

- Czy na tym właśnie polega pańska Teoria Wszystkiego? Na mistyce?

- To nie mistyka, ale sprawdzone doświadczalnie fakty. Mój wzór opisuje wszechświat. Brakuje tylko jednego elementu, który sprzągłby w jedną całość fizykę i Boga. Chodzi o spoiwo między materią i transcendencją, rozumiesz? Byłem blisko, żeby wymazać to nieszczęsne „X”, które zatruło mi prawie

całe życie. Naprawdę blisko. Cóż, im człowiek starszy, tym więcej wątpliwości.

Chociaż zmienił się tak bardzo, musiała mu zaufać. Tylko on jeden znał prawdziwą przyczynę nieszczęść, które na nią spadły.

- Nie przyszedł tu po wywiad - przestała myśleć o Romku czekającym pod cmentarną bramą. - Porwali mojego narzeczonego.

- Sukinsyny! Czego chcą?

- Pana.

Bardzo długo czekała na odpowiedź, ale on milczał. Miała ochotę poszukać wolnej niszy, wpełznąć tam i już nigdy nie wychodzić.

Nagle ciszę wypełnił przeciągły, drgający rozpaczą jęk, tak przejmujący, jakby narodził się na samym dnie piekła. Cała krew spłynęła Dorocie do nóg, osunęła się plecami po ścianie. Przycisnęła uszy dłońmi, ale wciąż słyszała bełkotliwe zawođenje, tłukące się pod sklepieniem.

- To tylko cieć, znowu leczy kaca gorzkimi żalami. Głos profesora wyrwał ją z otępiającej trwogi. - Popłacz, polamentuj, nad ranem pójdzie sobie.

Desperacko chwyciła go obiema rękami za dłoń, gorącą i silną.

- Proszę mi pomóc!

- Nie martw się. Chciałem zakończyć tę sprawę po swojemu, ale jeśli inaczej nie można, niech i tak będzie - usiadł obok, odsapnął. - Powiem ci, co zrobimy.

Cieć spał z głową opartą na klęczniku, nie obudził go nawet rumor odsuwanej płyty. Świtało, za szkiełkami przybrudzonych witraży gruchały gołębie. Na zewnątrz siał drobny

deszczyk, znicze pogasły, między grobami ciekły mętne strumyczki. Dorota postawiła kołnierz płaszcza.

Romek siedział na podmurówce bramy, ściskając w zębach rozmokłego peta. Twarz miał szarą ze zmęczenia, drżał przy mocniejszych podmuchach.

- Nigdy w życiu nie czekałem na kobietę dłużej niż kwadrans - wypluł niedopałek, wciągnął zgrabiące dłonie w rękawy kurtki. - Coście tam robili przez tyle godzin?

- Rozmawialiśmy.

Ruszyła wzdłuż muru, zapatrzona przed siebie. Romek dogonił ją po chwili, parszkając raz po raz, jak wykąpane przeemocą kocisko.

- Mogę wiedzieć, o czym rozmawialiście?

- O życiu.

Przejechał autobus, spod kół bryznęła woda. Romek uskoczył, ale dziewczyna nawet nie zmyliła kroku.

- Słuchaj, nie musisz mi się od razu zwierzać, ale mogłabyś chociaż...

- Nie! Zmarszczyła brwi, głębiej wbiła ręce w kieszenie płaszcza. - Im mniej wiesz, tym lepiej.

- Myślisz, że rozgadam? Aż zatchnął się z oburzenia. - Za kogo ty mnie masz? Jestem porządnym złodziejem.

- Nie o to chodzi. Nie chcę cię wpędzić w kłopoty.

- Gdybym się bał kłopotów, zostawiłbym cię psom na żer.

Zatrzymała się niespodziewanie, stanęła z nim twarzą w twarz.

- To koniec, Romek. Nie pomyliłeś się, profesor zwariował. Całkiem odleciał, tylko straciłam czas. Bardzo mi pomogłeś, nigdy ci tego nie zapomnę, ale nic więcej nie możesz zrobić.

- A ty możesz?

- Muszę - drgnęła jej broda, odwróciła wzrok. - Wydam go tamtym.

Zeszła z krawężnika, nadjeżdżająca taksówka wyhamowała z trudem na śliskiej nawierzchni. Czerwony na twarzy kierowca bluznął przekleństwami, ale kiedy Dorota wsiadła, ucichł.

Romek pozostał na pustym chodniku, patrząc w niebo, jakby zastanawiał się, po co wychodził w taką pluchę.

Tajniak siedział na ławce pod blokiem, czytając gazetę, dwóch innych nudziło się w zaparkowanym niedaleko samochodzie. Poczuta satysfakcję na myśl o tym, że to ona zobaczyła ich pierwsza, nie oni ją.

Kazała taksówkarzowi zaczekać. Kiedy była przed drzwiami, ten z gazetą wstał, pozostali wysiedli z wozu. Na klatce schodowej nikogo - pewnie czekali w mieszkaniu. Puściła na górę pustą windę, skręciła w stronę schodów. Zyskała w ten sposób minutę, może dwie, zanim zaczną jej szukać. Chciała jeszcze zajrzeć do skrzynki na listy, żeby sprawdzić, czy nie ma wiadomości od...

- Chryste!

Niemal wyrwała metalowe drzwiczki przegródki. Mała, biała paczuszka, bez adresu nadawcy, jak poprzednio. Zdarła papier, ale zawahała się przed otwarciem tekturowego pudełka. Winda stanęła, zaraz potem gdzieś na wyższych piętrach zadudniły pospieszne kroki. Przemogła się, choć mdlący strach podszedł z żołądka do gardła. Podważyła paznokciem wieczko.

Skrwawiony, zgięty kciuk leżał na wyściółce z waty, jak drogocenny upominek.

Nie zemdląca, nie krzyknęła, wypełnił ją wewnętrzny mróz. Przecież wiedziała, czekała na to.

Na parterze ktoś trzasnął drzwiami. Ledwie zdążyła zamknąć pudełko, gdy z korytarza wybiegł Jacuś, rozwydrzony synalek sąsiadów, z buzią umazaną dżemem i przekrzywionym tornistrem na plecach. Nie cierpiała go, ale teraz był jej jedyną nadzieją.

- Dziebry! - rzucił w przelocie.

- Czekaj! - złapała go za uchwyt tornistra, przyciągnęła z powrotem.

- Chcę cię prosić o przysługę.

- Nie da rady - zamrugał czujnie, zdrapał z policzka zaschnięty strzępek wisienki. - Śpieszę się do szkoły.

- Dam ci pięćdziesiąt złotych, jeśli dziś pójdziesz na wargary.

Był bystry, orientował się szybko.

- Gra.

- Dawaj coś do pisania. Szybko nabazgrała kredką na wieczku pudełka kilka słów. - Zaniesiesz to pod ten adres.

Przeczytał, wydał pulchne policzki.

- Daleko, muszę mieć na tramwaj. To w sumie będzie sześćdziesiąt.

- I tak wiem, że pojedziesz na gapę! - nasłuchiwała przez chwilę, tamci byli już blisko. - Zgoda. Zapłacę ci jutro, teraz nie mogę.

- No, nie wiem - skrzywił się, ale schował pudełeczko do kieszeni. - Jak nie ma kasy na rękę, to siedemdziesiąt.

- Jakby kto cię wypytywał, nie znasz mnie - pchnęła go do wyjścia, ale kiedy już naciskał klamkę, przestraszyła się nagle. - Stój! Nie wolno ci tam zaglądać. Rozumiesz? Nigdy, przenigdy. Jeżeli to zrobisz, to końca życia będziesz miał złe sny.

Kroki łomotały, trzęsła się poręcz. Jacuś poprawił tornister, w skupieniu wsadził palec do nosa.

- Mogę nie zaglądać, ale wie pani... Stówa.

Naparł plecami na drzwi, zniknął. Widziała przez okno, jak truchtem minął tajniaka, który zwiniętą w rulon gazetą niecierpliwie uderzał w udo. Oparła się o parapet, dopiero teraz poczuła wszechogarniającą słabość.

Oficer krążył po pokoju przesłuchań od ściany do ściany, pogwizdując cicho, ale Dorota była pewna, że z trudem hamuje wściekłość. Za każdym razem, kiedy przechodził za jej plecami, miała wrażenie, że kopniakiem wybije spod niej krzesło. W duchu życzyła sobie tego, prowokowała go udaną obojętnością; wiedziała, że komu pierwszemu puszcza nerwy, ten przegra.

Nigdy nie przyjmujesz dobrych rad? To były pierwsze słowa, jakie wywarczał, odkąd przywlekli ją z samochodu i dokładnie przeszukali. - Przecież ostrzegałem cię, żebyś nie robiła nam wbrew.

Na biurku stał elektroniczny budzik. Patrzyła na wyświetlacz, czerwony dwukropek między kanciastymi cyferkami migotał w sekundowych odstępach. Odmierzał czas, jak pozostał Andrzejowi.

- Nie popełniłam żadnego przestępstwa.

Utrzymujesz kontakty z półświatkiem. Uciekałaś przed policją po dachach.

- Le parkur.

- Co?

- Free running, bieganie swobodne. Nie słyszał pan? Sport taki.

The Best t.01

- Słuchaj no! Trzasnęła zapalniczka. - Sama pchasz palec między drzwi. Przegrałaś już karierę dziennikarską, ale możesz stracić o wiele więcej

- To groźba?

- Powiedzmy, że prorocstwo. Zaczynij z nami współpracować, a może uda się jeszcze co nieco odkręcić. Mogę nawet pogadać z twoim szefem.

- A może to wy zaczniecie współpracować ze mną?

Zatrzymał się tuż za nią, dmuchnął jej w kark dymem.

- To znaczy?

- Przysługa za przysługę - odwróciła się na krześle, dwoma palcami wyjęła mu z rąk papierosa. - Sama przekonam profesora, żeby przestał się ukrywać. Jutro wróci do zakładu.

Dał się zaskoczyć, zamilkł na kilka długich sekund.

- Dlaczego jutro?

- Bo tak postanowiłam - zaciągnęła się głęboko, mrużąc oczy. Nie paliła od dawna, zawirowało jej w głowie. - To mój pierwszy warunek.

Powoli przeszedł za biurko, usiadł, oparł na blacie splecione dłonie. Wykorzystał zwłokę, żeby się opanować, skinieniem głowy zachęcił ją do mówienia.

- Są następne?

- Zdejmiecie mi ogon, muszę mieć wolną rękę. Sprawdzę to, uprzedzam.

- Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukasz?

- Przecież umie pan prorokować.

Jakiś młody policjant wsadził głowę przez uchylone drzwi, ale zanim zdążył się odezwać, oficer odgonił go strzepnięciem dłoni.

- Coś jeszcze?

- Drobiazg - pochyliła się, gasząc papierosa wprost na lśniącem blacie biurka, między budzikiem a popielniczką. - Wolę, żeby zwracać się do mnie „pani redaktor”.

Zakupy miały być łatwiejszą częścią zadania. Nie spodziewała się kłopotów ze strony policji; dobrze rozumieli, o co idzie gra.

Wstąpiła do domu, ale nie zatrzymała się tam długo, wrzuciła do torby tylko parę najpotrzebniejszych rzeczy. Choć po zarwanej nocy marzyła o drzemce, nie miała odwagi wsunąć się do zimnej pościeli, wciąż jeszcze przesiąkniętej zapachem Andrzeja. Nie mogła się rozklejać, nie teraz. W ciszy pustych pokoi czuła się obco, uciekła w miejski gwar.

Niewielka hurtownia ulokowała się w najlepszym możliwym punkcie, naprzeciw kurii. Nie musiała nawet zabiegać o reklamę - odrapany szyld, trójkąt z dykty na rogu ulicy, to wszystko. Miała stały, pewny zbyt, omijały ją wahania koniunktury.

- Słucham panią?

Właściciel był pulchnym człowieczkiem w okularach, które wyolbrzymiały jego oczy, jak u sowy. Miał szczątkowy, staromodny wąsik, nerwowo poruszający się nad górną wargą.

- Potrzebuję paru rzeczy - przywołała na twarz neutralny uśmiech.

To nie było miejsce, gdzie mogła zachować anonimowość. Rozlane za cylindrycznymi szklami źrenice sprzedawcy patrzyły surowo, niemal z wyrzutem. Chyba nieczęsto miewał takie klientki.

- Słucham? - powtórzył, jednocześnie unosząc dłoń, jakby zamierzał ją wyprosić.

- Poproszę o... - niepewnie podeszła do przeszklonej gabloty, pełnej srebrzystych rozbłysków. - Taki kociółek z miotką.

- Kropidło tradycyjne - uniósł brwi wysoko ponad oprawki okularów - Coś jeszcze?

Zaczerwieniła się, dyskretnie rzuciła okiem w głąb pomieszczenia, żeby sprawdzić, czy na pewno są sami.

- Nie bardzo się orientuję, pan rozumie... Potrzebny mi taki metalowy pojemnik z przykrywką, który huśta się na łańcuszkach.

- Trybularz - odpowiedział oschle, głęboko urażony jej ignorancją - Niklowany czy pozłacany?

- Najtańszy. I kadzidło.

- Ziołowe, żywiczne? Mielone, granulat?

- Wszystko jedno.

- Węgle też?

- Też. I świece. Tuzin.

Przyjął zapłatę w milczeniu, ale kiedy chciała schować towar do torby położył na zakupach dłoń.

- Czy mogę wiedzieć, po co pani to wszystko?

Spociła się gwałtownie, jak przyłapana na czymś wstydliwym.

- To będzie eksperyment.

Poprawił okulary, spojrzął badawczo. Musiała brnąć dalej.

- Wie pan, mamy szeroko zakrojony program badań, i w ogóle... Jest nowa dyrektywa unijna - wyprostowała się, przeszła do ofensywy. - Badamy wpływ kadzidlanoego dymu na wypadanie włosów.

- Co też pani mówi? - zmiękł od razu, na chwilę zamarł z otwartymi ustami - Kto by pomyślał!

- Radzę na wszelki wypadek dołączać do towaru ulotkę ostrzegawczą, to pozwoli uniknąć w przyszłości procesów o odszkodowanie - zarzuciła torbę na ramię, uśmiechnęła się współczująco. - Miłego dnia.

Portier drzemał przed telewizorem, ale na dźwięk otwieranych drzwi uniósł jedną powiekę.

- Do kogo?

Kiedy była tutaj poprzednio, nikt jej nie zatrzymywał, ale teraz, po zniknięciu profesora, chyba zaczęli dmuchać na zimne. Cóż, była na to przygotowana.

- Do dziadka.

- To dom starców, tu same dziadki. Nazwisko?

Schylła się przed niskim półokrągłym okienkiem portierni.

- A jeśli powiem, że Johnnie Walker, zdziwi się pan?

Zamrugał żywiej, poruszył się niespokojnie w fotelu. Kiedy zobaczył kanciastą butelkę, wierzchem dłoni otarł wargi.

- No, nie wiem...

- Proszę się nie krępować. Łatwiej będzie panu dotrzeć do końca dniówki.

- Ciągnę dzisiaj dwie zmiany, za kolegę.

Westchnęła ze zrozumieniem, postawiła na marmurowym parapeciku drugą whisky.

- Jazda - zestawiał butelki pod stolik, odwrócił się plecami.

Łatwo trafiła do pokoju profesora, na parterze, w końcu korytarza. Miała klucz, na szczęście jeszcze nie wymienili zamków. Cicho wsunęła się do środka, nie zapaliła światła. Wiedziała, gdzie szukać. Otworzyła wpuszczoną w ścianę szafę, odepchnęła na bok wieszaki z płaszczami. W głębi znalazła zamaskowane, rozsuwane drzwiczki.

Nie spodziewała się, że aparat będzie aż tak ciężki. Z mozołem wytoczyła ze schowka starą obudowę od pralki „frani”, z bebeczami aparatury i plątaniną gumowych rurek w środku. U dołu sterczała rynienka odpływu, po podłodze wlokł się długi wąż z końcówką od odkurzacza. Na płycie sterowniczej tylko jeden czerwony przycisk.

Nagle zrobiło się jasno, odruchowo skoczyła do drzwi. Opanowała się z trudem, odwróciła powoli.

W bujanym fotelu siedziała pielęgniarka, ta sama wiedźma, która czuwała nad spokojem profesora wtedy w parku. Patrzyła na Dorotę spokojnie, bawiąc się wyłącznikiem nocnej lampki i lekko przechylając głowę z boku na bok, jakby coś rozważała.

- Czekałam na ciebie - wstała, wygładziła na biodrach biały fartuch. - Wiedziałam, że przyjdiesz.

Nie wzywała pomocy, nawet nie podniosła głosu, więc Dorota pozwoliła sobie na jeden głębszy oddech.

- Mogę wszystko wytłumaczyć.

- Nie musisz. Profesor cię przysłał, tylko on mógł dać ci klucz - uśmiechnęła się zgorzkniale, odgarnęła z czoła kosmyk siwiejących włosów. - Nie wspominał o mnie, prawda?

Dorota wykonała nieokreślony gest, starała się zyskać na czasie. Póki nie miała pewności, do czego zmierza ta rozmowa, musiała być bardzo ostrożna.

- Poświęciłam mu dwadzieścia lat. Byłam przy nim dzień w dzień, od rana do wieczora, a często nawet w nocy. Tylko dzięki mnie mógł całkowicie poświęcić się pracy. Kryłam go przed dyrekcją, ja jedna wiedziałam, co naprawdę dzieje się w tym pokoju. Wynosiłam dla niego z warsztatów każdą część, jakiej zażądał, szperałam na bazarach, wydawałam własne pieniądze na specjalistyczne książki. Wiele razy odra-

towrywałam go z zatrucia toksycznymi oparami, opatrywałam poparzone dłonie, którejs nocy ugasiłam w zarodku pożar. Opiekowałam się nim, odpędzałam wścibskich dziennikarzy, dbałam, żeby nie docierały do niego szyderstwa innych uczonych. Wszyscy mieli go za wariata, tylko ja wytrwałam przy nim do końca - potrzęsnęła głową, dokończyła ciszej. - Nigdy nie wyszłam za mąż. Nie mam dzieci, nie mam prawdziwego domu. Oddałam mu najlepsze lata życia. Czy wolno mi było oczekiwać, że po tym wszystkim napisze do mnie choć kilka słów na pożegnanie?

- Na pewno nie chciał sprawić pani przykrości...

- Oczywiście, że nie chciał! Byłam jego narzędziem, a narzędzia nie miewają przecież uczuć. Zdecydowanym ruchem odsłoniła żaluzje, na ścianie rozbłysły pręgi słonecznego światła. - Dostyc tego rozczulania się. Chodźmy.

- Dokąd? Dorota zmrużyła oczy przed jasnością.

- Do niego.

- Obawiam się, że na razie nie będzie pani mogła go zobaczyć. To zbyt niebezpieczne.

- Posłuchaj, panienko! Wbiła zaciśnięte pięści w kieszenie fartucha.

- Nie pozwolę, żeby te moje dwadzieścia lat poszło na marne. Przecież widzę co się dzieje. Profesora szuka nie tylko policja, węższą tutaj różne zbiry. Widziałam, jak rozmawiali z portierem, a tego pijaka łatwo zastraszyć albo przekupić. Na pewno już zawiadomił ich, że przyszłaś, niedługo tu będą.

Dziewczyna objęła ramionami metalowy walec, ale dźwignęła go tylko odrobinę i zaraz wypuściła. Zastygła w pochyleniu, zdawało się jej, że z głębi korytarza dobiegają podniesione głosy.

- Tędy! We dwie damy radę.

Pielęgniarka szarpnięciem otworzyła okno, wiatr wydał firankę. Rzuciła fartuch na łóżko, usiadła na parapecie i przełożyła nogi na drugą stronę. Krzyki umilkły, ktoś biegł korytarzem.

- Niech pani zaczeka. - Dorota wyprostowała się powoli.
- I tak chciałam z nimi porozmawiać.

Nie wiedziała, jak się zachować, onieśmiewało ją to dziwne połączenie naukowego eksperymentu i mistycyzmu. Wyczuwała w tym posmak bluźnierstwa, jak wyzwanie rzucone rozumowi i wierze zarazem, naruszenie tabu. Usiadła w pierwszej ławce, na samym brzeżku, w każdej chwili gotowa rzucić się na kolana albo uciec.

- Jest pan pewien, że to się uda, profesorze? - spytała szeptem.

- Niczego nie jestem pewien. Może wydarzyć się wszystko albo nic.

Nie mogła go widzieć, był tylko głosem w ciemnościach, dobiegającym gdzieś zza ołtarza. Przed stopniami ział pustką kwadrat po usuniętej płycie znad krypty, czarniejszy niż mrok. Było bardzo zimno, w szczelinie pod drzwiami kaplicy świszczął wiatr.

- Niech pan zaczyna, nie mamy wiele czasu.

Zużył kilka zapalek, zanim udało mu się zapalić pierwszą świecę, chyba drżały mu dłonie. Płomyk oświetlił krucyfiks i kawałek białego obrusa; otwór jeszcze bardziej pomroczniał, unosił się nad nim ledwie dostrzegalny opar. Profesor położył na ołtarzu plik kartek, śliniąc palec przerzucił kilka stron.

- Szczęście, że przyniosłaś te notatki. Tu są wnioski z moich wieloletnich badań, ściśle obliczenia, bez których nie moglibyśmy nic zdziałać.

Rozstawił kolejne świece wprost na posadzce, tworząc wokół krypty świetliste koło. Na końcu podniósł największą, bardzo grubą, z białym kołnierzykiem koronki.

- Czy to na pewno poświęcona gromnica? - osłonił dłonią drżący ogienek, zszedł niżej.

- Moja, od chrztu.

Skinął głową, osadził świecę w wysokim lichtarzu i postawił na krawędzi otworu. Opar wydawał się teraz bardziej gęsty, jak nad kanałem ulicznym, odsłoniętym w mroźny dzień. Profesor wsypał do metalowego pojemnika, gdzie żarzyły się już węgielki, trochę kadzidła, rozhuśtał trybularz, aż zaskrzypiały łańcuszki. Okadził każdy róg otworu po kolei, a kiedy skończył, w powietrzu wisały kłęby wonnego dymu, z wolna unoszące się ku stropowi. Wydawało się chwilami, że coś prześwieca zza tej zasłony, jak błyskawice w burzowych chmurach.

- Parodiuje pan liturgię. Dorota otuliła się szczelnie płaszczem, marzyła coraz bardziej. - To jest w najlepszym wypadku niestosowne.

Osnuty dymem białowłosy i zarośnięty starzec wyglądał teraz jak średniowieczny eremita. Blask świecy wydobywał z cienia tylko połowę jego twarzy. Sięgnął po kropidło, zrosił obficie kryptę, posadzkę i pierwsze rzędy ławek.

- Nie możemy niczego zaniedbać, to są metody wypracowane przez pokolenia. Nie podjąłbym się próby wytrącenia czystego Tchnienia bez takich zabezpieczeń. Ale to nie wystarczy.

- Co jeszcze?

- Potrzebujemy zagęszczacza.

Usiadł na klęczniku, ściskając między kolanami wielki drewniany młynek do kawy. Zakręcił korbką, marszcząc brwi zajrzał do szufladki, mielił dalej w milczeniu.

- To jakiś specjalny związek chemiczny?

Młynek co rusz utykał na coś twardszym, profesor stękał z wysiłku. Musiał napierać na korbę obiema rękami, opór ustępował z niepokojącym chrzęstem.

- Do sztucznej syntezy jeszcze daleko. Póki co, musimy opierać się na... hm... na dostępnych surowcach naturalnych.

Kiedy pojęła, co miał na myśli, turkotanie młynka nagle zabrzmiało jak diabelski rechot. Żeby wytrwać na miejscu, musiała zatkać uszy. Profesor wyjął wreszcie szufladkę, rozgrzebał palcem szary proszek, szukając niezmielonych odłamków kości, a potem ostrożnie przesypał wszystko do „frani”.

- Masz skrupuły? Zatrzasnął wieko urządzenia, rozwinął kabel, wetknął wtyczkę do gniazdka w ścianie. - Niepotrzebnie. Każdy postęp wymaga śmiałych decyzji.

- Sprofanował pan zwłoki!

- Zabrałem tylko kawałek, dla ściśle określonych celów. Rozczłonkowywanie relikwi to praktyka znana od dawna, odkąd tylko ludzie poznali ich moc.

Wdusił czerwony przycisk, silnik zaszemrał z cicha. Podniósł lejkowatą końcówkę gumowego węża i skierował w górę, w stronę snujących się pod sklepieniem kadzidlanych dymów. Zachwiał się płomyk świecy, po ścianach przemknęły spłoszone cienie. W strumieniu zasysanego powietrza wirował kurz. Smugi dymu poruszyły się z wolna, rozciągnęły, a potem kolistnie spłynęły w dół, przyspieszając i ginąc w szumiących trzech aparatury.

- Teraz uwaga, będzie trochę hałasu! - rzucił wąż, cofnął się kilka kroków.

Obudowa zadygotała, wypadło trochę przerdzewiały ch śrubek, w środku zadudniło głucho. Końcówka węża parsknęła siwym obłoczkiem, silnik zarzęził, woń kadzidła mieszała się ze swądem przypalanej gumy. Błysnęło, jak przy zwarciu, trzasnęło, silnik zgasł. Zrobiło się tak cicho, że Dorota usłyszała tramwaj podzwaniający za cmentarnym murem.

- Zepsuło się? Wstała, ale nie miała odwagi podejść bliżej.

- To prototyp. I tak wytrzymał dłużej, niż przypuszczałem. Profesor był blady z przejęcia, mówił na dziwnym przydechu. - Proszę o próbówkę, szybko.

Przez chwilę nerwowo przeszukiwała kieszenie płaszcza, nim znalazła niewielkie, szklane naczynie. o zaokrąglonym denku. Starzec przyklęknął na jedno kolano, podstawił próbówkę pod wąski odpływ „frani” i zamarł bez ruchu.

Bardzo powoli rynienką spłynęła cieniutka strużka świetlistej cieczy, wreszcie zadrżała i urwała się. Na dnie próbówki zebrała się odrobina płynnej jasności, zbyt jaskrawa, żeby patrzeć na nią wprost. Blask przeświecał czerwono przez końcówki palców profesora, ale szkło chyba nie nagrzewało się.

- A więc jednak dokonałem tego! Podniósł się ostrożnie, kolorowe ogniki rozbłysły nawet w szkiełkach witraży. - To jest esencja Bożego Tchnienia. Moc, która scala wszechświat. Jedyne prawdziwy Graal, jaki kiedykolwiek istniał.

Dorota nie odczuwała uniesienia, tylko męczącą obawę, jakby dopomogła w zuchwałej kradzieży.

- Niech pan się pośpieszy - wydusiła nieswoim głosem. Miała wrażenie, że światłość przenika przez ubranie, przez ciało, prosto w duszę, wydobywając z ukrycia nagą szpetotę grzechów.

- Rozprasza się! Zanika! Rozpaczliwy krzyk profesora zahuczał pod tukami sklepienia. - Dawaj gromnicę, szybko!

Podbiegła ze świecą - płomyk zafurkotał, ale nie zgasł. Nie czuła bólu, kiedy po dłoni ściekał stopiony wosk. Profesor przechylił probówkę nad kopcącym knotem, na szklanej krawędzi zawisła gęsta jak żywica płomiennoczerwona kropla. Zachwiała się, wydłużyła, a kiedy liznął ją płomień, gwałtowny rozbłysk na kilka sekund odebrał Dorocie wzrok.

Brzęknęło rozbite szkło, profesor dyszał spazmatycznie. Dziewczyna osuszyła rękawem łzy, ostrożnie rozchyliła piekące powieki.

Świeca płonęła łagodnym, kulistym światłem, bez dymu, ciepła i zapachu. Blask już nie oślepiał, koił przewrażliwione źrenice, uspokajał i topił lodowatą skorupę strachu.

- Jakie to piękne... - szepnęła.

Profesor osunął się na ławkę, był wyczerpany. Z zachwytem chłonał jasność szeroko otwartymi oczami, ale poprzeczna fałda na jego czole nie wygładziła się.

- Gromnica to zbyt słabe paliwo, utrzyma Tchnienie w tym stanie zagęszczenia tylko przez kilka minut.

Sferyczny płomień trawił świecę centymetr po centymetrze, od czasu do czasu na boki strzelały snopy zimnych iskier. Dorota czuła, jak wosk mięknie w zaciśniętej dłoni. Pomyślała, że kiedy Tchnienie dopali się, nie wystarczy jej sił, żeby żyć dalej w ciemności.

- Niech pan coś zrobi!

- Nie spodziewałem się, że proces przebiegnie tak szybko... - przygładził sterczące, jakby naelektryzowane włosy. - Trzeba ryzykować. Najlepszą, naturalną pożywką dla Tchnienia jest ludzka dusza.

Odsunęła świecę na długość wyciągniętej ręki, iskry cicho sypały się na mankiet płaszcza.

- O tym nie było mowy.

- W nauce nie wszystko da się przewidzieć, czasem eksperymenty wymykają się spod kontroli. Wtedy trzeba improwizować - wskazał na jeden z witraży, gdzie wychudzony mnich ze złożonymi modlitewnie dłońmi unosił ku niebu twarz w otoku złocistego nimbu. - Dawniej ludzie nie bali się tego światła.

- Nie jestem gotowa na świętość! Płomień niepowstrzymanie sunął w dół.

- Cóż, ja też nie. Ale gdybym teraz stchórzył, byłbym jak Kolumb, który widzi na widnokręgu nowy ląd i nie przybija do brzegu.

Niespodziewanie skrzypnęły drzwi. Nocny powiew przyniósł zapach butwiejących liści, odwrócili się oboje.

Stróż uwiesił się na mosiężnej klamce, szybko mrugał małymi, zapijaczonymi oczkami.

- Co... co... - odbiło mu się, w zdumieniu uniósł brwi. - Co jest?

Dorota troskliwie osadziła świecę w lichtarzu. Ciężki węzykiem dobrnął do ostatniej ławki i zakotwiczył tam na chwilę, przytrzymując się oparcia. Deprymowała go światłość, ale uspokoił się trochę, kiedy rozpoznał profesora.

- Myślałem, że to włam. Chwiejnie ruszył naprzód, od oparcia do oparcia. Dostrzegł dziewczynę, namarszczył się chmurnie. - A ta tu co?

- Moja asystentka, proszę się nie obawiać. Przyszedł pan w samą porę, potrzebujemy pańskiej pomocy.

- Chyba skoczę po gaśnicę? - szedł coraz wolniej, trochę wytrzeźwiał. - Jara się jak diabli!

- To złe porównanie. Profesor łagodnie wziął go pod rękę, podprowadził bliżej. - Czy chciałby pan przysłużyć się nauce?

Stróż wyprostował się z godnością, po wojskowemu strzelił obcasami.

- Jestem do dyso... do dyspozycji... - poczerwieniał z wysiłku. - Do usług. O co się rozchodzi?

- Zostanie pan świętym.

Wyrwał rękę, zatoczył się na klęcznik, z trudem utrzymał równowagę. Próbował rozbieganym wzrokiem objąć jednocześnie dziewczynę i naukowca.

- Jaja sobie robicie?

- Nie. Proszę mi zaufać. Przecież zawsze pan o tym marzył, prawda? Cel nigdy nie był tak bliski, wystarczy chcieć.

Stróż opadł na kolana, próbował się przeżegnać, ale zabrakło mu koordynacji. Otwierał i zamykał usta, przewracał oczami, zmagając się z alkoholową czkawką.

- Nie łżesz pan? - wystękał wreszcie.

- Ani trochę.

- Będę świętym? Takim prawdziwym, jak ten na witrażu? Z tym tutaj i w ogóle? - nakreślił palcem nad głową kółko.

- Oczywiście.

- Tak bez procesu?

- Miał pan przecież w życiu już kilka procesów, to wystarczy. Profesor nadał wagę argumentowi patriarchalnym uniesieniem wskazującego palca.

- Ale trzeba decydować się szybko. Kiedy zgaśnie świeca, szansa przepadnie.

Cięć odetchnął głębiej, zamknął oczy.

- Dawaj pan - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Dorota rozłożyła ramiona, zagradzając profesorowi drogę do lichtarza.

- Nie wolno nam!

- Zgodził się.

- Jest pijany.

- Nie aż tak bardzo - podszedł, spojrzął jej z bliska w oczy. - Jeszcze minuta wahań, a będziesz mogła zacząć rozglądać się za nowym narzeczonym.

Płomień był już tak nisko, że kiedy profesor chwycił ogałek, ręka aż po łokieć zanurzyła się w blasku. Ciężko nie patrzył, zamarł z głową wciśniętą w ramiona. Wosk z przechylonej świecy kapał mu na czoło i ściekał niżej, zastygając na twarzy płataniną poskręcanych nitek. Ogień jeszcze pojaśniał buchnął iskrami, a potem nagle spłynął z knota, obejmując od razu całą głowę.

Stróż zerwał się, machając rękami, jakby chciał wzlecieć do witraży, gwałtownie zwymiotował mieszaniną spirytusu i żółci. Zaczął kwiczeć nieludzko, piskliwie, prawie bez przerw dla nabrania oddechu, wirując w jakimś obłądnym tańcu. Wśród płomieni ledwie widzieli jego twarz, artretycznie powykręcanymi dłońmi usiłował zedrzeć z siebie świetlisty welon.

- Jezus Maria! Dorota chciała skoczyć na pomoc, ale profesor pchnął ją na ławkę i nie pozwolił wstać.

- Do świętości dochodzi się przez cierpienie. Dręczą go jego własne grzechy. Widzi teraz siebie samego takim, jaki jest naprawdę, w krótkim czasie musi odpokutować za całe życie.

- To go zabije!

- Nie, ten ogień oczyszcza i wyzwala. To jak wybielacz duszy, rozumiesz? Laboratoryjnie czysta, doskonała świętość.

Ogień zadymił czarnymi, tłustymi kłębam, które ociężały ulatywały w górę, jak kłaki brudnej waty. Rozszedł się intensywny smród rozkładu, zgnilizny, rynsztoka. Gruba warstwa sadzy szybko pokryła witraże, obrus ołtarza wyglądał jak stara szmata.

- Uważaj! Profesor osłonił twarz przed buchającym dymem. - To były lżejsze występki, teraz pójda grzechy śmiertelne.

Nie chciała patrzeć, ale nie potrafiła oderwać wzroku. Z ust, z nosa i z uszu ciecia wyślizgiwały się długie, smoliste robaki, spełzały na plecy i pierś, wijąc się spadały na podłogę. Próbowaly szukać schronienia w szczelinach między płytami, ale w jasnym świetle szybko zamieniały się w kupki popiołu. Zaraz po nich z furkotem osmalonych skrzydełek po kaplicy rozsypał się rój włochatych ciem, które przez chwilę tłukły się o szkła witraży, a potem opadły pod ścianami grubą warstwą spalenizny. Na końcu, kiedy blask już łagodniał, z szeroko otwartych ust wysunął się gruby jak stylisko od łopaty wąż. Owinął się wokół szyi stróża i zwarł sploty, powodując wytrzeszcz przekrwionych oczu, ale szybko osłabł i zatrzepotał na posadzce. Znikł, pozostawiając na kamieniu wypalony falisty ślad.

Cięć uspokoił się nagle, przestał dygotać, opuścił luźno ramiona. Płomień przygasł, stopniowo tracił barwę, upodobił się do prześwietlonej słońcem mgiełki. Z wolna uniósł się do góry i zawisł ponad głową przejrzystym obłoczkiem, ledwie widoczny, jak drgające w upale powietrze.

- I po bólu. Profesor otrzepał dłonie, wzbijając tuman szarego pyłu.

Stróż złożył ręce i podniósł wzrok, jakby chciał dojrzeć delikatny zarys nimbu. Był bardzo spokojny, policzki pod za-

rostem poróżowiaty, uśmiechał się skromnie. Wydawał się nieobecny myślami, chyba szybował duchem gdzieś w mistycznych przestworzach, nieosiągalnych dla zwykłych grzeszników.

- Czy on...? Dorota zawiesiła pytanie, stukając się palcem w czoło.

- Trochę. Nie bez przyczyny takich jak on nazywa się Bożymi szaleńcami. Przyjął bardzo dużą dawkę Tchnienia, przez kilka dni będzie z nim utrudniony kontakt.

- A potem?

- Potem, to już ja się nim zaopiekuję. Zamiast profesora odpowiedział ktoś inny.

Zadarli głowy w stronę chóru, skąd dobiegł męski głos. Wisiał tam gęsty cień, mogli odróżnić tylko czarne, niewyraźne sylwetki.

- Nie tak się umawialiśmy! Dorota poczuła, że do twarzy napływa jej gorąca krew. - Mieliśmy się spotkać, kiedy będzie po wszystkim!

Jedna z mrocznych postaci nagle zrobiła się wyższa - chyba stanęła na marmurowej balustradzie.

- Musiałem zabezpieczyć się przed szachrajstwem. I chyba miałem rację. Obiecałaś mi próbkę Tchnienia i technologii produkcji, a co tu mamy? Spaloną pralkę i świecące delirium.

Poczuła lekkie dotknięcie w ramię, profesor patrzył na nią bez gniewu.

- Przepraszam... - oczy nabiegły jej łzami. - Zmusili mnie. Grozili, że... że...

- Cii... Wiem. Przytulił ją, potem odsunął się trochę i starł jej z policzka kropelkę słonej wilgoci. - Nie martw się. To był twój obowiązek, w życiu najważniejsza jest miłość.

- Więc nie ma pan do mnie żalu? Nagle zwężyły się jej oczy, zeszywniała.

- Od początku wiedział pan, że to zrobię, prawda?

- Oczywiście. W moim wieku nie można sobie pozwolić na naiwność.

W zamyśleniu przyłożył palec do warg. - Niepotrzebnie im tylko powiedziałaś, gdzie jestem. To komplikuje sprawy.

- Nie powiedziałam! Znowu zdławiło ją przerażenie, wpatrzyła się w ciemność na chórze.

Nad ustawionym w kącie starym, odrapanym konfesjonalem zapaliła się lampka. Usłyszeli trzykrotne stukanie, rozchyliły się fioletowe zasłonki.

- Ja to zrobiłam. W głębi zamajaczyła blada twarz pielęgniarki.

- Kazałam pani czekać przed bramą cmentarza! - krzyknęła Dorota.

Dopiero teraz profesor stracił spokój. Cofnął się niezdarnie, zaplątał nogą w gumową rurę.

- Pani też bierze w tym udział? Dlaczego?

Kobieta pchnęła drzwiczki, wstała energicznie, poprawiając siwiejący kok.

- Zaskoczony? Zabawne! Uśmiechnęła się, ale oczy pozostały zimne.

- Po dwudziestu latach psiej służby porzuciłeś mnie bez powodu, bez wyjaśnienia, jak zepsuty grat. Wydaje ci się, że od ludzi można żądać wszystkiego, nie dając w zamian nic?

- Nie przypuszczałem, że to panią dotknie.

- Dureń! - huknęła, aż zatańczyły ogniki na knotach. - Byłeś dla mnie wszystkim, niewdzięczniku, i dobrze o tym wiedziałeś! Po prostu masz to gdzieś, jak każdy facet. Wystarczyło, że napatoczyła się jakaś siksa, która umie wlać w twoje

stygające żyły trochę ognia, a zaraz wylazł z ciebie lubieżny świntuch.

- Pani się zapomina.

- Milcz! Mogłabym ci to darować, bo nie mam już szesnastu lat i znam życie. Nikt nie wie lepiej ode mnie, że brakuje ci sił, żeby uszczknąć choć trochę z tej słodyczy, na którą się połakomiłeś - kopnęła „franię”, aż zadźwięczała obudowa. - Ale tego do końca życia ci nie wybaczę. Chociaż nie znam się na fizyce, beze mnie nigdy nie wyszedłbyś poza teorię. Razem zbudowaliśmy to urządzenie, rozumiesz? Ja i ty. Myślałam, że kiedy skończymy, przejdziesz do historii, a i ja pogrzeję się trochę na starość w blasku twojej chwały. Czy chciałam wiele? Ukradłeś jedyne marzenie, na jakie sobie pozwoliłam.

- Pani zwariowała. Z przekonaniem pokiwał głową.

- Dopiero zaczynam! - roześmiała się głośno, pokazując nadpsute zęby.

- Przekonasz się, jak niezdolna potrafi być upokorzona stara panna. Zapłacisz mi za te dwadzieścia lat. Wszyscy zapłacą!

Wzdłuż ścian zapłonęły lampy na kinkietach, zrobiło się całkiem jasno. Dorota zsiniała na twarzy, jakby nagle zabrakło jej powietrza. Nie odrywała wzroku od chóru.

Andrzej klęczał na balustradzie, z pętlą zaciśniętą na szyi, podtrzymywany z obu stron przez zbirów w czarnych kominiarkach. Usta zalepili mu szeroką taśmą, przerzucili sznur przez belkę pod stropem. Miał zamknięte oczy, wisiał w ich ramionach jak bezwładna kukła.

- Andrzejku! - wybiegła na środek nawy. - Wypuście go! Macie, co chcieliście.

- Czy aby na pewno? Trzeci porywacz wyłonił się z półmroku w głębi chóru, niedbale oparł się o balustradę. - Przekonaj mnie.

Wyglądał inaczej niż tamci - niższy, szczuplejszy, w taniej, znoszonej marynarce. Otwory na oczy w kominiarce ułożyły się krzywo, chyba nie miał w tym wprawy.

Profesor podniósł kawałek szkła z rozbitej menzurki, podszedł do stróża i z przepaszającym chrząknięciem odgiął jeden z palców jego złożonych modlitewnie dłoni. Lekko naciał opuszkę, na chusteczkę do nosa wycisnął kilka czerwonych kropelek. Cieć niespokojnie potrząsnął nimbem, aż po ścianach przebiegły refleksy, ale nie zaprotestował.

- Ten człowiek stał się żywą relikwią, każda komórka jego ciała wchłonęła Tchnienie. Naukowiec sięgnął do kieszeni po pudełeczko, które Dorota poznała od razu. - To można łatwo udowodnić.

Wpakował do środka zmiętą zakrwawioną chustkę, rzucił pudełeczko w górę. Porywacz wychylił się przez balustradę, złapał, kręcąc sceptycznie głową zajrzał pod wieczko.

- Jak?

- Zwyczajnie. Mógł pan urznąć palec, może pan i przykleić.

Andrzej drgnął, kiedy odwijali brudny bandaż z jego prawej ręki. Była opuchnięta, czarna od zaschłej krwi. Odcięty palec wydawał się zbyt mały, jakby pochodził z innej dłoni. Porywacz przytknął go ostrożnie do rozjątrzonej rany, przez chwilę przymierzał, szukając właściwego ułożenia, docisnął. Wolną ręką strzepnął chusteczkę, sprawnie obwiązał zbiegający kciuk.

- No i? Niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę.

Andrzej wyprężył się nagle, otworzył szeroko oczy; zaraz potem znowu zwiotczał. Dorota zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć. Porywacz rozsuptał chustkę, podniósł bezwładną rękę chłopaka za nadgarstek i zbliżył do oczu. Zakręcił kciukiem w prawo i w lewo - palec trzymał mocno. Jak przyrośnięty.

- Czy to rozwiewa pańskie wątpliwości? - spytał profesor sucho.

- Rozwiewa. Dawajcie ciecia i rozstaniemy się bez złości.

- Nie! Dorota skupiła się na tym, żeby nie zadrżał jej głos. - Najpierw Andrzej.

Porywacz w udanym roztargnieniu położył dłoń na karku chłopaka, tuż poniżej węzła pętli. W każdej chwili mógł zepchnąć go z balustrady.

- Tęsknisz? Przyślę ci go od razu, jeśli chcesz.

Ci w kominiarkach porozumieli się wzrokiem, z kabur pod pachami wyciągnęli pistolety. Dorota wiedziała, że musi postawić wszystko na jedną kartę.

- Niech pan nie popełni błędu, doktorze. Są na świecie gorsze rzeczy niż egzaminowanie tępych studentów. Nie chce pan chyba spędzić reszty życia w dwuosobowej celi z pięcioma skazańcami? Tam nikt nie uszanuje pańskich tytułów, od pierwszego dnia będzie pan tylko cwelem.

Porywacz odskoczył raptownie w cień, ale po chwili wahania zawrócił. Zsunął kominiarkę, w wewnętrznej kieszeni marynarki znalazł okulary i założył na nos. Wszystko się w nim zmieniło - stał zgarbiony, bezradny, jakby nastąpiło w nim jakieś wewnętrzne tąpnięcie.

- Skąd wiedziałaś? - spytał głucho.

- Ja jej powiedziałem - wzruszył ramionami profesor. - Wzór, który zostawiłem na ścianie, był pułapką. Tylko tak mogłem sprawdzić, kto wykradał przez lata moje prywatne no-

tatki. Muszę przyznać, że podejrzewałem wiele osób, ale nie pana.

- A co pan sobie, do cholery, wyobrażał? Dawny asystent starego fizyka wybuchnął niespodziewanie. - Że pozwolę na to, żeby tajemnica Graala ugrzęzła w pańskim grobie na następne tysiąclecie? Jest pan geniuszem, ale jednocześnie największym arogantem wszystkich czasów, jeśli uznał pan to odkrycie za swoją prywatną sprawę. Moim obowiązkiem było zmusić pana do tego decydującego eksperymentu, za wszelką cenę. Zrobiłem wszystko, co mogłem, nawet przekazałem teczkę z notatkami i zapewniłem motywację.

- Teraz przynajmniej wiem, jak to się stało, że znalazł pan wspólny język z moją pielęgniarką. Profesor uśmiechnął się cierpko. - Oboje chcecie zbawić ludzkość.

- Niech pan nie kpi! Gdyby inni wynalazcy myśleli jak pan, do dzisiaj łupalibyśmy kamienie. Nauka musi iść naprzód.

- Ślicznie powiedziane, ale zapomina pan o jednym - zachwiał się lekko, Dorota podała mu ramię; był już bardzo zmęczony. - Bożego Tchnienia nie można przerobić na pigułki i sprzedawać w aptekach.

- Technologię z czasem uda się dopracować.

- Nie o to chodzi! Ludzie zawsze znali tę moc, umieli z niej korzystać. W każdej epoce rodzili się święci, którzy potrafili zageścić Tchnienie bez żadnej aparatury, samą żarliwością duszy. Uzdrawienia, bilokacja, lewitacja, nawet wskrzeszenia - wszystko to znano od początku, od Adama i Ewy. Ale na takie wyżyny wspinali się tylko najwytrwalsi, heroizmem cnót całego życia.

- To kazanie, nie teoria naukowa.

- Nie sprzecajmy się o gatunki literackie. Istotne jest to, że droga na skróty prowadzi do piekła.

- A ten knajpiany świętek w jaki sposób dochrapał się nimbu, jeśli nie na skrót?

- Niczego pan nie zrozumiał. Liczą się intencje. Zrobiliśmy to, żeby ratować zdrowie i życie tego chłopaka, którego pan okaleczył.

- Nie ja, to oni. Doktor ruchem głowy wskazał zbirów. Jeden w zakłopotaniu drapał się łufą po skroni, drugi zerkał ku schodom - Nie chciałem tego, ale uparli się, że mają wypróbowane metody. Z wolna odzyskiwał podszyty rezygnacją spokój, zwiniętą kominiarką otarł czoło. - Co dalej? Antyterrorysty? Obława?

Bandyci zastygli w oczekiwaniu na odpowiedź. Przez brudne witraże przesiewał się blady przedświt, słychać było cichutkie popiskiwanie myszy. Znużony profesor milczał, Dorota pomogła mu usiąść na ławce.

- Opisałam wszystko, co o panu wiem, zapieczętowaną kopertę zostawiłam w bezpiecznym miejscu. Wysunęła się krok naprzód. - Do południa muszę być z Andrzejem w domu, inaczej list trafi na policję.

Tamci sapali głośno, niepewni, czy to dobra wiadomość, czy zła. Okulary asystenta zaparowały raptownie.

- A jeśli was puszczę?

- Wtedy nic panu nie grozi.

- Dlaczego miałbym w to uwierzyć?

- Nie słuchał pan uważnie, co mówił profesor - drżała z niecierpliwości, chciała wreszcie zedrzeć z ust Andrzeja taśmę, zobaczyć ulgę w jego oczach.

- Nie można używać Tchnienia wbrew miłości. Zwłaszcza dla zemsty.

- Taka gwarancja nie wystarczy.

- Innej pan nie dostanie.

Zdecydował się szybko, przekonany jej pewnością siebie, a może po prostu nie wytrzymał napięcia. Zwłókł pętlę z szyi chłopaka, szarpnięciem za kołnierz pociągnął go w tył. Andrzej upadł z łoskotem, bez jęku.

- Nie!

Prawie zapomnieli o pielęgniarce, jakby po odegraniu swojej roli już zeszła za kulisy. Ale wciąż tu była, wargi jej dygotały od gorzkiej, zapiekłej urazy.

- Nie dogadacie się tak łatwo ponad moją głową! - zasyzczała.

Wyszarpnęła z koka długą szpilę, włosy rozsypały się na plecach. Złapała stróża za kaptur bluzy, przyłożyła mu do szyi ostrą końcówkę. Patrzył na nią zezem, nieco zażenowany, jakby padł ofiarą sztubackiego dowcipu.

- Zabieram go! - pociągnęła ciecia tyłem ku wyjściu, podążał za nią drobnymi kroczkami.

- To nie ma sensu.

W tonie głosu profesora musiało być coś szczególnego, co mógł wyczuć tylko ktoś przebywający blisko niego od lat. Pielęgniarka zatrzymała się w progu otwartych drzwi, w których płonął świt, okalając jej potargane włosy czerwoną aureolą.

- Proszę mnie nie zatrzymywać - odezwała się prawie miękko. - Dokończę pańskie dzieło. Zmienię świat.

- Nigdy nie chciałem zmieniać świata.

- Chciał pan, tylko zabrakło panu odwagi! Pociągnęła za kaptur tak mocno, że stróż zaczął się dławić. - Może tak właśnie miało być? Może tylko kobieta potrafi sięgnąć po zakazany owoc?

- Zna mnie pani, jestem bardzo ostrożny. Nigdy nie ośmieliłbym się wyzwolić tak wielkiej mocy, gdyby istniało zagrożenie, że posłuży się nią ktoś Inny.

Nagle przeczucie klęski sprawiło, że twarz pielęgniarki stała się jeszcze brzydsza, z wiedzłowato wydłużonym nosem i zapadniętymi oczami.

- O czym pan mówi?

- Ten człowiek będzie nosicielem Tchnienia tylko tak długo, póki pozostanie bezgrzeszny. Świętość można sztucznie zaimplantować, o wiele trudniej ją utrzymać.

- Nie wierzę...

- To alkoholik, zwykle około południa wypija pierwszą setkę. Kiedy ulegnie pokusie, Tchnienie opuści go.

Kopnięciem podcięła stróżowi kolana, zmuszając go do przyklęknięcia. Oddychała ciężko, włosy zsunęły się na twarz.

- Nie pozwolę mu pić! Będę go trzymać w zamknięciu.

- Wtedy panią znienawidzi. To jeszcze większy grzech.

Jeśli zwątpiła, to tylko na krótką chwilę. Odrzuciła włosy do tyłu, wysunęła szczękę, zmrużyła oczy.

- Może nawet tak będzie lepiej, wcale nie muszę wlec za sobą tego przygłupa. Sama udźwignę brzemień, którego on nie jest godzien.

Położyła dłoń na głowie ciecia. Krztusząc się łapał oddech, wzrokiem zagubionego psa szukał życzliwej twarzy. W dziennym świetle nimb stracił wyrazistość, tylko z rzadka mienił się tęczowymi rozbłyskami.

Profesor pierwszy zrozumiał, co się stanie; próbował wstać, ale opadł bezsilnie na ławkę. Błysnęła szpila, pielęgniarka dźgnęła ciecia w szyję. Nie krzyknął, tylko bardzo szeroko otworzył oczy, jak przerażone dziecko. Buchnęła szkarłatna, tętnicza krew. Kobieta przyssała się do rany ruchliwymi wargami, łykała łapczywie, kocio przymykając powieki.

- Nie patrz. Profesor przyciągnął Dorotę, sękatą dłonią próbował zasłonić jej twarz. - Zaraz pochłonie ją Piekło.

Nie usłuchała go. To nie była pusta ciekawość - po prostu nie mogła odwrócić spojrzenia od tamtych dwojga, znieruchomiałych w absurdalnej pozie, połączonych uściskiem silniejszym niż żądza.

Stróż nie opierał się. Bładł szybko, wargi mu siniały, źrenice uciekały w górę. Przeszły go dreszcze, westchnął z nieśmiałą skargą, głowa opadła na bok. Nimb raz jeszcze rozjarzył się mocniej, wzleciał trochę wyżej, jak płomień nad palnikiem gazowym, a potem nagle zgasł.

Pielęgniarka powoli uniosła twarz. Ułożyła pijaka troskliwie na posadzce, jak śpiące dziecko, wstała, dziewczęcym ruchem zaczesła włosy za ucho. Oddychała przez otwarte usta, równo, głęboko, wargi miała wilgotne i lepkie. Rozglądała się, ale chyba nie dostrzegała nikogo, wsłuchana w samą siebie. Wreszcie uśmiechnęła się - nie tylko skrwawionymi ustami, ale zmarszczkami wokół oczu, drżeniem brody, lśnieniem źrenic. Wyciągnęła przed siebie obie ręce, jakby chciała podzielić się z kimś tą świeżą radością, wykrzyzczyć ją, wytańczyć.

Nie zdążyła. Maleńkie języczki ognia pokazały się równocześnie nad uszami i na czole. Z początku wydawało się, że to narodziny nowego nimbu, ale kiedy kobieta dotknęła palcami skroni, buchnęła nagle huczająca pożoga.

- Nie patrz! Krzyk profesora zginął w narastającym szumie, jakby przez otwarte drzwi do kaplicy wdzierał się wichur, choć dym z dopalających się świec kopał prosto w górę.

Włosy pielęgniarki spłonęły w jednym, gwałtownym rozbłysku, czerwone iskry przez chwilę zarzyły się na brwiach i rzęsach. Jeszcze nie uwierzyła w najgorsze, pomimo bólu stała wyprostowana, z rozrzuconymi ramionami, jak płonący krzyż. To nie był oczyszczający żar Tchnienia, ogień warczał coraz

głośniej, jak rozwścieczony pies. W bieli fartucha powiększały się wypalone dziury, gryzący dym wyciskał łyzy. Zatoczyła się, potknęła na progu, ale nie upadła; rozparła się rękami we framudze, na samej granicy konsekrowanej przestrzeni, zamkniętej starymi, wilgotnymi murami. Zrozumiała, że nie ma już powrotu. Próbowwała jeszcze zebrać o ratunek, ale zamiast krzyku wydobyła z siebie tylko kilka chrapliwych świstów. Wśród płomieni błyszcząły oczy, ogromne, pozbawione rzęs, nabiegłe rozpaczą.

Zadudniły drewniane schody, z chóru zbiegli bandyci. Mieli dosyć, chcieli uciekać, ale bali się zbliżyć do żywej pochodni. Zdarli kominiarki, zaczęli strzelać na oślep, rozjuszeni strachem. Kule gęsto grzęzły w ciele pielęgniarce, podrygiwała po każdym strzale, chwiała się, ale wciąż stała. Tamci stali na szeroko rozstawionych nogach, zadyszani i spoceni, wymieniając ogłupiałe spojrzenia. Zobaczyli pożółkłe zęby, myśleli, że kobieta uśmiecha się do nich, ale to tylko żar strawił zaskorupiałe wargi. Z oczodołów wypłynęły rozmiękłe białka, z bezwłosej czaszki odłaziły płaty skóry, strzępy fartucha zwiąjały się, jak suche liście.

Odwróciła się niezdarnie, na sztywnych nogach, ruszyła alejką, ciągnąc za sobą płomienisty welon. Urwały się ptasie świergoty, słychać było tylko cichnący łopot ognia. Na framudze i na dębowych drzwiach nie pozostał nawet ślad spaleniźny, kłęby gryzącego dymu wsiąkały w słoneczny blask. Po kilkunastu krokach oślepa pielęgniarce zboczyła z prostej drogi, potknęła się na pociągniętym białą farbą krawężniku, upadła na kolana, podparła rękami w rozmiękłej ziemi. Wstrząsnęła nią krótka konwulsja, a może to był ostatni szloch; popełzła dalej. Dotknęła osmalonym czołem krawędzi szarej, grobowej płyty, wczołgała się tam ostatkiem sił, między

zasuszone bukiety i zetlałe wstęgi. Przyłgnęła całym ciałem, jakby chłód marmuru mógł przynieść jej ulgę. Z mozołem, centymetr po centymetrze przesuwała naprzód prawą rękę, na wierzchu dłoni poruszały się ścięgna. Chyba chciała sięgnąć do podstawy nagrobnego krzyża, ale już nie dała rady.

Tapnęło potężnie. Na całym cmentarzu zadźwięczały szklane znicze, poderwało się stadko spłoszonych gołębi, zaszleściła osypująca się ziemia. Płyta pod pielęgniarzką pękła wzdłuż, z głośnym trzaskiem przypominającym wystrzał, obie części ukośnie zapadły się w głąb mogiły. Kobieta zniknęła.

Dorota miała przelotne wrażenie, że na jedno mgnienie oka świat się odmienił, jakby niebo pomroczało i zbladło wschodzące słońce, a powietrze zgęstniało od lepkiej mgły. Zanim w pełni to sobie uświadomiła, wszystko znowu było jak przedtem.

- Nie chciałem tego... Szept profesora był tak słaby, że dziewczyna wcale nie była pewna, czy te słowa naprawdę padły.

Porywacze wybiegli, porzucając broń i kominiarki, przy pękniętym grobie jeszcze przyspieszyli kroku. Ziarna żwiru pryskały im spod butów, ani razu nie obejrzeni się na kaplicę.

Kiedy zniknęli za żywopłotem, huknęły dwa strzały.

Na schodach było ciemno, stopnie przy każdym kroku skrzypiały i dymiły starym kurzem. Chór przecinała smuga światła padająca od wąskiego okienka, z belek stropu zwisały płachty pajęczyn. Dorota z początku nie mogła rozróżnić w półmroku żadnych szczegółów, słyszała tylko nierówny łomot własnego tętna; dopiero po chwili dostrzegła pod balustradą nieruchome, zwinięte ciało.

- Andrzej!

Przypadła do niego, prawie po omacku odnalazła gorącą, moką od potu twarz. Ostrożnie odkleiła taśmę, nie chciała sprawić mu bólu. Jęknął, wymruczał coś niewyraźnie, chyba miał wysoką gorączkę. Przeraziła się, że mogłaby go stracić właśnie teraz, kiedy najgorsze było już za nim. Włączyła telefon, przyciski rozjarzyły się zielonkawo, ale na wskaźniku zasięgu nie pokazała się nawet jedna kreska.

- To na nic - usłyszała.

Aż do tej chwili nie myślała o doktorze, jakby już należał do przeszłości.

- Przy takim stężeniu Tchnienia nigdzie się pani nie dozwoni - wyjaśnił zgaszonym głosem.

- On musi natychmiast trafić do szpitala! Niech mi pan pomoże.

Pochylił głowę, żeby wyjrzeć przez okno, w szklach jego okularów przelewało się słońce. Gwałtownie cofnął się w cień.

- Chłopak jest w bardzo złym stanie, nie może czekać na lekarza. Znowu stał się napięty, jak przyczajony do skoku koczur. - Tylko ty możesz mu pomóc, tu i teraz. Nie słuchaj profesora, w jego wieku nie myśli się już jasno. Przyjmij na siebie Tchnienie i dokonaj cudu.

Milczała, z głową Andrzeja w dłoniach, tężąc z trwogi za każdym razem, kiedy urywał się szmer jego oddechu.

- Nie pozwól sobą manipulować! Masz czyste zamiary, nie grozi ci to, co stało się z pielęgniarką! Rzucił jeszcze jedno spojrzenie za okno, podbiegł do balustrady. - Zrób to! Teraz albo nigdy.

Nie chciała się zgodzić, ale nie miała też na tyle odwagi, żeby wyraźnie odrzucić pokusę. Zwlekała, z wargami przyciśniętymi do słonego, parzącego czoła Andrzeja.

To zdecydowało. Doktorowi wystarczyło energii tylko na ten ostatni, desperacki zryw. Gdy usłyszała szelest sznura i podniosła wzrok, siedział już na balustradzie, z nogami opuszczonymi na tamtą stronę. Starannie dociągnął pętlę na szyi, zadzierając brodę.

- Nie wspominaj mnie źle. Między nami rachunek się zgadza, ty też mnie oszukałaś - zdobył się na uśmiech, podobny do nerwowego tik. - Nie dam się zamknąć, wybieram Piekło. Tam przynajmniej nie trafiają miernoty.

Skoczył. Jęknął napięty sznur, na belce zafalowały pajęczyny. Dorota poczuła mróz na plecach, ale jednocześnie wypełnił ją spokój, jakby właśnie dokonało się to, co powinno. Zdjęła płaszcz, okryła Andrzeja, szybko podeszła do okna.

Alejką nadchodził oficer. Był sam, nie śpieszył się, w zamysleniu odchyłał pistoletem zwisające wierzbowe witki.

Nie dziwił się niczemu. Obojętnie minął zapadnięty grób, przekroczył skrwawione ciało ciecica. Ledwie spojrzał na doktora, który obracał się powoli na sznurze, z szyją wygiętą pod nienaturalnym kątem. Postawił stopę na przewróconej „frani”, oparł się na kolanie i w zadumie pokiwał głową.

- Tyle ofiar, jak na wojnie gangów - spojrzał na profesora z łagodnym wyrzutem, westchnął. - Warto było?

Staruszek był już w bardzo złym stanie. Pótleżał na ławce, głowa mu się trzęsła, z kącika ust wisała nitka śliny. Trudno było zrozumieć jego drżący, cichy głos.

- To nie moja wina...

- Ależ oczywiście, że pańska. Zgrzeszył pan pychą. Czasy heroicznych poszukiwaczy Graala dawno przeminęły, dzisiaj takich rzeczy nie można robić w pojedynkę.

- A jednak udawało mi się to przez całe lata. Skończyłbym badania bez niczyjej szkody, gdyby mi nie przeszkodziło.

- Mówi pan o tym szaleńcu? Policjant niedbale wskazał kciukiem asystenta. - To łajdak, ale proszę go nie sądzić zbyt surowo. Pracował dla nas, był kimś w rodzaju pańskiego opiekuna.

- Raczej szpiega!

- Wszystko jedno. Niestety, był zbyt chciwy. Chciał z pańskiej ucieczki wyciągnąć własne korzyści. Cóż, przeliczył się.

Dorota, potykając się i szlochając, zwlekła na dół nieprzytomnego Andrzeja; jego bezwładne nogi stukały na każdym stopniu. Zatrzymała się na dole, zgięta w pół, splakanyymi oczami szukała pomocy.

- Lekarza, szybko!

Oficer uśmiechnął się życzliwie, jak do dawnej znajomej, spotkanej po latach.

- A, jest i pani redaktor! Jak narzeczony?

- Wezwij lekarza, gnido! Głos łamał się jej z wściekłości i rozpacz. - On umiera!

- Szczerze ubolewam, ale nic na to nie mogę poradzić. Przyszedłem sam.

- Jak to sam? Zastygła w wyrazie znużenia twarz profesora ożywił nagły przestach. - Dlaczego?

Policjant wzruszył ramionami, strzepnął z kłapy marynarki płatki sadzy.

- To bardzo delikatna sprawa. Zapewne nigdy pan się nie dowie, jak wielu możliwych tego świata z uwagą śledziło postępy pańskich badań. Tej sprawie poświęcono tysiące raportów, dwa nieformalne szczyty NATO i tajną klauzulę do umo-

wy konkordatowej. Łatwo sobie wyobrazić, że pańska ucieczka rozpełtała piekło... - obejrzał się przez ramię na widoczny przez otwarte drzwi, dymiący grób - ... w każdym możliwym znaczeniu tych słów.

- Jak pan tu trafił?

- Przez Jacusia. To tylko dzieciak, nie wytrzymał, zajrzał do pudełka. Na komendę przyprowadzili go rodzice, był chory z przerażenia. Muszę przyznać, że trzymał się dzielnie, wycygnął ode mnie stowę, zanim powiedział, gdzie was szukać.

Dorota zaczęła ciągnąć Andrzeja w stronę drzwi. Oficer przyglądał się temu przez chwilę, ale bez wielkiego zainteresowania.

- Na wysokim szczeblu zapadła decyzja, żeby umożliwić panu dokończenie eksperymentu - zwrócił się znowu do profesora.

- O czym pan, na litość boską, mówi?

- Przecież pan wie. Chodzi o sprawdzenie hipotezy o samoczynnej kondensacji Tchnienia, bez aparatury. Planował pan to od dawna.

- Zrzuciłem tę koncepcję. To zbyt ryzykowne.

- O tym też wiemy. Ale, jak sam pan się przekonał, aparatura jest mało wydajna i zawodna - pchnął wypaloną „franię” nogą, potoczyła się z hałasem. - Konieczne jest przetestowanie metody naturalnej.

- Jesteście zgrają zwyrodnialców! Staruszek przycisnął dłoń do serca, przymknął oczy. - Nie zrobię tego.

- Pan nie... Oficer podszedł do Doroty, sięgając po broń. - Ale ona tak.

Usiadła na progu, nie wypuszczając Andrzeja z rąk. Patrzyła w oczy policjanta nieruchomym wzrokiem, struchlała ze zgrozy.

- Czego pan chce?

Pochylił się, z uwagą zmarszczył czoło.

- Jeśli nie zawodzi mnie profesjonalne wyczucie, ten chłopak zaraz przestanie oddychać. Dobrze się składa, nie będę musiał go dobijać. Lufą pistoletu pogładził Dorotę po policzku. - Jeśli naprawdę kochasz go tak mocno, jak ci się wydaje, będziesz umiała go uratować.

Nie rozumiała, czego od niej oczekuje. Cokolwiek to było, przekraczało jej siły. Chciała mu to wytłumaczyć, przekonać go, że się pomylił, ale czarny wylot lufy paraliżował każdą myśl. Czuła, że szybko zbliża się coś, przed czym nie ma odwrotu.

Oficer nie ponaglał, przyglądał się jej z chłodnym zainteresowaniem. Kiedy uznał, że minął czas przeznaczony na tę fazę eksperymentu, wyprostował rękę z pistoletem.

Jednym poruszeniem zagiętego na cynglu palca zgasił cały świat.

Nie było w tym nic wstrząsającego, żadnych gwałtownych wzruszeń, jakich można by oczekiwać w takich okolicznościach. Trochę niepokoju, jak w czasie podróży pociągiem, kiedy wysiadło się przez pomyłkę na złej stacji. Chwilowa dezorientacja, zmieszanie, ocknięcie z głębokiej zadumy.

Leżała spokojnie, zza opuszczonych rzęs patrzyła na równy płomień świecy. Rozróżniała dźwięki: ktoś przemawiał, potem śpiew przy organach, a w momentach ciszy szuranie butów i pokastywanie. Czuła, że nie powinna przeszkadzać, choć jeszcze nie wiedziała, dlaczego. Dręczyło ją nieprzyjemne przeświadczenie, że cokolwiek zrobi, okaże się niestosowne. Trwała więc w bezruchu, z dłońmi splecionymi, sfrustrowana coraz mocniej. Marzła; zastanawiała się, dlaczego w taki ziąb miała na sobie tylko lekką sukienkę. Cisnęły źle dobrane

buty, swędział nos. Próbowiała o tym nie myśleć, ale wreszcie nie wytrzymała, musiała się podrapać.

Ktoś, kto przemawiał, przerwał w pół słowa. Odczuła skruchę, jakby źle zagrała rolę, którą jej powierzono. Chciała załagodzić uchybienie miłym uśmiechem, to zwykle działało na facetów. Usiadła, otwierając oczy.

Przeraźliwy krzyk pulchnej kobiety z pierwszej ławki sprawił, że zadźwięczały lichtarze. Potem absolutna cisza, stupor bladych twarzy.

- Państwo wybaczą, zaszło nieporozumienie. Dorota odezwała się niewyraźnie, z wolna ustępowało odrętwienie policzków. - Nie chciałam sprawiać kłopotów.

Kobiecina miękko osunęła się na podłogę, ale nikt nawet na nią nie spojrział. Wszyscy, ławka po ławce, patrzyli tylko na Dorotę. Wielu miało otwarte usta, jakiś staruszek dostał niepowstrzymanej czkawki.

Poczuła, że się rumieni, zapragnęła uciec stąd jak najszybciej.

- Kontynuujcie beze mnie, proszę...

Niezdarnie przełożyła nogi przez krawędź trumny, z łomotem spadła z wysokiego katafalku. Podniosła się niepewnie, odłożyła książeczkę do nabożeństwa na obszytą koronkami poduszkę.

Coś tu było cholernie nie w porządku, musiała szybko odkryć, co.

Rozświetlony ołtarz, na ambonie łysy kaznodzieja z wielkimi, okrągłymi oczami. Z boku szereg przerażonych ministrantów, wyciągających jeden przez drugiego szyje. Tylko najmniejszy, z brzegu, uśmiechał się do niej promiennie.

- Jacuś!

Przypomniała sobie wszystko w jednym, strasliwym rozbłyску; zmiękły jej kolana, musiała złapać się za krawędź trumny, żeby nie upaść.

Biała sala bez okna, o ścianach obitych dźwiękochłonną wykładziną. Klamka tylko po zewnętrznej stronie drzwi. Przyćmione światło, wciąż takie samo, niezależnie od pory dnia czy nocy.

Pokłuli ją, przeświecili z każdej strony, zadali setki podchwytliwych pytań. Interesowało ich wszystko, od przebiegu chorób dziecięcych po sprawy łózkowe i kulinarne. Miała wrażenie, że szukają czegoś po omacku, jakiegoś punktu zaczepienia, który pozwoliłby zrozumieć, dlaczego w ugruntowanej wiedzy naukowej pojawił się nagle tak drastyczny wyjątek. Nie zamierzała im tego ułatwiać, przynajmniej tak długo, póki sama nie zyska pewności, co właściwie się stało.

Wybrała starannie moment buntu, gdy na dyżurze pozostał tylko najmłodszy z lekarzy, o wyglądzie przestraszonego studencika. Kiedy cicho otworzył drzwi, udawała, że śpi. Czuła, jak się nad nią pochylił, pochrząkując nerwowo. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się; zanim zdążył się zorientować, złapała długopis, wystający z kieszeni jego fartucha i uciekła do kąta.

- Ani kroku, chłopcze! - ostrzegła szybko. - Połknę to i wypieprzę cię na zbity pysk z wilczym biletem.

- Proszę to oddać - starał się być stanowczy, poprawił plakietkę z nazwiskiem.

- Oddam, jeśli będziesz grzeczny.

- Dlaczego pani mi to robi? - zrezygnował od razu; obejrzał się na drzwi, jakby chciał uciec. - Jestem tu na stażu, nie chcę kłopotów.

- Świetnie. Odpowiesz na kilka pytań i po sprawie.

- Nie wolno mi z panią rozmawiać.

Zadarła głowę jak połykaczka mieczy, zbliżyła długopis do ust; pstryknęła dla większego efektu.

- Nie! Okulary stażysty zaparowały błyskawicznie. - Co pani chce wiedzieć?

- Na początek, gdzie jestem. Czy to więzienie?

- Skądże.

- Dom wariatów?

- Nie - ściszył głos, chociaż w tym pomieszczeniu to i tak nie miało znaczenia. - Lecznica rządowa. Oddział zamknięty.

- O! Zaskoczona, dotknęła miękkiej ściany. - Cóż, potraktuję to jak wyróżnienie. A teraz poproszę o zwrot ciuchów, chcę wyjść.

- Jeśli to zrobię i tak mnie wyrzucą! Był bliski płaczu. - Niech mi pani pozwoli wezwać ordynatora. O ile wiem, już odbyło się konsylium, nie wykryli u pani żadnych zaburzeń psychicznych. Chcą panią wypuścić.

- To świetnie. Nie chcę dłużej zajmować tego miejsca komuś z rządu - rozluźniła się, poczuła litość dla tego nieboraka. Rzuciła mu długopis, złapał go w locie, z widoczną ulgą schował do wewnętrznej kieszeni. - Wytrzymam do końca obserwacji, nie będę rozrabiać, ale w zamian proszę o szczerość.

- Słucham! - stanął na baczność.

- Zakładam, że zna pan przebieg wydarzeń, które zakończyły się moją... eee... niedyspozycją.

- Oczywiście.

- Tamtej nocy w cmentarnej kaplicy byt przy mnie narzeczony - zawisła wzrokiem na jego ustach. Nie chciała kończyć pytania, błagała w duchu, żeby sam się domyślił.

- Ach, ten! Trafił do nas kilka dni wcześniej.

- Bogu niech będą dzięki! Przeżył! Złapała się za gardło, jakby tym gestem chciała powstrzymać przyływ wzruszenia.
- Niech pan mnie do niego zaprowadzi!

- Niestety, już go tu nie ma. Przywieziono go w ciężkim szoku, był mocno wycieńczony, ale bez żadnych poważnych obrażeń. Po dwóch dniach wyszedł na własne żądanie. Stażysta chyba wreszcie coś zaczynał rozumieć, zająknął się. - Zawiadomiliśmy go, że pani tu jest, ale nie zjawił się.

Wolała nie zaglądać do domu, prosto ze szpitala przyjechała właśnie tutaj. Przeczuywała, że to najwłaściwsze miejsce, żeby jakoś sprzęgnąć przeszłość z przyszłością, załatać to dziwne pęknięcie, które rozorało życie.

Andrzej odebrał telefon po drugim sygnale, jakby czekał na kontakt. Zgodził się na spotkanie, ale nie powiedział ani jednego słowa ponad to, co konieczne.

Było trudniej, niż sobie wyobrażała. Długo siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu, oddzieleni rozchwianym stolikiem, licząc wzrokiem plamy na kraciastej serwetce. Knajpa była pusta, o szyby chlustał jesienny deszcz. Bufetowa ziewała, przerzucając strony gazetki reklamowej z marketu.

- Nie przyszedłeś na pogrzeb.

Właściwie nie chciała o tym wspominać, to przecież nie było najważniejsze - ale bolało. Andrzej nabił na widelec kawałek parówki, bez przekonania wytapiał w musztardzie.

- Nie spodziewałem się tam żadnych atrakcji. Jeśli to miał być żart, niczego nie ułatwił. - Zrozum, to wszystko zaszło za daleko. Potrzebuję czasu, żeby się przyzwycząić.

Zmięła serwetkę, nie patrząc na niego wzruszyła ramionami.

- Do czego musisz się przyzwycząić? Do mnie? Jestem taka sama, jak przedtem.

- Patrzyłem z bliska, jak tamten skurwysyn strzelił ci w głowę. Twój mózg opryskał mi twarz - podniósł kęs parówki na wysokość oczu, obejrzał krytycznie, odłożył widelec na brzeg talerza. - Poczułem się nieswojo, kiedy po kilku dniach przeczytałem w gazetach, że uciekłaś spod wieka trumny.

- Nie zamknęli jeszcze wieka.

- Nieważne. Chodzi mi o to, że coś takiego musiało zmienić naszą relację.

- Dlaczego? Nie jestem duchem, zwyczajnie jem, śpię i w ogóle. Wszystkie wyniki nadań w normie. Nawet nie pamiętam, co się ze mną działo, kiedy... - podrzuciła w dłoni papierową kulę, próbując znaleźć jakiś łagodniejszy odpowiednik dla słowa, którego chciała uniknąć. - W antrakcie.

Bufetowa zaszeleściła gazetką, wychyliła się zza kontuaru.

- Będzie coś jeszcze? Bo zamykam - szcęknęła.

- Nie, zaraz wychodzimy - Andrzej odsunął talerz na środek stolika, ściszył głos. - Naprawdę nic nie wiesz?

- Nie. Nikt nie chce o tym rozmawiać. Jeśli coś widziałeś, mów.

- Miałem wysoką gorączkę i prawie ześwirowałem ze strachu. Nie mogę być wiarygodny.

- Dość tego! - uderzyła pięścią w stolik, aż podskoczył widelec. - Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze. Co wydarzyło się w kaplicy?

- Policjant spojrzał na mnie i wymierzył, prościutko tutaj - dotknął palcem nasady nosa. - Byłem jak z drewna, nie umiałem nawet zamknąć oczu. Miał całkiem spokojną twarz, wykonywał po prostu swoją robotę. Czekałem na strzał... Odetchnął głębiej, skupił wzrok na Dorocie. - Huknęło. Bydlak od-

chrząknął dziwnie, a potem zwałił się na bok. Na progu kaplicy stał gość z obrzynem w dłoni.

- I co?

- Nic. Gapił się.

- Powiedział coś?

- Że z bandytami trzeba po bandycku.

- To Romek! - krzyknęła Dorota. Andrzej nieznacznie zmarszczył brwi.

- Od razu pomyślałem, że jesteście sobie bliscy. Kiedy cię zobaczył, twarz tak jakoś mu się skurczyła, jak u starca. Bałem się, że zaraz kropnie siebie albo mnie. Ale nie, twardy był. Wybiegł, wezwał pogotowie, wrócił spokojniejszy. Włazł do krypty. Zanim zasunął płytę, jeszcze raz na ciebie spojrział, chyba nawet się trochę uśmiechnął. Tyle.

Zmięta serwetka upadła na linoleum, Dorota nie schyliła się po nią. Natarczywie wpatrywała się w narzeczonego.

- A więc to był on! - odezwała się wreszcie bardzo cicho.

- Wskrzesał mnie... Ale jak?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że gdybym po tym wszystkim dalej z tobą mieszkał, czułbym się jak złodziej. - Kiedy w końcu zdecydował się to powiedzieć, nagle opadło z niego całe napięcie. - Ty już nie należysz do mnie, tylko do niego.

- Bzdury!

- Dla mnie nie.

- A co z profesorem?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Pewnie zginął, ale mógł też wymknąć się w tym zamieszaniu. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Gdyby nie on, nie wydarzyłoby się to wszystko.

- To nie jego wina! Nie znasz go.

- Od jakiegoś czasu wydaje mi się, że nie znam też ciebie.

Wstał, przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, ale nic już nie dodał. Wyszedł prosto w pluchę, nie zamykając drzwi.

Dorota dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że bufetowa coś mówi.

- Takiego gnojka nie ma co żałować, panienko! - rozplaszczyla na kontuarze wielkie piersi, żeby wyjrzeć przez drzwi na ulicę. - Ćwok, nie facet. Nawet za parówki nie zapłacił.

Dziewczyna podeszła, sięgając do torebki.

- Ile się należy?

- E tam, na koszt firmy. Baba lekceważąco machnęła ręką. - Dziś otwarte ostatni dzień. Rudera idzie do rozbiórki, a ja na bruk.

- Przykro mi.

- A mnie nie. I tak musiałabym zwijać interes, bo wykruşzyła się stała klientela. Starzy wymierają, a ci młodzi to już nie to samo - poprawiła zszarzały czepek, ciekawie zmrużyła oczy. - Pokłóciliście się o Romeczka?

- Pani wybaczy, muszę już iść,

- Czekajże! Pytam z troski o niego, bo to nie był zły chłopak, jak na tę dzielnicę. Zniknął kilka dni temu - rzuciła na ladę błękitną kopertę. - Ale przedtem zostawił list do ciebie. Powiedział, że na pewno się zjawisz.

Dorota pośpiesznie rozerwała papier, rozprostowała małą kartkę.

„Cześć. Jeśli to czytasz, znaczy, że mi się powiodło. Odkryłem, czego brakuje we wzorze profesora, chociaż ze mnie taki nieuk. Nie mów nikomu, niech mnie nie szukają. Bądź szczęśliwa i pomyśl czasem, jak bardzo cię kocham”.

- No i co tam, panienko? Barmanka wspinała się na palce, próbując coś podejrzeć, ale Dorocie zbyt mocno trzęsły się ręce. - Oświadczył się, żeś taka blada?

- Tak jakby - schowała list do kieszeni, odwróciła się powoli w stronę korytarzyka na zapleczu. - Czy mogę skorzystać z toalety?

Wszystko było, jak przedtem. Obtłuczona lamperia, umywalka pełna petów, żółte okna. Wzór na ścianie. W miejscu, gdzie powinno być koślawe X, ktoś zeszkrobał farbę i kawałkiem cegły wyrysował duże, zrudziałe serce.

Stanęli po dwu stronach cmentarnej bramy. Łzawe oczy ciecia uciekały na bok; udawał, że nie poznaje Doroty. Jego szyję obwijał gruby bandaż, poruszał się sztywno, jak w kołnierzu ortopedycznym.

- Czego? Z trudem wykrztusił bezdźwięcznym szeptem.

- Tylko pana tutaj znam, proszę mi pomóc. Szukam Romka.

- Ja tam nic nie wiem. Zresztą, jestem na zwolnieniu lekarskim - ostrożnie dotknął opatrunku.

- Wystarczy, jeśli mnie pan wpuści. Może znajdę w kaplicy jakąś wskazówkę.

Nagle skupił na niej zaskakująco trzeźwy wzrok, jego zniszczona alkoholem twarz wyglądała niemal ascetycznie.

- Pani to zostawi. Tak będzie lepiej, proszę mi wierzyć.

- Nie mogę! Muszę widzieć... chcę go zapytać... - zacisnęła dłonie na prętach bramy. - Po prostu nie mogę.

Wahał się jeszcze, z uporem patrząc jej w oczy, jakby spodziewał się odkryć coś, co zataiła. Wreszcie wpuścił ją, bez słowa podał klucz do kaplicy. Ręce mu się trzęsły, chyba nie napił się jeszcze od tamtej burzliwej nocy.

Przebiegła mokrą alejkę, chlapiąc błotem. Kątem oka dostrzegła, że na uszkodzonym grobie leżała nowa płyta, krwawe plamy przed progiem zasypało żwirem. Przez chwilę mocowała się z kluczem, aż coś chrupnęło w zamku, uchyliła drzwi. Ze środka wionął kamienny chłód, w ukośnych snopach światła od witraży wisiał kurz. Krypta była otwarta, obstawiona barierkami w biało-czerwone pasy, jak przy wykopach drogowych.

Bez namysłu zeszła po schodkach, potrzeba poznania prawdy zabiła w niej strach.

Mnisi spali w swoich niszach; drgające światło latarki potęgowało złudzenie, że nie przestali oddychać. Przystanęła pośrodku krypty, onieśmielona i zażenowana, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że żyje tylko dzięki ich modlitwom, postom i umartwieniom. Jedynie ukierunkowana potęga ich świętości mogła pokonać śmierć.

Ale w jaki sposób? Romek na pewno nie odbudował przepalonego aparatu, to było zadanie dla sztabu naukowców na wiele lat. Musiał znaleźć inne rozwiązanie; wyciągnął z Teorii Wszystkiego wnioski, do których nie doszedł nawet sam profesor.

- Jak tego dokonałeś, cwaniaku? - zapytała półgłosem, żeby złagodzić poczucie osamotnienia.

Ruchliwy krążek światła nieoczekiwanie wydobył z cienia coś, czego nie powinno tu być: strzępek czystej bieli pośród zgaszonych barw. Przeczuła, co to jest. Powoli podeszła do najbardziej oddalonej niszy. Wyciągnęła rękę, końcami palców musnęła mankiet koszuli Romka, wystający spod zbutwiałego habitu.

Leżał jak inni - na plecach, z dłońmi złożonymi na piersi. Gdyby nie współczesne ubranie, na które narzucił zakonną

szatę, nie rozpoznałaby go. Miał twarz starca, wychudzoną i najeżoną białym, kilkudniowym zarostem; cały wydawał się malutki i pokurczony, zbrązowiała skóra marszczyła się na nim, jak zbyt obszerny kombinezon.

- Teraz pani zadowolona?

Stróż stał przy schodach; nie słyszała, kiedy zszedł. W jego głosie nie było zaczepki, ani nawet ciekawości. Chyba po prostu chciał, żeby już sobie poszła.

- Jak pan mógł na to pozwolić! - eksplodowała niespodziewaną furią.

- Podobno byliście kolegami!

- Bez nerw. Kiedy to zrobił, wykrwawiałem się przed kaplicą. - Zbyt gwałtownie wzruszył ramionami, syknął z bólu.

- Jeśli ktoś tu zawinił, to pani. Nie trzeba go było w sobie rozkochiwać.

- Ale ja nie... ja nigdy...

- Dobra, dobra. Wszystkie tak mówią, ale kiedy nadarzy się okazja, każda lubi zamieszać fajnemu chłopakowi w głowie. Był Romek, nie ma Romka. Teraz nawet nie będzie mu gdzie postawić znicza na Zaduszki, bo jutro zaczynają murowanie krypty i rozbiórkę kaplicy, a potem zlikwidują cmentarz pod parking. Nie rozumieją, co tu zaszło, to i mają stracha. Chcą ukręcić sprawie łeb.

Jeszcze raz pochyliła się nad niszą, a kiedy po długiej chwili uniosła twarz, wzrok miała twardy.

- Nie ukręcą. Nie pozwolę na to.

Pani Oleńka, zaróżowiona z przejęcia, postawiła na biurku szefa tacę z dwiema filiżankami. Dorota wiedziała, że to zaszczyt, na jaki w innych okolicznościach musiałaby pracować przez wiele lat; naczelny podejmował kawę tylko najgrubsze ryby.

- Dziękuję, że zechciała pani przyjąć moje zaproszenie - pocił się z wysiłku, męczyła go rola uprzejmego gospodarza, ale trzymał się dzielnie. - Cieszymy się wszyscy, że postanowiła pani zaszczyścić nasze łamy swoim nazwiskiem.

Przesładzał, ale Dorota świadomie pozwalała mu na to. Spodziewała się, że każde słowo, które tu padnie, pani Oleńka zdyszczanym szeptem pośle dalej w głąb redakcyjnych korytarzy. Od lat nie przeżyła nic równie przyjemnego.

- Jeszcze się nie zdecydowałam - zamieszała kawę, non-szalancko oblizwała łyżeczkę.

Naczelny powoli wypuścił powietrze. Odprawił sekretarkę niecierpliwym spojrzeniem, poczekał, aż cichutko zamknęła za sobą drzwi.

- Dobra. Ja też lubię konkrety - zakołysał barkami, jak bokser przed decydującą rundą. - Ile?

- Pewnie się pan zdziwi, ale to nie jest kwestia pieniędzy.

- Oczywiście. Przede wszystkim rzetelność dziennikarska, misja społeczna, patrzenie władzy na ręce. - Dla przyzwoitości zrobił krótką pauzę, którą zakończył cmoknięciem. - Więc ile?

- Oboje wiemy, że cykl moich tekstów podwoi nakład. Potroi. Mogę zażądać dowolnego honorarium, a pan wypłaci mi wszystko co do grosza. Dla mnie ważniejszy jest inny warunek. Nikt nie będzie wtrącać się do sposobu, w jaki opowiem tę historię.

- Nasz czytelnik lubi prosty przekaz - zaniepokoił się. - Planuje pani jakieś ekstrawagancje?

- Proszę się nie obawiać. Będzie, jak trzeba - tajemnica Graala, wiara i zaprzaństwo, miłość i zdrada. Będzie nawet piękna i bestia - upiła mały łycalek, żeby dać mu czas na zro-

zumienie, kto obsadzi tę ostatnią rolę. - Ale to wszystko pozostanie tylko tłem dla głównego bohatera, któremu chcę oddać hołd. Niech jego nazwisko trafi do podręczników.

- Świetnie! Profesor zasłużył sobie na to.

- Pudło. Chodzi o pewnego złodzieja z przedmieścia, bez którego teoria profesora na zawsze pozostałaby urojeniem starego dziwaka.

- Złodziej? - szybko zamaskował rozczarowanie. - Ale jakieś interwju z profesorem damy, prawda? Tylko pani ma z nim kontakt, nie mogę powierzyć tego komuś innemu.

- Nigdy pan nie pojmie szlachetności tego człowieka. Czytelnicy pańskiego brukowca, obawiam się, też nie - wstała. - Jeśli profesor postanowił usunąć się w cień, nie zamierzam mu się naprzykrzać.

Starła się gorączkową pracą wypełnić panoszącą się po kątach pustkę. To działało, póki siedziała przy klawiaturze, ale kiedy tylko zbłądziła wzrokiem na jakiś drobiazg, z którym wiązały się wspomnienia - zdjęcie w ramkach, zasuszony bukiecik, pianka do golenia w łazience - ekran rozmazywał się we łzach.

Zabrzączał telefon. Chciała go przeczekać, nie miała ochoty odmawiać kolejnej prośbie o wywiad czy sesję zdjęciową, ale ten, kto dzwonił, nie rezygnował. Odebrała wreszcie, gotowa wykrzyknąć do słuchawki całą frustrację minionych dni.

- Czego, do cholery!

Ktoś roześmiał się swobodnie. Młody, męski głos.

- Przepraszam, jeśli przeszkodziłem. Po prostu uznałem, że powinienem się odezwać.

- Kto mówi?

- Od naszego pierwszego spotkania w parku wiele się zmieniło. Czy teraz wiesz więcej o miłości, niż wtedy?

Słuchawka nagle stała się zimna jak lód.

- To... to niemożliwe!

- Które z nas dwojga jest bardziej niemożliwe? Ty zmar-twychwstałaś, ja tylko odmłodniałem o kilkadziesiąt lat. Je-stem teraz przystojnym kawalerem o pełnym uzębieniu, z wielką ochotą na życie. Laseczkę zachowałem na pamiątkę.

Jego spokojna rzeczowość przekonała ją od razu. Ucieszy-ła się, ale osad niepokoju pozostał.

- Jak pan tego dokonał, profesorze?

- Och, to nie było trudne. Kiedy cię zabierali z kaplicy, schowałem się w głębi krypty. Niedługo potem przyszedł twój adorator i położył się w niszy, a ja po prostu skorzystałem z okazji. Jego miłość do ciebie skondensowała o wiele więcej Tchnienia, niż mógłby to zrobić najlepszy aparat. Gdy na gó-rze zaczął się pogrzeb, wszystko zogniskował na trumnie. Ja tylko ustawiłem się w tym strumieniu pierwotnej energii, jak w przeciągu. Ot, wszystko. Eksperyment powiódł się.

W ułamku sekundy dostrzegła całą prawdę, ostro, bez półcieni, jakby w głowie ktoś pstryknął lampą błyskową.

- Pan wiedział! Pan to zaplanował!

- Tylko w ogólnych zarysach. Nie spieszył się ani odrobi-nę. Wybrałem ciebie, bo gdzie szukać prawdziwej miłości, jak nie u młodych? Ale potem musiałem improwizować. Mój am-bitny asystent chciał mi zaszkodzić, ale w zasadzie dopomógł, chociaż wyobrażałem sobie, że zakończenie będzie nieco inne. Zresztą, jak się okazało, moi opiekunowie z resortu rozumo-wali podobnie. Wszyscy oczekiwali, że to ty poświęcisz się dla Andrzeja, Romka nikt nie brał pod uwagę. Cóż, nie wynalezio-no jeszcze metody ścisłego pomiaru uczuć. Ale pracuję nad tym.

Była ponizona. Ośmieszona. Wdeptana w błoto. Po tych kilku beznamiętnych zdaniach wszystko straciło sens, wzniosłość i podłość okazały się tylko elementami wyrachowanego eksperymentu.

- Pan jest potworem! Cynicznie naraził pan ludzi na śmierć.

- Wszyscy naukowcy są na to gotowi, chociaż nikt się do tego otwarcie nie przyzna. Bez krwi niewinnych nie ma postępu, powinnaś o tym wiedzieć. Co komu po teorii, której nie da się zweryfikować doświadczalnie? Sama rozumiesz, że nie mogłem liczyć na ochotników do moich badań. Zrobiłem to dla wiedzy.

- Gówno prawda! Zrobił pan to dla siebie.

- Nie przeczę, miło jest być znowu młodym. Nie obraził się, westchnął z zadowoleniem. - Czy jeśli geniusz ma szansę na drugie życie, nie powinien z niej skorzystać? Stać mnie na więcej, znacznie więcej. Kiedyś świat przekona się o tym.

- Nie chcę żyć w takim świecie, gdzie pan będzie rozdawał karty!

- Obawiam się, że w tej sprawie twoje zdanie nic nie znaczy.

- Nie zostawię tak tego... Opiszę wszystko. Dorwę cię, draniu!

- Jeśli opiszesz, zrobisz z Romka naiwnego durnia. Zresztą, nie bardzo mnie to obchodzi. U mnie teraz świeci słońce i szumią palmy, a u ciebie zadaje się właśnie zapada brzydki zmierzch. Jestem poza twoim zasięgiem, droga redaktorko. Doceń moje staranie, że postanowiłem wyjaśnić ci to i owo, zanim pożegnamy się na zawsze. Cześć.

Zapukał cichutko, jakby wcale nie chciał, żeby mu otwarto.

The Best t.01

- Dziebry - wydukał. - Oddaję trzy dychy.

Nie przypominał samego siebie sprzed kilku dni. Nerwowo oglądał się w półmrok klatki schodowej, skubiąc rozek banknotu.

- Nie teraz, Jacuś. Była zbyt przytłoczona nawałem klęsk, żeby zdobyć się na współczucie.

- Zajrzałem do pudełeczka. - Nie pozwolił się spławić; przekroczył próg i położył pieniądze na szafce w przedpokoju.

- To dług honorowy, teraz kasa gra.

Podziękowała skinieniem głowy, nie podejmując tematu.

- Chciałem... chciałem przeprosić. Głupio wyszło.

- Było, minęło. Na twoim miejscu każdy by się przestraszył.

- To nie to! - poczerwieniał, urażony w chłopięcej dumie.

- Palec jak palec. Ucieszyłbym się nawet, gdyby znowu odpadł.

- Tak źle życzysz Andrzejowi? Po raz pierwszy spojrzała na niego z odrobiną zaciekawienia.

- A tak! Gdybym był trochę starszy, to bym mu... to bym go... - podniósł głowę, pociągnął nosem. - Ten dupek nie zasłużył na panią.

- Co ty wygadujesz?

- Nienawidzę go za to, co pani zrobił! - wyrzucił z siebie szybko i uciekł, żeby ukryć łzy.

Wróciła do pokoju, skuliła się w fotelu. Zdawało jej się, że nie myśli o niczym, a jednak podświadomie wciąż od nowa analizowała słowa Jacusia. Wyprostowała się powoli, spojrzała na teczkę z notatkami profesora, niedbale rzuconą na stół. Otwierała ją z uczuciem podobnym do ekscytacji krzyżówkowicza, któremu pozostało do odgadnięcia ostatnie hasło.

- To złudzenie, tego tam nie ma. Profesor nie mógł popełnić takiej nie ostrożności. Głośno sprzeciwiła się własnej

nadziei. - Czytałam pojebkach, pewnie wszystko mi się pomieszało.

Bez trudu odnalazła właściwą stronę. Zawinięty róg, przetarcie na zgięciu, plama z atramentu. Drobniutki tekst, u dołu kartki kilka rozstrzelonych wersów, obwiedzionych czerwonym pisakiem.

„Kondensacja Tchnienia metodą naturalną (poprzez miłość) teoretycznie możliwa, ale skrajnie niebezpieczna. Hipoteza: silna emocja destrukcyjna (np. nienawiść), zogniskowana w tym samym punkcie, może doprowadzić do odwrócenia procesu i likwidacji wszystkich jego następstw; Tchnienie powróci do źródła. Brak weryfikacji eksperymentalnej”.

Odłożyła kartkę, z przesadną starannością wyrównała strony. Po rozwiązaniu ostatniego hasła krzyżówki wcale nie poczuła ulgi, tylko jeszcze większą pustkę.

- Chryste... - szepnęła.

Przyszła przed świtem, kiedy cięć śnił jeszcze głęboko o utraconym nimbie; w mroku drzemały cienie betoniarek i spychaczy. Kaplica była otwarta, ze środka powynoszono już ławki i wystrój ołtarza. Nie musiała używać latarki, żeby odnaleźć schody do krypty. Czuła się, jak ktoś powracający z długiej podróży do domu.

Ułożyła się w niszy obok Romka, ostrożnie ujęła jego dłoń. Była chłodna, sucha, nietknięta rozkładem.

Najtrudniej było odnaleźć pośród wspomnień to jedno jedyne, zdolne zogniskować w sobie wszystko, co najgorsze. Pomyślała o Andrzeju. O jego nowej narzeczonej. O nich obojgu, o ich przyszłych dzieciach i wnukach. Wzdrygnęła się, w oczach zapiekły łzy wściekłości - ale nic ponadto. Przestraszyła się, że wszystko to nie zda się na nic; rankiem przyjdą ro-

botnicy i wygarną ją stąd, zziębniętą jak dziewczynka z zapalkami.

Ułożyła się wygodniej, zamknęła oczy. Usiłowała po kolei nienawidzić profesora, jego asystenta, porywaczy w kominiarkach, oficera - mordercę, wreszcie naczelnego z jego cmokaniem i obleśnym uśmieszkiem. Nic, tylko przyśpieszony oddech i mocniejsze bicie serca. Co jeszcze? Szybko, szybko... Dentysta, któremu osunęło się wiertło? Dzieciaki sikające po windach? Adolf Hitler? Rozpacz!

Załkała na głos. Miała wrażenie, że leży sama w ciemnym pokoju, pośród wszystkich strachów dzieciństwa. Mimo woli przytuliła do piersi rękę Romka; wydawało jej się, że odpowiedział ledwie wyczuwalnym uściskiem.

I nagle już wiedziała.

Matematyczka z podstawówki objawiła się w całej intensywności barw, zapachów i odgłosów. Kręciła głową, potrząsając plastikowymi kólkami w uszach, zaciskała jaskrawo uszminowane usta w wyrazie gniewnej pogardy. W tle na tablicy bielily się robaczki układu równań, jak diabelski, niezrozumiały szyfr.

- Jesteś idiotką, Wilkówna. W twojej śmierdzącej dzielnicy rodzą się same małe debilki - klepnęła wielką linijką w otwartą dłoń. - Na co czekasz? Do mnie, łapy na biurko! Wysunęła lubieżnie koniuszek języka. - Będzie bolało.

Teraz wszystko stało się łatwe. Całe jestestwo Doroty skurczyło się do rozmiarów małej lodowej bryłki, zalegającej gdzieś we wnętrzościach. Potrafiła przyciągnąć wypromieniowane Tchnienie z powrotem do krypty, jak silny magnes opiłki żelaza.

Chociaż nie była senna, nie potrafiła już dźwignąć ciężkich powiek.

Kiedy przyjechało pogotowie, Sandra wciąż jeszcze krzyczała histerycznie, a w telewizji podniecony korespondent właśnie opowiadał o samobójstwie starego geniusza fizyki, który wyskoczył z okna hotelu na Karaibach. Andrzej siedział na podłodze, wciśnięty między szafę i kaloryfer, z prawą dłonią ukrytą w szerokim rękawie szlafroka. Nie potrafił nic wykrztusić, ruchem głowy wskazał lekarzowi drzwi do sypialni.

Kciuk odpadł bezboleśnie, we śnie. Leżał na białej, obszytej koronkami poduszce, z plamką krwi u dołu - jak wykrzyknik z kropką.

Sebastian Uznański

WCZORAJSZY DESZCZ

Nayna nie lubiła, gdy padał wczorajszy deszcz. Taki deszcz zwykle zwiastował kłopoty. Często z niego coś wychodziło. Albo ktoś. Jak na przykład ten nieznajomy...

Ale zacznijmy od początku. Tego dnia Nagaya przybyła do osady i zażyczyła sobie, by wszyscy jej usługiwali. Nayna musiała całe popołudnie tańczyć na głównym placu wysypanym żółtym piaskiem. Gorące słońce panujące jaskrawo i niepodzielnie nad lazurowym niebem wyciskało pot z jej zmęczonego ciała. Raz po raz podskakując w ognistym rytmie werbli, wirując, szalejąc, dawała z siebie wszystko.

Nayna miała ciemnoniebieską skórę, cienkie nitki złotych tatuaży pokrywających całe jej ciało wiły się i kręciły w tańcu, tworząc wymyślne esowate kształty i spirale. Niewielu wiedziało, że jej tatuaże są ruchome, a ci, którzy wiedzieli, chcieli

bez końca oglądać ich chaotyczną grę. Czarne włosy, przewiązane na czole jasnozieloną chustką haftowaną w zegary, opadały jej na ramiona. Każdy cyferblat miał inny układ wskazówek, dzięki temu Nayna, gdziekolwiek by się znalazła, nie musiałaby się martwić, która jest godzina. Wystarczyło spojrzeć na odpowiedni zegar. Spod chusty, na złotym łańcuszku okalającym głowę, zwisał na czole nieduży szafir - tak jasny, jaśniejszy od jej cery. Zaś oczy, ocienione długimi rzęsami, miały głęboki ciemnoniebieski kolor o znacznie głębszym odcieniu niż skóra, zyskujący jeszcze na intensywności, gdy na kogoś bardzo uważnie patrzyła.

Wśród jej czarnych loków skryte były kolczyki z wprawionymi perłami, z rasowej szyi zwisały między piersiami liczne naszyjniki zwieńczone klejnotami, koralami i ażurowymi precjozami. Z tym bogactwem kontrastowała skromna, przewiewna jasnozielona spódnica osadzona nisko na biodrach oraz tegoż koloru bluzka, z wyciętym dekoltem, przewiązana nad pępkiem tak, by odsłonić możliwie największy kawałek brzucha.

- Tańcz, tańcz, Cyganko - rzekła Nagaya, a Nayna oczywiście nie mogła się jej przeciwstawić. Więc dzwoniły w takt jej ruchów złote bransolety na przedramionach i cieniutkie łańcuszki, które owijały się wokół kostek. Rytmicznie uderzała otwartą dłońią o błonę tamburynu, zaś dźwięk rozrzuconych monet, który się wówczas rozlegał, budził ze snu najbardziej znużonych kupców.

Nayna unosiła do góry ręce o smukłych palcach, rytm tamburynu przyspieszył, dołączyła do tego opętańcza muzyka, którą włączyła Nagaya, Cyganka zaczęła wirować, jej kształty zamazały się, przez chwilę wyglądała jak granatowy kwiat, osadzony na zielonej łądździe. Czarne włosy, pędząc wokół jej

głowy, zasłoniły twarz, po raz pierwszy mogła sobie pozwolić na krótki grymas zmęczenia. Ale zaraz przybrała oblicze doskonale pięknego posągu - tańczyła dla tych ludzi, zapłacili jej, była profesjonalistką.

Tańczyła dla Nagayi. Jeżeli zawiedzie, zginie.

- Ona ma już dość, czcigodna Nagayo - Tubis, właściciel zajazdu, znany powszechnie ze swojej imponującej trąby i wspaniałych płatów usznych, którymi leniwie się wachlował, wystąpił w jej obronie.

- Psujesz mi rozrywkę - Nagaya spojrzała na niego rubinami swoich oczu. Z charakterystycznym węzowym sykiem, który zawsze towarzyszył poruszaniu się Obcych, zbliżyła się do nieszczęsnego Tubisa.

Nagaya miała srebrną skórę, w ciemnoczerwonych włosach tkwił czarny, żelazny diadem. Czarny gorset okrywał liczne pary piersi na tułowiu. Posiadała dwie pary rąk, w górnej trzymała zakrzywione groźnie szable z poszarpanymi niczym piły klingami. Dolna lewa dłoń dzierżyła ludzką czaszkę (mówiło się, że co jakiś czas wymieniała ją na świeżą), w prawej znajdował się kryształowy pryzmat o trójkątnym kształcie. Właśnie skierowała go w stronę Tubisa i tęczowe światło dosięgnęło niewczesnego obrońcy Cyganki. Straszny ból targnął jego ciałem, krzyk szarpnął się z płuc, wyrwał na powietrze.

- Nie! - krzyknęła Nayna, która na czas okrutnej egzekucji stanęła w miejscu i oddychała teraz ciężko, jej pełne piersi chciały rozerwać słaby węzeł bluzki. - Zostaw go! Będę dla ciebie tańczyć, jak długo zechcesz!

Nagaya odwróciła się od Tubisa, przekłety promień zgasł, wrócił do piekielnego pryzmatu. Obca istota, jakby w wyrównaniu do naddatku górnych kończyn, nie posiadała nóg. Poru-

szała się jak wąż, osadzona na długim ogonie, który włókł się za nią niczym tren za cesarzem. Nayna wzdrygnęła się, słysząc ponownie złowieszczy syk.

- Tańcz Cyganko, tańcz - powiedziała. Więc dziewczyna zaczęła tańczyć. Słońce zdwoiło swoje zabójcze wysiłki, prażyło jak nigdy, w szaleńczym tempie muzyki Nayna często gubiła rytm, nie nadążając za coraz szybszymi tonami. Zdała sobie sprawę, że to Nagaya złośliwie dyktuje śmiertelne tempo, nie na rozrywkę wszystkich nastawione, ale na wyczerpanie tancerza.

Świat wokół niej stał się rozmazaną plamą, wirującym kręgiem kolorów. Słyszała tylko muzykę, której nie chciała zgubić, bo wówczas Nagaya zabije ją, Tubisa i jeszcze kilku innych, którzy jej się nie spodobają. Źle jest rozwścieczyć Obcą. Więc tańcz Cyganko, tańcz. Choćby do śmierci. Ale tańcz. Niech twoje ciało słucha muzyki, umysł już nie musi, przecież twoje ciało i muzyka to jedność, zawsze tak było. Tańcz, do cholery!

Bluzka nie wytrzymała, uwolnione piersi ukazały sterczące ciemnowiśniowe brodawki, jednak nikt tego nie widział, dla obserwujących tancerka była niczym wspaniałe kolorowe motyl, pracujący skrzydłami w tempie kolibra.

Świat nie widział takiego tańca.

Muzyka przyśpieszyła jeszcze bardziej, dźwięki osiągnęły apogeum i ucichły. I wówczas taniec się zatrzymał, a Nayna upadła niczym ścięty kwiat. Leżała nieruchomo na gorącym piasku udeptanym przed momentem przez jej bosc stopy. Motyle, choć piękne, żyją krótko.

Wężowy syk przebił powietrze, chciało się zatkać uszy. Nagaya stanęła nad leżącą nieruchomo dziewczyną i skierowała na nią swój pryzmat. Tęczowe światło poderwało w bolesnym szarpnięciu całe jej ciało, jednak zaraz po tym, jak opu-

ściło ją obwodowe wyładowanie neuronalne, znowu legła nieruchomo.

- Tańcz Cyganko, tańcz - powiedziała Obca. Dziewczyna pozostawała nieruchoma. Nagaya podniosła jeszcze raz straszliwy pryzmat, kolejna wiązka światła targnęła martwą dziewczyną. Obca poczekała chwilę - nie widząc rezultatów swych działań, z sykiem oddaliła się z placu. Nikogo więcej nie zabiła. Czyli była usatysfakcjonowana.

Pobudzone drugim wstrząsem serce zaczęło nieśmiało bić.

* * *

Obudziła się następnego ranka w chacie Tubisa. Stary przyjaciel całą noc przy niej czuwał, wachlując swoimi wielkimi uszami, obmywając zakurzone czoło mokrą szmatką, pojąc, gdy tylko odzyskiwała choć na krótko przytomność. I teraz pierwsze, co uczyniła po przebudzeniu, to uniosła głowę z poduszki i przytknęła spierzchnięte wargi do manierki. Krystaliczny, chłodny płyn mile łagodził chropowate gardło i szorstki jak papier ścierny przelyk.

- Dobrze się czujesz? - zapytał troskliwie Tubis.

Odjęła naczynie od ust.

- Tak. Chyba nie mam udaru. Ani niczego gorszego. Sen zabrał ze sobą wyczerpanie. To było tylko wycieńczenie, nic więcej. Jak z innymi? Nikomu więcej nie zrobiła krzywdy?

- Nikomu. Twoje... poświęcenie zaspokoilo ją w zupełności.

- To dobrze - położyła z powrotem głowę na pościeli. - To bardzo dobrze. Pięknie chociaż tańczyłam?

- Najpiękniej na świecie - odparł zgodnie z prawdą przyjaciel i zawachlował w podziwie uszami.

Nayna już tego nie słyszała. Spała.

Nie minęły jednak trzy godziny, a można było ją zobaczyć przed chatką Tubisa.

- Nie za wcześnie wstajesz? - zatroszczył się o nią. - To, co ci się wczoraj stało, wyglądało na coś gorszego niż tylko wyczerpanie. Powinnaś odpoczywać.

- Czuję się już dobrze. A jeżeli nie rozruszam choć trochę mięśni, to będą mnie bardzo bolały po wczorajszym wysiłku. Już teraz mam wrażenie, że są zastane i uczynił się w nich kwas mlekowy. Muszę się przejść.

- Skoro nalegasz - zrezygnował. - Ale, ale... Skoro i tak wybierasz się na spacer, może mogłabyś mi przynieść trochę deszczówki? Mówili, że za wzgórzem pada wczorajszy deszcz. Dawno nie smarowaliśmy nim zegarów w osadzie. Jeszcze trochę, a zgubią trop czasu.

Dziewczyna skinęła głową. Krople deszczu z wczoraj miały sobie zaklętą odrobinę czasu. Deszczówki używało się do zasilania zegarów, dzięki czemu mogły poprawnie działać. Przy okazji zmoczyłaby także swoją chustkę.

- Pewnie, chętnie przyniosę.

- Weź cebrzyk, jest w sieni.

* * *

Nucąc coś pod nosem, Cyganka doszła do nieruchomej ściany deszczu i podstawiała cebrzyk pod ciężkie krople. Pozwoliła, by woda czasu chlupała w naczyniu, powoli je napełniając, tymczasem skropiła zegary na chustce.

Wówczas go zobaczyła. Przedzierał się przez deszcz wi- dać było, że wiatr szarpie jego płaszczem, krople, zacinając, próbowały się przebić przez nieprzemakalny materiał. Wichu- ra zdawała się przeginać go niczym drzewo, jednak je- go potężna sylwetka nie poddawała się naporowi żywiołu. Gdy wreszcie wyszedł na suchą przestrzeń, omal nie zachwiał się,

gdy tak nagle odjęto mu przeciwnika. Zatrzymał się zdziwiony, że tak nagle przestało padać.

Dziewczyna zamierzała oddalić się dyskretnie. Ktoś, kto wyszedł z wczorajszego deszczu, na pewno nie był kimś zwykłym, a już na pewno nie z dnia dzisiejszego. Jednak było za późno, nieznajomy już ją zauważył.

- Kto to? - zapytał.

- Ja - odparła odruchowo dziewczyna. Widząc, że odpowiedź ta skonsternowała rozmówcę, dodała:

- Nayna. By przerwać niezręczną ciszę, która zapadła po tych słowach, zapytała:

- A ciebie jak zwa?

- Probus - odparł niechętnie nieznajomy.

- Co to za świat? - zapytał znowu.

- No... - nie wiedziała, jak mu odrzec. - No, nasz świat.

Normalny taki.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Nayna wykorzystała chwilę kolejnego,

dłuższego tym razem milczenia, by przyjrzeć się nieznajomemu.

Musiła patrzeć lekko w górę, bo wyższy był od niej i jakiś taki... monumentalny. Ubrany był w ciemnoczerwony płaszcz z kapturem opadającym na czoło. Płaszcz sięgał do samej ziemi, zaś nad barkami był wysklepiony ku górze i na boki, poszerzając w ten sposób optycznie wielkość ramion. Wyglądał, jakby pod nim kryły się skrzydła, lub tajemnicze urządzenie. Klatkę piersiową kryła płyta pancerza, purpurowa, pokryta srebrzystym nalotem, skrzącym się w promieniach słońca, godny uwagi był też pas nieznajomego, szeroki, z dużą kłamrą, zawierający liczne kieszenie.

Gdy Probus się poruszył niespokojnie, kaptur odsłonił wreszcie jego bladą twarz: pierwsze pojawiły się odbijające światło okulary, które wyświetlały raz po raz jakieś wykresy i kolumny liczb prosto do źrenic mężczyzny. Reszta twarzy była nieosłonięta, zwracały uwagę czarne wąsy i krótka broda oraz zadrapania na policzkach, dawne blizny jakby od pazurów dzikiego zwierzęcia.

Dalej zwracały uwagę ręce nieznanego, a raczej ich wewnętrzna część, pokryta grafitowej barwy materiałem. Wydawały się być delikatne w dotyku, jakby były w nich zawarte tysiące niezwykle wrażliwych połączeń czuciowych. Nayna poczuła na skórze przyjemny dreszcz na samą myśl, że te dłonie mogłyby ją dotykać. Ciekawa była, czemu nieznamy założył sobie tak niezwykle wszczepy.

- Posłuchaj... Nayna, tak? Skinęła głową. Wyglądało na to, że nieznamy zdecydował się podjąć kolejną, rozpaczliwą próbę komunikacji. - Ja leciałem z planet centralnych Imperium. Wypędzili mnie. Musiałem uciekać...

- To wypędzili cię, czy uciekłeś? Nayna przekrzywiła lekko głowę. Obcy znów poczuł się skonsternowany, a dziewczyna skłęta siebie w myśli za niewczesne i głupie pytanie. Obiecała sobie, że będzie już trzymać język za zębami.

- Musiałem uciekać, bo by mnie wypędzili albo zabili. Zabrałem najnowocześniejszy statek Imperium... - zwierciadlane okulary Probusa zmieniły się w ekran i ukazały okręt uczyniony z czarnego kryształu. Wyglądał jak gwiazda o symetrycznie ułożonych ramionach, niby kolcach z obsydianu. Jeden z kolców był grubszy i dłuższy od pozostałych, ten tworzył dziób statku, od niego ciągnęła się sieć drutów i anten. Cały kadłub był nimi obsypany niczym jakąś chorobą skóry.

- ... Nie mogli mnie doścignąć. W moim okręcie byłem najszybszy ze wszystkich. Chciałem przeczekać zły czas na obrzeżach Imperium. Poleciałem może trochę za daleko, jednak kto mógł przypuszczać, że sługusy cesarza wykażą taką gorliwość? Ledwie ich zgubiłem na tych zapomnianych przez cywilizacje pustkowiach, bez obrazy, piękna pani - skłonił się, świadom popełnionego nietaktu. - Chodzi mi jedynie o to, że waszej enklawy nie odnalazłem na żadnych mapach.

Nayna, mimo że pytania cisnęły jej się na usta, wytrwała w złożonej sobie obietnicy. Zaskoczony jej milczeniem nieznanomy snuł swoją opowieść.

- Ledwie, jakem rzekł, ich zgubiłem, wszystkie przyrządy pokładowe zaczęły wariować, a mój okręt począł tracić wysokość. Nic nie mogłem uczynić, a wierz mi, jestem znakomitym pilotem. Pewnie jakieś pole związane z lokalnymi złożami...

- Nagaya wysłały na ciebie Zamęt - wyjaśniła dziewczyna. - Nie lubią obcych. Miałeś szczęście, że wylądowałeś w strefie wczorajszego deszczu, inaczej by cię wytropili i zabili.

- Kim są ci Nagaya? To wasi przywódcy?

- To obca rasa, która przybyła z obcego świata i przejęła nad nami panowanie. Są okrutni, żądni władzy, potrafią robić rzeczy niemożliwe. Masz szczęście, że twój świat o nich nie słyszał. Musi leżeć rzeczywiście daleko stąd.

- Hmm... - zastanowił się mężczyzna. - Rasa, która posiada system obrony planetarnej zdolny strącić najnowocześniejszy krążownik Floty musi być naprawdę zaawansowana technologicznie. Szkoda, że nim zaatakowali, nie spróbowali się ze mną skontaktować. Co za pożytek by wyszedł z takiej wymiany informacji...

- Nagaya mają gdzieś twoje dane. Uważają się za lepszych od innych ras. Nie pragną nic wymieniać lub nawet zabierać. Taki kontakt skaziłby ich doskonałą kulturę, uczynił nieczystą, to jakbyś ty wymieniał swoje kosztowne odzienie na łachy trędowatego, rozumiesz teraz? Nic dla nich nie znaczysz. Znajdą cię i zabiją. Tak działają. Szkoda mi cię. Zanim umrzesz, opowiesz mi kilka historii ze swego świata, jak go nazwałeś, Imperium? - pozwoliła wreszcie, by piętrząca się ciekawość zerwała tamy wzniesione przez grzeczność i rozsądek.

Mężczyzna był bezgranicznie zdumiony.

- Jak to, nie słyszałaś nigdy nazwy Imperium? Przecież wszystkie zamieszkane światy są pod łaskawymi rządami cesarza. Nawet tacy dziwaczni odszczepieńcy jak wy muszą zdawać sobie sprawę...

- Nie wszystkie światy, Probus - wyciągnęła do góry jeden palec - co najmniej jeden nie jest. Przyjmij to jako fakt.

Mężczyzna skinął niechętnie głową. Po namyśle zdecydował, że nie ma co zaprzętać sobie głowy tajemnicami tego świata. Przede wszystkim należało się stąd wydostać. Potem zawiadomi stosowną komisję imperialną, która podejmie decyzje, co do przyszłości nowo odkrytej ziemi.

- Muszę odnaleźć mój statek - powiedział. - Podczas lądowania, właściwie kraksy, doznał poważnych uszkodzeń. Potrzebowałem części. Wyszedłem, by poszukać pomocy i deszcz się wzmógł. Chciałem wrócić, ale ulewa zatarła ślady i zabłądziłem. Błąkałem się tak w poszukiwaniu jakiejś faktorii, aż spotkałem ciebie.

Nayna pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Tak właśnie działa wczorajszy deszcz. Nie znajdziesz już swego statku. Przykro mi - dodała na pocieszenie, widząc jego zbolałą minę.

- Jak to nie znajdę? - zirytował się. - Chyba w końcu przestanie padać?

- Przystanie i owszem. Ale statku już tam nie będzie. To nie zwykły deszcz, ale wczorajszy. To znaczy, że do „dzisiaj” przenosi ludzi i przedmioty z przeszłości. Kiedy twoim zdaniem miała miejsce katastrofa?

- No... Wczoraj.

- W rzeczywistości minęły zapewne miesiące, a może lata. Kto to wie? Dość, że twój statek albo już się gdzieś pojawił wyrzucony przez burzę i odnaleźli go Nagaya, albo też trwa poza czasem, czekając, aż los kiedyś przywróci go światu. Tymczasem ty nie znajdziesz u nas żadnej faktorii, w której kupiłbyś odpowiednio części. Przykro mi. Nie odnajdziesz okrętu, a jak nawet ci się to uda, nie odleczysz nim.

- A wy... Wy posiadacie jakieś okręty, zdolne do podróży międzyświatowej?

- My? wzruszyła ramionami. - Nagaya by na to nie pozwoliły. Jeszcze byśmy im uciekli. Nagaya lubią mieć niewolników. Nie jesteśmy im tak naprawdę potrzebni, ale posiadanie nas jest podobno przyjemne. Nagaya podbijają całe wszechziory światów w poszukiwaniu takiej przyjemności.

Nagaya znają techniki podróży międzyświatowej?! - zakrzyknął mężczyzna.

- Pewnie. Nie sądzę jednak, by pozwolili ci ze sobą lecieć. Jak powiedziałam, znajdą cię i zabiją. Gdyby nie wczorajszy deszcz, który usunął cię z naszej rzeczywistości, już by to uczyniły.

Nieznajomy usiadł, ukrył twarz w dłoniach. Przemówił dopiero po chwili.

- Twierdzisz, że istnieje rasa, której celem jest podbój wszystkich rozumnych gatunków - mówił powoli, jakby każde słowo niosło niezwykle ważką treść. - Ja z kolei poznałem moc ich broni, która w ułamku sekundy uczyniła niezdatnym do walki najnowocześniejszą broń Imperium. A na moim statku w pamięci komputerów jest dokładna mapa mojego przelotu.

- Po cholere ci mapa? Nie masz statku... A jak byś nawet miał... Jesteś, jak sam mówisz, dobrym pilotem. Jakoś trafisz do swego domu, jak już zdobędziesz odpowiedni pojazd.

- Ty nie rozumiesz. Mapa może zaprowadzić Nagaya do granic Imperium. Jeżeli zaskoczą cesarską flotę swoją niezwykłą bronią, nic nas nie uratuje. Muszę ostrzec naszych. Muszę stąd odlecieć!

Patrzył na nią błagalnie, a przynajmniej tak wnioskowała z wyrazu jego twarzy. Okulary bowiem nadal doskonale maskowały oczy.

* * *

Probus nie mógł zamieszkać w osadzie, tam bowiem często pojawiały się Nagaya, a jeżeli nawet nieznajomy miał złudzenia, że może wyjść z takiej konfrontacji zwycięsko, Cygan-ka go szybko ich pozbawiła.

- Masz jakąś broń?

- Broń? - mężczyzna się speszył.

- No wiesz, jakąś cudowną zabawkę z tego twojego Imperium.

- Wiesz Nayna, ja naprawdę musiałem uciekać w pośpiechu. Nie sądziłem, że przyjdzie mi walczyć wręcz. Okręt, który, hm, pożyczyłem, był aż nadto dobrze uzbrojony.

- Probus, dlaczego oni cię ścigali? Co ty im zrobiłeś?

- Ehm... Wolałbym o tym nie mówić. Naprawdę głupia historia.

- Jak chcesz - dziewczyna wzruszyła ramionami. - Ja ci tylko powiem, że każda Nagaya posiada induktor bólu. Podrażnia twoje nerwy obwodowe. Można oszaleć - wzdrygnęła się na wspomnienie wczorajszej tortury. - Poza tym posiadają parę mieczy, którymi walczą naprawdę niezwykle sprawnie.

- Miecze? - Probus prychnął pogardliwie. - Spodziewałem się czegoś groźniejszego.

- Te miecze tną każdy metal. A ty nie masz żadnej broni - przypomniała mu.

- W porządku. Wierzę, że Nagaya są niebezpieczne - poddał się. - I przyznaję, że głupotą z mojej strony było nie zabrać odpowiedniego oręża. Co teraz zrobimy?

- Myślę... - dziewczyna zastanawiała się przez chwilę. - Niedaleko mojej wioski jest rezydencja Hazubisa. To niezbyt przyjemny gość, ale kiedyś w młodości podróżował między światami w poszukiwaniu przygód. Jeżeli ktokolwiek może ci pomóc, to właśnie on.

- W takim razie prowadź do niego.

Ruszyli powoli brązowym pustkowiem, usianym licznymi pagórkami. Niebo miało kolor nasyczonego granatu, w oddali lśniły białe od śnieżnych czap szczyty gór. Probus pomyślał, że wszystkie barwy tutaj są jakieś bardziej intensywne, jakby cały ten świat był bardziej realny niż znana mu rzeczywistość.

- Wiesz, gdy będziemy u Hazubisa, nie odzywaj się niepotrzebnie. Właściwie głównie milcz, ja będę mówiła. Znam go dość dobrze, wiem jak z nim postępować.

- Przewidujesz kłopoty?

- Powiem szczerze: pytałam cię o broń nie po to, byś walczył z Nagaya. Tej konfrontacji i tak byś nie przeżył. Nato-

miast u Hazubisa być może by się przydała. Naprawdę szkoda, że jej nie masz.

★ ★ ★

- Nayna?

- Hm?

- Twoje tatuaże... Przyglądam im się od dłuższej chwili i mam wrażenie, że zmieniają kształt.

- Fajne, nie? Koleżanka mnie namówiła kilka lat temu. I do dziś nie żałuję wydanej forsy.

- Robią wrażenie. Pierwszy raz widzę coś takiego. Szczerze mówiąc, dzisiaj ciągle jestem zaskakiwany.

Mijali właśnie kolejny pagórek. Za nim ukazał się niezwykle widok.

Na kolejnym wzniesieniu siedziała istota o spiczastych, odstających uszach i różowej, wymalowanej jak u klauna twarzy, nieustannie wykrzywionej w dziwacznym, przerysowanym grymasie szyderstwa. Ubrana była w zielony melonik i takiż garnitur. W rękę trzymała sztucer.

W dolince pod wzgórzem rosły najpiękniejsze kwiaty, jakie Probus kiedykolwiek widział. Mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Ich kielichy o kształcie podobnym do tulipanów co pewien czas się rozwierały i wylatywało z nich błękitne dziecko. Wyglądało może na dwa-trzy lata, jednak nie było wątpliwości, że dopiero się narodziło, a dziwne kwiaty są rodzajem wylęgarni, roślinnej macicy. Noworodek miał między rękami a tułowiem delikatną błękitną błonę lotną, żłobioną ciemnoniebieskimi żyłkami, na środku jego czoła błyszcząca różowa kropka. Miał piękne niewinne rysy, jakie może posiadać tylko

istota, która nie poznała jeszcze goryczy i grzechów dojrzałości. Gdy tylko opuszczał kielich, natychmiast wznosił się ku niebu.

I wówczas padał strzał. Dziecko, koziołkując, spadało z przestrzeloną czaszką na brunatną od krwi trawę. Na murawie leżały dziesiątki martwych istot.

Sztucer przeładowywał się automatycznie. Istota, która dokonywała tych makabrycznych egzekucji, ani na chwilę nie zmieniała upiornego wyrazu twarzy.

Probus rozejrzał się za jakąś bronią. W końcu, " nie widząc nawet kija, którego warto podnieść, zaopatrzył się w kamień wielkości pięści i z tym nędznym orężem ruszył na Strzelca. Koszmar, którego był świadkiem, nie mógł pozostawić go obojętnym, chociaż nie było wątpliwości, że jego przeciwnik znakomicie radzi sobie ze swoją bronią.

- Nie! Czekaj, Probus...! - krzyknęła Nayna. Strzelec już ich zauważył. Nie przestając celować w kielichy rozchylających się kwiatów, zwrócił ku nim swą niezwykłą twarz i uchylił wolną ręką kapelusza.

Mężczyzna się zatrzymał. Brak choćby próby obrony ze strony różowej istoty wyraźnie go zaskoczył.

- Czy to zwyczajne na waszym świecie, by mordować narodzone dzieci?!

- wybuchnął z ledwie skrywanym oburzeniem.

- Probus, poznaj Tarrusa. Strzelanie do tych dzieci to jego praca. To, co robi, może nie wygląda najlepiej, ale jest absolutnie konieczne. Może jednak on ci to najlepiej sam wyjaśni...

Nayna w kilku słowach wyjaśniła Tarrusowi, że Probus nie pochodzi z tego świata. Różowa istota kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Wybaczam ci zatem nie najlepsze maniery - Tarrus spojrział znacząco na kamień, który Probus wciąż trzymał w garści. Mężczyzna wypuścił go.

- Musisz wiedzieć, że to nie są dzieci, tylko meloki. Wyglądają może niegroźnie, jednak gdy tylko opuszczają swe kielichy, robią na przemian dwie rzeczy: jedzą i rozmnażają się. Obie czynią w szaleńczym tempie. Gdyby spod mojego ostrzału wydostały się choć dwie sztuki, w krótkim czasie ich potomstwo obsiadłoby wszystkie okoliczne pola niczym szarańcza. Musisz wiedzieć, że głodne meloki jedzą wszystko, co tylko może się nadawać do jedzenia. Były liczne przypadki, gdy całym światom groziły klęski głodu, a nawet, że przykryły cały glob jedną wielką ruszającą się masą, gdy ich nieumiarowane namnażanie osiągnęło apogeum. Nie muszę chyba dodawać, że mieszkańcy tych planet również zostali pożarci. - Nagle przerwał na chwilę, przyłożył sztucer do ramienia i wypalił. Kolejny dzieciak spadł, wlokąc za sobą resztki mózgu.

- Sam widzisz, jaką ma odpowiedzialną pracę. Nie można go dekoncentrować - wtrąciła się Nayna.

- Nie jest to łatwe - przyznał Tarrus. - Należy trafić je prosto w płamkę na czole. W przeciwnym wypadku mogą przeżyć i zregenerować ubytek. Wiele razy, gdy chybiłem o kilka milimetrów, widziałem ranne meloki wznoszące się po raz drugi do nieskładnego lotu. A na dodatek nikt twojej pracy nie ceni, część naszego społeczeństwa reaguje podobnie do ciebie, cudzoziemcze, nie rozumiejąc, że szybkość rozmnażania jest niewspółmierna do możliwości wykarmienia tych dzieci. - Zgrabnie zestrzelił kolejnego startującego meloka, słodką dziewczynkę o długich blond włosach. Zapłakała rozpaczliwie, gdy kula odebrała jej leciwie otrzymane życie.

- Nie można by po prostu wypalić tego zielska? - rzekł z niesmakiem Probus. - By meloki nie miały jak się rodzić?

- Tak się rzeczywiście robi. Jednak pewna ilość kwiatów meloków jest niezbędna, gdyż robi się z nich serum leczące wiele śmiertelnych chorób. Stąd nieliczne plantacje obsadza się wyborowymi strzelcami, takimi jak ja. Nie jest to łatwa praca, jednak ktoś ją musi wykonywać. A po pewnym czasie nie widzi się w celowniku żywych istot, a tylko obiekty, które należy strącić. Zaczynam się nawet nudzić. Płacą mi od sztuki, więc bawię się, licząc punkty zdobyte danego dnia i porównuję je z wynikami innych plantatorów meloków. W tym tygodniu zajmuję trzecie miejsce w klasyfikacji całego rewiru.

- Nie będziemy zatem dłużej ci przeszkadzać - rzekła Nayna, patrząc niespokojnie w kierunku wioski. Obawiała się, że lada chwila zobaczy na niebie groźnego pancernego żuka Nagayi.

Pożegnali Tarrusa i śpiesznie ruszyli w dalszą drogę.

- Nayna, od początku cię chciałem zapytać, dlaczego właściwie mi pomagasz? - rzekł Probus.

- Wiesz, jestem trochę telepatką-empatką. Nie potrafię czytać cudzych myśli, ale potrafię wyczuć ogólne dążenia, rys charakteru. Może to głupie, co powiem, ale wiesz, czemu zdecydowałam ci się pomóc?

- Tak?

- Bo czuję, że jesteś porządnym człowiekiem, a to cholerna rzadkość. Dlatego.

- Dziękuję. Wiele dla mnie ryzykujesz. Gdyby Nagaya wiedziały, że mi pomagasz...

- Nie dziękuj. Zdecydowałam, że zaprowadzę cię tylko do Hazubisa, nic więcej. Dalej radź sobie sam.

* * *

Rezydencję Hazubisa otaczał wysoki kamienny mur, doskonale odcinający go od zewnętrznego świata. Przed bramą stało dwóch robostrażników. Wyglądali jak ponaddwumetrowi rycerze w czarnych zbrojach, jedynie na widok gości spod przyłbic miast twarzy wysunęły się trójlufy miotaczy.

Probus zdecydował się zrzucić kaptur. Włosy miał czarne, zaczesane do tyłu, tak długie, że opadały na ramiona. Nayna stwierdziła, że są ładne.

- Stój! Ani kroku dalej! To teren prywatny! - rozległ się lekko metaliczny głos.

- Chcemy się widzieć z panem Hazubisem - odparła dziewczyna.

- Pan Hazubis jest chwilowo nieobecny. Przyjdźcie kiedy indziej.

- Jest u siebie. Powiedz, że przyszła Nayna.

Roboty na chwilę znieruchomiały, a następnie rozstały się, dając im przejście, zaś brama zaczęła wsuwać się w podłogę.

- Proszę, wejdźcie. Pan Hazubis was oczekuje w swoich apartamentach.

* * *

- Witaj, Nayna! Zdecydowałaś się jednak do mnie wrócić? - Hazubis był wielkim grubasem, którego mięśnie ledwie utrzymywały istne tony tłuszczu. Wielgachny, pofałdowany brzuch opierał na specjalnym stojaku, usytuowanym obok kanapy, na której siedział. Był łysy i niemal całkiem goły, jedyne genitalia okrywał śmiesznie mały strzępek materiału. W ręku trzymał całego upieczonego kurczaka. Soczyste i delikatne mięso wokół kości znikało w jego ustach z zastraszającą prędkością.

Wokół Hazubisa pólleżały kobiety. Ale jakie to były kobiety! Każda była pięknnością nieprzeciętną, zjawiskową, posiadającą jakiś charakterystyczny rys, który czynił ją indywidualnością, który sprawiał, że była jedyna i неповtarzalna, a przez swoją wyjątkowość - bezcenna. Każda z nich była żywym klejnotem i, jak na klejnoty przystało, zapewniono im odpowiednią oprawę. Przyozdobione były w najlepsze stroje, zawsze jednak skąpe, by odsłaniać nogi, brzuch czy ramiona, niekiedy zaś za cały ubiór służyła kobietom misternie tkana siateczka utrzymywana w odpowiednich miejscach przy pomocy złotych nitek.

W basenie, także tuż przy legowisku wielmoży, pluskała się syrena o długich zielonych włosach przypominających wodorosty i sutkach koloru wiosennej trawy. Od czasu do czasu z pluskiem podpływała do swego pana, a wówczas on przez chwilę leniwie miętosił jej piersi.

To wszystko otoczone było siecią lewitujących talerzy i pater, na których leżały najwykwintniejsze potrawy oraz owoce ze wszystkich znanych światów. Zapach tych specjałów upajał podniebienie i sprawiał, że gruczoły ślinowe aż bolały od pracy pełną parą.

- Wiesz, że w tej sprawie nie zmieniam zdania. Natomiast miałam nadzieję, że po starej przyjaźni pomożesz memu przyjacielowi. Ma na imię Probus i jest pozaświatowcem.

Probus wystąpił krok do przodu i skłonił się w milczeniu. Hazubis roześmiał się głośno.

- Cała Nayna. Bezpośrednia i zawsze interesowna. Ale za to lubię waszą płęć. Pewnie, że ci pomogę. Jak to się mówi, przyjaciel mojej przyjaciółki jest moim... Zresztą nieważne. Rypiesz ją? - zainteresował się nagle.

- Słucham? - powiedział ostro Probus.

- Widzę, że nie. Zresztą nieważne, poza tym, że znaczy, żeś głupi - skończył pochłaniać kurczaka i teraz obleśnym ruchem oblizywał palce z tłuszczu.

- Czy to w tym domu zwyczajne, by obrażać nowo poznanych gości?

- Probus zbladł nieco.

- Ależ nie zwracaj uwagi na słowa starego degenerata, przyjmij panie moje przeprosiny - zacharczał Hazubis nagle, po czym plunął kawałkiem kości. - Powiedzcie, z czym przychodzicie, ja zaś zobaczę, co da się zrobić.

Tym razem przemówiła Nayna.

- Probus przyleciał tutaj z odległych światów, zwanych się Imperium.

- Nie słyszałem - rzekł grubas, powoli wstając ze swojej kanapy. Skinął na jedną z nałożnic, której jasne włosy miękką kaskadą opadały na ramiona, zaś opalona skóra miała gładkość alabastru. Ta natychmiast zbliżyła się do niego, dwoma szybkimi gestami zrzuciła ubranie, po czym ustawiła się do niego tyłem, na czworakach. Również Hazubis pozbył się swojej przepaski. Zbliżył się do niej i oparł swój wielki brzuch na jej pośladkach. Członka miał ciemnego, przeżartego jakąś chorobą, po pomieszczeniu rozszedł się odór zgnilizny. Jakiś czas później Probus dowiedział się od Cyganki, że grubas podczas swoich dawnych międzyświatowych podróży złapał jakąś egzotyczną chorobę weneryczną, pochodzącą z rejonów tak odległych, że w znanych światach nie było na nią antidotum. Najtęższym lekarzom udało się jedynie powstrzymać rozwój infekcji i ograniczyć jej zaraźliwość, jednak chory cierpiał katusze. Teraz, podczas gdy Nayna mówiła, on wsunął swój gnijący penis w różową płeć blondynki i zaczął ją rytmicznie posuwać, a ona oddawała mu się z cichym jękiem.

- Nagaya wysłały Zamęt na jego okręt i strąciły go z nieba.

- Dziwne, że nie zbadaly szczątków - rzekł Hazubis, nie przerywając.

- Probus miał szczęście, spadając, wleciał w strefę wczorajszego deszczu. Niestety, mimo ulewy zdecydował się poszukać pomocy i opuścił swój statek. Teraz nie może go odnaleźć.

Grubas zagwizdał z ukontentowaniem.

- Wczorajszy deszcz! A to zadziwiający zbieg okoliczności, dla ciebie, Probus, szczęśliwy. W rejon zawirowań temporalnych nie zapuszczają się nawet najlepsze okręty Nagaya. Niczego tam nie odnajdziesz, chyba że los tak zechce. Jeżeli chcesz znać moją opinię, twój okręt jest stracony.

- Jednak musi się wydostać z naszego świata. On tu nie pasuje. Zaś Nagaya, gdy go odnajdą, będą torturować i zabijają. Ty niegdyś podróżowałaś do odległych królestw. Znasz sposób, by opuścić planetę.

- To nie będzie takie proste. Całą flotę oficjalnie kontrolują Nagaya, a one raczej nie wpuszczą Probusa na swój okręt.

- Musi być jakiś inny sposób.

Hazubis kilka razy poruszył biodrami mocniej, wydobywając z blondynki okrzyki właściwe raczej potępionym duszom lub zwierzętom. Następnie wyjął członek, wytarł go nie dbale i rzekł:

- Wspaniała jest ta moja Miraell, nieprawdaż? Tak, jest pewien sposób. Udajcie się do Czarnego Miasta. Wiem, to stolica Nagaya, ale nawet tam one nie kontrolują wszystkiego. Przemysłowcy posiadają pewną liczbę niezarejestrowanych statków, za odpowiednią opłatą wydostaną was stąd.

- On nie ma pieniędzy.

- Dam wam poręczenie, które pomoże wam w kontaktach z ich hersztem.

Tylko tyle mogę uczynić. Gdzieś w moim biurze miałem glejt, który powinien jeszcze być respektowany. Chodź ze mną.

Nayna i Hazubis ruszyli po długich schodach na piętro. Grubas pokonywał stopnie z zadziwiającą przy jego tuszy lekkością. Pod skórę miał wszczepione antygrawitory.

Nie było ich dłuższy czas i Probus zaczął się nudzić. Podszedł do tej dziewczyny, która przed chwilą parzyła się z grubasem. Wciąż naga, poprawiała makijaż, korzystając z fruującego w powietrzu owalnego lusterka.

- Miraell, prawda? - zagadnął. - Wybacz, że pytam, ale intryguje mnie, dlaczego taka piękna kobieta, która mogłaby mieć w życiu wszystko, spędza najlepsze lata w towarzystwie... - urwał, szukając odpowiedniego słowa. Wyręczyła go z godną podziwu w jej sytuacji dosadnością.

- ... Takiego wieprza? Nie krępuj się. Hazubis łatwo się nie obraża. Jest bardzo tolerancyjny, jeżeli tylko inni odpłacają mu się taką samą akceptacją dla jego drobnych słabości - rozchyliła nieco wargi, znacząc ich obrys barwnym promieniem światła płynącym ze szminki. Spojrzała na swoje odbicie i najwyraźniej zadowolona z efektu odłożyła przybory.

- Hazubis daje mi wszystko, czego tylko chcę - mówiła dalej - a w zamian wymaga niewiele. Tu mam towarzystwo, w tej willi na przyjęciach bywają często najznamienitsi goście z całego wieloświata, jego kuchnia podaje zawsze najlepsze jedzenie, sprowadza też dla mnie najdroższe suknie i biżuterię o jakiej niegdyś nie mogłam nawet marzyć. A w zamian wymaga tylko jednego, bym była dla niego miła. To niewiele, prawda?

- Miła? - powtórzył z nutą ironii.

- No wiesz, w każdym sensie tego słowa. Ale to dobry układ.

Robolokaje przyniosły balię z czystą ciepłą wodą, uczyniły to tak umiejętnie

i cicho, że Probus zauważył ją dopiero, gdy Miraell kucnęła nad nią i zaczęła się sprawnie podmywać. Nie przerywając tej czynności, patrząc gdzieś w przestrzeń, mówiła:

- A co, mam może skończyć jak inne? Zostać wyścieliskiem łoża dla mego pana i męża tylko dlatego, że niegdyś oddałam mu ciało w przypływie chwilowej namiętności, że tak nazwę zabierającą rozum głupotę? Uczucia mijają, są jak ognisko, płoną intensywnie, że aż strach cię obejmuje, gdy czujesz ten żar, jednak następnego dnia wiatr rozrzuca na wszystkie strony wyblakłe popioły. Zostaje pranie skarpetek, owa najwznioślejsza czynność, jaką może uczynić kobieta zamężna, poza może nasiąkaniem zapachem garów i wydalaniem co roku rozwrzeszczanego bachora ze swego brzucha. Więc pomyśl, Probusie, że gdy tak będę stała w smrodzie pieluch, z prymitywną aparatur sprzątającą w garści, bez makijażu, w poplamionym fartuchu, przyjdzie mój zmęczony żywiciel i wiesz, o co poprosi?

Wyszła z balii. Ręcznikiem wytarła dokładnie wydepilowany srom i zaczęła wdziawać swój skąpy, choć zaprojektowany z artyzmem i smakiem strój.

Spojrzała mu lodowato prosto w oczy.

- Bym była dla niego miła - powiedziała.

* * *

Mężczyzna spowity w ciemnoczerwony płaszcz szedł samotnie traktem. Przez ramię przewieszoną miał torbę z pro-

wiantem, podarunek Hazubisa. W jednej z kieszeni jego pasa tkwił bezpiecznie nieduży srebrny dysk, który miał pomóc mu zdobyć przychylność przemytników.

- Idź prosto na północ, cały czas traktem, aż przejdiesz fraktalny las. Przy odrobinie szczęścia znajdziesz za nim życzliwych ludzi, którzy wskażą ci dalszą drogę do Czarnego Miasta - mówiła Cyganka, gdy mu go wręczała, żegnając się z nim przy bramie posiadłości grubasa.

- Dziękuję, Nayna - odparł, patrząc prosto w jej piękne ciemnoniebieskie oczy. - Dziękuję. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy twoja pomoc.

- Drobiazg. Idź już - odwróciła spojrzenie, cofnęła się o krok. - Idź!

Pożegnał się i poszedł.

Wokół niego rósł dywan niebieskiej, krótko ściętej trawy, nad nim rozpościerało się lazurowe niebo. Zlewały się niemal ze sobą, nie sposób było odnaleźć wzrokiem linii horyzontu. Kto wie, może idąc odpowiednio długo, wszedłby niespostrzeżenie na nieboskłon? Może już po nim idzie, zaś nieliczne kolonie dmuchawców, które obsiadły niskie wzgórza, to chmury? Zamrugął powiekami, by oddalić tę idiotyczną wizję, którą podsyłał mu zmęczony ostatnimi niezwykłymi wydarzeniami umysł. Jedynie ciemnobrunatny trakt stanowił dla oczu odpoczynek od wszechobecnej niebieskości.

Wkrótce otrzymał dowód, że nie spaceruje po niebie. Daleko po prawej, równoległe do traktu mknął przez trawiastą równinę pociąg. Nie widać było podziału na wagony, jedynie zaostrzony z przodu dziób wskazywał na lokomotywę. Miał nie więcej niż dwadzieścia, trzydzieści metrów długości, cały był czarny.

Czemu wysłano go piechotą, skoro najwyraźniej mógłjechać pociągiem? - zastanowił się. Po chwili otrzymał odpowiedź: w pociągu zazwyczaj ktoś kontroluje bilety. Być może Nagaya.

Wkrótce pociąg zniknął mu z oczu. Mężczyzna minął kolejny obsiany trawą pagórek i jego oczom ukazał się las.

Las miał kolor metalicznej, ciemnej zieleni. Co ciekawe, kolejne gałęzie odchodziły od siebie zawsze pod kątem prostym, każda następna była krótsza od poprzedniej i z każdej, na ile to można było dostrzec gołym okiem, odchodziła jakaś gałąź, już tak mała, że można było ją przeoczyć.

- Fraktalny las - powtórzył głośno słowa Cyganki. Miał jedynie nadzieję, że nie czają się w nim groźne zwierzęta.

Zrobił kilka kroków w kierunku drzew, jednak jeszcze nie odważył się zapuścić w głąb. Inna rzecz teraz wzbudziła jego niepokój: między gałęziami niektórych drzew rozwieszona była srebrzysta sieć pajęczyn, zaś w nich osadzone były oczy o przekrwionych białkach, niezwykłych, jakby rozplaszczonych szarych tęczęwkach i nieregularnych źrenicach. Zdawały się śledzić każdy jego ruch.

Nie wejdę tam, pomyślał. Nie wejdę. W tym lesie czyha zguba. Hazubis powstał mnie na zatracenie, droga, którą mi wskazał, jest nie do przebycia.

Oczy spoglądały na niego niczym wygłodniałe bestie.

Drgnął. Za sobą usłyszał tupot nóg uderzających z dużą szybkością o bruk gościńca. Odwrócił się. Co za stworzenie pojawi się lada chwila na grzbiecie pagórka? Uciekać nie było dokąd, chyba że do przodu, w las.

- Uff, myślałam, że cię nie dogonię - Cyganka wbiegła na szczyt, zauważyła go i skłoniwszy się lekko, oparła ręce na ko-

lanach. Dyszała ciężko, w tej pozycji próbowała uspokoić kolę szarpącą jej bok.

- Nayna, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę!
- W takim razie jeszcze bardziej ucieszy cię wiadomość, że zdecydowałam się towarzyszyć ci do Czarnego Miasta.
- Co wpłynęło na zmianę twojej decyzji?
- Chcę zobaczyć trochę świata. Nie spędzę całego życia na głuchej prowincji. Pomyślałam, że twoje przybycie to znak od losu, bym zrobiła to, o czym od dawna myślałam. Poza tym, jest okazja nie przebyć tej drogi samotnie.

Schodziła ze wzgórza.

Nie powiedziała mu całej prawdy. W rzeczywistości, gdy się z nim pożegnała pod bramą Hazubisa, zrozumiała, że poza światowiec jest tutaj zagubiony i bezradny niczym dziecko i więcej niż pewnym było, że wpakuje się w niepotrzebne kłopoty. Bez niej nie przeżyje.

- No chodź, idziemy! - krzyknęła, ciągnąc go do lasu.
- A te drzewa... Nie są niebezpieczne?
- Skąd, drzewa jak drzewa. Czym tu się przejmować?
- A te oczy? Wyglądają, jakby na mnie patrzyły.
- To akurat możliwe. Niektórzy mówią, że są podłączone do szerszego systemu inwigilacji planety. Ale nawet jeżeli to prawda, czy sądzisz, że Nagaya są w stanie kontrolować całe puszcze generujące obrazy? W każdym razie musimy zaryzykować. No chodź, im dłużej zwlekasz, tym większa szansa, że ktoś cię dostrzeże.

* * *

Chociaż Nayna twierdziła, że las jest względnie bezpieczny, Probus nie potrafił ukryć ulgi, gdy po kilku godzinach mar-

szu wyszli wreszcie na otwartą przestrzeń. Zmęczone nogi domagały się choć chwili odpoczynku, zaś pobudzony wizytą u Hazubisa żołądek od dawna upominał się o swoje prawa. Znalazłszy rozłożyste, samotnie stojące drzewo, którego korona osłaniała ich przed palącym słońcem, zdecydowali się zatrzymać na chwilę. Grubas zaopatrzył ich obficie i smacznie, stąd po posiłku ogarnęło Probusa przyjemne lenistwo. Cygan-ka upierała się jednak, by iść dalej, choćby nieśpiesznym marszem, by strawić w spokoju tłuste potrawy.

Szli teraz wysokim bulwarem, dzielącym dwa szerokie pola pszenicy. Pszenica była jednak niezwykła, o jaskrawożółtych łodygach i kłosach, wysoka tak, że człowiek w niej ginął, bardziej nawet niż wśród kukurydzy. Żłote pola otaczały ich zewsząd, jedynie po prawej widać się w odległej dolinie modra wstążka rzeki.

Podłoże tu miało kolor pomarańczowy, składało się z pokruszonej na płaskie kawałki łupkowej skały, pękającej pod naciskiem. Z jakichś powodów ten pozornie kamienisty grunt był nadspodziewanie urodzajny.

Mężczyzna, zadowolony, że torba straciła połowę ciężaru, który teraz ulokował się w jego żołądku, zajmował się podziwianiem widoku. A że szybko mu się znudziło, bo zboże było bezkresne jak ocean, przyjrzał się swojej towarzysze. Już wcześniej zauważył, że była piękna. Jednak piękne kobiety mają to do siebie, że można na nie patrzeć bez końca i za każdym razem odkrywa się je na nowo. Stąd śledził wzrokiem regularne rysy dziewczyny, podziwiał subtelnie wykonany, dyskretny makijaż podkreślający ich wyrefinowanie.

- Nayna?
- Hm...
- Zegary na twojej chustce... Są namalowane, prawda?

- Tak.

- To dlaczego mam wrażenie, że pokazują co pewien czas inną godzinę? Z początku sądziłem, że patrzę na chustkę pod innym kątem albo że ją przewiązałaś jeszcze raz i widzę część ukrytą dotąd pod włosami. Ale nie. One chodzą.

- Co w tym dziwnego? Przecież to zegary.

- Ale to tylko wzór na chustce...

- Skoro tylko wskazują właściwą godzinę, co mnie to obchodzi?

- A wskazują? Przecież każdy cyferblat ma inny układ wskazówek. To bez sensu.

- Bynajmniej. Dzięki temu, gdziekolwiek się znajdę, zawsze będę wiedzieć, która godzina.

Probus nie wiedział, jak ma kontynuować tę rozmowę. Odpowiedzi dziewczyny były absurdalne i mnożyły zagadki, miast udzielać odpowiedzi. Jednak, ku jego zaskoczeniu, tym razem ona o coś zapytała.

- Probus, twoje ręce są dziwne. Na ich wewnętrznej stronie jest taki grafitowy naskórek. Po co?

- To wszczepy uwrażliwiające. Mają je wszyscy piloci, pozwalają nam bezpośrednio łączyć nasze neurony z systemem nerwowym statku. Wystarczy, że położę dłonie na sterach, a ja i pojazd stanowimy jeden organizm. Niezwykle skraca to czas mojej reakcji. Jest to niezbędne zwłaszcza do skoków międzyświatowych...

- Musimy uciekać - przerwała mu nagle zmienionym głosem. Obracała się niczym zaszczute zwierzę, rozbieranymi oczami wypatrując zagrożenia.

- Co się...?

- Mówiłam ci, jestem telepatką. Ktoś chce nas... Tam są! - krzyknęła, wskazując w niebo. Za ich plecami opadał nad bul-

war nieduży latający pojazd. Liczne wypustki i ciemny pancierz upodobiały go do wyjątkowo egzotycznego żuka. Z „odwłoka” statku emitowane były świetliste promienie tworzące nad gościńcem błyszczącą siatkę. Jeszcze chwila, a tworzące ją światło zestaliło się i pojazd niósł w ich kierunku najzupełniej materialną sieć.

- To Nagaya. Widocznie oczy fraktalnego lasu nie są tak ślepe, jak sądziliśmy. W zboże! Pociągnęła go w dół bulwaru. Gestem dała mu znać, by pozbył się niepotrzebnego obciążenia i odrzucił torbę z prowiantem. Z żalem wypełnił jej polecenie. W biegu tłumaczyła:

- Podlecieli do nas od tyłu, gdyby nie mój talent, odkrylibyśmy ich dopiero, gdy uderzyłaby w nas sieć. Na szczęście pojazd pilotuje człowiek, zamierzeń umysłu Nagaya nie potrafię odebrać.

Probus odwrócił się. Statek zgasił promienie tworzące groźną pułapkę i przyśpieszył, by dopaść ich, nim znikną głęboko w zbożu.

Mężczyzna wpadł między pierwsze kłosa, wyższe od niego o ponad metr. Natychmiast skręcił, po czym przykucnął. Domyślał się, że jego pospieszny bieg trąca łądygi i niewielki ruch kłosów może być widoczny z góry. Trwał więc nieruchomo, gdy nad nim przepłynął wielki cień. Patrząc w górę, zobaczył długi metalowy wysięgnik, na końcu którego zamocowany był chwytak, składający się z czterech metalowych ramion - wpięrw rozchodzących się na cztery przeciwne strony, potem zawracających pod kątem prostym, zbiegających się w jednym punkcie, by zakleszczyć ofiarę.

Chwytak błyskawicznie uderzył. Probus leciwie stłumił krzyk. Cios spadł tuż koło niego. Urządzenie zaczęło się wznosić powoli w powietrze.

Tym razem mu się udało. Ale Nayna? Jeżeli oni złapali Naynę...

Z ulgą odnotował, że chwytak ma między swymi kleszczami jedynie trochę pogniecionego zboża i wyrwanej darni.

Nagaya, widocznie zwabieni ruchem kłosów w innej części pola, powoli odlecieli. Probus wykorzystał to, by podjąć szaleńczy bieg przez pszeniczny las. Biegając, w myślach przeklinał swoją głupotę. Jak mógł być tak nieuważnym i pozwolić, by gęste zboże ich rozdzieliło? Teraz może nigdy już nie odnajdzie dziewczyny.

Przysiągł sobie, że gdy znowu ją spotka, już nigdy nie pozwoli, by tak głupio się z nią rozstać.

Kłosa nad nim ugięły się od podmuchu hamującego statku. Złowrogi cień znów zawisł nad jego głową. Usłyszał nieprzyjemny zgrzyt wysuwającego się chwytaka.

Mają mnie, pomyślał. Biegając, rozgarniałem zboże jak buhaj, musieli to widzieć z góry. Mają mnie.

I wówczas, jakby na domiar złego, pole się skończyło, a on zobaczył, że płaski, porośnięty z rzadka drzewami teren opada, tworząc dolinę, przez środek której wiała się lśniąca, modra wstęga rzeki. Drzew było zbyt mało, by mogły dać mu ochronę przed łowcami z żuka. Gdy już sądził, że wszystko stracone, nagle ziemia się pod nim otworzyła i pozbawione oparcia stopy pociągnęły go w ciemność.

* * *

Spadł do ciemnej, wydrążonej w ziemi jamy, której wielkości nie dało się oszacować bez źródła światła. Popatrzył w górę - w oddali lśniła długa, wąska, prostokątna szczelina. Promienie nie wpadały jednak dostatecznie głęboko, by mógł coś zobaczyć. Pomacał podłoże i wyczuł obłe, dziwnie gład-

kie podłużne przedmioty. Spadł na jakąś płataninę wyschniętych gałęzi, które pod jego ciężarem załamały się i zgnioty. Jeszcze teraz kaszłał suchym pyłem, który wypełnił mu płuca.

Nagle drgnął, coś ku niemu pełzło niby wąż. Nim zdołał zareagować, poczuł delikatny uścisk na kostce. Szarpnął się z okrzykiem przerażenia, bez trudu wyswabadzając się z uchwytu. Cofnął się gwałtownie, aż uderzył plecami o ścianę.

- Probus? To, ja Nayna... - usłyszał znajomy głos. Odetchnął z ulgą.

- Tak się martwiłem... Też wpadłaś do tej dziury?

- Mhm... Czekaj, zaraz będzie światło - zobaczył, jak ciemność rozświetlają białe iskierki. Nagle pojawił się płomień. W migotliwym świetle zobaczył Cygankę kucającą nad niedużym, rozpalonym stosikiem zrobionym z włosów i dużych wrzecionowatych drzazg.

- Dobrze, że miałam krzesiwo... Zawsze zabieram je w podróż, na noc dobrze jest rozpalic ognisko dla ciepła i bezpieczeństwa.

- Skąd miałaś drewno?

- Pełno tu jakichś desek. Część jest obdarta, jakby ktoś bez sensu kaleczył je nożem. Stąd drzewne ścinki. Włosy wyrwałam sobie z głowy. Od szczęściu sztuk nie wyłysięję.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Była to, jak się słusznie domyślał, ziemna jama. Ściany były bure i brązowe, wystawały z nich fragmenty grubych korzeni jakichś drzew, często zresztą nie kończyły się w powietrzu, ale, zakreślając skomplikowany tuk, powracały w ścianę. Podłóże usiane było jakis łachmanami, wszędzie były deski i szmaty. Spojrzał na płataninę gałęzi, na którą spadł...

... i ponownie krzyknął. Siedział na stosie pokruszonych, żółtych kości.

- Miałam ci powiedzieć... - odezwała się dziewczyna, gdy wstał gwałtownie, otrzępując płaszcz z obrzydzeniem.

Nayna zrobiła z kawałków drewna i fragmentów szmat pochodnię. W jej blasku dostrzegł ze zdziwieniem, że pod ścianą stały przedmioty przypominające koryta.

- Mamy dwie drogi - mówiła tymczasem dziewczyna - możemy iść przed siebie albo obrócić się na pięcie i wówczas iść przed siebie. Które „przed siebie” wybieramy?

- Pierwsze. Drugie kojarzy mi się z rejteradą.

Nie uczynili jednak więcej niż dwanaście kroków, a usłyszeli przed sobą narastający tumult, jakby schodziła ku nim lawina.

- Uciekajmy! - krzyknęła dziewczyna. Zawrócili i puścili się biegiem. Probus obejrzał się. Za nimi, zza załomu korytarza wypadło niemające najwyraźniej końca stado dzikich świń. Oczy pały im czerwonym gniewem, kły lśniły w świetle pochodni, jakby już były zbroczone krwią.

- To świny ludojady! Szybko! Jeżeli nas dopadną, stratu- ją i zjedzą!

To dlatego koryta i pokancerowane deski, pomyślał mężczyzna. Samce czyściły sobie szable.

- Tędy! - pociągnęła go w boczny korytarz, biegnący nieco w górę. Oby to nie była ślepa uliczka, bo stado było już tuż-tuż, niemal czuł na plecach gorąco ich oddechu.

Biegli niemal w zupełnych ciemnościach, pęd przygaszał ogień pochodni. Co gorsza, opuszczając główny korytarz, zostawili również jaśniejącą wysoko szczelinę, która dawała słabe światło, tutaj sufit tworzyła nisko sklepiona warstwa ubitej gleby. Niepokoiło to nieco mężczyznę, szczelina dawała mu poczucie połączenia ze światem na powierzchni. Teraz czuł się do reszty zagubiony w podziemnym labiryncie. Nie-

wielki płomień grał cieniami na ścianach, tworzył korowód widm z piekła rodem, zdawało mu się, że szarpia go za rękawy płaszcza jakieś straszne istoty, a to tylko korzenie plątały się z materiałem. Za nim zaś narastało straszliwe dudnienie, odgłos dziesiątków racic. I wtedy dziewczyna potknęła się o jeden z wystających z ziemi korzeni. Probus nie namyślał się długo: schwycił stojący pod ścianą rupieć, zdaje się fragment jakiegoś wozu i zastawił nim przejście. Nim stado skręciło z głównej drogi, co przy takim impecie nie było łatwe, Probus zdołał jeszcze podeprzeć wóz dwoma stemplami z desek i podnieść upuszczoną przez Cygankę pochodnię.

- Uciekaj, głupia... - zdołał krzyknąć, gdy się nieudolnie podnosiła.

Zawrócił i stanął na prowizorycznej barykadzie. Wymachiwał rozpaloną

żagwią, co dało mu tyle, że pierwsze sztuki się zatrzymały. Jednak kolejne nie widziały jeszcze ognia. W wąskim przesmyku stado było jak rzeka, kolejne zwierzęta napierały na przodowników.

Rozszalałe bestie uderzały o zaporę, Probus uderzał je pochodnią po grzbietach, poczuł swąd palonej świńskiej skóry. Ból i przerażenie wywołane bliskością płomieni sprawiło, że zwierzęta zaczęły głośno kwiczeć, kopały też i gryzły swoich towarzyszy, uderzały bokami o ściany. Przynajmniej napór na zaporę zelżał.

Nagle pojawiła się Nayna z naręczem desek i suchych szmat i rozrzuciła to wszystko na barykadę.

- Podpalaj! - krzyknęła.

Rzeczywiście, szaniec, który wznosił przeciwko natarciu dzikich świń zaczynał już pękać. Przystawił doń żagiew i wznosił między sobą a zwierzętami ścianę ognia. A potem od-

wrócili się i zaczęli uciekać tak szybko, jak to było możliwe, zyskali bowiem niedużo czasu. Droga wciąż się wznosiła, Co było dobrym znakiem. Może zdążą umknąć na powierzchnię.

Wkrótce potem Nayna, która biegła pierwsza, krzyknęła rozpaczliwie. Korytarz zamykał się okrągłym placem. Pod ścianami leżały stosy desek, na środku w olbrzymim pniu tkwiła siekiera. Probus poczuł świeże powietrze i zerknął w górę. Dokładnie nad samym środkiem placyku widniała podłużna szczelina.

- To już koniec... - powiedziała Nayna. - Słyszałam o ludziach zaatakowanych przez podziemne śwynie. Zanurzą zęby w naszych brzuchach i zaczną nam żywcem wyjadać flaki.

Probus milcząc wyjął z pniaka siekierę i zważył ją w rękach, po czym oddał pochodnię dziewczynie.

- Zrobimy z drewna kolejną zaporę - powiedział. - Ty będziesz straszyć je ogniem, a ja przetrączę przednim sztukom kręgosłupy. Kolejne zaczną zjadać pierwsze. Jeszcze nie wszystko stracone.

Podszedł do stosu desek. Spojrzał raz jeszcze w górę i inna myśl przyszła mu do głowy.

- Nayna, spójrz! Ta szczelina, z której pada światło... Znajduje się tutaj wyjątkowo nisko. Ze stosu desek powinniśmy dosięgnąć wyrastających ze ścian korzeni. Przy odrobinie szczęścia możemy wspiąć się do wyjścia.

Cyganka bez słowa wspięła się na zakurzoną stertę. Zgasiała i odrzuciła pochodnię, ogarnęła ich ciemność. Podskoczyła i zawiesiła się na grubym niczym ramię podziemnym konarze. Mężczyzna poszedł w jej ślady.

Wspinaczka była mozolna. Korzenie stanowiły solidne oparcie, jednak rozmieszczone były dość rzadko. Wyższy Probus bez trudu wyprzedził dziewczynę.

The Best t.01

- One... dzikie świnię... one do mnie mówią - usłyszał nagłe zmieniony głos Cyganki. Chciał powiedzieć, że nic nie słyszy, ale przypomniał sobie, że Nayna jest telepatką.

- Czego chcą?

- Idźcie już. Możecie wziąć ogień, siekierę i drewno, bo na nic nam nie są potrzebne. Ale już idźcie.

- Hm... pozwalają nam odejść. Wygląda na to, że dzikie świnię nie są takie złe, na jakie wyglądają.

- Nie były głodne - powiedziała głucho dziewczyna. - Nie były głodne. Jakby były, przeszłyby przez ogień bez zastanowienia.

* * *

Szczelina była już blisko, jednak pojawił się problem: z najwyższego korzenia nie sposób było dosięgnąć jej krawędzi. Probus szukał rozpaczliwie jakiegoś wyjścia, jednak nic nie znajdował. Jak wyjaśnić wspinającej się za nim wyczerpanej dziewczynie, że ich wysiłek poszedł na marne? Że będą musieli wrócić do legowiska podziemnych świń, a te z pewnością nie wypuszczą już ich tak łatwo? Co robić? Nayna była coraz bliżej. Zaraz wzniesie ku niemu swoją mokrą od potu, piękną twarz i zapyta, dlaczego się zatrzymał.

Jak ma jej odpowiedzieć?

I gdy już miał przekazać złe nowiny, usłyszał dobiegające z góry głosy.

- Hop, hop, jest tam kto? Potrzebujemy pomocy! - zakrzyknął z całych sił.

Głosy ucichły, a potem rozległy się znacznie bliżej.

- Ho, ho, Johnie drugi, chyba coś słyszałem. Jakby ludzki głos dobywający się ze świńskiej dziury.

- Zatem sprawdź to, Johnie trzeci. Sprawdź koniecznie.

Wkrótce w szczelinie pojawiła się olbrzymia twarz.

- Pomóżcie nam... - wychrypiał Probus.

- Hu, hu, Johnie Pierwszy, Johnie Drugi! Jakies ptaszyny tu uwięzły. Trzeba im pomóc - mówiący wyciągnął nienaturalnie długą rękę. - Chwytaj. I oddaj mi siekierę, będzie ci łatwiej.

Był niezwykle silny, wyciągnął Probusa niczym dźwig. Chwilę potem na powierzchnię została wydobyta Cyganka.

Mężczyzna przyjrzał się swoim wybawicielom. Wyglądali na farmerów - mieli niebieskie spodnie na szelkach, znoszone, wytarte na kolanach i poplamione jasne koszule zapinane nieco z boku, a głowy przykrywały im żółte słomkowe kapelusze z niezwykle szerokimi rondami.

Byli bardzo wysocy, sprawiali wrażenie, jakby wszystkie części ich ciała były zbyt duże, nie pasowały do siebie, poruszali się przez to karykaturalnie.

- Hej, hej, Johnie Drugi, chyba biedacy wpadli do podziemnego tartaku. Kiedyś była tu stocznia, teraz wszystko opuszczone, zajęte przez paskudne świnię. Wszędzie zarośnięte krzakami nieczynne otwory wentylacyjne, ziemia wokół jak sito.

- Hun, hun, Johnie Pierwszy, może byśmy zjedli posiłek w naszej chacie. Czy nasi nowi przyjaciele dadzą się zaprosić?

- Chętnie - rzekł Probus. - Jesteśmy głodni, chcielibyśmy też odpocząć.

Za kilka godzin miała nadszć noc. Odpoczynek pod dachem i ciepła

strawa były nie do pogardzenia. A gospodarze zdawali się sympatyczni, choć nieco głupi.

Rozejrzał się - obok miał pole pszenicy, dalej była dolina z rzeką pośrodku, wreszcie wysoki pomarańczowy bulwar, nie trudno zgadnąć, że ten sam, którym uciekali przed Nagaya. Znajdowali się teraz po drugiej stronie rzeki. Jedyną do-

brą stroną ostatniej przygody było to, że zgubili najwyraźniej złowrogiego żuka.

Ruszyli szeroką ścieżką biegnącą między łanami zboża. Po obu jej stronach rosły rzędy smukłych brzoź, o zwykłej u tych drzew bladoróżowej korze i smolistoczarnych lancetowatych liściach. Niezbyt daleko przed nimi droga docierała do rzeki i dalej równoległe z nią schodziła ku morzu.

Probus podszedł do farmera niosącego siekiere i wyciągnął rękę, zamierzając poprosić o jej zwrot. Jednak John uprzedził jego prośbę.

- Nie turbuj się, panocku - powiedział, odstawiając garnitur śnieżnobiałych zębów. - Nie turbuj niczym. My poniesiemy.

- Hu, hu, Johnowie idą na posiłek - rzekł tubalnie prowadzący ich farmer.

Nie wiedzieć czemu Probusa ogarnęły złe przeczucia. Obejrzał się

gwałtownie. Za nim szedł John któryśtam i wykonywał jakieś dziwne ruchy rękami - jakby mierzył szerokość jego barków i długość nóg.

Probus zbliżył się ostrożnie do Cyganki i wyszeptał:

- Coś mi tu nie gra, Nayna. Nie oddali mi broni, a ten z tyłu zachowuje się, jakby sprawdzał, czy mój strój na niego pasuje.

- Ja też mam złe przeczucia - odparła dziewczyna. - Od kilku chwil próbuję sięgnąć ich umysłów, by sprawdzić ich nastawienie, a oni się blokują. Wszystkie uczucia tłumi radość z nadchodzącego posiłku.

Mężczyzna doznał olśnienia.

- Wiejmy! - pociągnął ją za rękę. - To my mamy być danie!

Znów wbiegli w zboże, tym razem Probus nie puszczał ręki dziewczyny. Chwila konsternacji, nim Johnowie ruszyli w pościg, dała im kilkanaście metrów przewagi. Farmerzy biegli wielkimi susami, ich karykaturalnie rozciągnięte kończyny pozwalały osiągnąć nienaturalną dla człowieka prędkość. Pszenica ponownie okazała się dobrym schronieniem. Nayna i Probus, klucząc, kierowali się w stronę rzeki. Tym razem patrzyli pod nogi.

- Chyba ich zgubiliśmy - szepnęła wreszcie dziewczyna.
- To głupki.

Rzeczywiście, złowrogie pohukiwanie, które od czasu do czasu wydobywało się z krtani farmerów, wyraźnie się oddalało.

I wtedy właśnie zboże się skończyło, a oni zobaczyli, że stoją na obwiedzionej betonem krawędzi rowu biegnącego wzdłuż całej szerokości pola.

Po jego drugiej stronie widać było bliźniaczą betonową linię.

- Zapewne do czegoś podobnego wpadliśmy poprzednim razem. Trzeba to przeskoczyć! - rzekł Probus. - Musimy koniecznie umknąć Johnom. Skacz!

Rów nie był szeroki, więc z łatwością znaleźli się po drugiej stronie. Zbiegali teraz po stoku ku rzece, mijając rzadko rosnące drzewa, których korzenie tworzyły pod ziemią tak frapującą płataninę.

Leniwy nurt zagroził im w końcu drogę. Nie namyślając się długo Probus pociągnął dziewczynę ku bliskiemu morzu. Ich stopy zostawiały w mokrym, nadbrzeżnym piasku płytkie ślady. Nie biegło się zbyt wygodnie, ale przynajmniej teren był równy, pozbawiony zdradliwych korzeni i zamaskowanych szczelin.

Dotarli do ujścia rzeki. Przed nimi był bladozielony bezkres morza, niewielkie, spienione na grzbietach fale łagodnie uderzały o piaszczysty brzeg, obmywały osadzone gdzieś olbrzymie głazy, wznoszące się wysoko ku niebu niczym gigantyczne kamienne maczugi. Ich powierzchnia była tak lśniąco biała, że w blasku zachodzącego słońca jarzyła się, aż bolały oczy. Miarowy szum brzmiał groźnie, była w nim zapowiedź wielkiej siły żywiołu. Fale jakby szeptały „nie pójdziecie dalej”.

- Spójrz Probus, tam jest barka...

Rzeczywiście - kołysała się na morskich falach w pewnej odległości od brzegu, przycumowana najwyraźniej do jednej z odosobnionych skalnych maczug. Gdyby zdołali się do niej dostać, byłiby bezpieczni, jednak była zbyt daleko, by można było do niej dojść po dnie. Probus właśnie zastanawiał się, czy ryzykować i spróbować przepłynąć ten dystans, gdy Nayna stwierdziła:

- Wiem, o czym myślisz. Ja nie umiem pływać.

Zaklął paskudnie.

I wtedy zobaczyli na brzegu dwóch flisaków. Byli ubrani w ciemne płaszcze przeciwdeszczowe, pod spodem nosili podkoszulki w marynarskie biało-niebieskie szerokie pasy. Na głowach mieli szare czapki z czarnymi połyskliwymi daszkami.

- Potrzebujemy pomocy... - Nayna podbiegła do nich. Po chwili, nie doczekawszy się żadnej reakcji, szarpnęła jednego z marynarzy za ramię i powtórzyła prośbę. Flisacy wpatrywali się jednak tępo w barkę, nie zwracając najmniejszej uwagi na dziewczynę.

- Traktują mnie jak powietrze... - pozaliła się Probusowi.
- Może nas zauważą, gdy dostaną pięścią w tę tykwę, na której trzyma się ich czapka?!

Tymczasem, nieopodal miejsca, w którym Probus i Nayna opuścili zboże, spomiędzy łanów na plażę wydostało się dwóch Johnów. Pochylili się, wyraźnie medytując nad śladami w piasku. Wiejący nad wodą wiatr donosił uciekinierom odgłosy gromkiego pohukiwania. Jeszcze chwila i obok nich pojawił się trzeci farmer.

- Nie ma czasu. Nawet oni są dość inteligentni, by zorientować się, że ślady zazwyczaj ktoś pozostawia - pociągnęła Probusa dalej Nayna. - Biegnijmy!

Jednak plaża ciągnęła się aż po horyzont, nie dając żadnej nadziei na kryjówkę, a na dodatek, biegnąc po równym terenie, farmerzy mogli osiągnąć większe prędkości. Na szczęście Probus zauważył tuż obok pętlę tramwajową. Pobiegli w tamtą stronę.

Cztery tramwaje poruszały się po jakiejś szaleńczej spirali, jednocześnie każdy wirował wokół własnej osi. Dziwne, że jeszcze żaden nie zderzył się z drugim, pomyślał Probus. Nigdzie nie było widać torów. Plac, po którym tańczyły tramwaje, był otoczony z trzech stron wysokimi betonowymi murami, jedyny dostęp do niego był właśnie od strony plaży. Mężczyzna miał wrażenie, że przez chwilę, przez szczelinę między wagonami dojrzał na przeciwległej ścianie zarys drzwi. Możliwe, że znajdował się tam punkt wydawania biletów bądź po prostu pomieszczenia dla techników. Niewykluczone, że miały także drugie wyjście, dzięki któremu mogliby zmylić pogoń. W najgorszym razie schronią się tam na pewien czas przed farmerami.

Co chwila któryś tramwaj się zatrzymywał. Drzwi się rozsuwały, a następnie zatrzaśkiwały z hukiem i tramwaj ruszała, kręcąc się niczym bąk. Niepodobna było wejść między rozpędzone wagony. Wystarczyłaby chwila nieuwagi, by pędzące masy stali roztarty ich na miazgę.

- Ten pozorny chaos ukrywa w istocie porządek - rzekła Nayna.

Probus obejrzał się - Johnowie rozmawiali z flisakami, rozmówcy pokazywali rękami we wszystkich kierunkach. Lada chwila nas zauważą, pomyślał. I podjął decyzję.

- Musimy się przez nie przedostać. Przeciwległa ściana jest prawdopodobnie fasadą budynku, wewnątrz którego będziemy bezpieczni. Przy odrobinie szczęścia Johnowie powinni pobiec plażą. Uważaj, trzymaj się blisko mnie.

Ruszył. Krawędź wagonu nieraz mijała go o milimetry, wtedy przystawał gwałtownie. Innym razem ledwie uskakiwał przed rozpędzonym zderzakiem. Nayna nie zdołała dotrzymać mu kroku, miał nadzieję, że jej również uda się bezpiecznie przejść przez plac. Starał się cały czas przewidzieć ruchy tramwajów, rozglądał się na wszystkie strony, odgadując, skąd może nadejść zagrożenie. Jego chód przypominał nieskoordynowany płas, ale dzięki temu udawało im się uniknąć tragicznego w skutkach zderzenia.

Wreszcie dotarł do zbawczej ściany. Przyciskając plecy do zimnego betonu, krok po kroku zbliżał się do miejsca, w którym, jak sądził, powinny być drzwi. Któryś z płasających wagonów odstąpił biegnącą ku niemu dziewczynę i wnet przypadła do muru tuż obok niego. Jej piersi poruszały się gwałtownie, oddychała głośno. Otarła dłonią pot z czoła.

Tymczasem Probus dotarł już do miejsca, w którym poprzednio dostrzegł drzwi. Jednak miast nich zobaczył jedynie

małe szklane okienko z półkolistym wycięciem z dołu, przez które można było zapewne coś podać. Teraz jednak całe okno było zakryte od wewnątrz grubym kawałkiem szarej tektury. Był to prawdopodobnie punkt wydawania biletów, jednak wyglądał na nieczynny od wieków.

- Dalej nie ma dokąd iść - rzekł wyraźnie zrezygnowany Probus. Przeklinał teraz swoją pomyłkę, dał się zwieść złudzeniu, fragment framugi okna wziął za zarys drzwi. - Za nami są Johnowie, wokół nas - betonowe ściany. W stacji wydawania biletów jest tylko małe okienko. Nawet jeżelibym rozbił szybę, nie przeciśniemy się tędy.

Farmerzy jeszcze przez chwilę rozmawiali z flisakami, wagony dość skutecznie zasłaniały uciekinierów przed ich wzrokiem. Może zresztą bali się podejść? Wreszcie jednak podjęli decyzję i ruszyli w kierunku pętli. Lada chwila trzeba będzie nie tylko unikać rozpedzonych tramwajów, ale i przygłupich farmerów ludojadów.

- Te miejsca, w których się zatrzymują... - mówiła Nayna -... są stałe. Myślę, że to przystanki. Jeśli wsiądziemy do tramwaju, będziemy przez jakiś czas bezpieczni.

- To zbyt ryzykowne - zaproponował.

- Mamy wyjście? - nagle przerwała. - Następny przystanek powinien być tutaj.

Zanim zdążył zareagować, odbiegła od niego kilkanaście kroków. Chciał ruszyć za nią, ale inny wagon przemknął między nimi, rozdzielając ich. Gdy wreszcie znów ją zobaczył, stała spokojnie, a przed nią rozsuwały się drzwi. Weszła do środka.

- No, chodź... - krzyknęła. - Nie jeździłeś nigdy na gapę?

A potem drzwi się zasunęły i tramwaj ruszył. Probus zaczął biec obok niego, liczył, że uda mu się wejść do środka na

kolejnym przystanku. Jednak pojawiło się nowe zagrożenie, kręcący się wagon należący do innego pojazdu, który zbliżał się niemal pocierając tylną ścianką o tramwaj, do którego wsiadła Nayna. Chcąc nie chcąc, Probus musiał szybko się wycofać, a gdy niebezpieczeństwo minęło, zrozumiał, że nie potrafi rozpoznać, gdzie jest tramwaj, którego poszukiwał.

Za szybami widział tylko rzędy pustych krzesel, nigdzie nie mógł dostrzec dziewczyny. Czy to możliwe, by właściwy wagon ciągle umykał jego uwadze? Było to prawdopodobne, bowiem musiał ciągle tańczyć swój taniec o życie, zaś chaotyczny ruch pojazdów uniemożliwiał systematyczne poszukiwania..

A może co jakiś czas któryś pojazd opuszczał zajezdnię, a na jego miejsce dojeżdżał inny? Na samą myśl zimny pot zrosił mu czoło.

Tramwaj, który był przed nim, odjechał i Probus zobaczył przed sobą rozpędzonych farmerów. Zawrócił, wszedł głębiej w kotłowaną wagonów, wolał zderzenie niż pewną śmierć z rąk upośledzonych intelektualnie Johnów.

I wtedy właśnie zobaczył staruszkę. Stała spokojnie, jakby cały ten chaos nie robił na niej wrażenia. Zdziwiony podszedł do niej - wówczas podjechał tramwaj i zatrzymał się, drzwi się rozwarły.

- Punktualnie, co do minuty - uśmiechnęła się staruszka.
- Jedzie pan?

- Pewnie - skinął głową. Pomógł babince wejść po stopniach i razem przekroczyli próg.

Wewnątrz znajdowała się cukiernia, za szybą w gablotach stały ciastka, przy każdym widniała karteczka z dziwną jak na ciastko nazwą: „krasomówstwo”, „szybkostrzelność”. Miła ekspedientka w czarnej sukience i narzuconym na nią obwie-

dzionym koronką białym fartuchu stała przy kasie. Dalej były obrotowe drzwi, które prowadziły do innej części pomieszczenia, umieszczono tam stoliki, przy których goście mogli spokojnie skosztować słodczych.

Nim drzwi zatrzasnęły się na dobre, w ostatniej chwili do cukierni wbiegli farmerzy. Probus chciał już sięgnąć po ciastko z napisem „muskulatura”, w słusznym przypuszczeniu, że pomoże mu to w walce z Johnami, gdy starszuszka przemówiła:

- To niepotrzebne - siatka zmarszczek na jej twarzy wyglądała się i blakła.

- Ten próg cofa każdego w jego przeszłość. Tobie nic się nie stało, bo nie jesteś z tego świata, twoja dziewczyna zaś posiada zegary, które pilnują, by była zawsze i wszędzie we właściwym czasie. Ale oni... - wskazała na farmerów, którzy zaczęli się błyskawicznie zmniejszać. Już wkrótce sięgali Probusowi do pasa i ich pohukiwanie zmieniło się w śmieszne popiskiwanie.

- Moja dziewczyna? Wiesz, gdzie może być Nayna?

- Przy tamtym stoliku - powiedziała młodziejca z każdą chwilą kobieta.

- Bawcie się dobrze.

Ale on już tego nie słyszał, patrzył przez szkło gabloty na Naynię siedzącą

przy stoliku z Hazubisem i wianuszkami jego odalisek.

* * *

- Hej, kogo ja znów widzę! - rzekł Hazubis, ściskając biust ponętnej brunetki, która siedziała mu na kolanach. - Usiądź z nami, nieziemcu. Posil się. Probus dostrzegł wśród zgromadzonych kobiet Miraell. Jedyne jej ubiorem była czarna sieć, okrywająca całe ciało niczym misterna pajęczyna. Sutki miała ozdobione złotymi cekinami. Ze znużoną miną

bawiła się zwisającym z szyi medalionem, zapewne nowym prezentem, zapewne też wartym fortunę. Trudno było odgadnąć, czy go zauważyła, a co dopiero, czy poznała.

- Dziękuję, teraz wolałbym odpocząć. Przeszliśmy z Nayną szmat drogi.

I choćby dlatego zaskoczyło mnie, że zostawiła mnie samego w niebezpieczeństwie - ostatnie zdanie powiedział, patrząc wprost na dziewczynę.

Cyganka spojrzała na niego ciemnoniebieskimi oczami.

- Byłam pewna, że do mnie wkrótce dołączysz. Jak widzisz, nie myliłam się.

- Zaskakuje mnie też twoja obecność, Hazubisie. Co ty tutaj robisz?

- Od dawna planowałem podróż do Czarnego Miasta. Nawet taki hedonista jak ja musi czasem dopilnować swoich interesów.

- Czemu zatem nie udałeś się z nami i jak udało ci się nas wyprzedzić, ciągnąc za sobą tłum kobiet?

- Istnieją szybsze sposoby pokonywania przestrzeni niż własne nogi i cywilizowani ludzie chętnie z nich korzystają. Ich jedyną wadą są obowiązkowe kontrole Nagaya, jednak osoba taka jak ja nie musi się ich obawiać. W przeciwieństwie do ciebie. Czy odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania?

- Tak... - przyznał niechętnie Probus. Wspomniał pociąg, który go mijał przed fraktalnym lasem. To nim zapewne przemieszczał się grubas ze swoim pięknym dworem.

- Świetnie! Jeżeli chcesz teraz wypocząć, wiedz, że wynająłem wam pokój na tej łądzie i opłaciłem podróż do celu. Jednak zanim opuścisz moje towarzystwo, odpowiedz mi na jedno pytanie. Posiadasz jeszcze glejt, który ci dałem?

- Tak - Probus sięgnął odruchowo ręką do pasa i poma-
cał się po kieszeni.

- Dobrze. Więc nie zgub go. Bez niego przemytnicy po-
szatkują cię na sałatę, co będzie małą stratą, ale mogą zrobić
krzywdę także mojej Naynie, czego bym ci nie wybaczył nigdy.
Z jakichś powodów ta dziewczyna uroiła sobie, że ci pomoże.
Jeżeli jednak w trakcie tej awantury coś jej się stanie, osobiście
się z tobą policzę - grubas podniósł się nieco, twarz skrzywio-
na grymasem złości nie była już taka nalana i niegroźna, zda-
wała się większa - i bardzo przerażająca.

- Będę się opiekował Nayną, jednak nie przez wzgląd na
ciebie, Hazubisie. Nayna jest moją przyjaciółką i dlatego jest
pod moją ochroną - rzekł Probus, także prostując się, w swoim
płaszczu wydał się równie potężny jak Hazubis.

- Dobra odpowiedź - powiedział Hazubis z powrotem
opadając na miękką kanapę. Leniwie wsadził rękę pod figi
brunetki. - Nawet bardzo dobra. To lubię!

Probus nie był pewien, do czego odnosiły się ostatnie
słowa grubasa.

- Chodź, Nayna. Przyślą nam posiłek do pokoju.

Dziewczyna niechętnie wstała, a gdy opuszczali pomiesz-
czenie, idąc schodami w górę, rzekła:

- Psujesz mi zabawę.

- Jak możesz się bawić z kimś takim?

- Ten ktoś ci pomaga. Przynajmniej grzeczność wymaga,
by być dla niego miłym. I opłacił naszą kajutę.

Wyszli z pomieszczenia. Uderzyła ich świeża morska bry-
za, niosąc zapach ryb.

Tak jak Probus od początku przypuszczał, znajdowali się
na barce. Nie kołysała się już nieruchomo przy brzegu - najwy-
raźniej płynęli do Czarnego Miasta.

* * *

- Co cię łączy z Hazubisem?

Przydzielono im niewielką, skromną kajutę, w której znajdowała się jedynie szafa i dwa łóżka. Na jednym z nich siedzieli.

- Nic.

- Wygląda na to, że dobrze się znacie. Nieco zbyt dobrze, jak na „nic”.

- O co ci właściwie chodzi? - wybuchnęła.

- O nic. Tylko chcę wiedzieć.

- Po co ci ta wiedza? Po cholere?!

- Przepraszam. Nie moja sprawa.

Cisza.

- Byłam jedną z jego... przyjaciółek, w porządku? To było dawno. Byłam młoda, głupia, sama nie wiem... Nic, kurwa, nie wiem. Tyle ci powiem, Hazubis potrafi wprowadzić młodą niedoświadczoną dziewczynę w świat, pokazać jej parę rzeczy... Ważnych rzeczy. Nie chcę o tym mówić. Wracać do tego. Zostawmy to, dobrze? Teraz zmądrzałam. I pewne rzeczy się skończyły. Tyle.

- To czemu dzisiaj tak dobrze się bawiłaś w jego towarzystwie?

- Czego ty właściwie ode mnie chcesz?! - krzyknęła histerycznie. W oczach błysnęły łzy. - No czego, do cholery? Chcesz się dowiedzieć, że stary... afekt nie rdzewieje, a coś, co w psychice raz obudzone, nigdy nie umiera?! Zostaw mnie, do cholery ciężkiej!!!

Odwróciła się, jej ramionami wstrząsnęło łkanie.

- Przepraszam.

Jak szybko straciła nad sobą panowanie, tak teraz doszła do siebie.

- W porządku. Lepiej, żebyś wiedział. I pamiętał, że to koniec. Choć Hazubis chce, już nigdy nie będę jego odaliską. Koniec. Zmieńmy temat, powiedz w końcu, do cholery, za co cię wygnano z tego twojego Imperium?

- Uwiodłem córkę cesarza.

- Ty ją, czy ona ciebie?

Zastanowił się.

- Nie wiem. Czy to ma znaczenie?

- Nie ma. Tak tylko wspomynam, że wysoko stojące kobiety często traktują mężczyzn jak zabawki.

- Może i masz rację. Może tak było i tym razem. Bo choć pod księżycem wyznawała mi najgorętszą miłość, to gdy nas przyłapali siepacze jej ojca, nie rzekła słowa, by mnie obronić. Gdyby rzekła, puściliby mnie. Wystarczyło słowo na obronę. A ona tylko patrzyła lodowatymi oczami, zaś każde jej słowo było strzałą wysłaną w moje serce. „Nie znam tego człowieka. Zróbcie z nim, co chcecie”. Mówiła tak, mimo że wiedziała, że zabierają mnie, by wykastrować i uczynić więźniem w kopalniach diuranu.

- Pokochałeś zimny posąg zamiast kobiety.

- I dostałem to, na co zasłużyłem swoją głupotą. Gdyby nie moi przyjaciele, którzy ogłuszyli wartowników, nie miałbym dzisiaj jąder. Zaraz potem pomogli mi się dostać do portu i ukraść najszybszy okręt floty. Nie było to specjalnie trudne. Plotka o moim uwięzieniu i ucieczce nie zdążyła się na szczęście jeszcze rozejść, a nikt by nie podejrzewał osoby o mojej pozycji o próbę porwania statku.

- Dalsze twoje losy chyba już znam. Cóż, straciłeś wszystko, co było ci drogie. Pocieszę cię, historia naucza, że taki los spotyka wielu mężczyzn.

Milczeli, dłuższą tym razem chwilę, każde pogrążone we własnej, pokancerowanej biografii.

Trudno odnaleźć w pamięci moment, kiedy dłonie zaczęły błądzić po ciałach, zaś jego wszczepy w dłoniach bezbłędnie odnajdywały miejsca, gdzie drażnienie końcówek neuronów doprowadzało dziewczynę do niezwykłej rozkoszy. Gładził opuszkami palców jej gęste, czarne loki, całował powoli ponętnie wykrojone usta, ona oddawała pocałunki najpierw powoli, potem z coraz większym oddaniem. Tatuaze na jej skórze zdawały się ożywać pod jego dotykiem, zdawały się prowadzić swoimi liniami jego dłonie w rejony, gdzie umiejscowienia splotów nerwowych dawały szczególną słodycz. Przez chwilę pieścił przez bluzkę jej piersi, wreszcie rozwiązał węzeł, jednym szarpnięciem obnażył prężne półkule, zacisnął na nich dłonie.

Jęknęła, poruszyła biodrami. Zbliżył usta do ciemnognatowych sutków, całował, igrał z nimi językiem, aż wreszcie widząc, że dziewczyna nie może dłużej wytrzymać z pożądania, zdarł z niej sukienkę i drobną siateczkę majteczek.

Leżała przed nim naga, z lekko rozrzuconymi nogami, strojna jedynie w biżuterię, liczne łańcuszki i medaliony leżały między wzgórzami jej piersi. Oddychała szybko. Granatowe oczy błyszcząły, tatuaze wiły się na niej niczym rój żmij.

- Na co czekasz...? Zrób to, do cholery. Zrób to mocno, tak żebym na chwilę zapomniała o wszystkim. Tak mocno, bym nie czuła nic, poza tobą. Zrób to!

Spełnił jej życzenie.

* * *

Leżeli wyczerpani na białym prześcieradle. Było ciepło, więc nie trzeba było się ubierać. Dziewczyna spała, Probus rozleniwionym wzrokiem kontemplował zalety jej figury. Wówczas usłyszał głos, wyraźne nawoływanie:

- *Jesteś w niebezpieczeństwie. Powinieneś stąd natychmiast uciekać.*

Potańczał palcami skronie. Przemęczenie dawało mu się we znaki. Sprawiało, że niemal słyszał własne lęki.

- *Barka nie jest bezpiecznym miejscem. Nie ufaj Hazubisowi.*

- Co u diabła?

Teraz był więcej niż pewien, że ktoś z nim rozmawia. Kto? Kto potrafi używać telepatii? Nayna? Spojrzał na leżącą dziewczynę. Pierś unosiła się w spokojnym oddechu, oczy miała zamknięte.

- Nayna, czy to ty?

- *Nie.*

Jednak miał nieodparte wrażenie, że głos płynie od strony dziewczyny. Przyglądał się jej twarzy, regularnej, spokojnej we śnie, obejrzał zwłaszcza jasny szafir na czole, w którym zdawał się być zamknięty kolor niebios. Zszedł wzrokiem po smukłej rasowej szyi, poszukując w załamaniach skóry czegośkolwiek, co wyjaśniłoby źródło dziwnej transmisji. Jednak gdy dziewczyna spała, nawet tatuaże znieruchomiały, były zwykłymi odpryskami złotej farby. Zatrzymał się dłużej na pagórkach piersi, przyglądając się uważnie każdemu z wisiorków, jednak nic nie poczuł, żadnego drgnięcia materii duszy. Zszedł spojrzeniem aż do pępka, aż po nieduży trójkąt ciemnych włosów łonowych i wygoloną, jeszcze wilgotną płeć...

- *Tak* - usłyszał.

I wtedy zrozumiał. Słyszał legendy, jednak trzymał je na półce z bajdurzeniami, nie spodziewał się, że dostąpi takiego zaszczytu. Mówiło się, że jeżeli mężczyzna zaspokoi kochankę, jej płęć do niego przemówi. Zdarza się to jednak rzadko i przy wyjątkowej okazji. A tymczasem on... Wciąż nie mógł uwierzyć, że został wybrany.

- *Posłuchaj uważnie. Hazubis nie jest godny zaufania. Na barce czyha zagrożenie.*

- Będzie, jak każesz - spojrział na śpiącą dziewczynę. Tknięty impulsem chciał pogładzić dłonią poskręcane włosy na łonie. Jednak pohamował się, nie wiedząc, czy w tej sytuacji nie dokonałby jakiejś profanacji.

Czuł, że kontakt powoli słabnie. Gorączkowo myślał, jak jeszcze wykorzystać niezwykły dar, jaki stał się jego udziałem.

- Czy dasz mi jeszcze jakąś radę?

- *Opiekuj się Nayną - usłyszał po chwili. - W ten sposób zawsze pozostanę przy tobie. A wówczas będę dbać, byś był szczęśliwy* - ostatnie słowa dobiegły do niego już przytłumione, jakby głos się bardzo szybko oddalał.

- Tak się stanie - powiedział uroczyście.

Nayna poruszyła się niecierpliwie przez sen. Wreszcie przewróciła się na bok, złączając uda. Otworzyła oczy.

- Kurczę, spałam jak zabita. Cholera, ale masz zadowoloną minę. Stało się coś?

- Nic. Ale ubieraj się. Nie traćmy czasu. Musimy uciekać.

- Zwariowałaś?

- Wiem, co robię. Zaufaj mi.

* * *

Opuszczenie barki okazało się łatwiejsze, niż przypuszczali. Był wczesny ranek, gwiazdy blakły na niebie zganiane z firmamentu różem budzącego się słońca. Hazubis i jego dwór

smacznie spali, zaś kapitan chętnie zgodził się wysadzić ich na brzeg. Słusznie rozumował, że rejs mieli opłacony aż do Czarnego Miasta, bilety kupił im grubas, zaś o zwrocie pieniędzy nikt nie wspominał. A zwolnioną kajutę może jeszcze komuś wynajmie i zarobi na tym dwakroć.

Wkrótce, korzystając ze wskazówek marynarzy, znaleźli szeroką drogę wiodącą w kierunku Czarnego Miasta. Otaczały ich pola niezwyklej białej kapusty, co jakiś czas główka którejś się otwierała i wyskakiwało z niej puszyste stworzenie przypominające zająca, by otrzepać się i odkicać pośpiesznie w poranną mgłę.

W oddali widać było zarys budynków, szczęściem ich droga nie biegła w tamtym kierunku, bo budowle zwieńczone długimi kominami nie wyglądały przyjaźnie.

- To pasztetarnia - wyjaśniła mu lapidarnie Nayna.

Dziewczyna była raczej zła, że pozbawiono ją wygodnego środka transportu i zmuszono na powrót wlec się po wertepach, jednak świeże poranne powietrze wraz ze złotym blaskiem wstającego słońca przegnały złe myśli i wkrótce była równie radosna jak zazwyczaj.

Także Probus był pełen energii i wigoru. Świadomość, że zyskał niezwykłą sojuszniczkę dodała wiary w powodzenie całego przedsięwzięcia. Cieszył się, że szeregi jego sprzymierzeńców rosną, że coraz więcej jest takich istot, na których może polegać. Nie twierdził, że nowa przyjaciółka da znać o każdym zagrożeniu i ochroni przed każdym niebezpieczeństwem, aż tak nie był naiwny. Jednak, mimo że nadal zdany głównie na własne siły, był po dwakroć pewien siebie, taki czar na niego rzuciła ostatnia noc.

Nim spotkali Griwolda, wydarzyło się już tylko jedno. Probus dostrzegł na niebie smukły obiekt i natychmiast przypomniał sobie, że już wcześniej taki widział.

- Nie wiedziałem, że w waszym świecie i pociągi, i powietrzoloty mają taki sam kształt - rzekł.

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Nayna. - Nie używamy pociągów. Transport powietrzny jest szybszy i pewniejszy. Pomyśleć tylko, gdyby tory zeżarły meloki? Wiesz, ile mielibyśmy katastrof?

- Ale ja widziałem jeden, nim weszliśmy we fraktalny las... - upierał się.

- Niemożliwe. Nie posiadamy pociągów - stwierdziła kategorycznie dziewczyna. A on przypomniał sobie, że nie był pewny, czy jeszcze po ziemi wędruje, czy już. po niebie. A może...?

* * *

Przy trakcie stało fraktalne drzewo. Uwikłane w pajęczyny oko poruszało się powoli.

W pierwszej chwili zamierzali się wycofać, nadłożyć drogi i spróbować obejść niebezpieczeństwo. Jednak byli niemal pewni, że zostali spostrzeżeni, zaś dalsza zwłoka tylko zwiększała szanse ich ewentualnych prześladowców, stąd modląc się w duszy o przychyłność losu, przeszli obok rośliny. Probus gryzł się, że nazbyt pochopnie opuścili barkę Hazubisa. A jeżeli ostrzegający go „głos” miał złe intencje lub po prostu się mylił? Droga lądem do Czarnego Miasta może obfitować w wiele pułapek. Niektóre z nich mogą być groźniejsze niż największe świństwa, do których byłby zdolny Hazubis.

Wkrótce dotarli do chaty. Na powitanie wyszła im dziwna istota. Podobna była do kreta albinosa, tyle że wzrostem sięgała bioder Nayny, nosiła czapkę „czołgistkę” i ciemne okulary.

- Witajcie w moich progach. Jestem Griwold. Rzadko ktoś tędy ostatnio przechodzi, wszyscy wybierają drogę wodną bądź powietrzną, stąd rad jestem każdego towarzystwa. Może jesteście głodni i przyłączycie się do posiłku? Gdy tylko was zobaczyłem, wstawiłem na ogień gar bigosu.

Zdziwiło to Probusa, bo dopiero wyszli z za wzgórza i nie było możliwości, by stworzenie dostrzegło ich pierwsze. Ale zaproszenie przyjęli, słońce stało już wysoko na niebie, świeże powietrze pobudzało apetyt, a oni, opuszczając w pośpiechu barkę, zapomnieli o zabraniu odpowiednich zapasów.

Przed chałupką stał stół i solidne dębowe ławy. Z radością dali odpocząć zmęczonym nogom. W tym czasie krecik zamęczał ich, by opowiedzieli mu, skąd idą i po co. Nie chcąc być nieuprzejmą, Nayna streściła mu ogólnie ich historię.

- Co tu robisz samotnie na takim pustkowiu, Griwoldzie?
- zapytał Probus.

- Chcecie wiedzieć, chcecie naprawdę...? - stworzenie trąciło przyjaźnie ryjkiem jego nogę. - Zatem chodźcie, coś wam pokażę.

Stworzenie skierowało się do wnętrza chatki. Probus, żegnając z żalem ławkę, udał się za kretem.

W mroku sieni Griwold odstąpił kręte schodki wiodące w dół. Zabrawszy dla wygody swych gości kaganek, zapuścił się w mrok. Probus szedł z trudem, zejście było zaprojektowane dla kogoś o znacznie mniejszych gabarytach, mężczyzna jego postury musiał ciągle się schylać. Nawet Nayna szła z pochyloną mocno głową.

- Zobaczcie, oto moja pracownia... - rzekł ich przewodnik z dumą.

Znajdowali się w niedużej ziemnej jamie. Na środku stało wygodne obrotowe krzesło. Nad nim ze wszystkich stron wisiały miedziane rury.

- Nie rozumiem. Jesteś hydraulikiem? - wypalił Probus. Stworzenie aż podskoczyło z niecierpliwości. Usadowiło się szybko na fotelu i przyłożyło do swych oczu dwie rury. Teraz dopiero mężczyzna się zorientował, że na nosie kreta nie ma okularów, raczej rodzaj gniazd.

- Widzę, widzę wszystko... - radował się Griwold.

- Już rozumiem - rzekła Cyganka. - Słyszałam te opowieści, ale nie wierzyłam. Te rury połączone są z fraktalnymi drzewami, prawda? - zapytała kreta. Stworzenie z radością potwierdziło.

- Widzieliśmy receptory wzrokowe, jednak Nagaya potrzebowały kogoś, kto zająłby się analizą danych. Kogoś, kto przekazywałby dalej tylko to, co najważniejsze. Tylko co za istota wpatrywałaby się całe swoje życie w nudny, monotony, ciągle taki sam krajobraz?

Uradowany, zaabsorbowany rurami przy swej głowie Griwold ledwie ją słuchał.

- Taka, która naturalnie jest niemal ślepa - odpowiedziała po chwili sama sobie dziewczyna. - Dla której możliwość widzenia czegokolwiek jest najwyższą nagrodą. Krety spędzają każdą wolną chwilę przy swych urządzeniach telereceptorycznych.

- Czyli Griwold wyda nas Nagaya?

- Wydać przyjaciół? W życiu! - obruszyło się stworzenie. Oderwało się niechętnie od rur. - Jesteście fajni. Opowiedzcie jeszcze jakieś historie.

- Może później... - rzekł Probus. - Możemy już stąd iść? To miejsce mnie przygnębia.

Wyszli z powrotem na zewnątrz.

- Pilnuję gościńca wiodącego do Czarnego Miasta. I mam kilka drzew obok świętej góry Eltalaka. Dawniej często chadzali tam pielgrzymi i Nagaya chciały wiedzieć, kto i po co tam chodzi. Wtedy słyszałem mnóstwo historii. Wy też idziecie do świątyni Eltalaka?

- Nie, nawet nigdy o nim nie słyszeliśmy - rzekła Nayna.

- Niemożliwe. To taki święty człowiek i wielki myśliciel. Na pewno znacie jego nauki.

- Obawiam się, że są nam obce.

- Eltalak w ciągu życia cierpiał na mnóstwo chorób, spotkało go wiele nieszczęść. Zastanawiał się, jaki błąd popełnił, jaki grzech, że go to spotykało. Dziesiątki lat dręczył się pytaniem „dlaczego”, co zrobił nie tak, w czym się pomylił, a odpowiedź odkrył dopiero w dniu swej śmierci.

- Jak brzmiała?

- „Bo się urodziłem” - rzekło stworzenie i twierdząc, że „bigos powinien już być akurat”, znikło w chacie, by powrócić najpierw z talerzami i pokrojonym Chlebem na plecionej ze słomy tacy, potem zaś wytaszczyć gar większy niż on sam. Probusa zdziwiło, że kret się nie poparzył, ale malec dłonie miał osłonięte termoneutralizującymi rękawiczkami.

- Zapraszam, jedzcie... - rzekł Griwold, nakładając każdemu porcję parującego specjału. Pachniało tak, że Probus myślał, że oszaleje ze szczęścia. Widząc ich ukontentowanie, które wziął za radość z przyjęcia nauk Eltalaka, Griwold począł mówić dalej:

- W trakcie swego życia prorok wiele rozmyślał nad naturą Boga...

W tym czasie oboje jedli, aż im się uszy trzęsły, stąd słabo słuchali trajkoczącego stworzenia. Probus nawet pomyślał

życzliwie, że być może kret chce się odwdzińczyć za ich opowieść własną historią, a że nigdy nie opuszcza swego domu, nic dziwnego, że jego repertuar jest ubogi i nieciekawym i sprowadza się do garstki religijnych przypowieści.

- Eltalak uważał, że jedynym sposobem poznania Boga jest wnioskowanie z jego dzieła stworzenia. Produkt mówi coś o swoim twórcy, brzmiała jego maksyma. Prorok popatrzył na świat wokół siebie i się zasmucił, bo wiele zobaczył złego. Potem zaś zaczął studiować medyczne księgi i odnalazł w nich tysiące tysięcy chorób, wiele takich, że komuś, kto nie parał się naukami medycznymi, trudno byłoby uwierzyć, że takie okropne coś może istnieć. Eltalak po wnikliwym przestudiowaniu ksiąg doszedł do wniosku, że ten, kto zaprojektował te choroby, stworzył je, musiał być... Właśnie, powiadał prorok, jaki umysł jest gotów stworzyć tyle paskudztw? Przecież, by doświadczyć człowieka, wystarczyłaby jedna grypa, jedna poważniejsza choroba zakaźna. Na co ich tysiące? Odpowiedź była tylko jedna. Ktoś, kto to projektował, dobrze się bawił przy tej robocie, wymyślając wciąż nowe wynaturzenia. Od tej pory Eltalak deklarował, że nie chce na swej drodze spotkać Boga, a jeśli go spotka, przejdzie na drugą stronę ulicy. Dla własnego bezpieczeństwa. Nigdy bowiem nie wiadomo, co taki Bóg jeszcze wymyśli.

- Świetna historia - rzekł mężczyzna, sięgając ręką po chleb.

- Probus? - rzekła zmienionym głosem Nayna, wpatrując się z przerażoną miną w talerz.

- Co się dzieje? Masz już dość?

- Nie o to chodzi. W moim bigosie jest oko. I ono mruga!

Dziewczyna nie wytrzymała, zgięła się w pół i zaczęła wymiotować pod

stół. Probus pobladł.

- Skąd ty masz to mięso?

- Nie moja wina - bronił się Griwold. - Tędy czasem przechodzą grupki handlarzy z towarem do Czarnego Miasta. Niekiedy zostawiają mi drobny podarek, bym nie donosił o ich obecności Nagaya. Ostatnio szła trójka farmerów, zostawili mi ten bigos. Śmieszni, wszyscy mieli tak samo na imię...

* * *

Czarne Miasto było zbudowane na planie koła, składało się z prostokątnych bloków, im bliżej centrum, tym wyższych. Z samego środka wyrastała iglica ratusza, wznosiła się nad najwyższe wieżowce i przenikała głęboko przez podbrzusza chmur.

Ulicami przechadzali się ludzie ubrani w płaszcze, które wyglądały, jakby były zrobione ze srebrzystej folii. Nayna słyszała od Hazubisa, że indywidualność nie była w mieście widziana przychylnie, za wyróżniający się strój można było nawet trafić do aresztu, więc czym prędzej nabyli za pieniądze dziewczyny stosowny ubiór. Dzięki niemu pozostawali niewidoczni dla „żuków” patrolujących ulice z powietrza.

Probus zafascynowany egzotyką tego miejsca, tak różnego od tętniących życiem miast Imperium, chętnie zwiedzały je dłużej, ale Cyganka ciągnęła go w najgorsze dzielnice, a potem wynalazła jakąś paskudną spelunę.

Znaleźli się wewnątrz lokalu cuchnącego potem i opiatami, Nayna zignorowała powoli poruszających się w rytm psychodelicznej muzyki mężczyzn, którzy pod powiekami nie mieli źrenic, tylko same białka, lśniące dziko w ultrafioletowym świetle. Podeszła do baru. Chwilę poszeptała z barmanem, długowłosym facetem z kilkoma kolczykami w nosie. Po chwili mężczyzna skinął na nich ręką i udali się na zaplecze.

- Cokolwiek by nie mówić o Hazubisie, dał mi dokładne wskazówki. Bałam się, że się pomyliłam - szepnęła Cyganka w ciemności.

A potem barman otworzył przejście w ścianie i, sam pozostając na zewnątrz, wskazał ręką, by ruszali dalej. Korytarz był ledwie oświetlony słabym blaskiem emitowanym z sufitu. Probus wyciągnął odruchowo rękę, by na coś przypadkiem nie wpaść. Podejrzewał pułapkę, jednak Cyganka wydawała się być pewna swego. Uspokoilo go to częściowo.

Wkrótce otoczyli ich ludzie-cienie, istoty ubrane w kombinезony złożone z samej ciemności, gdy poruszały się, wraz z nimi szły poszarpane pasma absolutnego mroku, czerni bezjaśnej.

Na ścianach korytarza wisiały bogate w barwy gobeliny. Były podświetlone jedynie bladymi lampkami od dołu, nadto strażnicy narzucali im szybkie tempo, więc trudno było się dokładniej przyjrzeć. Probus żałował, że nie ma na to czasu, bo dzieła sztuki zawsze go zajmowały, a te zdawały mu się być niezwykle interesujące. Pierwszy obraz przedstawiał zdaje się jakąś katastrofę, wszystko było przesłonięte kłębam dymu i chmurami podniesionego eksplozją piachu. Drugi - prawdopodobnie ucztę, a może audiencję, następny - ludzi zagubionych w lesie. Na kolejnych widnieli eksploratorzy jaskiń ścigani przez dzikie bestie, niewielki statek kołyszący się na wzbbranym morzu, dalej dziwaczne miasto. Korytarz z obrazami wiódł jeszcze dalej, jednak oni przystanęli przed tkaniną przedstawiającą mężczyznę w czerni zasiadającego na bogato zdobionym spiżowym siedzisku, otoczonego przez totalną, wszechogarniającą ciemność. Ich przewodnik podszedł do gobelinu, zaś chwilę potem obraz rozsunał się na połowy. Podążyli przez ukryte w ścianie drzwiczki.

Cienioistoty wprowadziły ich do dużej sali, gdzie na wielkim tronie siedział cieniowódz, herszt cieńpiratny.

- Podobno macie coś dla mnie - przemówił zmienionym przez syntezator głosem, uśrednionym elektronicznie do tonu przeciętnego, szarego urzędnika po wielu godzinach pracy.

Probus postąpił krok do przodu, wyjmując równocześnie z kieszeni srebrny dysk.

- Glejt, który dał nam nasz dobry przyjaciel, w nadziei, że okażesz nam przychylność i pomożesz w pewnej niełatwej sprawie.

- Pokaż zatem, czy ten glejt jest coś wart, czy to jedynie pogięty w krąg tani metal.

Probus podał srebrny dysk istocie utkanej z ciemności. Ta natychmiast popłynęła w kierunku swojego pana.

- Rzeczywiście - usłyszeli podniosły, przepełniony radością głos. Dostarczyliście mi to, czego potrzebowałem. Nie mi nie was nagroda!

- Jeżeli można poprosić cię, o wielki, o pomoc w opuszczeniu planety... Nie pochodzę z tego świata i rad bym wreszcie wrócić do domu.

- To niemożliwe. Żałuję, ale nie posiadam floty, która wzniosłaby się ponad atmosferę, a co dopiero zdolną do skoków międzyświatowych. Dostaniecie ode mnie pieniądze, które pomogą wam się urządzić...

- Wybacz, że ci przerywam, o najświetniejszy, lecz w takim razie skontaktuj nas z kimś, kto posiada takie okręty.

- Nie ma nikogo takiego na całej planecie. Wszelkie loty są kontrolowane przez Nagaya. To podstawa naszej kruchej autonomii.

- Ale jesteście przecież przemytnikami! Z pewnością dysponujecie jakiś sposobami...

The Best t.01

- Przemycamy różne zakazane rzeczy, ale tylko na powierzchni planety. Pustka powyżej jest dla nas nieosiągalna.

- Ale nasz przyjaciel Hazubis zapewniał mnie, że potraficie tego dokonać

- wtrąciła się Nayna.

- Hazubis się mylił!!! - odparta gromko postać na tronie, tak głośno, że jej słowa odbiły się od ścian i powróciły echem.

- Nie!!! - odrzekł Probus równie głośno - Hazubis kłamał! Kłamał od samego początku, bo nie kierowała nim żadna życzliwość ani afekt, tylko zwykły, marny interes. Hazubis kłamał, a ty wiesz o tym bardzo dobrze. Bo Hazubis to ty!!!

Zapanowała cisza. Wreszcie usłyszeli znajomy, pozabawiony maskowania elektronicznego głos:

- No, no, jestem pełen podziwu, nieziemcze... Jak się zorientowałeś?

- grubas zdjął z twarzy cieniomaszkę. Jego głowa wyglądała teraz tak, jakby wisiała w powietrzu.

- Zdradziła cię twoja żądza, gdy dostałeś do rąk rzekomy glejt, zdradziła twoja troska na barce, troska nie o Naynę, ale o powierzony mi przedmiot. Co to naprawdę jest?

Grubas otworzył dysk i pokazał im trzymaną w dwóch palcach niewielką srebrną kuleczkę.

- Rodzaj narkotyku tworzącego wokół ciebie sferę, w której twoje fantazje stają się realne. Modyfikuje materię, a nie zmienia umysłu. Czyż to nie wspaniałe? Nie rozumiem, czemu Nagaya są doń tak niechętnie nastawione. Tutaj, w mieście, dostanę za niego fortunę. Ot, paradoks popytu i podaży, w mojej rezydencji był niemal bezwartościowy.

- Co by się stało, gdyby nas z tym złapali? Jaka jest kara za przemyt tego narkotyku?

- Zabito by was.

- To, co zrobiłeś, było ohydne...
- Ej! Pamiętaj, że ty i tak zostałbyś zabity po schwytaniu.

Nic to by nie zmieniło, a bardzo mi pomogłeś. Odpłacę ci sowicie.

- Dola dla kuriera - zakpił. - A pomyślałeś o Naynie? Ją też by zabili.

- Dopuszczalne straty. Pewne ryzyko istniało...

-... A ty kobiet masz przecież wiele. Jedna mniej, zwłaszcza taka, która cię opuściła... Dopuszczalna strata. Akceptowalne ryzyko, prawda?

- Przykro mi, że to widzisz w ten sposób. Jednak zważywszy, że ryzyko było duże, narkotyk jest cenny, a ja was lubię, dostaniecie znaczną sumkę. Dzięki tym pieniądzom, jeżeli jest jakiś sposób, by się stąd wyrwać, na pewno go znajdziecie. Spójrz na to z tej strony - ostatecznie nic się wam nie stało, a ja, jak się okazało, bardzo wam pomogłem.

- Ty skurwysynu...! Ryzykowałeś jej życiem... - Probus postąpił kolejny krok. Cieniokształty uformowały się w mroczną zaporę oddzielającą mężczyznę od ich pana. Nayna schwyciła go za rękę.

- Nie warto. Chodźmy stąd. Bierz kasę i wynośmy się jak najdalej od niego. Nie warto, Probus...

- Masz rację, Nayna. Nie warto.

- Walizka czeka przy drzwiach - pożegnał ich grubas. Drzwi za nim się otworzyły i do pomieszczenia wtańczyły się zgrabne odaliski.

Hazubis podniósł srebrną kulkę do ust i połknął ją. Wkrótce przestrzeń wokół niego zaczęła falować, aż wreszcie wypłuła ohydne stwory, z wieloma mackami i ogonami, z okiem miast głowy lub z ohydny oślinionym pyskiem. Potwory rzuciły się na dziewczyny i poczęły zdzierać z nich

ubrania. Wyraźnie ukontentowany grubas sięgnął po pasztet z zająca.

* * *

Cienioistota, która odprowadziła ich do wyjścia, wyraźnie zwlekała z odejściem. Wreszcie zrzuciła maskę i zobaczyli zwyczajną, poprzetykaną obwodami scalonymi twarz.

- Może byłby interes do zrobienia... - zagaił mężczyzna zachrypniętym głosem. Co chwila zerkał za siebie, czy ktoś jeszcze nie ukrywa się w cieniu i ich nie podsłuchuje.

- Może bylibyśmy zainteresowani... - rzekł ostrożnie Probus. - Wiesz, jak opuścić planetę?

- Tak. Mój pan miał racje, Nagaya po podbiciu naszego świata zagarnęły wszystkie działające okręty. Ale co z tymi, które były uszkodzone, niezdolne do lotu, przeznaczone na złom? Nagaya mają wielkie umysły, rzeczy małe, takie jak śmieci, mogą łatwo ujść ich uwadze. Tak się składa, że mój przyjaciel posiada ekscentryczne hobby i przywrócił jeden taki statek do użytku.

- Jest w pełni sprawny? Zdolny do przeskoków?

- Nie odważyliśmy się go uruchomić, szlachetny Probusie. Posiadanie takich pojazdów to pewna konfrontacja ze strażą Nagaya. Mój przyjaciel mechanik twierdzi, że jest funkcjonalny, macie na to jednak jedynie jego słowo. Doceńcie moją szczerłość. Oferuję wam zdezelowanego grata i lecąc nim przez próżnię międzygwiazdną, podejmiecie olbrzymie ryzyko, jednak z drugiej strony nie macie innej szansy opuszczenia tego świata.

- Chcemy zobaczyć ten statek.

- Rozsądna decyzja, szlachetny panie - przemytnik szybko narzucił na swoją ciemność srebrzysty płaszcz. Szybko

wtopili się w srebrnoszary tłum pokrywający ołowiane ulice niczym jakaś pleśń.

- Zważ także, cny Probusie, że suma, którą dał ci mój pan, normalnie nie pozwoliłaby ci na kupno okrętu międzygwiazdowego. Jednak obecnie na całym naszym świecie, z uwagi na zakaz niekontrolowanych lotów, nie znajdzie się ani jeden klient gotów zapłacić przyzwoitą cenę za bezużyteczny, a jednocześnie niebezpieczny, bo zabroniony obiekt. Jednak byłibyśmy w stanie oddać nasz okręt tylko za zawartość twojej walizki. Zauważ także, jak korzystna to będzie transakcja dla obydwu stron. Bo zauważ panie, gdy ucieczka się powiedzie, w twoim świecie nasze pieniądze będą bez wartości, nie płacisz więc nam właściwie niczym cennym.

- Wszystko się zgadza. Problem będzie tylko wtedy, gdy się nie powiedzie - pomyślał Probus.

* * *

Okręt stał w ciemnej stodole, przypominał gigantyczne cygaro, na wierzchu którego ktoś zamontował dwa duże tale-rze anten satelitarnych.

- I jak? - zapytała Nayna lekko drżącym z niepokoju głosem. - Nada się?

- Nie wiem. Musze zasiąść za sterami. Dotknąć ich dłońmi. - pokazał jej ciemny obrys znaczący ich wnętrza. - Wtedy przekonam się, czy będę w stanie przestroić moje neuroobwody tak, by były kompatybilne z waszą technologią. W przeciwnym wypadku, nawet gdy statek jest zdolny do lotu, ja nie będę w stanie go pilotować.

Przewodnik otworzył włącz i zaprosił ich do środka. Probus usiadł w fotelu pilota, ostrożnie schwycił za stery i zamknął oczy. Skoncentrował się. W jego okularach zaczęły wyświetlać się nieskończone szeregi cyfr, jakieś skomplikowane

schematy. Wreszcie podłoga zaczęła wibrować, zaś pulpity obudziły się obsypane nagle tysiącem kolorowych diod.

Probus otworzył oczy.

- Zapłać mu - powiedział po prostu.

* * *

- Chcę lecieć tym statkiem - usłyszał.

Był zdziwiony. Bał się. Od dawna bał się tej chwili. Bał się pożegnania. Nie umiał dobrze się żegnać. Nie był do tego stworzony. Uważał, że pożegnania są jednym z najgorszych produktów Boga.

- Po co?

- Mam już dość tego świata. Chcę zobaczyć inny. Zobaczyć inne gwiazdy. To wyjątkowa okazja.

- Nie chcesz lecieć... Ze względu na mnie?

- Zgłupiałeś? - była wyraźne rozbawiona jego przypuszczeniem. - Pewnie, że nie.

- Kłamiesz - stwierdził.

- A jeżeli nawet kłamię, to co z tego? Zabrałbyś mnie, gdybym powiedziała, że chcę lecieć ze względu na ciebie? Nie zabrałbyś. Bo boisz się odpowiedzialności za moje życie i tego, co ze mną będzie w twoim świecie. Tego, że ten statek rozsypie się podczas skoku. Wszystkiego się boisz i myślisz, że ta niepotrzebna troska o mnie dobrze o tobie świadczy. Tylko, mój panie Probusie, każdy jest odpowiedzialny za siebie. I ja chcę lecieć. Wobec tego odpał te cholerne silniki i pozwól mi zginąć, jeżeli mam na to ochotę!!!

- Siadaj na fotelu. Zneutralizuje wpływ przyspieszenia na twoje ciało - rzekł lapidarnie, po czym rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Nie wiem, co powiedzieć, Nayna. To twój dom.

- Więc nie mów nic. Bo ja wszystko wiem. Jestem pieprzoną empatką, zapomniałeś?!

Pchnął drążek do przodu, cygaro podniosło się, rozwalając dach stodoły na strzępy. Światłość wypłynęła z dysz, gdy Probus skierował okręt ku gwiazdom.

* * *

Krażownik Nagaya był ogromny, tarasował im drogę ku wolności, zajmując podbrzuszem niemal całe niebo.

- W życiu nie widziałem podobnej wielkości statku. Muszę ostrzec naszych... - wyszeptał Probus.

I wówczas to się zaczęło. Wskaźniki oszalały, diody na ścianach i pulpicie zaczęły chaotycznie zapalać się i gasnąć.

- Znowu to się dzieje - mężczyzna wycedził z rozpaczą przez zaciśnięte zęby.

- Wysłali na nas Zamęt... spadamy - stwierdziła Nayna. - Dasz radę wyrwać z tego statek? - popatrzyła na pilota. Z ust spływała mu strużka mlecznobiałej śliny, widać poprzez neurozłącza w dłoniach przeszło na niego część obłądu, który ogarnął statek.

- Pewnie, że dam - warknął, jednak wbrew zapewnieniu spadali coraz szybciej. Udało mu się włączyć po chwili silniki hamujące, ale nie pracowały regularnie, co chwila któryś gasł, narażając ich na groźne turbulencje. Na domiar złego ekran radaru przez chwilę podjął pracę, ukazując, jak od krążownika Nagaya odłączają się trzy statki pościgowe.

- Mamy na ogonie żuki - powiedziała Cyganka. - Musimy je zgubić, inaczej będzie po nas.

Teraz nie chodziło oto, by jakoś wymanewrować krążownik i uciec w przestrzeń kosmiczną. Byli już za nisko, pozostało

im jedynie bezpiecznie wylądować, przy czym zgubienie pościgu graniczyło w tej sytuacji z cudem.

Radar znów się włączył, żuki niemal ich otaczały. Cienka drgająca linia między nimi oznaczała, że tkają się z twardych promieni.

- Tam, coś na prawo.. Wygląda to na chmurę burzową. Dasz radę skręcić? Może je zgubimy w ulewie.

- Spróbuję - z nosa Probusa płynęła krew, ale zmusił statek, by choć na moment włączył jeden manewrowy silnik. Lecieli prosto w burzę.

- Udało się, Nagaya zostają z tyłu. Nie wleczą w ulewę - powiedziała.

- Cieszę się. To znaczy, że mają dużo rozumu, bo ja nawet na ekranie optycznym nie widzę, gdzie lądują.

Nayna w milczeniu zniosła reprimendę, bo wiedziała, że stało się coś gorszego. Zegary na jej chuście były temporalnie aktywne. I właśnie dawały jej znać, że to nie jest zwykła burza.

* * *

Zaryli głęboko w piaskową wydmy, Nayna gratulowała pilotowi umiejętności, a w duszy dziękowała losowi za dar, który im zesłał. W takich warunkach lądowanie mogło skończyć się katastrofą.

Mężczyzna nic nie odpowiadał. Patrzył pustym wzrokiem na ekrany, pokazujące, co działo się na zewnątrz. Ciągłe padało. Resztki Zamętu powoli opuszczały jego umysł. Rozumiał, że statek jest uszkodzony i nie wzniesie się powtórnie w niebo. Ogarnęła go rozpacz. Świadomość, że być może w tej chwili flotylla Nagaya spada niczym jastrzębie na jego bezbronny kraj, napęłniała go bólem.

- To nie twoja wina, kochany - dziewczyna dotknęła jego ramienia. Odczytywanie jego myśli szło jej widocznie coraz lepiej. - Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy, by ich ostrzec.

I wtedy go zobaczył. Ostry, smukły kształt na chwilę mignął w lewym ekranie. Imperialny statek! Jego statek...

Już wstał, biegł, otwierał właz.

- Nie, głupcze! Zaczekaj! To wczorajszy deszcz! Tu ruch w przestrzeni może oznaczać ruch w czasie! Musimy odczekać, aż przestanie padać!

- nawoływała na próżno. Wreszcie wybiegła za nim, świadoma niebezpieczeństwa. - Nie znajdziesz go! Siebie zgubisz... Nas zgubisz... - dodała już ciszej, pewna, że nie usłyszał. Ale on usłyszał, tylko zwrócił na to uwagę później, rozpamiętując ostatnią chwilę, gdy się widzieli. Bo potem zniknął i jego statek, i ona, i był tylko deszcz, który smagał go przez długie godziny. A on miotał się w błocie, w które zamieniła się pustynia i rozpaczał, że stracił Naynę po raz kolejny.

A gdy wreszcie przestało padać i został sam na pustkowiu, zrozumiał, że także nieodwołalnie.

* * *

Poniechał prób wydostania się z tego świata. Bez pieniędzy, bez nieocenionej przewodniczki, jaką była Nayna, było to niemożliwe. Nie wiedział, czy Nagaya podbiły jego Imperium, czy też zlekceważyły. Coraz mniej go to obchodziło. Tylko gdy gdzieś padało, zawsze szedł tam i stawał przy samej ścianie deszczu, w nadziei, że ją spotka, że zegary na chustce wyprowadzą ją z czasoprzestrzennej pułapki.

Nie spotkał.

Mijały lata, znalazł nieźle płatną pracę. Pewnego dnia zobaczył znajomą postać w zaułku Czarnego Miasta - była to Miraell. Hazubis znudził się nią i zostawił własnemu losowi.

Przez pewien czas żyła z prezentów, które jej podarował, wreszcie zaczęła sprzedawać swoje wdzięki za coraz niższą cenę, byle jako tako przeżyć kolejny dzień. Zabrał ją ze sobą, nakarmił, odział w przyzwoite ciuchy, wyleczył z kilku powszechnych chorób wenerycznych.

Mijały lata. Zmarszczki czasu porzeźbiły jego twarz siecią dolin, zaś ciało nie było już tak sprężyste jak kiedyś. Miraell była dobrą dziewczyną. Prała, gotowała i sprzątała, zaś w łóżku dogadzała mu z prawdziwą pasją, finezją i swoistym wdziękiem. Raz po raz z jej brzucha wychodziło dorodne dziecko i Probus mógł być dumnym ojcem licznej rodziny.

Był szczęśliwy.

Miraell rozumiała wiele. Wybacziała mu nawet, że ilekroć padało, zawsze czatował przy ścianie deszczu, z sercem zaciśniętym w żałości i oczekiwaniu, w głupiej nadziei, że zobaczy przygiętą wiatrem kruchą sylwetkę, że ona wyjdzie z deszczu tak samo piękna i wesoła, jakby weszła tam wczoraj.

EuGeniusz Dębski **STIRLITZ** **I JAPOŃSKI GO-LEM**

Stirlitz obudził się tuż przed świtem.

Koło drugiej.

Pierwsza też była niczego sobie, ale druga ujęła go bezpośrednio i czułością. W każdym razie - Stirlitz wiedział, że i pierwszej da szansę. W końcu były bliźniaczkami, pierwszej

może być przykro, że siostra wodzi prym w stosunkach ze Stirlitzem, a jej ciągle przypada pusta kanapa.

W pokoju obok wcześniej chrapał Muller, poczęstowany wódką w niewielkiej ilości i pół kilogramem kawioru, co prawda nie najlepszego, nie czarnego, a czerwonego, ale to też nie byle co pod koniec kwietnia 1944 roku. Kolor kawioru spowodował, że Stirlitz, serwując przysmak i widząc, jak Muller się nim opycha, przeżywał chwile prawdziwego czekistowskiego triumfu. Co by nie mówić - faszysta zażerał się czerwonym, czerwonym kawiozem!

Wkrótce gruppenfuhrer Muller zasnął na gabineetowej kanapie jak dziecko, nie zdążywszy wymamrotać żadnej tajemnicy. Szkoda, pomyślał Stirlitz. Wczoraj, zanim jeszcze przyszły bliźniaczki, starannie i rzetelnie, ziarnko po ziarnku, naszprycował kawior schłodzoną stoliczną, dostarczoną w fałszywej harmoniszce przez radiotelegrafistkę Kat. Trudno, Stirlitz nie przejmował się przesadnie tym przelotnym niepowodzeniem; szczerze mówiąc nie wierzył w to, że Muller dysponował jeszcze jakąś tajemnicą, o której on, Stirlitz, by nie wiedział.

Stirlitz włożył mundur, delikatnie ucałował bliźniaczki, w czoło jedną, nieco poniżej - drugą. Nałożył czapkę, sprawdził wytrenowanym ruchem, czy orzeł znajduje się dokładnie nad nosem i już odwrócił się do drzwi, gdy ktoś do nich zapukał. Standartenfuhrer znieruchomiał na chwilę, jego dłoń powędrowała do kabury pistoletu, czubek języka ruszył w stronę koronki... Ach, przecież nie założyłem jeszcze kapsułki z cyjankiem potasu, przypomniał sobie Stirlitz. Trudno, będę musiał improwizować. Podszedł do drzwi, otworzył je.

Na wycieraczkę siedział mały kudłaty kundelek.

- No, czego chcesz, głuptasku? - zapytał dobrodusznie, bo odczuł sporą ulgę.

- Sam jesteś głuptas, ja jestem z Centrali - odparł kundelek.

- Ćsi! - syknął Standartenfuhrer, który migiem zorientował się w sytuacji.

- Pogadamy później. Przyjdź do konspiracyjnego mieszkania o osiemnastej. A teraz zmiataj... znaczy - odejdźcie towarzyszu...

Zawahał się, nie wiedząc, jakiego stopnia użyć, ale kundelek nie podał mu przecież żadnych danych. Piesek odwrócił się i pognał po schodach na dół. Stirlitz wrócił do mieszkania, włożył płaszcz i rękawiczki - kwiecień był chłodny, ale Standartenfuhrer już się cieszył na myśl, że niedługo 9 maja. Rzucił okiem na kanapę w gabinecie, na której miał spać Muller, ale zobaczył tylko bałagan w papierach. Muller, niepoprawny maniak, nie ustawał w usiłowaniach znalezienia materiału obciążającego standartenfuhrera.

Nie miał szans.

Stirlitz wyszedł z mieszkania, wsiadł do służbowego horcha i pojechał do Reichstagu. W pewnej chwili zobaczył na poboczu Mullera, zdziwił się, ale nie zatrzymał. Po chwili zobaczył go znowu, ale ponownie się nie zatrzymał. Chwilę potem zobaczył Mullera po raz trzeci. „Rondo” - domyślił się Stirlitz. „Drażni się ze mną” - domyślił się Muller.

W pracy pochłoneła standartenfuhrera bieżąca praca. Nudna, ponieważ nie było nic specjalnie ciekawego dla niego, dla Centrali, dla Stalina... Można było zająć się sobą. Stirlitz podejrzewał, że podejrzenia Mullera nasiliły się i że ciągle chce on zgromadzić dowody wywiadowczej działalności Stirlitza i natychmiast pokazać je przełożonym.

Tak też było w tej chwili - Muller wszedł właśnie do sekretariatu Schellenberga.

- Czy brigadefuhrer może mnie przyjąć? - zapytał groźnie sekretarza.

- Nie bardzo - pokręcił wybrylantowaną głową sekretarz.

„Posłałbym cię, gnoju, na front wschodni - pomyślał Muller, zaciskając

pulchne palce w pulchną pięść. - Szczurze sztabowy! ”.

- Sprawa naprawdę niecierpiąca zwłoki - powiedział kamiennym głosem.

- Dotyczy szpiega w naszym otoczeniu.

- Jak zwykle - mruknął pod nosem bezczelny sekretarz, wstając i kierując się do gabinetu przełożonego.

Nie było go dobre pięć minut. Wróciwszy, nawet nie powiedział marnego „przepraszam”, wskazał tylko ręką ciężkie drzwi. Muller podreptał do nich, otworzył, wszedł i podniósł rękę w partyjnym pozdrowieniu. Walter Schellenberg odpowiedział tym samym gestem, nieco tylko zmodyfikowanym, w wariacie siedzącym.

- No co tam mamy, mój drogi Mullerze? Czy znowu będziesz mi mówił, że Stirlitz jest sowieckim agentem? - Brigadefuhrer uśmiechnął się szeroko, prezentując nienagane uzębienie.

„Pewnie! - pomyślał z niechęcią Muller. - Możeś, mój drogi Walterze, i zjadł zęby, ale tylko w przenośni, i to na moszczeniu sobie pozycji, a nie na ściganiu szpiegów, choć do tego przecież SD zostało powołane! ”.

- Dla mnie to nie ulega wątpliwości - powiedział z pasją Muller. - A spodziewam się za kilka dni wejść w posiadanie bardzo, ale to bardzo, bardzo ważkich dowodów...

„Źle to rozegrałem - pomyślał Muller. - Teraz mi powie, że powinienem być poczekać tych kilka dni”.

- Czy nie byłoby zatem logiczne, żeby pan poczekał tych kilka dni i przedstawił mi dowody - dowody, Muller! - szpiegowskiej działalności potomka jednej z najstarszych i najszaconiejszych rodzin niemieckich? - Schellenberg uniósł dłoń do ust i wystukał paznokciami jakiś rytm na zębach.

Muller pomyślał, że to może być słynna rosyjska melodia „Katusza”, ale ta nazwa źle działała na przeciętnego Niemca, zwłaszcza takiego, któremu zdarzyło się odbierać własną skórą granie zespolonego zestawu raketowego „katusza”. A Schellenberg miał dobry zestaw frontowych nagrań, które czasem puszczał co mniej rozgarniętym i co bardziej leniwym podwładnym. - Brigadefuhrer - powiedział, tłumiąc prawdziwą burzę uczuć. To, że Stirlitz jest sowieckim wywiadowcą - jest dla mnie tak pewne, jak zwycięstwo wielkiej idei narodowego nacjonalizmu - udał, że nie dostrzegł, jak znudzony i powątpiewający Schellenberg przymknął na chwilę powieki. - Wiemy nawet, że nazywa się Maksym Isajew.

Schellenberg skrzywił się i zacisnąwszy usta, wciągnął wargi, robiąc słynną „żabę”. Albo zwycięstwo wielkiej idei w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym nie było już dlań tak pewne, albo nie wierzył w rewelacje Mullera.

- Maksymowicz - dodał Muller.

- Słucham? - zapytał Schellenberg i nagle zrozumiał, że zabrzmiało to bardzo dwuznacznie. - O co ci, Muller, chodzi? - zdenerwował się.

- To jego patronimik. Maksymowicz - szybko zaczął mówić Muller. - Maksym Maksymowicz Isajew. Chociaż podejrzewam, że i to nie jest prawdziwe, że ma on inne, prawdziwe nazwisko, a Isajew to tylko na usługi Czeki.

The Best t.01

- Sprawdziłeś go przecież, Muller, wielokrotnie - wycedził wciąż wściekły Brigadefuhrer. - Trzy pokolenia wstecz, jego rodzina nie ma wątpliwości, że to jest von Stirlitz, a ty się upierasz, że to Rosjanin. I to tu - stuknął palcem w blat biurka. - Absurd. - Bębnił chwilę paznokciami w zęby, potem palcami w biurko.

- Kończy mi się cierpliwość, Muller - powiedział w końcu. - Nie ma pan żadnych dowodów, a poszlaki są po prostu śmieszne...

- A co pan powie, brigadefuhrer, na to: wszedłem do swojego gabinetu przedwczoraj, a tam obok sejfu stał Stirlitz. Pytam się go: - Co tu robisz? A on odpowiada: - Czekam na tramwaj. Wszedłem wściekły z gabinetu, ale po chwili pomyślałem sobie, już na korytarzu, że jaki, do licha, może być tramwaj w moim gabinecie? Wracam szybko, a tam nie ma ani Stirlitza, ani tramwaju.

- Pewnie już odjechał - rzucił niecierpliwie Schellenberg.

- Tak też pomyślałem - przyznał Muller. - Ale mimo to incydent wydaje mi się podejrzany.

- Ciekawe dlaczego? Chce pan powiedzieć, że wielkie Niemcy nie stać na regularną i sprawną komunikację miejską? - Schellenberg aż przestał stukać w biurko i zęby.

- Nie-hgh! Skąd, tylko... Naprawdę nie widzi pan...

- Nie widzę! - piasnął dłonią o biurko brigadefuhrer. - I proszę mi, Muller, nie zawracać głowy von Stirlitzem bez naprawdę poważnego powodu.

Muller wyprężył się i wyciągnął rękę w faszystowskim pozdrowieniu.

Wszedł, energicznie przemierzając sekretariat. Udawał, że nie dostrzega ironicznego spojrzenia wybrylantowanego sekretarza. Pomyślał tylko, że jego czapka od wewnątrz musi

mieć dobre pół kilo tłuszczu, tłuszczu, którego na tym etapie wojny tak Niemcom brakuje.

„Dobrze, założmy, że mam jeszcze tylko jedno podejście do brigadeführera z tym przeklętym Stirlitzem - myślał. - Jeśli jednak uda się uzyskać te dane, które mi obiecano, to... ” - zaciśnął palce w pięść i wymierzył nią cios w dłoń lewej. „A na wszelki wypadek można nękać szpiona działaniami maskującymi. Tak! ”. Żeby nie czekać długo - skreślił na schody i zszedł piętro niżej. Zapukał do drzwi z napisem „Von Stirlitz. Standarderführer”.

„Tu też” - pomyślał Muller, nie precyzując myśli, bo on wiedział, co myśli.

- Bitte! - usłyszał.

„Ci dam »bitte«”! - pogroził w myślach pięścią Muller, ale nie odezwał się, a przekroczył próg. Zamknął drzwi i obrzucił Stirlitza przeciągłym spojrzeniem.

- Dobry kawior był? - zapytał gospodarz, wstając i podchodząc do Mullera z wyciągniętą dłonią. - Dlaczego tak wcześnie wyszedłeś?

- Mam dla ciebie propozycję - wypalił gość, przechodząc od razu do rzeczy. - Proponuję, żebyś pracował nie dla Schellenberga, a dla mnie.

Stirlitz zamarł z wyciągniętą ręką. Muller chwycił ją, potrząsnął i wypuścił. Stirlitz cofnął rękę.

- Wiesz co, Muller... To kuszące, ale nie - powiedział wolno standartenführer. - Nie. I powiem ci, dlaczego. Dlatego, że ty jesteś podła świnią w duchu. Wiesz o tym?

Muller skinął głową.

- I jak tylko przejdę do pracy u ciebie, wyślesz do mnie gestapo, żeby sprawdziło legitymacje służbowe, bo będę mu-

siał mieć od ciebie, prawda? - Muller skinął głową. - A jedną już przecież, schellenbergowską, mam?

Muller skamieniał porażony domyślnością przeciwnika. Rozszyfrował i wyartykułował misterny plan Mullera.

Trudno, pomyślał Muller.

Odwrócił się z kamienną twarzą i wyszedł.

Stirlitz pokręcił głową i spokojnie zajął się swoimi sprawami. Potem postanowił pojawić się w konspiracyjnym lokalu, gdzie czekał przecież na niego kundelek z Centrali. Pojechał więc przez Berlin swoim horchem. Przyjechał na ulicę Wagnera i popatrzył na okno lokalu. Dziewięćdziesiąt trzy żelazka i trzy lampy. Brakowało trzech żelazek i dwóch lamp. Kocioł. Niemal nie zwalniając, minął bramę i wrócił do biura. To już, niestety, drugi spalony lokal w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Kiedy wchodził na piętro, poczuł głód, skrzył więc do kasy. Przeczucie, a właściwie pewność, że jest nieustannie śledzony, potwierdziła kelnerka, która przywlokła do jego stolika wielki zwój kabli i czarny telefon.

- Do pana, standartenfuhrer - powiedziała, podając słuchawkę, którą najpierw przetała czystą białą ściereczką z monogramem „SD” w rogu.

To był, oczywiście, Muller.

- Stirlitz, tym razem się pan nie wykręci! - wrzasnął Muller. - Na walizce kobiety, o której jesteśmy przekonani, że jest sowiecką radiotelegrafistką, są odciski pańskich brudnych rąk!

- Muller, niech pan nie będzie upierdliwy - rzucił z westchnieniem Stirlitz.

- Brudne ręce, to jeszcze nie powód do podejrzeń.

Usłyszał pełne pasji syknięcie Mullera. Cisnął słuchawkę na widełki.

Przypomni sobie, co jeszcze ma dzis do zrobienia. Na wszelki wypadek nie myla gono. Tu, w kancelarii Rzeszy, dzien roboczy si waciwie koczy. Po poudniu by zaproszony przez SS-obersturmbannfuhrera Klotzkiego na masowe rozstrzeliwanie, jako gupio byo odmowic... Poszed do swojego gabinetu. Zamylony, pomyli pietra i wszed jedno wyzej. Zza rogu wylono si trzech esesmanw z broni automatyczn. Stirlitz szybko woy rek do kieszeni i pomyla „Koniec”. Poszukawszy w kieszeni, zdumia si: „A co on tu robi?”.

Na szczcie esesmani, nie salutujc, ominli Stirlitza i poszli dalej. Stirlitz na wszelki wypadek przemierzy cay korytarz i zszed na swoje pietro drugimi schodami. Otworzywszy drzwi do swojego gabinetu, a pamita doskonale, e zamkn je na klucz, a klucz mia przy sobie, zobaczy, e od biurka odskakuje nieustpliwy Muller.

- Co pan tu robi? - z udrk w gosie zapyta Stirlitz.

Podszed do biurka i kilku oszczdnymi ruchami uporządkowa porozrzucane przez Mullera papiery.

- Czego pan znowu chce? - powtrzy.

- Stirlitz - zmczonym gosem powiedzia Muller. - Wykrci si pan sianem, kiedy odkrylimy paskie odciski palcw na walizce radzieckiej radiotelegrafistki. Wykrci si pan, kiedy znalelimy je na suchawce telefonu radowego. Ale teraz si wam nie uda! Nie wykrcicie si! Dlaczego paska przepustka mierdzi rosyjsk wdka?!

- Wie pan co, Muller - nie mniej zmczonym gosem odpar Stirlitz - kiedy Schellenberg przybija mi na przepustce pieccz, to wczeniej mocno chuchna na ni.

- Dobrze! - wrzasna rozjuszony Muller. - To - skoro jest pan taki mdry i cwany - pros powiedziec, jakiego koloru nosz bokserki!?

- Czerwonego - westchnął Stirlitz.

- Aha! Mam cię, czerwona kreaturo! Tylko ja i radziecka radiotelegrafistką wiedziała, że noszę czerwone. To pułapka! Od niej się pan tego dowiedział!!

- Niech pan nie będzie osłem, Muller - jęknął Stirlitz - i zapnie rozporek.

- To jest... to jest!.. - zatchnął się w złości Muller i wybiegł, trzaskając drzwiami.

Huk drzwi wywołał krótkotrwałą panikę na piętrze, najpierw przez korytarz przebiegł patrol, szukając ciała oficera, który miał odwagę się zastrzelić, potem na krótko odezwała się syrena przeciwlotnicza. Podniecony Stirlitz tymczasem runął w fotel i szybko, po męsku, zapanował nad nerwami.

Na miejsce realizacji zaproszenia pojechał dopiero około osiemnastej. „Zaczną beze mnie” - pomyślał. Ważniejsze wydawało mu się, żeby kontynuować dożywanie ukradkiem berlińskich dzieci - ukradek powodował, że dzieci puchły i umierały.

Do domu standartenfuhrer Stirlitz dotarł dobrze przed północą, przed snem przewertował „Berliński Tygodnik Ilustrowany”. Nie było w nim nic ciekawego poza kolorową fotografią skąpo odzianej kobiety z podpisem „Miss 44”. „Patrzcie - pomyślał Stirlitz. - Czterdzieści cztery lata, a trzyma się całkiem, całkiem”.

Chwilę potem powali! go krótki, esencjonalny sen.

Następnego dnia była niedziela.

Stirlitz spokojnie wylegiwał się w łóżku, potem wstał, zaparzył kawę z żołądki i zjadł dwie kanapki z mortadellą, apetycznie szpikowaną fasolą i soją. Wiedział, że przynajmniej dziś nie będzie mu dokuczał podejrzliwiec Muller. Po śniadaniu przebrał się w kombinezon i poszedł na podwórko podłu-

bać trochę w silniku swojego horcha. Jego zręczne długie, szczupłe palce arystokraty sprawnie poruszały się w plątaniu przewodów, rur, rurek, gaźników i iskrowników, dopóki tego miłego zajęcia nie przerwał zduszony okrzyk za plecami:

- Stirlitz! Prawdziwy Aryjczyk nie zajmuje się sam naprawą samochodu, tylko oddaje go do autoryzowanej stacji obsługi!!

Co miał na to odpowiedzieć podskakującemu z radość Mullerowi? Przecież kto jak kto, ale Stirlitz wiedział, że dzięki jego działalności naloty aliantów kompletnie zrównały z ziemią wszystkie stacje! Ale humor już został zepsuty. Stirlitz odwrócił się i nie patrząc na oczekującego riposty Mullera, poszedł do swojego mieszkania i wziął prysznic. W porze obiadu miał w lesie spotkanie z profesorem Pleischnerem. Zanim do tego doszło, Standartenfuhrer, czując spocony oddech Mullera na plecach, sprawdził kolejny raz, czy w mieszkaniu nie ma kompromitujących materiałów. Nie było.

Wiedząc, że obergruppenfuhrer nie popuści i będzie usiłował zepsuć mu jeden z niewielu spokojniejszych dni, Stirlitz odpuścił sobie samochód - dzień był zresztą ciepły i jasny. Wsiadł na motocykl i odjechał z podwórza, kompletnie myśląc śledzących go esesmanów Bormanna.

W lesie zamaskował motor w gęstwinie. Do spotkania miał jeszcze godzinę. Była to rzadka w jego sytuacji okazja do oddania się ulubionemu zajęciu, grzybobraniu. Zaczął szukać prawdziwków, ale nie było ich tu. Podgrzybków też nie było. Nie było również, dziwne, ani maślaków, ani kurek, już nie wspominając o rzadkich, ale jakże smacznych rydzach. „Czyli nieurodzaj” - zrozumiał Stirlitz. Wygrzebał się z zasy i skierował na miejsce spotkania.

Wyszedł na polankę, rozejrzał się. Nic nie wskazywało na możliwość zasadzki, ale pozostał czujny. Dokładnie trzy sekundy przed umówionym czasem zza najbliższego krzaka rozległ się głośny syk żmii. Ani sekundy się nie zastanawiając, Standartenfuhrer wyszarpnął z kabury parabellum i opróżnił magazynek w kierunku, z którego dobiegał syk. Syczenie ustało. Zadowolony Stirlitz rozsunął gałęzie i zobaczył zakrwawione ciało profesora Pleischnera. „Biedak - pomyślał - do końca nie udało mu się nauczyć gwizdać! ”.

Może to i lepiej. Profesor był dość zużytym człowiekiem. Przecież osiem razy skakał przez okno, kiedy zażyta trucizna nie poskutkowała. Na szczęście, powód, dla którego profesor skakał przez okno, był zwyczajnym i częstym w tego rodzaju pracy alarmem fałszywym.

Stirlitz uznał, że nie ma już tu nic do roboty. Odszukał motocykl, wsiadł nań i wrócił do Berlina.

Dzień uznał za umiarkowanie udany.

Z końcem kwietnia, a bardziej nawet na początku maja wydarzenia nabrały tempa.

Najpierw Stirlitz, który dotąd miał zwyczaj świętować 9 maja w samotności, z butelką wódki na stole i harmoszką w rękę, tym razem - bardzo, mianowicie, dopiekleła mu samotność - wpadł do Zigeunerheller na Kudamie, do którego wstęp wojskowi i członkowie partii mieli zabroniony, i uformowawszy szereg z bawiących się tam gestapowców, kazał im maszerować dokoła sali, wyśpiewując pieśni rewolucyjne. Dopiero wróciwszy do domu, nieustraszony pułkownik KGB zrozumiał, jak blisko był wpadki tej nocy.

Potem było nieudane spotkanie z łącznikiem. Stirlitz pojawił się na Weteranenstrasse o umówionej godzinie, rozpoznał nawet łącznika, ale zanim wymienili hasła i odzewy, ten

został zgarnięty przez dwóch nieznanym w skórzanych płaszcach. Stirlitz szybko skręcił w Friedrichstrasse, wskoczył do horcha, za kierownicą którego siedziała Kat i rzucił „ruszaj”. Kat zaczęła ruszać i po chwili mocno się zdziwiła. Dopiero chwilę później wystartowali i szczęśliwie uniknęli wpadki.

Rozstali się na rogu Dezemberstrasse i jakiejś innej ulicy. Stirlitz ruszył pieszo w kierunku alarmowego punktu kontaktowego. Droga wiodła przez skwer, nagle na głowę Stirlitza spadła cegła. Ocknąwszy się po godzinie, Stirlitz poddał obserwacji najbliższe drzewa, ale nie widząc nic podejrzanego uznał, że mu się wydawało. Do punktu nie dotarł. Zaczął się nalot, kolejny nalot, radziecki nalot na stolicę Wielkiej Rzeszy. Lotnicy bombardowali miasto bezlitośnie, ale ostrożnie: każdy z nich rozumiał - tu działa Stirlitz.

Standartenfiihrer wrócił więc do pracy.

Ale nawet on, wspaniale wyszkolony i dysponujący niezwykłym intelektem i nieludzką wręcz intuicją, nie wiedział, że właśnie w tej chwili w gabinecie brigadefuhrera Schellenberga ważą się w pewnym sensie jego losy.

Przed biurkiem brigadefuhrera stał czerwony z podniecenia obergruppenfuhrer Muller.

- Otrzymaliśmy niezbite dowody, brigadefuhrer - powiedział Muller. - Nie podlegające najmniejszej dyskusji. Von Stirlitz jest sowieckim szpiegiem. Nazywa się Maksym Maksymowicz Isajew. Wiemy też, że używa pseudonimu Justas w czasie łączności radiowej ze swoją Centralą. Ale to jakby nie jest najważniejsze...

- Nie? - bąknął Schellenbarg.

- Nie - pokręcił głową Muller. - Najważniejsza jest inna wiadomość, do której źródła docierałem bez mała dwa lata. -

Pochylił się nad biurkiem i poczuł zapach rosyjskiej wódki bijący od brigadeführera. „Miał rację przeklęty Stirlitz!” - pomyślał i powiedział na głos: - To nie jest człowiek. To radziecki golem!

- Golem... - bąknął Schellenberg.

- Tak. Sztuczny człowiek. Robot, jak to określił pewien czeski autor. Załatwilibyśmy go, ale zdążył kofnąć w trzydziestym ósmym.

- Robota? - bąknął Schellenberg.

- Eapka! - zdenerwował się Muller. - W każdym razie sowieccy uczeni z cholernymi żydowskimi parchami stworzyli golema. Sztucznego człowieka, na pozór nieodróżnialnego od zwyczajnego. Na pozór, ponieważ jest on obdarzony nieludzką inteligencją, lotnością, intuicją, siłą... Odsapnął i otarł pot z czoła. „Też bym się napił stolicznej” - pomyślał, ale nie powiedział. - To tłumaczy, dlaczego Stirlitz wykręca się z każdej zastawionej nań, niezawodnej, wydawałoby się, pułapki. Nieczłowiek. Taki on jest. Nadczłowiek.

- Ubermensch, Muller?

- No... taki inny Ubermensch...

- A dowody, Muller, dowody? - postukał palcem w biurko brigadeführer.

- Zaraz przedstawię, nawet schemat takiego golema. Za chwilę - zaczął poklepywać się po kieszeniach Muller.

- Ale dlaczego nie aresztowaliście Stirlitza? - zapytał Schellenberg.

- No właśnie, to niemożliwe. On się nie da aresztować. Po pierwsze, wykręcał się z niezliczonych pułapek, mówiłem to dopiero co. Po drugie, jeśli nawet go ujmemy siłą, to pewnie eksploduje albo się rozsypie na kawałki, na pył, na atomy i

będziemy tu mieli małą... No, jak się nazywa to japońskie miasto? Hirohito?

- Hirohito to cesarz, Muller. Do rzeczy!
- Tak więc nie możemy go dopaść tak zwyczajnie.
- A jak inaczej?
- Jest sposób, ale jeszcze nie mam kompletnych danych.

Mianowicie

140

Stirlitz i japoński Go-lem

EuGeniusz Dębski

z golemami to jest tak... W żydowskich bajkach i podaniach golem to postać ludzka ulepiona z gliny, w którą tchnięto życie. Wzięło się to z opowieści

o żydowskim rabbim, kabaliście i astronomie, który zwał się Lowa ben Becalela

i mieszkał w Pradze.

- Czyli posłaliśmy go do Auschwitz?
- No nie... To był chyba XVI wiek...
- No tak...

Muller odsapnął, znowu otarł pot i powiedział:

- Sam termin znaczy bryła czy też bezkształtna masa...
- Muller, czy was kompletnie porąbało?! - wrzasnął wściekły Schelleberg. - Siedzicie tu w Reichstagu, jest 14 maja 1944 roku, dostajemy w dupę na froncie wschodnim, a wy mi tu żydowskie bajki przyszliscie opowiadać???

I na dodatek ci Żydzi wymknęli się nam z rąk?

- Nie, nie porąbało mnie. Już kończę. Muller był pewien swego i nie przestraszył się krzyku brigadefuhrera. - Golem miał w ustach karteczkę z napisanym pewnym tekstem. Wiem, jaki to był tekst. Kiedy się wyjęło mu ust karteczkę - golem spłonął czy tam rozsypał się, nieważne. Zdechł, w każdym ra-

zie. Mniej więcej to samo stanie się z golemem Isajewem, czyli von Stirlitzem.

- Wyjmiesz mu coś z ust i się rozsypie? - zdziwił się uspokojony Brigadefuhrer.

- Niemal... - uśmiechnął się Muller. - Czy zwrócił pan uwagę, że nikt nie wie, jak on ma na imię? Sycił oczy zdziwieniem Brigadefuhrera. - Zapewniam pana, że przeszukałem wszystkie, wszyściutkie dostępne papiery i dokumenty, a przecież pan wie, że niemal wszystkie są mi dostępne. I nigdzie, nigdzie, nigdzie nie ma imienia von Stirlitza! Nie ma!

- Jak to możliwe? Przepustki? Legitymacja partyjna? Książeczka zdrowia? Kartki w końcu? Jak piszą w księdze rodu? „Urodził się potomek płci męskiej, bez imienia? ”.

Muller wzruszył ramionami.

- A od czego owa piekielna inteligencja? Wykręca się jakoś. Wszyscy słyszą „von Stirlitz” i sztywnieją, i zgadzają się na wszystko. Tak więc wiem z niemal stuprocentową pewnością, że słowo kodowe, jakim jest imię von Stirlitza, wypowiedziane przy nim, spowoduje, że wyłączy się on. I wtedy, dopiero wtedy będziemy go mieli.

- Muller, a po co nam Stirlitz z gliny, że się tak głupio zapytam?

- Po to, brigadefuhrer, żebyśmy wiedzieli, jak się przed nim bronić! Przed wszystkimi sowieckimi golemami! Teraz Muller postukał czubkiem palca w biurko. - Wiemy o jednym, o Maksymie Maksymowiczu Isajewie. A ilu jeszcze ci zbrodniarzy z KGB spłodzą i podeślą do nas? Wyczekał efektowną pauzę, by groza przypuszczenia dotarła do Schellenberga. - A tak mielibyśmy obiekt do zbadania, demontażu, może nawet byłby nam podporządkowany.

- Moglibyśmy nawet sami zacząć produkcję takich Żyd...
tfu, gejów? Gojów?

- Golemów, brigadefuhrer, golemów.

- Właśnie, ich! Rozpocząć powielanie...

- Dokładnie! - powiedział uradowany Muller i w końcu odsunął się od biurka.

Nieproszony usiadł w skórzanym fotelu i nawet założył nogę na nogę.

- A nie wystarczy powiedzieć mu: jesteś Maksym Maksymowicz Isajew? -zapytał brigadefuhrer. - Skoro pan twierdzi, że imię go zdekonspiruje i wyłączy?

- Nie. Mówiłem mu to, próbowałem. Uśmiecha się tylko, kiwa głową z politowaniem i odchodzi.

Schellenberg wystukał swój ulubiony werbelek na zębach. Muller wiedział już, że to oznacza najwyższy stopień pobudzenia. Dowódca SD był zaintrygowany i zdenerwowany.

- Dobrze. Stały nadzór na Stirlitzem - raz! Muller skinął głową. To już było realizowane od dawna. - I... - wyobraźnia niewiele podpowiedziała brigadefuhrerowi. - I... meldujcie o wszystkim mnie.

- Tak jest! Muller poderwał się. - Heil Hitler! - uniósł rękę i wyszedł, myśląc: „A ty polecisz nawet do fuhrera, żeby się pochwalić, jaki to jesteś mądry i czujny. A Mullera pošlesz na front wschodni albo inny. Na szczęście frontów mamy pełno...”.

Wrócił do siebie i zajął się codzienną prasą.

Tymczasem Stirlitz poczuł pewien nieokreślony niepokój. Krzesło wydawało się twarde, światło ponure, cisza - zagadkowa i groźna. Stirlitz zamyślił się. To mu się spodobało, więc zamyślił się raz jeszcze. Potem przestał, nie można sobie po-

błązać i pozwalać na przyjemności. Chwila relaksu przyniosła niespodziewany wynik: już wiedział, co go dręczyło.

Wyszedł z gabinetu, starannie zamknął drzwi na klucz. Ruszył korytarzem i po chwili znalazł się pod drzwiami gabinetu Mullera. Nie zastanawiając się długo, silnym i precyzyjnym kopniakiem wysadził drzwi i na palcach podkradł się do czytającego gazetę Mullera.

- Muller, ty Świnio! - wrzasnął do ucha gestapowca.

Muller spokojnie złożył i odłożył dziennik.

- Już niedługo, Stirlitz, niedługo... Stan-dar-ten-fuh-rer!..
- wyskandował z wyraźną chęcią użycia stopnia w obraźliwym celu.

Stirlitz wzruszył ramionami i wyszedł. Szedł korytarzem, ale niepokój nie ustał. Zamyślony skręcił w odnogę prowadzącą do aresztu i katowni do przesłuchań. Na spotkanie szła radiotelegrafistka Kat. Za nią dwaj żołnierze niosący jej walizkę z radiostacją. „Ach, urlop! ” - domyślił się Stirlitz. Uśmiechnął się lekko i znacząco do Kat i minąwszy ją, poszedł do siebie.

Tego dnia już nic się nie wydarzyło. W tak nudnym dniu każdy drobiazg urastał do rangi wydarzenia. Ot, wracał Stirlitz do domu, obok stacji benzynowej grupka nieletnich chuliganów wcisnęła kotu lewatywę z benzyny. Kot wyrwał się i uciekł, ale po przebiegnięciu dwudziestu, może dwudziestu pięciu metrów upadł i nie ruszał się.

- Skończyło się paliwo! - zawołał wesoło Stirlitz do dzieciaków.

Te pokiwały głowami i poszły szukać większej gruszki, a Standartenfuhrer ruszył ośnieżonym jeszcze parkiem do domu. Na alejach pokrytych resztkami śniegu widać było jakichś ludzi poruszających się przy pomocy drewnianych płóz i kij-

ków. „Narciarze - domyślił się Stirlitz i pochwalił sam siebie: Ech, Stirlitz, cwaniura z ciebie! ”.

Ale był podenerwowany. Zapanował jednak nad sobą, zmusił się do zaśnięcia. Poza tym noc minęła spokojnie, ale bieg wydarzeń wyraźnie nabierał tempa.

Po przybyciu do pracy do VI wydziału RSHA znalazł w poczcie służbowej zawiadomienie o przedłużeniu pozwolenia na amatorską działalność radiotelegraficzną. „Ha! - pomyślał Stirlitz - Schellenberg niby słynie z tego, że od 1936 roku nie pali innych papierosów niż camele, ale tak naprawdę to nie może się obejść bez białomorów i stolicznej, a tych przecież dostarczam mu ja. Dlatego nacisnął, gdzie trzeba! ”. To wprawiło go w dobry humor, ale natychmiast popsuł mu go widok Mullera i Eismanna, szepczących o czymś na korytarzu, a zwłaszcza zacierający łapki Muller. Na widok Stirlitza obaj gestapowcy odskoczyli od siebie i udawali, że czyszczą sobie nawzajem mundury. Stirlitz niemal biegiem udał się do gabinetu Mullera, otworzył go ukrytym w rękawie wytrychem, wszedł szybko i niemal równie szybko wyszedł.

Na biurku Mullera nie odkrył niczego, co by jemu, von Stirlitzowi, zagrażało.

Usiadł u siebie w gabinecie, przysunął dokumenty i długo wpatrywał się w punkt. Potem równie długo w drugi punkt. Nad swoją głową jednak widział czarne chmury.

Kwadrans po dwunastej do drzwi gabinetu Stirlitza ktoś zapukał.

- Wejść! - powiedział Stirlitz.

Wszedł sekretarz Schellenberga.

- Standartenfuhrer, brigadefuhrer prosi do siebie - powiedział.

Stirlitz wstał, pod czujnym okiem sekretarza poprawił mundur i ruszył pierwszy do drzwi.

Przemierzyli korytarz szybko i zdecydowanie, po woj-skowemu.

W gabinecie Schellenberga znajdował się - czego można się było spodziewać - Muller.

Na widok Stirlitza wstał, włożył kciuki za pas i, zerknąwszy na ponurego brigadefuhrera, powiedział:

- Stirlitz, od dłuższego czasu cię obserwuję i jestem przekonany, że jesteś sowieckim szpiegiem.

Stirlitz wzruszył ramionami i nie odezwał się, ale jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

Muller kontynuował:

- Więcej nawet - jestem pewien, że jesteś wytworem zбочzonego chorego umysłu Stalina i jego przeklętych...

- Muller, nie napalaj się - powiedział Schellenberg zmęczonym tonem.

Muller otarł pianę z ust.

- Tak jest, brigadefuhrer. Odwrócił się do Stirlitza. - Otóż dotarło do mnie, że masz swoją tajemnicę, swój najgłębszy sekret, coś, czego strzeżesz z całych sił...

- Ta. To jest adres pewnej damulki, która robi najlepszy na świecie pischinger - rzucił poważnie Stirlitz.

- Ty mi się tu nie wykpiwaj, przeklęty czerwony golemie! - ryknął Muller i plasnął w blat biurka Schellenberga. Ten odsunął się z niesmakiem, krzywiąc usta. - Wiem, co cię załatwi... Muller wyciągnął krótką szyję, ale nie zbliżał się do Stirlitza.

Stirlitz wyglądał na zaniepokojonego.

- Powiem dwa słowa - wycedził z widoczną rozkoszą Muller - a ty rozpadniesz się na gliniany pył i wywieziemy cię stąd taczka! Frau Ewa potrzebuje podkładu pod swoje rabat...

- Mu-u-u-ller! - jęknął Walter Schellenberg. - Ja proszę!

- Słuchaj, Stirlitz! Max Otto! Max! Otto! - powiedział Muller. - To są twoje prawdziwe imiona, i co ty...

Stirlitz zachwiał się, chwycił się za gardło, szarpnął kołnierzyk koszuli, prysnął guzik. Max Otto von Stirlitz zrobił krok w bok, ugięły się pod nim kolana. Schellenberg, jeszcze chwilę temu z miną cierpiętnika przyglądający się teatrykowi Mullera, zaskoczony i oszołomiony odsunął fotel od biurka i położył dłoń na kaburze pistoletu. „Cholera - przemknęło mu przez myśl - jeśli on naprawdę eksploduje, to po mnie! Trzeba było zrobić to gdzieś na podwórku! ”.

Stirlitz runął na kolana, popatrzył z wyrzutem na Mullera i upadł na bok.

- Ha! - podskoczył obergruppenfuhrer. Wiedziałem! Wiedziałem! Klaskał w dłonie i podskakiwał pulchny, misio-waty grubasek.

Schellerberg otarł pot z czoła.

- Przyznam, że nie wierzyłem... - zaczął.

Stirlitz poderwał się na równe nogi, Muller przerwał hołubce w pół hołubca i znieruchomiał z rękami rozłożonymi jak do żydowskiego tańca.

- Muller - powiedział żywy, jak zwykle, Stirlitz. - Jesteś głupszy niż myślałem. Jaki golem? Jaki sowiecki szpieg? Co ty bredzisz?

- Ale ty... upadłeś!.. - wycharczał Muller.

- Żartowałem, głuptasie - powiedział Stirlitz i pomyślał: „Kogo ja tak samo niedawno nazwałem? ”. - Jeśli takich mamy generałów - zwrócił się do brigadefuhrera Waltera Schellen-

berga - to nic dziwnego, że na pewnych odcinkach frontów, gdzie dowodzą tacy właśnie głupcy, nie wiedzie nam się najlepiej...

Muller ryknął i wyszarpnął pistolet, oddał cztery strzały do Stirlitza. Ten wytrzeszczył oczy i zwałił się ponownie na podłogę, przyciskając dłonie do brzucha.

- Czyś ty zwariował, ośle! - ryknął brigadefuhrer. - Zastrzelełeś jednego z najlepszych moich oficerów, durniu! Teraz co? Co teraz? Co teraz, co?!!

- wrzeszczał, jakby powtarzając refren jakiejś skocznej szkockiej piosnki.

- A! Wiem, co teraz!

Wyszarpnął z kabury parabellum i oddał trzy strzały do skamieniałego Mullera.

Ten ciężko runął na podłogę.

Jeszcze nie zdążyło opaść echo wystrzałów, nie dotarł jeszcze do gabinetu sekretarz Schellenberga, gdy Stirlitz poderwał się na równe nogi.

- Brigadefuhrer... - rzucił oszołomiony - ja zakpiłem sobie z Mullera!

- Co? - jęknął Schellenberg. I wrzasnął w kierunku drzwi, do których zaczął łomotać sekretarz. - Spokój tam, rozmawiamy! I do Stirlitza: - Jak to

- zakpiłem?

- Noo... Wyjąłem mu z magazynka naboje i włożyłem ślepaki, wiedziałem, mniej więcej, co szykuje...

- Herr Gott! - jęknął brigadefuhrer, wzorem Stirlitza szarpiąc kołnierzyk koszuli. Drugi guzik prysnął na dywan. - Co teraz?

Stirlitz zastanawiał się chwilę, przygryzając dolną wargę. Tak naprawdę to nie zastanawiał się. Plan likwidacji Mullera,

dokuczliwego, uciążliwego i niemiłego jak biegunka, powstał już kilka tygodni temu, a dziś odbyła się „die grosse Premiere”.

- Mam pomysł - powiedział wolno, ale jednak dość szybko, bo czas naglił.

- Muller, tak powiemy, przyszedł przyznać się, że był radeckim szpionem, że zdradzał od dawna Rzeszę, i popełnił na naszych oczach samobójstwo.

Schellenberg myślał szybko. Ale niechlujnie. Skinął głową. Pokręcił głową.

- Dobrze. Nie, niedobrze. Wskazał ciało ręką. - Sześć strzałów?

Stirlitz też myślał szybko.

- Pudłował - rzucił. - Zresztą, on był kiepskim strzelcem.

- Co pan, Standartenfuhrer, był wicemistrzem Berlina w strzelaniu.

- A - machnął ręką Stirlitz - kto o tym pamięta? I taki z niego wicemistrz w strzelaniu, jak ze mnie w tenisa. Ale i tak w papierach za chwilę będzie miał same pudła ze strzelania.

- Dobrze - powiedział po raz wtóry w ciągu minuty Schellenberg. - Takiej wersji się trzymamy. - Włożył do kabury parabellum i zrobiwszy dwa kroki, uścisnął von Stirlitzowi dłoń. - Nigdy go nie lubiłem, Max - powiedział.

Max Otto von Stirlitz uścisnął mu dłoń. Odsunął się, uniósł rękę w pozdrowieniu i wyszedł, wpuszczając jednocześnie do gabinetu sekretarza.

Idąc korytarzem, zaciskał usta, żeby nie pojawił się na nich triumfujący uśmiech.

Nareszcie pozbył się Mullera i na dodatek spętał tajemnicą samego brigadefuhrera Waltera Schellenberga!

W gabinecie nalał sobie kieliszek kirchwasser, zapalił trzymanego na wielką okazję papierosa, ulubionej przez Stalina marki Hercegowina Flor. Usiadł w fotelu.

„Jakże dalekowzroczny jest ojciec narodu Josif Wissarionowicz Stalin! - pomyślał. Pamiętam przecież, stałem sobie pod ścianą, przed chwilą wyjęty z kadawera, w którym uformowało się moje ciało i umysł, kiedy wszedł profesor Mironow, ktoś jeszcze i sam Stalin. Profesor długo i przystępnie tłumaczył Josifowi Wissarionowiczowi, kim jestem i do jakiego celu zostałem wyprodukowany, a on, z lewą ręką w kieszeni kitla, pykając oszczędnie fajeczkę, wysłuchiwał wykładu, pokiwał głową, poklepał profesora po ramieniu i zapytał:

- A co w razie wpadki? My zamierzamy narobić takich golemów i rzucić na front, a oni, jak posiadają tajemnicę, też mogą zamiast czołgów produkować golemy?

- Tak, towarzyszu Stalin, dlatego zabezpieczyliśmy się. Gdyby wpadł, wystarczy że wypowie na głos dwa słowa. Albo usłyszysz je wypowiedziane, no bo, na przykład, wiemy, że wpadnie, wysyłamy agenta, ten dociera do niego i wypowiada jego dwa tajne imiona, a on się rozpada z hukiem. Na dodatek jeszcze wysadzając w powietrze otoczenie. Zaprogramowaliśmy w nim dwuczłonowe hasło, taki kod wybuchowy, towarzyszu Stalin. A zapewniam, że nie wyleci w powietrze tak zwane naj-bliż-sze otoczenie, o nie! Jak już huknie, to całe mias...

- Aha - przerwał mu myślący już o czymś innym Stalin. - Jakie to imiona? Można je teraz wypowiedzieć, czy może - roześmiał się cicho, serdecznie

- my też eksplodujemy?

- Ależ towarzyszu pierwszy sekretarzu generalissimusi!? - obruszył się Mironow. - On jeszcze jest zabezpieczony. Dopiero za godzinę, słysząc „Max Otto”, eksploduje.

- Aha, Max Otto... Cóż, sprytnie - pokiwał głową Josif Wisarionowicz.

- Ale... Wiecie, towarzyszu profesorze... My, starzy członkowie partii, żartujemy czasem sobie, że *Boh trojcu lubit*. Nie wydaje się wam...

- Ależ tak, towarzyszu pierwszy sekretarzu! - zawołał podniecony profesor.

- Oczywiście, że macie rację. Samo Max Otto to za mało, może się zdarzyć przypadkiem, że spotka kogoś o takich imionach! I wtedy - bum! - kompletnie niepotrzebnie, tak! Ale możemy dodać mu trzecie imię i wtedy prawdopodobieństwo przypadkowego spotkania takiego zestawu będzie nierzwykle małe!

- Właśnie, właśnie! - pokiwał fajeczką Stalin. - A jakież trzecie imię przewidujecie dla naszego radzieckiego czerwonego golema?

- Iwan! - wypalił profesor Mironow, ale widząc, że Stalinowi usta drgnęły dodał szybko: - Tak by się chciało - Iwan! Ale przecież to rzadkie u Niemiaszków imię i mogłoby wywoływać niepotrzebne skojarzenia. Proponuję jednak inne: Joseph - dokończył szeptem.

Stalin pokiwał w zadumie głową.

- N-no-o-o... To mi się podoba. Działajcie!

Poklepał profesora Mironowa po ramieniu, podszedł do mnie i uszczypnął w policzek.

- Wy też działajcie, towarzyszu golem. Macie piękne imię... imiona... i wielkie zadanie do wykonania.

I wyszedł.

„I jak on wspaniale wszystko przewidział! ”.

Stirlitz zszedł do piwnicy i nadał meldunek do Centrali.

Chwilę potem odebrał zaszyfrowaną odpowiedź, w której gratulowano mu rozwagi, odwagi i pomysłowości. Przypomniano w niej również, z czym Stirlitz zgadzał się bez zastrzeżeń, że gdyby nie genialny umysł i przenikliwość Josifa Wissarionowicza Stalina, nie byłoby już agenta w wierchuszce III Rzeszy.

Radiogram kończył się informacją, że Maksym Maksymowicz Isajew otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

„Ural” - szepnął w myślach Stirlitz.

„Macie się, Maksymie Maksymowiczu, pilnować, nie narażać, oszczędzać - czytał końcowe słowa radiogramu. - Rząd i partia ma dla was wiele zadań. A najważniejsze, żebyście dotrzymali do końca wojny, już niedługo, ale zaraz po niej, a może nawet kilka dni przed podpisaniem kapitulacji, będziemy mieli dla was robótkę w Japonii. Wy i jeszcze jeden agent udacie się na Archipelag Japoński, żeby przeszkodzić Amerykanom w zaszczepieniu tam ichniego stylu życia i ichniej prześmiardłej ideologii i tak zwanej demokracji. Jeszcze nie wiemy dokładnie, kiedy to będzie, nie wiem, gdzie zaczniecie działać, ale bierzemy pod rozwagę jakieś dwa duże miasta, może Kobe i Tokio, a może Nagasaki i Hiroszimę... Ale to dopiero przyszłość pokaże. Na razie - gratulujemy. Całujemy. Powodzenia. Centrala”.

„Japonia - pomyślał Stirlitz. - Czemu nie? To może być ciekawe doświadczenie... ”.

Tomasz Przewoźnik

GEJSZA

Karety zaprzężone w czarne konie pędziły poprzez pokrytą gęstym lasem dolinę Guanshiin. Jonasz wychylił głowę przez okno i obserwował, jak wyskakujące spod kół kamyki znikają w gęstej trawie obok drogi. Właśnie mijali niewielkie domy, zagrody i warsztaty. Wydawało się, jakby ponad sto lat temu z niewiadomych przyczyn czas przeoczył ten kawałek świata - ludzie mieli na sobie tradycyjne ubrania, a na polach pasły się zwierzęta.

Na szczycie jednego ze wzgórz pasażerowie wypatrzyli cel podróży - otoczone potężnym murem zabudowania największego domu gejsz, okiia „Kryształowy Lotos”. Pomiędzy budynkami wiły się kamienne schody i ścieżki, a wewnętrzny ogród wabił kolorami kwiatów i drzew. Nawet wysokiej jakości holograficzne symulacje nie odzwierciedlały piękna tego miejsca, ale rodziców Jonasza to nie interesowało, siedzieli wpatrzeni w ciemną podłogę, zastanawiając się, co u córki - Alicji. Zachorowała kilka miesięcy temu i nie potrafili jej pomóc, ale mieli nadzieję, że wszystko odmieni się dzięki tej podróży.

Zatrzymali się niedaleko ciemnych wrót. Jonasz wyszedł i spojrzął na rówieśników wyjmujących swoje bagaże z sąsiednich pojazdów, ale jego wzrok przyciągnęła w końcu wielka budowla, której po chwili przyglądał się z rozdziawionymi ustami. Domyślał się, że najbliższy czas spędzi za jej murami, lecz nie wiedział, jak długo. To wiedzieli wychodzący z karety rodzice. Sam zdecydował, żeby przyjechać do okiia, ale

gdzieś głęboko czaiła się nadzieja, że może nie pozwolą mu tu zostać. Teraz jednak stanęli za jego plecami. Pomyślał, że z tego miejsca łatwiej będzie im go wypchnąć. Zaraz potem odsunął natrętne myśli i rozejrzał się dookoła. Wokół karet krzątali się podróżni - kilkanaście osób, najczęściej opiekunowie z dziećmi - chłopcami.

Dróżka, na której stali, przechodziła pod wrotami torii - dwoma słupami udekorowanymi runami i kaligrafią, zwieńczonymi parą poprzecznych belek. Miały na nich przesiadywać ptaki zanoszące bogom ludzkie prośby. Portal ten podobno oddzielał świat skończony od świata nieskończonego. Goście nie wiedzieli, że na drewnianych belkach napisano między innymi słowa jednego ze starożytnych mistrzów, brzmiące jak przepowiednia, a nawet przekleństwo: „Moment spotkania jest zawsze początkiem rozstania”.

Podróżni usłyszeli dochodzący zza bramy dźwięk bębna, grający nierówno i chaotycznie - przyśpieszał niczym stado spłoszonych antylop, po czym zwalniał. Instrument przestał grać, a wrota uchyliły się - zobaczyli stopę odzianą w damski bucik, a zaraz później ukradkiem wyjrzała głowa. Młodzi chłopcy rozplakali się na widok śnieżnobiałej twarzy, ust w kolorze krwi i kruczoczarnych włosów zaczesanych gładko przy skórze. Niektóre dzieci schowały się za rodzicami, zerkając lękliwie.

Jonasz bał się, choć wiedział, że dziwny człowiek to błazen - taikomochi. Wszedł zza wrót i znowu zaczął grać na bębnie, pokracznie skradał się w stronę przyjezdnych i uśmiechał, szczerząc zęby, lub wywalał zielony jęczor. Na ten widok nawet rodzice stali się niespokojni. Jonasz nie płakał - stał naburmuszony i zaciskał pięści. Błazen walił w instrument i płasł pomiędzy gośćmi, zatrzymując się na chwilę przed

każdym chłopcem; patrzył dzikim wzrokiem głęboko w oczy, po czym tańczył dalej. Coraz więcej szlochów rozbrzmiewało przed wejściem, niczym podczas ceremonii pogrzebowej.

Taikomochi tańczył ciężko przed Jonaszem. Nagle zamarł w połowie kroku, z jedną nogą w powietrzu, niczym demon chcący rozdeptać świat. Wszyscy bezwiednie wstrzymali oddechy. Jonasz opuścił głowę i spoglądał niespokojnie na błazna.

- Aaaargh! - wrzasnął taikomochi, stąpając mocno i walać w bęben jednocześnie. Chłopak wzdrygnął się i zrobił krok do tyłu, ale nie zapłakał.

Błazen wrócił za bramę i kobiecym ruchem nadgarstka kiwnął na gości. Kilkanaście osób przekroczyło wrota oddzielające światy.

Poprzez tunel w murze weszli do olbrzymiego ogrodu, zauważając rozsiane wśród drzew budynki. Niektóre stykały się ścianami, miały wspólne dachy i wyglądały jak przytuleni do siebie kochankowie ukryci pod parasolem. Inne, połączone zabudowanymi przejściami i korytarzami, przypominały rodziców trzymających dzieci za ręce. Kilka stało całkowicie samotnie. Płynące w wielu miejscach strumyczki tworzyły wodospady i wpadały do niewielkich stawów, w których leniwie pływały kaczki.

Pod murem po prawej stronie duża łacha piachu otaczała granitowy głaz. Wokół niego krzątał się starzec ubrany w szary fartuch. Mając półprzymknięte powieki, bambusowym narzędziem grabił zwinnie piasek w koncentryczne koła rozchodzące się wokół skały niczym kręgi na wodzie.

Nagle, niszcząc misterne fale, w środek wszedł taikomochi i wlaź na kamień. Staruszek zastygł, po czym zaśmiał się

donośnie. Wręczył błaznowi grabie i podszedł do przybyszów, mówiąc:

- Witam was w Kryształowym Lotosie. Nazywam się Mark Hallber. - Pokłonił się. - Pełnię funkcję opata naszego okiia. Mam nadzieję, że podróż przebiegła spokojnie.

Po kolei uściskał dłonie każdej z osób, uśmiechając się ciepło. Powtarzał każde usłyszane nazwisko, patrzył przy tym uważnie, jakby chciał imiona skojarzyć ze szczegółami twarzy.

- Jonasz Hosala - powiedział chłopiec, gdy przyszła jego kolej. Dłoń opata była ciepła i twarda.

- Jonasz Hosala - powtórzył Mark i spojrzał chłopcu w oczy. - Witaj.

Po chwili, wskazując budynek stojący niedaleko, zwrócił się do przybyszów:

- Zapraszam do domu dla gości. Dostaną państwo pokoje i będę was wzywać po kolei.

Opuścili chichoczącego błazna rysującego niezgrabne wzory na piasku i udali się za Markiem. Weszli do niewielkiego holu.

- Odpowiem na wszelkie pytania, które mogły nasunąć się państwu po przeczytaniu materiałów wysłanych do was wcześniej. - Opat wskazał korytarz z rzędem drzwi. - Zaczniemy alfabetycznie. Państwo Anopulos - powiedział, wypatrując Greków. Uśmiechnął się do nich. - Spotkam się z państwem za godzinę.

Mark poczekał, aż wszyscy goście podejną do kolejnych drzwi, po czym wyszedł z budynku.

Rodzina Hosalów stanęła przed ekranem dotykowym, który po chwili wszedł w tryb gotowości, zarejestrowali na nim odciski swoich dłoni i dopisali imiona - Kornelia, Adam, Jonasz. Zamek w futrynie szczęknął i drzwi uchyliły się. Wnie-

śli bagaże. Komputer, wyczuwając zdenerwowanie przyby-
szów, zmienił kolor ścian na jasnozielony i kazał automatom
rozpylić uspokajające zioła, w sam raz na skołatane nerwy ro-
dziców. Chłopiec spojrział na zegarek; cyferblat zajarzył się na
zielono, gdy czujnik nie wykrył w powietrzu żad-
nych nielegalnych substancji, które mogłyby mieć wpływ na
psychikę osób stojących przed ważnym wyborem.

Jonasz, ociągając się, położył plecak na stoliku i usiadł na
łóżku.

- Jestem głodny - powiedział.

Mama szybko przygotowała posiłek z automatu w kuchni.
Chłopiec widział, że co innego zaprzętało jej głowę - podała
jedzenie, trzęsącymi się dłońmi wybrała numer na wewnętr-
znym panelu obok drzwi i zaczęła rozmawiać.

- Halo. Doktor Jaśniewski? - zapytała nerwowo. - Korne-
lia Hosala. Dobrze, poczekam.

Tata spoglądał przez okno, udając, że bardziej interesuje
go widok za szybą niż rozmowa żony. Na dziedzińcu okiwa
krzątali się mężczyźni w różnym wieku. Nie widział nawet
jednej kobiety. W stronę ogrodu szedł błazen, którego płęć by-
ła dla ojca zagadką.

- Doktor Jaśniewski? Tu Kornelia. Co z Alicją?

Jonasz przestał jeść, zauważył, że tata wstrzymał oddech i
zacisnął pięści. Mama słuchała uważnie, co jakiś czas skinęła
głową.

- Aha - powiedziała. - Dobrze. Do widzenia. - Zamknęła
połączenie, po czym dodała: - Na razie stan się nie pogorszył.

Odetchnęli w duchu.

- Idę na zewnątrz - powiedział chłopak, gdy skończył
posiłek. Wychodząc, spojrział na smutnych rodziców. -
Uśmiechnijcie się, wszystko będzie dobrze.

Milczeli. Stali przygarbieni, jakby to, co mieli zamiar zrobić, było zbyt trudne do udźwignięcia. Unikali swojego wzroku. Gdy syn wyszedł, Kornelia przerwała ciszę:

- Czuję się... jak zdrajca. Jakbym przehandlowała jedno dziecko za drugie.

- Przecież wiesz, że to nie tak - powiedział Adam, odwracając się od okna. Podszedł do żony i delikatnie ścisnął jej ramię.

- Niby wiem - stwierdziła cicho, łapiąc Adama za rękę. - Ale mimo to nie jest mi łatwo.

- Mnie też nie, ale chyba nie mamy wyjścia. - Po chwili zrobił krok w tył i dodał zirytowany: - Zresztą, rozmawialiśmy już o tym tyle razy!

Kornelia wzdrygnęła się, więc przytulił ją. Usiedli na łóżku.

- Znowu zaczynam się bać - powiedziała, zerkając nerwowo na Adama.

- Ja też. Na podróż mogliśmy zamówić mocniejsze tabletki. - Wygrzebał z kieszeni pudełko pastylek, chwilę mocował się z wieczkiem, a gdy dało za wygraną, połknął wygrzebaną ze środka kolorową pigułkę i poczęstował żonę. - Nie wiem, czy tutaj znajdziemy coś na hikikomori.

Jonasz przyglądał się budynkom. Ich różnobarwne dachy wygięte były w tuk niczym pokrycia pagód, jakby miały złapać spadający z nieba gniewny deszcz i łagodnie ukołysać go przed posłaniem dalej. Wyobrażał sobie, jak to miejsce wygląda w czasie ulewy - strumienie wody zwalniamy, a potem przyspieszają, przelewając się z jednego daszku na drugi, dezorientowane i zagubione w labiryncie dachówek, niepewne momentu, w którym będą mogły wsiąknąć w ziemię lub zasilić pobliskie stawy i jeziora.

Kilku starszych od niego chłopców ubranych w szare, proste kombinezony ćwiczyło jogę wśród drzew pod okiem instruktora, który co jakiś czas ustawiał któregoś z nich w odpowiedniej pozycji i przytrzymał kilka sekund. Z innej części ogrodu doszły go bojowe okrzyki, zauważył kolejną grupę uprawiającą sztuki walki. Miał ochotę tam podejść, gdy za plecami usłyszał chrząknięcie. Odwrócił się i napotkał badawczy wzrok błazna trzymającego grabie.

- Nie wolno ci tam iść - powiedział taikomochi po chwili. -

- Nie wolno ci przekroczyć tej linii - dodał, pokazując krawędź chodnika prowadzącego do domu dla gości, po czym odwrócił się w stronę ćwiczących i dodał sucho:

- Nie jesteś jednym z nich.

Jonasz podążył za jego wzrokiem. Narastała w nim ochota, żeby zejść ze ścieżki i pójść w głąb pachnącego ogrodu, jednak wystraszył się ewentualnych konsekwencji, więc tylko zacisnął usta i bez słowa wrócił do pokoju.

Rodzice krzętałi się nerwowo, niczym przyłapani na gorącym uczynku.

- Ciekawie tu nawet - powiedział Jonasz. Spojrzał uważnie na rodziców, na twarzach których dopiero po chwili zagościły uśmiechy, jakby nie wierzyli jego słowom albo czekali, czy za chwilę nie zmieni zdania. W końcu stanęli prosto, jakby wygrali zapasy z zarzuconym na ramiona mokrym płaszczem.

- Synu... jest nam bardzo przykro, że to robimy, ale... - zaczął nerwowo ojciec.

- Tato, daj już spokój. - Nie wiedział, co powiedzieć. Czuł się dziwnie, pocieszając rodziców, więc dodał tylko: - Wszystko będzie dobrze.

- Tak, ale... - wtrąciła mama. - Nie tak wyobrażaliśmy sobie twoją przyszłość.

- Ważniejsze jest zdrowie Alicji.

Na ekranie nad drzwiami pojawiła się sylwetka Opata. Dotknął klamki, zaraz po tym zahuczał dzwonek.

- Państwo Hosala - z głośnika dobiegł głos Marka. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Adam wpuścił gościa do środka.

- Nie przeszkadza opat - powiedział.

- W taki razie zapraszam ze mną.

Udali się za starcem. Na korytarzu minęli młodego Greka. Spojrzał nieufnie zaszklonymi od łez oczyma, speszył się i wybiegł na podwórze. Kornelia odprowadziła go wzrokiem, po czym złapała męża i syna za ręce.

Weszli do dobrze oświetlonej niewielkiej sali. Na blacie okrągłego stołu otoczonego trzema krzesłami leżały się jakieś papiery.

- Siadajcie - powiedział Mark, wskazując rodzicom miejsca. - Jonasz - dodał, łapiąc chłopca delikatnie za ramię. Odwrócił go w stronę drugich drzwi znajdujących się w pomieszczeniu. - Idz tam. My z rodzicami mamy kilka ważnych, ale nudnych spraw do załatwienia.

Poszedł. Matkę ścisnęło w gardle, gdy zobaczyła kruchą sylwetkę syna znikającą za drzwiami.

- Państwo Hosala - zaczął opat, przeglądając papiery na biurku. Spojrzał na kobietę zerkającą w stronę drzwi. - Jak zapewne wiecie, wiele osób chciałoby być dzisiaj na waszym miejscu. - Uśmiechnął się do Kornelii. - Ale to właśnie wy tu jesteście. Wiem też, że jesteście w trochę innej sytuacji. Nie planowaliście posłać syna do szkoły dla gejsz, ale okoliczności was do tego niejako przymusiły. Tak czy inaczej, uważam, że robicie chłopcu przysługę, nawet jeśli teraz widzicie to trochę inaczej.

Milczeli, więc położył przed nimi papiery.

- Nasza rozmowa jest rejestrowana i zostanie do państwa wysłana pocztą elektroniczną... - Mark zaczął mechanicznie wypowiadać zwyczajową formułkę stosowaną przy zawieraniu umów -... z podpisem potwierdzającym autentyczność i brak ingerencji w treść z naszej strony. Dokument jest identyczny z tym, który dostali państwo pocztą od władz Okyia „Diamentowy Lotos”.

Kornelia wzdrygnęła się trochę na dźwięk bezdusznego głosu opata, chociaż wiedziała, że wypowiadał on te słowa setki razy i szybko chciał przejść do sedna.

Odpłynęła myślami. Widziała smutnego Jonasza, który kilka tygodni wcześniej w domu sam zaproponował, że pójdzie do okyia, jeśli ma to uratować Alicję. Pamiętała, jak zaczęła na niego krzyczeć: „Wybij to sobie z głowy! ”. Po chwili przytuliła go, nie umiejąc powstrzymać łez, powtarzała tylko: „Ojciec coś wymyśli. Nie martw się, nigdzie nie pójdziesz...”.

- Kornelia! - Adam szarpnął ją za rękaw.

- Pani Hosala, czy wszystko jasne? - zapytał Mark.

- Tak... oczywiście.

- W takim razie przejdźmy do czytania umowy. Mark Hallber, opat Okyia „Diamentowy Lotos”, wyspa Ueda...

Jonasz rozejrzał się niepewnie po pomieszczeniu i usiadł na krawędzi kolorowej sofy. Włączył wyświetlacz i zaczął oglądać bajki, jednak szybko go to znudziło. Przez chwilę przełączał kanały, w końcu odłożył pilota.

- My, niżej podpisani - opat czytał powoli. Kornelia wytarła nos. - Zrzekamy się wszelkich praw rodzicielskich do naszego syna Jonasza Hosali na rzecz Okyia „Diamentowy Lotos”...

Uwagę chłopaka przykuły porozrzucane w pokoju zabawki. Podszedł do najbliższej i wziął ją do ręki. Nigdy takich nie widział - solidnie wykonane drewniane układanki, gry, których działania nie potrafił rozszyfrować, kostki. Zaczął się bawić, a gdy któraś okazała się zbyt trudna, przechodził do następnej.

- Oświadczamy, że nie będziemy próbować nawiązywać kontaktu z synem w sposób inny, niż określony w procedurze kontaktowej znajdującej się w załączniku 2b...

W stercie puzzli znalazł kilka zestawów koralików na długich sznureczkach. Splątały się, więc zaczął je rozsypywać, zagryzając przy tym dolną wargę. Gdy przesuwiał paciorki kciukiem, pomyślał, że skądś je zna. Nagle, na granicy świadomości, zobaczył obraz - zaśnieżone, potężne górskie szczyty, a nad nimi krystaliczne czyste niebo. Położył dziwny przedmiot na sofie.

- ... Okiya „Diamentowy Lotos” nie ma obowiązku odpowiadać na prośby

o jakiegokolwiek informacji dotyczące Jonasza Hosali...

W kącie zauważył stertę podłużnych przedmiotów. Wyglądały jak ludzkie kości, o których uczył się na lekcjach. Przepiłowało je na pół, a w miejscu przecięcia nałożono rzeźbiony, metalowy, szeroki pierścień. „Dziwne” - pomyślał, podnosząc ostrożnie piszczel. Była gładka w dotyku i przewiercona na wylot niczym luneta. Wziął drugą i zaczął udawać, że gra makabrycznymi pałkami na bębnie, jednak jego uwagę zwróciła kolejna kość, a gdy jej dotknął, poczuł zapach dymu z ogniska i chłód na gołej skórze. Zaniósł piszczel na sofę.

- ... Okiya „Diamentowy Lotos” zobowiązuje się poinformować Adama

i Kornelię Hosalów o fakcie opuszczenia przez Jonasza Hosalę murów okiia, gdy to nastąpi...

Coś kazało mu spojrzeć za tapczan. Leżały za nim dziwne bębunki, przypominające dwie miski zetknięte denkami, które na przeciwległe, otwarte strony założone miały membrany. Całość osadzono na krótkim kij. Z miejsca styku wystawały dwa kawałki sznurka, na których wisały twarde, szmaciane kulki. Pokręcił, trzymając za trzonek, a kulki rozpedziły się i uderzyły w błony, wydając donośny dźwięk. Im szybciej to robił, tym szybciej i głośniej grał. Bębunków było kilka, różnej wielkości. Oglądał wszystkie. Gdy podniósł ostatni, poczuł duży, intensywny, słodkawy zapach. Odłożył instrument na sofę.

- Dobrnęliśmy do końca - powiedział opat, przewracając ostatnią stronę. Uśmiechnął się. - Wszystko zrozumiałe?

- Czy to naprawdę oznacza, że... - zaczęła Kornelia, ale jej głos załamał się.

- W skrócie oznacza to... - podjął spokojnie Mark - że przez najbliższych co najmniej dziesięć lat nie zobaczycie Jonasza. A być może już nigdy. W zamian okiia zobowiązuje się leczyć waszą córkę w jednej z naszych placówek aż do skutku.

- A co, jeśli okaże się, że Jonasz nie nadaje się na gejszę? - zapytała.

- Przeniesiemy go do jednej z wiosek nieopodal, w której będzie pracował dla dobra naszej społeczności. Zostaniecie państwo o tym poinformowani i będziecie się mogli z nim spotykać. Po uzyskaniu pełnoletności sam zadecyduje, co chce robić. Większość dzieci zostaje na wyspie i pracuje dla okiia, ale niektóre postanawiają wracać, szczególnie, jeśli mają do czego.

Rodzice zamilkli i spoglądali tępo w stół, więc Mark zapytał:

- Czy jest jeszcze jakaś kwestia, którą powinniśmy przedyskutować przed podpisaniem?

- Nie - powiedział ojciec, czując się, jakby sprzedawał własne dziecko na organy.

- Nie - powiedziała matka, czując się, jakby to jej wycinano serce.

- W takim razie proszę tu podpisać - rzekł Mark.

Adam nerwowo bawił się długopisem, po czym spojrzał na żonę, wzdychając. Podpisali się oboje.

- Dobrze - powiedział zadowolony opat. - Od teraz Okiya „Kryształowy Lotos” jest prawnym opiekunem Jonasza. Te egzemplarze są dla państwa. - Podał umowy. - Nie musicie opuszczać swojego pokoju dzisiaj. Jeśli chcecie, możecie przenocować z Jonaszem, tylko poinformujcie mnie o tym wcześniej.

Mark otworzył drzwi do pokoju z zabawkami i zwrócił się do chłopca:

- Chodź.

- Nie zostaję? - zapytał zdziwiony Jonasz.

- Zostajesz.

Opat położył mu rękę na ramieniu. Zamyślił się, patrząc na sofę, na której leżały znaleziska.

- Co to jest? - zapytał chłopak.

- Mała, to coś w rodzaju różańca - Mark wziął koraliki do ręki. Spojrzał na resztę rzeczy i dodał: - Kangling to taka trąbka, a damaru to specjalny bębenek rytualny.

- Mogę to zabrać? - zapytał chłopak.

- Możesz - powiedział, uśmiechając się. - Ale pilnuj tego jak oka w głowie.

Wrócili do pokoju. Mieli niewiele czasu, żeby się pożegnać, jednak żadne

z nich nie wiedziało, jak się do tego zabrać. Rodzice zażyli coś na uspokojenie, więc po chwili siedzieli otępiali.

- A ty nie chcesz? - zapytał Adam.

- Nie - odpowiedział Jonasz. - Czuję się dobrze.

Kornelia zaszłochała i przytuliła chłopca mocno.

- Synku, przepraszam cię! - powiedziała, łkając.

- Nie martw się mam, przecież nic złego się nie dzieje.

- Ale nie wiadomo, kiedy się znowu zobaczymy...

- Mam, nie będzie tak źle. Alicja wydobrzeje, to będziecie mogli spokojnie przyjechać mnie odwiedzić.

- Synu, musisz być dzielny - włączył się Adam.

- Ale ja jestem dzielny. A poza tym nie ma się co martwić, może nie nadaję się na gejszę, więc wrócę szybciej.

- Jonasz... - ojciec ukląkł przed chłopcem. Wytarł mokre oczy. - Przecież wiesz, że nawet jeśli się nie nadajesz, to trochę potrwa, zanim będziesz mógł wrócić. Będziesz tu musiał zostać aż do uzyskania pełnoletności.

Matka usiadła na łóżku i trzęsącymi dłońmi znowu wyjęła tabletki.

- No tak - powiedział chłopak, opuszczając głowę. Po chwili spojrzał na tatę, uśmiechając się: - Ale nie martwcie się, Alicja będzie zdrowa, a mi nic złego się tutaj nie stanie. - Podszedł do Kornelii. - Zagrajmy w coś albo pooglądajmy filmy. - Nie reagowała, więc złapał ją za rękę. Mam, jestem głodny, zrób coś do jedzenia. - Uśmiechnęła się, gładząc chłopca po twarzy. Wytarła łzy i poszła do kuchni.

Zamówili komedię, której jeszcze nie widzieli i położyli się na łóżku. Jonasz wcisnął się między rodziców. Uśmiechał się co jakiś czas, ale przez większą część filmu miał zamyśloną twarz. Kornelia, za każdym razem, gdy patrzyła na syna, w

klatce piersiowej czuła ból, który promieniował do gardła, jakby chciał się przebić na zewnątrz i przemienić w krzyk.

Po filmie znowu próbowali porozmawiać z chłopcem, ale ten zbył ich po raz kolejny, więc oglądali dalej, aż w końcu zasnęli, tuląc się do siebie.

Rodzice wstali wcześniej, zażyli pigułki, po czym obudzili Jonasza. Na wyświetlaczu widniała wiadomość: „Wyjazd o godz. 9. 30 po rytuale PETH. Wcześniej przyjmij induktor”. W milczeniu spakowali swoje rzeczy. Zostawili dodatkowe ubrania, trochę pieniędzy i zdjęcie rodziny zrobione dawno temu podczas wspólnego wyjazdu na zalany Półwysep Helski, gdy rodzice byli jeszcze zdrowi.

Konie prychały niecierpliwie. Tym razem karoce skierowano w przeciwnym kierunku. Kornelia przypomniała sobie stare powiedzenie: Kiedy dochodzimy do końca ścieżki, wystarczy odwrócić się, żeby znaleźć się na jej początku. „Tylko dlatego czasami musimy odwrócić się plecami do tych, z którymi przeszliśmy całą drogę?” - pomyślała. Uklękła i przytuliła chłopca, rozmazując mu na policzkach swoje łzy.

Pogrzebowe szluchy po raz kolejny unosiły się przed wrotami torii, będącymi świadkiem wielu takich rozstań. Mark czekał cierpliwie. Stał wśród dzieci i uśmiechał się, próbując im dodać otuchy.

Usłyszeli bęben. Do zegnających się wyszedł błazen. Za nim w korowodzie pojawili się mnisi w szarych szatach. Grali smutną melodię na trąbkach, fletach i innych instrumentach. Niektórzy dorośli płakali wraz z pociechami. Taikomochi ustawił wszystkich w okręgu twarzami do środka tak, aby rodzice i dzieci znajdowali się naprzeciwko siebie. Obszedł wszystkich dookoła, oplatając ich sznurem na wysokości pasa. W ten sposób powstała pajęczyna zbiegająca się w środku.

Wziął długą pochodnię i zapalił ją. Mnisi przestali grać, zaczęli mantrować niskimi, gardłowymi głosami. Jeden z nich okadził wszystkich dymem. Modlitwy stawały się coraz głośniejsze i szybsze. Induktor, słaby halucynogeny enteogen zażyty przez uczestników, zaczął działać, bo niektórzy zauważyli, że sieć jarzy się na czerwono. Inni widzieli, jak rozpada się, gnije lub rdzewieje. Dołączyli do mantrowania, które znowu przyspieszyło. Większość przerażonych dzieci płakała. Błazen nie pozwalał nikomu zmienić miejsca. Adam zobaczył mantry głośno wirujące w powietrzu przed nim niezrozumiałą masą słów. Wtem wszyscy krzyknęli:

- PETH!

Podpalony środek pajęczyny zajaśniał mocnym płomieniem. Liny spadły na ziemię, a dźwięki ustały. Niektórzy uczestnicy poczuli, jakby ktoś wyrwał im kawałki duszy, a otwór, który pozostał, zalał dojmujący smutek. Kornelia zobaczyła, jak kawałki sznura zamieniły się w czarne ptaszyska, zakrakały smutno i wzbiły się w niebo. Błazen wrócił za mury. Ludzie po chwili znowu zbili się w rodzinne grupki.

- No to cześć - powiedział Jonasz do rodziców. Ucałowali go. Uśmiechnął się samymi ustami.

- Cześć i pamiętaj, że zawsze będziemy cię kochać - powiedział Adam, patrząc na rozmyte kontury chłopca.

- Pa, syneczku. - Kornelia pogładziła włosy Jonasza, które zamieniły się w ostre igiełki, jakby głaskała jeża. - Odezwiemy się po powrocie.

Byli opiekunowie weszli do karet. Resory zagrały cicho. Pojazdy pochyliły się w jedną stronę, gdy cisnęli się do niewielkich okien, machając dzieciom. Konie szarpnęły i karoce odjechały w kierunku przystani. Jonasz wrócił na dziedziniec

swojego nowego domu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy rodziców.

Za bramą czekał taikomochi. Kolorowe nitki kimona odbijały promienie światła. Chłopiec stanął niedaleko i patrzył na ogród. Błazen podszedł do niego, spojrzął uważnie w oczy, po czym zapytał gniewnie:

- Dlaczego nie płaczesz?

Jonasz spojrzął zdziwiony, milczał.

Taikomochi stanął za plecami chłopca i pchnął go gwałtownie na trawnik, na który jeszcze wczoraj zabronił wchodzić. - Kto wie, może zostaniesz w końcu jednym z nich - powiedział obojętnie i wskazał chłopców w głębi. Ćwiczyli, ale co jakiś czas spoglądali z zaciekawieniem.

Jonasz poszedł w ich kierunku, ale przed niewielkim mostkiem błazen zagroził mu drogę, mówiąc:

- Stój! Powiedziałem „może”. Przed wami jeszcze jedno wyzwanie. Dopóki go nie przejdziecie, nie będziecie mogli przekroczyć tego strumienia. - Wskazał niewielki potok, przecinający plac w poprzek.

Stali na szerokim pasie trawnika pomiędzy szemrzącą wodą a chodnikiem. Jonasz spojrzął na spory budynek stojący po przeciwnej stronie domu gościnnego. Płaski dach i jasnoszare ściany kontrastowały z kolorowym i kunsztownym otoczeniem.

- Czyściec - powiedział błazen. - Wynoś się tam. To twoje nowe mieszkanie.

- A moje rzeczy? - zapytał chłopiec i odwrócił się w stronę domu dla gości.

- Przez najbliższych kilka miesięcy... - odrzekł, patrząc chłopcu prosto w oczy - nie będą ci potrzebne. - Jonasz udał

się do Czyścica, zerkając lękliwie na błazna, który po chwili zniknął w jednym z budynków.

Godzinę później Mark wrócił do swojego biura. Dawid, asystent opata, czekał na niego, stojąc obok biurka, znudzony kołysał swoim patykowatym ciałem i przeglądał jakieś papiery. Taikomochi siedział w fotelu modlitewnym, ustawił go na najwygodniejszą pozycję i patrzył na ekran wiszącego na ścianie wyświetlacza-widzieli pokój z zabawkami i grzebiącego wśród nich Jonasza. Dawid przesunął materiał do momentu, w którym chłopiec wszedł do środka. Puścił, podzielił ekran na dwie części - na lewej stronie był obraz z kamer, na prawej z czujników ukrytych w pokoju. Patrzyli, jak Jonasz wygrzebuje ze stert zabawek małą. W tym momencie obraz zwolnił. Mierniki po prawej stronie wskazywały na wzrost aktywności pewnych nieczynnych wcześniej obszarów mózgu. Po chwili podskoczyło ciśnienie i tętno, przyspieszył oddech. Na zbliżeniu zobaczyli, jak źrenice chłopca rozszerzają się. Podobne reakcje pojawiały się, gdy znalazł pozostałe przedmioty, które później odłożył na sofę. Mark zrobił na nią zbliżenie.

- Należały do Drukpy Kunleya? - zapytał asystent, przeczesując palcami rzadkie włosy.

- Przecież wiesz, że tak - odpowiedział opat.

- Niesamowite. Cóż może chcieć Święty Szaleniec, że znowu postanowił się inkarnować? - zastanawiał się na głos, patrząc zafascynowany. - Ale chyba potrzebne są dodatkowe testy, żeby nie było jak z tym lamą, co to ponoć reinkarnował się w trzech ciałach w tym samym czasie, zależnie od tego, która szkoła chciała go sobie przywłaszczyć.

- Widziałeś wyniki testów adolescencyjnych i psychometrię Jonasza? Tę ze szkoły? - pytał Mark.

- Tak - odpowiedział Dawid. - Widać, że do niczego innego się nie nadaje, tylko do bycia gejszą. Empatia i poczucie odpowiedzialności rozwinięte do granic absurdu.

- I bardzo maty stopień egocentryzmu, co może stać się problemem - zmartwił się opat. - Cały czas powtarza, że robi to dla dobra siostry. Chyba mocno okopał się na tym stanowisku. Jeszcze ani razu nie zapłakał. - Po chwili dodał zadowolony: - Ale najważniejsze, że się udało. Zostaliśmy prawnymi opiekunami.

- A jak reszta narybku? Łowy udane?

- Całkiem niezłe - odrzekł Mark. Wyłączył ekran. - A teraz zmykajcie. Muszę popracować. Chłopcy są w purgatorium.

- Nie kłam! - nagle włączył się taikomochi, moszcząc się wygodniej w fotelu i zerkając z ukosa. - Jak zwykle pójdziesz spać, a zasłaniasz się pracą.

Mark sięgnął za biurko i wyjął bambusowy kij, którym na zajęciach zwykł uderzać przysypiających uczniów. Zamachnął się na błązna, którego zgubił ustawiony wysoko podnózek. Zanim wygramolił się z fotela, otrzymał kilka niezbyt silnych ciosów. Taikomochi wybiegł z pokoju, chichocząc i pocierając obolałe ramie. Dawid pożegnał się i wyszedł. Opat zamknął za nim drzwi i zaczął przeglądać akta.

Po wyjeździe rodziców chłopców ulokowano w małych, jasnoszarych pomieszczeniach Czyścica. Jonasz wziął prysznic i przebrał się w to, co znalazł w jedynej szafie w pokoju - lekkie buty i luźny, jednoczęściowy kombinezon. Położył się na łóżku i poprzez całkowicie przeszklony sufit spoglądał na jasne chmury sunące leniwe na niebie. Jedna z szyb pociemniała, a po chwili pojawił się na niej napis - „Zejdź do jadalni”. Poszedł.

Na dole czekało już kilka osób. Mark siedział na krześle i dyskutował o czymś z błaznem. Gdy byli już w komplecie, opat uśmiechnął się, wstał i powiedział:

- Witam was w Czyścucu Okiya „Kryształowy Lotos”. Gratuluję. Wielu chciałoby być na waszym miejscu, ale to właśnie was wybraliśmy i kto wie, być może to właśnie wy zostaniecie w przyszłości gejszami.

Kilku chłopców spojrzęło na siebie, robiąc zdziwione miny.

- Powiedziałem „być może”, bo gejszami jeszcze nie jesteście. To miejsce nazywa się Czyścucem. Tutaj udowodnicie, że nadajecie się do tego, aby stać się tym, kim chcecie. Lub nie udowodnicie. Wtedy będziecie pracować w jednej ze wsi, które mijaliście po drodze, aż do osiągnięcia pełnoletności. W tym momencie jesteście duszami czyścucowymi, zawieszonymi między światami. Umarliście i jeszcze się nie narodziliście, nie macie płci.

- I łatwo was pomylić z dziewczynkami - złośliwie dopowiedział błazen.

- Nie przeszliście przez most i jeszcze nie możecie przez niego przejść. Jesteście w stanie bardo...

- Nie ma możliwości, abyście wrócili do domu! - wtrącił taikomochi, wstając gwałtownie z krzesła i opierając ręce na biodrach. Chłopcy wzdrygnęli się.

- Im szybciej się z tym pogodzicie, tym lepiej - kontynuował Mark, jakby wyskok błazna nie zrobił na nim żadnego wrażenia. - Nie jesteście gejszami. Przed wami zadanie do wykonania. Od jego wyniku zależy, czy pójdziecie dalej.

- A nie wszystkim się to udaje - dodał taikomochi.

- Każdy z was zbuduje ołtarz. - Chłopcy spojrzeli po sobie, jakby nie byli pewni, czy dobrze usłyszeli. - Od was zależy,

jak będzie wyglądał, z jakiego materiału, dla kogo i co na nim umieścicie. Możecie skorzystać z pism i reprodukcji znajdujących się w czyścicowej bibliotece, a także z narzędzi, materiałów i warsztatu.

- Ile mamy czasu? - zapytał Grek, którego wczoraj Hosalowie mijali na korytarzu domu gościnnego. Wyprostował krępa sylwetkę, gdy zauważył, że koledzy spojrzeli na niego z uznaniem.

- Tyle, ile potrzebujecie.

Jonasz wrócił do pokoju. Pod jego nieobecność stare ubrania zniknęły. Wzruszył obojętnie ramionami, zdjął kombinezon i zwałił się do łóżka. Było późno. Spojrzał na gwiazdy - tego nieba nie znał, nie rozpoznawał konstelacji. Zastanawiał się nawet przez chwilę, czy to, co widzi, aby na pewno jest prawdziwe, a nie wyświetlone na ekranach. Chwilę później skarcił się w myślach. „Głupku! Po co mieliby robić coś takiego? ”. Odwrócił się na bok i próbował zgadnąć, co tam u Alicji. Miał nadzieję, że teraz wszystko jakoś się ułoży, ale coś nie dawało mu spokoju. W końcu zasnął.

Obudził się zmęczony i obolały, pomyślał, że czasami chyba lepiej się nie kłaść, bo nic dobrego z tego nie wychodzi. Zszedł do jadalni, masując szyję, z automatu pobrał śniadanie i usiadł przy stoliku w kącie. Przez chwilę obserwował wchodzących chłopców - zerkali nerwowo, a czasami uśmiechali się do jedzących. Do sali wszedł młody Grek, wypatrzył Jonasza i podszedł do niego.

- Cześć - powiedział, siadając po drugiej stronie stołu.

- Cześć - odrzekł Jonasz.

- Jestem Aleksander - powiedział, podając rękę. Miał mocny uścisk.

- Jonasz.

The Best t.01

- To ty się tak w nocy miotales? - zapytał z lekkim akcentem, uśmiechając się.

Jonasz zawstydził się i poczuł, jakby ktoś przyłożył mu na policzki gorące ręczniki.

- Chyba jesteśmy sąsiadami - dodał Aleksander.

- Tak - powiedział cicho. - Nie mogłem spać.

- Ja też miałem ciężko. - Grek spojrział na jedzenie, zastanawiając się, czym ich będą tutaj karmić. Oby nie Chlebem i wodą. Skosztował, po czym powiedział zadowolony: - Nie jest źle. A ty nie jesz?

- Nie jestem głodny.

- Kurczę, nie mogę uwierzyć, że jestem w okiia - mówił z pełnymi ustami.

- Czułem, że testy poszły mi nieźle, ale nie wierzyłem, że aż tak. I to w jednym z najlepszych okiia. - Oczy chłopca błyszczały.

- Mnie też w to ciężko uwierzyć. - Jonasz grzebał powoli widelcem w jedzeniu.

- Nie wyglądasz na zadowolonego - stwierdził Grek.

- Ja nie marzyłem, żeby się tu dostać. Jestem tu, bo dzięki temu moja siostra będzie zdrowa. Kryształowy Lotos zgodził się leczyć ją, jeśli przyjadę tutaj i zostanę gejszą.

Aleksander wrócił do posiłku, lecz po chwili dodał zamyślony:

- Życie jest ciekawe. Niektórzy zrobiliby wszystko, żeby mieć coś, co inni mają, ot tak. - Uśmiechnął się.

- Ja to chyba nawet do końca nie wiem, co robią gejsze - zastanawiał się głośno Jonasz.

- Sporo czytałem na ten temat - powiedział Grek. - Z tego co zrozumiałem i co powiedzieli mi rodzice, gejsza, to ktoś, kto posiadał wielką wiedzę o człowieku, dzięki czemu wie, jak

mu pomóc na wiele różnych sposobów. Zaczęło się ponoć od plagi hikikomori. Kiedyś podobno leczyli ich terapeuci, lekarze, księża, trenerzy i tak dalej, ale nie byli w tym dobrzy.

- No to wiesz mniej więcej to, co ja. - Zmusił się do zjedzenia kilku kęsów.

- Twoi rodzice też są chorzy? - zapytał Aleksander.

- No pewnie, bez podręcznej apteczki nie wychylą nosa z mieszkania. A twoi nie?

- Mama od dawna nie wychodzi z domu, całymi dniami rozmawia z innymi hikikomori przez sieć. Nawet nie potrafiła wyjść z mieszkania, żeby mnie tutaj odprowadzić - dodał ciszzej, uciekając wzrokiem gdzieś na bok. - Przyjechałem ze starszą kuzynką i ojcem. On się jeszcze tak bardzo nie boi, więc z nim nie jest tak źle, ale wcina masę leków. Nie musiałem jeszcze wynosić za nich śmieci, odbierać jedzenia i zajmować się domem, ale to już niedługo. To znaczy, gdybym nie dostał się tutaj... - Przez chwilę patrzył w talerz. - Nie wiem, kto się nimi teraz zajmie. Dobrze, że tata może pracować w domu, dzięki temu mają status rodziny produktywnej 1C.

Milczeli chwilę, po czym Jonasz zapytał:

- Jakie masz plany na dzisiaj?

- Pójdę do biblioteki, poczytam, zobaczę. Ciekawe zadanie z tym ołtarzem.

- Dziwne zadanie. Nie wiem, czego to ma dowieść.

Po posiłku poszli do czytelnicy. Pod ścianami pomieszczenia stały terminale do przeglądania e-książek oraz overnetu, ocenzurowanej wersji internetu, który bardzo dawno temu zapadł się pod ciężarem niekontrolowanego, automatycznie generowanego spamu. Na środku stały półki z papierowymi tekstami. Jonasz usiadł przy jednym ze stanowisk, zastanawiając się na zadaniem.

- Ołtarz - powiedział do mikrofonu.

Na ekranie pojawiły się odnośniki. Większość z oglądanych ołtarzy w rzeczywistości już nie istniała. Nie znał tej części historii swojego kraju, gdy istniał jeszcze kościół katolicki. Nabożeństw grupowych od dawna nie odprawiano, ludzie woleli ukrywać się w domach - tak było bezpieczniej. Znalazł zdjęcia i filmy z ołtarzem Wita Stwosza z Muzeum Kościoła Mariackiego. „Co za olbrzym. I my niby mamy coś takiego zrobić? Jakim cudem? ”. Zafascynowany przyglądał się misternie rzeźbionym szczegółom, zdobieniom i kolorom. „Przecież ten facet robił go ponad dziesięć lat. I to nie sam”. Kolejne odnośniki zawierały jeden z ostatnich filmów z wizerunkiem Czarnej Madonny z Częstochowy. Kobieta trzymała dziecko, zapewne Jezusa, patrzyła smutno, a jej twarz szpeciły blizny. Jonasz nie rozumiał, dlaczego mieli czarny kolor skóry. Z materiałów dowiedział się, że niedługo po nakręceniu materiału sanktuarium zostało zniszczone w ataku terrorystycznym, w którym użyto niewielkiego ładunku jądrowego. Wypożyczył jedną z książek na ten temat i wrócił do siebie.

Leżąc na łóżku, wyświetlił reprodukcję na szybie sufitowej. Zrobił zbliżenie szyi kobiety, na której zobaczył kolejne blizny. „Dlaczego oni są tacy nieszczęśliwi? ” - zastanawiał się. Nagle na ekranie, z boku obrazu pojawiła się postać Aleksandra. Stał pod drzwiami i naciskał dzwonek, po chwili zapytał, patrząc w kamerę:

- Idziesz na obiad?

Jonasz otworzył drzwi.

- Idę - powiedział, wychodząc z pokoju.

Ruszyli do pomieszczenia, z którego dochodziły smakowite zapachy. W skromnej, szarej jadalni siedziało już kilku chłopców.

- Jak tam ołtarz? - zapytał Grek, gdy stali przed automatem i czekali na jedzenie.

- Na razie przeglądam materiały.

- Jakie?

Wzięli tace i usiedli przy stoliku w kącie.

- Stare ołtarze z mojego kraju - odpowiedział, grzebiąc zaciekawiony widelcem w talerzu. - A ty?

- Szukam inspiracji. Ludzie wymyślili tyle religii, że jest co przeglądać.

- Aleksander...

- Aleks.

- Aleks - poprawił się, po czym zapytał ściszym głosem: - Myślisz, że pozwolą nam odebrać jakieś wiadomości od rodziców?

- Nie wiem. Fajnie by było.

Po obiedzie Jonasz wrócił do pokoju. Usiadł na łóżku i zaczął czytać o obrazie z Częstochowy. Historia wciągnęła go. Pomysł, że wizerunek został namalowany na deskach stołu, przy którym jadła rodzina Jezusa, wydawał się fascynujący, nawet jeśli nieprawdziwy.

Potańił zmęczone oczy i spojrzał na zegar. Zdziwił się, że jest już tak późno, więc po szybkim prysznicu położył się do łóżka. Przed snem wyświetlił Madonnę nad sobą. Utonął w jej smutnych oczach i zasnął.

Mark szedł wąskim korytarzem, oświetlonym przed nim, a ginącym w ciemnościach za plecami. Światło przesuwano się wraz z idącym. Przyłożył dłoń do czytnika obok drzwi. Skaner czytał linie papilarne i sprawdził zgodność DNA. Mężczyzna spojrzał do kamery nad drzwiami. Zamek szczęknął. Wszedł do ciemnego pomieszczenia zastawionego półkami, szafkami i sprzętem elektronicznym. Dobiegał go pomruk wentylatorów i

klimatyzacji. W rogu siedział Dawid z pracownikiem technicznym. Skinęli na powitanie.

Opat zerknął na ekrany - nowi chłopcy spali niespokojnie.

- Dawid, obudź Hypnosa - powiedział.

Asystent wstał i podszedł do czytnika obok masywnych drzwi, na których świeciła czerwona lampka.

- Mamy tu jakiegoś rodzyńka? - Spojrzał na Marka zdziwiony technik.

- Bardzo możliwe. Jonasz Hosala. Nagrywajcie.

- Dobra.

Dawid przyłożył dłoń i wbił kod, Opat zrobił to samo. Gdy wentylatory wyssały gaz z pomieszczenia z drzwiami, żarówka zajarzyła się na zielono. Technik wszedł do środka. Nie lubił tego robić, przestępując próg, nieświadomie starał się wyczuć, czy powietrze jest już bezpiecznie, choć dobrze wiedział, że gaz jest bezwonny. Hypnos, wyglądający jak wielki, czarny, lśniący, wypolerowany blok skały o idealnie gładkich ścianach, spokojnie czekał za kuloodpornymi szybami. Technik uruchomił układy superkomputera. Ustawił go w tryb rejestrowania snów.

Mark patrzył na ekrany czujników, więc widział dokładnie, w którym momencie zadziały odpowiednie moduły. Parametry chłopca zmieniły się na moment. Receptory wplecione w nitki piżamy, prześcieradło oraz łóżko zaczęły odczytywać wszelkie możliwe dane. Hypnos rozpędzał się - rozpoczął rejestrację snów.

Jonasz stoi w lekko zadymionej świątyni. Wszędzie unosi się słodkawy zapach kadzidła. Lampki maślane na ołtarzu oświetlają granatowy posąg kobiecego bóstwa. Chłopak zaczyna przyglądać się szczegółom. Rzeźba szczyrzy ostre kły, łypie groźnie, dzierżąc w rękach płonący miecz oraz naczynie

pełne krwi i świeżych serc. Jonasz czuje na sobie wzrok uwiecznionej w dzikim tańcu postaci o skórze barwy głębokiego oceanu. W chłopcu zaczyna narastać gniew. Kobieta obwieszona jest kośćmi, skórami ściągniętymi z ludzi i zwierząt. Skapuje z nich posoka. Młodzieniec coraz bardziej się wścieka. Pod stopami statui leżą trupy, na głowie ma koronę z ludzkich czaszek. Jonasz wpada w szał. Podpala ołtarz i święte księgi. Zrywa kolorowe obrazy ze ścian. Łamie sprzęty. Niekontrolowana nienawiść pulsuje w nim, wydaje się, że rozerwie mu mięśnie i żyły...

- Neeee! - obudził się z krzykiem.

Odczyty zwariowały. Mark zafascynowany patrzył na ekran, na którym znikwały niewyraźne obrazy snu nagrane przez Hypnosa.

- Kawał rodzyńka - powiedział technik, wybałuszając oczy. - Co to za demon na ołtarzu?

- To nie demon. To jedna z emanacji Buddy. Groźna forma. Służy do pracy z gniewem i transformowania go w mitość i współczucie.

Technik zrobił zbliżenie na twarz chłopca, po czym zapytał:

- Chłopak jest inkarnacją? Gratuluję. Tylko co on w sobie kisi, że ma takie koszmary?

- Też się martwię. - Mark zasmucił się na chwilę. - Dobra. Nagrywajcie dalej, zróbcie pełne mapowanie i archiwizujcie tam gdzie zawsze.

- Się robi.

- Dobranoc panowie - rzucił opat przez ramię, idąc w kierunku wyjścia.

- Dobranoc szefie.

Jonasz wiercił się przez resztę nocy, koszmarne obrazy siedziały pod powiekami. Rano, z podkrążonymi oczami, poszedł z Alekssem na śniadanie.

- Znowu się miotales - powiedział Grek. - Obudziłeś mnie.

- Przepraszam. Miałem straszny sen.

- Widać. Co ci się śniło?

- Nie wiem, nie pamiętam, ale chyba jakiś koszmar.

- Hmm.

Jedli w ciszy. Po chwili młody Aleks wyjął pokreślony blok papieru i zaczął coś na nim bazgrać.

- Co to?

- Ołtarz. - Uśmiechnął się. - Projekt.

- Ciekawy - powiedział Jonasz, wpatrując się w szczegóły rysunku.

Po śniadaniu udał się do pokoju. Martwiło go, że nie ma żadnego pomysłu na ołtarz, ale po chwili zabrał się do lektury. Doszedł do wniosku, że coś się w końcu pojawi.

W ciągu kolejnych dni ukrywał się przed innymi i czytał na temat obrazu. Poznał każdą jego rysę, każdą plamkę. Kole-dzy wzięli się do konstruowania ołtarzy, on nawet nie zaczął. Gdy spotykał Aleksa w jadalni, zamieniał z nim tylko kilka zdawkowych zdań, po czym wracał do siebie. Grek także nie czuł potrzeby widywania kolegi, budowa wciągnęła go znacznie bardziej, niż mógłby się tego spodziewać. Praca dawała spokój, zauważył to nie tylko u siebie, ale także u innych chłopaków. Gdy spotykał ich w korytarzach Czyścica, byli mniej zdenerwowani, a na twarzach malowało się skupienie. Tak jakby budowa ołtarza przebiegała na jakimś wewnętrznym poziomie. A może to tylko zwykłe skupienie na zadaniu? Nie

był pewien. Tydzień później, gdy mijał Jonasza na schodach, powiedział:

- Idę zobaczyć, jakie materiały są w składziku. Idziesz?
- Pewnie. Myślałem, że już budujesz.
- Bo tak było, ale nie spodobało mi się i zmieniłem koncepcję. Muszę zacząć wszystko od początku.
- No to chodźmy.

Udali się do warsztatu za Czyścem. Słońce świeciło mocno. Starsi chłopcy zza rzeczki spojrzeli na nich, uśmiechnęli się i wrócili do swoich zajęć.

W zagraconym pomieszczeniu Grek zaczął oglądać narzędzia i materiały. Oczy błyszczały mu z zadowolenia, gdy odkrywał kolejne kartony, tkaniny, farby i inne skarby. Jonasz stał nieruchomo.

- Aleks, mam pomysł - powiedział. Nie mógł odwrócić wzroku od dużej deski opartej o starą, odrapaną laserową piłę. W końcu zapytał z błyskiem w oku: - Co byś powiedział, gdybyśmy zrobili wspólnie jeden ołtarz?

- Hmm. Ale w jaki sposób?
- Ja zrobię obraz, a ty ołtarz, na którym on będzie stał - mówiąc, kreślił dłońmi w powietrzu niewidzialne kształty.
- Ciekawy pomysł. W sumie, to opat nie mówił, że nie możemy zrobić wspólnie. A masz już projekt?
- Mam. Widziałeś obraz Czarnej Madonny?
- Nie.
- Pokażę ci w pokoju.
- A gdzie go postawimy?
- Wszystko jedno.
- No to u ciebie. Może będziesz lepiej spał - powiedział Grek, uśmiechając się i szturchając kolegę w ramię. Zabrali deskę.

Gdy wracali do purgatorium, zza rogu wyskoczył błazen, zastawiając drogę Jonaszowi. Chłopak wzdrygnął się. Opuścił głowę i próbował go wyminąć. Wtedy taikomochi szepnął mu do ucha:

- Zdradzili cię.

Jonasz zatrzymał się. Podniósł wzrok i zapytał:

- Słucham?

- Pytam, gdzie byliście? - powiedział błazen głośno.

- W składziku - odrzekł Aleks.

Taikomochi, jakby nigdy nic, odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę ogrodu. Po chwili spojrzął za siebie. Jonasz mógłby przysiąc, że błazen uśmiechnął się złośliwie.

Poszli do pokoju. Jonasz milczał. Zastanawiał się, co tak naprawdę powiedział taikomochi. Chciał odsunąć natrętne pytania, ale gdzieś głęboko wewnątrz słowa nie dawały mu spokoju.

- To gdzie go ustawimy? - zapytał Grek.

- Co? Aaa. Ołtarz. Hmm. Może tam w kącie? - chłopak pokazał róg pokoju.

- Czemu nie. Będę tylko musiał trochę przerobić mój projekt. - Wyjął papier i położył na stół. - Pokaż ten obraz.

Jonasz wyświetlił zdjęcie na projektorze ściennym. Postać patrzyła z wyrzutem. Aleks skrzywił usta w grymasie, po czym powiedział:

- Klimatyczni to oni są, ale jacyś tacy... smutni.

- Trochę.

- Ale to twój obraz. Na czym go namalujesz? Na tej desce?

- Tak. - Położył deskę na podłodze, usiadł i zaczął rysować. - Najpierw naszkicuję kontury, a potem naniosę szczegóły.

- Super. To do dzieła - powiedział Aleks i poklepał go po plecach.

Po kilku godzinach pracy poszli na obiad, zjedli i udali się do warsztatu. Zobaczyli przyglądającego się im błazna siedzącego na moście. Jonasz pochylił głowę i przyspieszył.

W składziku, na dnie jednej z szuflad znaleźli zestaw farb. Zaczęli też budować skrzynię ołtarza. Pierwszy raz używali narzędzi stolarskich, więc męczyli się do wieczora. W końcu zabrali gotową konstrukcję do Czyścica. Gdy nieśli ją przez jadalnię, dostali brawa od kolegów jedzących kolację. Podbudowani ustawili skrzynię w kącie pokoju. Pasowała idealnie.

- No to wracam do siebie - powiedział zadowolony Aleks. - Zrobiliśmy kawał dobrej roboty.

Gdy kolega wyszedł, Jonasz wziął prysznic i zjadł coś szybko. Położył się do łóżka i przyglądał się szczegółom obrazu, ale w tle przewijały się słowa błazna - „zdradzili cię”. Próbował je odsunąć, stłamsić, jednak nie dawały mu spokoju. Po chwili poczuł potrzebę, żeby popracować jeszcze trochę, ale w końcu zwalczył ją i uznał, że jednak lepiej będzie się dobrze wyspać. Tym razem nie szamotał się przez sen.

Rano obudził się z pustym umysłem - nie mógł przypomnieć sobie żadnego snu. Poszedł na śniadanie.

- Wystarczyło wstawić ci pudło do pokoju, a od razu lepiej spałeś - żartował Grek.

Do popołudnia zajmowali się swoimi częściami ołtarza. Jonasz skończył szkic. Przyglądał się krytycznym okiem i powiedział po chwili:

- Nie podoba mi się.

- No co ty? - zdziwił się Aleks, patrząc na rysunek pokrywający sękatą deskę. - Całkiem fajnie wyszło.

- E tam. Zrobię to na nowo i tak nam się nie spieszy.
- Jak chcesz, ale mnie się podoba.

Jonasz starł szkic i zaczął od początku. Jakaś natrętna myśl kazał mu poprawiać każdą kreseczkę, centymetr po centymetrze. Pracował długo, aż w końcu rozboleły go oczy. Pod wieczór, ale jeszcze przy w miarę dobrym świetle, zabrał deskę na dwór, usiadł na trawie i rysował dalej.

- Co się tak nad tym znęcasz? - Usłyszał za plecami, więc odwrócił się gwałtownie. Stojący przed nim błazen zapytał: - Co to ma być?

- Obraz - odburknął chłopak.
- Po co?
- To element ołtarza.

- Dasz radę za rok? - Taikomochi uśmiechnął się złośliwie i podniósł wzrok gdzieś ponad głowę chłopca. - Zostaniesz liminalem.

- Czym?

- Wiecznym mieszkańcem Czyścica - powiedział, pochylając się nagle nad chłopcem. - Bez płci, bez imienia, bez wieku - akcentował każde słowo.

Jonasz zamilkł. Poprawiał nerwowo jedną z kresek.

- Jak to jest być sprzedanym? - błazen zapytał obojętnym głosem.

- Słucham? - Chłopak spojrzał zdziwiony.

- Jak to jest wiedzieć, że rodzice wolą siostrę, a nie ciebie?

- Odczep się. - Wstał nagle. Poczł gniew, ale zdusił go i powiedział:

- Zrobiłem to z własnej woli. Dla dobra Alicji.

Szybko wrócił do swojego pokoju. Wściekły na błazna, niezadowolony z efektu pracy, rysował dalej. Ale było coraz

gorzej - linie koślawe, za grube, za długie. Aleks uważał wprost przeciwnie, ale Jonasz domyślał się, że mówi tak, bo chce, żeby wreszcie skończył. W końcu wyczerpany zasnął, ledwie zdążył się przebrać i położyć. Nie miał siły się umyć.

Układa puzzle. Największe, jakie w życiu widział, z niewyobrażalnej liczby elementów. Ich kolory wprowadziłyby w zakłopotanie nawet najdziwaczniejsze projekty współczesnych grafików. Kształty o niewyobrażalnej liczbie maleńkich szczegółów. Gdy wydaje mu się, że znalazł już odpowiednią część, okazuje się, że nie pasuje jakiś mikroskopijny niuans. Siedzi otoczony nimi z wszystkich stron. Leżą na podłodze aż po horyzont. A on płacze, bo wie, że już nigdy ich nie poukłada.

- Nie jest dobrze - powiedział zmartwiony Mark. Przewinął sen Jonasza i puścił w zwolnionym tempie. - Chłopak się rozpada.

- Widziałeś te jego ciągłe poprawki obrazu? Kompensuje. Chyba zaczyna mieć nerwicę natręctw - powiedział Dawid. - Nie reaguje nawet na zaczepki błazna, tak się obudował, że będzie ciężko.

Minął kolejny tydzień. Aleks namówił w końcu Jonasza, choć nie było to łatwe, żeby zaczął wypełniać szkic kolorami. Grek zauważył, że chłopak dziwnie się zachowuje: Nie wiedział, jak zareagować.

- Te świece nie stały w innym miejscu? - zapytał pewnego dnia, patrząc na ołtarz. Przesunął kandelabry.

- Tak, ale mają stać tam, gdzie je ustawiłem! - rzucił opryskliwie Jonasz.

- Przecież ołtarz to moja działka - powiedział zdenerwowany i oparł ręce na biodrach. - Nie przesuwaj ich, dobrze? Jonasz nie odpowiedział, malował dalej.

Greki skończył, ale czekał cierpliwie kolejnych kilka dni. Jednak gdy Jonasz oświadczył, że musi zacząć od nowa, nie wytrzymał:

- Nie denerwuj mnie! - Powiedział, podwijając rękawy. - Większość chłopaków już przeszła przez most. Wiesz co? Twój obraz nie jest mi do niczego potrzebny! Ja jestem gotowy. Jak chcesz, to sobie maluj, ale nie będę czekać dłużej. - Aleks przeniósł ołtarz do swojego pokoju i wezwał Marka. Niedługo później znalazł się po drugiej stronie.

Jonasz szkicował od początku. Jadł nocami, unikał kolegów. Zresztą niewielu ich zostało w Czyścicu, a ci, którzy jeszcze nie skończyli, unikali jego. Zasnął o wschodzie wykonczonej, mijając się ze słońcem.

Wszędzie porozrzucone są puzzle i klocki, a on próbuje je poukładać. Brakuje mu kolejnego elementu, więc wstaje i podchodzi do sterty, bierze jeden po drugim, ogląda, odkłada. W stosie znajduje się ich zapewne kilkaset. Zdenerwowany wkłada ręce głębiej i rozrzuca wszystko na boki. W pewnym momencie czuje jakiś miękki kształt. Wyjmuje ludzką rękę. Przerażony odrzuca ją od siebie. Z równo odciętego kikuta sączy się krew, zabarwiając puzzle szkarłatem. Sięga do kolejnej kopy, czuje coś twardego i lepkiego. Wyciąga kawałek czaszki mokry od posoki.

Mark chodził zdenerwowany po biurze. „Co robić, co robić? ”, zastanawiał się gorączkowo. Wtem jego wzrok przykuły rzeczy Drukpy Kunleya, które Jonasz znalazł pierwszego dnia.

Usiadł w fotelu modlitewnym. Systemy włączyły się, gdy rozpoznały właściciela. Czujniki sczytały dane dotyczące stanu fizycznego i psychicznego. Fotel dopasował się do napięć ciała. Podobno kiedyś ludzie, modląc się, klęczeli. Wiele razy o tym myślał i wydawało mu się to nieprawdopodobne. „Skoro mo-

dlitwa ma być rozmową, to co za sens w przyjmowaniu niewygodnej pozycji? Na ile szczerza i prawdziwa może być rozmowa podszyta bólem? A przecież modlitwa to nic innego jak połączenie z nieograniczonym źródłem wiedzy o sobie i świecie”.

Nie linkował się do ekranu. Zażył niewielką ilość indukto-ra. Choć od dawna nie musiał ich używać, jednak pozwalały na stabilniejsze i dłuższe przebywanie w Undernecie - wojskowej technologii, będącej czymś więcej niż tylko olbrzymim magazynem informacji. Po odpowiednim treningu otrzymywało się narzędzie do pracy z głębokimi warstwami nieświadomości indywidualnej i zbiorowej. Jednak poruszanie się w Podsieci mogło być trudne, a czasami niebezpieczne - znalezione informacje bywały wymieszane z treściami psychiki użytkowników, a nawet z memami i archetypami.

Zamknął oczy. Generatory umieszczone w zagłówek zadziałały, gdy napięcie mięśniowe zmniejszyło się do odpowiedniego poziomu. Czerń pod powiekami zaczęła zamieniać się w atramentowy granat, aż obraz w końcu przybrał postać jego ulubionej biblioteki. Mark skupił wzrok na drzwiach gmachu - wizja nabrała głębi i kolorów. Na ułamek sekundy zwrócił uwagę na ciało - odpowiednio rozluźnione wibrowało lekko, jakby ktoś do środka wpuścił rój malutkich pszczoł. Obraz stracił na ostrości, więc znowu zogniskował umysł na szczegółach. Teraz dostrzegał nawet rubinowe żyłki w marmurze schodów. Nacisnął złote klamki i poczuł się jak kropla wody rozplywająca w oceanie...

Kroczył wzdłuż wysokich półek. Pachniało kurzem. Olbrzymia biblioteka zawierała całą wiedzę, jaką udało się zgromadzić ludzkości i załadować na olbrzymie bloki pamięci. Korytarze z książkami ciągnęły się w nieskończoność, ale tak naprawdę nie musiał przeszukiwać tytułów. Wystarczyło

skoncentrować się na odpowiedniej treści i spojrzeć na pierwszą lepszą książkę. Materiały najbardziej odpowiadające poszukiwanym przez użytkownika tematom pojawiały się przed nim. Jednak Mark miał swoje personalizacje.

- Dzień dobry - powiedział bibliotekarzowi, starszemu panu w okularach.

- Cześć. Czego szukasz tym razem?

- Czegoś na temat Drukpy Kunleya, Świętego Szaleńca.

Mężczyzna podszedł do niewielkich szufladek i zaczął przeglądać katalog.

- Mamy coś po tybetańsku. Są tłumaczenia, reprodukcje obrazów, przypowieści, biografie, wypowiedzi innych mistrzów na jego temat.

- Nauki i biografia - powiedział.

- Idź do stolika, zaraz przyniosę.

Poszedł do niewielkiej sali, gdzie spotkał innych użytkowników - siedzieli zgarbieni w fotelach lub spacerowali wzdłuż półek. Na jednym ze stołów leżały książki. Usiadł i spojrział na tytuły. Otworzył *Życie i nauki szalonego Drukpy Kunleya*. Zaczął czytać pierwszą przypowieść o tym, jak Święty Szaleniec, używając podstępu, uświadomił matce, że ta ma na niego ochotę, przez co ujawnił jej ukryte słabostki.

- Wady jej umysłu zostały wykorzenione - czytał na głos - dusza oczyszczona, a kłopoty i nieszczęścia usunięte. Dzięki czemu żyła aż do osiągnięcia sędziwego wieku 130 lat.

Wyszedł z Undernetu. Jakiś czas później kazał przyprowadzić Jonasza.

- Ja jeszcze nie... - zaczął chłopiec, wchodząc do biura Marka, ale zatrzymał się w pół słowa. W rogach stali samuraje w pełnym rynsztunku, gotowi do ataku. Odetchnął z ulgą, gdy zrozumiał, że to tylko puste zbroje.

- Tak, wiem, ale nie po to cię wezwałem - przerwał opat. Podał mu krzesło.

- Siadaj. Ktoś chciałby z tobą porozmawiać.

Na ekranie ściennym pojawiły się twarze rodziców. Chłopak ucieszył się.

- Cześć synu - zaczął tata. - Mamy ci coś ważnego do powiedzenia.

Mark położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Cześć tato... Czy coś się stało?

- Jonasz... - dołączyła się mama. - Alicja nie żyje.

Chłopak zbladł.

- Jak to...? - zapytał, patrząc bezrozumnym wzrokiem. Po chwili poczuł, jak gniew rozlewa mu się w trzewiach niczym lawa.

- Jak to?! - Zacisnął pięści i wybiegł z biura, nie czekając na odpowiedź. Nie czuł, żeby nawet najmądrzejsza odpowiedź miała teraz jakiegokolwiek znaczenie.

Nie wiedział, czy kogoś mijał po drodze. Świat zawęził się do tego jednego pytania - jak to? Wpadł do swojego pokoju i rzucił się na łóżko. Wściekłość rozpierała go od środka, czuł, że jeśli czegoś zaraz nie zrobi, to go rozsadzi. Wiercił się, po czym usiadł i uderzył pięściami w kolana.

- Neee! - krzyknął.

Spojrzał na ołtarz. Mógłby przysiąc, że Madonna i Jezus patrzą na niego z wyrzutem.

- I co się gagicie?! - zapytał gniewnie, złapał obraz i cisnął nim o ścianę. Podniósł go i walnął o biurko, wrzeszcząc. Zaczął niszczyć ołtarz, który budował po odejściu Aleksa.

- Neee, nigdy!

Nawet nie wiedział, kiedy do pokoju wszedł błazen.

- Tak! Sprzedali cię, zostawili, wybrali Alicję! - podsycił gniew chłopca, skacząc wokół niego i wykrzykując do ucha. Jonasz miotał się i demolował meble. - A to wszystko na nic. Na nic! Zostaniesz tu do końca. Bez rodziców, bez Alicji, bez sensu.

- Nieee! - krzyknął, wywracając szafę na ziemię. Gdy już nie było czego zniszczyć, ukrył twarz w dłoniach. - Dlaczego oni to zrobili? Dlaczego mnie zostawili? Nienawidzę ich! Nienawidzę! - Zaniósł się szlochem i osunął na podłogę.

Taikomochi zamilkł. Podszedł do Jonasza, który płakał coraz bardziej. Wziął go na ręce i położył na łóżku, przykrył kocem.

- Płacz Jonaszu, płacz, a wszystko będzie dobrze. - powiedział i wyszedł.

Chłopak rozpacział długo, aż łzy przestały lecieć, a wymęczone spazmami

ciało zwiotczało bezsilnie. Osunął się w sen.

Stoi wśród stert klocków i puzzli. Spod jednej z nich cieknie strużka krwi, pod inną widać karmazynową kałużę. Wkłada ręce między klocki i wyciąga ludzkie ramię, oderwane od stawu i krwawiące. W sąsiedniej stercie znajduje kolejne. Bada następne stosy, gdzie odkrywa nogę i dalsze części ciała, a nawet organy wewnętrzne, aż w końcu leży przed nim lepka sterta mięsa i kości. W powietrzu unosi się mieszanina woni - krwi, moczu, kału, żółci, potu i innych, których nie potrafi zidentyfikować. Odsuwa puzzle na bok, sprząta, robiąc wolne miejsce. Z krwawego stosu wyciąga ramiona. Kładzie je przed sobą, wzdłuż, jedno za drugim. W środku, prostopadle do ramion, kładzie nogi. Powstał prawie równoramienny krzyż. Wyciąga płuco i kładzie je w lewej górnej ćwiartce. Kolejne płuco kładzie w prawej dolnej. Po przekątnej umieszcza nerki

i kontynuuje z dalszymi częściami ciała, aż zostaje tylko język, mózg i serce, a reszta organów tworzy symetryczną, makabryczną układankę. Mokry mózg kładzie w centrum. Serce, jeszcze bijące, kładzie na mózgu. Język układa na sercu. Staje wyprostowany i dumny. Uśmiecha się.

- Brawo panie Hosala - powiedział Mark. Patrzył zafascynowany na ekran.

- Ma pan swój ołtarz, a nawet mandalę. Witamy w okiia.

- Nie sądziłem, że się uda - powiedział Dawid. - Nie sądziłem, że to wszystko puści, cały ten gniew i nienawiść, niesamowite.

- I nawet nie zauważył, że to było nagranie - stwierdził zadowolony technik.

* * *

Jonasz dochodził do siebie w lazarecie pod okiem lekarzy z okiia. W zasadzie wszystko było w porządku, ale Mark nalegał, żeby poddać go obserwacji pod kątem szoku i traumy.

- Kiedy mu powiemy, że Alicja jest cała i zdrowa? - zapytał taikomochi. Siedział na głazie otoczonym łachą grabionego przez opata piasku. Przypominała antyczną rzeźbę, pomalowaną przez artystę przesadzającego z induktorem.

- Jak przyjdzie czas - odrzekł Mark. Wytarł ręce o habit i wrócił do pracy.

- Czy można okłamywać ludzi dla ich dobra? - błazen nie dawał za wygraną. Odwrócił twarz w stronę słońca, czując ciepłe promienie liżące policzki. Zerknął na opata.

- Nie można. Okłamując, traktujemy ich jak istoty niedorozwinięte, które z jakichś wymyślonych przez nas powodów musimy odsuwać od rzeczywistości. Stąd już tylko krok do prowadzenia za rączkę i brania odpowiedzialności za ich życie.

- A dzieci? Czy można okłamywać dzieci?

Mark myślał chwilę, po czym powiedział:

- Dla ich dobra, tak.

- Powiedz mi, kiedy dziecko przestaje być dzieckiem? -
pytał dalej taikomochi, odwracając się w stronę opata. - Kiedy
zaczyna zasługiwać na prawdę?

Mark nie odpowiedział. Wrócił do piaskowej medytacji, a
pytania błazna rozpuściły się w umyśle niczym chmury w błę-
kitnej przestrzeni nieba.

Łukasz Śmigiel

WYSTARCZY

*i woke up and the world outside was dark
all so quiet before the dawn
opened up the door and walked outside
the ground was cold*

*i walked until i couldn't walk anymore
to a place i'd never been
there was something stirring in the air
In front of me, i could see
more than this more than this..*

Peter Gabriel

* * *

Wypożyczalnia filmów należała do gościa imieniem Tinkle i mieściła się w obskurnej piwnicy jednego z bloków. Było to dość zapomniane miejsce, z którego Tinkle starał się ze

średnim powodzeniem uczynić lokal dla wybrańców - prawdziwych smakoszy kina, którzy mogli znaleźć u niego stare nośniki, ekskluzywne i limitowane wydania filmów i koncertów z lat 90. ubiegłego wieku. Piwnica, zwana piesszczotliwie norką, była osiedlowym przytułkiem dla zagubionych nieudaczników, którzy musieli koniecznie odróżniać się swoimi gustami od innych. Schodzili się do „norki” już od piątkowego popołudnia, wysłuchując z wyrazem zafascynowania na twarzy udzielanych im przez Tinkla natarczywych, często agresywnych porad. Tinkle był dla nich groźnym starotestamentowym prorokiem, który uwielbiał nauczać.

Oto dlaczego Tinkle i ja nigdy za sobą nie przepadaliśmy. Odkąd pamiętam, tak zwana klasyka zawsze odpychała mnie swoim zadęciem. Strasznie denerwowali mnie ludzie, którzy uznawali film za świetny wyłącznie dlatego, że pewne kręgi nazwały go „klasyką”. Ja o poziomie filmu decydowałem sam i kichałem na całą Tinklową klasykę, regularnie wypożyczając coś, od czego jemu chciało się rzygać.

Tego wieczoru było inaczej. Żadnych kłótni i sprzeczek. Tego wieczoru nie chciałem niczego pożyczać. Przeciwnie, postanowiłem wyczyścić swoje konto i oddać nie tylko przetrzymywane zbyt długo tytuły, ale i uregulować zaległości gotówkowe.

Norka była kiepsko oświetlona i szwankowało w niej ogrzewanie. Musiałem być pierwszym klientem od dłuższego czasu, bo schodząc po betonowych schodkach, zauważyłem, jak wyraz nadziei rysujący się na twarzy stojącego za ladą Tinkla ustępuje rozczarowaniu.

- Jak możesz oglądać takie gówno? - zapytał, widząc, jakie filmy tym razem wykładał przed nim na ladę.

- Ktoś je przecież musi pożyczać - odparłem, uśmiechając się szeroko.

- Bez takich jak ja już dawno byś zbankrutował.

- Być może... - mruknął. - Ale wiesz, co nas różni?

- Wszystko? - zapytałem, wciąż nie tracąc uśmiechu.

- Otóż ja pożyczam te gówna... - zaczął, wypełniając ołówkiem puste miejsca w ankiecie zaległych płatności. - Ale wiem, że to gówna, a ty oglądasz je, sądząc, że to dobre kino.

- Ładnie powiedziane - trzymałem uśmiech, aż rozboleły mnie policzki.

Prychnął w odpowiedzi, odwracając się tyłem, aby odłożyć kasety na miejsce i Bóg mi świadkiem, że w tej jednej chwili byłem o krok od zamordowania go. Myśl, która pojawiła się nagle w mojej głowie, była tak. przepełniona nienawiścią i wyrachowaniem, że aż pobladłem. Odwrócony plecami Tinkle nie mógł się niczego spodziewać. Gdybym wtedy wskoczył na kontuar i porywał z niego dwa, na co dzień zupełnie niegroźne przedmioty - przycisk do papieru i długopis! Z zaskoczenia zdzieliłbym Tinkla w tył głowy przyciskiem i własnym ciałem powalił na ziemię. Później wystarczyło już tylko dźgać drania długopisem w szyję, aż charcząc i krztusząc się własną krwią zdechnie w mękach. Nigdy nie wciskałby już ludziom swoich ewangelii na temat kultowego kina.

- Tak właściwie to co się stało, że pan szanowne bezgusście załatwia dziś wszystkie swoje zaległości, hmm?

Nie odpowiedziałem od razu, Wciąż miałem bowiem przed oczyma scenę, w której Tinkle usiłuje wyrwać długopis ze swojego lewego oczodołu.

- Wiesz - odparłem po dobrej minucie. - Kiedyś wszystko się kończy.

- Czyli, że co na przykład? - spytał zaciekawiony.

- Na przykład nasza znajomość Tinkle. Wypisz mnie z listy klientów i dawaj kaucję za wpisowe.

Wystarczy _ _ Łukasz Śmigiel

Mówiąc to, uważnie obserwowałem wyraz jego twarzy i przysięgłbym, że cholernego sukinsyna pierwszy raz porządnie zatkało.

- Kaucja! Słyszałeś?! - powtórzyłem głośniej.

Nadal gapił się na mnie z niedowierzaniem, trawiąc każde słowo.

No i proszę... - przyszło mi do głowy. - Od tylu dni nic nie sprawiało mi żadnej radości, a wystarczyło wypisać się z wypożyczalni tego kretyna.

- Oczywiście - powiedział, rozumiejąc w końcu, że nie żartuję. - Kaucja, moment.

Kiedy wyszedłem od Tinkla, dochodziła siedemnasta, a do załatwienia została mi tego dnia już tylko jedna sprawa. Aby ją załatwić, musiałem dostać się do centrum, w czym usilnie starała mi się przeszkodzić panująca na dworze jesienna aura. Silny wiatr pozbawiał mnie resztek ciepła, a czarna dżinsowa kurtka, którą usiłowałem zapiąć skostniałymi rękoma, nie była mnie w stanie ochronić przed zacinającym chwilami deszczem.

Szczęście, które zwykle obchodziło mnie szerokim łukiem, wreszcie dało o sobie znać. Przechodząc obok przystanku, ujrzałem światła zbliżającego się autobusu. Jadąc na gapę, pokonałem w spokoju dwie przecznice. Dobrze, że towarzyszący mi pasażerowie nie mogli podglądać moich myśli, bo popsułbym im humor przynajmniej na tydzień. Wysiadłem na osiedlowej pętli dokładnie w chwili, gdy zapalały się uliczne latarnie. Przystanąłem na moment, aby w żółtym, słabym

świetle sprawdzić, czy w ciężącym mi niewygodnym plecaku jest wszystko, czego potrzebowałem.

Budynek, do którego chciałem się dostać, był jedną z nowo wybudowanych kamienic, które tworzyły wewnętrzny plac. Licząc na szczęście, które tym razem zupełnie mnie zignorowało, chwyciłem za klamkę od drzwi wejściowych, ale okazały się zamknięte. Po chwili wybrałem na chybił trafił jeden z przycisków przy domofonie. Głośnik przez moment trzeszczała i bzyczał, ale nic się nie działo:

- Kto tam? - zapytał wreszcie zachrypnięty, damski głos.
- Sprzedajemy dywany, może jest pani chętna?
- Nie - odpowiedź była jasna i krótka.

Dwadzieścia minut później wiedziałem już, że wszyscy w kamienicy posiadali nie tylko dywany, ale także wiele innych rzeczy, które im proponowałem i nikt nie miał zamiaru otworzyć mi drzwi. Na dodatek ktoś spod dwunastki zaczął dowodzić, że widzi mnie przez okno i nie wydaje mu się, abym faktycznie chciał cokolwiek sprzedać... Musiałem spróbować czegoś innego.

Poszedłem na wewnętrzny plac. Znajdował się na nim parking i niewielkie, zaniedbane ogródki. Samochód, którego szukałem, stał w drugim rzędzie. Małe, granatowe punto, należąca do mojej kochanej Fey. Kupiliśmy je wspólnie jakieś trzy lata temu, a kiedy zapadła decyzja o rozstaniu, głupio pozwoliłem jej zatrzymać wóz. Byłem wtedy tak bardzo zmęczony samym zrywaniem naszej pięcioletniej znajomości, że zwyczajnie nie chciało mi się kłócić nawet o samochód.

Patrzyłem przez chwilę na ubłocony bok wozu, po czym, wymierzyłem solidnego kopniaka w sam środek drzwi od strony kierowcy. Jeszcze rok temu nie zrobiłbym czegoś takiego, ale dziś skończył się już czas na uprzejmości. Punto za-

chwiało się lekko i niemal natychmiast włączył się, wyjący i migający światłami alarm. Prawie podskoczyłem z wrażenia.

Na placyk wychodziły balkoniki znajdujące się na tyłach każdego mieszkania. Na najwyższym rozbłysło światło, czym prędzej więc usunąłem się w cień tuż przy ścianie budynku. Ktoś otworzył balkonowe drzwi i po chwili usłyszałem znajomy głos - to była Fey.

- To mój do cholery! - wykrzyknęła, wychylając się za barierkę.

Dostrzegłem czarny kontur jej fryzury i natychmiast przypomniało mi się, jak jej włosy zawsze cudownie pachniały lawendą. W chwilę potem znieruchomiałem, czując, że mnie zmroziło.

- Kotku, bądź tak miły, zejdź na dół i sprawdź, dlaczego on wyje - powiedziała, odwracając głowę.

- Ty dziwko - warknąłem pod nosem. - Miesiąc nie minął, a ty już masz nowego kotka?!

W jednej chwili wiatr i zimno przestały mi przeszkadzać. Jeśli w wypożyczalni u Tinkla byłem poirytowany, to teraz dosłownie rozsadzało mnie od środka.

- Jedną chwileczkę kiciu - odparł, przytłumiony głos.

- Tylko uważaj na siebie - dodała zalotnie, wracając do środka. - Będiesz mi jeszcze potrzebny.

- Pięknie - pomyślałem. - Zawsze potrafiłaś martwić się o innych, Fey. Pytanie tylko, czy rzeczywiście masz o co?!

Zdecydowałem, że zostanę w ukryciu. Po kilku minutach usłyszałem trzask drzwi. Spięty, zaciskając ręce w pięści, czekałem w zupełnym bezruchu. Nowy wielbiciel Fey okazał się wysokim typem z lekką nadwagą. Krótką brodą starał się ukryć drugi podbródek i co chwila poprawiał zaparowane okulary. Podszedł do samochodu, rozglądając się na boki. Mi-

nał mnie, zupełnie nie zauważając, wyłączył alarm i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

- Znowu palisz?! - krzyknęła z góry Fey, wywołując u mnie przy tym fałę dreszczy.

Kotek schował fajki i nerwowo spojrział w górę. Przez moment było mi go żal.

- Wszystko dobrze? - zapytała.

- Tak, tak kiciu - chrząknął. - To chyba jakiś kot, musiał wskoczyć na maskę i... Wiesz, jak czułe bywają te alarmy?

- W porządku - odparła, - Wracaj, bohaterze.

Idąc w stronę drzwi wejściowych, „kotek” zaczął podrzucać kluczyki, które nagle upadły w ciemność. Sapnął ciężko i pomacał za nimi po ziemi. Ja natomiast miałem ochotę histerycznie się roześmiać. W końcu znalazł zgubę, znowu poprawił okulary i zniknął za rogiem. Ruszyłem za nim biegiem. Właśnie otwierał drzwi, kiedy ukazałem mu się, gestykulując rękoma, aby zaczekał na mnie z ich zamknięciem.

- Mieszkam tu! Niech pan nie zamyka! — krzyknąłem, a on uczynnie przytrzymał klamkę. - Dobry wieczór - sapnąłem, poprawiając plecak i kierując się do windy.

Bóg raczy wiedzieć, co też miałem zamiar zaraz zrobić.

- Dobry, dobry - odparł wolno, udając się za mną.

- Które? - zapytałem, gdy byliśmy już razem w środku.

- Ostatnie - rzekł, rozpinając kurtkę.

Winda z sykiem ruszyła do góry. Z plecakiem i w dżinsowej kurtce musiałem wyglądać na gówniarza. On w swoim garniturze przypominał za to korporacyjną szuję. Poluzował jedwabny krawat, a ja, obserwując go ukradkiem, wreszcie nie wytrzymałem.

- Pieprzysz ją? - spytałem, czując, że robi mi się sucho w gardle.

- Co?

Puścił krawat i odwracając się w moją stronę, nerwowo poprawił okulary. Patrzyłem na niego i myślałem, że dotąd nigdy nie uderzyłem drugiego człowieka.

- Pieprzysz Fey?! - spytałem głośniej.

- Kim ty niby jesteś?! - Patrzył na mnie jak na wariata, a ja wyobraziłem sobie jego paluchy na smukłym ciele Fey.

Był ode mnie znacznie cięższy, a co za tym idzie, pewnie i silniejszy, ale działałem z zaskoczenia. Pierwszy cios spadł na jego rudą brodę. Drugi sięgnął nerek, a, gdy łapiąc oddech, „kotek” się pochylał, złamałem mu nos. Upadł na podłogę, a ja zatrzymałem windę piętro niżej od mieszkania Fey. Patrzyłem na niego, masowałem nadgarstek i przez moment miałem wrażenie, że trochę mi ulżyło. Tylko trochę.

- Rznąłeś ją, czy jeszcze nie?! - wrzasnąłem wściekle.

- A jak kurwa myślisz?! - odparł, przyciskając trzęsące się dłonie do zakrwawionej twarzy.

Przymierzyłem się, aby dać mu kopa.

- Nie! - wrzasnął. - Kurwa! Przestań! Więcej nie tknę tej dziwki!

Końcowe słowa zamieniły się w jęk, a ja przez moment miałem ogromną ochotę poprawić mu jeszcze za „dziwkę”, ale zmieniłem zdanie.

- I słusznie - wysapałem. - Ale zanim się z nią ostatecznie pożegnasz, wyświadczysz mi przysługę. Oddasz jej to...

Rzuciłem na podłogę plecak. Później nacisnąłem przycisk piętra wyżej i kiedy winda dojechała na miejsce, wyszedłem na korytarz, kierując się ku schodom. W plecaku zostawiłem wszystkie rzeczy, jakie zostały mi po Fey. Wszystko, co nieustannie mi o niej przypominało.

* * *

Wracając od Fey, czułem dziwny niepokój. Wyglądało na to, że załatwiłem tego dnia prawie wszystko, co chciałem. Nawet więcej, jeśli doliczyć ponadprogramowe, pierwsze w życiu pobicie i akt wandalizmu. Na dodatek byłem zadowolony, jak, koniec końców, poradziłem sobie z niektórymi problemami, Już od dawna nie miałem dnia, który dałby mi tyle samozadowolenia. Życie to jednak pałacowy błazen.

Wciąż jednak pozostawała jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Prosta sprawa. Żadne tam stresujące spotkanie z kretynem zarządzającym wypożyczalnią filmów czy zerwanie ostatnich więzi z byłą dziewczyną. I to taką, którą nadal kochałem. Nie, to było o wiele prostsze. Miałem się zabić.

Samobójstwo - zawsze uważałem, że genezy tego słowa należy szukać w zwrocie „bój z samym sobą”. Może naiwnie to brzmi, ale przecież decydując się na zabicie samego siebie, przede wszystkim sprawdzasz, czy rzeczywiście masz odwagę to zrobić? Największym minusem całego przedsięwzięcia jest niestety to, że kiedy okaże się, że masz jaja, jest już za późno, aby się z tego ucieszyć.

Nie działałem jak typowy samobójca. Przeciętniaki decydują się pozbawić życia od tak, zupełnie nagle. Kieruje nimi nagły impuls. Kolejny zawałony test i uczeń wylatuje oknem. Dziewczyna napełnia krwią wannę po zdradzie ukochanego - brzmi jak z mydlanej opery, ale zdarza się częściej, niż sądzicie. Sposób zabicia się nie gra roli dla przeciętnych samobójców. Zawsze im się śpieszy. Są nieobliczalni i łapią wszystko, co mają pod ręką, nieważne - nóż czy pigułki. Tylko czasem któryś z nich zdobędzie się na coś więcej. Zwykle ostatnim osiągnięciem jest niestety napisanie pożegnalnego listu. Jedni piszą, bo chcą się jeszcze raz dowartościować. Inni pragną

obarczyć winą za swoją śmierć tych, którzy tu zostaną, i piszą w swoich listach, że wszystko to przez ojczyzna, przez wyrodną matkę, albo kurwę z HIV. Zdarza się jeszcze jeden typ samobójców. Ci ostatni piszą pożegnalne listy, aby kogoś uratować i uparcie tłumaczą w swoich zapiskach, że samodzielnie podjęli decyzję o samobójstwie, że nikt im nigdy nie dopiekl. Kłamcy.

Piszący pożegnalne listy chcą jeszcze coś pokazać światu. Tak robią przeciętniaki. Ludzie walczący z depresją, wyrzutami sumienia i kompleksami. Ludzie nieprzystosowani do życia. Ja natomiast lubiłem życie i w pełni je rozumiałem. I w tym właśnie tkwił problem. Jak bowiem wygląda nasze życie? Rodzisz się, niezależnie od chęci pojawienia się na tym świecie. Zyskujesz samoświadomość. Później cię wychowują, narzucając gotowe normy. Uczysz się sztucznego rytmu życia - wolnych weekendów i pracujących poniedziałków, poznajesz życie w szkole i obrządek w kościele. Wreszcie realizujesz się w pracy, albo w rodzinie, rozwijasz swoje hobby i nakręcasz swoim istnieniem światową gospodarkę. Zarabiasz, wydajesz, kupujesz. A później umierasz. Koniec zwykle przychodzi nagle, bo nikt nie myśli o tym, że mamy w sobie bombę przeciwko życiu. Bezpiecznik, który nie pozwoli nam przeskoczyć samych siebie i przeżyć dwustu lat. Po prostu zapominamy o tym, że człowiek umiera stopniowo już od momentu narodzin. Zapominamy o tym, bo kto byłby w stanie żyć z taką świadomością? Jeżeli uznasz, że życie po śmierci nie istnieje, tak samo jak nie ma potwora spod łóżka, to po co to wszystko? Dla dobra gatunku? Pieprzyć gatunek. Jesteśmy nalotem na kupie kamieni zawieszonych w przestrzeni, których nawet nie potrafimy dobrze opisać. Jakie znaczenie dla tej przestrzeni ma to, że istniejemy? Gdyby życie było potrzebne kosmosowi, byłoby

go wszędzie pełno, a tak przecież nie jest. Koniec końców trzymają nas przy życiu codzienne absurdy, które nie mają znaczenia w skali wszechświata. Praca? Wiara? Popędy i potrzeby? Zapewniam was, że czarna materia ma naprawdę w głębokim poważaniu to, że piszecie piękną poezję. Co nam zatem zostaje? Dla mnie nie było już niczego. Mojego zdania nie zmieniłaby nawet wycieczka do Amazonii ani wizyta w dziecięcej umieralni. Ja po prostu chciałem już lecieć dalej. Ten chwilowy przystanek, ten moment przerwy, zupełnie mnie nie oczarował. Wiedziałem już, jak tu jest. Czułem to całym sobą i miałem dość. Moim postępowaniem nie kierował żaden impuls. Nie przypominałem typowych samobójców. Ja dokładnie wszystko sobie przemyślałem i byłem gotów podjąć ryzyko. Chciałem wykonać mały test. Skoro tu nic nie ma, to co jest tam dalej? Mam się udać na wyprawę w jedną stronę? Trudno, lecimy! Kto wie, może jednak da się tutaj wrócić, może nasza życiowa energia jest tu uwięziona jak woda w zamkniętym obiegu?

Samobójstwo to jednak dość skomplikowana sprawa. Najpierw trzeba bowiem zdecydować, jak to w ogóle zrobić. Pomysł z szubienicą odrzuciłem dość szybko. Zbyt trudne, aby nie mając wprawy, zrobić to dobrze. Podcinanie żył w wannie z ciepłą wodą także odpada. Miałbym tak siedzieć w ciepłej wodzie i patrzeć, jak się ze mnie leje? A co, gdyby nagle mi się odwidziało? W końcu trochę czasu upłynie, zanim zemdleję, i co wtedy? Raczej nie zdążę wyjść z wanny, zatamować krwotoku i zadzwonić po pogotowie. Próbowałbym się ratować, ale pewnie nie dałbym rady. Później znaleźliby mnie leżącego na golasa na kaflach, po tym, jak potknąłem się, wychodząc z wanny. Nic z tego, cięcie żył odpada. Były jednak jeszcze inne możliwości. Na przykład skok z dachu, rzucenie

się pod pociąg albo samospalenie, Wszystko to jak dla mnie zbyt brutalne i za bardzo bolesne. Na dodatek sprawa stałaby się publiczna. Zaraz pojawiliby się wścibscy dziennikarze, którzy, zebraliby o mnie informacje w stylu - rezygnacja z pracy, zerwany długoletni związek, brak kontaktu z rodziną, windykacja w toku. Pismaki uczyniłyby ze mnie kolejną ofiarę losu, a jak wspomniałem, nie chciałem być zaliczany do przeciętniaków. Miałem własne zdanie.

Suszarka w wannie również nie wchodziła w grę. Policja uznałaby moją śmierć za nieszczęśliwy wypadek, bo nie planowałem zostawiać listu z wyjaśnieniami. Może więc narkotyki? Tak zwany złoty strzał? Fajna sprawa i na dodatek całkiem przyjemna śmierć, kłopot w tym, że zawsze istniał cień ryzyka, że mnie odratują i przez resztę życia będę bezwładną roślinką z uszkodzonym mózgiem. Tak więc, po rozpatrzeniu wszystkich za i przeciw, zdecydowałem się na staromodny strzał w głowę...

Kiedy wreszcie dotarłem do mieszkania, wiszący naprzeciw drzwi zegar wskazywał jedenastą w nocy. Lokum wyglądało tak, jakbym dopiero się wprowadzał. Brakowało mebli, wykładzin i większości sprzętów. Ostatni raz opłaciłem media, aby nie odcięli mi prądu i gazu. Nie uśmiechało mi się siedzenie po ciemku, a poza tym chciałem wypić ostatnią kawę i wysłuchać ostatniej piosenki, „Bum” The Cure. Sądziłem, że wszystko mam dobrze obmyślane i zaplanowane.

Wkrótce obok parującego kubka z kawą na stoliku spoczął także mój kat i wybawca - ważący niecały kilogram piętnastostrzałowy model Beretty, który miałem w spadku po ojcu. Usiadłem w fotelu, upiłem łyk kawy, parząc się w usta, i włączyłem starego, dobrego boomboksa. W pokoju dało się słyszeć krakanie zbliżającego się stopniowo kruka. Podnio-

słem broń, wziąłem głęboki oddech i ostatni raz rozejrzałem po mieszkaniu. Zdecydowałem, że nie chcę, aby piosenka się skończyła, zanim pociągnę za spust. Nie chciałem umierać w ciszy. Objąłem ustami zimną lufę broni i poczułem się głupio. Palec wskazujący dotknął spustu. Nabrałem nosem powietrze. Palec drgnął.

- Kurwa mać! - ryknąłem, odsuwając od siebie broń nagłym ruchem, przy czym boleśnie zahaczyłem o ząb.

Płyta CD zacięła a się w odtwarzaczu.

- Czemu zawsze coś musi być nie tak?! - wrzasnąłem.

Boomboks poleciał na podłogę, a ja jednym ruchem przyłożyłem lufę do skroni i nacisnąłem spust. Zamek odskoczył do tyłu. Huknął wystrzał, a ja poczułem ukłucie bólu i falę mdłości. Zaraz potem spadłem z fotela.

* * *

Z trudem powstrzymałem chęć wymiotowania i, słaniając się na nogach, pobiegłem do toalety. Wtedy jeszcze nie myślałem o tym, co właściwie się stało i dlaczego nadal żyję. Kurczowo zaciskałem palce na zimnej krawędzi muszli klozetowej i rzygałem. Trwało to chyba całą wieczność. Wreszcie złany zimnym potem zacząłem łapczywie łapać powietrze. Telepało mną jak przy ataku padaczki. Ogarnięty paniką, sunąc po kafelkach, dotarłem do ściany i nieruchomo się przy niej ułożyłem. Leżałem tak przez dłuższą chwilę, widząc rozmazane odbicie własnej twarzy w gładkich płytkach podłogi. Świecąca białym światłem żarówka znad szafki z lustrem okropnie raziała mnie w oczy. Miałem wrażenie, że dopadł mnie najgorszy kac w życiu. W głowie kłębiły się kolejne pytania. Co się właściwie stało? Co poszło nie tak? Przecież słyszałem wystrzał, czułem żar na skroni, a jednak nadal żyłem. Spudłować z tej odległości po prostu się nie dało. Czyżby zawiódł me-

chanizm broni, a pocisk utkwiał w lufie? Z trudem zebrałem się z ziemi i przyklejony do ściany spojrzałem w lustro. Przeczesałem dłonią włosy, ostrożnie szukając rany. Głowa wyglądała na całą. Nie było ani dziury ani krwi, ale skroń bolała, jakby ktoś przywalił mi młotkiem. Określenie tego co wtedy czułem mianem rozczarowania byłoby niesprawiedliwe. Nie czułem się rozczarowany. Byłem na granicy szaleństwa. Chwiejąc się na nogach i szorując ramieniem o ścianę, wyszedłem z łazienki. Broń leżała na podłodze tuż obok fotela. Podniosłem ją z trudem i sprawdziłem magazynek. Kuli nie było...

Odrzuciłem pistolet i szurając nogami ruszyłem, aby lepiej przyjrzeć się ścianie. Kula musiała przecież na czymś się zatrzymać. Bez trudu znalazłem niewielką dziurę. Całkiem ogłupiały pochyliłem się, aby obejrzeć ją z bliska. Dokładnie wtedy moje oszalałe zmysły zarejestrowały zbliżający się do mnie błysk. Nie wiem, co by się stało, gdybym odwrócił się wtedy wyprostowany?

* * *

To była kosa. Wbita się z trzaskiem w ścianę kilka cali powyżej dziury po kuli. Jej ostrze znalazło się tuż przy moim nosie. Nie zmieniając pozycji, próbowałem skupić na nim wzrok. Sekundy mijały, a mnie zupełnie nic nie przychodziło do głowy. Na stylisku były mocno zaciśnięte kobiece dłonie. Nie zwracając na mnie uwagi, kobieta podjęła kolejną próbę uwolnienia kosy. Bardzo powoli wyprostowałem się i równie wolno odsunąłem kilka kroków w tył. Widziałem w życiu wiele pięknych kobiet, jedną z nich nawet kochałem, ale osoba, która stała przede mną, na nowo definiowała słowo uroda. Kiedy wydeła usta, aby zdmuchnąć z twarzy kosmyk włosów, poczułem, że muszę się o coś oprzeć. Każda kobieta ma coś w sobie. Jedną czy dwie rzeczy, które rekompensują

wszelkie niedostatki. Piękna nieznajoma sprawiała wrażenie, jakby w całości złożono ją z takich właśnie urokliwych drobiazgów. Na dodatek była dziewczyną z klasą. Ubrana była w czarną wieczorową suknię, której wycięcia odślaniały linie zgrabnych nóg, ilekroć zapierała się, chcąc uwolnić ostrze. Na dodatek przez cały czas sprawiała wrażenie, jakbym w ogóle nie istniał...

- Hej - bąknąłem pod nosem.

Nie reagowała. - Kim pani jest? - zapytałem.

Dała wreszcie za wygraną, przestała się siłować z kosą i spojrzała na mnie. Takie spojrzenie otrzymuje się tylko raz w życiu. Jeśli bowiem ja byłem w ostatnich dniach wściekłym cholerykiem, ona z pewnością musiała być królową wszystkich wściekłości tego świata.

- O co ci chodzi?! - warknęła. - Jeszcze chwila chyba nie zrobi ci większej różnicy, prawda?!

Byłem przekonany o wspaniałości tej wypowiedzi. Brzmiała jak coś w stylu: „Powarcz na mnie jeszcze trochę, a później przewróć na plecy i podrap po brzuchu”. Wziąłem się w garść, odwróciłem i podszedłem do okna.

Na zewnątrz było ciemno. Zupełnie jakby ktoś przysłonił świat ciężkim całunem. Żadnych aut, żadnych świateł i kompletna cisza. Zmusiłem się, aby policzyć do dwudziestu i ponownie odwróciłem, gotowy w każdej chwili obudzić się we własnym łóżku bez bólu, bez braku sensu i wybuchnąć śmiechem pełnym ulgi. Nic z tego, Ona wciąż tam była. Ponownie chwyciła za stylisko kosy.

- Pomóc? - wycedziłem, ale ona nie odpowiedziała. - Czy pomóc z tą kosą? - Nie dawałem za wygraną. Wreszcie, nie czekając na pozwolenie, podszedłem do ściany. Odepchnąłem lekko dziewczynę i chwyciłem za drewniany trzonek. Mocno

zapałem się nogami i szarpnąłem. Ostrze wraz ze sporą ilością tynku uwolniło się spomiędzy cegieł. Uwolniło się na dodatek tak nagle, że straciłem równowagę i wpadłem prosto na stojącą nieruchomo nieznaną. Koniec końców, ja rąbnąłem plecami o podłogę, a ona klapnęła prosto w ustawiony nieopodal fotel. Leżąc na ziemi, miałem ochotę wybuchnąć płaczem. Nawet wyrywanie kosy ze ściany w obecności najpiękniejszej kobiety świata musiało skończyć się dla mnie katastrofą!

- Niech to szlag! Psia, cholerna mać! - ryczałem, piekląc się, a ona, siedząc krzywo w fotelu, wyglądała na zbitą z tropu.

- I kim ty niby jesteś?! - zakończyłem, krzycząc.

Zielone oczy nieznanym zwężiły się jak u węża.

- A jak ci się niby wydaje?! - syknęła wściekle.

- Nie mam pojęcia! - ryknąłem. - Nie wiem, co to za gra, kto podmienił broń i przysłał ciebie do odegrania tej kretyńskiej scenki, ale powiem krótko - wrzeszczałem - zanim się wreszcie zabiję, najpierw nakopię do dupy temu, który to wymyślił!

Poderwałem się z podłogi i cisnąłem kosę w kąt przy piecyku. Musiało to na nią podziałać jak dobrze wymierzony policzek. Widziałem, jak jej ciało się naprężyło, a potem nieznaną energicznie machnęła ręką i na podłogę spadły wszystkie gniezdzące się pod sufitem pająki. Brakło mi słów.

- Kim jestem?! - zapytała, wolno cedząc każde słowo.

Odruchowo cofnąłem się o krok. Kosa leżała wprawdzie daleko, ale chyba nie była jej aż tak bardzo potrzebna. Przeszyła mnie lodowatym spojrzeniem i wyciągnęła w moją stronę rękę.

- Poczekaj! - wrzasnąłem. - Tak nie wolno! To nie jest normalne! Najpierw wytłumacz mi, o co tu chodzi! - oburzyłem się.

Spojrzenie na chwilę złagodniało.

- Popełniłam błąd - powiedziała.

Ugryzłem się w język i pozwoliłem jej mówić.

- W jednej chwili jestem rozdarta na miliony umierających istnień. W jednej chwili wykonuję miliony cięć, rzucam miliony spojrzeń, a czasami wypowiadam miliony ostatnich słów. Mam prawo się pomylić...

Baczenie obserwowałem wyraz napięcia na jej twarzy.

- Zapomniałam o tobie. Przeoczyłam twoją chwilę. A teraz jestem tu, aby to naprawić. Powiedzmy, że marnując czas na tę rozmowę, wyświadczam ci grzeczność. Pierwszy raz czuję się winna, więc ciesz się ostatnią chwilą i kończmy z tym...

- Nie rozumiem - powiedziałem, czując strach, przez który zaschło mi w gardle.

- A co tu jest do rozumienia?

Znowu poprawiła kosmyk włosów.

- No bo... Jeśli jesteś tym, kim wydaje mi się, że jesteś, to dlaczego tak wyglądasz? Kosę rozumiem, ale gdzie trupie ciało, gdzie odstające kości i kaptur? - Nadal walczyłem ze strachem.

- Nie podobam ci się?

Puściła kosmyk, a mnie zatkało.

- To chyba lepiej, że nie przyszedł po ciebie cuchnący trup, prawda?

- No, owszem - bąknąłem.

- Wyglądam, jak mi się podoba - powiedziała ostro. - Dla jednych brzydko, a dla innych ładnie, nie zrozumiesz, skoro jeszcze nie rozumiałeś.

- Wyglądasz przepięknie - wydusiłem wreszcie i byłem w tej ocenie naprawdę szczery.

Dziewczyna wstała z fotela.

- Czy... - zacząłem - Czy, zanim mnie zabierzesz, możesz wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę, jedną grzeczność... Proszę...

Rysy na jej delikatnej twarzy stężały. Oczy ponownie się zwężyły, a wargi zmieniły w ciemną, wąską kreskę.

- Nie udzielam odpowiedzi na trudne pytania - syknęła. - Znam was! Zawsze to samo! W ostatniej chwili zaczynacie się wreszcie zastanawiać nad tym, jaki to ma sens? Czy istnieje Bóg? Po co to wszystko? Ale nic z tego. Ja nie udzielam rad i nie oceniam. Twoje życie mnie nie obchodzi. Nie jestem sędzią. To, jak żyłeś, jest mi całkiem obojętne. Zresztą, na tym etapie wszystko już zostało postanowione. Ja tylko robię swoje. Co było wcześniej i co będzie później, nie jest moją sprawą. Dlatego tak rzadko z wami rozmawiam. Wolę unikać waszych lamentów, a te zwykle słyszę, gdy jest już po wszystkim. Mówisz, że jestem piękna. Nie rozumiem tego słowa. Tak samo ty nic nie zrozumiesz z tego, co mogłabym opowiedzieć o świecie i prawach, które nim rządzą. Skoro sam mnie wezwałeś, to najwyraźniej nie rozumiesz także rzeczy o wiele prostszych, nie ma więc o czym mówić.

- Właśnie o to mi chodzi! - przerwałem jej. - Chrzanić sens! Pewnie nigdy go nie pojmem, ale wytłumacz mi, jak to możliwe, że istota tak doskonała jak ty, mogła o mnie zapomnieć?!

- Dość! Milcz! - krzyknęła, prężąc się jak kot. - Robię to, co trzeba, a ty jesteś tylko bezwolnym głupcem. Wiesz, czego zazdrościłabym ludziom, gdybym wiedziała, co to znaczy?

- Czego śmierć może zazdrościć człowiekowi?! - Teraz ja także krzychałem.

- Wyboru. To on was zmienia i napędza. Ludzie zawsze mają jakiś wybór. Wszystko jedno jaki, ale jednak, a ja tylko podejrzewam, że coś takiego istnieje.

- Wybór? -- Warknąłem wściekle.

Przez moment stałem jak wryty, aż wreszcie szybko do niej podszedłem. Delikatnie schwyciłem jej piękną twarz w dłonie i pocałowałem. Chciałem długo i namiętnie, ale chyba niewiele z tego wyszło. Nagle bowiem załała mnie fala słodczy i opadłem na podłogę. Całe życie - od chwili obecnej do momentu narodzin - przemknęło mi przed oczyma. Jednocześnie wypełniło mnie uczucie ulgi i wewnętrznego spokoju. Czułem ciepło, które pieści nas zaraz po wyjściu z morza, gdy wygrzewamy się na plaży. Każdy kolejny oddech przynosił nową falę szczęścia.

Dziewczyna stała nieruchomo. O ile to możliwe, była bledsza niż wcześniej. Szeroko otwierała oczy, a jej usta były rozchylone. Śmiejąc się, przeniosłem spojrzenie z niej na sufit, pierwszy raz dostrzegając niesamowite kształty stworzone przez jego nierówności.

- Dlaczego? - zapytała.

Wybuchnąłem śmiechem.

- Nie zrozumiesz - powiedziałem, tarzając się w rozkoszy.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała jak na policyjnym przesłuchaniu, z lampą świecącą w oczy i pistoletem na stole.

Uniosłem się na łokcie.

- Przecież jesteś Śmierć - powiedziałem, chichocząc. - Nic nie czujesz i nic cię nie obchodzi.

Przenosząc ponownie spojrzenie na sufit, pozwoliłem odpłynąć myślom i zająłem się obserwacją świata z poziomu psów i kotów. Wreszcie euforia nieco osłabła.

- I co teraz? - zapytałem, czując się dobrze, choć już nie aż tak bardzo.

- Zamachniesz się tym żelastwem i zetniesz mi głowę? To już koniec? Hej, Śmierć! Mówię do ciebie!

Zerwałem się z podłogi, ale jej już nie było. Rzeczywistość uderzyła mnie z podwójną siłą i zachciało mi się krzyczeć. Krzyk jednak uwiązł mi w gardle, bo na szyi poczułem nagle dotyk lodowatych palców. Zamiast krzyczeć, chciałem chociaż pisnąć, ale to także się nie udało. Usta dziewczyny dotknęły moich i znowu wpadłem do wanny z winem...

* * *

Podobno sam moment umierania nie boli. Podobno wszystko łagodzą wydzielane w mózgu substancje, które działają jak narkotyk. Dlatego właśnie zabijane przez lwy antylopy nie cierpią wcale tak bardzo, jak może się wydawać. Przyjemna śmierć - boimy się jej, a ona potrafi być przyjemna. Nieprzyjemne życie — pragniemy go tak bardzo, choć to właśnie z nim wiąże się cierpienie.

Wstałem z podłogi. Nie było dziewczyny, nie było kosy. Nie było przyjemnie. Zrobiło się za to cholernie zimno, Rozcierając ręce, otworzyłem drzwi na balkon. Mroźne powietrze zakręciło mi w nosie i zacząłem kichać. Kolejne kichnięcia przerywałem salwami śmiechu. Nie miałem pojęcia, która może być godzina, ale szara masa miotających się po ulicach ludzi, oznaczała, że już pora biec do pracy. Po chwili stwierdziłem, że chłodny poranek na balkonie może być całkiem przyjemny. Sięgnąłem po paczkę papierosów. Opakowanie było

prawie pełne. Gdybym leżał teraz trupem, pierwsza osoba, która znalazłaby ciało, pewnie by je zabrała.

Nic z tego - powiedziałem do siebie. Przypaliłem jednego i pierwsza wydmuchana chmura dymu poleciała mi prosto w twarz. Oczy zaczęły łzawić. Przecierając je zobaczyłem, że do budynku wchodzi grupka ludzi. Nie zdążyłem jednak dokładnie im się przyjrzeć, bo nagle dał się słyszeć sygnał komórki. Chwyciłem za terkoczący wciąż telefon.

- Tak? - spytałem.

- Ty sukinsynu! - Fey wydarła się na mnie, wprawiając słuchawkę w wibracje.

- Tak? - powtórzyłem.

- Jesteś podłym gnojem! Słyszysz?! Złamałeś mu nos! Niech cię szlag!

- Kotek poskarżył się nowej pani?! - spytałem, czując złość.

- Jesteś chory! - darła się nadal. - Chory na mózg! On wyjechał! Rujnuj życie sobie, a nie innym, śmieciu!

Nie skomentowałem ostatniej obelgi, bo chwilowo miałem o sobie zupełnie odmienne zdanie.

- Fey? - powiedziałem w końcu. - Pomyśl sobie, że to ostatnia rozmowa z człowiekiem, który naprawdę kochał twoją hipochondrię, oziębłość i kompletny brak wyobraźni. I naucz się chociaż przez miesiąc nie dawać dupy wszystkim dookoła. Nigdy się już nie zobaczymy, Fey...

Wyłączyłem telefon. Kiedy odkładałem go na stół, odezwał się dzwonek do drzwi. Nadal byłem zupełnie spokojny.

- Kto tam? - spytałem energicznie.

- Sąsiadka z naprzeciwka, drogi panie!

Głos był mi znany.

- Czy pan musi tak hałasować po nocy?! To już nie pierwszy raz, proszę pana! Ludzie chcą czasem spać. Małżeństwo obok ma małe dzieci. Informuję pana, że złożyłam skargę na policji!

Papieros zaczynał się dopalać i parzył mnie w palce.

- Dziękuję pani - odparłem, rzucając niedopałek na podłogę.

Zamiast odpowiedzi usłyszałem tupot stóp w korytarzu.

- To do pana - warknęła sąsiadka.

- Słucham? - spytałem ponownie, lecz tym razem odpowiedzi udzielił mi gruby, męski baryton.

- Dzień dobry - zaczął. - Dobrze, że pana zastałem. Zajmuję się windykacją. Reprezentuję pana bank. Czy zechce pan otworzyć drzwi?

Facet był bardzo grzeczny.

- Dzień dobry - odparłem.

Później rozgniotłem butem niedopałek i wróciłem do pokoju. Pistolet nadal leżał na ziemi. Spojrzałem na niebo za oknem.

- No i co teraz?

Chmury na niebie nie odpowiedziały. Podniosłem broń i sprawdziłem magazynek. Zostały w nim dokładnie cztery naboje.

Sebastian Chosiński
NON OMNIS MORIAR

1.

Pociąg włókł się niemiłosiernie. Fakt ten pogłębiał jeszcze bardziej uczucie niezadowolenia, albowiem - pomimo chłodu panującego na dworze - skład nie był ogrzewany. Czystość przedziału, w którym się znalazł, też zresztą pozostawiała wiele do życzenia.

Gdy tylko pociąg ruszył ze stacji głównej, próbował zasnąć. I choć starał się usilnie - sądził, że nie powinno mu to przysporzyć większych problemów, ponieważ w ciągu ostatnich kilku nocy sypiał nader krótko - okazało się to niemożliwe właśnie z powodu panującego zimna. Siedział więc, opatulony kożuchem, z twarzą przyklejoną do szyby; by jednak widzieć, co dzieje się na zewnątrz, musiał co rusz chuchać na nią - zamarzała bowiem znacznie szybciej, niż był sobie to w stanie wyobrazić.

Po godzinie postanowił się poddać. Wyszedł na korytarz, mając nadzieję, że może tam będzie nieco cieplej.

Korytarz był pusty.

Czyżbym był jedynym pasażerem? - zdążył pomyśleć, nim powiew mroźnego wiatru wywiał z jego głowy wszystkie inne myśli.

Okazało się, że w jednym oknie szyba była wybita, drugie natomiast nie domykało się z bliżej nieznanym mu powodów. Klnąc pod nosem, wrócił do opuszczonego przed chwilą przedziału i rzucił się na mocno wytarte i przy okazji wybrudzone siedzenie. Chcąc nieco rozgrzać zgrabiące dłonie, wsunął je między uda. Wtedy jednak czuł, jak marzną mu policzki. Mu-

siał wybierać i uznał, że lepiej dlań będzie, jeśli zachowa sprawność dłoni.

Gdy okno przedziału oddało się już całkowicie we władanie mrozu, poczuł się całkowicie odcięty od świata. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza pociąg, choć przecież na stacji wykupił bilet w konkretne miejsce.

Kto jednak wie, dokąd nas wiozą - mruknął pod nosem, gapiąc się w sufit, na którym smętnie wisiała popękana (kto wie, może z zimna) jarzeniówka.

Widok ten oraz monotonne uderzeni kół o podkłady spowodowały, że popadł w totalne odrętwienie. Zamknął powieki i być może nawet zasnął. Gdy jednak nadszedł wreszcie upragniony sen, od razu oczywiście musiał znaleźć się ktoś, kto go zeń wyrwał. Ów ktoś okazał się starszym, posiwiałym i pomarszczonym na twarzy mężczyzną w kolejarskim mundurze.

- Niebezpiecznie jest zasypiać w pociągu - powiedział drżącym głosem staruszek. - Zwłaszcza gdy się podróżuje samemu...

- Mam wrażenie, że w całym pociągu nikogo nie ma. Kto więc miałby mi zrobić krzywdę? - odpowiedział pytaniem, ciesząc się, że wreszcie ma do kogo otworzyć usta.

- Dokąd pan jedzie? - spytał konduktor, uznając widocznie jego pytanie za retoryczne.

- Pokazać bilet?

Starzec machnął ręką, co miało chyba oznaczać coś w rodzaju „nie trzeba” albo: „kto by się tu bawił w sprawdzanie biletów?... ”

Podróżny wymienił nazwę miejscowości.

Konduktor cicho zagwizdał, czym najprawdopodobniej okazał swoje zaskoczenie.

- Daleko jeszcze? - spytał mężczyzna.
- Nie - odparł staruszek. - Całkiem blisko...
- Skąd będę wiedział, na której stacji wysiąść, skoro

przez szybę nic nie widać?

Zapadła nieznośna cisza. Konduktor miał coś długo najpierw w głowie, a następnie na języku. Wreszcie odpowiedział:

- Powiem panu. - Po czym dodał: - Każdemu mówię. I, jak gdyby nigdy nic, opuścił przedział.

Po jego wyjściu pomieszczenie stało się jeszcze bardziej nieprzyjemne i, dałby sobie za to głowę uciąć, zrobiło się - o ile w ogóle było to możliwe - jeszcze zimniej.

2.

Starzec dotrzymał słowa. Mniej więcej pół godziny później ponownie zawitał do przedziału - niosąc ze sobą niezauważalną, ale wyraźnie odczuwalną falę ciepła - by poinformować, że za minutę pociąg zatrzyma się na stacji.

- Po co pan tu przyjechał? - zapytał, kiedy maszynista zaczął hamować.

- Wspomnienia - odparł podróżny.
- Pan zna to miasto? - zdziwił się konduktor.
- Powiedzmy.
- Z peronu wejdzie pan do tunelu, a stamtąd...
- Wiem, jak trafić do hotelu - przerwał mu, niezbyt

grzecznie.

- Jeśli pan tak uważa... - stwierdził, nie kryjąc cienia urazy starzec i usłużnie zamilkł.

Gdy pociąg zatrzymał się, mężczyzna wyskoczył na peron. Ze zdziwieniem zauważył, że był jedynym pasażerem, który postanowił tu wysiąść.

Nagle poczuł się nieswojo. Spojrzał w stronę drzwi, w których jeszcze przed chwilą majaczyła postać konduktora; miał nadzieję, że widok staruszka doda mu nieco otuchy - ale on odszedł już, mając widocznie do wypełnienia inne obowiązki.

Po chwili pociąg zatrząsł się, ruszył z miejsca i odjechał w dal, niknąc w gęstniejącej powoli mgle.

Mężczyzna spojrzął na zegarek; dochodziła pierwsza po południu, a tu panował mrok, jakby zbliżała się siedemnasta. I na dodatek - żywego ducha. Obiecał sobie, że o wszystko dokładnie wypyta kasjerkę w holu dworca, ale kasa, o dziwo, była o tej porze dnia zamknięta. Przyklejona od wewnątrz do szyby kartka informowała, że w bilety można się zaopatrzyć bezpośrednio u konduktorów. Charakter pisma - wielkie kaligrafowane litery - przywodził na myśl dzieci z pierwszej klasy szkoły podstawowej, które dopiero uczą się pisać.

Może jakieś dziecko wyręczyło z tego obowiązku swoją mamusię - pomyślał i rażnym, niemal żołnierskim krokiem przemaszerował przez pusty hol. Jego kroki złowrogo odbijały się echem od ścian. W pewnej chwili niemal padł jak długi, potykając się o wyrwaną z podłogi i porzuconą na łaskę losu ławeczkę, która prawdopodobnie kiedyś umilała podróżnym czas oczekiwania w przydworcowej poczekalni.

Kiedy wyszedł na plac przed dworcem, mróz zaatakował - zdawało się - ze zdwojoną siłą. Nie pomagało już chuchanie na ręce ani też chowanie ich w głębokich kieszeniach kożucha. Czuł, jak kostnieją, jak krew dosłownie zamarza mu w żyłach. Jeśli jednak miał nadzieję, że przed budynkiem oczekiwać nań będzie chociaż jedna taksówka; którą będzie mógł podjechać do centrum - musiał zawieść się srodze.

Ze wściekłości splunął na ziemię, ale jego ślina, nim dotknęła podłoża, zdążyła zamarznąć.

Przez moment ogarnęła go przemożna chęć powrotu.

Kupić bilet dokądkolwiek, byle tylko wyrwać się z tego miejsca! - postanowił, robiąc krok do tyłu. Ale natychmiast też zdał sobie sprawę z beznadziejności swego położenia. Kasa była przecież zamknięta. Na ścianach nie wisiał żaden rozkład jazdy.

Kto mógłby go poinformować o tym, kiedy będzie przejeżdżać tędy kolejny pociąg?

Jak długo mógłby czekać w opuszczonym holu bądź tunelu, modląc się o to, by tym razem Pan Bóg nie zesłał nań snu, podczas którego - co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości - jak każdy prawowity Indianin, odszedłby do „krajny wiecznych łowów”?

„Raczej mrozów” - poprawił się w myśli, szybko też przerabiając Indianina na Eskimosa.

Nie pozostało mu nic innego, jak tłuc się na piechotę opustoszałymi ulicami do centrum miasta.

3.

Znał to miasto.

W jego pamięci odżywały zdarzenia z przeszłości. Ulice, budynki, ludzie.

Wszystko było jednak inne. Nie potrafiłby dokładnie opisać tej „inności”, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że chociaż wrócił po latach do tego samego miejsca, czas odcisnął już na nim nieodwracalne piętno.

Z zakamarków pamięci, jak spod sterty gruzu, odgrzebywał wspomnienia. A może instynktownie czuł, kiedy należy skręcić w lewo bądź prawo i czego spodziewać się za zakrę-

tem. Pomnik w kształcie piramidy z czerwoną gwiazdą na czubie był dokładnie w tym miejscu, w którym - tak mu się przynajmniej wydawało - być powinien. W centrum parku, otoczony krzewami i ławeczkami, na których przesiadywać mogli zasłużeni emeryci.

Ale był tylko pomnik. Krzewy ktoś powyrywał, ławeczki najprawdopodobniej zwieziono do miejskich magazynów późną jesienią, wychodząc ze słusznego założenia, że w temperaturze minus trzydziestu (a może nawet więcej?) stopni Celsjusza nikt, a już tym bardziej staruszkowie, na ławeczkach przesiadywać nie będzie. I tu, choć - jak zdołał zapamiętać, było to zawsze bardzo ruchliwe miejsce - nie znalazł żywego ducha.

Pewnie wszyscy siedzą w domach, bo cieplej - skonstatował i z trwożliwym drżeniem we wszystkich członkach ciała przeszedł pod górującym nad całą okolicą pomnikiem-grobowcem. Mróz szczypał niemiłosiernie w twarz, więc wsunął głowę w ramiona, by jeszcze głębiej zatopić się w futrzanym kołnierzu.

Pewnie dlatego nie spostrzegł przechodzącej obok dziewczyny. Może nie usłyszałby nawet jej wołania, gdyby nie cofnęła się, dogoniła go i chwyciła za rękaw.

- Witek? - spytała z niedowierzaniem w głosie.

Ale jego zdziwienie było jeszcze większe.

- Tak, to ja - odparł, nie poznając jednak, z kim ma do czynienia.

Spod wełnianej czapki spoglądały na niego ciemnozielone oczy i młoda, może dziewiętnastoletnia twarz.

- A więc wróciłeś - powiedziała dziewczyna, której głos sprawiał wrażenie, jakby po wielu, wielu latach z jej serca spadł wielotonowy głaz. - Wróciłeś do mnie, prawda?

- Ta-ak - zająknął się. - Wróciłem! - To było jedyne, co mogłem powiedzieć, przy okazji nie kłamiąc.

- Zawsze powtarzałam dziewczynom, że ty wrócisz, za pół roku, za rok, ale wrócisz, one nie wierzyły, radziły mi, abym zapomniała o tobie, znalazła sobie kogoś innego, tylu przecież chłopaków zawsze się koło mnie kręciło, ale ja wybrałam ciebie, Witek - wyrzuciła z siebie z szybkością karabinu maszynowego słowa, które od dawna musiały dojrzewać w jej świadomości. - Ale im miny zrzedną, jak się dowiedzą, że to jednak ja miałam rację, zresztą, sam zobaczysz, pewnie jeszcze dzisiaj wieczorem wszystkie się do mnie złączą, a ja im opowiem o tym niecodziennym spotkaniu...

Wyłączył się. Nie dlatego, że go zmęczyła ta szczebiotliwa perora, lecz za wszelką cenę starał się przypomnieć sobie, kto przed nim stoi.

Nie było go tu przecież kawał czasu!

Ileż ona ma lat? - rozmyślał intensywnie. - Wygląda na osiemnaście, dziewiętnaście...

Gdy opuszczał to miasto, nie mogła więc mieć więcej niż...

... cztery latka!!! - te dwa słowa odbijały się echem od jego opustoszałej z myśli głowy.

- Witek! - głos dziewczyny przywołał go do świadomości. - Ja cię wciąż kocham - dopowiedziała szeptem.

- Kochasz mnie?! - powtórzył z przestraszeniem.

- Wiedziałałam, że o mnie nie zapomnisz - odparła, podając mu jak coś niezwykle cennego swoje zimne dłonie. - Dziewczyny powtarzały: Anka, już go nigdy nie zobaczysz, wyjechał do dużego miasta i tam...

Anka! Anka!!! - huczało mu w głowie. - A jakże! - odetchnął wreszcie z ulgą. Jego pierwsza licealna miłość! No wła-

śnie, czy pierwsza? Tego nie był pewien. Wiedział za to w stu procentach, że na pewno nie ostatnia.

- Nic się nie zmieniłaś - powiedział, znów przerywając rwący potok słów dziewczyny. Tym razem jednak przywołał na twarz wcale niewymuszony uśmiech.

- A niby dlaczego miałam się zmienić? - odparła zdziwiona.

Chwilę później jednak już o tym zapomniała. I znów zalała go strumieniem pytań, spośród których zapamiętał tylko ostatnie:

- Na jak długo przyjechałeś, zostaniesz tu już na zawsze?

- Nie wiem - odpowiedział, zgodnie z prawdą, po czym szybko, nie chcąc ponownie dać dziewczynie dojść do słowa, wykrztusił: - Muszę pójść do hotelu, odpocząć.

- Jesteś zmęczony - raczej stwierdziła, niż zapytała, z troską. - A ja ci tu głowę suszę. - Lekko pogłaskała go zgrabiałymi dłońmi po policzkach. - Idź! Idź! Pewnie, że musisz odpocząć. A my... - zamarła na moment, jakby bała się zadać to pytanie. - Zobaczmy się wieczorem, prawda?

- Oczywiście, Aniu - odparł. - Przyjdź do mnie. Ale czy będziesz wiedziała gdzie...

- Tu jest tylko jeden hotel, głuptasie - krzyknęła dziewczyna, oddalając się szybko, jakby nagle przypomniała o sobie o niecierpiących zwłoki obowiązkach.

Witek ponownie został sam na opustoszałej ulicy. W cieniu monumentalnego pomnika.

W cieniu, którego być nie powinno, bo przecież nie świeciło słońce.

4.

Hotel - jedyny w mieście, jak zapewniła go Anka - znajdował się, jeśli nie myliła go pamięć, w jednej z kamienic w bocznej uliczce dobiegającej do Rynku. Jakimż miłym zaskoczeniem był fakt, iż wciąż - pomimo upływu piętnastu lat - tam się znajdował.

Ze ścian kamienicy odpadał wprawdzie tynk, a firany wiszące w oknach sprawiały wrażenie dawno już nie pranych. Nie zwracał jednak na to uwagi. Był tak zmęczony, że każdy, najnędrniejszy nawet przytułek, potraktowałby teraz jak apartament dla młodożeńców w Sheratonie.

Stanął już na pierwszym stopniu schodków, gdy nagle jego uwagę przykuł czyjś ruch kilkanaście metrów obok niego. Bezsprzecznie, człowiek. Oddalał się od niego, odwrócony doń plecami. Nie zauważył wcześniej jego twarzy, ale miał świadomość, że zna tego mężczyznę. Poznawał go po kocich ruchach i lekko przygarbionej postawie. Po charakterystycznej jasnej lasce z kości słoniowej, mocno dzierzżonej w prawej dłoni.

Nie mógł się mylić.

- Panie profesorze! - zawołał, a gdy to nie przyniosło skutku, wrzasnął, z pewnym wyrzutem, na cały głos: - Panie profesorze!!!

Mężczyzna zareagował, zatrzymując się w miejscu.

Witek po chwili znalazł się przy nim. Ostrożnie obszedł postać okutaną w długi do kostek, ciemny, skórzany płaszcz, typowo jesienny, a więc zdecydowanie nie chroniący przed takimi mrozami, jakie były teraz. Staruszek, przestraszony, przyglądał mu się z zaciekawieniem. Widać było jednak, że mimo wszystko wolałby nie nawiązywać rozmowy z nieznajomym.

Tylko że ten nieznajomy był kiedyś jego najlepszym uczniem...

- Panie profesorze! - powtórzył Witek, teraz już znacznie ciszej. - Pan się mnie wystraszył?

Starzec nie odpowiedział. Nieobecny mi oczyma wpatrywał się w jakiś punkt za jego plecami. Ale tam nikogo nie było - jedynie pusta, ośnieżona ulica.

- Siedziałem w ostatniej ławce, przy oknie, śmiałem się za każdym razem, gdy opowiadał pan o przyczynach wybuchu wojen punickich i tym heroicznym marszu Hannibala na słońcach... - Za wszelką cenę starał się otworzyć w umyśle staruszka szufladkę, w której ten zamknął wspomnienia związane z jego osobą.

Starzec chyba coś sobie przypomniał, ponieważ na jego marsowym dotychczas obliczu zagościł krótki, ale zauważalny uśmiech.

- Jak się nazywasz, chłopcze? - zapytał, kładąc swą zimną kościstą dłoń na jego ramieniu.

- Pilecki, panie profesorze, Witold Pilecki.

- Do której chodziłeś klasy?

- Do „e”, panie profesorze.

- Pamiętam cię - wykrztusił stary nauczyciel, ale ton, jakim to powiedział, nie zabrzmiał przekonywająco. - Ty spotykałeś się z taką młodziutką dziewczyną z równoległej klasy... Na przerwie zawsze można was było zobaczyć razem...

Więc jednak! - ucieszył się. - Poznał mnie!

Miał teraz ochotę rzucić się na staruszkę i wyściskać go jak bardzo dawno nie widzianego przyjaciela, ale w ostatniej chwili powstrzymał się, wystraszywszy, że niechcący mógłby mu zrobić krzywdę,

- Jak ona miała na imię?

- Ania, panie profesorze!

Staruszek zamyślił się. Uśmiech zniknął z jego twarzy, jakby to, co teraz sobie przypomniał, skłaniało raczej do smutku.

- Ania - powtórzył bezwiednie, jak echo. - Piękna dziewczyna... była.

- Wciąż jeszcze jest piękna - zaprotestował Witek.

Ale staruszek zdawał się nie słyszeć jego słów. Zmełł w ustach jakieś przekleństwo, po czym spojrzał na swego rozmówcę nieprzyjaźnie.

- Zawróciłeś jej w głowie i wyjechałeś - powiedział, a każde słowo przychodziło mu z trudem, nie tylko z uwagi na wiek, ale i coraz bardziej doskwierający ciału mróz.

- Chciałem się uczyć, panie profesorze, przecież pan to rozumie... - wtrącił na usprawiedliwienie.

- Ale dziewczyna, głupia, nie rozumiała! - warknął rozszonony staruszek.

- Najpierw ona, a zaraz potem jej matka... udręki nie wytrzymała. - Starzec machnął ręką od niechcenia, jakby odegnąć chciał od siebie nieprzyjemne wspomnienia. - Po coś przyjechał? Tu już nie ma nic. Odejdź!

A gdy Witek ciągle stał w miejscu jak zamurowany, pchnął go lekko laską.

- Przepuść mnie!

Zszedł z chodnika na jezdnię i przez dłuższy czas przyglądał się zgarbionej postaci, która bezszelestnie, niemal unosząc się jak duch nad ośnieżonym i zlodowaciałym chodnikiem, odpływała w dal.

Stracił ją z oczu, kiedy ponownie zgęstniała mgła.

Wnętrze hotelu wyglądało dokładnie tak samo jak jego elewacja.

Jeżeli miał nadzieję, że przynajmniej w środku działać będzie centralne ogrzewanie, szybko dane było mu się jej pozbyć. Na dokładkę nie było komu złożyć zażalenia, albowiem w recepcji nikt nie dyżurował.

Wszedł za kontuar. Na półeczce pod ladą leżał otwarty zeszyt. Spojrzał na ostatni wpis. Data dzienna się zgadzała: „20 stycznia, Antoni Kieres, pokój numer dwanaście, dwie doby”.

Nawet jeśli recepcjonista się gdzieś zawieruszył, to nie będę tu sam - stwierdził i bez większych oporów sięgnął po wiszący w szklanej gablotce klucz z numerem trzynaście.

Wszedł na piętro. Wykładzina skrzypiała pod ciężarem jego kroków. Jeżeli kręcił się w pobliżu ktoś z obsługi, musiał go usłyszeć. Ale nikt nie wyszedł mu na spotkanie.

Odszukał pokój numer trzynaście i włożył już klucz do zamka, gdy przypomniał sobie o sąsiedzie. Cofnął się kilka kroków i delikatnie zapukał do drzwi oznaczonych numerem dwunastym. Nikt mu nie odpowiedział, zapukał więc jeszcze raz, energiczniej i głośniej. Ponownie odpowiedziała mu cisza.

Tknięty niepokojem, nacisnął klamkę - drzwi ustąpiły, lecz przeraźliwym skrzypieniem wyraziły swoje niezadowolenie z wizyty nieproszonego gościa.

Pokój był pusty. Na łóżku dostrzegł jednak pewne ślady używania: pościągane prześcieradło, pognieciona poduszka. Na nocnym stoliczku stała brązowa fiolka. Co było w środku, już go nie interesowało. Wystarczała mu świadomość, że mimo wszystko jest jakiś Antoni Kieres i że najprawdopodobniej wróci na noc do hotelu.

Trzynastka niczym nie różniła się od dwunastki. Łóżko, stolik, dwa fotele, dwudrzwiowa szafa i zimne jak lód kaloryfery.

Odruchowo przekręcił gałkę w radiu stojącym na półce zawieszanej nad łóżkiem, ale nie dało znaku życia. Z sufitu smętnie zwisała goła żarówka. Nie zajarzyła się jednak nawet, gdy włączył kontakt.

Pięknie - mruknął pod nosem. - Czeka mnie urocza noc.

Staął w oknie i zza firany obserwował pustą ulicę.

Z kieszeni kurtki wyciągnął pomięty skrawek papieru. Okazało się, że był to bilet kolejowy. Rozwinął go i głośno odczytał nazwę miejscowości, jakby chciał spytać kogoś, czy na pewno dotarł do celu podróży.

Właściwego celu!

6.

Wizyta Anki, choć zapowiedziana, zaskoczyła go nie mniej niż wszystkie wcześniejsze wydarzenia. Dziewczyna miała na sobie ten sam ciemnogrnatowy zimowy płaszcz, sięgający jej do połowy ud, w jakim spotkał ją w ciągu dnia, i tę samą czapkę na głowie.

Zastała go na wpół śpiącego - ni to leżącego, ni to siedzącego na łóżku - opartego o ścianę i przykrytego własnym kożuchem. Z zimna popadł w odrętwienie, fizyczne i psychiczne. Długo dochodził do siebie, nie mogąc rozprostować przemarzniętych do szpiku kości rąk i nóg.

- Nie wstawaj - powiedziała Anka. - Ja wskoczę do ciebie!

Zgrabnym ruchem zsuła kozaczki, zrzuciła na podłogę płaszcz i wskoczyła na łóżko. Witek odchylił połę kożucha i dziewczyna zanurkowała w zimną i ciemną czeluść.

Jej ciało nie ogrzewało go ani trochę. Wręcz przeciwnie: czuł się, jakby ktoś do jego boku przyłożył okład z lodu. Zaczął drżeć na całym ciele; nie miał jednak śmiałości powiedzieć dziewczynie, by się od niego odsunęła. Anka tymczasem szepiała mu coś do ucha, lecz jego słuch nie potrafił poskładać jej słów w zdania i przekazać ich znaczenia do mózgu.

Było mu coraz zimniej. Znać dawało o sobie także zmęczenie.

Przymknął powieki.

Resztką świadomości bronił się przed snem, ale czuł, że nie jest w stanie przewyciężyć wszechogarniającego go uczucia błędnego rozleniwienia.

Śpiew syren działał nań wyjątkowo kojąco. Ze stanu tego nie wyrwałoby go w tej chwili już nic.

Nic?

Nic poza bardzo silnym światłem skierowanym prosto między oczy.

Ostatkiem sił rozwarł powieki, ale - oślepiiony - natychmiast zamknął je z powrotem. Wtedy poczuł silny ból w ramieniu, spowodowany ukłuciem. Ocknął się, lecz długo jeszcze nie mógł dojść do siebie. Wolno też przyzwyczajał się do światła.

- Nie musi się pan śpieszyć - z oddali docierał doń, niewątpliwie ludzki, głos.

Ale on chciał się śpieszyć. Podkurczył nogi i dopiero po chwili dotarła

doń myśl, że dziwi go fakt, iż mu się to w ogóle udało. Wyprostował dłoń, rozprostował palce. W jego żyłach na nowo zaczęła płynąć krew.

Gorąca krew!

Już bez większych obaw otworzył oczy. W tym momencie czekały go dwa zaskoczenia. Nie był w sam! Nie sam - to znaczy że poza nim i Anką (pamiętał doskonale, jak przyszła), było tu jeszcze dwóch obcych mu mężczyzn. Nie mniej dziwne wydało mu się jednak, że wciąż jeszcze znajduje się w tym samym hotelowym pokoju.

Dlaczego nie przewieźli mnie do szpitala? Tam na pewno nadawałbym się dużo bardziej - kłębiły się w jego głowie nieznośne myśli.

Jeden z mężczyzn, w białym, sterylnym kitlu, pomógł mu się podnieść.

- Musi pan trochę pochodzić - wytłumaczył.

I chociaż nogi odmawiały posłuszeństwa i gięły się w kolanach, to mimo wszystko, zgodnie z sugestią nieznanego, starał się stawiać kroki. Bardzo nieporadne. Jakby dopiero uczył się chodzić.

Po chwili pozwolili mu sięść na fotelu, który do tej pory zajmował drugi z mężczyzn. Nie miał wprawdzie na sobie munduru, ale była od niego wojskowa czy też policyjna dystynkcja.

- Kim pan jest? - spytał „oficer”, bo tak już zdążył nazwać go w myśli.

- Nazywam się Pilecki. Witold Pilecki - odpowiedział.

- Co pan tu robi? - pytania były zadawane nieznoszącym sprzeciwu tonem.

- Tutaj?

- W mieście!

- Przyjechałem - odparł Witek, nie bardzo rozumiejąc, czego chce od niego nieznanomy.

- Kiedy?

- Dzisiaj! A może... to już było wczoraj? - Rozejrzał się po pokoju, ale nigdzie nie zauważywszy zegara, dodał: - Nie wiem, która jest godzina.:. Nie wiem, jak długo spałem.

- Jak pan trafił do tego hotelu?

- To jedyny hotel w mieście - odpowiedział automatycznie słowami, które, nie wiedzieć dlaczego, wyjątkowo zapadły mu w pamięć - prawda?

- Kiedyś tak - odparł oficer, ale nie rozwinął tematu.

Podszedł tylko do łóżka i zrzucił na podłogę leżący nań kożuch. Jak się okazało, przykrywał on Ankę, a może raczej - jej ciało.

Witold chciał się poderwać z fotela, ale nogi nie były w stanie utrzymać go w pozycji pionowej, i opadł z powrotem na obszyty zamszem materac.

- Co jej jest? - zapytał.

- Nie żyje - odparł bezceremonialnie oficer.

Ponownie poczuł, jak odpływa w nicość. W jednej chwili stanęły mu przed oczyma wszystkie wydarzenia minionego dnia. Anka, stary profesor, pusty hotel i wizyta dziewczyny o zmroku, a nade wszystko - zimno.

Zimno - którego już nie odczuwał.

Spojrzał na oficera, który świdrował go swym nie mniej od zimna przenikliwym wzrokiem.

- Pan myśli, że ja, ja ją zabiłem? - wyjąkał wreszcie.

- Z tego, co mi wiadomo, to w pewnym sensie tak.

- W pewnym sensie?! - powtórzył Witold.

Mężczyzna przysiadł na brzegu łóżka, tuż obok bezwładnie leżącego ciała Anki. Poprawił niesforne dziewczęce kosmyki, opadające jej na twarz.

- To miało miejsce piętnaście lat temu - wyjaśnił, ale jego słowa tak naprawdę nic nie wyjaśniały. - Tak przynajmniej wynika z akt - dodał po chwili.

- Co się stało?

- Bardzo prozaiczna historia. Młoda, nieszczęśliwie zakochana dziewczyna, porzucona przez chłopca, który wyjechał do innego miasta, nie dając nawet znaku życia - oficer odpowiedział takim tonem, jakby streszczał ckliwą romantyczną powieść o wielkiej miłości, pisaną z myślą o zakompleksionych pensjonarkach z końca XIX wieku. - Otruła się!

To, co usłyszał, wprawiło Witolda w jeszcze większe osłupienie. Długo zbierał myśli, nim wreszcie odważył się zapytać:

- Czy ja zwariowałem?

- Wszystko by na to wskazywało, prawda? - Oficer niczego mu nie ułatwiał.

Witold bezwiednie przytaknął ruchem głowy, na co jednak nieznamy -zawodowy żołnierz czy też policjant? - zaprzeczył.

- Pan nie zwariował - stwierdził. - Pan po prostu posiadał bardzo rzadki dar.

7.

Sceneria zmieniała się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Chociaż - z punktu widzenia Witolda - była to raczej czarna, aniżeli biała magia. W jednej chwili bowiem powróciły mrok i ciemność.

I Anka.

Poruszyła się na łóżku i wyszeptała:

- Zimno mi, Wiciu.

Poderwał się z fotela i sięgnął, rzucony na podłogę przez oficera, kożuch. Przykrył nim drżącą z zimna dziewczynę. Ale i jemu zrobiło się ponownie bardzo zimno.

Podszedł do okna i wyrzał na ulicę, mając nadzieję, że może zobaczy wychodzących z hotelu jego niedawnych gości, oficera i towarzyszącego mu lekarza bądź też, tego nie był pewien, pielęgniarza. Nie świeciła jednak żadna latarnia, więc choć wysilał wzrok, nikogo nie mógł dostrzec.

- Dlaczego nie ma prądu? - zapytał.

- Nie ma? - odparła zdziwiona Anka.

- I dlaczego jest tak zimno? - kontynuował.

- Przecież mamy zimę - odpowiedziała i był pewien, że gdyby mógł widzieć jej twarz, dostrzegłby teraz na niej uśmiech. Identyczny, jaki przywdziewają matki, którym dzieci zadają głupie lub też tylko rażące oczywistością pytania.

- Spotkałem dzisiaj nie tylko ciebie - powiedział w ciemność.

- Nie tylko mnie... - powtórzyła dziewczyna, jakby to miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

- Pamiętasz profesora Bruecknera?

- To ten staruszek, który uczył historii, i ani przez chwilę nie rozstawał się ze swoją laską?

- Mówił, że została zrobiona z kości słoniowej...

- To miał być jeden z tych słoni, które przywędrowały z Hannibalem z Kartaginy.

- Nikt mu nie wierzył - stwierdził Witold.

- Nie dziw się. Ta laska musiałaby mieć kilka tysięcy lat...

- A ile lat ma on? - spytał.

- Nie pamiętam - odparła Anka. - Siedemdziesiąt kilka?...

- Miał siedemdziesiąt dwa lata, kiedy jeszcze mnie uczył
- wyszeptał Witold. - Dzisiaj powinien mieć już prawie dziewięćdziesiąt.

- Dziewięćdziesiąt?! Co ty mówisz? - zaniepokoiła się dziewczyna.

W absolutnej już niemal ciemności, jaka zapanowała w pokoju, nie widział nic, ale po dźwiękach, które doń dochodziły, domyślił się, że dziewczyna wstała z łóżka. Chwilę później przecesała palcami jego niesforne włosy. Biło od niej niewyobrażalne zimno; instynktownie więc zrobił krok do tyłu i poczuł wżynający mu się w plecy na wysokości pasa parapet.

- Może on też już nie żyje? - mruknął.

- Wiciu, masz dzisiaj wyjątkowo podły nastrój!... Zamiast się cieszyć, że wreszcie jesteśmy razem.

- Razem?! - krzyknął i z całych sił odepchnął dziewczynę od siebie.

Anka wpadła na fotel i, potknąwszy się, przewróciła na podłogę.

Nie chciał mieć z nią już nic wspólnego. Zamaszystym ruchem odwrócił się do okna i, w świetle ulicznej latarni, dostrzegł zaparkowany przed budynkiem mały bus. Kierowca dopalił właśnie papierosa i przez otwarte okno wyrzucił go na jezdnię.

- Nie powinien pan reagować tak nerwowo - stwierdził oficer, który ponownie znalazł się w pokoju.

- A pan jak by zareagował? - odparł. - Skoro ona nie żyje...

- Profesor Brueckner zresztą również. Zmarł przed dwunastu lat, kilka miesięcy po przejściu na zasłużoną emeryturę - wyjaśnił nieznajomy.

Witold oparł się o parapet. Uważnie obserwował oficera, który nagle zaczął zachowywać się bardzo niepewnie. Ostrożnie wycofał się do drzwi i stamtąd wodził wzrokiem po pokoju.

- Proszę mi mówić, co się dzieje - zwrócił się do Witolda.
- A co ma się dziać?
- Z dziewczyną!

Obraz pokoju mimowolnie zasnuł się mgłą. Z tej mgły wyłoniła się postać Anki. Podniosła się z podłogi i pełnymi strachu i niezrozumienia oczyma tępo wpatrywała się w Witolda.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała.
- Niech pan mówi! - zza pleców Anki dobiegł go głos oficera. - Co się dzieje? Co ona robi?

Witold czuł, jakby znajdował się w tym samym czasie w dwóch różnych miejscach naraz. Tymczasem, szybko zdał sobie z tego sprawę, najprawdopodobniej było dokładnie na odwrót: był w tym samym miejscu w dwóch różnych czasach albo też - taką możliwość również zaczął przyjmować do wiadomości - w tym samym czasie w dwóch różnych światach.

Patrzył na Ankę, a za nią widział postać oficera.

Dziewczyna drżała z zimna, mężczyzna natomiast ocierał pot z czoła. On zaś nie czuł nic: ani zimna, ani gorąca - może znajdował się w strefie neutralnej, przygranicznym pasie rozdzielającym dwa światy. Gdzie nie czuje się nic.

8.

Kiedy ustabilizował własne myśli, dziewczyna znikła. W pokoju pozostał jedynie oficer.

- Proszę mi opowiedzieć, co się działo - zwrócił się przymilnym tonem do Witolda.

- Widziałem i pana, i ją. W tej samej chwili.

Mężczyzna nie okazał żadnego zdziwienia.

- Tego się spodziewaliśmy - stwierdził tylko.

- Co się ze mną stało? - spytał Witold, opadając miękko na fotel. Był wyczerpany. Z trudem zadawał pytania. Z jeszcze większym trudem przychodziło mu jednak wysłuchiwanie odpowiedzi.

- Naukowcy - rozpoczął oficer - dawno już odkryli istnienie paralelnego świata. Świata duchów, czy też, jak pan woli, zmarłych. Staraliśmy się kontaktować z nim, jak pewnie pan sam pamięta z dzieciństwa, w różnoraki sposób. Jedni wywoływali duchy, biorąc udział w seansach spirytystycznych przy okrągłych stoliczkach, inni używali w tym celu książeczek do nabożeństwa...

- Przecież to bzdury - przerwał mu Witold.

- Bzdury? - powtórzył oficer. - Ale wierzy pan w życie pozagrobowe? - bardziej stwierdził, niż spytał.

Chciał odpowiedzieć mu równie ostro, zbesztać za gadanie głupot, ale przecież to, co przeżył... potwierdzało słowa nieznanego.

Biorąc oczywiście pod uwagę fakt, że mimo wszystko nie zwariował.

- Ten świat istnieje, czy to się panu podoba, czy też nie - kontynuował oficer. - A my szukamy doń wstępu. Potrafimy go monitorować za pomocą specjalnego promieniowania. Na swój sposób „widzimy” ich, chociaż nie rozróżniamy... Dopiero pan!

- Co - ja?

- Pan ich zobaczył naprawdę! Pan mógł z nimi rozmawiać!

W miarę snucia tej historii oficer podniecał się coraz bardziej. Mówił z coraz większym entuzjazmem, chociaż to, co opowiadał, wydawało się tak nieprawdopodobne.

- Ale czemu ja? - to nurtowało teraz Witolda najbardziej.

- Pan znalazł, oczywiście niechcący, mówiąc nieco górnolotnie, wrota do ich świata - odpowiedział jak najbardziej poważnie policjant.

- W jaki sposób?

- Postanowił pan powrócić do miasta swojej młodości po... - oficer nie mógł sobie przypomnieć, ile to lat minęło, więc Witold przyszedł mu w sukurs:

- ... piętnastu latach.

- Właśnie. - Potwierdził to jeszcze skinieniem głowy i natychmiast podjął przerwany wątek: - Chciał pan odwiedzić ludzi niegdyś sobie bliskich, prawda?

- Teraz Witold przytaknął bez stów. - Pech (a może szczęście?) chciał, że ci, dla których pan wrócił, już nie żyją. Ale o tym nie mógł pan wiedzieć. Jak jednak mogliśmy się przekonać, nie tylko pan chciał ich zobaczyć, ale również oni chcieli zobaczyć pana. - Oficer na moment, dla dodania efektu, zawiesił głos.

- Dlatego wrota zostały otwarte!

Witold, wgnieciony w fotel, próbował spokojnie poskładać wszystkie elementy tej niecodziennej układanki.

Dopiero po dłuższym milczeniu, którego nie przerywał także policjant, zapytał:

- Skąd wiedzieliście, że wpuścili mnie do siebie?

- To jest zamknięty świat. Można ewentualnie, czego pan jest przykładem, wejść doń, nawet będąc żywym, ale na pewno nie można go opuścić. Nasze monitory zarejestrowały pojawienie się nowego „mieszkańca”. To wprawdzie jeszcze

nic nowego. Proszę jednak wyobrazić sobie nasze zdziwienie, kiedy w ciągu następnych kilku godzin nie otrzymaliśmy żadnej informacji o zgonie. Postawiliśmy na nogi wszystkie służby. Przeszukaliśmy za pomocą radarów wszystkie mieszkania, meliny, każdy metr kwadratowy powierzchni... I co się okazało?

- Że nikt nie zmarł... - dokończył Witold.

- A jeśli nikt nie zmarł, znaczyło to, że po raz pierwszy od dziesięciu lat, od kiedy trzymamy rękę na pulsie, musiał doń przeniknąć ktoś z zewnątrz!

- I tak dotarliście do mnie...

- Nie było to, wbrew pozorom, takie proste. Namierzaliśmy pana wprawdzie, ale nadal nie wiedzieliśmy, kim pan jest i gdzie pana szukać. Dopiero nasi archiwiści ustalili pana dane osobowe na podstawie danych „osób”, z pan się spotkał.. Wiedząc, że opuścił pan miasto przed piętnastoma laty, doszliśmy do wniosku, że trafiając do paralelnego świata, istniejącego w zasadzie jedynie w pańskiej wyobraźni, przeniósł się pan w czasie o te piętnaście lat. Ustaliliśmy, gdzie jest hotel - w tamtym czasie jedyny w mieście - i trafiliśmy za panem tutaj.

Wszystko wydawało się takie logiczne. W kontekście tego, co przeżył, Witold nie mógł traktować wyjaśnień oficera jako majaczeń chorego psychicznie.

Jeszcze jedna rzecz nie dawała mu jednak spokoju.

- Jeżeli jestem w tamtym świecie... jak to możliwe, że widzę także pana? - zapytał.

- Pan jest w obu światach naraz - odparł policjant. - Choć może bliższe prawdy byłoby określenie, że znalazł się pan na ich pograniczu. Jako żywy, ale zaakceptowany przez zmarłych, może pan się poruszać w obu przestrzeniach. Oba światy istnieją w panu jednocześnie, a więc to, w którym z nich znajdzie

się pan w danej chwili, zależy tylko i wyłącznie od stanu pana umysłu.

- Mogę więc stąd odejść?...

Gdy tylko sobie to uzmysłowił, postać oficera rozwiąła się we mgle. Zobaczył za to, siedzącą na brzegu łóżka i zapłakaną, Ankę.

Pochylił się nad nią i delikatnie pogłaskał ją po głowie.

- Wybacz mi, Aniu - poprosił.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Szlochała tylko, a jej łzy spływały teraz po jego dłoni, natychmiast zamieniając się w drobniutkie sople lodu.

Zebrał z podłogi buty Anki i, przełamując opór dziewczyny, pomógł jej je założyć. Potem zarzucił na ramiona płaszcz, nie zapominając również sięgnąć po swój kożuch.

Bez słowa wypchnął ją na korytarz. Zbiegli po schodach na parter i, mijając pusty hol, wyszli na ulicę.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Dla ciebie to już nie ma żadnego znaczenia - odparł. - Ale spróbować zawsze warto - dodał.

Przyspieszył kroku, ciągnąc dziewczynę za sobą.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że będą śledzeni przez oficerów tajnej - inna przecież takimi sprawami zajmować się nie mogła - policji. Pocieszał go jednak fakt, że nawet gdyby bardzo chcieli, nie mogą w żaden sposób interweniować...

Po kilkunastu minutach wędrówki opustoszałymi ulicami miasta dotarli do budynku dworca.

Teraz należałoby się tylko modlić o to, by nadszedł pociąg. Dokądkolwiek - pomyślał, gdy oboje znaleźli się na pustym peronie.

- Chcesz mnie stąd zabrać? - zapytała Anka.

- Jeśli tylko okaże się to możliwe... - odparł, szepcząc jej wprost do ucha, choć nie sądził, by żywi byli w stanie ich podsłuchiwać.

- A jeśli nie?

- Wtedy... - przerwa! na moment, bo tak naprawdę sam nie wiedział, co może się wówczas wydarzyć - wszystko wróci do stanu sprzed mojego pojawienia się.

- Czyli... znowu odejdziesz?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym samym momencie z oddali dotarł do nich odgłos nadjeżdżającego pociągu.

9.

Podobnie jak wczoraj, także i tym razem, z pociągu nikt nie wysiadł.

Witold, niezrażony tym, ruszył w stronę jednego z wagonów. Ankę jakby замуrowało w miejscu.

- Chodź! - zawołał.

- Wiciu, ja nie mogę.

- Co ty opowiadasz! - krzyknął, wściekły.

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

Ale dziewczyna nie ruszyła się z miejsca.

- Anka! - zawył niemal bezgłośnie. W tym jednym słowie zawarł tyle błagania, że nawet najtwardszy kamień musiałby pęknąć pod naporem litości.

Ale nie ona.

Stał już przy wagonie, wspiął się na schodki i pociągnął za klamkę drzwi, które rozwarły się zapraszająco.

Dziewczyna zrobiła krok w jego kierunku.

Podał jej rękę.

I w tym momencie pociąg ruszył. Ich palce połączyły się jeszcze na krótką chwilę, po upływie której nie czuł już jednak w dłoniach nic.

- An-ka! - całą swoją beziłę wtłoczył w to jedno słowo. Nie pomogło.

Zawisł na schodach, bijąc się jeszcze z własnymi myślami: mógł skoczyć, ryzykując w najlepszym razie złamaniem nogi lub ręki, w najgorszym zaś życiem. Mógł też spokojnie wejść do wagonu, by za czas jakiś, dużo lepiej przygotowany, wrócić i podjąć kolejną próbę.

Nim ostatecznie zdecydował, dostrzegł stojącego obok, we wnętrzu wagonu, starego konduktora. W jego twarzy, wówczas dobrotliwej, teraz czało się zło.

- Miałeś swoją szansę, synu! - powiedział twardo, przez zęby, by po chwili kopnąć go w zmarzniętą dłoń, którą Witold przytrzymał się poręczy.

Poczuł jeszcze, jak upada. Nie w śnieg, ale prosto na obłożony beton peronu.

Epilog

Policjant pochylił się nad szpitalnym łóżkiem, w którym, nie zdradzając żadnych oznak życia, leżał nieprzytomny Witold. Stojący za jego plecami, ubrany w nieskazitelnie biały fartuch ordynator chrząknął znacząco, dając jednoznacznie do zrozumienia, że czas wizyty dobiegł końca.

- Nie wiem, po co tak bardzo upiera się pan przy tym, by utrzymać go przy życiu - stwierdził lekarz, kiedy obaj mężczyźni znaleźli się w pustym korytarzu.

Gliniarz długo zastanawiał się, co powiedzieć; wreszcie, ponaglony nieprzejednanym spojrzeniem doktora, wydukał:

- Jest pan absolutnie pewien, że on już nigdy nie odzyska przytomności?

- Nie jestem Bogiem, więc nie ja podejmuję decyzje - odparł zmęczonym głosem ordynator. - Zapadł w śpiączkę, z której może wyjść za dwa tygodnie, za dwa lata, a może dopiero... za dwa wieki. Zakładając, że jest nieśmiertelny...

Na ostatnie stwierdzenie policjant uśmiechnął się lekko pod nosem, po czym zerknął jeszcze raz przez oszklone drzwi do wnętrza sali; ciało Witolda spoczywało wciąż w tym samym miejscu.

- Długo możecie utrzymywać go tak przy życiu? - spytał.

- Do końca.

Oficer delikatnym ruchem głowy ukłonił się na pożegnanie. Chciał już odejść, ale w ostatniej chwili zatrzymał się i odwrócił.

- Jeśli przebudzi się...

Nie dokończył. Lekarz wszedł mu w słowo.

- Oczywiście! Zawiadomimy pana.

Przytaknął i ruszył pustym korytarzem do wyjścia. Nim jednak zdążył zacisnąć dłoń na klamce, usłyszał za plecami głos lekarza.

- Czy można wiedzieć, co ten człowiek zrobił?

- Jest pan wierzący? - odpowiedział pytaniem oficer.

- A jakie to ma znaczenie?

- Proszę odpowiedzieć!

- Jestem.

- Bo on... być może... - zastrzegł się - znalazł drogę.

- Drogę?

- Do Boga.

Do Boga - powtórzył, ale już tylko w myśli, wychodząc na zatłoczoną ulicę.

Cisza i bezruch. Nie tak Witold wyobrażał sobie tamten świat.

Nad jego głową straszyl obdrapany sufit. Widział go, nie otwierając oczu, bo teraz już oczy nie były mu potrzebne do postrzegania.

Nie wszystkim umarłem - przekonywał, ale sam nie wiedział, kogo.

Nie miał ciała, miał za to umysł - tego jednego był pewien. Umysł, przez który co rusz ktoś przechodził.

Czuł się jak otwarta na oścież brama.

październik 2002

Tomasz Kaczmarek

WYRWANE SKRZYDŁA

Kolejny mglisty ranek powitał Dżejdzēja i Karla. Nie śpieszyli się ze wstawaniem. W końcu nie mieli ku temu żadnych powodów.

W zaułku, nazywanym przez niektórych „domem”, mieszkało kilkunastu bezdomnych. Żaden nie miał pracy, prawie wszyscy natomiast mieli rodziny, które przy odrobinie dobrej chęci mogłyby zabrać ich z tej cuchnącej kloaki. Można by rzec, że mieszkali na śmieciach, spali na nich, jedli je i nimi się okrywali. Dlatego też po pewnym czasie każdy mieszkaniec zaułka stawał się takim samym bezwartościowym odpadem. Nadzieja na poprawę bytu opuściła ich już dawno. Wegetowali

jak rośliny. Nawet zdolność myślenia zanikała u nich w takim stopniu, że stapiali się w jedną bezkształtną masę.

- Kurwa mać - odezwał się Karl i jęknął przeciągle.

- Czego się kurwa drzesz?! - wyrwany nagle ze snu Dzejdzej był wściekły. Nie lubił, gdy ktoś zabierał go z objęć Morfeusza, choćby była to sprawa życia i śmierci. Odrzucił z głowy starą gazetę i spojrzał na przyjaciela. - Trza było nie chlać tyle. Po chuja doileś? Trza było nie doić. - Karl znowu jęknął, mruknął coś pod nosem i przewrócił się na drugi bok. Tak naprawdę Dzejdzej wiedział, że drugi mężczyzna nie był w stanie odmówić kolejnej butelki bimbrow. Nikt tutaj by nie odmówił. Alkohol, poza snem, był ich jedyną ucieczką przed rzeczywistością - jakże smutną i okrutną. Taką, w której najdroższe ci osoby mają cię w dupie, a każdy napotkany człowiek najchętniej splunąłby na ciebie, nasikał i skopał jeszcze porządnie, żeby sobie ulżyć i dowartościować. Dzejdzej wiedział o tym wszystkim, ale nie obchodziło go to. W świecie zawieszonym między snem a pijackim transem liczyła się tylko ucieczka - od tego, co jest prawdą.

Minęło trochę czasu. Karl cały czas pojękiwał z cicha, Dzejdzej zdrzemnął się. Na głęboki sen nie było go stać o tej godzinie, ale leżał sobie całkiem wygodnie z zamkniętymi oczami.

- Wstajesz?

Dzejdzej, choć niechętnie, rozwarł powieki. Karl przykucnął nad nim, kiwając się nieznacznie w przód i w tył. Ręce pokryte pęcherzami drgały mu niemiłosiernie. Tego odruchu za nic nie potrafił opanować. Dotknął trzęsącym się palcem twarzy przyjaciela.

- Coś sobie nabiłeś na czole. - stwierdził fachowo.

- Nie pierdol. - odparł tamten. - Co?

- Chuj ci wie. Masz strupa jakiegoś. - Dżejdzzej pomacał skórę.

- Kurwa faktycznie. Strup jak chuj. - zaczął dotykać i macać. W końcu odłupał kawałek i spojrzał na niego krytycznym wzrokiem. - Musiałem się kurwa jebnąć przez sen. - Otworzył szerzej oczy. - Jak to się kurwa mogło stać? - Karl wzruszył ramionami.

- Co za różnica? Masz strupa i już. Od tego się nie umiera.

- Niby nie, ale... - ich rozmowę przerwały krzyki z ulicy leżącej prostopadle do ich zaułka. Dzieci darły się do siebie albo piszczały jak myszy. Biegały i śmiały się.

- Co tam kurwa na Boga jedyne go się wyprawia? - ryknął wyraźnie dziś rozdrażniony Dżejdzzej.

- Zostaw... Dzieciaki z sierocińca pewnie znowu znalazły martwego kota i im odjebuje.

- Zakurwie... - Dżejdzzej był wyczulony na wszelkiego rodzaju akty okrucieństwa ze strony dzieci. Nienawidził, gdy znęcały się nad zwierzętami. Kiedyś spotkał grupę chłopców, którzy połamali kotu nogi, żeby nie mógł uciekać, a potem kręcili nimi tak, aby zadać jak najwięcej bólu. Na koniec wydlubali zwierzęciu oczy. Bezdomny złapał tylko jednego, ale wlał mu tak, że tamten przez tydzień nie mógł wstać z łóżka. Przyjechała nawet policja, ale rozejrzeli się tylko po okolicy i pojechali. W dupie mieli dzieci z sierocińca, tak samo jak miejscowych bezdomnych i zapchlone zwierzęta. Ale swoje zrobili i sumienia mieli czyste.

Dżejdzzej wstał i ruszył w kierunku, z którego dobiegały głosy.

- Zostaw, kurwa! - krzyknął za nim Karl. - Znowu to samo. - mruknął zirytowany. Z trudem wstał i powlókł się za przyjacielem.

Dzieci, widząc dwóch bezdomnych, stanęły w miejscu, ale gdy rozpoznały, że jednym z nich jest Dzejdzej, natychmiast rzuciły się do ucieczki. Mężczyzna doczłapał na miejsce i złapał jednego chłopca, który za późno zorientował się w sytuacji.

- Aaaaa! Puszczaj, kurwa! Puszczaj ty stary śmierdzielu! - bezdomny uderzył go zewnętrzną częścią dłoni w twarz. Małec zaniósł się szlochem.

- Co wy tu znowu kurwa wyprawiacie? Następny kot?

- Pu-u-uszczaj ty chu-u-u-uju - beczał chłopiec. Drugie uderzenie spowodowało jednak, że zaczął mówić. - Zna-a-aleźniśmy takiego pta-aszka. Ale był już martwy! - wydarł się najgłośniej jak mógł, widząc, że Dzejdzej unosi już rękę do kolejnego ciosu.

- Nawet trupowi nie dacie spokoju małe gównojady... - mały nie szarpał się już. Otarł ręką łzy i krew sączącą się obficie z nosa.

- Ja nic nie zrobiłem - rzekł jakby odważnie, po czym odruchowo zasłonił rękoma twarz. Ale spodziewane uderzenie nie nadeszło. Rozwarł nieznacznie zaciśnięte powieki.

- Gdzie on jest?

- Raszek? Tam leży - wskazał palcem.

- Spierdalaj - mruknął mężczyzna i wypuścił chłopaka. Ten uciekł bardzo szybko. Gdy był już wystarczająco daleko, odwrócił się i zaczął krzyczeć:

- Ty stary chuju! Zajeziemy cię słyszysz? Jak tylko podrośniemy, przyjdziemy po ciebie ty łysy chuju pierdolony w

dupę matki! - darł się tak przez kilka chwil, zanim Dzejdzej nie posłał w jego kierunku kamienia.

- Mały skurwiel - mruknął do siebie bezdomny. Po chwili doczłapał do niego powłócząc nogą Karl.

- I na co ci to było? Dla ptaka? Za kilka lat oni zrobią z nas miazgę.

- A bo to mało jest zaułków na świecie? Zwiejemy - rzekł spokojnie i ruszył w kierunku, który uprzednio wskazał malec.

- Co ja z tobą mam - syczał mu za plecami przyjaciel. - Pieprzony moralista. - Dzejdzej udawał, że nie słyszy. Zaczął odrzucać na bok kartony, którymi podobno obudowany był zamęczony ptak. Na bok poleciały stare panasoniki i inne soniaki. Nagle mężczyzna wyprostował się. Stał przez moment w bezruchu.

- Co tak stoisz? - zapytał zaciekawiony Karl. - Ej, mówię do ciebie, kurwa! - ale ten drugi nic nie odpowiadał. W końcu powoli odwrócił głowę. Wzrok miał jakiś dziwny... Przerażony. - Co ty tam... kurwa... - ten strach widoczny w oczach przyjaciela udzielił się również kulawemu. Powoli zbliżył się do niego. Nie odważył się spojrzeć w dół. - Co tam jest?

- Sam zobacz. Kurwa mać - mruknął Dzejdzej i skinął głową na drugiego mężczyznę. Ten w końcu spojrzał. W śmieciach leżała okaleczona androgeniczna postać przypominająca kobietę, ale bez narządów rodnych, z długimi białymi skrzydłami. Białe włosy rozrzucone były w nieładzie, ale mimo to widać było resztki dużych loków, misternie kręconych przez bardzo cierpliwego fryzjera. Jej oczy były puste, tęczęwki błękitne, nieco zamazane. Duże i wydatne usta lekko rozchylone. Skóra tego niezwykle pięknego ciała była mocno poraniona. Widać było ślady różnych dziecięcych zabaw. Ponacinane palce, przypalone pośladki, poobcierane ramiona i plecy.

Siniaki na klatce piersiowej i brzuchu. Twarze obu bezdomnych wyrażało bezdenne zdumienie. Jak to się stało? Przecież takie rzeczy nie dzieją się naprawdę.

- Przecież to niemożliwe. - Karl podniósł głowę. - To na pewno jakieś oszustwo.

- Kurwa, musi być oszustwo. Niemożliwe, żeby nie było, nie?

- Jasne.

Stali w milczeniu przez jakieś dziesięć minut. Z odrętwienia wyrwał ich dopiero odgłos przejeżdżającej w pobliżu ciężarówki.

- Musimy ją stąd zabrać - orzekł w końcu Karl. Dziejdziej pokiwał twierdząco głową. - Ciała aniołów nie ulegają rozkładowi...

- Skąd wiesz, że to anioł?

- A kto niby? Władimir kurwa Putin?

- No dobra...

- No więc ciała aniołów nie ulegają rozkładowi. Ale musimy z nią coś zrobić.

- Zakopmy ją.

- Dobra myśl. Gdzie i jak?

- Nie wiem.

- No właśnie.

- To co chcesz zrobić?

- Nie mam pojęcia. Zabierzmy ją do zaułka i ukryjmy. Pomyślimy na miejscu.

Owinęli bezwładne ciało w brudne szmaty i gazety. Z trudem podnieśli, choć nie była ciężka. Zanieśli do swojego „domu”. Tam wrzucili za stertę kartonów obok starego kontenera na gruz. Nielicho się zasapali. Byli tak wstrząśnięci całym zdarzeniem, że powaga całej sytuacji jeszcze do nich nie dotarła.

- Ona tam leży...
- Wiem, kurwa.
- I co z nią zrobimy?
- Tego kurwa nie wiem.

Dżejdzėj rozdrażniony od rana teraz zdawał się przypominać rozjuszzonego byka. Zupełnie, jakby wszędzie dookoła ktoś porozwieszał czerwone płachty. Co chwila kłął pod nosem, to znowu wzywał Boga. Ludzie z zaułka zajęci własnymi problemami zdali się nie zauważyć, gdy Dżejdzėj i Karl przynieśli owinięte szmatami ciało.

- Jeeezuuiu... Ona tam leży Dżej...

Jakiś bardzo stary mężczyzna niebezpiecznie blisko podszedł do miejsca, gdzie złożyli zwłoki.

- Czego kurwa chcesz Kaczmarek? - starzec wzdrygnął się i cofnął o dwa kroki. Wystawił jedną nogę i wyszczerzył resztki pożółkłych i poczerniałych zębów w iście upiornym uśmiechu.

- Słyszałem, że macie tu babkę i se używacie... Dalibyście koledze podupczyć? Tomaszek nie dupczył od dwudziestu lat. Ciągle tylko walę konia i...

- Wypierdalaj! - Dżejdzėj zerwał się na równe nogi i podbiegł do Kaczmarka. Ten skulił się przerażony i zaczął bardzo szybko powtarzać:

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam... - młodszy mężczyzna opuścił uniesioną już do góry zaciśniętą pięść. Spojrzał na obleśnego starca i rzekł pozornie spokojnym i cichym głosem:

- Nie mamy żadnej kobiety. A tobie i tak by nie stanął. - Dziad zaniósł się szlochem, którego skrzeczący dźwięk przypomniał o ciarki. Odszedł powoli w stronę swojego legowiska.

Dżejdzęj spojrział na Karla i rzekł cicho: - Popatrz, co to miejsce robi z człowiekiem... - tamten pokiwał głową.

- Stary Tomuś Kaczmarek jest całkiem w porządku. Popatrz na to tak.

Tutaj są albo pedały i ładują se w dupy, albo dymają bezdomne suki, o ile te nie gryzą za mocno. Bab nie ma tu wcale. A stary ma swoje zasady. Wolał walić gruchę przez dwadzieścia lat niż zgwałcić jakąś dziewczynkę albo bzyknąć kumpla czy psa. Na jedno by zresztą wyszło. Wiesz ty co... A może powinniśmy mu pozwolić... - Karli urwał i skulił się w sobie pod ważącym całe tony spojrzeniem Dżejdzēja. Ten ostatni usiadł przy przyjacielu.

- Musimy coś z nią zrobić. Bo jak sępy wyczują padlinę... Wiesz, co zrobią.

- Tak wiem... Wiem! - krzyknął mimo, że nie zamierzał. Przeklął szybko własną nadpobudliwość. Szereg wlepionych w niego par błyszczących oczu sprawił, że poczuł się bardzo nie-swojo. Ściszył głos i szepnął Dżejdzēja:

- Ksiądz. Zanieśmy ją do księdza.
- Ty kurwa wiesz, że to dobra myśl?
- To co? Idziemy?

- Nie teraz. Poczekamy, aż wszyscy pójną spać. Wcześniej nas nie wykumali, ale teraz, jak krąży plotka, że coś mamy...

Uczynili tak, jak postanowili. Gdy słońce zaszło, ulice skryły się pod grubym płaszczem ciemności. Latarnie paliły się gdzieś tam, ale dawane przez nie światło nikło w wieczornej mgle. Kłęby pary unoszącej się z piwnic i suteren wzmacniały uczucie wyobcowania, zdawały się pytać, jakie jest miejsce człowieka w dżungli z betonu i szkła. Spowijały nieprzebytym całunem ludzkie myśli, powodowały klau-

strofobiczny niemal strach. Świat wydawał się taki mały, ciasny i cuchnący...

Dzejdziej sprawdził wszystko bardzo dokładnie. Był niemal pewien, że wszyscy śpią. Czy faktycznie tak było, nie potrafił stwierdzić. Nie miał zamiaru łamać sobie na tym głowy. Przyszedł czas na działanie. Odgarnęli możliwie jak najciszej wszystkie kartony i gazety pokrywające ciało anioła. Karl syknął wściekle i odgonił szczura ogryzającego palce postaci. Aż dziw brał, że nie było ich więcej - zwierząt czy robactwa... Dzejdziej stwierdził, że to dlatego, że zwłoki w żaden sposób nie przejawiały oznak rozkładu. Wręcz przeciwnie, mimo że bardzo ubrudzone, pachniały kwiatami... Zapach ten powodował łzawienie w oczach dwóch bezdomnych, którzy nie czuli równie pięknej woni od wielu lat. Okryte szczelnie ciało chwycili z jednej strony za nogi, z drugiej za ramiona i z trudem zaczęli posuwać się w stronę największej arterii komunikacyjnej w okolicy. W nocy i tak nikt tędy nie jeździł, a patrole policyjne omijały zaułki z daleka. W końcu nie było tu czego strzec.

Gdy znaleźli się w świetle jednej z latarni, usłyszeli krzyk jakiejś kobiety i dźwięk zatraskiwanego okna. Dzejdziej mruknął, aby się pośpieszyli. I faktycznie resztkami sił tkwiących w ich zmęczonych i zniszczonych ciałach toczonych na przełomie ostatnich lat dziesiątkami nieleczonych chorób, dokonali rzeczy niezwykle trudnej. Doczłapali pod wrota kościoła pod wezwaniem Dwunastu Apostołów. Brama była zamknięta.

- Zostawmy ją na schodach i w nogi - mruknął Karl. Dzejdziej nie zaszczycił go odpowiedzią. Ułożył dziewczynę na stopniach i mozolnie próbował otworzyć drzwi. - Jak proboszcz wyniucha, że ktoś chce wejść, zawezwie policję. A na jego wezwanie na pewno przyjadą.

- Trzym kurwa ryj - odparł w końcu ten drugi. - Idziemy na tyły. Zajrzymy na plebanię.

- Ochujałeś? On nas udupi.
- To ksiądz Karl. Nie udupi.
- Obyś się nie mylił.

Ruszyli w stronę bocznej nawy kościoła. Gigantyczny krzyż widziany z lotu ptaka omijali całkiem szybko. Z tyłu stał piętrowy dom, zupełnie nieotynkowany, z cegłami szczerzącymi się kłami nagości. Wyglądał na bardzo stary. Miał neogotycką architekturę, tuki zdobiły jego zniszczone ściany. Zdawał się być jedynie potwierdzeniem tego, co obaj bezdomni wiedzieli już dawno. Entropia powoli pożerała wszystko. Od budynków przez ulice na samych ludziach kończąc. A zaczęła najwidoczniej od ich uczuć, które pożarła już niemal w całości.

Dzejdziej zapukał do drzwi. Mocno, ale nie grubiańsko. Starał się nie przestraszyć księdza, a jedynie przyciągnąć jego uwagę. Po kilkakrotnym powtórzeniu tej czynności w jednym z pokoi na piętrze zapaliło się światło. Czyjaś głowa, zdaje się, mignęła za firaną. Odgłosy kroków na drewnianej posadzce odbijały się echem po domu i słyszalne były przed progiem.

- Idzie - mruknął Karl.

Kroki zbliżały się. Po chwili były już na schodach, wkrótce za drzwiami. Zasuwa ustąpiła pod silnym uchwytem czyichś dłoni. W wizjerze pojawiła się para świecących oczu.

- W czym mogę wam pomóc dzieci? - zapytał głęboki, bardzo męski głos.

- Proszę księdza... - zaczął Dzejdziej, ale nie bardzo wiedział, co powiedzieć. - Znaleźliśmy coś... I chcieliśmy... Znaczy my...

- Proszę samemu zobaczyć - dodał Karl. Zdawał się być nieco mniej zdenerwowany sytuacją niż przyjaciel, mimo że

jeszcze przed minutą było dokładnie odwrotnie. Ksiądz zlustrował ich obu wzrokiem. Miał ograniczone pole widzenia i nie mógł widzieć, co taszczyli na dole. A im brakło sił, by podnieść ciało wyżej. Patrzył na nich z pogardą, a przynajmniej takie odnosił wrażenie. Ta parafia miała tylko jednego duchownego, który sam niemal musiał dbać o utrzymanie ogromnego molocha, jakim był jego kościół. Wiernych miał mało, datków jeszcze mniej. Ale radził sobie ciężką pracą. A bezdomnych uważał za nierobów. I dlatego bardzo, ale to bardzo nie lubił. Mimo to przekręcił zamek i wyszedł na zewnątrz.

Zamarł w progu. Poblądł na twarzy, widząc, jak dwaj żule trzymają w rękach skrzydlatą postać. Wydała mu się niezwykle piękna. Piękne było w niej wszystko - oczy, twarz, włosy, ciało... Ciało bez narządów rodnych. I skrzydła. Na Boga jedyne w Trójcy, to miało skrzydła! Spojrzał na twarze bezdomnych.

- Co to ma być? Co to za żarty? - wybuchnął wściekle.

- To żadne żarty, proszę księdza - ksiądz spojrzął ponownie na umęczone ciało ślicznej istoty. Na zniszczony kwiat. Urwane płatki opadały na ziemię.

- Przecież to niemożliwe. - mruknął po chwili milczenia.

- Niech ksiądz sam sprawdzi - rzekł Karl. - Jest prawdziwa.

- Gdzie go znaleźliście?

- Na ulicy. Dzieciaki go zameczały. Znaczy się... ciało. - Ksiądz zdawał się przez chwilę myśleć. W końcu odparł.

- Wnieście do środka. Koniecznie musicie mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

Ksiądz zimnym głosem wypytywał ich bardzo dokładnie o okoliczności, w jakich odnaleźli ciało. Co chwila kiwał głową, starał się też znaleźć w opowieści bezdomnych jakąś nieści-

słość. Uważał ich za ludzi głupich, którzy nawet skłamać nie potrafiliby dobrze. Twierdził, że to typowi nieudacznicy, którzy sami są winni losowi, jaki przypadł im w udziale. Sapnął głośno, po czym rzucił pogardliwe spojrzenie na Dżej-dżeja.

- No dobra. Zdaje się, że mówicie prawdę. - Karl z nadzieją w głosie zapytał:

- To co ksiądz zrobi?

- Ja? A dlaczego miałbym coś robić?

- No przecież... Przecież to dowód...

- Jesteście tak głupi, jak przypuszczałem. Pomyślcie przez chwilę. Martwy anioł będzie dowodem niedoskonałości, ba, może nawet przemijalności życia pośmiertnego. Miliony wiernych powiedzą: „na co mi taka wiara”? O nie! Kościół nigdy nie pozwoliłby na ujawnienie takiego dowodu. Ukryto by ją w najgłębszych i najciemniejszych lochach Watykanu. A ja? Świadek? Radzę wam pomyślcie racjonalnie. W najlepszym przypadku zostałbym sprytnie zdyskredytowany. Znalazłoby się jakąś ośmiolatkę, która ze łzami w oczach opowiedziałaby jak to zły ksiądz krzywdził ją na zakrystii. - Odetchnął głęboko, poprawił włosy i usadowił się wygodniej w fotelu. - Wierzę w misję Kościoła katolickiego i służę mu nie dlatego, że podobają mi się ta cała hierarchiczna organizacja, ale dlatego, że chcę służyć Bogu i ludziom, prowadzić ich do niego. Mimo wszystko tak się składa, że znam mechanizmy działania Kościoła. On dba o własne interesy z niesamowitą wręcz zawziętością. Ja jestem tylko małym ogniwem. Łącznikiem między Bogiem a ludźmi. I nie mogę wam pomóc. Odejdźcie i zabierajcie to ze sobą. I nie próbujcie u innych księży, bo odmówią wam tak grzecznie jak ja albo okażą głupotę w ten czy inny sposób i zginą oni i wy razem z nimi. Olejcie najlepiej całą sprawę i zni-

kajcie stąd. - Karl poczerwieniał na twarzy. Wybałuszył oczy, zmarszczył brwi i nos. Uderzył pięścią w stół. Ksiądz skrzywił się i zatkał nos.

- To co mamy niby zrobić, co?!
- Mówiłem wam. Odejdźcie w pokoju.
- Ale co mamy zrobić?
- To wasz problem. Byle byście to stąd zabrali.
- Ale... Przecież ksiądz jest... Księdzem, prawda?
- Jestem. - Zamilkł na moment. - Ale wyjaśniałem wam,

w czym rzecz. To walka z wiatrakami, a ja nie jestem don Kichotem. Zresztą... Żałuję tego, co zobaczyłem. Wolałbym nigdy tego nie doświadczyć. Będę musiał teraz wiele rzeczy przemyśleć.

- To dowód na to, że niebo naprawdę istnieje.
- Głęboko wierzący człowiek nie potrzebuje dowodów.

Na tym to właśnie polega. To odróżnia wiarę od wiedzy. Gdybym wiedział, że niebo istnieje, nie musiałbym w to wierzyć... Czy wy mnie w ogóle rozumiecie?

- Rozumiemy więcej, niż się księdzu wydaje - odparł Dzejdzej.

- Akurat - burknął pod nosem duchowny. - No, żegnam was już. Mam jutro dużo pracy i muszę być wyspany. Odejdźcie proszę... I zabierzcie to ze sobą. - Podniósł rękę, powstrzymując chęć coś powiedzieć Karla. - Powtarzam, co z zrobicie z ciałem, to wasza sprawa, ja umyвам rękę.

- Jak Piłat. - Dzejdzej uśmiechnął się szyderczo. Ksiądz zmierzył go wrogim spojrzeniem. - Pomóż nam chociaż gdzieś go ukryć.

- Radźcie sobie sami. Ja mam już dość problemów z parafią. Nie potrzebuje kolejnych. Miłego dnia.

The Best t.01

- Chodź Dzej - mruknął Karl. - Zostawmy tego „sługę bożego”. Niech sobie przemyśli to, co dzisiaj zobaczył. I niech się zastanowi nad tym, po co tu jest.

Nie siląc się na pożegnania wstali, okryli i zabrali ciało, a potem wyszli. Ksiądz odprowadził ich wzrokiem, aż zniknęli za rogiem. Otarł łzę spływającą po policzku i zamknął drzwi. Poszedł się pomodlić.

- Kurwa mać - syknął Karl. - Ci my teraz zrobimy?

- Jak to, co? - mruknął Dzejdzej, kładąc nogi dziewczyny na progu bramy.

- Zostawiamy ją tutaj i spadamy.

- Nie. Nie możemy tego zrobić. No co ty?

- Kurwa, zrobiliśmy, co w naszej pierdolonej mocy było, rozumiesz? Jeśli ksiądz nam nie chciał pomóc, to kto?

- Są jeszcze inni księża...

- Zareagują tak samo. A zresztą on miał rację. Co do kościoła. To już nie służba Bogu. To wielkie przedsiębiorstwo nastawione na zysk. A to będzie dla niego bardzo zła reklama - wskazał ręką na puste oczy dziewczyny.

- Dzej... Pochowajmy ją, co?

- Ciekawe gdzie. W ogródku? Powiem ci tak, podrzucmy ją komuś innemu i niech on się martwi.

- Dzej kurwa! Ja jestem wierzący! A jeśli to znak? A jeśli my mieliśmy ją znaleźć? I teraz skrewimy? Co wtedy?

- Gównu mnie to obchodzi. I tak życie wieczne nie istnieje. Więc co mi po takiej wierze?

- Nie bluźnij kurwa Dzej! Jak możesz?

- Mówię to, co myślę. Zawsze mówię to, co myślę.

- Ale co z moralnością...

- Daj mi spokój z kazaniem. Jak będę chciał kazania, to wybiorę się do... Sam nie wiem już, gdzie. Obudź się, Karl! To

popierdolony świat! Nikt nam nie pomoże! Myślisz, że ja nie chciałbym pomóc temu biedactwu? Ryczeć mi się chce, jak patrzę na piękną istotę, którą dzieciaki tak okaleczyły. Co ja mam zrobić? Nie mam nawet kurwa gdzie mieszkać! Jem odpadki, kurwa! Co ja mogę?

- Popatrz na to miasto, Dzej... Jest zupełnie wymarłe. - zmienił nagle temat Karl. Jego twarz zrobiła się trupiobiała, a oczy puste.

- Że co?

- Przyjrzyj się... Przez całą noc nie spotkaliśmy żywej duszy. Ulice są kompletnie puste.

- Taka dzielnica.

- Nie, to coś innego, wiesz? Ja coś czuję...

- Daj spokój...

- Inni też to chyba czują... Popatrz okna pozamykane, a przecież jest gorąco. Wszyscy pochowani w domach. Ksiądz też dziwnie się zachowywał. Coś się zbliża. I ludzie to czują.

- Co ci jest Karl? Nawaliłeś się metanolu, czy co?

- Ta dziewczyna to znak, Dzej... - bezdomny zakreślił w powietrzu nieokreślony znak.

- Znak, czego?

- Znak nadchodzącego. Patrz!

- Co, gdzie?

- Tam. - Wskazał ręką na dach pobliskiego parterowego budynku. Miał odrapane ściany, gołe cegły straszły wściekłą czerwienią. Na dachówkach leżała jakaś postać. Latarnia oświetlała jej część. Szare, lekko pokrwawione skrzydło.

- Kurwa nie! Następny! Karl! Co się dzieje?

- Nie wiem, Dzej. Zostawmy ją. Chodźmy pod całodobowy.

- Co, kurwa? Co pierdolisz, przed chwilą nie chciałeś jej zostawiać.

- Zaraz po nią wrócimy. Położymy ją tam koło schodów, w cieniu. Przez jakiś czas nikt jej nie znajdzie. Chodźmy, Dżej. Do telewizorów.

- Po co?

- Mam przeczucie.

Ułożyli ciało delikatnie i z szacunkiem. Dżejdzzej chwycił dziewczynę za głowę tak, aby nie uderzyła o asfalt. Ze smutkiem pozostawili ją tam samą. Z trudem zaczęli człapać w stronę sklepu, który całą dobę miał włączone telewizory. Karl podejrzewał, że nikt nie zwróci na nich uwagi i nie przegoni. Tak jak podejrzewał, weszli bez przeszkód i ustawili się obok zgromadzonego przed ekranami tłumy ludzi. Nikt nie poczuł, jak śmierdzą. Nikt nie zaszczycił ich nawet spojrzeniem. Wszyscy gapili się w świecące ekrany. Dżejdzzej był wyższy i widział lepiej. Podawali właśnie wiadomości. Ubrany w schludny garnitur i białą koszulę mężczyzna drżącym głosem odczytywał informacje.

.....Kościół katolicki odżegnuje się od całej sprawy, twierdząc, że to jakieś nieporozumienie, ewentualnie oszustwo, które należy czym prędzej wyjaśnić. Rzecznik papieża, przebywającego obecnie na pielgrzymce w Tajlandii, odmówił skomentowania całej sprawy, tłumacząc brakiem czasu. Biały Dom wyraża ubolewanie i współczucie, jednocześnie solidaryzując się z ofiarami tajemniczego zjawiska. Przepraszam... Wiadomości z ostatniej chwili. Wstępna liczba odnalezionych na terenie Unii Europejskiej ciał aniołów wzrosła do około pięciu tysięcy, dane z Ameryki Północnej, a w zasadzie z samych Stanów Zjednoczonych, to około dwóch tysięcy. Brak danych z większości krajów sugeruje, że rządy boją się poda-

wać konkretnych liczb. Rząd rosyjski zaprzeczył, jakoby na ich terytorium znaleziono jakiegokolwiek ciała. Chińczycy natomiast założyli czasową blokadę na wszelkie media masowe. Nasi korespondenci zostali zatrzymani i przetransportowani do ambasady. Poprosiliśmy o głos w tej sprawie naszego eksperta biskupa Desmond Agali”.

Na ekranie pojawił się ubrany na czarno Murzyn o ciemnych oczach i smutnej twarzy.

„Bardzo ubolewam nad stanowiskiem Watykanu. Przecież wydarzenia, których jesteśmy świadkami, są rzeczą tak oczywistą, że nie wymagają jakiejś skomplikowanej dedukcji, by dojść do sedna sprawy. Martwi anieli spadający z nieba? Nie zdziwiłbym się, gdyby niedługo zmarli zaczęli powstawać z grobów. Przecież to wszystko jest opisane w Biblii. Może nie dokładnie tak, ale to przecież przekaz metaforyczny, wręcz poetycki, więc jego interpretacja mogła być błędna”.

Siedzący obok księdza mężczyzna zapytał:

„Jak więc wasza eminencja odczytuje te znaki? ”.

„Bardzo prosto. Rozpoczęła się ostateczna bitwa. W innej rzeczywistości. W niebie. Trwa wielka bitwa, a jej ofiary opadają na ziemię. To biblijny Armagedon. Ostateczna walka dobra ze złem”.

Gospodarz programu pobladł. Uniósł do góry rękę i drżącym głosem zapytał:

„Zaraz... Jeśli to wojna... Znaczy się... Przecież w wojnie ofiary są po obu stronach, prawda? ”.

„Tak, chyba że jedna ze stron ma przygniatającą przewagę”.

Karl chwycił Dzejdżeja za ramię i odciągnął na bok.

- Wierzysz w te bzdury? - zapytał.

- Co mam nie wierzyć? Mam oczy... Tego się obawiałem... Ulice puste. Kto może, siedzi przed telewizorem i ogląda. Nikt się nie modli. Kościoły są puste. Ludzie to traktują jak... jak... Jak kolejną rozrywkę. Chyba nie podchodzą do tego tak, jak powinni.

- A jak powinni?

- Ze skruchą. Być może nasz świat się właśnie kończy. - Dziejdzęj wykazał zniecierpliwienie.

- To, co wracamy po nią?

- Po co, Dziej? Przecież tylko w naszym mieście pewnie leżą dziesiątki takich jak ona.

- No tak, ale...

- Cicho! Słyszysz?

- Co?

- Słuchaj...

Dziejdzęj nadstawił uszu. Faktycznie coś słyszał. Poprzez pustkę nocy i głębię mroku przebijał się jakiś dźwięk. Stawał się coraz głośniejszy. Niebo zdawało się falować, przybierało powoli czerwonej barwy. Odgłos po chwili stał się tak donośny, że aż huczał. Bezdomni zatkali sobie uszy, nie mogąc znieść jego siły. Szyby w oknach zaczęły pękać, a ziemia zdrząła. Tynki opadały ze ścian. Włączały się alarmy samochodowe.

Niebo rozbłysło żółto-czerwonym światłem. N przykościelnym cmentarzu zdawały się majaczyć jakieś przygarbione, powłóczące nogami sylwetki.

Trąby zamilkły. Ale tylko po to, by po chwili uderzyć ze zdwojoną mocą.

Michał Gacek

NIEPROSZONE

Karolina ze zdziwieniem spostrzegła, że jeden ze słoików z dżemem jest pęknięty. Oblizwała palce, lepkie od słodkiej, gęstej substancji, po czym owinęła uszkodzony słoik leżącą obok szmatą. Umieszczona nad drzwiami żarówka zamigotała nagle; przez moment w piwnicy zaległa ciemność. Serce Karoliny забиło mocniej, gdy usłyszała hałas dobiegający od strony leżących pod ścianą pudeł - jak gdyby coś dużego, szczur albo może kot, poruszyło się gwałtownie. Pudeła wypełnione były starymi zabawkami i niepotrzebnymi książkami, pokrywała je gruba warstwa kurzu. Karolina nie miała ochoty sprawdzać, co było źródłem hałasu. Sama myśl o szczurach wywoływała dreszcz obrzydzenia.

Jeszcze raz omiotła spojrzeniem wypełnione słoikami półki - dżemy, sałatki, kompot, ogórki, papryka, grzyby - na widok gromadzonych skrzętnie przez kilka lat zapasów czuła dumę. Zapakowała do siatki kilka produktów, które miały przydać się jej w najbliższym czasie. Na wierzchu położyła uszkodzony słoik z dżemem. Postanowiła, że wieczorem wspomni mężowi o szkodnikach, które zaległy się pomiędzy pudłami i zasugeruje mu, że być może należałoby znaleźć chwilę, aby przejrzeć stare graty, tak bezlitośnie potraktowane podczas przeprowadzki.

Nie bez trudu udało jej się wnieść ciężką siatkę na czwarte piętro. Usiadła przy kuchennym stole, usiłując uspokoić oddech. Burczenie w brzuchu przypomniało jej, że nie jadła jeszcze śniadania. Blade słońce leniwie sunęło po jesiennym nie-

bie. Karolina zaciągnęła żaluzje, zapaliła światło, po czym sięgnęła na oślep ku położonej obok stołu siatce.

Słoik z dżemem był pęknięty u podstawy. Słodki zapach przyjemnie drażnił nos. Wkładała do ust kopyate łyżki gęstej substancji, delektując się smakiem. Używając zębów i języka bawiła się większymi kawałkami owoców.

Gdy Karol wszedł do kuchni, zdążyła pochłonąć trzy czwarte zawartości słoika. (Karol i Karolina - ich znajomi ciągle powtarzali: „dobraliście się doskonale pod każdym względem, zaczynając od imion”). Przywitał ją pocałunkiem w czoło.

- Tak wcześnie wróciłeś? - zdziwiła się. - Nie ma jeszcze pierwszej.

- Dzisiaj przecież sobota. I tak nie było klientów - powiedział, nalewając do szklanki sok pomarańczowy. - A ty co robiłaś?

- Nic specjalnego - Karolina wzruszyła ramionami. - Zrobiłam zakupy. A przed momentem wróciłam z piwnicy. Chyba zaległy się tam jakieś szczury, bo jak... Słuchasz mnie?

Zauważyła, że Karol krzywi się, znacząco pociągając nosem.

- Co tu tak śmierdzi? - zapytał. - Jakiś straszny zapach. Nie czujesz?

- Śmierdzi? Nic nie czuję. Chyba zaczynasz mieć jakieś omamy od tego ciągłego grzebania przy komputerach.

Karol, ignorując uwagę żony, nachylił się nad otwartym słoikiem. Na widok jego miny Karolina parsknęła śmiechem. Była przekonana, że Karol sili się na wykonanie efektownego wstępu do jakiegoś zasłyszanego w pracy żartu.

- Hej, chciałam to zjeść! - oburzyła się, gdy wrzucił słoik do kosza na śmieci.

- Rozumiem, że kobiety w ciąży mają apetyt na różne dziwne rzeczy - powiedział poważnie - ale żeby jeść coś, co cuchnie aż tak bardzo? Jak w ogóle mogłaś wziąć coś takiego do ust?

Karolina przez moment próbowała udawać obrażoną - mruknęła, że nikt nie będzie jej ustalał diety. Żarty męża sprawiły jednak, że szybko zapomniała o pękniętym słoiku. Rozmawiali o dziecku, o jej samopoczuciu, o jego pracy, a później zupełnie pochłonęło ich wspólne przygotowywanie obiadu. Gdy usiedli do stołu Karol, wyjął ze służbowej teczki butelkę jej ulubionego wina. To prawda, że była w ciąży, ale jeden kieliszek nie mógł przecież zaszkodzić.

Brzuch zaczął boleć Karolinę następnego dnia, późnym popołudniem. Kroiła właśnie jarzyny, gdy nagle ból zmusił ją do zgięcia się w pół. Nóż upadł na podłogę, ona sama nie upadła tylko dlatego, że w ostatniej chwili zacisnęła dłonie na brzegu umywalki. Opierając się o ścianę, dotarła do sąsiadującej z kuchnią łazienki. Następne piętnaście minut spędziła, klęcząc nad muszlą klozetową. Ból nie ustał, nawet gdy zwróciła całą zawartość żołądka. Ciągle było jej niedobrze. Wkrótce zaczęła wymiotować żółcią wymieszaną z krwią. Chciała krzyknąć z przerażenia, lecz kolejny atak nudności sprawił, że nie była w stanie wydać z siebie głosu. Do oczu napłynęły jej łzy.

W drzwiach łazienki pojawił się Karol, który wreszcie postanowił oderwać się od komputera i zbadać źródło podejrzanych hałasów. Przekonany, że przeszkadza mu zepsuta pralka, wzdrygnął się, zaskoczony widokiem kurczowo przywierającej do sedesu żony. Karolina spojrzała na niego czerwonymi od łez oczami. Czuła się już trochę lepiej. Podtrzymał ją, gdy próbowała wstać. Wytarł papierem toaletowym

wym jej usta i dłonie. Rzut oka na zawartość muszli sprawił, że z obrzydzeniem odwrócił głowę.

- Położę cię do łóżka - mówił, siłąc się na spokojny ton. - Zaraz przyniosę miednicę. Boli cię jeszcze? Zadzwońię po pogotowie.

- Nie dzwoń nigdzie. Już mi lepiej - wyszeptała Karolina.

Ostrożnie przebrał ją w pidżamę. Siedział przy niej przez godzinę, czekając aż zaśnie. Z chaosu, który zrodził się w jego głowie, nie wynikało nic konkretnego. Uznał, że może rzeczywiście lepiej nie dzwonić po lekarza - pojutrze umówieni byli na wizytę. Wtedy będą mieli okazję dowiedzieć się, co oznaczał ten nagły atak. Oczywiście, jeśli cała sytuacja miałaby się powtórzyć, to natychmiast wezwie karetkę.

- Zadzwońię, że nie pójde jutro do pracy - powiedział, nie potrafiąc ukryć pobrzmiewającego w głosie strachu. - Posiedzę z tobą trochę.

- Zgłupiałeś? - Karolina usiłowała zdobyć się na uśmiech. - Już naprawdę jest w porządku.

Wiedziała, że jej ledwo słyszalny głos nie jest w stanie stłumić obaw męża. Bolały ją wewnętrzności - nie potrafiła określić, czy chodzi o żołądek, czy może o jakiś inny organ. Nigdy wcześniej nie doświadczyła podobnego bólu. Wtuliła głowę w poduszkę, usiłując opanować płacz. Czuła, jak Karol, w niezdarnej próbie okazania wsparcia, gładzi delikatnie jej ramię. Była pewna, że on także myśli o dziecku i podobnie jak ona nie ma odwagi poruszyć tego tematu. Przypomniała sobie przeczytaną tydzień wcześniej książkę o zagrożeniach okresu prenatalnego; książkę, którą Karol wyrzucił do kosza, gdy tylko zorientował się, o czym jest. Co pisali tam na temat drugiego miesiąca? Jak wyglądało ich dziecko w drugim miesiącu? Ob-

razy widzianych oczyma wyobraźni płodów wzbudzały u niej dziwną mieszaninę przerażenia i odrazy.

Ból nie mijał - rytm delikatnego pulsowania wewnątrz organizmu towarzyszył jej, gdy zasypiała.

Kiedy doktor Zagierny usłyszał o tym, co wydarzyło się tamtej nocy, wcale nie wydawał się przejęty. Ze spokojem stwierdził, że przecież tego typu objawy są u kobiet w ciąży czymś normalnym i absolutnie nie ma powodów do obaw. Zdenerwowany Karol próbował wytłumaczyć dawnemu koledze z liceum, że nie powinien bagatelizować tego, co przydarzyło się Karolinie.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się przestraszyłem - dodał. Na twarzy doktora Zagiernego ciągle gościł delikatny uśmiech, który wyrażać miał sympatię i zrozumienie. Doktor wiedział, że sam ten uśmiech poprawia samopoczucie większości osób, które odwiedzały jego gabinet.

- Ale przecież ból minął, tak? - zwrócił się z pytaniem do Karoliny, która skinęła głową. - Obraz z USG był trochę niewyraźny, ale nie zauważyłem lam niczego niepokojącego. Oczywiście, jeśli bardzo chcecie, mogę skierować was na dodatkowe badania. Myślę jednak, że należałoby jeszcze poczekać kilka dni.

- Dobrze. - Karolina ścisnęła dłoń męża, który już zamierzał zaprotestować.

Rzeczywiście jest lepiej i nic mnie nie boli.

Uśmiech Zagiernego rozszerzył się. Karol, spoglądając to na żonę, to na kolegę, westchnął z rezygnacją. Uznał, że w tym wypadku najlepiej będzie, jeśli zaufa opinii specjalisty. Mimochodem wspomniał o książce, którą przeglądał wcześniej, a która przestraszyła go tak bardzo, że od razu wyrzucił ją do kosza.

- Boże, w żadnym wypadku nie czytajcie takich rzeczy! - podniósł głos Zagierny. - Wystarczy, że ja powiem wam, czego nie należy robić, a od takich ksiązek nabawicie się tylko koszmarów. To ważne, żebyś się nie denerwowała i unikała stresów - dodał, patrząc Karolinie w oczy. - Zdarza się, że takie objawy jak wymioty wywołane są właśnie przez czynniki psychiczne.

Ta ostatnia uwaga całkowicie uspokoiła Karola. Przed wyjściem zdecydował się na nawiązanie krótkiej, koleżeńskiej pogawędki. Usiłował zaprosić Zagiernego na kolację, lecz ten wymawiał się nadmiarem obowiązków. Karolina przysłuchiwała się ich rozmowie, starając się uśmiechać i przytakiwać w odpowiednich momentach. Utrzymanie miłego wyrazu twarzy z każdą minutą sprawiało jej coraz więcej trudności. Zagierny wspomniał, że wkrótce wyjeżdża na konferencję do Finlandii, a może do Szwecji - nie była pewna, jaką nazwę wymienił. Już od jakiegoś czasu czuła delikatny pulsujący ból w okolicy żołądka. Nie mówiła nic, licząc, że to tylko łagodna reminiscencja wcześniejszych przykrych wydarzeń.

Myśl o zapowiedzianej na sobotę wizycie teściów od dawna stresowała Karolinę. Nie mogła zwierzyć się mężowi ze swoich obaw - Karol wyśmiałby ją tylko i powiedział, że jego matka to osoba, której, owszem, zdarza się powiedzieć coś złośliwego, ale w rzeczywistości to przecież dobra i kochana kobieta.

Jako zapatrzony w matkę jednak Karol nie chciał brać udziału w dyskusjach, które mogłyby pozostawić ryse na nieskalanym obrazie rodzicielki. Już wcześniej zdarzało się, że Karolina miała ochotę rozpłakać się, słysząc z ust teściowej serie uprzejmych wskazówek, które były gorsze niż najbardziej zajadła krytyka wyrażona wprost. Karolina zastana-

wiała się tylko, czy jej mąż udaje, czy rzeczywiście nie dostrze-
ga subtelnych znaków wysyłanych przez swoją matkę?

Podczas kolacji starała się utrzymać przyklejony od twa-
rzy uśmiech i nie przeszkadzać rodzicom, którzy przyszli zo-
baczyć się ze swoim synem, a nie z mieszkającą razem z nim
kobietą. Jej potrawka z kaczki wyjątkowo trafiła w gusta
wszystkich siedzących przy stole - nic się nie stłukło, nie rozla-
ło, nie popełniła żadnej towarzyskiej gafy. Kiedy rozmowa ze-
szła na temat ciąży, Karolina modliła się, aby Karol nie wspo-
mniał przypadkiem o jej zdrowotnych problemach. Odpowia-
dała na pytania teściowej.

- Tak, wszystko w porządku. Dziecko jest zdrowe. Na
monitorze widzieliśmy nawet jego bijące mocno serduszko.

Niewiele brakowało, a dodałaby: - Nic mnie nie boli i nie
ma absolutnie żadnych powodów do niepokoju.

- Chodźcie do lekarza? - zapytała matka Karola. W jej
głosie słychać było niezwykle dla niej, życzliwe zainteresowa-
nie.

- Tak, umawiamy się na okresowe wizyty - odpowie-
działa szybko Karolina.

- To dobrze. Chociaż kiedy ja nosiłam Karola, to nawet
nie było czegoś takiego jak okresowa wizyta - teściowa nie
mogła powstrzymać się od porównań. - Mnie to wcale nie było
potrzebne. Po prostu, kiedy nadszedł czas, wylądowałam w
szpitalu i tyle. Żadnych komplikacji, żadnych kłopotów. A teraz
męczą człowieka tymi wszystkimi dziwnymi badaniami. No,
ale jak ktoś ma na to czas, to właściwie czemu nie?

Karolina przyznała, że dla niej chodzenie do lekarza to też
jedynie ciężki obowiązek. Krojąc uważnie mięso, zastanawiała
się, jak zmienić temat rozmowy w taki sposób, aby nie wzbu-
dzić podejrzeń, że ma coś do ukrycia. Wpatrywała się w talerz,

gdyż nie była w stanie znieść widoku pomarszczonej twarzy teściowej - szczególnie zimnych, wodnistych oczu, które miały w sobie tyle życia i energii co oczy ryby. Nagle, bez ostrzeżenia, Karol zdecydował się ją zdradzić. Spokojnym tonem, uśmiechając się, opowiedział o jej dolegliwościach. - Na szczęście ostatnio wszystko wróciło do normy - podsumował. Karolina miała ochotę schować się pod stół, czując na sobie wzrok rodziców męża, w którym, była pewna, więcej było pogardy aniżeli troski.

Ukradkiem zerknęła w stronę zegara - zbliżała się już dziesiąta. Natłok dobrych rad udzielanych przez teściów przyprowadził ją o ból głowy. Kiedy wreszcie wyszli, spojrzała ze złością na Karola, który oczywiście nie był w stanie zrozumieć przyczyny jej zdenerwowania. Podczas zmywania rozbiła jeden z talerzy.

- Nic ci nie jest? Nie zacięłaś się?
- Nie! - wrzasnęła na niego. - Poradzę sobie!

Karol bez słowa wycofał się z kuchni. Zrobiło jej się przykro, że zachowała się wobec niego w taki sposób. Zanim położyli się spać, wytłumaczyła mu, że po prostu nie chce, aby ktokolwiek wtrącał się do spraw związanych z ich dzieckiem.

- Wiesz, że ja sama ledwo pamiętam moich rodziców. Zawsze sobie wyobrażałam, że rodzina to coś specjalnego i może dlatego tak zareagowałam...

Karol nie dał jej dokończyć. Pocałował ją mocno, a jego dłonie wślizgnęły się pod luźną nocną koszulę.

Karolina przyglądała się prawej dłoni, na której widać było wyraźne ślady krwi. Choć była to jej dłoń, miała wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy. Krew także pochodziła gdzieś z wnętrza jej ciała. Tym razem ból pojawił się w okolicy brzucha, po czym szybko rozprzestrzenił się na klatkę pier-

sioną i podbrzusze. Odruchowo otworzyła usta, aby zawołać Karola, lecz przypomniała sobie, że nie wrócił przecież jeszcze z pracy. Kiedy dotarła do łazienki, ból stał się tak silny, że nie była nawet w stanie zawołać o pomoc. Przez moment wydawało jej się, że czuje, jak coś gwałtownie porusza się w jej brzuchu, szarpiąc wnętrzności. Zaraz potem spostrzegła krew.

Miała na sobie lekką żółtą sukienkę, w której zwykle chodziła po mieszkaniu. Na jasnym materiale powoli rozkwitała ciemna plama, kształtem przypominająca kwiat. Kilka kropel spadło na kafelki - kap, kap - niczym ciemnoczerwone kleksy na niezapisanej kartce. Wtedy właśnie zdecydowała się włożyć prawą dłoń pomiędzy uda w nadziei, że ten zaimprovizowany parasol powstrzyma osobliwą mżawkę.

Usiadła na sedesie - zgięta w pół, głowę przyciskała do kolan. Jako że niebezpieczeństwo zabrudzenia podłogi minęło, sięgnęła po papier toaletowy. Zastanawiała się, czy znajdzie w sobie dość siły, aby podejść do telefonu i zawiadomić pogotowie. Gdy ból stopniowo słabł, ona obserwowała zakrwawioną dłoń. - Poroniłam - pomyślała dziwnie beznamiętnie. To koniec. Ściągnęła zabrudzone majtki, po czym chwiejnym krokiem przeszła do sypialni. Krwawienie ustało i powoli ból stawał się jedynie niewyraźnym wspomnieniem. Karolina płakała, wyobrażając sobie uśmiechniętą złośliwie twarz teściowej. Czuła się przegrana i bezwartościowa.

Kiedy podnosiła słuchawkę, coś poruszyło się w jej brzuchu. W miejsce rozpaczy pojawiły się najpierw nadzieja, a zaraz potem radość. Zakrwawioną sukienkę wrzuciła do kosza z brudną bielizną. Stojąc przed lustrem, przyglądała się swoim zaokrąglającym się kształtom. Czekwała na kolejne poruszenie, a gdy wreszcie poczuła je, z westchnieniem ulgi oparła się o pralkę.

Zamiast na pogotowie zadzwoniła do Karola. Nie poinformowała go o tym, czego przed chwilą doświadczyła. Oznajmiła, że najzwyczajniej w świecie nasza ją ochota, aby z nim porozmawiać.

- Ale nic się nie stało? - zapytał Karol. - Twój głos brzmi jakoś dziwnie.

- Jestem trochę zmęczona. To wszystko.

Rozmowa z mężem uspokoiła ją. Postanowiła, że nie da mu żadnych powodów do podejrzeń; liczyła na to, że ataki bólu prędzej czy później przestaną się powtarzać. Dziecko żyło i miało się dobrze - czuła to wyraźnie - i to było dla niej najważniejsze. Nie musiała nikomu się spowiadać - nawet Zagiernemu. Skoro jej teściowa jakoś radziła sobie, nie wykonując badań USG, ona też mogła. Poza tym dobrze pamiętała, że obraz widziany na monitorze podczas ostatniej wizyty był równie wyraźny i jednoznaczny jak plamy w teście Rorschacha. Zagierny sam wówczas przyznał, że aparatura „czasem trochę nawala”.

- Spróbuję wrócić dzisiaj wcześniej, gdzieś między trzecią a czwartą - powiedział Karol. - Całuję mocno.

- Ja też całuję. - Karolina cmoknęła głośno do słuchawki. Pomyślała, że do trzeciej będzie musiała uprać sukienkę, umyć podłogę i przygotować obiad. Natychmiast zabrała się do pracy. Ponowny atak bólu, połączony z krwawieniem, nastąpił kilka dni później.

Karol rzadko odwiedzał piwnicę. Nie lubił drażniącego nos zapachu ziemi i chłodu bijącego od wilgotnych ścian. Na dodatek jedna z żarówek zgasła nagle, pogrążając część korytarza w ciemności. W takich warunkach odnalezienie i otwarcie drzwi, za którymi znajdował się należący do niego i Karoliny fragment podziemi, stawało się o wiele trudniejsze. Ode-

tchnął z ulgą, gdy wreszcie udało mu się zapalić światło w wypełnionym słoikami pomieszczeniu. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Niewiele osób wiedziało, że ciemność i ciasne pomieszczenia napawają go takim lękiem. O swoich irracjonalnych obawach nie opowiedział nawet Karolinie. Zdecydował się stawić czoła piwnicznym ciemnościom tylko dlatego, że nie potrafił, nie wzbudzając podejrzeń, odraczać dłużej przykrego obowiązku.

Temat urzędzenia pokoju dziecinnego powracał z każdym upływającym miesiącem. Wspólnie wybierali łóžeczko i kolor nowej tapety. Od dłuższego czasu Karol obiecywał, że przyjrzy się zawartości schowanych do piwnicy pudeł. Pamiętał, że w którymś z nich powinny być stare lalki i pluszowe zabawki, do których Karolina była kiedyś bardzo przywiązana - dopiero po ślubie zdecydowała się rozstać z armią towarzyszy nie-szczęśliwego dzieciństwa. Karol, podobnie jak jego żona, miał nadzieję, że ich dziecko polubi stare pluszaki, najpierw jednak musiał sprawdzić, czy zabawki nie zapleśniały od zbyt długiego leżenia w wilgotnej piwnicy. - Przy okazji - powiedziała mu przed wyjściem Karolina - zobaczysz, czy nie zajęły się nam szczury albo inne paskudztwo, bo ostatnim razem słyszałam jakieś podejrzane hałasy.

Zapach zgnilizny coraz bardziej mu przeszkadzał. Widok starych książek, stert czasopism i uszkodzonych lub przestarzałych sprzętów gospodarstwa domowego wywoływał na twarzy nostalgiczny uśmiech. Gdyby nie to, że pragnął jak najszybciej opuścić ciasną i śmierdzącą piwnicę, z pewnością poświęciłby kilka godzin oglądaniu przywołujących obrazy z przeszłości przedmiotów. Zabawki odnalazł dopiero w dwóch ostatnich, ułożonych na samym spodzie pudłach. Z przykrością spostrzegł, że jakkolwiek lalki zachowały jeszcze

cień dawnej urody, to leżące pod nimi pluszaki były nieprzyjemnie wilgotne i częściowo zaanektowane przez pleśń. Gdy usiłował podnieść jedno z pudeł, dno rozerwało się i kaskada zabawek runęła na podłogę. Karol podskoczył gwałtownie na widok zniszczonego, pokrytego jasnymi plamami misia, który wylądował tuż koło jego buta. Ramieniem uderzył w półkę ze słoikami - brzęk rozbitego szkła wypełnił pomieszczenie.

Ciemnoczerwony dżem nadzwyczaj dobrze wkomponował się w krajobraz zapleśniałych zabawek. Widok zaśmieczonej podłogi przykuł na kilkanaście długich sekund wzrok Karola. Zaklął głośno, gdy dotarło do niego, że posprzątanie całego bałaganu będzie wymagało ponownych odwiedzin piwnicy. Nogą poprzesuwał zabawki w kąt. Słodki zapach dżemu połączył się z zapachem zgnilizny, tworząc nową jakość przyprawiającego o mdłości fetoru. Karol miał wrażenie, że gdzieś wcześniej spotkał się z podobnym zapachem i nie wiedzieć czemu pomyślał nagle o Karolinie. Wyciągnął z kieszeni siatkę i, pomny wskazówek żony, zaczął ściągać z półek słoiki o odpowiedniej zawartości. Przetykał głośno ślinę, usiłując opanować podchodzący do gardła żołądek. Gdy usłyszał podejrzany hałas, zajęty był właśnie zastanawianiem się, czy Karolina prosiła go o przyniesienie dwóch czy trzech słoików z kiszonymi ogórkami.

Ostrożnie oparł siatkę o ścianę. Nierytmiczne mlaśnięcia, przypominające odgłos stłumionego, mokrego pocałunku, dobiegały od strony najniższej położonej półki. Schylił się, lecz w mroku ciągle nie był w stanie dostrzec źródła wulgarного dźwięku. Widok przesłaniały mu (niespodzianka!) rzędy słoików. Tłumacząc sobie, że nie ma się czego bać, zestawiał na podłogę kolejne produkty. Kiedy dotarł do dużego słoika wypełnionego dżemem - tym razem, dla odmiany, koloru

złota - poczuł lekki opór. Szarpnął mocno słoikiem i nagle ujrzał stworzenie, które wydawało niezwykle dźwięki. Przyklejony do szkła owad przypominał gąsienicę. Nie byłoby w tym pewnie nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że gąsienica wielkością dorównywała dłoni dorosłego mężczyzny. Karol z okrzykiem obrzydzenia rzucił słoikiem o podłogę.

Stos usuniętych w kącie zabawek górował nad usianymi szkłem, wymieszanymi ze sobą dwoma rodzajami dżemu. Wzrost Karola z perspektywy Karola wzbudzał skojarzenia z trójwymiarową pocztówką wysłaną z dalekiej niegościnniej planety. W centrum pocztówki znajdował się przerażający, lśniący wszystkimi odcieniami brązu obcy. Karol nigdy wcześniej nie widział podobnego stworzenia - nie miał pojęcia, co to było i skąd wzięło się w piwnicy. Miało wrażenie, że czarne, duże oczy - tak idealnie czarne i nieprzeniknione - wpatrują się w niego w oczekiwaniu. Nie namyślając się długo, podniósł stojący obok taboret i przygniół nim istotę, która tak bardzo go przerażała.

Gdy doszedł do siebie, postanowił nie mówić o niczym Karolinie, która z pewnością przejęłaby się usłyszawszy, że ich piwnicę zamieszkiwało coś przypominającego ogromną gąsienicę. Żonie opowiedział jedynie o zapleśniałych zabawkach i rozbitym słoiku. Wiadomość dotycząca zabawek wyraźnie ją zmartwiła. Chciała sama zejść na dół, aby po raz ostatni obejrzeć przyjaciół z dawnych lat, lecz Karol zabronił jej zdecydowanie, tłumacząc, że chodzi mu o dobro dziecka. Jeszcze tego samego dnia, uzbrojony w ścierkę, zmiotkę i wiadro pełne wody, wrócił do piwnicy. Wnętrznosci dziwnego stworzenia utworzyły wilgotną plamę dużej wielkości - kolejny rodzaj zbudowanej z dżemu polany, zdobiący krajobraz obcej planety.

Widok płatków śniegu tańczących za oknem zwykle wpędzał Karolinę w graniczącą z depresją melancholię. Każda kolejna zima była okresem ciężkiej próby dla niej i dla ludzi, którzy przebywali wówczas w jej towarzystwie. Tym razem jednak, stojąc przy oknie z dłońmi opartymi o parapet, w ogóle nie czuła się smutna - wręcz przeciwnie, gdy wspominała spędzone u boku Karola święta i noworoczny wieczór, chciało jej się śmiać. Pamiętała tłum ludzi na rynku, fajerwerki i wspólne odliczanie. Cieszyła ją troska i nieustanne zainteresowanie okazywane przez męża. Nawet obowiązkowa wizyta u teściów wypadła w tym roku lepiej niż zazwyczaj. Krwawienia minęły bezpowrotnie - odczuwany niegdyś ból wydawał jej się odległy i wcale nie taki znowu mocny jak wcześniej sądziła. W myślach nazywała siebie „głupią panikarą”.

Na stole leżała pocztówka z uśmiechniętym świętym Mikołajem obejmującym antropomorficznego renifera. Karolina po raz kolejny zastanowiła się, co też może oznaczać napis w obcym języku widniejący u góry kartki. Będzie musiała zapytać o to Zagiernego przy okazji następnego spotkania. Na odwrocie kartki znajdował się numer telefonu specjalisty - znajomego Zagiernego - do którego Karolina miała się zwrócić w razie jakichkolwiek problemów. Po raz ostatni Karolina odwiedziła lekarza trzy miesiące temu, od tamtej pory konsekwentnie ignorowała ustalone przez męża terminy kolejnych wizyt.

Przeszła do kuchni, zaciągając się przyjemnym zapachem wylegującej się na patelni wołowiny. Pokryte warstwą przypraw mięso otaczał wianuszek jarzyn. Zniecierpliwiona i głodna pochłonęła posiłek w ciągu kilku chwil, nie dbając o zachowanie dobrych manier. Jej apetyt na rzeczy, za który-

mi wcześniej nie przepadała - zwłaszcza na świeże, krwiste mięso - wzrastał z każdym upływającym tygodniem. Karol żartował ostatnio, że chyba nosi w brzuchu trojaczki, bo taką ilością jedzenia spokojnie można by wykarmić pięcioosobową rodzinę.

Delikatnie położyła dłonie na powierzchni brzucha. Dziecko poruszyło się, ciągle niezadowolone, ciągle głodne. Wyciągnęła z lodówki świeżą wątróbkę, którą zamierzała przygotować na kolację. Dotknięcie gładkiej powierzchni surowego mięsa sprawiło jej ogromną, niemal erotyczną przyjemność. Pochłonięta zabawą, z jedną dłonią coraz gwałtowniej pocierającą surową wątróbkę i drugą przyciśniętą do brzucha, całkowicie straciła poczucie czasu. Dopiero chrzęst klucza w zamku przywrócił ją do rzeczywistości. Nie bez zdziwienia spostrzegła, że jej twarz znajduje się tuż obok leżącej na drewnianej desce wątróbki. Przestraszona własnym zachowaniem Karolina stwierdziła, że chyba powinna położyć się na moment. Spojrzała na wiszący na ścianie zegar, po czym z niedowierzaniem pokręciła głową. - Zabawne, jak szybko czas leci, gdy jest się w ciąży - pomyślała.

- Cześć kochanie! - krzyknęła do męża ściągającego buty w przedpokoju.

Karol czuł się coraz bardziej zmartwiony zachowaniem Karoliny. Nie chodziło tylko o to, że reagowała zdenerwowaniem na każdą wzmiankę o wizycie u lekarza - bardziej niepokoiło go, że ostatnio często wydawała się nieobecna i zamysłona; jak gdyby w ciągu tych kilku miesięcy coś pozbawiło ją części dawnej spontaniczności i energii życiowej. Poza tym drobnym szczegółem wydawało się, że wszystkie problemy związane z ciążą minęły - Karolina nie narzekała na brak apetytu, nie skarżyła się na bóle brzucha. Gdy pytał ją samopo-

czucie, nieodmiennie odpowiadała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Mimo tych zapewnień zmiany w zachowaniu żony martwiły i irytowały go jednocześnie. Z niewiadomych przyczyn powoli oddalali się od siebie. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy kochali się po raz ostatni.

Tego wieczora nie był w stanie skupić się na pracy. Długo siedział przed ekranem wyłączzonego monitora, przecierając zmęczone oczy. Powłócząc nogami, przeszedł do kuchni. Miał nadzieję, że szklanka gorącej herbaty pozwoli mu odprężyć się przed snem. Jego wzrok powędrował w kierunku przyczepionego magnesem do drzwi lodówki wycinka z gazety. Pamiętał, że krótka wzmianka na marginesie, ilustrowana niewyraźnym zdjęciem, zwróciła jego uwagę w kilka dni po przygodzie w piwnicy. „Miejscowy wędkarz złowił w jeziorze piranię”, głosił tytuł. Normalnie Karol zignorowałby tego typu rewelację, lecz pamiętając wyraźnie lśniące czernią oczy zabitego stwora, odebrał krótką notkę nieco inaczej - przygoda anonimowego wędkarza stała się dla niego dobrym wytłumaczeniem piwnicznego epizodu.

- Czemu wieszasz takie idiotyzmy na lodówce? - zapytała zdziwiona Karolina. Swoją odpowiedzią obrócił wtedy całą sytuację w żart. Był pewien, że nawet gdyby zdecydował się powiedzieć żonie prawdę o wcześniejszych wydarzeniach, ona i tak nie zrozumiałaby jego zainteresowania wydobytą z jeziora piranią. Notka stanowiła dla Karola dowód, że różne egzotyczne zwierzęta - ofiary najdziwniejszych zbiegów okoliczności - spotkać można w zwyczajnych sytuacjach życia codziennego. Wystarczy przecież, że jakiś hodowca amator znudzi się swoją maskotką. Jeśli w pobliskim jeziorze można złowić piranię, to znaczy, że w piwnicy można natknąć się na przerośniętą gąsienicę rodem z doliny Konga czy amazońskiej dżungli. Z

pewnością nie było powodu do przesadnego przejmowania się zgniecionym na miazgę robalem, nawet jeśli był to robal egzotyczny. Zawieszona na lodówce notka działała na Karola uspokajająco, pomagając mu radzić sobie z odczuwanym wciąż strachem. Karolina z czasem przyzwyczała się do notatki i ostatecznie nie zdecydowała się na wrzucenie jej do kosza.

Z filiżanką herbaty w ręku przeszedł do sypialni. Zanim położył się do łóżka, przeniósł na biurko książkę, która otwarta - niczym leżący na grzbiecie motyl - spoczywała na piersi jego śpiącej żony. Książkę polecił Karolowi Zagierny podczas rozmowy telefonicznej, ostatniej przed wyjazdem doktora za granicę. - Jest w niej wszystko, co powinniście wiedzieć na temat ciąży - stwierdził. - Żadnego straszenia i niepotrzebnych obrzydliwości. Od tamtej pory wraz z Karoliną czytali na zmianę fragmenty dotyczące rozwoju dziecka w poszczególnych miesiącach. Karol dopiero teraz spostrzegł, że dotarli już do połowy książki.

Objął żonę w pasie; dłonią delikatnie gładził ukryte pod nocną koszulą piersi i powiększony brzuch.

- Która godzina? - Nagłe pytanie zaskoczyło go. - Co się dzieje?

- Nic - odpowiedział, całując jej ramię. - Chciałem tylko zobaczyć, czy rzeczywiście ci się już zasnęło.

- Oczywiście, że mi się zasnęło - parsknęła Karolina. - Już późno, jestem

zmęczona, a teraz jeszcze głodna na dodatek. Może przyniosłbyś mi coś z kuchni.

Karol jeszcze kilka razy pocałował żonę, lecz zrażony brakiem spodziewanej reakcji, zdecydował się na ponowne odwiedzenie kuchni. Kiedy wrócił do sypialni, niosąc na talerzu dwie przyrządzone naprędce kanapki, Karolina zdążyła z

powrotem zasnąć, odwrócona plecami do jego części łóżka. Zdenerwowany Karol pochłoniął kanapki sam, po czym, nie próbując już nawiązać kontaktu z żoną, położył się spać. Wyśnił tej nocy jeden z najbardziej przerażających koszmarów swojego życia. Widział siebie biegnącego mrocznymi korytarzami, ściganego przez ogromne gąsienice o smoliście czarnych oczach i latające piranie, które szybowały nad jego głową, trzepocząc przerośniętymi płetwami. Obudził się nad ranem zlany potem, drżący bardziej niż napięta, uderzona mocno struna.

- Co ja robię? - zadała sobie pytanie Karolina. Kawałek cielęciny, który trzymała w dłoni, planowała przecież przygotować na obiad. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego zabrała mięso do łazienki. Z głębi lustra przyglądała się jej jakaś obca kobieta - ubrana w różową sukienkę (właściwie bardziej różowy worek niż sukienkę) nieudolnie ukrywającą brzuch, którego obwód wyraźnie przekraczał obwód piersi. Oczy kobiety były mętne, pozbawione wyrazu. Karolina oparła się o pralkę - czuła dziwne ssanie w okolicy podbrzusza. Wcześniej kilkakrotnie miała okazję doświadczyć czegoś podobnego, nigdy jednak uczucie to nie było aż tak mocne.

Ostatnimi czasy stawała się coraz bardziej obca dla samej siebie. Nie potrafiła już rozmawiać z Karolem. Nawet nie próbowała, przekonana, że on i tak nie byłby w stanie zrozumieć tego, co się z nią działo. Ciągłe zajmowało ją tylko jedzenie i spanie - zawsze najpierw myślała o potrzebach dziecka; chciała, aby wszystko, co robi, podporządkowane było rosnącej szybko w jej brzuchu istotce. Coraz rzadziej wychodziła z domu - gdy po raz kolejny ktoś ustąpił jej miejsca w tramwaju, zorientowała się, że jej ciąża zwraca powszechną uwagę. Mając na względzie dobro dziecka, większość czasu spędzała

w mieszkaniu. Uwielbiała przygotowywać posiłki; zwykle były to eksperymentalne mieszaniny znajdujących się akurat pod ręką składników, najczęściej mięsa i różnego rodzaju warzyw. Jadła to, na co w danej chwili miała ochotę, i cieszyła się, że Karol nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, jak wygląda jej dieta.

- Co ja robię? - zapytała ponownie. Zauważyła, że kobieta w lustrze podciąga do góry różową sukienkę, jak gdyby chciała przyjrzeć się swoim zbyt szczupłym w stosunku do reszty ciała nogom. Karolina zrozumiała nagle, że ssanie w dole brzucha stanowiło objaw głodu. Jednak to nie ona była głodna - jadła przecież przed chwilą - głodne było dziecko i to ono wysyłało sygnał, żądając, by ktoś zaspokoił jego pragnienie. Nie była pewna, lecz wydawało jej się, że już kiedyś wcześniej znajdowała się w podobnej sytuacji. Jej ruchy stawały się coraz bardziej automatyczne; bez walki poddawała się woli instynktu, który zbudził się nagle, aby w ciągu kilku chwil zapanować nad nią całkowicie. Zamknęła oczy, po czym ostrożnie zbliżyła kawałek cielęciny do miejsca, w którym łączyły się jej uda. Wstrząsnął ją dreszcz silnej erotycznej przyjemności, niczym podczas przedłużającego się w nieskończoność orgazmu.

Otworzyła oczy dopiero po kilku minutach. Chłód kafelków przyjemnie kontrastował z ciepłem, które czuła po wewnętrznej stronie ud. - Co ja tu jeszcze robię? - pomyślała z uśmiechem. Głaszcząc brzuch, przeszła do sypialni.

- Tak bardzo cię kocham - mówiła. - Najbardziej, najbardziej. Zanim pójdziemy lulu, przeczytam ci jakąś bajeczkę, chcesz?

Sięgnęła po książkę o Kubusiu Puchatku. Pamiętała, że kiedy była dzieckiem, przygody sympatycznego misia zawsze potrafiły wprowadzić ją w dobry humor.

Karol wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Znudziło mu się siedzenie przed ekranem monitora i rzucanie tęsknych spojrzeń za okno. Chciał cieszyć się pierwszym dniem wiosny wraz z Karoliną. Miał nadzieję, że uda mu się namówić ją na długi, przyjemny spacer. Ostatnio spędzali ze sobą tak niewiele czasu; nawet jeśli przebywali razem w mieszkaniu, zbyt rzadko interesowali się sobą.

- Wróciłem! - powiedział głośno, rozpinając koszulę.

- Słyszałam, jak wchodzisz. Nie musisz tak krzyczeć - zganiła go wychodząca z łazienki Karolina. - Czuję, że właśnie zasnęło - dodała szeptem.

Widok wypieków na twarzy żony zaskoczył Karola. Jej włosy były potargane, a spojrzenie zamglone, nieobecne. Uśmiechnęła się, lecz w jej twarzy, w sposobie, w jaki wykrzywiła usta, było coś niepokojącego. Podobnie uśmiechała się, gdy podczas prania zniszczyła jego ulubioną koszulę i usiłowała to przed nim ukryć. Znał ją na tyle dobrze, aby wiedzieć, że tego rodzaju uśmiechem zwykle tuszowała emocje takie jak strach czy poczucie winy. Nagle Karolowi przysłała do głowy absurdalna myśl - wyobraził sobie, że żona właśnie zdradziła go, a kochanek wciąż jeszcze ukrywa się w łazience. Gdy przeszła do kuchni, zajrzał przez uchylone drzwi łazienki, lecz jego podejrzenia oczywiście nie potwierdziły się.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Powiedz, jeśli coś się stało.

- Nic się nie stało - odparła, nie patrząc mu w oczy. - Dlaczego pytasz?

- Bez powodu - wzruszył ramionami. - Myślałem, że może poszlibyśmy do parku. Taka ładna pogoda...

- Jakoś nie mam ochoty. Zresztą dzisiaj musi tam być strasznie dużo ludzi. Prześpię się chyba trochę.

- Widzę, że starasz się dostosować do niego - Karol uśmiechnął się, dotykając opuszkami palców fragmentu sukienki zakrywającego napęczniały brzuch. - Przeczytałem w książce od Zagiernego, że w siódmym miesiącu dziecko potrafi już śnić. Ciekawe o czym śni, prawda?

- Jak to o czym? O wszystkich przyjemnych rzeczach, które może sobie wyobrazić.

- Czyli o jedzeniu i spaniu?

- Nie tylko.

- No tak, ty pewnie wiesz najlepiej. Nie myślałem, że aż do tego stopnia zżyłaś się z nim przez te kilka miesięcy. Jak ty sobie poradzisz, kiedy wreszcie się urodzi? - zażartował.

- Urodzi? - przez moment na twarzy Karoliny odmalował się wyraz podszytego strachem zdziwienia, - Jakoś w ogóle o tym nie myślę.

- W takim razie powinnaś chyba zacząć. Bo to już bardzo niedługo.

Karol obawiał się zupełnej utraty kontaktu z żoną. Aby być bliżej niej, skłamał kierownikowi, że fatalnie się czuje i przez najbliższy tydzień lub dwa nie będzie mógł zjawić się w pracy. Zrobiło mu się przykro, gdy spostrzegł, że Karolina dość obojętnie zareagowała na wiadomość, że będą teraz mogli spędzać ze sobą całe dni. Myślał, że się ucieszy, lecz ona stwierdziła nawet, że „lepiej byłoby, gdyby normalnie chodził do pracy”. Nie było przecież potrzeby, żeby ciągle przesiadywał z nią w domu.

Coraz bardziej zmartwiony zachowaniem Karoliny starał się nie ingerować w jej codzienne sprawy. Stał z boku, uważnie obserwując. Im dłużej przebywał w domu, tym bardziej zdenerwowana i spięta stawała się Karolina. Zdarzało mu się słyszeć, jak przemawia do dziecka, jednak kiedy podchodził bliżej, milkła lub zmieniała ton głosu. Pewnej nocy obudził się i zauważył, że Karolina wyszła do łazienki. Gdy wróciła, w świetle nocnej lampki dostrzegł na jej twarzy znajome wypieki, których widok kilka dni wcześniej tak wyprowadził go z równowagi.

- Już nie wiem, co robić - powiedział podczas śniadania.

- Boję się. Może zbyt pochopnie zdecydowaliśmy się na to dziecko.

- Nie! - Karolina podniosła głos. - Jak możesz tak mówić! Wszystko było przecież zaplanowane.

- Masz rację. Przepraszam - wycofał się Karol. - Po prostu trochę inaczej to sobie wyobrażałem. Martwię się, nie robiłaś dawno badań, dziwnie się zachowujesz...

- A ty znowu swoje. Już mówiłam, że nie muszę robić badań. Ja wiem, że dziecko jest zdrowe. Poczulałabym, gdyby coś było nie w porządku.

Karol odniósł wrażenie, że wyłapał w głosie żony hutę hysterii. Chciał dotknąć jej dłoni w uspokajającym geście, lecz Karolina odsunęła się gwałtownie. Wyjaśniła, że teraz musi pozmywać. Ze spuszczoną głową podeszła do zlewu.

- Możesz włączyć radio? - poprosiła.

Odbiornik znajdował się w pokoju obok. Karol zrozumiał, że w ten sposób rozmowa zakończyła się i jak zwykle niczego sobie nie wyjaśnili. Czuł wzbierającą gwałtownie złość - jego małżeństwo rozpadało się, a on nie potrafił powiedzieć, co spowodowało nagłą degrengoladę opartego na miłości i zro-

zumieniu związku. Nagle uświadomił sobie, że jest zazdrosny o dziecko, któremu Karolina poświęcała całą swoją uwagę i czas. - Lepiej by było, gdyby to dziecko w ogóle nie pojawiło się w naszym życiu - pomyślał, po czym, przerażony tą myślą, usiadł na brzegu łóżka, ukrywając twarz w dłoniach.

Widok szlochającego męża tak bardzo zaskoczył Karolinę, że po chwili wahania zdecydowała się zbliżyć do niego. Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie. Natychmiast wtulił się w jej piersi, a jego palce wbiły się mocno w okolicy jej bioder.

- Już dobrze - powiedziała, kiedy nieco się uspokoił. - Teraz muszę na moment...

- Nie! - dobiegł do niej zdecydowany, nie znoszący sprzeciwu, głos.

- Zostań ze mną!

Karol słyszał, że oddech żony robi się coraz szybszy. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni słyszał jej serce bijące tak gwałtownie. Próbowwała zaprotestować, lecz zamknął jej usta mocnym pocałunkiem. Był od niej dużo wyższy i silniejszy. Opór Karoliny szybko osłabł i już w chwilę później jej dłonie zajęte były rozpinaniem guzików jego koszuli.

- Nie, nie chcę... - wyrwało się jej, lecz to tylko bardziej podnieciło Karola.

Protesty żony były dla niego niezrozumiałe. Czuł jak jej ciało wygina się

z rozkoszy. Lewą dłonią gniótł stwardniałe sutki, podczas gdy prawą usiłował ściągnąć wilgotne majtki. Oczy Karoliny, w których początkowo dostrzegał strach i niechęć, pokryły się mgłą - choć spędzili razem w łóżku wiele godzin, nigdy nie widział na jej twarzy podobnego wyrazu. Cały rozsądek Karoliny prysł, pękł niczym szyba, w którą ktoś mocno rzucił kamie-

niem, pozostała jedynie granicząca z obłądem, przekraczająca zdolność racjonalnego pojmowania przyjemność.

Pozwolił jej przejąć inicjatywę. Szybko rozebrała go, łapczywie miętosząc nagie ciało. Karol zagryzając wargi obserwował napęczniały brzuch i falujące piersi, które, jak zauważył nie bez pewnego zdziwienia, także znacząco się powiększyły. Górowała nad nim - piękna i majestatyczna niczym bogini płodności wyjęta wprost z wierzeń jakiegoś prymitywnego plemienia. Pocałowała go w usta, po czym odwróciła się - widział teraz linię jej pleców i parę kształtnych pośladków. Przejechał palcami po jej gładkiej skórze, najpierw delikatnie, potem mocniej. Gdy włożył palec pomiędzy uda, pochyliła się, zbliżając wilgotne wargi sromu do jego twarzy. Mocno wbił się w nią językiem - Karolina wydała głośny, przeciągły jęk.

Podniósł głowę, usiłując złapać oddech. Poczłł nagle, że coś śliskiego wypełnia jego gardło. Jego oczy spotkały się ze spojrzeniem smolście czarnych ślepi, o których śnił tak często od czasu przygody w piwnicy. Był pewien, że za chwilę się obudzi - przecież to nie mogło dzieć się naprawdę - jednak jego ciało coraz bardziej drętwiało; nie mógł złapać oddechu, nie potrafił już jasno myśleć. W powietrzu unosił się zapach wzbudzający skojarzenia z wilgocią i brudem. Przypominał sobie, że podobny zapach czuł kiedyś, gdy wszedł do kuchni - był to zapach zepsutego dżemu, który jadła Karolina.

- Dlaczego dżem? - zapytał w myślach, lecz nie zdążył już udzielić sobie odpowiedzi.

Ciało Karoliny drżało w spazmach, a wystająca spomiędzy jej ud głowa coraz mocniej wpijała się w Karola. Jęki wydobywające się z jej ust zagłuszał odgłos mlaskania, kojarzący się z dźwiękiem wilgotnych pocałunków. Postronny obserwator nie

byłby w stanie powiedzieć, z której strony zaczyna się, a z której kończy ta dziwaczna, siedząca na czworakach ponad zwłokami swojego męża, istota.

Po powrocie z Norwegii Zagierny nie miał czasu na prowadzenie prywatnej praktyki. Występy w telewizji, a także oczywiście poparta doświadczeniem wiedza pozwoliły mu zdobyć stosunkowo dużą popularność. Pisywał artykuły do gazet, wykładał na uczelni, nosił się z zamiarem startowania w wyborach do parlamentu. Dzięki zaproszeniom na różnego rodzaju konferencje i spotkania zwiedzał kraj, jednocześnie zjednując sobie przyszłych wyborców.

Powoli zaczynała się jesień, wieczory stawały się coraz chłodniejsze. Tego wrześnieowego dnia Zagierny znajdował się w niewielkim miasteczku, którego nazwy nie potrafił sobie przypomnieć już w kilka godzin po wyjeździe. Siedział na ławce w parku, powtarzając w myślach przemowę, którą miał wkrótce wygłosić, gdy jego uwagę zwróciła kobieta w zaawansowanej ciąży zdążająca w kierunku dworca. Przez chwilę był pewien, że to żona Karola. Już miał zamiar zawołać ją, gdy nagle przypomniał sobie, że Karolina (bo tak chyba miała na imię) powinna urodzić już kilka miesięcy temu. Pamiętał wyraźnie, że we wrześniu zeszłego roku była w drugim miesiącu.

Zagierny pokręcił głową z niedowierzaniem. Mimo wszystko podobieństwo było uderzające, ale co żona Karola mogłaby robić w małym miasteczku na końcu świata, kilkaset kilometrów od domu? Natrętny dźwięk syreny wozu policyjnego przywrócił go do rzeczywistości. Powoli ruszył w kierunku hotelu starając się skupić na tekście przemówienia.

Marcin M. Drews

SYRENKA

Co sił w nogach wybiegiem z kina. W połowie seansu. Co gorsza, film zaczynał mi się podobać. Feeria świateł, perfekcyjne efekty specjalne i nawet znośna fabuła. Rzuciłem okiem na repertuar. Wspaniale... To był ostatni seans! Takie już moje szczęście, ale cóż, najpierw obowiązek, potem przyjemność. W sumie i tak wystarczająco odstręczał mnie odór prażonej kukurydzy. Nikt nie powiedział, że będzie łatwo. Śledztwo jednak było wyjątkowe, więc na liście priorytetów wciąż miało numer jeden.

I pomyśleć, że przez trzy ostatnie lata litowałem się nad sobą, pomstując na swój zawód. W porządku, przyznaję, dałem urobić się detektywistycznym opowiadkom Chandlera, a tajemnicze zaułki rodzimego Wrocławia obiecywały prawdziwą przygodę. Skończyło się na ściganiu niewiernych małżonków, których podboje miłosne próbowałem uwiecznić na kliszy. Owszem, zarobiłem przy tym niemało, choć wiele pożarł finans i nieczuła na mój wdzięk ekspedientka sklepu monopolowego, która nigdy nie chciała potargować się ze mną w kwestii ceny za butelkę czarnego Jasia. Nie będę też ukrywał, że dwukrotnie w czasie mojej zabawy w Marlowe'a zdarł ze mnie dentysta, których pozbawili mnie fotografowani adoratorzy niewiernych żon. C'est la vie. Na to nie narzekałem, bo nowe

wyglądały o niebo lepiej od oryginalnych i w konsekwencji szerzej dziś mogłem się uśmiechać.

Rozejrzałem się uważnie, próbując zlokalizować uciekiera na zatłoczonej ulicy Kazimierza Wielkiego. Wrocław świętował dziś apogeum frekwencji w związku z dorocznym festiwalem filmowym. Wytropić kogokolwiek w tym tłumie - bezcenne. I prawie niemożliwe. Przymknąłem oczy, wdychając niezliczone pasma zapachów unoszących się w wieczornym czerwcowym powietrzu. Tanie podróbki perfum kupowane ukradkiem na Dworcu Głównym, zapocone podkoszulki, jaśminowy ponoć płyn do zmiękczenia tkanin czy pełne pieluchy. Wszystko to atakowało mój nos, ale potrafiłem wyłowić ten jeden zapach i na nim właśnie skupić się bez reszty. Drań wyszedł z kina przed końcem seansu, bo wiedział, że odnalazłem go w mroku sali i gęstej chmurze smrodu uprażonej na amen kukurydzy.

Wciągnąłem powietrze z głośnym świstem. Był tam... Doskonale wyczułem ulotne feromony zmieszane z dziwnym nieco bukietem zapachów odrzańskiego szlamu i zardzewiałej stali, jakiej pełno w przepastnych podwrocławskich kanałach. Nić aromatu wiodła na prawo od wyjścia z kina. Facet pobiegł w stronę ulicy Świętego Antoniego - intrygującego traktu, po obu stronach którego stały wiekowe kamienice. Dziś rezydowały tu puby i zakłady pogrzebowe. Na wypadek, gdyby polewano gdzieś alkohol metylowy, jak to sobie czasem tłumaczyłem. Uliczka pełna była uczestników festiwalu zgodnie roztańczających zapach piwa, tytoniu i marihuany. Królestwo bym oddał za papierosa, ale wiedziałem, że muszę wytrwać w abstynencji, dopóki nie dorwę gnoja. Tytoń przytłumiłby mój węch, a tylko nos gwarantował mi powodzenie w sprawie.

* * *

Wszystko zaczęło się około półtora miesiąca temu od zniknięcia młodej, najpewniej Bogu ducha winnej kobiety, która spacerowała nad Odrą. Podejrzewano, że wpadła do wody i porwał ją nurt. Przeprowadzono nawet szeroko zakrojone poszukiwania ciała, ale nurkowie nie znaleźli nic poza dwoma egzemplarzami zardzewiałych karabinów kałasznikow i czterdziestoma różnymi butami, z których nie tylko nie udało się skompletować choćby jednej pary, ale które nie pasowałyby też w żadnym razie na stopę zaginionej, nawet gdyby przymiarki dokonał sam książę. Traf chciał, że dwa tygodnie później pękła rura w rejonie Starego Miasta. W czasie robót kanalarze odkryli w jednym z podziemnych przejść damską garderobę złożoną w kostkę. Obok stała torebka, a w niej portfel, pieniądze i kosmetyki - wszystko należące do zaginionej. Media gubiły się w domysłach. Sezon ogórkowy był za pasem, toteż jak grzyby po deszczu pojawiały się różnorakie teorie. Tymczasowo zatrzymano zarówno narzeczonego dziewczyny, jak i dwunastu kłoszardów, którzy w policyjnych papierach zanotowaną mieli słabość do urządzania libacji w kanałach. Wszyscy okazali się czyści, choć w przypadku bezdomnych nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Trop więc urywał się w równie martwym, co cuchnącym punkcie. Niestety, krótko potem zaginęło kolejnych pięć dziewcząt...

Kilka brukowców powiązało sprawę z domniemanym objawieniem, jakiego doświadczyć miała emerytka, która po wyjściu z kościoła zobaczyła Chrystusa. Domniemany Zbawiciel miał długie na gotycką modłę włosy, hiszpańską bródkę i nienaturalnie wielkie, cytuję - piękne, choć nieco rybie oczy. Do tego momentu opis pokrywał się z wczesnochrześcijańskim wizerunkiem Jezusa. Efekt psuły jednak zrosnięte błoną palce. Stwór ów, Panie wybac mi, jeśli Cię obrażam,

przemknął ponoć chyłkiem przez podwórko, jedną ręką bez wysiłku otworzył studzienkę kanalizacyjną i zniknął w niej, nie zadając sobie trudu, by zabezpieczyć otwór. Sprawa bawiła mnie setnie do czasu spotkania z matką pierwszej zaginionej. Gdy tylko spojrzałem w zbolałą twarz, jej grymas uderzył mnie głębokim smutkiem i zaledwie marną resztką wiary w odzyskanie córki. Poczułem się jak widz „Parszywej dwunastki” w momencie, kiedy wątek komediowy ustępuje miejsca wojennej rzezi. To już nie była taka dobra zabawa, tym bardziej dla zdeklarowanego empaty, czułego na najdelikatniejsze zapachy, jakie ludzkie ciało generuje pod wpływem emocji.

Moje biuro mieściło się na słynnych Jatkach, tuż obok pomnika ku czci zwierząt rzeźnych, między dwoma malutkimi galeriami sztuki. Szyld, jaki umieściłem nad wejściem, wprowadzał jawny dysonans w miejscu, które dawnymi czasy było rynkiem mięsnym, dziś natomiast przyciągało zachodnich turystów, zgłodniałych płócien i rzeźb wrocławskiej próby. Kiedyś mieszczące się tu kramy rzeźne były ważnym przyczynkiem książeńcych dochodów. Dziś wystawcy sztuki mięsem obrzucali mnie, bo wyraźnie nie pasowało im tu biuro detektywistyczne. Płaciłem jednak regularnie czynsz, od paru lat miałem niezłą markę, a klienci nie sprawiali kłopotów, więc nie było podstaw, by eksmitować mnie z miejsca, które przydawało mojej działalności niejakiego prestiżu. Mówiono przy tym kolokwialnie, że mam nosa, choć nikt tak naprawdę nie wiedział, jak bardzo literalnie sprawdzały się te słowa. Miałem węch absolutny i z powodzeniem konkurować mógłbym z każdym policyjnym psem. Kiedyś chciałem na tym zbić fortunę, jednak po lekturze Pachnidła zrezygnowałem z kariery w branżach związanych z zapachami. Prędzej czy później uznano by mnie za wybryk natury i spalono na stosie. Odkry-

łem natomiast, w czasie wyjątkowo długich studiów na psychologii, jak wiele daje mi ów zmysł. Nie można mnie było oszukać, ale tym pochwalić się mógł co drugi zdolny socjotechnik. Ja potrafiłem znacznie więcej. Mogłem nie tylko bezbłędnie rozpoznawać wszelakie emocje u ludzi i zwierząt, ale i fizycznie podążać śladem zapachu, ekstrahując go spośród dowolnej liczby innych, koegzystujących z nim w tym samym miejscu i czasie. W porządku, przyznaję, mówiono też często w gronie znajomych, że jestem pies na baby. Nic jednak nie mogłem poradzić na fakt, iż wyczuwałem feromony lepiej niż ktokolwiek inny mógłby to sobie zamarzyć. Nie zdradzając więc swych wyjątkowych predyspozycji, z powodzeniem działałem jako detektyw węszący zdrady. Ironia losu? Niekoniecznie. Choć nie zostałem drugim Marlowe'em, nie brakowało wokół mnie laleczek, którym mogłem powiedzieć „żegnaj”. A jako najlepszy w branży, finansowo miałem się całkiem nieźle.

* * *

Zatrzymałem się na wysokości bramy prowadzącej do Nieba - pubu, który zawsze gościł uczestników nocnych rajdów alkoholowych, chcących w spokoju doczekać brzasku z pełnym szkłem w ręku. Przejście tchnęło powietrzem przesyconym zapachem piwa, potu i seksu. Te ciepłe wiosenne noce we Wrocławiu... Westchnąłem tęsknie, ale natychmiast odrzuciłem sentymenty na kraniec jaźni, do mocno zardzewiałej skrzyni z napisem „później”. Paradoksalnie główną bronią typka, którego tak namiętnie ścigałem, był seks właśnie.

Bronią i zarazem największą słabością, bowiem dzięki temu mogłem go bezbłędnie wywęszyć. Facet żonglował feromonami, jak tylko chciał. Nie znałem genezy jego zdolności, ale i nie wiedziałem, skąd wzięły się moje, więc był remis.

Ważne tu było natomiast to, że mogłem go bezbłędnie wyniuchać.

Próbowałem właśnie wyłowić ślad zbiega, gdy nagle poczułem silną woń pożądania. W mroku bramy błysnęły oczy i po sekundzie z cienia wyłoniła się dziewczyna. Image? Poza skalą. Dobrze wiedziałem, jakie sztuki chadzają w okolicach wrocławskiego Rynku, ale, Bóg mi świadkiem, ta musiała wyjść prosto z kolorowych pism, które prenumerowałem. Grzywa kruczoczarnych włosów niczym w zwolnionym tempie falowała w rytm wiosennego nocnego powiewu, a pod satynową obcisłą sukienką w soczystym kolorze burgunda przeżyły się twarde jak skała sutki. Zdecydowanie było to jedno z tych legendarnych stworzeń określanych jako 90-60-90, znanych przeciętnemu mężczyźnie tylko z rozkładówek. Ja za przeciętnego się nie uważałem, a jednak z chęcią zatkałbym z tęsknoty, bo jak często spotyka się w życiu prawdziwą boginię?

Czym prędzej sięgnąłem do kieszeni prochowca po fiołkę z nieodłącznym lekarstwem. Przełknąłem dwie pigułki, zanim zjawiskowa dziewczyna stanęła krok ode mnie, zakładając mi smukłe, wonne ramiona na szyję.

Za godzinę z nią sprzedałbym własną matkę, której zresztą, nawiasem mówiąc, nigdy nie lubiłem. Moralność, etyka, obowiązki... Cóż znaczyły te wartości w obliczu możliwości obcowania z absolutem? Sęk w tym, że nie było to wcale takie wesołe. Sukinsyn, przechodząc tędy chwilę przede mną, poraził dziewczynę skoncentrowaną wiązką specyficznej substancji chemicznej, której skład mógł dość szeroko modyfikować w czasie rzeczywistym, w zależności od bieżących potrzeb. Innymi słowy, był niczym skunks, a rozpylany związek, zbudowany na bazie feromonów, doskonale sprawdzał

się zarówno w ofensywie, jak i obronie, bowiem atakował libido ofiary, ukierunkowując ją ściśle na zdefiniowaną przez agresora potrzebę. W tym przypadku potrzebę nagłego pozbawienia mnie dziewictwa, jeśli takowe w ogóle miałem. Istotny problem polegał na tym, iż osoba zatruta taką substancją sama wytwarzała potężny ładunek feromonów w celu zdobycia partnera i zaspokojenia nagłej żądzy. Kończyło się to na tym, iż w makabrycznym poczuciu niespełnienia w końcu targała się na swoje życie. Albo była gwałcona przez osoby oszołomione jej sztucznie rozbuchanym libido. Sam nie wiedziałem, co było gorsze.

Tak też miało być z tą dziewczyną i cholerny skunks dobrze o tym wiedział. Zdawał sobie sprawę, że to opóźni pościg, bowiem nie zostawię jego ofiary na pastwę losu. Kiedy więc zjawiskowa brunetka wisiała mi na szyi, wciskając soczysty język w moje usta, gorączkowo próbowałem zlokalizować w przepastnych kieszeniach płaszczka komplet strzykawek. Miałem ich przy sobie pięć i żywiłem skromną nadzieję, że na tę noc mi wystarczą. Wyciągnąłem jedną, kciukiem odrzuciłem osłonkę igły i bez pardonu wbiłem ją dziewczynie w szyję, dociskając tłoczek do oporu. Po chwili poczułem, jak wiotczeją jej mięśnie i osuwa się bezwładnie po moim ciele. Złapałem ją w pasie i delikatnie posadziłem na ziemi, opierając o stojący przy wąskim chodniku samochód. Środek usypiający był silny i gwarantował dziewczynie przeszło dwanaście godzin snu, z którego obudzi się z silnym bólem głowy, ale wolna od wpływu trucizny agresora. Tylko co miałem teraz zrobić ze śpiącą w najlepsze niedoszlą boginią seksu?

Na szczęście za moimi plecami otworzyły się boczne drzwi multipleksu i pojawiła się grupka uczestników festiwalu filmowego. Zawołałem ich, po czym zdecydowanym, choć nie-

co sztucznym ruchem machnąłem im przed oczyma legitymacją prywatnego detektywa, informując, że dziewczyna właśnie zasłała i muszą wezwać pogotowie. Kiedy upewniłem się, że zostaną przy niej do czasu przyjazdu karetki, ruszyłem dalej śladem zapachu. W ustach zmełłem siarczyste przekleństwo. Od kiedy prowadziłem sprawę, seks był dla mnie równie nieosiągalnym luksusem co papierosy. Czułem się niczym stojący na ceglach mercedes klasy S, z irytacją patrzący, jak gołębie srają mu na maskę.

* * *

Matka pierwszej zaginionej odwiedziła mnie w biurze pewnego wieczoru, gdy nosiłem się już z solidnym zamiarem zamknięcia na noc detektywistycznego przybytku. Pamiętam ten dzień dobrze, bowiem od rana nie zawitał do mnie żaden klient, poza parą zbłąkanych niemieckich turystów, którzy chcieli kupić pamiątki i na migi musiałem im tłumaczyć, że pomylili lokal. Ich język znałem pobieżnie z odcinków „Stawki większej niż życie”, ale żadne z zapamiętanych słów nie byłoby tu na miejscu, chyba że chciałbym wywołać konflikt międzynarodowy. Siedząc więc samotnie przy dźwiękach lokalnego radia, zabawiałem się rozbieranym pokerem na ekranie komputera. Nie mam jednak szczęścia ani w kartach, ani w miłości, więc zamknąłem program i postanowiłem to samo zrobić z biurem, gdy nagle otworzyły się drzwi i weszła sterana życiem kobieta. Wiedziałem, kim jest, bowiem telewizja zdążyła ją już uczynić twarzą mediów. W końcu nic tak nie kreuje oglądalności jak ludzka tragedia, a zaginięcie dziecka, którego rzeczy osobiste znaleziono w kanale, to znakomity temat do kolacji przy telewizorze. Przyznaję, zachowałem się jak dureń, bo wlepiłem w nią oczy jak w zoologiczną atrakcję i minęła wyjątkowo długa sekunda, nim zaproponowałem fotel na-

przeciw biurka. Usiadła bez słowa, sięgnęła do torebki i wyciągnęła zdjęcie córki, które położyła na blacie. Spojrzałem na podobiznę, potem na twarz kobiety i ugryzłem się w język, bo odruch sprawił, iż miałem już rzec o podobieństwie i urodzie. Słowem, zastosować standardową formułkę z podręcznika taniego dżentelmena. W porę skonstatowałem jednak, iż byłoby to równie idiotyczne co niestosowne, zapytałem więc tylko, czym mogę służyć. Niezbyt inteligentnie, ale przynajmniej fachowo. W odpowiedzi kobieta zapłakała, stawiając mnie w dość niezręcznej sytuacji, bowiem mój empatyczny zmysł dosłownie skręcił się z bólu. Wstałem, włączyłem czajnik elektryczny i zaparzyłem jej podwójną melisę, a sobie zrobiłem kawę rozpuszczalną, zalewając ją do połowy wrzątkiem, a resztę dyskretnie uzupełniając whisky. Postawiłem oba kubki na biurku i wysłuchiwałem opowieści, którą znałem doskonale z doniesień prasowych. Matka zaginionej była już wszędzie - na policji, w siedzibie straży miejskiej, a nawet u wróżki. Nic dziwnego, że, koniec końców, trafiła tutaj, skoro fama mówiła, że potrafię wyniuchać każdego. Patrzyła przy tym na mnie z taką nadzieją, że nie byłem w stanie odmówić przyjęcia zlecenia. Mało tego, wstyd się przyznać, bo koledzy z branży pożarliby mnie żywcem, ale chcąc pocieszyć zboląłą matkę, zrezygnowałem z honorarium. Czasu wolnego miałem aż nadto, a przy tym szansa odnalezienia zaginionej lub chociażby najmniejszego tropu, jakiego nie potrafiła podjąć policja, dawała mi nadzieję na darmową reklamę. Oczywiście wyobraźni widziałem już swoją twarz na pierwszych stronach gazet. Ów subtelny egoizm nie stał wcale w sprzeczności z moją empatią, a wręcz uważałem, że jedno uzupełnia drugie, na zasadzie złoto-środką pomiędzy obowiązkiem a przyjemnością...

* * *

Ruszyłem żywo w głąb ulicy Świętego Antoniego, mijając pobrzmiewające muzyką puby i milczące, nomen omen, jak grób zakłady pogrzebowe. Zapach uciekiniera wiódł mnie w stronę Dworca Świebodzkiego. Czas naglił, trop stygł, a każdy dzień zwłoki zwiększał prawdopodobieństwo kolejnych zagięć. Wiedziałem dokładnie, co robił ten człowiek, ale czy mogłem pójść z tym na policję? Wiele razy próbowałem sobie wyobrazić minę dyżurnego funkcjonariusza, gdy opowiadam mu, jak to wywęszyłem domniemanego sprawcę - odmieńca zamieszkującego przedwojenne wrocławskie kanały. Dość szybko straciłbym licencję, a przy odrobinie pecha, na którego brak w sumie nie narzekałem, wciągnięty bym został na listę podejrzanych. Nie mogło być więc mowy o jakiegokolwiek współpracy z organami ścigania. Dlatego prowadziłem prywatne śledztwo, od dwóch tygodni depcząc bydlakowi po piętach. Jego zapachu nie dałoby się pomylić z niczym, chyba że trafiłbym w sam środek seksualnej orgii rozgrywającej się w zamulonym stawie pełnym kawioru.

* * *

Na trop wpadłem w sposób dla mnie banalny. Przez kilka dni krążyłem w trójkącie zakreślonym przez miejsca zniknięć trzech spośród sześciu ofiar. To było proste. Prasa z przyjemnością donosiła, gdzie kogo widziano po raz ostatni. Wystarczyło wbić kilka szpilek w plan miasta, a potem ruszyć w teren, węsząc niczym pies. Wcześniej oczywiście odwiedziłem komendę policji, gdzie dzięki kilku dobrym znajomościom udało mi się uzyskać chwilowy dostęp do rzeczy pierwszej z ofiar, bym mógł poznać i zapamiętać jej zapach. Wtedy właśnie zetknąłem się z tą przedziwną wonią, która tak mnie zaintrygowała, a która pozwoliła w krótkim czasie wytropić

sprawcę. Problem leżał w tym, że jak do tej pory to on bawił się mną. Przeszło tydzień ścigałem go bocznymi uliczkami Starego Miasta, jednak zawsze w końcu znikał. Tak naprawdę nie miałem żadnego szczególnego planu poza tym, by wbić mu jedną ze strzykawkę. Potem zastanowiłbym się, co dalej. Póki co jednak wszystko to były rozważania czysto akademickie, bo facet grał mi na nosie, najwyraźniej znakomicie się przy tym bawiąc. Apogeum miało miejsce dziś wczesnym rankiem, kiedy przed drzwiami biura znalazłem papierowy pakunek, a w nim z lekka nieświeżą już rybę owiniętą w kobiecą apaszkę należącą do pierwszej uprowadzonej dziewczyny - jedynej, której zapach znałem. Oczywiście, mogło być gorzej, wszak ryba to nie koński łeb. Tym niemniej pierwszy raz w życiu ktoś tak bezczelnie ze mną pogrywał. Równie dobrze mógłbym dostać tą rybą w twarz...

Obiecałem sobie, że ta noc będzie ostatnią. Nie będę dawał się wodzić za nos kanalarzowi, obojętnie, jak niezwykle był ten wrocławski bazyliszek. Przez miniony tydzień prowadził mnie mrocznymi uliczkami, atakując w podobny sposób, jak zrobił to dziś - za pomocą opętanych trucizną dziewcząt. Pierwsza z nich, nie mogąc mnie zdobyć, na moich oczach próbowała podciąć sobie żyły szkłem z rozbitej butelki. Na szczęście zdołałem ją ogłuszyć. Nie było w tym za grosz finezji, ale wtedy jeszcze nie miałem ze sobą środka usypiającego. Teraz byłem już przygotowany na podobne sytuacje.

* * *

Trop wywiódł mnie na kraniec Świętego Antoniego. Zamknąłem oczy i poddałem się fali zapachów. Mój adwersarz nie przeszedł drewnianą kładką przez fosę na Podwale, jak się spodziewałem, lecz skręcił w ulicę Włodkowica - dawną Wallstrasse. Miał gust, musiałem mu to przyznać. Ten zapomniana-

ny przez lata niemiecki brukowany trakt był jednym z najpiękniejszych miejsc Wrocławia. Po obu stronach stały bogato zdobione wiekowe kamienice, a na ścianach wisiały jeszcze przedwojenne metalowe szyldy. Od czasu rozpoczęcia remontu tych niezwykłych budowli, jak grzyby po deszczu pojawiać się zaczęły ciche, pełne klimatu puby, w których nocną iluminację stanowiły zapalane przez barmanów świece. To było moje ukochane miejsce i drań jakimś cudem o tym wiedział. Najpewniej analizował moje zapachy równie dobrze, jak ja potrafiłem czytać jego. Był więc na moim terytorium i, paradoksalnie, ten właśnie fakt niepokoił mnie najbardziej. Facet grzeszył zbytnią pewnością siebie. Albo, niestety, był zbyt dobry. I być może również chciał dziś zakończyć tę grę. Remis jednak nie wchodził w rachubę.

Nić rybiej woni wiodła w głąb ulicy, mieszając się z bogatym zapachem Czekoladziarni - magicznej kawiarenki, gdzie oferowano słodczyce we wszelkich możliwych smakach, nawet z serem pleśniowym i chilli. Mijając lokal, poczułem, jak żołądek jęczy w proteście. Nie jadłem nic od rana, a ryba, którą dostałem w podarunku, nie nadawała się na śniadanie.

Fascynowały mnie tutejsze nazwy. Poza Czekoladziarnią bowiem była tu również Ubieralnia - sklep polskich projektantów mody, Jadłodajnia oraz Mleczarnia - znajdująca się tuż obok ostatniej wrocławskiej synagogi magiczna kawiarenka nawiązująca stylem do żydowskiej przeszłości dzielnicy. Jej przytulne ciemne wnętrza falujące w blasku świec wypełniono meblami z duszą. Każde krzesło było inne i miało swoją przeszłość, podobnie jak stare szafy i przedwojenne maszyny do szycia Singer przerobione na gustowne stoliczki przykryte miniaturowymi obrusami ręcznej roboty. Na ścianach wisiały stare zdjęcia dyskretnie podświetlone tak, iż wydawały się

fosforyzować. To było miejsce, w którym spędzałem każdą sobotnią noc. To było miejsce, do którego wkroczył mój uciekinier...

Stałem przed wejściem i z sykiem wypuściłem z płuc powietrze. Nie, tego było już za wiele! Drań naruszył moje miejsce święte. Mało tego, zza szyby dostrzegłem go, siedzącego wygodnie w fotelu pod wielkim abażurem. Machał do mnie, uśmiechając się przyjaźnie. Chwyciłem za klamkę i wszedłem wprost w magię Mleczarni.

* * *

Między Bogiem a prawdą śledztwo na dobre rozpocząłem w bibliotece. Kiedy miałem już w garści kilka luźnych faktów wskazujących na absolutną wyjątkowość sprawcy, postanowiłem przeszukać roczniki gazet pod kątem podobnych spraw. Ograniczyłem się jednak do analizy doniesień z corocznego sezonu ogórkowego. I owszem, trafiłem na informacje o podobnych zaginięciach, dokładnie dwadzieścia pięć i pięćdziesiąt lat temu. Zakładając, iż był to ten sam sprawca i biorąc pod uwagę ćwierćwieczny interwał, wiek faceta mógł być imponujący. Oto kolejny powód, by nie dzielić się wynikami śledztwa z policją. To już groziło nie tylko utratą licencji, ale i tym, co w slangu zwykło określać się kaftanem i czapą. Nie taką karierę sobie wymarzyłem.

* * *

Usiadłem po drugiej stronie miniaturowego stolika. Mój adwersarz ponownie uśmiechał się i przysunął mi kufel jasnego piwa. Sam natomiast raczył się porterelem.

- Nie wiedziałem, co ci zamówić. Nie każdy lubi ciemne piwo - powiedział, a ja zdałem sobie sprawę, iż po raz pierwszy słyszę jego głos. Jasna cholera, facet zrobiłby karierę w radiu. Przechyliłem lekko abażur, by zrobiło się jaśniej, i do-

kładnie przyjrzałem się diabełkowi z pudełka. Miał długie, kruczoczarne włosy, falami spływające na ramiona, hiszpańską bródkę, grube mięsiste usta i wielkie oczy okolone czarnymi obwódkami. Czyżby się malował!? Przypominał mi postać z ulubionej przed laty kreskówki. W Mleczarni mógł natomiast uchodzić za nawiedzonego artystę hippisa.

- Dobry wieczór... Don Pedro - rzekłem, śmiejąc się w duchu ze skojarzenia. Prawą dłoń wsadziłem w kieszeń prochowca, zaciskając ją na strzykawce.

- Że jak? - zapytał ze szczerym zdziwieniem, nachylając się ku mnie i naruszając tym samym strefę intymną. Śmierdział rybą jak nieboskie stworzenie. Odruchowo potarłem nos w geście zakłopotania.

- Wyglądasz jak szpieg z krainy deszczowców. Identyko. Pokręcił głową.

- Nie znam człowieka. Czy ty mnie przypadkiem nie obrażasz?

- Zapomnij - machnąłem ręką. - Kim jesteś? Czym jesteś?

- Syrenką - odrzekł i wygodnie rozparł się w fotelu. - Mitycznym stworzeniem. Pół człowiekiem, pół rybą.

- Rybą na pewno.

Roześmiał się.

- Próbujesz być niemiły. Niepotrzebnie. Czyż nie wybierałem ci najlepszych dziewcząt w geście przyjaźni? Nie skorzystałeś ani razu z mojej uprzejmości. Wolisz chłopców?

- I kto tu jest nieuprzejmy? - zriposłowałem. Facet się mną bawił i nieźle mu to wychodziło. Jego stoicki spokój i dobry humor działały mi na nerwy. Niestety, póki co to on rozdawał tu karty. Zaryzykowałem i upiłem łyk piwa. Nie sądziłem, iż próbowałby mnie otruć w lokalu pełnym ludzi. Poza

tym mój czuły węch nie wychwycił w kuflu nic podejrzanego, a samo piwo było przyjemnie świeże. I dobre.

- Próbuję ci tylko dogodzić. Żebyś nie sądził, że jestem egoistą. Myślę, że ścigasz mnie z czystej zazdrości o to, że ja mam sześć swoich dziewcząt, a ty siedzisz co dnia smutny i samotny w biurze, które kiedyś było rzeźnią, co zresztą dobrze jeszcze pamiętam.

Niesamowite, facet próbował mi wmówić, iż żyje co najmniej od osiemnastego stulecia. Biorąc jednak pod uwagę doniesienia prasowe o zaginięciach, byłem skłonny w to uwierzyć. Mniejsza z tym, bowiem zdałem sobie natychmiast sprawę z tego, iż powiedział coś znacznie ważniejszego.

- One żyją? - Tym razem to ja nachyliłem się ku niemu. - Ty skurwysynu, odpowiedz, czy one żyją!?

Westchnął z wyraźnym bólem.

- Dzisiejszej młodzieży stanowczo brakuje ogłady. Możesz mi mówić Albert. Tak mam na imię. Lepiej brzmi niż skurwysyn, prawda? Tak, żyją i mają się dobrze, choć muszę przyznać, że wszystkie są we mnie bez reszty zakochane. Sam doskonale wiesz, że nie można mi się oprzeć. Dosłownie konają z tęsknoty, kiedy ja tracę czas na bieganie po mieście, zabawę w berka i organizowanie ci randek. - Podniósł kufel i z uznaniem nań spojrział. - Leją tu najlepszy porter w mieście. Wiedziałeś o tym?

- Gdzie one są? Gdzie je trzymasz?

- Zawrzyjmy umowę. Powiem ci, gdzie są, jeśli ty zdradzisz mi, jakim cudem nie uległeś dziewczętom, które ci wystawiłem. Nikomu wcześniej się to nie udało. I jak w ogóle mnie odnalazłeś? To niemożliwe, jeśli nie jesteś jednym z nas.

Wspaniale. Po prostu wspaniale. Było ich więcej. Już jeden dziwak stanowił wystarczające zagrożenie, a teraz okaza-

ło się, że nie jest jedyny w swym rodzaju. Nie tego się spodziewałem. I nie tego bym sobie życzył.

Albert, jak kazał się nazywać, nie wiedział o moim niezwykłym węchu. To dawało mi niejaka przewagę, bowiem tak długo, jak nie miał pojęcia o stosowanych przeze mnie metodach, mogłem go do woli ścigać. Kiedy tylko zrozumiałby sposób mojego działania, przy swoich szczególnych zdolnościach mógłby bez przeszkód zmieniać własny zapach tak, że nie odróżniłbym go od obszczanych bram, których w tej okolicy nie brakowało. Musiałem jednak uratować zaginione dziewczęta. Pytanie, czy mogłem mu zaufać? A nawet jeśli, to czy nie porwie z czasem kolejnych, będąc już dla mnie niemożliwym do wyśledzenia? Stawka była wysoka. Postanowiłem więc zdradzić mu tylko część prawdy. Lewą ręką wyciągnąłem z kieszeni fiolkę pełną pigułek i postawiłem na stole. Kciukiem prawej odbezpieczyłem igłę jednej ze strzykawk.

Albert spojrział na fiolkę ze szczerym zdumieniem. Chwycał ją w dłoń o zrosniętych błoną palcach, przystawił do oczu, jak gdyby był krótkowidzem i zaczął studiować etykietę. Nagle roześmiał się w głos. Tak, poznał część mojej tajemnicy. Na szczęście, tę banalną część, na której ujawnienie mogłem sobie pozwolić. Odstawił fiolkę na stół. I to był moment, na który czekałem.

Błyskawicznym ruchem wyciągnąłem strzykawkę i wbiłem mu ją w dłoń, jednocześnie ściskając tłoczek tak, by zaaplikować jak największą dawkę środka nasennego. I wtedy poczułem, jak włosy stają mi dęba. Albert uśmiechał się, prezentując szeroki garnitur zębów, gdy tymczasem jego dłoń zmieniała się w półprzezroczystą, zielonkawą galaretę, a igła zazgrzytała o drewnianą powierzchnię stolika, po którym rozlał się specyfik. Zrobiłem chyba dość głupią minę i patrząc w

rozgrywający się na stoliczku koszmar rodem z Lovecrafta, zacząłem śmiać się jak głupi do sera. Albert mrugnął do mnie, otworzył usta i pokazał mi język zbudowany z tej samej substancji co ręka. W tym momencie przestałem żałować, że nic dzisiaj nie jadłem. Lubieżnie pomachał do mnie wystającą z ust galaretą, po czym zerwał się na równe nogi i wybiegł z pubu, zostawiając mnie ze strzykawką wbitą w stolik i odrobioną śluzu na igle. W tym momencie postarzałem się o dziesięć lat i poczułem nagłą potrzebę zdobycia tabletek przeciw biegunce.

Wybiegłem za nim w noc, mając nadzieję, że zapłacił za piwo, które jeszcze minutę temu obaj piliśmy w niemalże przyjacielskiej atmosferze. Trop prowadził mnie w prawo. Pobiegłem na złamanie karku w stronę Świętego Antoniego. Moje powonienie pracowało na najwyższych obrotach. Albert skręcił w bramę przy Włodkowica 15 i zanurzył się w mrok podwórka dawnego klasztoru Franciszkanów - obecnie kompleksu pięknych lecz zaniedbanych kamienic. Dawne cele klasztorne zamieniono na mieszkania komunalne, a klatki schodowe od lat cuchnęły uryną, W ciemności skrzypnęły drzwi jednego z budynków. Wiedziałem, dokąd zmierza moja syrenka, i musiałem się pośpieszyć. Rzuciłem się na oślep w nieoświetlone podwórze, biegnąc przeztrawnik, a podeszwy mlaskały mi w psich odchodach. Poznajcie pracę detektywa...

Drzwi nie dało się na szczęście zablokować od środka, toteż wpadłem przez nie z impetem prosto w ciemność. Dobrze znałem rozkład korytarzy, ale na wszelki wypadek oświetliłem sobie drogę miniaturową latarką. Klatka schodowa cuchnęła tak szpetnie, jak wyglądała. Skręciłem w prawo i trafiłem w długi, wysoki, półkoliście zwieńczony korytarz, w części wyłożony jasną glazurą. Był tu ponoć kiedyś szpital stanowią-

cy część ówczesnego klasztoru. Usłyszałem łomot. Albert wyłamywał właśnie drzwi prowadzące na zamknięty z czterech stron ścianami kamienic wewnętrzny dziedziniec. Stała tam kamienna studnia z 1729 r. z wykutym w piaskowcu herbem franciszkanów przedstawiającym krzyż i dwie skrzyżowane ręce - obnażoną Chrystusa i przyodzianą w habit, należącą do Franciszka. Kiedy wbiegłem na podwórze, stwór siedział już na cembrowinie, nogi trzymając w środku, i wesoło na mnie patrzył. Sięgnąłem po pozostałe strzykawki, choć wiedziałem, że wiele nimi nie zwojuję.

- Chcesz wiedzieć, gdzie są dziewczęta? Dokładnie pode mną, choć o dwa poziomy kanałów niżej! Chodź ze mną, to sam je zobaczysz. - Roześmiał się ubawiony najwidoczniej żartem, którego nie zrozumiałem.

- Ty durniu! Dobrze wiem, że studnia jest ślepa. Chcesz tam wskoczyć? Śmiało! W lepszym miejscu nie mógłbym cię uwięzić do czasu przyjazdu policji. - Której nie odważyłbym się wezwać, dodałem w duchu. Mimo woli zadrżałem, myśląc, że na dobrą sprawę Albert może zmienić zdanie, wyjść ze studni i dać mi solidną nauczkę. Przed chwilą widziałem, jak wyłamał zamknięte na głucho drzwi, a kobieta, która zauważyła go w tej właśnie okolicy tygodnie temu i doniosła o tym prasie, twierdziła, że bez trudu odrzucił jedną ręką żelazne wieko otworu kanalizacyjnego. Póki co jednak mieliśmy impas. Ja zagradzałem mu drogę ucieczki przez klatkę schodową, a studnia była ślepa i nie było tam grama wody. Nie mógł więc do niej skoczyć.

Oczywiście, skoczył. Zakląłem siarczyście i rzuciłem się do cembrowiny, słysząc głuche tąpnięcie, gdy mój uciekinier wylądował na dnie. Teraz go miałem! Nie było nawet mowy o tym, by wydostał się na zewnątrz. Rozejrzałem się, szukając

czegoś ciężkiego, czym mógłbym storpedować stwora. Rozświetliłem latarką podwórze. Żadnych kamieni, bezpieczeństwa kawałków betonu, niczego, co mogłoby mi się przydać. Pod ścianą zauważyłem jedynie kilka 50-kilogramowych worków z cementem, gipsem i piaskiem. Prawdopodobnie miasto przymierzyło się w końcu do remontu. Byłem zdesperowany, ale nie na tyle chyba, by próbować podnieść z ziemi taki ciężar i wrzucić go do studni. Nigdy nie uważałem się za ułomka, ale worki do najporęczniejszych nie należały, a przy tym spięte były solidną plastikową taśmą, która uniemożliwić miała pewnie kradzież na sztuki.

- Co kombinujesz, złociutki? Przepraszam, ale ja muszę już spływać. Au revoir, monsieur! - krzyknęła syrenka, śmiejąc się przy tym do rozpuku, a echo poniosło głos w górę. Wspañiale. Zaraz pobudzi mieszkańców, a ci ani chybi wezwą policję. A jednak bardziej zaniepokoiło mnie to, że jakimś cudem informacja o ucieczce mogła być czymś więcej niż tylko nędnym blefem.

Nagle śmiech ucichł zastąpiony serią przedziwnych, niesympatycznych młaśnień. Ostrożnie zajrzałem do studni. Ciemno. Ponownie uruchomiłem latarkę, akurat na czas, by zobaczyć dalszy ciąg transformacji, jaką Albert rozpoczął w pubie. Stał na dnie i bezczelnie patrzył mi prosto w oczy, a jego ciało powoli zamieniało się w zielonkawą, coraz rzadszą galaretę. Widok był równie fascynujący co potworny. Ubranie zapadło się w półprzezroczystym ciele stwora i powoli spłynęło w dół, by w końcu łagodnie rozścielić się na dnie studni. Uciekinier stawał się coraz bardziej płynny, a substancja, która była kiedyś jego skórą, rzucała teraz dziesiątki różnobarwnych refleksów. Mimo że stwór wciąż utrzymywał humanoidalną sylwetkę, powoli robił się coraz mniejszy, a spod stóp

wypływała ciecz, która powoli znikła w porach nieszczelnego dna suchej studni. Jak powiedział, tak zrobił - na moich oczach dosłownie spływał. Zakląłem potwornie, ale Albert nie mógł się już roześmiać, bo nie miał ust. Zrobiło mi się słabo. Nie tak miał wyglądać finał tej sprawy! Rozejrzałem się, licząc na jakąkolwiek pomoc, szukając w ścianach kamienic natchnienia. Nic, tylko cholerne worki. Worki...

Uśmiechnąłem się szeroko niczym bulterier tuż przed zatopieniem zębów w łydce listonosza. Miałem tylko chwilę na podjęcie decyzji, ale jeśli stwór pozostanie na dnie choćby jeszcze przez minutę, będzie mój. Podbiegłem do worków, wyciągnąłem scyzoryk, jaki zawsze noszę przy kluczach, i rozciąłem interesującą mnie paczkę. Zrzuciłem płaszcz, rozpostarłem go na ziemi i zacząłem gołymi rękami wysypywać nań zawartość. Po chwili taszczyłem już w stronę studni solidny tobołek. Postawiłem go przy cembrowinie i zajrzałem do środka. Alberta nie zostało tam wiele, ale wciąż z grubsza przypominał ludzką postać, choć mierzył już najwyżej około metra. Rozpuszczał się coraz szybciej. Podniosłem tobołek i wysypałem całą jego zawartość, po czym powtórzyłem czynność, po chwili taszcząc drugi ładunek, który też wrzuciłem do studni.

- Wisisz mi za mój ulubiony płaszcz, skurwysynu! - wrzasnąłem i zaśmiałem się histerycznie, widząc, jaki efekt udało mi się uzyskać. Dwa spore ładunki szybko wiążącego gipsu budowlanego zrobiły swoje. Stwór przestał maleć, zmętniał i przez chwilę wił się, lecz zaraz stwardniał, zamieniając się w rzeźbę. Przez chwilę jeszcze coś w gipsowej skorupie bulgotało, po czym zapadła błoga cisza. Nie miałem wątpliwości. Kimkolwiek był, zabiłem go. Ktoś kiedyś powiedział, że prawdziwą

sumę dokonań stanowi pamięć innych, a nie znak na papierze czy kształt odciśnięty w gipsie. Mylił się...

Podniosłem płaszcz, otrzepałem go i sięgnąłem do kieszeni po fiolkę silnego środka na obniżenie libido. Nie był mi już potrzebny. Na wszelki wypadek wytarłem ją dokładnie, by nie zostawić odcisków palców, choć nie sądzę, by policja specjalnie interesowała się porzuconą gipsową rzeźbą, nawet jeśli pojawiła się znikąd w zabytkowej studni. Trzymając pojemnik w chusteczce, po raz ostatni zajrzałem w kamienny otwór. Rzuciłem fiolkę do środka trafiając stwora w gipsowa głowę i krusząc mu przy okazji coś, co najpewniej było wcześniej jego nosem.

- Masz! Na zdrowie, wrocławska syrenko! - rzuciłem na koniec i choć nie było to ani wyszukane, ani sentencjonalne, musiałem szczerze przyznać, że byłem z siebie dumny. Pigułki wziąłem godzinę temu, więc efekt utrzymywać się będzie jeszcze przed dobrą nocą. Ale na podryw mogłem pójść już dziś. Po drodze znajdę automat telefoniczny, z którego anonimowo połączę się z policją, by poinformować o tym, gdzie znajdują się zaginione dziewczęta. A kiedy spełnię już obywatelski obowiązek, zasiądę przy barze, zamówię porządnego drinka, zapalę papierosa i zauroczę jakąś piękność z grzywą gęstych, rudych włosów. Być może moje libido zmartwychwstanie wtedy szybciej. Zapowiadała się długa, przyjemna noc...

Marcin M. Drews, 2008

Marek Ścieszek

100 000 B. C.

Pełny brzuch najlepiej sprzyjał rozmyślaniom o przyszłości, a Maog najadł się właśnie do syta. Nie powinno więc dziwić, że po raz pierwszy od wielu tygodni zdobył się na uśmiech. Po obfitym posiłku odłączył się od stada i zniknął pomiędzy bezlistnymi o tej porze roku krzewami, gęsto porastającymi podnóże Wielkiej Skały. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy z tego, że przynajmniej jedna para oczu wodziła za nim spojrzeniem, śledząc każdy jego gest.

Pełny brzuch z całą pewnością nie sprzyjał wspinaczce, jednak Maog nie zostałby przywódcą liczącej dwa tuziny osób gromady, gdyby poddawał się chwilom słabości. Założył na ramiona skórę zwierzęcia, które właśnie zostało spożyte, po czym, przedarłszy się przez gąszcz krzewów, dotarł do łagodniejszego stoku Wielkiej Skały po przeciwnej stronie jaskini. Zatrzymał się na chwilę, położył dłoń na zimnej, chropawej skale i zadarł głowę. Hen w górze, wyżej niż szczyt ich tymczasowego siedliska, rozpościerało się granatowe, usiane gwiazdami niebo. Najjaśniejszym punktem był oczywiście bliski pełni księżyc, ogromny, poznaczony szarymi plamami przypominającymi Maogowi piegi na pozbawionej sierści głowie jego ojca. Porównanie miesiąca z wyliniałym czerepem Neaka sprawiło, że grube mięsiste wargi przywódcy gromady wykrzywił pełen złości uśmiech. Szczercząc długie kły, Maog

ujął w dłoń wystający fragment skały, wsparł stopę nieco niżej i podciągnął się do góry, ile sit w mięśniach.

Wspinaczka nie trwała długo. Już na płaskim szczycie skały samiec odetchnął głębiej i poruszył ramionami, jakby otrząsał je ze śniegu. Gest spowodowało zimno. Była najmroźniejsza pora roku i choć wysiłek, jaki podjął Maog, wspinając się na Wielką Skałę, rozgrzał jego ciało, to już na szczycie, wystającym ponad czubki okolicznych krzewów, drzew i skał, powiał silny, luty wiatr.

Maog burknął i zbliżył się do skraju płaszczyzny od strony jaskini. Wychylił się nieco i spojrział w dół. Nie dostrzegł nikogo - wszyscy siedzieli w środku groty, zbici w ciasną grupę, dając sobie nawzajem ciepło i obgryzając ostatnie kostki jaskiniowego niedźwiedzia. Poza ich osłoniętym od wiatru siedliskiem królował już mrok, mróz oraz wilki. Tak. Maog już dawno dostrzegł błysk ich oczu pośród okolicznych zasp i doskonale wiedział, co je przywabiło - zapach krwi miśka. Myśl o czających się w pobliżu drapiezcach, skłonnych przy odrobinę większej odwadze do odebrania pożywienia ludziom, sprawiała, że samiec zawarczał.

Pokonał gwałtowną ochotę rzucenia czymś w kierunku pobłyskujących w mroku żółtych światełek. Odstąpiwszy od skraju szczytu, odgarnął stopą śnieg z jednego z wystających większych skalnych odłamków. Usiadł na odśnieżonym miejscu i zapatrzył się w gwiazdy.

Zamyślił się. Jedno ze światełek zawieszonych wysoko na niebie mrugało do niego przyjacielsko. Maog uśmiechnął się doń w odpowiedzi. Mogła to być jego szczęśliwa gwiazda, która sprawiała, że wszystkie dotychczasowe decyzje i czyny Maoga wieńczone były sukcesami.

Od rozmyślań oderwał go dźwięk gdzieś z boku. Maog spojrział w tym kierunku i czekał, doskonale wiedząc, co dźwięk oznacza - ktoś wspinał się na Wielką Skałę. Zapewne dostrzegł ucieczkę przywódcy i postanowił się doń przyłączyć, w głupi sposób zakłócając mu spokój.

Maog poczuł ukłucie gniewu. Kiedy jednak zobaczył, kto wyłania się spoza skraju skały, gniew natychmiast ustąpił.

Rzucił gardłowo kilka słów, wyrażając dezaprobatę.

Postać wspięła się wreszcie na szczyt, wstała z kolan, otrzepała je ze śniegu i zbliżyła się do Maoga. Była to Khana, jego samica. Teraz przycupnęła tuż przy prawej nodze samca i wtuliła się weń, spojrzeniem szukając w jego oczach objawów niezadowolenia.

Powtórzył, ale już z mniejszym gniewem.

Uśmiechnęła się szeroko w odpowiedzi i pokręciła głową. Jakże mogłaby w tak szczęśliwym momencie, gdy po wielu tygodniach głodówki stada wróciła łowiecka wyprawa i kiedy zagrożenie ze strony współbraci minęło, być z dala od swego samca? Chciała dzielić z nim radość.

Zamruczała przymilnie, ocierając się bokiem o jego ramię.

Maog chwilę sapał, po czym przykrył jej ramiona skórą upolowanego niedźwiedzia, którą szczęśliwi łowcy podarowali przywódcy, i położył dłoń na sporym brzuchu Khany.

Już razem ponownie zapatrzyli się w usiane gwiazdami niebo. Ta chwila mogła trwać wiecznie.

Maog wskazał dłonią księżyc i mruknął do ucha Khany, informując o tym, co zauważył już wcześniej - podobieństwie miesiąca do skóry Neaka.

Khana zakryła wargi obiema dłońmi i parsknęła śmiechem. Chwilę później przyłączył się do niej Maog, który oczywiście kochał swego ojca i dbał o niego ze wszech sił, ale cza-

sami nie mógł się powstrzymać od żartów z niedołęznego starca.

Panująca właśnie część zimy niczym nie różniła się od wielu poprzednich. Bo i czym mogła się wyróżniać? Była to pora roku, która nieodmiennie kojarzyła się z brakiem pożywienia, a więc i głodem. Zaś głód bezustannie kojarzył się ze śmiercią. Przywódca gromady doskonale pamiętał, że właśnie wtedy umierało najwięcej dzieci i starców. Jego sędziwy ojciec miał o wiele dłuższą pamięć, sięgającą bez mała czterdziestu mroźnych, śmiertelnych okresów, mógł więc zaświadczyć, że przed przyjściem na świat Maoga były one dokładnie takie same jak obecna.

Lód pokrywał ziemię przez cały rok. Przez większość zimnych miesięcy dało się jednak znaleźć jadalne nie tylko w miejscach, w których pokrywa lodu omijała spore zadrzewione przestrzenie, ale i zgoła pod lodem. Grupa wprawnych myśliwych nie miała kłopotów z zapędzeniem na skraj urwiska rodziny mamutów czy z zakłuciem ostrzami dzid usiłującego atakować włochatego nosorożca. Kiedy jednak nadchodziła najmroźniejsza pora, kiedy zaczynał wiać porywisty wiatr, syjący w oczy śniegiem, zapas pożywienia kurczył się do minimum niezbędnego, aby przeżyć do cieplejszej pory zimy. Tego roku pierwszy mroźny powiew pojawił się bardzo wcześnie, zanim jeszcze ostatnie stada najbardziej wytrzymałych ptaków zdążyły zniknąć gdzieś za południowym nieboskłonem. Wraz z zawieją pojawił się prawdziwy mróz - zupełnie jakby tych dwoje nie odstępowało od siebie na krok. Zwierzęta odeszły daleko w poszukiwaniu pożywienia i do jaskini Maoga zajrzał okrutny głód.

Nie mogąc dzień w dzień wysłuchiwać płaczu dzieci oraz narzekań samic, Maog wraz z kilkoma najsilniejszymi samcami

z gromady chadzał na polowania czasami trwające tydzień albo dłużej. Nie zawsze powracał ze zdobyczą w postaci upolowanej zwierzyny, jednak starał się nie pojawiać w jaskini z pustymi rękoma. Przeważnie łupem łowców padały gryzonie, nie dość bystre, aby się ukryć przed doskonałym wzrokiem i węchem ludzi. Częściej jednak były to korzenie jadalnych roślin, pracowicie wygrzebywane spod śniegu. Bywało, że zdobyczą myśliwych padał ostatni w tej okolicy bielak albo zaplątany w cierniste gałęzie głogu ptak, wówczas pierwszymi do skromnego posiłku byli najślabi w grupie.

Z przedostatniej wyprawy Maog wraz z łowcami przynieśli śmierdzące rozkładem ścierwo elasmoterium - tamtego dnia najedli się wszyscy.

Głód mocno przetrzebił podopiecznych Maoga. Umarło troje dzieci oraz dwóch starców. I choć ich ciała mogły się przysłużyć pozostałym, przywódca gromady nakazał zagrzebać je głęboko w zmrożonej ziemi, miejsce pochówku zaś zabezpieczyć stertą gałązów, aby ciał nie rozwłóczyły wilki.

Coraz częściej przywódca gromady wyczuwał na sobie niechętnie, niemal wrogie spojrzenia współplemieńców. Przyzwyczał się już do nich tak, jak nawykł do pustego brzucha. Znał przyczynę wrogości i potrafił ją zaakceptować, dopóki kończyła się na nim. Nie godził się jedynie z niechęcią do Khany, mimo że doskonale wiedział, iż pośrednią przyczyną braku pożywienia była właśnie ona.

Ciężarna Khana nie mogła dotrzymać kroku plemieniu w czasie corocznych wędrówek na południe. Zanim jeszcze powiał mroźny wiatr, plemię wyruszyło w drogę. Daleko jednak nie dotarło, bowiem już tydzień później Maog zarządził postój. Chodziło oczywiście o Khanę - czas do rozwiązania był

już niezwykle krótki i samica przywódcy gromady nie mogła go spędzić w drodze.

Na tymczasowe siedlisko wybrali jaskinię w sięgającej nieba skale, osłoniętą od otoczenia gęstym okręgiem z krzewów i drzew.

Dni wlokły się jeden za drugim, wszystkie podobne do siebie jak krople wody w wypełnionej stopionym śniegiem skalnej niecce. Ale najgorsze były noce. Maog długo nie potrafił zasnąć, wsłuchując się w popłakiwanie dzieci oraz przyciszony głosy samic i samców na tle dobiegającego z zewnątrz gwizdu zawiei. Czując ich wzrok na sobie oraz wyczuwając, gdy popatrywali również na Khanę.

Dwa miesiące temu do Maoga podeszło czterech jego braci: Khel, Gear, Wahtah i Gan. Poprosili, aby pozwolił im ruszyć na wyprawę, która mogłaby trwać dłużej niż tydzień czy dwa. To oznaczało, że w poszukiwaniu zdobyczy gotowi byli przekroczyć granicę wiecznego lodu, a na to Maog długo nie potrafił się zdecydować - tamtymi terenami władali Bezwłosi. Dopiero gdy braci poparło całe plemię, Maog wydał zgodę i czwórka, uzbrojona w długie, zakończone kamiennymi grotami dzidy, wyruszyła w świat.

Jedynie widok ciężarnej Khany powstrzymał Maoga przed przyłączeniem się do wyprawy. Na tydzień rozłąki z potrzebującą opieki samicą mógł sobie pozwolić, ale nie miesiąc. Wymagała ciągłej opieki, ale potrzebowała również ochrony przed resztą gromady - niechęć już dawno przemieniła się w zapiekłą nienawiść.

Jak przed opuszczeniem jaskini przez braci, każdy kolejny dzień niczym nie różnił się od poprzedniego. Wypełniały je wypadki samców po pożywienie oraz czekanie na powrót śmiałków, podczas gdy świat poza jaskinią pokrywał coraz

grubszy pokład nawiewanego przez mroźny wiatr śniegu. Przede wszystkim jednak dni wypełniała rosnąca w moc wrogość plemienia do Khany.

W przeddzień przybycia Khela, Geara, Wahtaha i Gana z upolowanym niedźwiedziem doszło do dramatycznych wydarzeń. Główną przyczyną był oczywiście głód, przez który zmarło kolejne młode.

Jedna z najmłodszych samic, Gadra, matka zmarłego dziecka, wyjął jak wilczyca, rzuciła się na Khanę. Szczęściem Maog był wówczas w jaskini i mógł interweniować. Odpędził Gadrę, używając siły, niestety chwilę później musiał się zmierzyć z jej samcem. Pokonał go, po raz kolejny udowadniając wszystkim, że to przy nim, Maogu synu Neaka jest przywództwo nad plemieniem. Jednak to wydarzenie uświadomiło mu, że nawet on długo nie utrzyma w ryzach ludzi i wówczas nastąpi jeszcze większy dramat.

Tej nocy nie zmrużył oka, warując przy śpiącej Khanie, dostrzegając błyszczące w ciemnościach jaskini światła wpatrzonych w nich oczu. Mając czas na przemyślenie wszystkiego, postanowił, że rano ogłosi swoją wolę. Pozwoli plemieniu kontynuować wędrówkę w poszukiwaniu dogodniejszych łowisk, sam zaś pozostanie przy Khanie. A za dwa albo trzy tygodnie, już z liczniejszą rodziną dołączy do reszty.

Nad ich losem czuwał jednak Duch Niedźwiedzia Jaskiniowego i to najprawdopodobniej on sprawił, że do podziału gromady nie doszło.

Maog wstał bardzo wcześnie. Zanim zdecydował się obudzić Khanę, chwilę jeszcze rozpamiętywał sen, z którego wyrwał go mroźniejszy powiew wiatru. Przywódca gromady oczyma wyobraźni nadal widział światło od tysiąca słońc, tak białe, że nic poza nim nie było widać, oraz głosy, brzęczące,

świergoczące niczym ptaki. Nie potrafiąc wyjaśnić sobie szczegółów koszmaru, zbudził samice, wymownym spojrzeniem nakazując jej ciszę. W jaskini panował półmrok. Widać było ciemne kształty śpiących ludzi. Przywódca pomógł podnieść się ciężarnej samicy, otulił ją skórą tura aż po czubek głowy i poprowadził ostrożnie ku wyjściu. Udało im się nikogo nie zbudzić.

Tej nocy zawierucha nieco zmaląła, zatem jedynym utrudnieniem mogły być nawiane w nieosłoniętych niczym miejscach grube śnieżne zasy. Maog wraz z Khaną natychmiast skierowali się na południe, gdzie teren stopniowo obniżał się, stając się coraz bardziej kamienisty. Przez dłuższy czas przedzierali się przez nagie, skarłowaciałe drzewa, dopóki ubogiej roślinności nie zastąpiły setki różnej wielkości skał. Labirynt głazów wiódł w jednym kierunku - ku naturalnej przeszkodzie w postaci sięgających nieba pionowych ścian. Ściany dzieliły usianą skałami i głazami nieckę od rozległej białej przestrzeni lodowca i chroniły ten zakątek ziem od śniegu - wędrowniki nie utrudniały już zasy.

Celem Maoga były dziesiątki jaskiń u podnóża skalnej przeszkody. W mrocznej głębi jednej z nich ukrył Khanę, po czym znacznie szybszym tempem ruszył w drogą powrotną. Zamierzał dotrzeć do groty, zanim przebudzi się stado.

Biegając, ze wzrokiem twardo wbitym przed siebie, z wargami zaciśniętymi z determinacją w wąską kreskę, oddychając miarowo przez szeroki nos, układał sobie w myślach rozmowę, jaka go wkrótce miała czekać. Zamierzał być nieugięty, w razie potrzeby, jeśliby zamierzali się przeciwstawiać - agresywny. Nie przypuszczał, aby decyzja, którą podjął, stała w sprzeczności z chęciami grupy, ale mimo wszystko miało to wyglądać tak, jakby to on o wszystkim zdecydował.

Jeśli trzeba będzie, powali któregoś z samców na ziemię, tak dla lepszego efektu, choć już teraz wiedział, że mogłoby się obejść bez tego. Dalsza wędrówka tkwiła w ich umysłach od dawna i to właśnie on, Maog, stał im na drodze, nie niechęć ogółu. Wystarczyło zejść im z drogi, czyniąc to w taki sposób, aby nie nadszarpnąć autorytetu przywódcy.

Zatem, tak czy tak, ktoś dzisiaj będzie leżał na ziemi pod stopą Maoga!

Wargi przywódcy uchyliły się drapieźnie, ukazując ostre kły.

Jenot przycupnął tuż pod jedną ze skał na małej śnieżnej zaspie. Jego białe futro sprawiło, że stał się niemal niewidoczny na śniegu. Jedynym czarnym elementem był nos oraz łypiące na biegnącego śmiertelnego wroga ślepka.

Jedynie swemu doskonałemu wzrokowi, charakteryzującemu rodzaj ludzki, zawdzięczał Maog, że dostrzegł futrzaka. Momentalnie przeprawa z gromadą wywietrzała mu z głowy. Zatrzymał się jak wryty i, dysząc przez szeroko rozwarte nozdrza, wpatrzył się w nieszczęsne zwierzę.

Spojrzenia ofiary i łowcy skrzyżowały się. Jenot nie śmiał drgnąć, wciąż łudząc się, że jest niewidoczny. Tymczasem człowiek sycił się widokiem pożywienia, które było tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie, paradoksalnie, tak daleko. Mimo wszystko nie wystarczyło wyciągnąć ręki, aby zaspokoić palące od dawna pragnienie sytości. Sytuacja wydawała się patowa i mogła trwać dłużej, gdyby nie głód Maoga.

Organizm, domagający się posiłku, dzięki umysłowi łowcy wiedzący już o bliskości pożywnego mięsa, wysłał informację niemożliwą do pomylenia z żadną inną, żądając od Maoga

pośpiechu. Wprost z trzewi człowieka dobyło się basowe burczenie.

Na ten dźwięk jenot szczerknął przerażony i rzucił się do ucieczki. Maog pochylił się, ujął w dłoń spory kamień i rzucił nim za umykającym stworzeniem. Pocisk zakreślił płaski łuk w powietrzu i z ogromną mocą trafił jenota w grzbiet. Siła uderzenia szarpnęła zwierzęciem, które przekoziółkowało po kamienistym podłożu i legło nieruchomo.

Człowiek podniósł głowę do góry i opuścił powieki - Duch Niedźwiedzia Jaskiniowego zdawał się sprzyjać jego planom. Maog wróci do jaskini nie tylko z pozwoleniem na dalszą wędrówkę, ale i z posiłkiem, którym nakarmi pozostałe przy życiu dzieci oraz starców. Samce oraz ich samice będą zmuszeni spojrzeć na niego przychylniej.

W myślach podziękował nadprzyrodzonemu opiekunowi plemienia, po czym opuścił głowę i poszukał wzrokiem upolowanej zdobyczy. Niskie czoło pokryła sieć bruzd świadczących o niepokoju - tam, gdzie uprzednio leżał jenot, doskonały wzrok człowieka nie odnalazł niczego. Czyżby więc zwierzę odzyskało siły i uciekło, kiedy on zanosił modły do bóstwa? Nie. Maog zobaczył je nieco dalej, jak pełźnie, wlokąc za sobą bezwładny tył ciała.

Usta myśliwego wykrzywił pełen okrucieństwa uśmiech. Przywódca plemienia ruszył kołyszącym się na boki krokiem i chwilę później już był przy jenocie. Grotem dzidy odwrócił pełznące stworzenie na grzbiet, po czym obciosane do ostrości ostrze przyłożył do jego gardła. Odważny jenot próbował jeszcze kasać dzidę, wywołując tym grymas szyderstwa na obliczu Maoga.

Nasyciwszy się widokiem bezbronnej istoty, przywódca ludzkiego plemienia pchnął dzidą. Niespecjalnie silnie, ale wy-

starczająco, aby grot mógł przebić jenota na wylot. Tymczasem stała się rzecz dziwna - krzemienne ostrze nie zdołało przebić miękkiej skóry zwierzęcia. Maog sapnął zdumiony i pchnął raz jeszcze. Z identycznym skutkiem. Dopiero przy czwartej próbie, w którą człowiek włożył całe siły, trysnęła krew i grot zazgrzytał o kamieniste podłoże.

Maog przyjrzał się broni, dotknął ostrej krawędzi krzemienia i kręcąc głową oblizał uwalany posoką palec. Na chwilę w jego umyśle pojawiło się wspomnienie snu, owej wszechobecnej bieli oraz świergoczących głosów. Widocznie Duchy miały dzisiaj zły dzień i drwiły sobie z niego, stawiając go w nowych, niewytłumaczalnych sytuacjach.

Nie zwlekając już ani chwili, Maog uklęknął na jednym kolanie i spod grubego futra, okrywającego go szczelnie, wy dobył kamienny nóż. Sprawnymi ruchami przeciął skórę martwego jenota, po czym pchnął nożem głębiej. Chwilę później w zakrwawionej dłoni trzymał nieruchomiejące serce zdobyczy.

Wyszeptał podziękowanie bóstwu za udane polowanie i wgryzł się w łup.

Czując w sobie ducha jenota, z jego ciałem przewieszonym przez prawe ramię podjął bieg. Jeśli się pośpieszy, może jeszcze zdążyć przed świtem.

Przed świtem wprawdzie zdążył, ale nie dane mu było zaskoczyć gromady cenną zdobyczą. Podczas nieobecności Maoga w jaskini nastąpiły wydarzenia o znacznie wyższej wadze.

Radosne okrzyki samców oraz samic Maog usłyszał już z daleka, przyśpieszył więc, zaniepokojony hałasem dobiegającym z jaskini. Pod koniec już biegł. Zanim jednak dotarł do wejścia grotu, zwolnił - w okrzykach dobiegających z mrocznego wnętrza nie było ani trochę strachu czy złości. Roz-

brzmiewały zdumiewająco radośnie, co w obecnej, dramatycznej sytuacji wydało się przywódcy nie na miejscu.

Wkroczył rażno do jaskini, z jenotem ciężącym na ramieniu, i stanął jak wryty. Powód radości plemienia uderzył weń z siłą, której nawet on - wielki myśliwy, najsilniejszy samiec w stadzie - nie potrafił się oprzeć.

Plemię - samice, dzieci a nawet samce - tańczyło radośnie wokół ogromnego cielska jaskiniowego niedźwiedzia. Przy niedźwiedziu klęczał Khel, drugi co do starszeństwa syn Neaka, i z wprawą zdejmował zeń skórę. Nikt nie zwrócił uwagi na Maoga, który mógł tylko stać w miejscu i przyglądać się z fascynacją martwemu Duchowi. Dopiero po dłuższej chwili zauważył brak wśród tańczących pozostałych braci. Rozejrzał się po jaskini i dostrzegł ich w głębi, wszystkich trzech, nie licząc zajętego niedźwiedziem Khela. Wówczas zdumienie przywódcy plemienia sięgnęło szczytu.

Gear, Wahtah i Gan zajęci byli pilnowaniem istoty, której Maog najmniej się w tym miejscu spodziewał. Wprost na wilgotnej ziemi, oparty plecami o skałę siedział Bezwłosy. Ruchów nie krępowały mu więzy, ale i tak nie wyglądało, aby jego myśli krążyły wokół ucieczki. Jaskinia wypełniona była krzyczącymi, wywijającymi kończynami oraz uderzającymi czym popadło

o ściany ludźmi. Ich włochate, szerokie w ramionach, ale krępe sylwetki oraz zwierzęce oblicza tak dalece różniły się od jego delikatnej, pozbawionej owłosienia - prócz tego na głowie - postury, iż mógł jedynie rozglądać się

i z przerażeniem szczękać śmiesznie delikatnymi zębami.

Gan pierwszy dostrzegł najstarszego brata.

Przywitał się gardłowo i podszedł doń, żywo gestykułując.

Przywódca plemienia zignorował go. Zrzucił jenota na ziemię i wolnym krokiem zbliżył się do jeńca. Kucnął naprzeciw i jął przyglądać się z zaciekawieniem. Ciało Bezwłosego było śmiesznie nagie. Wprawdzie okrywała je skóra jakiegoś zwierzęcia, prawdopodobnie Iwa jaskiniowego, jednak nie na tyle, aby Maog nie mógł stwierdzić, że niemal całkowicie pozbawione było owłosienia. Białe, przypominało bryłę śniegu, miast żywej istoty.

Maog szturchnął Bezwłosego wierzchem dłoni. Jeniec jęknął przerażony i skulił się jeszcze bardziej. Palce Maoga wędrowały wzdłuż jego ciała, zatrzymując się co jakiś czas i badając delikatną skórę.

Tymczasem Khel pozbawił niedźwiedzia gęstego zimowego futra i razem z ociekającym krwią trofeum zbliżył się do przywódcy. Począł, aż nadziwi się Bezwłosym, wstanie i odwróci się w jego stronę. Kiedy tak się stało, podał mu zdobycz w wyciągniętych daleko przed sobą dłoniach.

Opuścił głowę, jak to czyni wilk, gdy okazuje przewodnikowi watahy całkowitą podległość. Pozostali bracia, wraz z poruszonymi współplemieńcami, uczynili to samo.

Maog przejął cenny podarunek i zarzucił sobie na grzbiet, zupełnie nie przejmując się posoką barwiącą go na czerwono. Ruszył ku parującej bryle mięsiwa. Członkowie plemienia rozstępowali się przed nim, pomrukując tylko z cicha. Za nim krok w krok szedł Khel, unikając spojrzenia starszego brata, gotów odwrócić wzrok, jeśliby Maog tylko zerknął w jego kierunku.

Przywódca plemienia ukląkł przed martwym ciałem Ducha Jaskiń, sięgnął dłonią za przepaskę biodrową. Tym samym

nożem, który wcześniej zboczył w krwi jenota, rozciął klatkę piersiową niedźwiedzia. Serce, które wydobył na zewnątrz, było ogromne. Maog musiał odłożyć nóż i ująć je w obie rozłożone dłonie. Odgryzł solidny kęs, po czym, poruszając powoli szczękami, żując, wręczył serce Khelowi. Ten również wgryzł się w czerwoną bryłę i podał ją dalej - Gearowi. Kiedy serca Ducha skosztowali już wszyscy bracia, przekazali je dalej, pozostałym samcom, aby i oni mogli przejąć na siebie odrobinę męstwa oraz siły jaskiniowego niedźwiedzia.

Maog podniósł z ziemi odłożony uprzednio nóż. Odciął spory płat mięsiwa i odszedł na bok. Na to tylko czekali pozostali członkowie plemienia. Wkrótce ciało niedźwiedzia otoczył tłum wygłodzonych ludzi. Maog pochłaniał łapczywie kęs za kęsem, obserwując współplemieńców.

Żaden z jego braci nie brał udziału w uczcie. Khel, Wahtah i Gear podeszli do więźnia. Pierwszy złapał go za długie włosy na głowie i przemocą poderwał z ziemi. Powłókł opierającego się Bezwłosego w kierunku Maoga. Kiedy doń dotarli, eskortowani przez pozostałą dwójkę, Khel zmusił jeńca do ukłęknięcia przed przywódcą. Ten tymczasem przyglądał się wszystkiemu bez słowa, pochłaniając mięso niedźwiedzia, jakby nie jadł od miesiąca. Ślina przemieszana z krwią spływała mu po brodzie oraz okrywających go futrach.

Wyglądało na to, że synom Neaka o coś chodziło, ale Maoga coraz mniej to interesowało. Kiedy zjadł odkrojony płat mięsiwa, wstał i ponownie podszedł do niedźwiedzia. W tej chwili myśli Maoga krążyły zupełnie gdzie indziej.

Odkroił następny, równie duży kawał mięsiwa i ruszył ku wyjściu. Jego bracia spojrzeli po sobie.

Khel warknął jeszcze.

Na próżno. Przywódcy gromady już nie było.

Maog nie potrafił zrozumieć, co widzi. Jaskinia, w której ukrył samicę, nie była ciemna i wilgotna, lecz oślepiająco biała. Przywódca stada czuł chłodny, ale bardzo przyjemny powiew gdzieś z góry. Prócz tego docierało doń irytujące brzęczenie oraz niewyraźny szmer głosów. Dostrzegł blade widziadła za ledwie kilka kroków przed sobą i jego umysł zalał zabobonny lęk. To były Duchy. Cztery niewyraźne sylwetki otaczały dziwny płaski kamień, na którym leżał piąty Duch. Od jego głowy odchodziły dziesiątki poruszających się, pulsujących węży, których ogony nikły gdzieś wysoko w górze, wewnątrz oślepiającego światła.

Drżący z przerażenia Maog zamknął oczy i kilkakrotnie bardzo szybko zamrugał powiekami, wówczas omamy znikły. Jaskinia ponownie stała się ciemna, znów rozbrzmiał dźwięk kapiącej wody, z biegiem czasu zastygającej w ogromne lodowe stalagmity. Zaś ku Maogowi biegła Khana, wyciągając z radością ręce, jakby go nie widziała co najmniej kilka miesięcy. Tuląc samicę do piersi, poczuł niewysłowioną ulgę.

Historia wędrówki synów Neaka poruszyła wszystkich. Przy akompaniamencie mlaskania, trzasku łamanych w mocarnych szczękach kości oraz wysysania zeń szpiku toczyła się zdumiewająca opowieść.

Khel, Gear, Wahtah i Gan wędrowali na południe bardzo długo. Podczas podróży często zmuszeni byli kroczyć rozległymi, bezkresnymi obszarami wiecznego lodu. Pozbawione śladu roślinności jałowe pustkowia działały na nich przygnębiająco. Lodowiec pokrywał świat aż po horyzont. Trzeba było uważać, idąc, aby nie wpaść w którąś z licznych, bezdennych szczelin albo nie zapaść się aż po czubek głowy w sypkim śniegu, wypełniającym wgłębienia w lodzie. Dodatkowo wi-

doczność utrudniała przybierająca momentami na sile zawie-
rucha.

Wędrowali przez prawie dwa tygodnie - księżyc zaszedł i
Wzeszedł więcej razy, niż każdy z nich miał palców u obu dło-
ni. W tym czasie nawet nie natknęli się na tropy, świadczące,
że gdzieś w pobliżu mogłaby się kryć zwierzyna. Ale trudno
się tego było spodziewać ze względu na silny wiatr niosący ze
sobą ogromne ilości sypkiego śniegu. Pierwszy ślad odnaleź-
li dopiero po dwóch tygodniach - był to udeptany przez stado
piętnastu mamutów trakt, w wielu miejscach przykryty śnie-
giem. Trop nie mógł być stary, w przeciwnym wypadku śnieg
już dawno by go przysypał. Bracia, pełni nadziei, ruszyli
wzdłuż niego, radując się, jako że prowadził w tym samym
kierunku, w którym i oni zmierzali, czyli na południe. Idąc
jeszcze dalej - w razie niepowodzenia w wędrowce za mamu-
tami - dotarliby w końcu do szerokich stepów, przez okrągły
rok bogactwem roślinności wabiących wszelaką zwierzy-
nę. Już teraz braciom ciekła ślina po owłosionych mordach na
samą myśl o wspaniałym, ociekającym krwią mięsiwie.

Kierując się mimo zawiei doskonale widocznym mamu-
cim traktem, mogli przyśpieszyć, lepiej dostrzegając lodowe
pułapki. Wiele z nich widzieli już ze znacznej odległości.
Wzrosło tempo marszu. W miarę upływu czasu trop stawał się
coraz świeższy - mamuty często przystawały, doskonale od-
najdując pośród lodowca oazy roślinności. Dzięki mądrym
zwierzętom czwórka ludzi nie musiała nocować na śniegu.

W ten sposób dotarli tam, gdzie koniec końców musieli
dotrzeć - na skraj wiecznego lodu. Oczywiście granicy i tak nie
dostrzegli w olśniewającej bieli, jaka pokrywała wszystko do-
okoła. Świat nikł pod grubym pokładem śniegu i trudno było
zauważyć, gdzie kończył się lód, a zaczynał step. Teren

już dawno przestał być taki górzysty jak do tej pory, ale nieustający, to malejący, to znów przybierający na sile blizzard nie pozwalał im tego stwierdzić. Zapatrzeni w wyraźne ślady ogromnych zwierząt bracia myśleli już nad jak najbezpieczniejszym zaplanowaniem łowów. Zwierzęta przewyższały ich liczebnością blisko czterokrotnie, zatem wybranie ze stada odpowiedniej sztuki, oddzielenie jej od reszty mamutów i zakłucie dzidami jawiło się jako nie lada wyzwanie. Gdyby jeszcze był tutaj Maog.

Pierwotne instynkty były dla ludzi sprzymierzeńcem w kontaktach z innymi gatunkami. Dysponowali doskonałym wzrokiem oraz słuchem, zaś węchu mogłyby im pozazdrościć nawet Iwy jaskiniowe oraz wilki. Zawieja zdołała ograniczyć dwa pierwsze ludzkie zmysły, ale nie była w stanie stłumić ich wspaniałego powonienia. Najstarszy z czwórki braci, Khel, zatrzymał się, nakazując to samo uczynić pozostałym. Podniósł głowę do góry i jął węszyć, wydymając przy tym szerokie nozdrza. Po pewnym czasie z gardła Khela dobył się głuchy warkot, świadczący o podnieceniu. Bracia tymczasem nie stali biernie, również węsząc zawzięcie. Niebawem i oni poczuli smakowitą woń zwierząt.

Khel opuścił głowę i bez słowa wskazał dłonią kierunek. Podjęli przerwany krok, mimo wysokiego śniegu, zmuszającego do mozolnego brnięcia, nieco zwawiej niż do tej pory. Mamuty były gdzieś niedaleko - niewidoczne jeszcze wskutek śnieżycy, ale coraz wyraźniej wyczuwalne. Podniecenie braci zaczęło wzrastać. Przyśpieszyli, zapominając o ostrożności - głód całkowicie stłumił pozostałe popędy, włącznie z instynktem przetrwania. Na szczęście dla nich wiatr wiał we właściwym kierunku, niosąc ze sobą zapach mamutów, woń samych ludzi posyłając jednak dalej, ku północy, pozostawiając mamu-

ty nieświadomymi tego, że w ich kierunku zbliżało się niebezpieczeństwo.

Kiedy zaczęli już dostrzegać pomiędzy miliardami wirujących śnieżynek ogromne szare sylwetki, stało się coś, co zmusiło czwórkę nieodpowiedzialnie szarżujących synów Neaka do zatrzymania się. Był to nagły hałas, który rozbrzmiał z kilku kierunków jednocześnie. Źródło zgiełku pozostawało dla braci niewiadomym jeszcze długo po tym, jak zaryli nosami w śniegu, w przerażeniu znikając niemal po pięty w zaspie. Jednak nie jego natura -były to krzyki, połączony w jedno wrzask z kilkudziesięciu gardeł.

Czwórka myśliwych łowiła dźwięki, kryjąc się w zaspie. Do wrzasków przyłączył się groźny ryk spłoszonych zwierząt oraz skrzyp śniegu pod olbrzymimi cielskami. Khel ośmielił się podnieść głowę, ale i tak nie dostrzegł nic poza rozmazanymi ciemnymi plamami poruszającymi się wśród wszechobecnej bieli. Zobaczył też wędrujące błyski światła i natychmiast zwykły przestрах zamienił się w zabobonny lęk - wyglądało na to, że nieszczęsny Khel wraz z braćmi wmieszał się w bitwę Duchów. Natychmiast opuścił głowę, nie chcąc rozsierdzić się, których nie rozumiał i których bał się jak żadnych innych.

Walka pomiędzy nadprzyrodzonymi mocami tymczasem przenosiła się coraz dalej, jej dźwięki stawały się coraz cichsze, aż całkowicie ucichły. Ponownie nad białym zakątkiem świata, w którym pojawili się synowie Neaka, zapanowała cisza, jeśli oczywiście nie brać pod uwagę gwizdu zawiei.

Khel drżał na całym ciele, zanosząc modły do opiekującego się ich plemieniem Ducha Niedźwiedzia Jaskiniowego. Czynił to tak żarliwie, że głosu braci, wzywających go, aby wyszedł, w pierwszej chwili nie usłyszał. Dopiero gdy ponowili wezwanie, ucichł i powoli wstał z zasy.

Gear, Wahtah i Gan stali opodal i gestami przywoływali go, nakazując pośpiech. Khel otrzepał się ze śniegu i mszył w ich kierunku. Zanim jeszcze zrównał się z braćmi, już z daleka dostrzegł ogromną przestrzeń stratowanego przez wiele nóg śniegu - miejsce bitwy nadprzyrodzonych mocy.

Gan warknął, ale przywódca wyprawy łowieckiej nie zwrócił uwagi na słowa brata, radzącego podążenie tropem bitwy.

Khel jął rozglądać się, coraz to odnajdując dowody na to, że w panice poniosła go wyobraźnia. Wychodziło na to, że w bitwę nie były zamieszane żadne boskie siły. Po pierwsze, nigdzie nie dostrzegł krwi mamutów ani też ich wielkich martwych ciał. Śnieg, zryty ogromnymi nogami aż do czarnej ziemi, ukazywał jedynie ślady okrągłych mamucich stóp oraz innych, o wiele mniejszych, absolutnie dalekich od niezwykłości. Khel poznał je od razu - to były ślady kilkudziesięciu ludzi i to bynajmniej nie z gatunku, do którego przynależał drugi co do starszeństwa syn Neaka. Te ślady były nieco mniejsze, Khel widywał je już wcześniej. Pozostawili je Bezwłosi.

Gear poparł Gana, ale przywódca machnął tylko ręką i warknął od niechcienia, nadal lustrując wymieszane tropy zwierząt i ludzi. Wyglądało na to, że Bezwłosi urządzili polowanie na mamuty w sile całego plemienia. Musiało ich być co najmniej kilkudziesięciu. Hałasem, krzykami oraz owymi tajemniczymi błyskami światła popędzili włochate stado na zachód.

Nie było wyjścia. Należało ruszyć tym samym tropem. Jeżeli Bezwłosi zmuszeni zostali do zorganizowania zakrojonych na wielką skalę łowów na ogromne mamuty, to znaczy, że w najbliższym otoczeniu nie można było liczyć na mniejszą

zwierzynę. Wybór był mizerny: albo Khel i jego bracia spróbują skorzystać z nieuwagi Bezwłosych i wykradną im nieco zdobyczy, albo czeka ich daleka i ciężka droga w nadziei na udane polowanie.

Przywódca wyprawy łowieckiej, badający wyraźny ślad ludzkiej stopy, wyprostował się i zwrócił obliczem na zachód. Jego bracia spojrzeli po sobie. Khel tymczasem potwierdził to, do czego oni sami próbowali go nakłonić wcześniej.

Szli ostrożnie, doskonale zdając sobie sprawę, na jak wielkie niebezpieczeństwo się narażają. Sąsiadujące ze sobą plemiona ludzkie nie pozostawały w zbytnej zażyłości. Ich częste kontakty przeważnie kończyły się rozlewem krwi. I choć członkowie plemienia, do którego należeli synowie Neaka, wyglądali potężniej i dużo groźniej, z jakiegoś niezrozumiałego dla Khela powodu to Bezwłosi wychodzili z owych potyczek zwycięsko. Być może dlatego, że byli liczniejsi, ale Khel przypuszczał, że chodziło tu o coś znacznie większej wagi.

Ślady były wyraźne, nawet ślepiec szedłby po nich jak po twardej ścieżce pośród bezdennych trzęsawisk. Kiedy bez dania racji rozbrzmiał huk, bracia padli na ziemię jak podcięci. Dźwięk był straszny, głośniejszy od stu letnich gromów i, mimo że wybrzmiał, w uszach trójki łowców trwał nadal. Khel leżał, zakrywając uszy oburącz, jęcząc i tarzając się po śniegu. Wnętrze jego głowy było teraz siedliskiem rozdierającego bólu. Nie mógł widzieć, że tuż obok niego drą śnieg stopami i warczą, cierpiąc męki, Wahtah, Gan i Gear.

Khel w zdumieniu spojrzał na dłonie - zobaczył na nich krew. W uszach nadal szumiało, ale największy ból przycichł. Przywódca podniósł głowę i zamarł w bezruchu. Kilkanaście kroków od nich widniała na śniegu rozległa plama posoki.

Opodal stały mamuty, pomiędzy nimi zaś - ludzie. Ani jeden, ani drudzy nie poruszali się, jakby skamienieli. Bracia Khela widocznie również zauważyli niewytłumaczalne zjawisko, bo zaprzestali jęków.

W najmniej oczekiwanym momencie jeden z Bezwłosych rozleciał się na kawałki, jakby uderzył weń piorun, przy wtórze nieco tylko lżejszego huk. Niemal natychmiast po nim to samo spotkało jednego z mamutów. Bracia zawyli jednocześnie, ponownie padając pyskami w śnieg. Ból wewnątrz ich czaszek przekraczał wszelkie dotychczasowe doznania.

Tuż obok jeden po drugim eksplodowały mamuty. Serię potężnych wybuchów przetykały lżejsze, gdy na kawałki rozlatywali się Bezwłosi. Bracia próbowali uciec, ale każdy kolejny wybuch uniemożliwiał im to, zmuszał do wtulania się w śnieg i szukania upragnionej ciszy.

Okolicę barwiła teraz czerwień, pod którą niepodobieństwem było dostrzec bieli śniegu. Khelowi powoli wracała zdolność rozumowania. Z najwyższym wysiłkiem otworzył oczy i stęknął z przerażenia. Prosto na nich szarżował Bezwłosy. Ale to nie jego widok tak przeraził przywódcę wyprawy łowieckiej. Zaledwie kilkanaście kroków za Bezwłosym biegł ogromny jaskiniowy niedźwiedź.

Khel wrzasnął i zerwał się na równe nogi. Sytuacja była tyleż niebezpieczna, co szokująca. Niedźwiedź szarżował prosto na nich.

Bezwłosy wpadł na Gana i obaj zaryli w zaspę.

Niedźwiedź, widząc kolejnych przeciwników, zatrzymał się kilka kroków od celu, stanął na dwóch łapach i zaryczał. Khel mocniej zacisnął dłonie na drzewcu dzidy, gotów do walki. Tymczasem Duch jaskini zamilkł, opadł z powrotem na

cztery łapy i, jak gdyby nigdy nic, położył się. Jego oczy zamknęły się. Niedźwiedź przestał się ruszać.

Bracia spojrzeli po sobie. W ich oczach znać było zrozumienie. Wielki Duch złożył im się w ofierze. Ofiarował własne ciało, aby mogli nim nakarmić kobiety i dzieci.

Khel pierwszy zanurzył ostrze dzidy w ogromnym cielsku. Za jego przykładem poszli pozostali. Pokłuty, zakrwawiony olbrzym drgnął jeszcze nieznacznie, gdy grot przebił serce, i znieruchomiał.

Skrzyp śniegu za ich plecami nie pozwolił braciom cieszyć się z sukcesu. Odwrócili się jednocześnie. To bezwłosy próbował uciec. Jednak czynił to nieporadnie, na kolanach, kołysząc się na boki. Gan, który zdążył w międzyczasie wstać, lecz w zabiciu niedźwiedzia nie brał udziału, wyszczerzył zęby, obrócił dzidę w rękach tak, że trzymał ją oburącz tuż powyżej grotu, po czym wziął solidny zamach i drzewcem z całej siły uderzył Bezwłosego w tył głowy.

Wahtah, Khel i Gear skwitowali to pomrukiwaniem.

Ten dzień na długo zapadnie w ich umysłach. Był dziwny, pełen wydarzeń, w których brały udział Duchy. Bracia jednak nie zamierzali się nad tym zastanawiać, bo przecież sprawy przybrały bardzo szczęśliwy obrót. Ich stado wreszcie naje się do syta.

No i był jeszcze Bezwłosy, którego można dać kobietom do zabawy. Albo dzieciom do nauki celności rzutu dzidą.

To naprawdę był dobry dzień. Mimo wielkiej ilości niewytłumaczalnych zjawisk.

Siedząc na szczycie Wielkiej Skały, tuląc do boku Khanę, Maog rozpamiętywał przygody braci. Czuł lęk. W ciągu wielu lat, które zapadły w jego umyśle, ani razu nikt z gromady nie doświadczył tyłu kontaktów z Duchami jak przez ostatnie dni.

Wyglądało na to, że siły wyższe próbowały przekazać im jakąś ważną wiadomość. Być może grupę Maoga czekały w bardzo bliskiej przyszłości ważne zmiany.

Wielki, bliski pełni księżyc nie udzielił mu rad, jak rozumieć wskazówki Duchów. Zamiast tego zsunął się nieco niżej. Maog zamrugął powiekami, zdumiony. Chciał się poruszyć, ale przytulona mocno do jego boku samica uniemożliwiła mu to. Tymczasem księżyc zakołysał się gwałtownie, jakby pod wpływem powiewu silnego wiatru, i znów opuścił się, by zawisnąć bliżej Maoga. Był teraz tak ogromny, że zajmował niemal całe niebo.

Przywódca gromady jęknął. Nie pojmował mowy Duchów i fakt ten wprawiał go we frustrację.

Wysoko w górze nocne niebo rozjaśnił gwałtowny, oślepiający blask. Chwilę później rozbrzmiał huk zdolny skruszyć skały. Dopiero przenikliwy ból wewnątrz uszu zmusił Maoga do zerwania się na równe nogi.

Najstarszy syn Neaka znów zobaczył Duchy. Ich liczba była dokładnie ta sama, jak ostatnim razem. Odziane w olśniewająco białe, dziwnie gładkie skóry zwierząt otaczały płaski kamień, na którym leżał piąty Duch. Wężę wypełzające wprost z głowy leżącego wiły się, pulsując rytmicznie, kierując swe sploty ku górze.

Stojący spoglądali po sobie, ale obrócenie byli plecami do Maoga, zatem nie widział twarzy. Ich głosy brzmiały niczym szelest wiatru w gałęziach drzew, słowa nie docierały do wojownika.

Tym razem jednak mruganie nic nie dało. Widziadło trwało nadal, wyraźne jak nigdy dotąd. Duchy szeptały coś do siebie i choć Maog nie rozumiał ani słowa, wiedział, że rozmowa dotyczy leżącego.

W pewnym momencie jeden z Duchów wyciągnął coś zza pazuchy okrywającej go nienaturalnie gładkiej zwierzęcej skóry i dotknął tym czymś jednego z węzowych splotów. Leżący Duch wyprężył się gwałtownie. W tym samym momencie widziadło znikło.

Wokół Maoga zapanowała nieprzenikniona wzrokiem czerń. Opadł na kolana, czując, jak jego gardło zaciska się. Próbował złapać oddech, bez powodzenia. Dusząc się, wyczuł tuż obok siebie czyjąś obecność. To Khana, jego samica.

Dłonie Khany zmusiły go, aby się położył na zimnej skale. Były silne, nie potrafił się im przeciwstawić. Leżąc z otwartymi szeroko oczami, dysząc spazmatycznie, czując jak uchodzi zeń życie, dostrzegł niewyraźną plamę bieli. Wyłoniła się wprost z mroku, dość szybko stając się obliczem. Maog z przerażeniem spostrzegł, że nie była to twarz jego samicy.

Był to przyprowadzony przez czwórkę pozostałych synów Neaka Bezwłosey. Błada twarz pochylała się tuż nad Maogiem. W brązowych oczach czaiła się nienawiść, usta wykrzywiały się, ukazując niekompletne uzębienie. Wprost z gardła Bezwłosego dobywał się głuchy warkot.

Maog resztkami sił spróbował uwolnić się spod ciężaru wroga. Szarpnął się bez wiary w powodzenie.

Twarz Bezwłosego ponownie zaczęła tracić kontury, znów stała się tylko plamą bieli. Wkrótce znikła i ona. Znikło wszystko.

Poza czernią.

★ * *

Doktor Xero Benedek wyciągnął igłę strzykawki z wenflonu, przyglądał się chwilę nieruchomiejącemu ciału, gasnącej diodzie na wyświetlaczu hełmu holograficznego podłączonego do układów życiowych klienta, po czym przeniósł wzrok na płaską linię EKG na jednym z monitorów i westchnął. Od kiedy prowadził firmę, oferującą projekcje inkarnacyjne, był to pierwszy tak dramatyczny przypadek. Zdarzały się oczywiście wirusy w programie holograficznym, ale ekipa naukowców potrafiła sobie z nimi poradzić. Ten wirus, który zainfekował system, okazał się odporny. Na tyle, że jedyną skuteczną metodą jego usunięcia stała się eliminacja klienta.

- Rozumiecie panowie, że nie miałem wyboru? - zwrócił się w kierunku swych asystentów Benedek. - Mógł oskarżyć nas o nierzetelność. To byłby gwóźdź do trumny firmy.

Wszyscy trzej byli bladzi, w ich źrenicach odbijał się szok, jednak skinęli głowami, przytakując słowom doktora. Benedek spojrział na zegarek.

- Do kolejnej projekcji pozostało pięć godzin. Wystarczająco dużo czasu, aby sformatować dyski i wgrać system na nowo. Ja się tym zajmę, wy zróbcie coś z ciałem. Raz-dwa, panowie, zanim pojawi się następny klient.

Magdalena Zimniak

OCZY MAHABERUSA

Aneta wyjechała na tygodniowe seminarium. To pierwszy raz, kiedy nie widziały się tak długo od śmierci rodziców. Chwilami, podczas tych siedmiu dni nieobecności siostry Ania próbowała zastanowić się nad tym, co czuje. Na pewno częściowo była to ulga. Nie chodziła bez przerwy spięta, zastanawiając się, co zrobiła nie tak, jak powinna. Z drugiej strony zdziwiła ją tęsknota, którą poczuła już w momencie, kiedy za Anetą zamknęły się drzwi. Przeważał jednak lęk. Strach, że Aneta wróci i że będzie tak samo. Wiedziała, że pragnie zmiany, ale wrażenie własnej niemocy kompletnie ją paraliżowało. Wszystkie te uczucia, które tylko chwilami miała odwagę nazwać, mieszały się ze sobą i sprawiały, że stawała się coraz bardziej zagubiona. Poprzedniego wieczoru przestała myśleć o czymkolwiek, sprzątając mieszkanie i gotując obiad na przyjęcie siostry. Aneta, dokładnie tak, jak Ania się spodziewała, rozpoczęła od wyrzutów.

Ślepa. Jak mogłam być tak ślepa? Nawet nie myślałam o zmianach. Dlaczego potrzebowałam tego wszystkiego, żeby odkryć najprostsze prawdy?

- Nie podlałaś kwiatków.

„Mam gdzieś twoje kwiatki” - dlaczego, do jasnej cholery, nie była w stanie powiedzieć tego na głos?

- Zapomniałam.

- Przecież wyraźnie cię prosiłam przed wyjazdem. Zobacz, jaki ten jest zmarnowany. Tydzień bez wody!

Ania starała się nie patrzeć, jak jej siostra z lodowatym spokojem napełnia konewkę i podlewa swoje obrzydliwe roślinki. Jej perfekcyjna pod każdym względem siostra. Zaczynając od gęstych, ciemnobrązowych, zawsze idealnie ułożonych włosów, poprzez doskonałą figurę, a kończąc na odpowiedzialności. Ból głowy, który czuła od momentu przebudzenia, nasilił się.

- Mogłabyś chociaż odkurzyć mieszkanie.
- Odkurzałam wczoraj.
- Lepiej byś się do tego nie przyznawała.

Każde słowo zdawało się malutką igiełką wbijającą się w czerwień mózgu, ale głos Anety był spokojny. Spokojny, dźwięczny, dosyć niski, a jednak zdecydowanie kobiecy. Doskonały. Jej siostra z powodzeniem mogłaby pracować jako spikerka w radiu. Ania byłaby gotowa założyć się, że nikt oprócz niej nie wyczułby w tym głosie niechęci. Czy niechęć nie była przypadkiem za małym słowem?

- Popatrz - Aneta wskazała na kąt, w którym istotnie wałał się kurz i ziarno wyrzucone z klatki przez papugi.

Demonstracyjnie włączyła odkurzacz. Ania miała wrażenie, że ból głowy był teraz obręczą, którą niewidzialne ręce bezlitośnie zaciskały na jej nagim mózgu.

Obrazowe porównanie. Zbyt obrazowe, żeby naprawdę poruszyć.

Weszła do swojego pokoju. Otworzyła szafę. Nigdy nie miała w niej porządku, więc najłatwiejszym sposobem znalezienia czegokolwiek było wyrzucanie rzeczy na podłogę, aż trafi się na poszukiwaną część garderoby. Wykorzystała tę metodę teraz. Niemal połowa zawartości szafy leżała na dywanie, kiedy Ania wreszcie trzymała w ręku kostium kąpielowy. Szybko zsunęła ubranie i włożyła go. Spojrzała na

swoje odbicie. Choć była siedem lat młodsza od Anety, nie miała takiej figury jak ona. Była szersza w biodrach, jej uda nie odznaczały się taką smukłością, a biust, dużo mniejszy, nie przyciągał męskich spojrzeń, jak biust jej siostry. W talii była szczupła, to prawda, ale wolałaby nawet, żeby dodano jej parę centymetrów w pasie, a w zamian poprawiono uda, biodra i piersi. Narzuciła na siebie dżinsy i sweter. Zerknęła jeszcze raz na dziewczynę w lustrze. W ubraniu wyglądała lepiej. Jej włosy wprawdzie nie były tak perfekcyjnie ułożone jak włosy Anety, ale przynajmniej wyglądały naturalnie. Wolała też swój kolor. Zawsze nazywała go ciemnym blondem, chociaż niektórzy twierdzili, że jest szatynką. Zresztą, jakie to teraz miało znaczenie? Machnęła ręką na otwartą szafę i pozostawione na podłodze rzeczy i szybko opuściła mieszkanie.

Dotarła na plażę. Była pusta. Koniec maja, wieczór, żadnych świąt, więc spotkanie turystów raczej jej nie groziło. Zsunęła ubranie i weszła do morza. Lodowata woda sprawiła, że w stopę wszedł jej skurcz.

- Powoli, powoli - szepnęła do siebie.

Aneta usłyszała huk zatrzasniętych drzwi. Jasne, jej siostrzyczka się obraziła. Chyba spodziewała się podziękowań za tak wspaniałe przygotowanie domu na jej przyjazd. Fakt, zrobiła obiad, ale czy ona, Aneta, usłyszała kiedykolwiek słowo „dziękuję”, kiedy gotowała dla Anki codziennie? Czy jej siostra w ogóle zauważała, że gdyby nie ona, mieszkanie zarosłoby brudem? Czy zdawała sobie sprawę z jej poświęcenia od momentu śmierci rodziców?

Poświęcenie? Czy ja naprawdę myślałam o poświęceniu?

To było cztery lata temu. Zostały same w domu na weekend majowy. Wypadała rocznica ślubu rodziców, a oni zawsze świętowali ją wyjazdem bez dzieci. Tym razem wybrali się na

Mazury. Wyjeżdżając, zawsze żartowali, że robią to również dla dzieci, zapewniając im wolną chatę. W tamtym roku okazja była wyjątkowa. Impreza Anety zorganizowana została z myślą o jednej osobie. Dziewczyna miała nadzieję, że podczas niej w końcu coś się wydarzy.

Marcina poznała na początku roku akademickiego. Przeniósł się na Wydział Prawa w Gdańsku z Warszawy. Niczym nie przypominał wymarzonego dawno blondyna o błękitnym spojrzeniu. A jednak jego orzechowe oczy i ciemną czuprynę wciąż miała pod powiekami. Nigdy nie umawiali się sami. Zawsze jednak tak wypadało, że siadali obok siebie. Od czasu do czasu, niby przypadkowo, ich palce lub kolana się stykały. Na moment. Te przelotne dotknięcia doprowadzały ją do stanu bliskiego ekstazy.

Miłość? Co wiedziałam wtedy o miłości? Może więcej niż teraz.

Zorganizowała więc imprezę z myślą o Marcinie, chociaż zaprosiła jeszcze sześć innych osób. Wybrała nastrojową muzykę. Przyciągnął ją do siebie w tańcu. Jego ciepło wprawiało jej ciało w rozkoszne wibracje. Nieważne, że wokół tańczyły inne pary, nieważne, że z pokoju Ani, która zorganizowała konkurencyjną imprezę, docierała irytująca muzyka. Cały świat przestał istnieć, pozostali tylko oni dwoje. Dotknął jej ust, początkowo delikatnie, nieśmiało, potem coraz bardziej namiętnie. I wtedy właśnie zadzwonił telefon. Niechętnie, powoli, wysunęła się z objęć Marcina i podniosła po pięciu sygnałach.

- Halo? - jej głos był miękki, marzący, nieprzytomny.
- Dzwonię ze szpitala w Olsztynie. Czy mógłbym rozmawiać z panią Anetą Lesicką?

- Przy telefonie - nie bardzo rozumiała, co mówił tamten człowiek, skoncentrowana na dłoni Marcina, bawiącej się jej włosami, pieszczącej ramiona i szyję.

Skąd wiesz to wszystko tak dobrze?

- Mam złe wiadomości. Pani rodzice mieli wypadek - poczuła, jakby ktoś wykręcał jej wątrobę, chociaż nie zdążyła jeszcze pojąć sensu słów. - Niestety, pomimo naszych starań oboje nie żyją.

Słuchawka wypadła jej z ręki. Marcin podniósł ją i dokończył rozmowę. Nie wiedziała, co działo się potem. Chyba musiała wyrzucić wszystkich, bo następną rzeczą, którą pamiętała, było to, że siedziała na tapczanie, trzymając Anię w ramionach. Spojrzała na twarz siostry. Dziewczynka spała, chociaż łązy jeszcze nie zaschły na jej twarzy. Oddech był krótki, urywany. Twarz miała rozpaloną, ale ręce lodowate. Aneta położyła ją ostrożnie i przykryła kocem. Usiadła na podłodze i po raz pierwszy od momentu otrzymania wiadomości zaczęła płakać. Po raz pierwszy i ostatni.

Nieprawda. Płakałam jeszcze. Płakałam, kiedy ostatni raz rozmawiałam z Marcinem. Nie wiesz wszystkiego.

Już wtedy rozumiała, że musi wziąć ster w swoje ręce. Sama załatwiła wszelkie formalności związane z przywiezieniem ciała i pogrzebem. Uparcie odmawiała przyjęcia pomocy od rodziny. Zresztą, jak stwierdziła z goryczą, były to propozycje czynione jedynie po to, żeby uciszyć sumienie. Wszystkie ciotki i wujkowie tak naprawdę zajęci byli wyłącznie swoją pracą, domami i dziećmi. Przysięgła sobie, że wszystkiego dokona sama, że nigdy o nic nie poprosi ani nie przyjmie dawanej z łaski pomocy. Wszelkie rozmowy na temat swojej sytuacji kończyła szybko. Twardo mówiła, że niczego nie potrzebuje i radzą sobie z Anią świetnie. Uśmiechała się teraz ironicznie

na wspomnienie, jak skwapliwie ludzie odkładali słuchawkę, rzucając przedtem konwencjonalne: „Gdybyś czegoś potrzebowała, zadzwoń”. Tak samo zachowywała się jej rodzina i przyjaciele.

„Przyjaciele? Czy miałam kiedykolwiek jakichś przyjaciół?” - odpowiedź nasuwała się sama. Marcin próbował dzwonić najdłużej, ale czy miesiąc to naprawdę długo? Usiłowała nie myśleć o tym, co zrobił później. Przeniosła się na studia zaoczne i znalazła pracę jako sekretarka. Runęło w gruzy marzenie o roli asystentki, prawie zastępcy dyrektora. Parzyła kawę, chodziła na zakupy, wykonywała idiotyczne telefony i kryła szefa przed żoną, gdy umawiał się z innymi kobietami. Zaciśnęła jednak zęby, zdecydowana przetrwać wszystko.

Silna? Czy by to to oznaką sity czy słabości?

Powoli przyzwyczajala się do lodowatej wody, chociaż każdy krok wymagał sporo samozaparć. W końcu, kiedy fale sięgały już jej piersi, położyła się i zaczęła wykonywać rytmiczne ruchy cawła. Płynęła, jak potrafiła najszybciej. Pomyślała, z bezsensowną teraz dumą, że było to naprawdę szybko. W końcu trenowała pływanie, wygrała niejedne zawody. Uczucie zimna ustąpiło, serce pracowało równomiernie, oddychała coraz szybciej. Obejrzała się za siebie. Brzeg był daleko, nie na tyle jednak, żeby nie mogła wrócić, gdyby tylko zechciała. Musiała więc płynąć, niekoniecznie tak szybko, ale dalej, dalej od Anety, dalej od bólu, który żelazną obręczą ścisnął jej głowę, dalej od...

„No dobrze” - pomyślała - „pozwolę sobie w tym jednym momencie na melodramatyzm. Dalej od życia”.

Płynne ruchy żabki działały jak środek uspokajający. Nie wiedziała, jak długo płynęła, kiedy w końcu ramiona jej osłabły. Obróciła się na plecy i pozwoliła unosić falom. Po paru

minutach ogarnęło ją uczucie przeraźliwego chłodu. Miała wrażenie, że jej wnętrze jest jednym soplem lodu. Właściwie dlaczego tu wypłynęła? Ach, tak, uciekała od życia. Ale z jakiego powodu? Samotność? Przecież miała siostrę, która ją kochała, nie mogłaby poddać tego w wątpliwość. Trzeba wracać. Jednak ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Czowała, że nieruchomieje. Tylko zęby latały jak szalone, wystukując swoją zimną melodię. Więc już? Jakaś większa fala załała jej twarz. Zachłysnęła się, ale zaczęła kasłać, wyrzucając wodę z płuc. Ostatkiem sił usiłowała odgarniać wodę, ale fale wydawały się nie do pokonania. Już nie dawała rady wykonać żadnego ruchu. Pozostawało jedynie poddać się. Strach, zimniejszy od wody, ścisnął jej serce.

„Nie, nie chcę, nie chcę, zmieniłam zdanie”.

To na nic. Po co walczyć, skoro nie ma nadziei? Zabrakło nawet siły, żeby stoczyć ostatni beznadziejny bój. Rezygnacja, to też wspaniałe. Ale dlaczego woda wpływa do jej nosa, ust, napętnia płuca? To boli.

Jak boli? Powinam wiedzieć. Nie pamiętam. Dlaczego nie pamiętam tylu rzeczy?

Powoli jednak ból ustępował, uczucie zimna mijało. Zanurzała się coraz głębiej pod wodę, a w środku czuła falę ciepła. Oczy miała szeroko otwarte. Widok, który roztaczał się przed nią, porażał swoim niezwykłym pięknem. Cudowne, kolorowe kwiaty na dnie morza. To nie mógł być Bałtyk. Zresztą żadne dno tak nie wygląda. Co chwila mijały ją bajeczne różnobarwne ryby, wydając dźwięki podobne do świergotu ptaków. Dotknęła stopą dna i przecząc wszystkim zasadom fizyki, zrobiła kilka lekkich, tanecznych kroków. Stała, jakby porażona jakąś myślą. Oddychała swobodnie, bez bólu, bez problemu. „To śmierć” - przemknęło jej przez głowę, ale już się nie bała. To,

co ją spotykało, było zbyt piękne, żeby strach miał do niej dostęp. Te kwiaty, cudowne jak marzenia, które od bardzo dawna w sobie tłumiła, pełne barw i życia, zdawały się odpowiadać na wszystkie niezadane pytania. Dotykała ich leciutko dłonią, a zetknięcie z aksamitem płatków wyganiało resztki bólu z serca.

Kwiaty? Twoje marzenia były jak kwiaty? To takie tanie... takie pospolite.

Nagle jej wzrok zatrzymał się na purpurowej, ledwo rozkwitłej lilii. Kładła się na piasku, jakby była z innej rzeczywistości. Ania widziała, że kwiat umierał, choć była tak młody i piękny. U kucnęła i dotknęła go leciutko, chcąc przekazać mu część energii, którą teraz niespodziewanie w sobie czuła. Nie zastanawiała się, dlaczego serce ścisnęło jej się na widok umierającego kwiatka. Nagle ogarnęło ją nieodparte wrażenie, że nie jest sama. Wyczuwała, że ktoś stoi przy niej, obserwując jej dziwaczne zachowanie. Powoli podniosła wzrok. Przed nią znajdował się mężczyzna, raczej chłopiec. Był szczupły, wysoki, o bujnej, jasnej czuprynie i głębokich, szarych oczach. Skądś znała te oczy - skąd?

- Kim jesteś? - spytała, wstając i bezwiednie poprawiając włosy.

- Mahaberus do twoich usług - młodzieńczy, pełen uroku uśmiech sprawił, że serce jej przyśpieszyło.

- Dziwne imię - w momencie, kiedy to powiedziała, przyszło jej na myśl, że imię nie było dziwniejsze od tego wszystkiego, co się teraz działo.

Stała pod wodą, oddychała, rozmawiała, podziwiała baśniowy świat, a na dodatek spotykała mężczyznę swoich marzeń.

- Umarłam, prawda? - mimo wszystko bata się, że otrzyma odpowiedź twierdzącą.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał Mahaberus z uśmiechem, który również wydawał jej dziwnie znajomy.

- No wiesz, tak trochę dziwnie stać na dnie morza, które zresztą w ogóle nie przypomina Bałtyku i rozmawiać bez żadnych problemów.

- Chciałaś umrzeć, prawda? - jego łagodny ton sprawił, że oczy Ani zwilgotniały.

- Nie wiem, wydawało mi się, że musiałam. Jeżeli jednak tym jest śmierć, to nie żałuję - powiedziała z wahaniem.

- Nie - Mahaberus spojrzał jej w twarz, co wprowadziło ją w wewnętrzne drżenie. Skąd ona знаła te oczy? - To jeszcze nie śmierć. Gdybyś umarła, wszystko byłoby inaczej.

Słodkie, zbyt słodkie. Za duży kontrast. Kicz, po prostu kicz.

Aneta weszła do pokoju Ani. No, nie, tym razem jej siostrzyczka przesadziła. Podłoga była zavalona ubraniami, a otwarta szafa ukazywała powpuchane byle jak części garderoby. Zacisnęła usta. Postanowiła porozmawiać z Anką poważnie. Nie mogły tak dalej żyć. Jej siostra musiała zrozumieć... Myśli przerwał dźwięk telefonu. Serce ścisnął lodowaty, irracjonalny strach. Na nogach jak z waty dobiegła do aparatu i drżącą ręką podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Czy mógłbym rozmawiać z panią Anetą Lesicką? - nieznamy, oficjalny głos zdawał się paraliżować jej oddech.

Taki ton już kiedyś słyszała. Kiedy, Boże, kiedy?

- Przy telefonie.

- Pani siostra jest w szpitalu miejskim imienia Brudzińskiego w Gdyni.

Tym razem słuchawka nie wypadła jej z ręki, chociaż Aneta zachwiała się.

Osunęła się na stojący obok fotel.

- Co się stało? - miała wrażenie, że musi wyrwać słowa, które przechodząc przez przętyk, ranią go. Czuła krew w ustach.

- Została wyciągnięta z morza przez rybaków z kutra, parę kilometrów od brzegu. Udzielono jej natychmiastowej pomocy, ale jest w śpiączce. Była bardzo wychłodzona.

- Zaraz tam będę - wyrzucanie bolesnych słów wydawało jej się wysiłkiem niemal ponad siły.

- Ma pani adres?

Poruszyła wargami, ale nie wyszło z nich ani jedno słowo.

- Ulica Radtego 1 - głos przestał już być oficjalny, wyczuła w nim współczucie i miękkość.

Nawet teraz cudza litość znalazła jakiś skrawek jej świadomości, który zareagował natychmiastowym buntem. Odłożyła słuchawkę. Myśl, że musi zamówić taksówkę, poraziła ją. Tyle słów z siebie wyrwać, tyle ruchów wykonać. Jak bardzo chciałaby położyć się i już nigdy nie wstawać, nigdy nie otwierać ust. Ostatnim wysiłkiem woli wystukała numer radio taxi i podała swój adres.

Skąd wiesz? Skąd to wszystko wiesz?

- Jesteś gotowa, żeby zacząć wędrówkę? - zapytał Mahaberus, dotykając ręki Ani.

- Nie wiem - uśmiechnęła się do niego. - A dokąd idziemy?

- Przed siebie - ujął jej dłoń.

Jak przyjemnie było iść wśród tysięcy kolorowych kwiatów z tym niesamowitym chłopakiem! Skąd ona знаła jego oczy? Czy naprawdę chciała wiedzieć? Nagle przestraszyła się,

że za moment pozna odpowiedź i że nie będzie to przyjemne. Dopiero teraz dotarło do niej, że od pewnego momentu podwodny krajobraz zaczął się zmieniać. Kwiatów robiło się coraz mniej. Pojawiły się za to drzewa, wysokie, tchnące spokojem i mądrością. Ale ławki pod drzewami? Ścieżki? Po co to wszystko? Serce biło jej coraz ciężiej w piersiach. To już nie był cudowny, niezwykły, bajkowy krajobraz ze snu czy też z dna jej duszy. To był park przy szkole. Zobaczyła nawet młodych biznesmenów z hamburgerami, którzy tutaj widocznie zdecydowali się spędzić swoją przerwę na lunch.

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? - zapytała z wyrzutem.

- Żebyśmy mogli usiąść na tej ławce - odpowiedział, sadzając ją i wpatrując się w nią uporczywie.

Już wiedziała, skąd znała te oczy.

To przecież były oczy Michała. Poznała go na urodzinach koleżanki. Był cztery lata starszy i bardzo przystojny. Trafił na moment, kiedy tak bardzo łaknęła czułości. Rozpaczliwa tęsknota za rodzicami i niemożność porozumienia z siostrą sprawiły, że każdy jego gest nabierał dla niej wyższego znaczenia. Pozwoliła mu się pocałować na drugiej randce, na trzeciej była gotowa pójść z nim do łóżka. To było u niego w mieszkaniu. Wyszedł do kuchni. Kiedy wrócił, czekała na niego naga. Podszedł powoli, nie spuszczać z niej wzroku i przytulił ją. Wyczuwała jego twardą męskość. Ułożył ją na tapczanie, a potem wstał gwałtownie i przykrył kocem jej rozpalone ciało

- Przepraszam - powiedział, jakby to, co miało miejsce przed chwilą, było sprowokowane przez niego.

- Pragnę cię - szepnęła.

Uśmiechnął się i pocałował jej rozchylone usta.

- Przepraszam - powtórzył.

Tych szczegółów mogłabyś mi oszczędzić.

Podobna sytuacja nie zdarzyła się więcej. Złękła się siebie, a on nigdy nie posunął się dalej niż do pocałunków. Była mu za to wdzięczna. Kochała go.

Czasem jednak przychodziły chwile, kiedy nie mogła widzieć nikogo, nawet jego. Chwile, kiedy samotnie musiała zmierzyć się ze swoim cierpieniem. Nie rozumiał tego. Narzucał jej w tych momentach swoją obecność, usiłując z nią rozmawiać. Nie był w stanie pojąć, że słowa nie są w stanie oddać tego, co czuła. Słowa przeszkadzały. Ludzie przeszkadzali. Dźwięki przeszkadzały. Dochodziło do tego, że zdarzało jej się wyłączać komórkę, żeby bezustanny dźwięk SMS-ów i telefonów nie zakłócał ciszy.

Nie wiedziałam. Powinnam wiedzieć.

I znów miała lukę w pamięci. Nie była w stanie przypomnieć sobie, co się z nią działo, od kiedy zamówiła taksówkę. Musiała jednak jakoś wyjść z domu, wsiąść do samochodu, podać kierowcy adres, a potem przejść do budynku szpitala i wymienić nazwisko w recepcji, skoro siedziała teraz przy łóżku i trzymała za rękę swoją siostrę, podłączoną do skomplikowanej aparatury, podtrzymującej funkcje życiowe.

- Jestem przy tobie - szepnęła. - Dlaczego to zrobiłaś?

Właśnie, jak Anka mogła jej to zrobić? Czyż ona, Aneta, nie wyrzekła się własnego życia, czy nie poświęciła wszystkiego? Zalała ją fala współczucia dla samej siebie. Jej siostra nigdy nie musiała dźwigać ciężaru odpowiedzialności. Teraz też dała pokaz skrajnej niedojrzałości. Jak zwykle cały ciężar spadał na barki Anety.

„Fala współczucia dla samej siebie”. Jak łatwo tak to określić. Przecież dźwigałam ten ciężar cztery lata. Naprawdę dźwigałam.

Rok temu te oczy wpatrywały się w nią tak, jak teraz.

- Dlaczego nie przyszedł wczoraj? - głos Michała był pełen wyrzutu.

- Nie mogłam - odpowiedziała krótko.

Już tyle razy żądał od niej wyjaśnień. Nie była w stanie powiedzieć mu o swoich atakach, kiedy potrzebowała samotności przy grobie rodziców. Zresztą nie chciała mówić. Nie potrafił jej zrozumieć. Rozmawiając z nią w ten sposób, pokazywał, że myśli zupełnie innymi kategoriami.

- Nie zadzwoniłaś. Nie odbierałaś komórki. Nie odpowiadałaś na moje SMS-y.

Dlaczego wszyscy bez przerwy mieli do niej pretensje?

- Zaczynj ze mną rozmawiać. Jeżeli mamy być razem, nie możesz mnie tak traktować.

Czuła już, że za chwilę coś ją złamie po raz kolejny. Szukała jakichś słów, ale w głębi duszy była pewna, że nie przełamie lodowatego milczenia.

- Dobrze więc - powiedział, wstając. - Nie będę ci się więcej narzucał. Pomyliłem się.

„Nie odchodź! ” - krzyczała jej dusza. „Nie zostawiaj mnie samej! Nie dam rady! ”.

Na zewnątrz jednak była lodowato spokojna. Na jej ustach igrał nawet ironiczny uśmiezek, kiedy odprowadzała go wzrokiem.

Później tysiące razy trzymała w ręku komórkę, tysiące razy siedziała przy komputerze, pisząc e-maile, które za moment kasowała. Pewnego dnia w końcu przestała. Spłynęło na nią lodowate zrozumienie, że nikt nie jest w stanie wypełnić jej samotności.

- On mnie nie rozumiał - powiedziała, odwracając się do Mahabруса.

- Czy ty rozumiałaś jego?

Dziwne pytanie. Nigdy nie przyszło jej do głowy. Przecież to ona potrzebowała zrozumienia. - Mahaberusie, masz jego oczy - powiedziała pod wpływem impulsu.

Ale oczy Mahaberusa się zmieniły. Teraz miały barwę nieba i dziwnie marzycielski wyraz. Ich właściciel też uległ przeobrażeniu. Był to niby ten sam człowiek, ale wydawał się znacznie starszy.

- Nie masz już jego oczu - powiedziała w zamyśleniu Ania. - Ale i tak twoje oczy są znajome. Powiesz mi, skąd je znam?

Mahaberus uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Dlaczego? Czy znowu będę musiała doświadczyć czegoś ze swojego życia? Wiesz, to trochę boli.

- A nie powinno?

Ach, co za bzdura! Dlaczego powinno boleć? Przecież tyle już bólu zaznała w życiu i czy cokolwiek dobrego z tego wynikło?

Wzięła za rękę swoją siostrę. Spojrzała na jej nieruchomą twarz, na zamknięte oczy.

- Gdzie jesteś, siostrzyczko? - szepnęła. - Wróc do mnie.

Lodowaty strach wypełnił ją całą. Co będzie, jeśli Ania... odejdzie? Nawet w myślach wołała nie używać słowa „umrze”, bojąc się, że to może spowodować nieszczęście. Gdyby to nieszczęście przyszło, sama nie byłaby w stanie żyć, nie miała wątpliwości. A co, jeśli to, co się stało, było jej winą, jeśli w stosunkach z siostrą coś przeoczyła? Co mogła przeoczyć? Nigdy wcześniej o tym nie pomyślała, a teraz jej zmęczony umysł znowu trafiał na lukę w pamięci. Coś było, ale co? Dlaczego tak strasznie ją to męczyło? Ach, jak bardzo chciałyby zamienić się z Anią! Leżeć na tym szpitalnym łóżku podłączona do aparatu-

ry, nie martwić się o nic, a jej siostra siedziałaby obok niej i sama szukała odpowiedzi na pożerające umysł pytania.

Znów szła z Mahaberusem przez baśniową łąkę. Teraz jednak nie mogła się w pełni zrelaksować. Tęczowe kwiaty zamiast uspokajać swym pięknem, budziły niepokój pomieszany z męczącą nadzieją. Spojrzała na swojego towarzysza. Te oczy w kolorze nieba... skąd je znała? Dlaczego były jej tak drogie i dlaczego budziły taki łzawy, niemal nie do zniesienia ból? W co zamieni się ta przepiękna łąka? Kiedy ujrzała gęsty, stary, sosnowy las, zdała sobie sprawę, że wiedziała o tym od początku, od momentu, kiedy oczy Mahaberusa napełniły się barwą nieba.

- Tato, chcę jechać z wami - powiedziała kategorycznym tonem rozkapryszonej młodszej córki.

Ojciec spojrzał na nią łagodnie oczyma barwy nieba.

- Kochanie, przecież wiesz, że zawsze wyjeżdżaliśmy sami. To święto moje i mamy i wtedy, raz w roku, chcemy być tylko my dwoje.

- Nie chcę zostawać z Anetą! Nie cierpię z nią zostawać! Nie chcę jej słuchać! Wydaje jej się, że może mi rozkazywać.

- Kochanie, nie wiem, co cię napadło.

Sama nie wiedziała, co ją napadło. Była wściekła na ojca, że wyjeżdżał i zostawiał ją z tą głupią Anetą, wściekła na matkę, z którą przed chwilą pokłóciła się o nieposprzątany pokój. Matka była taka małostkowa, a ojciec zawsze spełniał każde jej życzenie.

- To jedźcie sobie! - powiedziała twardo.

„Nie cierpię was” - dodała w duchu.

Już wtedy obiecała sobie, że na złość im zrobi imprezę z alkoholem, którego nigdy przedtem nie miała w ustach. Kiedy wyjeżdżali, udawała, że śpi. Odwróciła się na drugi bok, sły-

sząc, jak otwierają drzwi jej pokoju. Ojciec podszedł i pocałował ją we włosy.

- Do zobaczenia, córeczko - szepnął.

Zacisnęła tylko mocniej oczy.

Dlaczego myślałam tylko o sobie? Nawet nie patrzyłam na ciebie. Byłaś irytującym dodatkiem do mieszkania. Byłam zakonnicą.

Wieczorem przyszli jej znajomi. Puściła głośną muzykę, żeby nie słyszeć dźwięków dochodzących z pokoju siostry. Wypiła dwa kieliszki wina i zrobiło jej się niedobrze. Wciąż jednak śmiała się na cały głos i siadała na kolana chłopakom. Z którymś nawet zaczęła się całować. Nie mogła sobie potem przypomnieć, kto to był. W pewnym momencie do jej pokoju wszedł ktoś z tej głupiej imprezy Anety. Wyłączył muzykę i kiedy już miała go ochrzanić, powiedział:

- Przed chwilą był telefon ze szpitala w Olsztynie. Twoi rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

W tym momencie nie mogła już dłużej powstrzymywać mdłości i zwymiotowała prosto na podłogę. Ktoś posprzątał, ktoś ułożył ją na tapczanie. Potem usłyszała podniesiony głos swojej siostry i wszyscy opuścili ich dom.

Aneta wzięła ją w ramiona, a ona wtuliła się w nie, szukając schronienia i bezpieczeństwa, chociaż już wtedy wiedziała, że nigdy ich nie znajdzie.

Dlaczego tak myślałaś? Skąd wiedziałaś?

Mahaberus ujął ją delikatnie za rękę.

- Wydaje ci się, że jesteś odpowiedzialna za wypadek rodziców?

- Mahaberusie, to nie tak, ale ja wiem, że mogłoby być inaczej.

- Co ty wiesz, dziecko - ten głos, wciąż niby głos mężczyzny, głęboki, spokojny, a jednak przypominał jej głos kobiety, głos, którego nie słyszała od czterech lat.

- Czy wiesz, że masz głos podobny do mojej mamy? - zapytała, usiłując powstrzymać łkanie.

- Ten wypadek zdarzył się tylko dlatego - powiedział Mahaberus, ignorując jej pytanie - że kierowca ciężarówki był pijany i wydawało mu się, że zdąży wyprzedzić, nie wpadając na jadący z przeciwka samochód. To nie miało nic wspólnego z zachowaniem rozkapryszonej czternastolatki.

- Być może. Nie zmienia to faktu, że tuż przed ich śmiercią zachowałam się jak ostatnia... nie wiem, jakiego słowa użyć. A oni umarli, myśląc, że ich nie kocham - mówiła bardzo wolno, koncentrując się na tym, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- Jak mogli tak myśleć? Przecież cię znali. Wiedzieli, że dzieci czasem zachowują się w ten sposób, sami kiedyś byli dziećmi.

Ania nie mogła już dłużej tłumić łkania. Wtuliła twarz w ramię Mahaberusa, jak kiedyś, będąc małą dziewczynką, wtulała twarz w ramię matki i płakała, a z każdą łzą wychodziła z niej gorycz, a każde pogłaskanie po włosach gasiło ogień, który tlił się w niej przez cztery lata, nie pozwalając odpocząć nawet na chwilę.

- Jest jednak jeszcze coś, Aniu - powiedział Mahaberus, a jego głos znowu się zmienił.

Takie słodkie, że aż mdli. Za łatwo uwierzyłaś, za łatwo wychodziła gorycz, zbierana i hołubiona przez lata. To nigdy nie jest takie proste.

Aneta siedziała nieruchomo już tak długo, że odczuwała sztywność karku. Szczypały ją oczy, paliło w żołądku, piekło w mózgu. Była zmęczona. Ach, ugasić ten pożar chociaż na chwi-

lę! Zamknęła oczy, mając wrażenie, że razi ją światło latarni ulicznych. Nie byłaby w stanie powiedzieć, jak długo siedziała, kiedy w końcu ogień zgasł. Zamiast tego wypełnił ją lodowaty ból. Sama już nie wiedziała, co było gorsze: pożar czy mróz. Słyszając czyjeś kroki, zmusiła się do podniesienia powiek. Była pewna, że to lekarz czy pielęgniarka, ale zobaczyła człowieka o spojrzeniu w barwie nieba. Ach, jak dobrze znała to spojrzenie! Dlatego, chociaż mężczyzna był obcy, poczuła zaufanie.

- Chodź ze mną, Aneto - powiedział, uśmiechając się łagodnie.

Nie zdziwiła się, że znał jej imię. Ten fakt wydawał się najnaturalniejszy w świecie.

- Nie mogę - szepnęła. - Muszę zostać przy siostrze.
- Zaprowadzę cię do siostry.

Wiedziała, że te słowa musiały oznaczać szaleństwo jego lub jej, wiedziała, że najnaturalniejszą reakcją na świecie byłby zimny lęk, lecz wcale go nie odczuwała. Zdawało jej się, że od człowieka emanuje ciepło i przenika do niej, ogrzewając jej skostniałe wnętrze. Uśmiechnęła się.

- Moja siostra jest tutaj - powiedziała z wahaniem.
- Mylisz się - wziął ją za rękę. - Chodź.

Nie cofnęła dłoni. Podniosła się i pozwoliła prowadzić, nie zadając żadnych pytań. Nie byłaby w stanie powiedzieć, jak długo szli, kiedy wreszcie dotarli na plażę. Nie zlekła się, kiedy wprowadził ją do wody. Pomyślała, że normalnie chłód morza byłby porażający, ale teraz nie zrobił na niej wrażenia. Nie czuła się jak we śnie, nie czuła się jak w transie. Dlaczego wobec tego nie protestowała, kiedy woda sięgała jej już do szyi, dlaczego szła dalej, chociaż na ustach czuła morską sól? Pytania pojawiały się w jej głowie, ale nie odczuwała potrzeby szukania odpowiedzi. Nie zdziwiła się też, że kiedy woda

przykryła jej głowę, ona wciąż była w stanie iść po dnie, oddychać i mieć szeroko otwarte oczy.

Jakie ładne, poetyckie wyjaśnienie. Chciataś oszczędzić mi bólu?

- Hej, widzicie to coś na wodzie? To wygląda jak jakieś ciało.

- Podpłynmy bliżej... To jest ciało! Kobieta.

Wyłowili nieruchome ciało dziewczyny i wciągnęli ją na kuter.

- Jeszcze żyje. To już druga od wczoraj. Boże, co tym babom się porobiło.

Znajdujący się na miejscu lekarz udzielił pierwszej pomocy. Po usunięciu

wody z płuc, zrobił sztuczne oddychanie i masaż serca.

- Dobrze, już sama oddycha. Chyba nie była długo w wodzie, bo nie wygląda jeszcze na strasznie wychłodzoną. Owińcie ją, najważniejsze, żeby się teraz rozgrzała.

Na brzegu czekała już nagich karetka.

- One chyba oszalały. Będą się topić jedna przez drugą. Wariatki, kompletne wariatki - lekarz dyżurny, Marek Zalewski, wcale nie starał się walczyć z irytacją, która go ogarniała.

- Rzeczywiście, ta ostatnia wyglądała na nieprzytomną, kiedy tu przyjechała do siostry - piękna pielęgniarka położyła smukłe dłonie na karku lekarza. - Rozluźnij się, masz strasznie napięte mięśnie, zrobię ci masaż.

- Mmm, tego właśnie mi potrzeba Ewuniu - powiedział, zamykając oczy.

- Myślałam, że to ze stresu - ciągnęła Ewa. - Ale okazało się, że również ma skłonności samobójcze. To pewnie warunkowane genetycznie. Myślisz, że przeżyją?

- Nie wiem. Powinno się udać. Są młode, mają zdrowe serca.

Aneta szła po dnie morza, nie mogąc nasycić oczu soczystymi barwami kwiatów. Wiedziała, że po coś tu przyszła, ale w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć. Chyba jednak miało to znaczenie. Spojrzała w oczy swojego towarzysza.

- Wiesz, dlaczego ci zaufałam? - powiedziała wolno. - Masz oczy mojego ojca.

- Wiedziałaś. Twoja siostra miała kłopoty ze skojarzeniem.

- A głos - Aneta zdawała się nie zwracać uwagi na odpowiedź Mahaberusa - głos mojej matki. - W jej własnym głosie brzmiała nutka rozrzewnienia.

- Nie wiem dlaczego, bo ty masz męski, a ona miała zdecydowanie kobiecy.

- A pamiętasz, po co tu przyszliśmy? - zapytał, zatrzymując się i patrząc jej w oczy.

W tym momencie sobie przypomniała.

- Tak, do Ani, ale przecież ona jest w szpitalu.

- Czy zawsze wierzysz w to, czego doświadczasz zmysłami? - wciąż wpatrywał się w nią intensywnie.

Dziwne, wydawało jej się, że to pytanie zawsze w niej tkwiło, tylko obawiała się je sformułować. Dlaczego właściwie się obawiała? Czy miało to coś wspólnego ze strachem, że cały jej świat, z takim mozołem budowany po śmierci rodziców, może runąć w gruzy, jeśli zrobi jeden fałszywy ruch?

- Co czułaś po ich śmierci?

Chociaż zdawał się czytać w jej myślach, nie budziło to w niej lęku, wręcz przeciwnie, darzyła go coraz większym zaufaniem.

- Lęk, który musiałam pokonać. Dla Ani. Było ciężko, bo jakaś cząsteczka mnie umarła razem z rodzicami.

- Pokonałaś go?

Dlaczego usłyszała to pytanie, skoro wargi Mahaberusa się nie poruszały i nie wyszedł z nich żaden dźwięk?

- Zapewne nie do końca. Ale zbudowałam dla nas stabilizację - jej głos brzmiał pewnie, jakby chciała przekonać nie tylko swojego rozmówcę, ale i samą siebie.

Kwiaty? To nie dla mnie. Ja wolałabym górskie szczyty. Kwiaty są tak kiczowate jak ten cały Mahaberus.

Wciąż znajdowała się tu, na tym cudownym dnie morza, a zarazem była w swoim pokoju, zajęta wstukiwaniem do komputera jakichś danych, których nie zdążyła wprowadzić w pracy.

Ania stanęła w progu.

- Wyjedźmy na tydzień.

- Oszalałaś, jest środek roku. Masz klasówki, a mnie nikt nie da urlopu.

- Spróbuj wziąć zwolnienie.

- To, co mówisz jest absolutnie szczeniackie. Idź do swojego pokoju i skończ lekcje.

- Jaka cząsteczka ciebie umarta?

Pytanie Mahaberusa poraziło ją. Całym ciałem wstrząsnęło niekontrolowane spazmatyczne łkanie.

- Odpowiedz - jej towarzysz nie znał litości.

Jeszcze nie mogła. Jeszcze musiała przejść przez... przez... przez...

Dobrze. Przechodzę. Wiem, że muszę.

- Aneta - Ania stała obok jej łóżka, potrząsając nią.

Przed chwilą zasnęła. Miała ciężki dzień w pracy, następnego dnia egzamin, musiała wstać przed szóstą.

- Co się stało? - zapytała, usiłując ukryć przepełniającą irytację.

- Nie mogę zasnąć. Myślę o rodzicach.

Aneta przytuliła siostrę. Boże, jaki krótki, przelotny, na odczepnego był ten uścisk.

- Też nieustannie o nich myślę. Teraz jednak muszę spać. Wiesz, że rano mam egzamin. Porozmawiamy jutro wieczorem.

Ania kiwnęła głową i opuściła jej pokój.

Dlaczego teraz widziała w twarzy siostry to, czego nie zauważyła wtedy? Czy nie chciała zwrócić uwagi na napięcie, które zdawało się Anię od wewnątrz rozrywać? Dlaczego wieczorem pytała ją tylko o lekcje? Dlaczego nie spróbowała wrócić do tematu rodziców?

- To było dla mnie zbyt bolesne, Mahaberusie - czy usprawiedliwiała się przed nim, czy też przed samą sobą?

- A Marcin? - Mahaberus nie spuszczał z niej wzroku.

- Co Marcin? - zapytała, chociaż dobrze wiedziała, o co chodzi jej towarzyszowi.

Telefon.

- Myślę o tobie bezustannie. Spotkajmy się.

Chciał tylko jej ciała. Nie obchodziło go, jak się czuje, czego potrzebuje, czy jest w stanie funkcjonować.

- Nie mam czasu - odparła lodowato.

- Kocham cię. Wydawało mi się, że ty też coś do mnie czujesz.

Odłożyła słuchawkę. Wszyscy myśleli tylko o sobie. Marcin, o Boże, dlaczego to tak bolało, nie był lepszy. Nie mogła pozwolić sobie na sentymenty. Musiała skupić siły na akcie zbudowania stabilizacji dla Ani.

Oczy Anety były pełne łez.

- Kochałam go, wiesz? Kochałam go, chociaż próbowałam tego nie nazywać. Zniszczyłam to, sama zabiłam część siebie.

Ukryła twarz w dłoniach. Kiedy podniosła głowę, jej wzrok był twardy.

- Ale on dość szybko się pocieszył. Ty wiesz wszystko, więc wiesz też o przyśpieszonym ślubie z Karoliną.

Mahaberus nie odpowiedział. To z jej własnych ust wyszły słowa:

- Co to zmienia? To ja zabiłam nadzieję.

Co za *melodramatyczne zdanie! Zabiłam nadzieję.*

Rozejrzała się wokół.

- Jak tu pięknie - szepnęła.

Bajeczne barwy kwiatów zdawały się wnikać do jej wnętrza, wyganiać z niego szarość i czerń.

- Nadziei nie można zabić - powiedział w końcu Mahaberus - można ją tylko zdusić.

Przykucnęła przy jednym, purpurowym, ledwo rozkwitłym kwiecie. Chylił się ku ziemi.

- Jest taki piękny. Czy umiera?

- Wygląda dużo lepiej niż wczoraj - jej towarzysz również pochylił się nad kwiatem i z uczuciem pogłaskał jego płatki, jakby to były włosy dziewczyny.

Ciekawe, czy ten kwiat to jakiś symbol?

- Gdybym mogła cofnąć czas, rozegrałabym to inaczej - w jej głosie drgał tłumiony szloch.

- Czasu nie cofniesz, ale masz wpływ na przyszłość. Nie musisz być bezbłędna - wypowiadając te słowa, Mahaberus lekko dotknął dłoni Anety.

Spojrzała na niego z nagłym zrozumieniem. Wszystko spieprzyła, bo bała się popełnić błąd. Jej towarzysz zaśmiał się.

- Nadal jesteś perfekcjonistką. Nie spieprzyłaś wszystkiego. Odpocznij trochę - posadził ją delikatnie na intensywnie zielonej trawie. - Rozejrzyj się. Ja muszę coś załatwić.

Skinęła głową. Nie miała siły odpowiadać. Odpoczynek... tego jej właśnie potrzeba. Położyła się i zamknęła oczy. Soczysta trawa była jak najmiększa atlasowa pościel. Coś tak cudownie pieściło jej policzki. Słońce? Woda? Czy też dłoń Mahabirusa? Ach, nie, on poszedł coś załatwić. Taka wspaniała cisza. Nic nie musiała robić. Tylko leżeć, wdychać cudowną woń i rozkoszować się pięknem i ciepłem i ciszą i swoim życiem. Życie było piękne, tak kolorowe, jak kwiaty wokół, które wciąż widziała przez zamknięte powieki. To nieprawda, że jakaś cząsteczka jej umarła. Już wiedziała, co to było. Ona sama zagłuszyła tę cząsteczkę, która mówiła jej, że ważne jest okazanie czułości drugiemu człowiekowi. Zgubiła tę czułość w gonitwie za dobrze spełnionym obowiązkiem, ale teraz ją znalazła. Nie musiała się śpieszyć. Nie chciała się śpieszyć. Zapomniała o uczuciach innych, to prawda. Przez te cztery lata zapomniała jednak zupełnie o swoich potrzebach. Teraz zrozumiała. Jedną z jej potrzeb było napawanie się pięknem. Była zmęczona. Tak dawno już nie spała. Bała się snów. W tej chwili jednak pojęła, że sny bywają piękne, jeśli tylko im się na to pozwoli.

Znów ten kicz. Chyba zaczynam lubić kicz. Robi mi się dobrze, miękko.

- Jesteś, Mahabirusie - Ania uśmiechnęła się do niego. - Wiem nawet, kogo przypominasz mi tym razem, chociaż to dziwne.

- Yhm? - Mahabirus odwzajemnił jej uśmiech. - Kogo ci przypominam?

- Moją siostrę. Wprawdzie - ku swojemu niezadowoleniu poczuła, że się rumieni - jesteś przystojnym facetem, a ona jest tak kobieca.

Wpadła do mieszkania szalenie podniecona. Dwa dni temu minął rok od śmierci rodziców. Po raz pierwszy chciała coś zrobić od tamtej chwili naprawdę chciała. Umówiła się z Martą o północy. Miały pójść na plażę. Wydawało jej się, że ta wyprawa nad morze w środku nocy jest dla niej niezwykle ważna. Marta była niezwykła. Jedyna osoba, której cokolwiek o sobie mówiła. A teraz miały razem przeżyć tę przygodę. Mroczną, niezwykłą, tajemniczą. Myślała nawet, że tam, na plaży, przy cudownym blasku gwiazd, słuchając szumu fal uderzających o brzeg, otworzy się przed Martą, pozwoli jej poznać demona zżerającego duszę.

Demony, dusze. Dlaczego bez przerwy używasz tak silnych słów?

Nie miała wątpliwości, że Aneta jej nie puści. Nie przyszło jej nawet do głowy prosić o pozwolenie. Była natomiast pewna, że jej siostra będzie spała. W sobotę zaczynała zajęcia bardzo wcześnie i Ania nie wyobrażała sobie, żeby kobieta tak doskonale zorganizowana jak Aneta chciała zarwać noc. Kiedy w końcu nadszedł piątek, dziewczynka nie mogła się na niczym skoncentrować, czekając na umówioną godzinę. O w pół do dwunastej podeszła pod drzwi sypialni Anety. Światło było zgaszone, nie dochodził żaden dźwięk. Wróciła do swojego pokoju i narzuciła ubranie na piżamę. Patrzyła na zegarek w napięciu i punktualnie za pięć dwunasta wysunęła się z mieszkania. Była niezwykle podniecona. Marta już czekała. Ruszyły w kierunku plaży. Ledwo zdążyły przejść parę kroków, usłyszały za sobą tupot nóg. Ania obejrzała się i zdrętwiała, kiedy

zobaczyła biegnącą siostrę. Już w tej chwili poczuła, że jej nie-
nawidzi.

- Dokąd się wybieracie? - Aneta zrównała się z nimi, a jej irytująco spokojny głos sprawił, że lęk zniknął, a jego miejsce zajęła wściekłość.

- Wszystko musisz wiedzieć, prawda? Nie jesteś moją matką.

Aneta spojrzała na siostrę zaledwie przez chwilę, jakby uznała, że nie warto się nią zajmować.

- Czy twoi rodzice wiedzą, gdzie jesteś? - zwróciła się do Marty.

- Wiedzą - odpowiedziała chłodno Marta.

- To się zaraz okaże - Aneta wyciągnęła komórkę.

To, co nastąpiło później, zapisało się w pamięci Ani jak niemy film. Zaspany ojciec koleżanki, brutalnie chwytający córkę za ramię i ciągnący ją do domu. Szyderczy uśmiech Marty, kiedy mówiła coś do Anety. I ona sama, Ania, posłusznie podążająca za siostrą. Wiedziała, że padło wiele słów, ale nie słyszała nic oprócz szumu w swojej głowie. Rozebrała się i położyła. Aneta weszła do jej pokoju.

- Aniu - położyła rękę na jej ramieniu.

Ania nie odezwała się.

Próbowała za to odzywać się do Marty, ale ona nie chciała z nią rozmawiać. Jej koleżanka przez jakiś czas przychodziła do szkoły w ciemnych okularach, których nigdy nie zdejmowała. Ania przypominała sobie wyraz twarzy ojca Marty, kiedy schodził po córkę. Bała się myśleć, dlaczego Marta nosi okulary, ale i tak wyobrażnia podsuwała jej koszmarne obrazy.

Czy to moja wina? Czy mogłam postąpić inaczej?

- Aniu - Aneta stanęła w progu jej pokoju. - Chciałabym z tobą porozmawiać.

- O czym? - Ania nie podniosła głowy znad książki.
- O nocy z piątku na sobotę - głos Anety brzmiał niemal błagalnie.
- Nie ma o czym mówić. Postąpiłaś w jedyny możliwy sposób.
- Aniu...
- Nie wracajmy do tego, dobrze? - sama dziwiła się tym słowom.

Aneta podeszła i położyła rękę na ramieniu siostry. Ania, jakby zupełnie

tego nie dostrzegając, zdawała się pogrążona w lekturze. Wyraz jej twarzy nie zmienił się, kiedy Aneta zwolniła uścisk i po cichu opuściła pokój.

Od tego czasu żadna z nich nie próbowała poruszyć innego tematu niż lekcje, jedzenie czy porządek w mieszkaniu.

- Tak - szepnęła Ania. - Zamknęłam się przed nią, kiedy najbardziej jej potrzebowałam. Pewnie dlatego, że zazdrościłam jej doskonałości.

- Wniosek zbyt prosty, ale lepszy niż żaden - Mahaberus westchnął i zaczął powoli się oddalać.

Chciała zobaczyć Anetę. Chciała powiedzieć jej cokolwiek. Czują, jak bardzo za nią tęskni. Szła, patrząc na kwiaty, nieświadomie kierując kroki do lilii. Uśmiechnęła się, kiedy ją zobaczyła. Kwiat stał wyprostowany, w pełni zdrowia.

- Pokonałaś śmierć - szepnęła.

Aneta podniosła się leniwie. Przepęłniała ją tęsknota za Anią. Mahaberus powiedział, że przyprowadza ją tu do siostry, a ona mu uwierzyła. Gdzie wobec tego była Ania? Musi znaleźć Mahaberusa i zadać mu to pytanie. Szła, patrząc na kwiaty, nieświadomie zmierzając do chorej lilii. Kiedy Aneta ją zoba-

czyła, dotarło do niej, że kwiat nie był już chory. Stał wyprostowany i piękny.

- Pokonałaś śmierć - szepnęła, schylając się.

W momencie, kiedy dotknęła płatków, inne palce uczyniły to samo, stykając się z jej palcami. Podniosła głowę. Jej oczy spotkały oczy Ani. Wstały, trzymając się za ręce. Aneta chciała coś powiedzieć, ale zabrakło jej słów.

To jest symbol. Ciekawe, czego?

Chciała przyciągnąć siostrę, lecz ku jej przerażeniu, ramiona napotkały pustkę. Ani nie było. Był tylko piękny, podwodny krajobraz, który przestał już być piękny.

- Ania! - krzyczała i zdawało jej się, że traci wszystkie siły, które przed chwilą ją wypełniały.

Mahabeberus ją oszukał. Tu nie było Ani. Musi ją odszukać, musi iść, już tylko to się liczy...

Odkładam wydruk. Hmm, to nie jest tylko popis twoich zdolności pisarskich. To jest próba oczyszczenia naszych wzajemnych stosunków. Czy udana? Wnioski, jakie się nasuwają, są, jak to ujął Mahaberus (swoją drogą, jaka to kiczowata postać), uproszczone, ale lepsze niż żadne.

Drzwi się otwierają. Stoisz w nich Podchodzisz i całujesz mnie w czoło.

- Jak się czujesz? - pytasz.

- Nieźle. Skończyłam twoje... opowiadanie.

- I...?

- Wiesz, że nie znam się specjalnie na literaturze.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi.

- No cóż, wydaje mi się, że wizerunek mnie, jaki przedstawiłaś, jest w miarę dokładny. Może nie jestem zbyt sympatyczna, ale, och kurczę, tak, rzeczywiście w tej pogoni za doskonałością, zatraciłam proporcje.

- Ja też zatraciłam proporcje. Nie wiem, czy to zauważyłaś, ale nie starałam się wybielić. I niestety, nie mogę nawet usprawiedliwiać się tym, że goniłam za doskonałością.

- Z Marcinem też trafiłaś. Dziwię się, jak tak dobrze mogłaś znać moje uczucia. Nie wiesz tylko o jednym. Kiedy dowiedziałam się o planowanym ślubie z Karoliną, byłam u niego, błagałam go, żeby z nią zerwał, żeby wrócił do mnie i wtedy dowiedziałam się, że on ten ślub wziąć musi... rozumiesz?

- Rzeczywiście, nie wiedziałam, że poszłaś do niego.

Ewa spojrzała na dwie siostry. Trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno leżały podłączone do aparatury. Młodsza już trzy dni temu została wypisana. Wyglądała zdumiewająco dobrze. Ale starsza była słaba. Bardzo słaba. Wybudziła się ze śpiączki z krzykiem na ustach, zupełnie nieprzytomna, powtarzając imię swojej siostry. W końcu dotarło do niej, że jest w szpitalu, ale długo nie mogła uwierzyć, że sama też usiłowała popełnić samobójstwo. Psychiatra szpitalny stwierdził, że odpycha od siebie wspomnienia, które zbyt ją bolą. Woli nie pamiętać niż zmierzyć się z przeszłością.

- Ten Mahaberus, który pomaga nam zrozumieć siebie, to ciekawa postać, ale moim zdaniem mocno przesłodzona.

- Nic nie pamiętasz, prawda?

Zaciskam usta. Nie pamiętam. Wszyscy mi to wypominają.

- Nie. Psychiatra mówi, że to wróci. Pamiętam, jak siedziałam przy tobie, myśląc, że chciałabym się zamienić. A później dopiero moment, kiedy ktoś powiedział mi, że sama jestem w szpitalu, że sama się budzę ze śpiączki. Długo nie mogłam uwierzyć, że chciałam popełnić samobójstwo.

Kiwasz głową.

- Przy twojej odpowiedzialności ta próba samobójcza musi dziwić. Dlatego opisałam ją w ten sposób.

- Przepraszam, Aniu. Teraz ja chciałbym porozmawiać z twoją siostrą.

Podnosisz wzrok na psychiatrę i uśmiechasz się.

- Jasne.

Lekarz zajmuje twoje miejsce. Patrzą w jego oczy o barwie nieba. Dziwne. Ostatnio wydawały mi się orzechowe. Jak oczy Marcina.

Grzegorz Gajek

SYNOWIE KAINA

- Panie Sewerusie, musi pan pomóc! - Kitamura, korpulentny, skośnooki konus, chwycił go za rękaw płaszcza. Ten jednak spojrział na niego jak na karalucha i niecierpliwym ruchem strząsnął z ramienia.

- Przykro mi, panie przewodniczący - odparł. - Ale to nie moja sprawa. Nie opowiadam się po żadnej ze stron. W czasie wojny byłem najemnikiem, pracowałem dla tych, którzy lepiej płacili. Nie mam poglądów ani sympatii politycznych czy ideologicznych.

Odwrócił się i ruszył w poprzek betonowej platformy peronu ku pękatemu wagonowi kolei podziemnej.

- Ale proszę pana, pan wie, że jeśli oni... jeśli oni się tu zjawią, to... to będzie masakra! Tylko pan może ich powstrzymać...

- Nie, panie przewodniczący, nie mogę. Nie jestem żołnierzem. Już nie jestem żołnierzem. Śmierć to przykra sprawa. I tak, jeśli zjawią się tu Pretorianie, to wielu waszych zginie - takie jest życie. Przegrani muszą płacić cenę porażki. Nie będę dla pańskich ludzi nadstawiał karku; żaden z nich nie nadstawiłby karku dla mnie.

Mały człowieczek dogonił go i ponownie zatrzymał.

- Panie Sewerusie... na miłość boską - wycedził przez zęby zduszonym szeptem.

Sewerus zaśmiał się tylko nieprzyjemnie.

- I to pan mówi o Bogu? Pan, Kainita? Panie Kitamura... - rzekł z dezaprobatą.

Kitamura wziął haust powietrza, jakby chciał go dalej namawiać, lecz nagle chrząknął dziwnie, a jego oczy wywróciły się białkami na wierzch.

- S... są... - wyjąkał piskliwie i zaraz obrócił się na pięcie. Szybkim krokiem ruszył ku wyjściu. Sewerus obserwował przez chwilę jego niknącą sylwetkę. Gdy Kitamura był już daleko, nagle dołączyły do niego dwie kolejne postaci, o wiele większe i groźnie wyglądające. „Głupiec” - pomyślał Sewerus, po czym wsiadł do pociągu.

Wagon był obszerny. Znajdowało się w nim w sumie osiem rzędów foteli: po cztery z każdej strony, a między nimi korytarzyk. Wszystkie miejsca siedzące już zajęto, zatem wciśnął się między ludzi stojących w korytarzyku. Większość z nich była Homonulusami, jednak Sewerus z łatwością rozpoznawał Kainitów. Mieli o wiele silniejszą aurę. Homonulusi właściwie w ogóle jej nie posiadali.

Koła wagonu zgrzytnęły, jakby miał już ruszać, jednak nic takiego się nie stało. Ostatni pasażerowie wpychali się do wnętrza. Obok Sewerusa stanęła para Kainitów: starszy mężczy-

zna i dziewczyna - na oko piętnastoletnia, ładna, o miłej, okrągłej buzi. Spojrzała na niego. Miała smutne oczy; pomarańczowe ze złotymi obwódkami. Odwrócił się od niej pośpiesznie.

- Kurwa mać... - mruknął do siebie.

- „Nie rób tego...” - zdążyło mu zadzwonić w głowie, gdy do pociągu wkroczyli Pretorianie.

Nagle zrobiło się strasznie cicho. Jakby wszystkie odgłosy - szum rozgrzewających się silników, gwar ludzkich głosów, zgrzytanie kół - zostały stłamszone gdzieś na granicy rzeczywistości. Wszyscy Homunulusi zastygli niczym w stuporze. Tu i tam część z nich wykonywała nienaturalnie spowolnione ruchy, które zaraz ustały. Tylko Kainici poruszali się normalnie.

Sewerus poddał się ogarniającemu go paraliżowi. Pozwolił dziwnemu mrowieniu rozejść się po jego ciele. Stłumił swoją aurę. Dostrzegał jeszcze resztki ruchu. Przed oczami mignęły mu czarne sylwetki czterech Pretorian - strasznie chudych i wysokich, w czarnych pancerzach, z pióropuszcami na głowach i długimi ostrzami podczepionymi do rękawic. Na granicy jego umysłu pojawiła się świadomość rozlegających się krzyków bólu i rozpacz, spostrzegł jeszcze czerwone eksplozje krwi.

- „Czterech...” - jego myśli płynęły bardzo powoli. - „I tak nie dałbyś im rady. Nie rób tego...”.

Nagle tors Kainity stojącego obok niego pękł. Mignęło srebrne ostrze. Krew bluznęła gęstym strumieniem. Ujrzał rozdierane wnętrzości. Dziewczyna, która z nim była nie krzyknęła, tylko jej twarz wygięła się jakby do krzyku. W tym momencie Sewerus poczuł, że coś się w nim łamie. Jego myśli przyspieszyły nagle.

- Ani drgnij! - syknął, chwytając ją mocno za ramię. Znieruchomiała pod wpływem jego głosu. Jego aura przesłoniła jej aurę.

Błyskawicznym ruchem wyszarpnął spod płaszcza pistolet skałkowy. Gruchnął strzał. Ścianę wagonu ochlapała krwawa miazga z mózgu i w powietrzu słychać było trzask kości jednego z Pretorian.

- „Jeden” - odliczył w myśli Sewerus, upuszczając pistolet i wydobywając następny spod płaszcza. Kolejny srebrny pocisk poszybował w powietrzu, przecinając tor biegu innego Pretorianina. - „Dwa”.

Odrzucił pistolet, puścił dziewczynę i dobył dwóch długich, zakrzywionych sztyletów. Trzeci Pretorianin przemykał właśnie tuż obok niego. Zauważył, co się dzieje, lecz nie zdążył zareagować. Ostrze Sewerusa rozorało mu szyję. Padł w fontannie krwi, ścięty z nóg nagłym uderzeniem. „Trzy”.

Ostatni byt nieco dalej, więc zdążył sparować cios. Zahałmował, obrócił się na pięcie i uderzył. Sewerus nie przejął się mknącym w jego stronę ostrzem. Wbił własną broń między żebra przeciwnika, czując wyraźnie, jak rozrywa płuca i serce.

„Cztery” - zakończył odliczanie, gdy tamten upadł. Poczuł, że po jego boku spływa cienka strużka krwi. Rana była płytka, ale gdyby przeciwnik miał czas wymierzyć cios odrobinę dokładniej, to pewnie byłaby śmiertelna. Pretorianie umieli zabić, choć oczywiście nie tak dobrze jak Sewerus.

W czasie wojny zabił przeszło sześćdziesięciu Pretorian w osiemnastu starciach. Więcej niż jakikolwiek inny człowiek. Ale wtedy w jego organizmie żyły jeszcze symbionty: kordialis, który w razie czego mógł zastąpić funkcję serca, oculus, zaimplanotwany pod skórę czaszki, który wyostrzał jego zmy-

sły, wis, pompujący do jego krwi bojowe hormony oraz cztery glisty-wzmacniacze, które wzmagają siłę jego mięśni.

* * *

Dom Sewerusa rósł w podziemnej jaskini na obrzeżach miasta Wejtl. Jego organiczne ściany przyjęły kształt zbliżony do naturalnej struktury skały, dlatego od środka przypominał wnętrze niedużej kopuły. Znajdowało się tam niewiele mebli, przeważnie surowych, zrobionych z szarej stali. Nie było żadnych ozdób.

- W kuchni jest trochę jedzenia - rzekł Sewerus, pokazując Szejli ciasny aneks kuchenny. Następnie udał się do łazienki, nalał czerpakiem nieco wody ze zbiornika do miski i zaczął oglądać swoją ranę. Zakrwawioną koszulę cisnął w kąt.

Draśnięcie było płytkie, ale zaczynało ropieć. Wziął zatem przypominającego gąbkę wysysacza, zwilżył go nieco w misce i przytknął do swego boku. Syknął cicho, gdy mikroząbki stworzenia wpiły się w jego skórę.

Nagle w lustrze pojawiła się twarz Szejli. Dziewczyna zbliżyła się do niego od tyłu i musnęła palcami krawędź jego zranienia. Sewerus zastygł w bezruchu i przyglądał się jej odbiciu. Sięgała mu ledwie do ramion, ale jak na swój wiek była bardzo ładnie zbudowana. Brązowa suknia służki opinała ciasno jej szczupłą talię, a obramowany białą materiałą dekolt odsłaniał zarys krągłych, niedużych piersi. Jej śliczna dziewczęca buzia kontrastowała mocno z jego własną twarzą - brzydką, obarczoną za długim nosem i szerokimi ustami, zeszpeconą tu i tam bladymi pajęczynkami blizn.

Dziewczyna objęła go i poczuł, jak jej delikatny, ciepły policzek przytula się do jego pleców. Jej dłonie spoczęły na jego

nagim brzuchu i powoli zaczęły wędrować niżej. Wzdrygnął się nieco, chwycił jej rękę i odsunął ją od siebie.

- Nie jesteś przestraszona tym, co wydarzyło się w pociągu? - zapytał.

- Jestem... - odparła, spuszczaając oczy i nagle się rumieniąc.

Zapadła cisza. Sewerus przykleił do swojego boku plaster i wyszedł. Także był przestraszony, czuł, że dłonie drżą mu nieznacznie. Dopiero co wystąpił przeciwko Pretorianom. Dla niej. Cholera, dla tej gówniary! W kilka sekund, niewiele myśląc, podpisał na siebie wyrok. Będą na niego polować - był tego pewien. Dotąd zostawiali go w spokoju. Może i uważali go za trochę groźnego, może i chętnie by się go pozbyli wcześniej, ale znajdował się poza Sferą. Teraz jego aura pozostawiła wyraźny ślad, trop dla gończych psów.

Westchnął, rozglądając się po mieszkaniu. Musiał odpocząć, dzień, góra dwa. Potem trzeba było ruszać. Tutaj już nie było bezpiecznie.

Szejla weszła za nim do pokoju. Wciąż zarumieniona, stanęła naprzeciwko niego i ze wzrokiem wbitym w ziemię zaczęła rozpinać dekolt. Przez chwilę patrzył tępym wzrokiem na jej trochę jeszcze dziewczęce piersi. Nagle drgnął. Podszedł do niej, przyciągnął ją do siebie i wpił się wargami w jej drobne, drżące usta. Ściągnął pośpiesznie sukienkę. Drżała cała, a jej ramiona pokryła nagle gęsia skórka. Poddawała się jednak jego pieścizom. Podniósł ją z ziemi i zaniósł do łóżka.

* * *

Szejla leżała z głową opartą w zagłębieniu pomiędzy jego barkiem a szyją. Jej oddech, rozgrzany i wciąż lekko przyśpieszony, przyjemnie pieścił jego skórę. Sewerus westchnął. Czuł się trochę za stary.

- Dlaczego i ludzie w pociągu musieli wszyscy zginąć? - zapytała nagle Szejla.

- Nie wiem - odparł po chwili wahania. - Bo życie to bardzo okrutna i niesprawiedliwa gra... Ktoś ciągle ginie. Żyją silniejsi...

- Czyli Pretorianie?

- Tak, oni są od nas silniejsi - powiedział, lecz zaraz zbeształ się w duchu za to pochopnie wypowiedziane „nas”.

- Kim oni właściwie są?

No tak, ona przecież musiała urodzić się już po wojnie. Niewiele wiedziała.

- Byli kiedyś ludźmi - rzekł. - Zwykłymi Homonulusami. Dawno temu Kainici żyli wśród Homonulusów w spokoju, górowali nad nimi jednak, gdyż potrafili poruszać się w Sferze. Dzięki temu byli w stanie manipulować ludźmi i nimi władać. Tak to trwało, dopóki nie pojawili się Przebudzeni. Podobnie jak pozostali Homonulusi nie posiadali własnej aury, ale odkryli istnienie Sfery. I Kainitów. Chcieli wyzwolić od nich ludzkość, więc próbowali zawładnąć Sferą. I choć nie posiadali aury, zaczęło im się to udawać - poprzez trening psychiczny i wynalazki techniczne. Szybko dorównali mocą Kainitom i powstało tak zwane Ekwilibrium - niedoszli wyzwoliciele podzielili się ze swoimi przeciwnikami władzą nad Homonulusami, którzy zresztą żyli w błogiej nieświadomości tego, co się dzieje. Ale to nie mogło trwać długo, bo Przebudzeni wciąż pracowali nad nowymi środkami walki. I w końcu udało im się stworzyć Pretorian - doskonałe maszyny do zabijania, od dziecka spędzające więcej czasu w Sferze niż w zwykłym świecie, umysłowo wypaczone potwory, które miały tylko jeden cel - pokonać Kainitów. Wtedy właśnie doszło do wojny... i Pretorianie wygrali.

Szejla powoli kiwnęła głową. Nic nie powiedziała i chwilę leżeli w ciszy. Potem Sewerus wyplątał się z jej objęć i usiadł na skraju łóżka.

- Ten mężczyzna, z którym byłeś w pociągu... to był twój ojciec? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała. - To był mój pan.

- Aha... - mruknął i zaczął się ubierać. Gdy skończył, wyszedł do kuchni.

Zagotował wodę w elektrycznym czajniku, zrobił sobie herbatę i zaczął ładować pistolety. Lepiej, żeby były gotowe. Nabił je prochem i srebrnymi kulami, zabezpieczył i odłożył. Wiele by dał za broń automatyczną, jakiej używali Homonulusi, ale wiedział, że w Sferze jest bardzo mało skuteczna. Podobnie jak większość ich technologii.

Dopił herbatę i zaczął się zastanawiać, gdzie by się położyć spać - do łóżka jakoś nie chciał wracać. Nagle doszedł jego uszu dziwny łopot, jakby żagli na wietrze, i coś stuknęło w dach. Chwycił pistolety i ostrożnie podszedł do wyjścia na górę. Nasłuchiwał chwilę, wstrzymując oddech, a gdy nic więcej się nie odezwało, ruszył po schodkach. Uchylił klapę i wyjrzał na zewnątrz. Na skale, która tworzyła sklepienie jaskini, stała jakaś postać - wysoka, zakuta w bojową zbroję zakrywającą wszystko łącznie z twarzą. Płyty pancerza nie były gładkie, lecz pokryte guzowatymi zgrubieniami, a za plecami przybysza rozpościerała się para mechanicznych skrzydeł.

- Serafin... - mruknął Sewerus, wychodząc na dach. - Co cię tu sprowadza?

Serafin był jednym z Woletorów, plemienia słynnych latających wojowników, podobnie jak Kainici i Przebudzeni świadomych istnienia Sfery, jednak nie pretendujących" co sprawowania nad nią kontroli. W czasie wojny byli początkowo

neutralni, jednak Eos, jeden z najsilniejszych spośród nich, wraz z sześcioma innymi, do których należał i Serafin, zbuntowali się, wybili dawną starszyznę i zmusili plemię do opowiedzenia się po stronie Przebudzonych.

- Miło cię znów widzieć, Sewerusie - odezwał się przybysz, nie odpowiadając na pytanie. - Tyle lat minęło, to cud, że jeszcze żyjesz. Sewerus puścił tę uwagę mimo uszu.

- Czego chcesz? - zapytał opryskliwie.

- Słyszałem o Twoim drobnym wypadku w Ettene... Czterech martwych Pretorian...

- Do rzeczy.

- Masz kłopoty, Sewerusie, poważne kłopoty. Oni już cię szukają.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Eos kazał nam cię odnaleźć. Nam, Woletorom. Niedługo będę musiał mu powiedzieć o tym miejscu. Wyczyta z mojej aury, że coś wiem. Przybyłem cię ostrzec. Mam wobec ciebie dług, więc go spłacam.

- Zbytek łaski, Serafinie - odburknął Sewerus.

Wojownik westchnął. Zabrzmiało to, jakby jakiś owad za-brzęczał w metalowej puszcze.

- Po co to zrobiłeś, Sewerusie? - zapytał. - Przecież nie-nawidzisz Kainitów, po co zabijałeś tych Pretorian?

- Lubię zabijać - Sewerus zaśmiał się, odsłaniając swoje groźnie wyglądające kły. - Mogłeś się domyślić, że prędzej czy później mi się to znowu przytrafi. Po tylu latach zabijania człowiek się przyzwyczaja, zaczyna mu to sprawiać radochę. Czy tobie to sprawia radochę? Co, Serafinie?

- Nie - odparł tamten. - Wiesz, że nie. Będziesz musiał uciekać. Przyniosłem ci coś - wydobył z przytroczonej do pasa

ładownicy dużego białego pędraka, który niósł na grzbiecie coś, jakby owadzie jajo.

- Pochłaniacz? - Sewerus wziął do ręki owada.

- Przez jakiś czas zamaskuje twoją aurę, będziesz wyglądał jak zwykły Przebudzony. Ale śpiesz się, bo nie pomoże ci to na długo. Lepiej, żebyś jak najszybciej wydostał się poza zasięg Sfery. I nie bierz ze sobą dziewczyny...

Sewerus spojrział na niego podejrzliwie, a jego oczy zwięziły się w szparki.

- Dlaczego?

- Zanadto rzuca się w oczy. Pretorianie nie lubią, jak ktoś im się wymyka z łapanki.

To powiedziawszy rozwinął skrzydła i wzbił się w powietrze.

- Żegnaj - powiedział jeszcze. - Dług uważam za spłacony. Następnym razem, gdy się spotkamy, będę musiał cię zabić.

- Chyba że ja wcześniej zabiję ciebie - mruknął Sewerus, patrząc na oddalającą się skrzydlatą postać.

★ * ★

Raczej wyczuł ich obecność, niż ich dostrzegł, kiedy wmieszali się w tłum. Pretorianie. Sześciu. Najwyraźniej kogoś szukali.

Wielu Kainitów uciekało w tych czasach na Wschód. Trzymali się wielkich skupisk ludzkich, podróżowali pociągami. Skupiska Homonulusów tłumiły ich aurę. Gdyby wyruszyli sami, ściśnięci w wystraszoną gromadkę byliby niczym wielki, jarzący się na czerwono neon odcisnięty w Sferze dla

tych, którzy ich prześladowali. Rozproszeni, skryci w ciżbie mieli trochę większe szanse na przeżycie. Trochę... większe...

Sewerus poczuł się tak, jakby bryłka lodu stanęła mu w żołądku, kiedy minął ich patrol, oskrzydający jakiegoś Kainitę i spychający go ku bocznej alejce. Zmusił się, żeby iść dalej w sposób całkiem obojętny, lecz Szejla stanęła jak wryta i spojrzała za oddalającym się oddziałkiem. Dowódca Pretorian zauważył to i zatrzymał swoich ludzi.

- Na co się gapicie? - szczerknął głosem syntezowanym przez maskę ochronną.

- Dobrze wykonujecie swoją robotę, żołnierzu. Wkrótce skończymy z tym ścierwem - odparł Sewerus, opierając ręce na ramionach Szejli i próbując ją powoli odciągnąć.

Pretorianin przyglądał im się przez chwilę, a Sewerus walczył ze sobą, żeby nie stracić zimnej krwi i nie sięgnąć po pistolety. Czuł, że jego mięśnie się napinają, a serce zaczyna mocniej bić.

- Podejź tu... - wycedził nieufnie dowódca. - Bracie.

Sewerus uśmiechnął się, modląc się w duchu, żeby wyglądało to autentycznie, i zbliżył się do nich. Złapany Kainita spojrział na niego błędnym wzrokiem, Nagle jego oczy rozszerzyły się, ryknął i szarpnął się panicznie. Dowódca Pretorian wyciągnął pistolet. Sewerus drgnął w tym momencie, ale ponownie stłumił w sobie odruch obronny. Wiedział, że gdyby chcieli go zaatakować, wysunęliby swoje ostrza. Pistoletów używali tylko w jednym celu...

- Czyń honory, bracie - powiedział żołnierz, podając mu broń.

Sewerus bez chwili wahania uniósł pistolet i wypalił do miotającego się Kainity. Czaszkę mężczyzny rozerwało na strzępy. Krew i mózg opryskały mundury dwóch Pretorian.

- Dobro zwycięży, bracie - mruknął dowódca i odebrał Sewerusowi pistolet. W jego głosie zabrzmiało coś, jakby ulga. Choć nie, oni nie znali strachu, nie mogli też znać uczucia ulgi.

- Musieliśmy sprawdzić twoją wierność. Szukamy niebezpiecznego zdrajcy.

- Rozumiem - odparł Sewerus. - Kontynuujcie swoją pracę.

I oddalił się, ciągnąc za sobą Szejłę. Gdy zajrzał do torby, w której niósł pochłaniacza, ujrzał, że ciało stworzonka nabrzmiało i spuchło, a jajowaty przedmiot, który niosło na grzbiecie, wyglądała, jakby miał zaraz eksplodować.

Udali się na stację kolei podziemnej i złapali pociąg do Alassanu, niewielkiej miejsciny daleko na północnym-wschodzie. Szejla wyglądała na nieco wstrząśniętą i nie odzywała się przez całą podróż.

- Zabiłeś już kiedyś Kainitę - stwierdziła bez cienia emocji, gdy dotarli na miejsce i ruszyli do małego hoteliku, w którym Sewerus postanowił się zatrzymać. - Ale w czasie wojny walczyłeś po ich stronie, prawda?

- Niezupełnie... Przez pierwsze trzy lata wojny służyłem Przebudzonym...

I zabiłem wielu Kainitów.

- Więc dlaczego zmieniłeś strony?

- Ci drudzy lepiej płacili - odparł sucho Sewerus, a jego twarz stężała. Jednak Szejla drążyła dalej.

- Nagle, ot tak, po prostu postanowiłeś zdradzić swoich mocodawców i iść do ich wrogów?

- Nikogo nie zdradziłem - wycedził przez zęby. - Nasz kontrakt uległ rozwiązaniu. Przez rok byłem bezrobotny, potem Kainici zaproponowali mi, żebym pracował dla nich. Nie widziałem powodu, żeby odmówić.

- Jesteś zbyt dobrym wojownikiem, żeby Przebudzeni tak po prostu cię puścili po wygaśnięciu kontraktu. Nie chcieli przedłużyć umowy?

- Ech... Dobrze, powiem ci, jak to było - odszczeknął rozżalony Sewerus.

- W czasie starcia koło Skarro nasz dowódca poprowadził nas prosto w zasadzkę. Straciłem tam wielu dobrych... - zawahał się na chwilę. - Wielu dobrych żołnierzy. Z życiem uszedłem tylko ja i... i ten nasz dowódca. Potem na jakiś czas miałem dość walki, więc odszedłem. Jasne?

- Tak - odparła cicho Szejla i niespodziewanie dotknęła jego dłoni. Sewerus szedł dalej, jakby niczego nie poczuł.

Gdy już się ulokowali w hotelowym pokoju, Szejla poszła wziąć prysznic, a on siadł i zaczął rozmyślać. Był zmęczony. Wiedział jednak, że musi wykrzesać z siebie resztki energii, jeśli chce... Jeśli chce czego? „Chyba tylko przeżyć... ” - pomyślał z goryczą. Niczego nie był w stanie osiągnąć, niczego wywalczyć. Przeżyć... „Jakże niewiele ze mnie zostało... ’. Potrząsnął głową, żeby odpędzić te myśli. Najchętniej by nie myślał o niczym. Trochę wbrew sobie poczuł, że chciałby, aby Szejla znów go zaciągnęła do łóżka. To by pomogło... Na chwilę. Ale kiedy wyszła spod prysznic, zawinięta w ręcznik, ze swymi czarnymi, lekko kręconymi włosami zebranymi wysoko czerwoną tasiemką, nawet na niego nie spojrzała, tylko od razu położyła się spać. Stłumił w sobie chęć położenia się obok niej, założył płaszcz i wyszedł. Noc była chłodna. Długie, postrzępione szare chmury zakryły księżyc i większość gwiazd. Od strony puszczy, która ciągnęła się tuż za miastem, oddzielona wysokim ogrodzeniem, dolatywały od czasu do czasu okrzyki jakichś nocnych ptaków.

W jednej z bocznych alejek odnalazł swoją skrytkę ze sprzętem zakamuflowaną pod dużym kontenerem na śmieci. Miał kilka tego rodzaju magazynków w różnych miastach. Wiedział, że może nadejść taki dzień, gdy będzie musiał się ukrywać lub uciekać, wówczas będzie mu potrzebna broń albo inny ekwipunek.

Wydobył ze skrytki dodatkowy komplet nabitych pistoletów skałkowych, zapasowe srebrne kule i proch oraz konwencjonalny karabinek bojowy - nieprzydatny w walce z Pretorianami, za to skuteczny przeciwko różnym bestiom żyjącym poza Sferą. Wyciągnął też złożony namiot, parę termokoców, błyszczka (niedużego owada, którego odwłok świecił jasno, gdy się go potarło) - zwykłe latarki oraz inny elektroniczny sprzęt przyciągały bestie - kilka żelaznych racji, kompas, mapy i parę innych przydatnych rzeczy. Na samym końcu wydobył trzy iniektory wypełnione gęstą, karmazynową substancją. Krew Homonulusów.

Zapakowawszy to wszystko do plecaka, zamknął skrytkę, zabezpieczył ją kodem i na powrót zamaskował.

W drodze powrotnej zaczął układać plan działania na następny dzień. Plany to dobra sprawa. I tak nigdy nie działają, ale przynajmniej zajmują umysł przed akcją. Dobrze robią na nerwy. Sewerus zawsze najbardziej bał się w przeddzień walki. Gdy zaczynało się strzelanie, było mu już wszystko jedno.

* * *

- Dochodzi dwunasta - mówił nerwowym szeptem, gdy szli następnego dnia w stronę posterunku Pretorian. - Czterech z nich zaraz pójdzie na obchód, zostanie dwóch. Z dwoma powinienem sobie poradzić. Albo przynajmniej odciągnąć ich uwagę. Ty musisz w tym czasie dobiec do ogrodzenia. Weź ten przecinak wibracyjny. Mocy starczy na jakieś trzydzieści se-

kund, ale to dość... To coś wchodzi nawet we wzmocnianą sta! jak w masło.

Jak się przedostaniesz na drugą stronę, to biegnij. Nie zastanawiaj się. Biegnij na północ. Kompas masz. Jeśli mi się uda, to sam cię odnajdę. Jeśli nie - po jednym dniu marszu skręć na zachód. Potem po trzech dniach wystrzel racę. Co godzinę jedną. Twoi ludzie powinni cię już odnaleźć, będziesz blisko ich terenów. Pretorianie się tam nie zapuszczają, w ogóle nie zapuszczają się w głąb puszczy. Tam czują się, jakby byli głusi i ślepi. Dobra... to tu... - przystanął za rogiem ostatniego domu na obrzeżu miasta. Przed nimi ciągnął się szeroki na kilkadziesiąt metrów pas pustej przestrzeni, dalej znajdowało się ogrodzenie i posterunek.

- Ruszaj dopiero jak będę w pół drogi do nich.

Wziął głęboki oddech. Pora zaczynać. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej trzy iniektory z krwią.

- Jeszcze jedno - rzekł, nie oglądając się na nią. - Jak do ciebie dołączę, mogę być osłabiony i nieco... niekontaktowy. Na noc lepiej mnie zwiąż. I zaknebluj. To bardzo ważne. Moje krzyki mogłyby nam ściągnąć coś na karki...

Szejla nic nie odpowiedziała, ale miał wrażenie, że kiwnęła głową. Nie zastanawiając się już dłużej, odwinął rękaw i przyłożył pierwszy iniektor do skóry. Lekkie ukłucie. Mrowienie przechodzące jakby po samych końcach nerwów. Potem zimno i nagle odzywa się gwałtowne kołatanie serca. Widzi, jak żyły jego chudego, umięśnionego ramienia zaczynają nabrzmiwać. Drugi iniektor. Serce przyśpiesza jeszcze bardziej. Myśli znikają z głowy. Trzeci iniektor. Serce szarpie się jak oszalałe, oddech staje się płytki i chrapliwy. Na chwilę

ciemnieje mu przed oczami. Wirują tylko plamki światła. Po-tem wszystko staje się nieprawdopodobnie jasne i wyraźne.

Rusza. Jest lekki i szybki. Kilka sekund i już jest przed strażnicą. Jeden z Pretorian staje mu na drodze. Pistolety w dłoniach. Huk. Kula uderza w ścianę posterunku. Druga roz-rywa ramię Pretorianina. Pojawia się następny. Kolejna para pistoletów. Huk. Strzał zrywa głowę z ramion rannego Preto-rianina. Drugi unika zwinnie. Wysuwa ostrza. Sewerus łapie sztylety. Jest szybszy. Dwoma błyskawicznymi cięciami pod-rzyna tamtemu gardło.

Pozostałych Pretorian zaalarmowały krzyki, więc biegiem zawrócili z obchodu. Jednak Sewerus się nie oglądał. Ruszył w głąb lasu. Odnaleźć Szejłę - tylko jedna myśl jarzyła mu się w głowie. Świat wokół niego był rozmyty i rozmazany, ale czuł wyraźnie jej zapach. Przedarła się już przez ogrodzenie. Mu-siała być paręset metrów przed nim. Nawet nie zauwa-żył, kiedy pokonał tą odległość. Wyprzedził ją i stanął naprze-ciw.

Na jego widok Szejła zatrzymała się gwałtownie i aż krzyknęła. Twarz Sewerusa była biała jak papier i lśniąca od potu. W błyszczących, przekrwionych oczach o nienaturalnie powiększonych źrenicach pojawiły się ciemne smugi. Pod jego skórą drżały wyraźnie mięśnie, co sprawiało, że wykrzy-wiał się w dziwacznych i strasznych grymasach.

Wpatrywał się w nią przez kilkanaście sekund, po czym obrócił się nagle i ruszył dalej biegiem. Podążyła za nim, jed-nak już po kilkunastu minutach zaczęto jej brakować sił. Przy-stawał co jakiś czas i czekał na nią, jednak nie dawał jej odpoc-ząć. Dopiero po jakichś dwóch czy trzech godzinach sta-nął, równie niespodziewanie, jak ruszył - i upadł.

* * *

Obudził się z długiej, ciemnej nocy pełnej krzyków i nie-ludzkiego wycia. Potrząsnął głową, ale resztki koszmarnych obrazów zdawały się trzymać jego powiek. Zadrżał i w tym momencie poczuł, że coś go dotknęło. To było nieduże, chłodne w zetknięciu z jego rozgrzaną skórą, kojące. Cofnęło się na chwilę, lecz potem znów go musnęło. W czterech punktach na swej piersi poczuł przyjemne mrowienie. Wyciągnął rękę, dotknął tego i rozpoznał dłoń. Jego długie palce ją objęły-drobną i kruchą. Przycisnął ją mocno do siebie. Dopiero wtedy zaczęły do niego wracać wspomnienia. Znał tę skórę, czuł już te palce, pieszczące jego ciało. Znał zapach, który unosił się w powietrzu. Szejla...

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą jej okrągłą, dziewczęcą buzię. Jej oczy były nieco podpuchnięte i zaczerwienione, jakby od długiego płaczu, ale się uśmiechnęła. Spróbował się do niej odezwać, ale coś mu w tym przeszkadzało. Na twarzy dziewczyny pojawił się na chwilę wyraz zmieszania, gdy sięgnęła do jego ust i wydobyła z nich knebel.

- Długo byłem nieprzytomny? - zapytał.
- Kilka godzin... Co to było? Go się z tobą stało?

Sewerus uniósł się na łokciu i rozejrzał. Znajdowali się oboje w namiocie. Na ścianie wisiał błyszczek, który swoim mętnym światłem rozpraszał nieco mrok.

- Nazywają to Szałem Czystej Krwi. Używaliśmy tego w czasie wojny... Nasz organizm tak reaguje na zetknięcie z krwią Homonulusów. Budzi się w nas potwór. Wielu żołnierzy Kainitów wprowadzało się w ten sposób w bojowy szal. Ale to niebezpieczne — za duża dawka może zabić. A każda, nawet niewielka, doprowadzić do obłądu. Dawno temu... jeszcze przed wojną... korzystanie z krwi Homonulusów było zabro-

nione, zanieczyszczanie czystej krwi Kainitów szlamem uznawano za haniebne - jego usta wygiął sardoniczny uśmiech. — Wielcy synowie Kaina, tak odlegli od niskich stworzeń, którymi władali, tak bojący się potworów, które w nich drzemią. Zresztą... kiedy zaczęło się zabijanie, było im już wszystko jedno. Tak, mała, wszyscy jesteśmy w głębi potworami, potrzeba tylko jakiegoś bodźca, żeby to z nas wylazło. Szejla spuściła wzrok, ale mógłby przysiąc, że dostrzegł w jej oku błysk.

- Cemu nienawidzisz Kainitów? - zapytała cicho.

Sewerus roześmiał się nieprzyjemnie.

- Bo zawsze byli aroganckimi durniami - odparł. - Gardzili ludźmi nieczystej krwi.

- Mówisz, jakby to i ciebie samego dotknęło.

- Tak... - przyznał niechętnie Sewerus. - Moja matka była Kainitką, ale mój ojciec - zaledwie Oświeconym. Choć ty pewnie nie wiesz, kim byli Oświeceni. Odkąd Kainici przegrali wojnę, już takich nie ma.

- Nie wiem... Powiedz mi.

- To byli Homonulusi, którzy tak jak Przebudzeni zyskali świadomość Sfery, ale nie przez własne poznanie, tylko poprzez związki z Kainitami. Moja matka poślubiła takiego człowieka i w dodatku miała z nim syna - mnie.

Sewerus zamilkł, ale Szejla wpatrywała się w niego wyczekująco tymi swoimi smutnymi oczami.

- To rzadka okoliczność - podjął po chwili, uśmiechając się krzywo. - Z reguły dzieci z takich związków rodzą się dzikie i wypaczone, Szał Czystej Krwi dotyka ich jeszcze w łonie matki. Ale czasem się zdarza, jak w moim wypadku, że dziecko rodzi się i może normalnie się rozwijać.

- To musiało być ciężkie, prawda? Życ jako odmieniec?

- Kainicy bali się ludzi takich jak ja czy mój ojciec. Masz rację, moje dzieciństwo nie należało do szczególnie przyjemnych. Pożycie moich rodziców było zawile i nieszczęśliwe.

- Ale czemu... czemu przyłączyłeś się do nich? To jest do Kainitów...

- Kainicy czy Przebudzeni - Sewerus pokręcił głową. - Wszyscy umieramy tak samo. Przestało się liczyć, kogo zabijam. Chcieli mnie, bo wiedzieli, że jestem skuteczny, pomimo mojego nieczystego pochodzenia, i byli gotowi dobrze zapłacić. Nagle stali się bardzo tolerancyjni. - Zawahał się i jego wąskie usta ponownie rozciągnął nieprzyjemny uśmiech.

- Ale, gdy wszystko zaczęło się sypać, w szale ucieczki i tak porzucili każdego, kto był gorzej urodzony, nawet nie mieszkańców. Swoich własnych braci zostawili na śmierć... - urwał na chwilę, lecz zaraz podjął. - Ja jednak nie byłem już taki głupi. Gdy padły ośrodki dowodzenia, nie próbowałem, jak niektórzy młodzi idealisci, zbierać resztek niedobitków, aby polec w honorowej walce, broniąc kwilących jak dzieci ludzi szlachetniejszej krwi, którzy mogli salwować się ucieczką. Wojna była skończona, ważne było tylko to, aby przeżyć - korzystając ze wszelkich dostępnych możliwości. Zresztą, na pewno sama dobrze wiesz, jacy są ci Kainicy. A może twój pan był dobry i łagodny, z wyrozumiałością traktował swe nisko urodzone sługi?

Szejla pokręciła głową. Na jej policzkach malowały się ceglaste wypieki. Wyglądała na zdenerwowaną. Dopiero teraz doszło do Sewerusa, co musiała przeżyć, gdy był nieprzytomny. W mroku zaszereżonej puszczy musiała zaciągnąć jego bezwładne ciało w bezpieczne miejsce i rozstawić tam namiot. A potem słuchać jago stłumionych krzyków i obserwować napady nieprzytomnego w amoku, gdy Szał owładnął jego

uśpionym umysłem. Widział nieraz żołnierzy, z których powoli schodziły skutki użycia krwi Homonulusów. Nie był to przyjemny widok.

- Chodź - rzekł miękko i wyciągnął ku niej rękę.

Posłusznie ułożyła się obok niego i pozwoliła się objąć, wtulając twarz w fałdy termokoca, którym był okryty. Biernie poddała się jego pieszczotom, a potem zaczęli się kochać. A gdy skończyli, rozpląkała się, ale w tym płaczu rozbrzmiała ulga. Usnęła spokojnie.

* * *

Rwędy harędy

Bupie bajędy

Sewerus błyskawicznie chwycił za karabin, gdy słowa absurdalnej piosenki ponownie doszły ich uszu.

Rwimbam chłęćkę

Piore palęćkę.

A wotam schłęćkana

Skrobnie malowana.

Gdy przebrzmiał ostatni wers - wyrzeczany dziwnym, jakby wydostającym się przez poszarpane nozdrza głosem - rozległ się pełen satysfakcji gulgot, potem odgłos przypominający urwany szloch, aż w końcu zapadła cisza.

Ktokolwiek wyśpiewywał te idiotyzmy, szedł za nimi już od dobrych paru godzin i nie pomagały żadne sztuczki Sewerusa mylące ślady - ten ktoś nie chciał się odzepić. Sam jednak pozostawał niewidoczny, a gdy parę razy spróbowali przedrzeć się przez zarośla w stronę, z której dochodził głos, nie odnajdywali żadnych śladów. Trudno zresztą było cokolwiek wytropić na tym podmokłym bagnisku, na którym się znaleźli. Brnęli zatem dalej pośród kałuż i rozlewisk, od czasu do czasu nękani nieprzyjemną obecnością intruza.

Rwędy harędy

Bupie bajędy

Harrrr...

To byłoby może i śmieszne - uważał Sewerus - gdyby nie znajdowali się daleko od Sfery, w obcej puszczy, i gdyby nie dziwne, chrapliwe brzmienie śpiewającego głosu. Jeszcze te płaczące lub mlaszczące dźwięki, wydawane przez stwora od czasu do czasu...

Szejla pisnęła nagle, gdy jej noga ześliznęła się z suchego gruntu w głęboką kałużę. Sewerus zareagował błyskawicznie, szykując się do walki.

- Nie krzycz - syknął, widząc, że nic się nie stało. - Ktokolwiek za nami łązi, lepiej nie przyciągać jego uwagi.

Szorstkim ruchem pomógł jej wyciągnąć nogę z wody. Rozejrzał się. Zmarszczył nos, czując dolatującą go ponownie falę bagiennego smrodu. Im dalej się zagłębiali, tym bardziej cuchnęło i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że oprócz gnijących roślin czuje też coś innego - rozkładające się mięso.

- Moje legowisko, bamo - odezwał się nagle śledzący ich głos, gdzieś całkiem blisko. - Harhh... gharhhh... moje, moja, bamo... boja bamo...

Sewerus uniósł broń i zastygł w bezruchu.

- Bamo, bamo... - bełkotał dalej głos. Nagle zatkał, zarzęził i znowu zapadła cisza.

Po paru minutach nerwowego nasłuchiwania ruszyli dalej. W lesie było bardzo niewiele światła. Gęste korony wielkich drzew o gąbczastej korze pokrytej guzami prawie nie przepuszczały słońca, było więc też chłodno. Po południu półmrok zgęstniał jeszcze bardziej i zrobiło się tak zimno, że para wydostawała się z ust.

Kierowali się teraz na zachód, z powrotem w stronę Sfery, do jej bezpieczniejszej części, zamieszkałej przez Kainickich uchodźców.

Im ciemniej się robiło, tym bardziej Sewerus był zaniepokojony obecnością intruza. Długo się już co prawda nie odzywał, ale od czasu do czasu słyhać było plusk i kroki mlaszczące w błocie. Smród stał się już teraz nie do zniesienia, wkrótce też dostrzegł jego źródło: gdzieś tam, głębiej w lesie, wisiały kawałki nadpsutego mięsa nabite na sterczące z ziemi badyły. Kimkolwiek lub czymkolwiek było śledzące ich stworzenie, wątpił, aby było przyjaźnie nastawione.

- Czy nie możemy zatrzymać się i odpocząć? - zapytała Szejla, gdy zbliżał się już wieczór.

- Nie, tu nie jest bezpiecznie - odparł krótko Sewerus, ale objął ją ramieniem. Ona nie słyszała tego, co wyłapywały jego wyczulone zmysły wojownika. Coś zataczało wokół nich kręgi. Poruszało się w wodzie, tylko czasem wyskakując na ląd. Było już niedaleko. Skradało się niemal bezszelestnie. Sewerus mocniej zacisnął dłoń na kolbie karabinu szturmowego.

Nagle to coś stanęło. Dokładnie przed nimi. Zaczęło węszyć. Szejla, która usłyszała ten donośny, chrapliwy oddech, zatrzymała się gwałtownie, tłumiąc okrzyk.

- Kim są...? Kim sssą...? - rozległo się.

Sewerus popchnął Szejłę za siebie.

- Pokaż się! - rozkazał.

Stwór zakręcił się, zaszlochał.

- Dak, dak, bogaze, bogaze - wybełkotał i nagle wychylił się z bagiennego szlamu. Był niewysoki i przeraźliwie chudy. Jego skóra wydawała się cienka i śliska, wyraźnie malowały się pod nią zebra. Jedną rękę miał długą, sięgającą niemal do

ziemi, obarczoną olbrzymią dłonią, w której coś niósł, drugą zaś nienaturalnie krótką. Nie miał szyi, wprost z jego barków wyrastało coś niby gadzia paszcza, na końcu której znajdowała się właściwa głowa - niewielka i pomarszczona, jakby wypaczona główka dziecka umieszczona w jakimś dziwacznym łożysku na końcu krokodylego łba.

- Idź precz! - wykrzyknął Sewerus, gdy odzyskał już mowę po chwili przerażenia.

- Nie, nie... - zaszlochał stwór. - Jest początkiem i końcem. Imię jego Głód. Zew jego... zew jego... - urwał i wydobył z siebie przeraźliwy odgłos, będący czymś pomiędzy sykiem węża a wyciem wilka. - Da... da... - wybełkotał i skoczył w ich stronę.

Sewerus nie namyślał się długo. Nacisnął spust. Stwór potknął się, zaskomlał i padł. Naboje nie wyrządziły mu dużej krzywdy. Ledwie rozcięły zaskakująco twardą skórę. Gdy trafiła go druga seria, zaczął się wić. Zawodząc przeraźliwie, dał nura w pobliskie rozlewisko.

Nie był to jednak jego koniec. Gdy szli dalej w gęstniejącym już powoli mroku nocy, on wciąż szedł niedaleko nich. Od czasu do czasu słyszeli, jak szlocha.

- Skrzywdzili, skrzywdzili, bamo... skrzywdzili... bamo, bamo...

Koło północy Szejla była już tak wycieńczona, że ledwie powłóczyła nogami, zatem Sewerus zadecydował, że pozwoli jej odpocząć. Znaleźli kawałek suchego gruntu, gdzie posadził ją pod drzewem, owinał w termokoce i pozwolił się chwilę zdrzemnąć. Sam stanął na warcie tuż koło niej i wsłuchiwał się w nocne odgłosy.

Od czasu do czasu dochodził go głos owego dziwnego stworzenia, które ich śledziło. Szlochało dosyć głośno i sycza-

ło. Najwyraźniej próbowało się zająć swoimi ranami. Potem ucichło niespodziewanie i nagle odezwało się tuż koło jego głowy.

- Jest początkiem i końcem - syknęło.

Obrócił się gwałtownie. Palec zadrżał mu na spuście. Jednak nie strzelił. Główka na końcu gadziego pyska wpatrywała się w niego małymi, czarnymi oczkami.

- Imię jego Głód, samotność jego kara - oświadczył stwór. - Przekłęte... przekłęte... - wychrypiał, lecz zaraz jakby przeraził się swoich słów. Skulił się i zaskomlał. - Bamo... bamo... sam... nie... sam...

Sewerus wpatrywał się w niego z mieszaniną fascynacji i odrazy. Stwór uniósł swoją wielką dłoń, w której trzymał coś na kształt kawałka mięsa zawiniętego w szmatę, a ruch ten był taki, jakby stwór chciał nim wszystko wyjaśnić.

- Odejdź - rzekł cicho Sewerus.

- Dak, dag... Dak, bamo, dak... pójdzie... pójdzie - zaskomlała zdeformowana istota tak głośno, że Szejla obudziła się i krzyknęła głośno, widząc przerażające oblicze. Stwór odskoczył szybko w tył. - Jego imię Głód! - zaryczał nagle i rzucił się znów do przodu.

Sewerus zdzielił go kolbą. Zderzyli się ze sobą. Ostre pazury krótszej ręki poczwary rozcięły skórę na nodze mężczyzny. Ignorując ból, Sewerus natarł całą swoją masą, przygniatając ohydnie cuchnące cielsko do ziemi. Gadzia paszcza kłapnęła tuż koło jego ucha. Oplotły go niezwykle silne i zwinne kończyny. Wnet sam znalazł się przygwożdżony do ziemi. Paszcza uniosła się nad nim. Szarpnął się desperacko i zanim padł cios, uwolnił rękę z karabinkiem. Wypalił prosto w rozwartą gardziel. Krew i kawałki mięsa ochlapały jego twarz. Stwór padł martwy, zalewając go posoką.

* * *

Pojawili się tak nagle, że nie było mowy o obronie. Działali szybko i precyzyjnie, jakby z góry wiedzieli, gdzie znajdują się ci, których szukają. Spadli z nieba z łopotem skrzydeł i otoczyli ich. Sewerus próbował osłonić Szejłę, ale odcięli ją od niego. Ona się nie broniła. Wyglądała, jakby dobrze wiedziała, co się wydarzy. Stała za murem otaczających go Woletorów, z opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Wtedy ogarnął go zimny spokój.

„Nie bierz ze sobą dziewczyny” - tak powiedział Serafin. Teraz już rozumiał jego słowa. Nie wzbudziło jego podejrzeń, gdy Szejła tego dnia objęła prowadzenie, gdy odnalazła tę polanę i uparła się, by na niej odpocząć. Musieli ją doskonale przygotować, zapoznać z topografią terenu. Cały czas pchała go ku temu miejscu, nawet gdy wydawało się mu, że to on prowadzi.

Zmierzył wzrokiem otaczających go Woletorów. Było ich sześciu. Wśród nich rozpoznał Serafina. Pozostali mieli charakterystyczne znaki na zbrojach - znaki świty Eosa. Po chwili pojawił się siódmy wojownik, mniejszy i bardziej przysadzisty niż pozostali, bardziej niepozorny, bardziej niebezpieczny. Jako jedyny nie miał na głowie hełmu. Gąszcz białych włosów otaczał jego dziwną, nieludzką twarz o olbrzymich oczach i drobnych, zaciętych ustach.

- Proszę, proszę - powiedział tak cicho, że jego głos ledwie wybił się ponad szum drzew i odgłosy puszczy. - Witaj Sewerucie.

- Widzę, że nic się nie zmieniłeś, Eosie - warknął Sewerus. - Wciąż chowasz się za plecami swoich siepaczy, wciąż lu-

bisz w walce ten stosunek: siedem do jednego. Czyż nie tak zarzynałeś swoich przeciwników ze starszyny? Jednego po drugim?

- Och, Sewerusie, Sewerusie - Eos zniżył głos niemalże do szeptu. Na jego twarzy pojawił się bardzo autentycznie wyglądający wyraz smutku. - Czy naprawdę tak nisko mnie cenisz? Myślisz, że zapomniałem o kodeksie wojownika?

- Chyba kodeksie rzeźnika! - wciął się Sewerus.

- Ranisz mnie, doprawdy. Jesteś taki niesprawiedliwy.

- Każ swoim ludziom schować broń i się cofnąć, to może zmienię zdanie.

Ku jego najwyższemu zdziwieniu Eos kiwnął głową swoim Woletorom, a oni zrobili krok do tyłu i pochowali miecze.

- Tak lepiej?

- Czego chcesz? - Sewerus wpatrywał się w niego w każdej chwili gotowy do ataku.

- Chcę ci pokazać, że honor nie jest dla mnie tylko pustym słowem. Chcę ci dać równe szanse obrony - Eos uśmiechnął się jak dobry wujek, a potem zwrócił głowę do jednego ze swoich wojowników. - Serafinie! - jego głos nagle zrobił się surowy. - Zdejmij zbroję... Dam ci równe szanse - ciągnął zwracając się z powrotem ku Sewerusowi. - Jeden na jednego, z równym uzbrojeniem.

To powiedziawszy rzucił mu swój miecz.

Serafin wyglądał na zmieszanego i zaniepokojonego, ale wykonał polecenie. Powoli zdejmował kolejne części zbroi. Najpierw pokazała się jego głowa, okolona włosami równie jasnymi jak włosy Eosa, o twarzy równie nieludzkiej z tymi olbrzymimi oczami. Potem odstąpił szczupły tors, opleciony mięśniami przypominającymi napięte postronki. Jego łopatki były mocno wysklepione, aby mogły podtrzymywać mecha-

niczne skrzydła. Na końcu ukazały się długie, muskularne ramiona i nogi. Gdy był już niemal nagi, odziany tylko w przepaskę biodrową, chwycił miecz i lekko skłonił się przeciwnikowi.

Sewerus cały czas pilnie śledził te przygotowania i dopiero, kiedy zostały ukończone, również chwycił miecz i stanął naprzeciw Serafina. Spojrzał mu w oczy. Nie było w nich strachu, raczej jakiś żal czy smutek.

- Starzy przyjaciele znowu razem, co? - zadrwił Sewerus.

- Mówiłem ci... - odparł cichym, zgaszonym głosem Serafin. - Tym razem będę musiał cię zabić...

- Dobrze słyszeć, że wciąż zachowałeś swój dawny optymizm. Zupełnie jak pod Skarro, co? Zwycięstwo jest pewne, nie ma się czego bać.

Kątem oka dostrzegł, że Eos się uśmiecha.

- Nie - syknął Serafin, a w jego oczach nagle zapłonął gniew. - Nie tym razem. Tym razem przeżyje tylko jeden. Żadnych długów.

- Och, doprawdy? - Sewerus skrzywił się z niesmakiem, uniósł miecz i stanął w pozycji szermierczej. - To nie podłożysz mi się pod ostrze? Nie poświęcisz życia w imię naszej przyjaźni? Zastanów się dobrze, Serafinie, to by było takie piękne. Takie... wielkie! Siła przyjaźni przedłożona ponad głupią butę! Ładne, co nie? Godne pieśni!

- Jesteś zwierzęciem, Sewerusie. - wycedził przez zęby Serafin.

- Tak... jestem - Sewerus wyszczerzył kły w groźnym uśmiechu, lecz w tym momencie ponownie dostrzegł tę dziwną radość na twarzy Eosa. Przywódca Woletorów coś za bardzo był z siebie zadowolony.

- Lepiej by było, gdybyś zginął tam, pod Skarro. Lepiej by było, gdybyśmy obaj tam zginęli, a nie trwali w tym brudzie, w którym teraz żyjemy - powiedział Serafin.

- Jeśli chcesz, zaraz ukróczę ci mękę - odparł Sewerus i ruszył ku niemu. Ich pierwsza wymiana ciosów była bardzo szybka. Ostrza szczęknęły kilka razy, sypnęły iskrami. Zawierowali jak w jakimś zabójczym tańcu. Badali się nawzajem. Potem odskoczyli od siebie, dysząc. Starli się ponownie, każdy wykonał serię cięć, parad i fint. Jednak Serafin się pośpieszył, zbyt szybko chciał zadać rozstrzygający cios. Z ostatniego zwodu wyszedł do szerokiego cięcia na szyję. Sewerus przejrzał ten ruch, skrócił gwałtownie dystans. Klinga musnęła jego szyję, ale nie przejął się tym. Wykorzystał lukę w obronie, ciął nisko i płasko. Odskoczyli od siebie ponownie.

Walka już była skończona - Sewerus to wiedział. Serafin z głębokim rozcięciem na udzie nie miał szans wykonać żadnego sprawnego uniku, uszkodzony mięsień skutecznie zmniejszył jego możliwość manewru. Zaatakował ponownie. Woletor przerzucił cały ciężar ciała na zdrową nogę, przyjął pozycję defensywną i z determinacją parował ciosy, ale również świadom był, że to koniec.

Po kilkunastu próbnym rozrzuconych cięciach Sewerus natarł gwałtownie, jednym ciosem rozorał pierś przeciwnika, drugim ugodził go śmiertelnie w szyję. Serafin upadł. Rzęził przez chwilę. Z jego ust dobywała się ślina zmieszana z krwią. Trzęsąc się i ryjąc ziemię rękami i nogami, odwrócił się na brzuch. Tak skończył - z ustami pełnymi piachu.

Sewerus patrzył chwilę na ciało, zastanawiając się, co właściwie czuje. Potem uniósł głowę i ujrzał rozanielone oblicze Eosa.

- Wspaniale - szepnął przywódca Woletorów. - Co za technika, jaka pewność...

Sewerus poczuł się nagle tak, jakby go ktoś zdzielił obuchem po głowie. Przez jego umysł przemknęła myśl, żeby zarznąć tego skurwysyna, zarznąć go tu i teraz. Jednak tego nie zrobił. Miecz wysunął mu się z dłoni.

- A teraz bierzcie go - rozkazał Eos.

Woletorzy błyskawicznie sięgnęli po broń. Sewerus usłyszał huk i nagle ogarnęła go ciemność.

* * *

- A już miałeś nadzieję, że zginąłeś, co?

Dźwięk głosu Eosa był pierwszą rzeczą, jaką usłyszał po przebudzeniu. Zaklął w duchu.

- Jesteś taki naiwny, Sewerusie, taki naiwny...

Czuł się fatalnie. Mięśnie jego rąk i nóg były napięte i obolałe, piekło go prawe oko, bolała głowa i coś zdawało się go uciskać w okolicy mostka, jakby miał tam jakąś kulę.

- Jak się czujesz ze swoimi nowymi symbiontami? Przyjemnie znowu być maszyną do zabijania, co? Choć zaraz... ty nigdy nie przestałeś nią być.

Z trudem uniósł głowę. Znajdował się w pojemniku regeneracyjnym. Ciepły żel opływał całe jego ciało. Głos słyszał poprzez nałożone na uszy odbiorniki. Za szkłem zbiornika dostrzegł niewyraźne sylwetki. Przycisnął twarz do przezroczystej ścianki i ze zdziwieniem stwierdził, że rozpoznaje niską, baryłkowatą postać Kitamury. Obok niego stał Eos, dalej jacyś inni ludzie. A wśród nich... Ona też tam była! Szejla...

Szarpnął się wściekle, ogarnięty nagłym uczuciem przykrego zrozumienia.

- Och, nie miotaj się tak - odezwał się ponownie Eos. - Czyżbyś się poczuł zdradzony? Tak, tak, przykro mi, ale to był jedyny sposób, żeby cię tu zwabić. Pan Kitamura okazał się niezwykle przydatny. Miał niezłą intuicję co do ciebie. A ta dziewczyna... Czyż nie była wspaniała? Patrząc na nią, sam jestem niemal przekonany, że jest w tobie rozkochana.

Szejla opuściła głowę. Była zmieszana. Sewerus spojrział na nią z nienawiścią, na co ona odpowiedziała tym swoim wzrokiem zbitego szczeniaczka.

- No, no, nie wściekaj się Sewerusie. Rozumiem, że taka nagła zmiana sytuacji mogła cię nieco wytrącić z równowagi, ale wkrótce zaczniesz doceniać nowe aspekty swojego położenia - Eos podszedł do zbiornika i jego twarz nagle się zmieniła. Zniknął z niej drwiący uśmiech. - Czy naprawdę sądziłeś, że zniszczyłbym taką cenną broń, jak ty? - zapytał poważniejąc.

- Nadchodzą nowe czasy, Sewerusie, nowa wojna. Przebudzeni w swoich badaniach Sfery zapędzili się za daleko, odkryli za wiele... Za wiele na temat tego, co kryje się poza nią. Ta nowa wojna nie będzie w niczym podobna do tej, którą pamiętamy. Możesz mnie nienawidzić, nie przeszkadza mi to. Jesteś mi potrzebny i wkrótce zdasz sobie sprawę, że ja jestem potrzebny tobie. Po to cała ta maskarada. Musiałem cię uzbroić tak, żebyś był gotów walczyć z tym, co nadejdzie, żebyś był gotów zabijać Pretorian, Kainitów, Woletorów, dawnych przyjaciół, nowych wrogów. Musiałem ci zwrócić całą twoją nienawiść i cały twój ból, żebyś był tak silny jak kiedyś, może nawet silniejszy.

- Po co? - zapytał, bezgłośnie poruszając ustami. Eos zrozumiał.

- A jak sądzisz? Możemy mieć już tylko jeden cel. Przeżyć...

KONIEC

Paweł Lach

ROLF, DIABEŁ i CZARNA WIEŻA

Przed laty, zapewne przypadkiem, w niewielkim Castelnan zjawił się Piotr Durell, słynny kapelmistrz i kompozytor, nazywany przez wszystkich Mistrzem. Tytuł ten, jak najbardziej zasłużony, przyłgnał na dobre do Durella już w młodości latych podczas jednej z jego licznych podróży. W tym czasie kilkunastoletni kompozytor z powodzeniem grywał na monarszych dworach i zapełniał bez trudu wielkie sale koncertowe w dalekich krajach, których nazwy kojarzyły się ludziom nieobytym z tajemniczymi zaklęciami. Wydawało się wtedy, że Durell stoi u wrót wielkiej kariery, jaka dana jest tylko nielicznym.

Ale mistrz Piotr, mając zaledwie dwadzieścia dwa lata, niespodziewanie dla wszystkich zrezygnował z podróży, zaszczytów i wystawnego życia i poświęcił się całkowicie komponowaniu na chwałę Pana. Swój niemały majątek przeznaczył na kilka przytułków, a sam w poszukiwaniu natchnienia zaczął przemierzać kraj, głównie jego najdziksze zakątki. Tym, którzy dziwili się takiej decyzji, tłumaczył z uśmiechem, że

wszelkie blaski sławy oddalają jedynie od Boga i że należy je odrzucić dla dobra własnej duszy.

Mówiło się dawniej, a to wydaje się najbardziej prawdopodobne, że któregoś dnia mistrz Piotr, ograbiony podczas podróży przez bandę rabusiów, zabłądził w górach bez większej nadziei na przeżycie. Jednak ujrzawszy łunę świateł, brnął wytrwale przez zalegające wciąż w dolinach śniegi. W ten właśnie sposób miał znaleźć się w końcu w gościnnych murach Castenvan, gdzie pomógł mu jeden z dobrych chrześcijan, jakich nie brakowało wówczas na świecie.

Kto by wtedy przypuszczał, że zziębnięty i obszarpany wędrowiec, który stracił wierzchowca i dobytek, był jednym z najwybitniejszych, którzy trafili kiedykolwiek do biednego hrabstwa, obejmującego nieprzystępne górskie doliny.

Z końcem marca pogodzony ze swym losem Durell zamieszkał w urokliwym Castenvan na stałe. Za pożyczone od poznanych w mieście ludzi pieniądze wynajął niewielki pokój, w jednej z rozsypujących się kamienic, gdzieś na obrzeżach miasta. Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, kim jest przybysz, choć podejrzewano, że może to być ktoś znaczący, bo potrafił się wystawiać dwornie i wiele wiedział o świecie.

Wszystko wyszło na jaw, kiedy mistrz Piotr przyjął w kościele pod wezwaniem Świętego Marka posadę organisty. Ojciec Anzelm, tamtejszy proboszcz, który jako znawca muzyki słyszał oczywiście o Durellu i jego umiejętnościach, domyślił się, z kim ma do czynienia i nie potrafił z początku pojąć, dlaczego człowiek posiadający tak wielki talent postanawia go marnować w niewielkim miasteczku leżącym daleko od uczęszczanych szlaków.

Ale to właśnie nieskalana przyroda okolicy i spokój prowincjonalnego życia wlały w serce Durella nowe siły do pracy

i natchnienie, którego wszędzie poszukiwał. Gdy tylko kompozytor ujrzał wewnątrz gotyckiego kościoła, pełne światła oraz nabożnej atmosfery, i zagrał na wielkich i szlachetnie brzmiących organach ufundowanych przed wiekiem przez zamożnego kupca, wiedział już, że w tym miejscu stworzy swoje największe dzieło.

I tak przez rok ciężkiej, ale i pełnej radości pracy, dzień w dzień, kiedy tylko nie przeszkadzały mu w tym obowiązki, mistrz Piotr komponował cudowne msze i pieśni, które zachwycały zarówno znawców, jak i laików. I nic w tym dziwnego, bo dzieła i gra Durella, wyszukane, ale zarazem pełne naturalności i wdzięku, dodawały ludziom otuchy, przyciągając do kościoła prawdziwe tłumy.

Najbardziej cieszył się z takiego obrotu spraw sam proboszcz, który zwykł powtarzać, że przyjazd Durella był najlepszą rzeczą, jaka spotkała Castenvan. Parafianie natomiast byli przekonani, że nowy organista będzie radował ich swoją grą przez długie lata.

Jednak mistrz Piotr zmarł w młodym wieku i to nagle. Najważniejsze było jednak to, że jego śmierć poprzedziło zdarzenie, które choć nigdy nie stało się tematem plotek, to zaważyło na przyszłych losach Jana Bohlio, wielkiego grajka z Castenvan i następcy Durella, który miał z pomocą swego talentu pokonać samego diabła.

* * *

Wydarzyło się to kilka lat po przybyciu Durella. Pewnego kwietniowego dnia, kiedy świat rozkwitał w ciepłe rodzącej się właśnie wiosny i do wnętrza pustego kościoła wlewała się przez witraże jasna poświata poranka, mistrz Piotr klęczał jak

zwykle w ławce pod amboną i modlił się w ciszy. W pewnym momencie niespodziewanie otworzył oczy i złapał się za serce, czując że wypełnia je jakaś nienazwana tęsknota. Wiedziony wewnętrznym głosem przeżegnał się nerwowo i pobiegł do organów, a zasiadając do instrumentu, ujrzał niesamowite światło, bardzo jaskrawe, ale nierażące w oczy. Oszołomiony jasnością niecierpliwie położył palce na klawiszach. Kiedy zagrał pierwsze nuty układającej mu się w głowie melodii, zobaczył, że temu koncertowi przysłuchują się dwa anioły, które unosiły się pod jednym z łuków sklepienia.

Nie wierząc własnym oczom, Durell grał bez ustanku i jednocześnie modlił się żarliwie. Przez krótką chwilę był pewny, że znalazł się w raju i pełen uniesienia powtarzał na organach zasłyszaną tam melodię, czując, że jest ona czymś wiecznym i niepowtarzalnym, czymś, co można usłyszeć jedynie pod drugiej stronie życia.

Dopiero wieczorem kompozytor opowiedział o tym koncercie ojcu Anzelmowi i podczas rozmowy zaklinał się, że wyraźnie słyszał, jak anioły swoim śpiewem podają mu jeden z tematów granych zwykle przed boskim tronem. Proboszcz nie mógł mieć wątpliwości, że mistrz Piotr mówi prawdę. Kompozytor należał przecież do ludzi bezwzględnie prawdomównych, a w sprawach sztuki i wiary nie żartował nigdy. Zresztą mówił o całym wydarzeniu z tak wielkim przejęciem, że nikt nie zakwestionowałby jego słów.

Dzień po ostatnim koncercie mistrz Piotr zmarł, nie zdążywszy zapisać dzieła swego życia. Proboszcz, zaskoczony nieobecnością organisty na porannej mszy, zapukał do jego pokoju, a kiedy nikt nie odpowiedział, uchylił ostrożnie drzwi i ujrzał wewnątrz ciało Durella. Na twarzy mistrza Piotra malował się uśmiech spełnienia i prawdziwego szczęścia. Ojciec

Anzelm był przekonany, że człowiek, który kochał Boga i muzykę ponad wszystko, musiał poczuć podczas niedawnego koncertu tak wielką radość, że serce nie potrafiło nosić jej długo.

Całe Castenvan rozpaczało po tej stracie. Trzy dni po niespodziewanej śmierci odbył się uroczysty pogrzeb, a mieszczanie mogli obserwować przez długie lata, jak na grobie mistrza Piotra zbierają się codziennie rozśpiewane ptaki, co uznano za cud i dowód wielkiej wiary i talentu tego niezwykłego człowieka.

Ale kwietniowy ranek, w czasie którego mistrz Piotr zagrał wraz z aniołami niebiańską pieśń, był wyjątkowy jeszcze z innego powodu. Tego samego dnia, tuż po niezwykłym koncercie ojciec Anzelm znalazł w kościele kosz, wewnątrz którego leżało zawinięte w białe prześcieradło niemowlę. Proboszcz od razu pomyślał, że ktoś je musiał podrzucić i że nie był to pewnie nikt z Castenvan, raczej jakaś biedna dziewczyna z innej parafii, która wyrzucona z domu przez męża pijaka zmuszona była powierzyć dziecko Kościołowi. Kapłan rozczulony cichym kwileniem zabrał chłopca na plebanię, gdzie zajęła się nim gospodyni, która sama odchowwała trzynaścioro dzieci.

Przez następne dni ojciec Anzelm, chcąc upewnić się, że dziecko nie znalazło się w świątyni jakimś tragicznym zbiegiem okoliczności, próbował odszukać matkę, ale bezskutecznie. Po długich namysłach doszedł więc do wniosku, że najlepiej będzie oddać chłopca w opiekę Annie i Augustowi Bohlio, pobożnemu małżeństwu, którego Pan nie obdarzył dotąd potomstwem. Ci przyjęli go z radością i ochrztili imieniem Jan, ale od najmłodszych lat wszyscy wołali na chłopca Rolf, co w

gwarze używanej powszechnie w okolicach Castenvan znacząco dokładnie „Grajek”.

Zaczął się od tego, że kiedy Rolf miał sześć lat, otrzymał od ojca zwykłą fujarkę, jaką nosili z sobą pasterze wypasający owce na zboczach gór. Malec bez zastanowienia wziął piszczałkę do rąk i zagrał kilka nut, które ułożyły się w zgrabną melodię. August zachwycił się i powiedział do syna: „Będzie z ciebie wielki artysta, mój mały grajku”. Były to słowa prorocze.

Mały Jan, który odnalazł nagle swoją największą miłość, codziennie odtąd wędrował po krętych uliczkach Castenvan i wygrywał wymyślane przez siebie melodie. Nigdy mu się to nie nudziło, a kiedy dzielił się z innymi swym talentem, był naprawdę szczęśliwy. Zastłuchani ludzie oglądali się często za chłopcem i nie mogli wyjść z podziwu, ile piękna zawierało się w muzyce, która unosząc się między zgiełkiem miasta, potrafiła wprawić w dobry humor albo zmusić do zamyślenia.

Wkrótce Rolf stał się ulubieńcem mieszczan i wszyscy bez wyjątku pozdrawiali go z uśmiechem, gdy biegł po bruku wraz z innymi dziećmi, które tłukły się drewnianymi chodakami. Wielu z mieszkańców Castenvan zauważyło też, że często nad głową chłopca śpiewają wróble, skowronki i szpaki, jakby zwabione głosem fujarki. Niektórzy zastanawiali się: „Czy to nie ptaki, które dotąd siedziały na grobie mistrza Piotra? Czy przez tę muzykę nie przemawia duch dawnego organisty?”.



Mijały lata, a Rolf nadal muzykował całymi dniami, włóczęąc się po zakamarkach Castenvan i po bezdrożach okolicy.

Zawsze jednak znajdował czas, by odwiedzić ojca Anzelma, który postarzał się bardzo, posiwiiał całkiem i często narzekał na bóle w kościach. Proboszcz, który bardzo lubił chłopca i cieszył się ogromnie z jego wizyt, od dawna wiedział, że Rolf ma wielki talent.

Kiedyś nawet zamyślił sobie, że nauczy chłopca czytać nuty i powierzy mu posadę organisty, ale wysiłki proboszcza nie przyniosły efektu, chociaż początki wydawały się obiecujące. Siedmioletni Rolf, za namową księdza, zasiadł pierwszy raz do organów i wiedziony swoją muzyczną intuicją szybko pojął, na czym cała rzecz polega. Po zaledwie kilku próbach potrafił zagrać na niezwykle przecież wymagającym instrumencie cudowne melodie.

Ksiądz zrozumiał, że w muzyce granej przez Rolfa odbija się dalekie echo anielskiej pieśni, którą usłyszał mistrz Piotr pamiętnego poranka. Tylko Durell i Rolf znajdowali się wtedy kościele i blask niebiańskiego chóru musiał spłynąć także na podrzucone do kościoła niemowlę. Choć chłopiec siłą rzeczy nie mógł pamiętać tamtych wydarzeń, to jednak zagrane przez mistrza Piotra nuty zapisały się w jego duszy i powracały czasem.

Ale plany proboszcza spełzły na niczym, bo Rolf nie miał ani cierpliwości, ani zdolności do nauki nut; potrafił grać tylko to, co sam wymyślił, a powtarzanie trudnych fug i koncertów było ponad jego możliwości. Ojciec Anzelm zrozumiał, że taka jest wola Pana i przyjął ją bez wyrzutu. Niemniej uważał wciąż, że muzyczne talenty i zamiłowania należy podsycać. Z początkiem wiosny i późnym latem zabierał więc chłopca na koncerty do odległej stolicy, gdzie Rolf z otwartymi ustami obserwował przepych wielkiej sali operowej.

Kiedy chłopak skończył szesnaście lat, co w Castenvan oznaczało osiągnięcie wieku męskiego, otrzymał z rąk księdza stare, nieco odrapane skrzypce, które miały głębokie i czyste brzmienie. Ojciec Anzelm wydał na nie wszystkie swoje oszczędności, uważając, że to najlepsza inwestycja, jaką może zrobić. Zaproponował też, że będzie udzielał chłopcu lekcji, ale nie był zaskoczony, kiedy Rolf, zgodnie z umową, przyszedł do niego następnego dnia, wyciągnął skrzypce i uśmiechając się zagrał na nich tak, jakby naukę rozpoczął lata temu.

August Bohlio także cieszył się z cennego prezentu, jaki otrzymał syn, bo wciąż był rozczarowany faktem, że Rolf nie może zostać organistą ani dworskim muzykiem. Posady te w końcu przynosiły stały zarobek. A Rolf nigdy nie należał do ludzi pracowitych, wałęsał się raczej całymi dniami bez celu i przesiadywał w karczmach, gdzie słuchał innych grajków. Martwiło to nieco Anną i Augusta, zasmucało też ojca Anzelma, który bał się, że chłopak może zejść na złą drogę. Skrzypce miały pomóc chłopcu w pogodzeniu zamiłowań z zarobkowaniem.

Mieszkańcy Castenvan zaczęli w tym czasie zapraszać Rolfa na wesela, aby zabawiał ich swoją muzyką. Chłopak grywał też na jarmarkach lub odpustach, usypiał kołysankami niesforne dzieci kupców i przeganiał z pól wyjadające ziarno ptaki. A gdy zmarł ktoś niezamożny, kogo rodzina nie miała pieniędzy na wystawny pogrzeb, zjawiał się właśnie on i grając na skrzypcach sprawiał, że nawet nieznajomi zatrzymywali się, aby pożegnać zmarłego.

Dzięki każdemu z tych występów do sakiewki chłopca spływało kilka groszy, a czasem i srebrna moneta. Państwo Bohlio cieszyli się, że po ich odejściu syn poradzi sobie w życiu i nie będzie głodował. A że latem plony były wyjątkowo obfite

i wielu mieszkańcom miasta, nie tylko Augustowi i Annie, zaczęło powodzić się lepiej, wydawało się, że przychodzą dobre lata.

Jednak jesienią niespodziewane burze zwiastowały nie-szczęście, jakby domagając się równowagi po dniach pełnych radości i świętowania. Starzy ludzie przestrzegali, że oto nadchodzi czas rozpacz i nawet mniej zabobonni mieszczenie trwożyli się na myśl o nadchodzącej zimie.

W grudniu w Castenvan, jak i w całym hrabstwie, pojawiła się zaraza. Choroba ominęła szczęśliwie Rolfa i ojca Anzelma, ale w Nowy Rok zmarła Anna Bohlio, a pięć dni później taki sam los spotkał Augusta. Wkrótce też nie było w mieście domu, do którego nie zapukałaby śmierć. Nocą po mrocznych zaułkach Castenvan niósł się płacz i zapach rozkładających się ciał.

Rolf przez długie tygodnie rozpaczał, a cały smutek trapiący jego duszę znalazł ujście w układanych utworach. Każdego ranka chłopak opuszczał mury Castenvan i w poszukiwaniu odludnego miejsca schodził stromym stokiem w dół do doliny. Najczęściej zatrzymywał się przy starym omszałym młyńcu, tam gdzie chłodny nurt potoku rozbijał się o szare skały. Zawsze rozglądał się bacznie po okolicy, a gdy nikogo nie było w pobliżu, siadał na spróchniałym pniu powalonego dębu, zamykał oczy i grał na swych lipowych skrzypcach piękną melodię, której dźwięk wabił ptaki.

Rolf poznał las tak dobrze, że potrafił skutecznie zgubić ciekawskich; zbacał z głównych ścieżek i błędził długo po odludnych zakamarkach puszczy do momentu, aż zyskał pewność, że nikt za nim nie idzie. Nie wiedział, dlaczego powinien się ukrywać, ale czuł, że to, co gra o świcie, nie jest przeznaczone dla uszu wszystkich ludzi.

To było coś więcej niż tylko dźwięki, tkwiła w nich jakaś moc i to ona właśnie wkrótce miała wybawić jego i całe Castenvan z rąk samego czarta.

* * *

Czas pełen płaczu i nieszczęść to doskonała okazja dla czyhającego na ludzkie dusze diabła, któremu nagle łatwiej jest podsycać wątpliwości i sprowadzać ludzi na złą drogę. Mieszkańcy Castenvan obnosili się jeszcze wtedy z żałobą po utracie bliskich i nie zauważyli, że do miasteczka sprowadził się Xylofixos, czart całkiem zmyślny i przy tym okrutny, ale niezbyt sławny i niemający w ludzkie dusze.

Xylofixos bez żadnych skrępowań przystąpił z zapałem do czartowskiego dzieła i ze wszystkich sił utrudniał ludziom żywot: skłócał udane małżeństwa, przemieniony w przystojnego lorda wodził niewinne dziewczęta na pokuszenie, a w czasie adwentu mącił chłopom w głowach i namawiał do tańca.

Wysiłki diabła okazały się jednak daremne, a plon z nich był mizerny. Mieszkańcy Castenvan w większości należeli przecież do ludzi prostolinijnych i omijali wszelkie okazje do grzeszenia, a kiedy zdarzyło im się ulec namowom złego, to szli niezwłocznie do spowiedzi.

Xylofixos był zatem zdesperowany. Wykorzystał cały zasób swych diabelskich sztuczek, ale szczery żal za popełnione winy, jaki wykazywali mieszkańcy Castenvan, niweczył jego trud. „Jak tu złowić czyjąś duszę? ” - głowił się nieustannie i próbował wymyślić jakiś skuteczny podstęp, ale świątobliwa atmosfera panująca w miasteczku w tym nie pomagała.

Załamany Xylofixos coraz częściej zaglądał do dzbana z winem i któregoś dnia, siedząc całą noc w karczmie, upił się do nieprzytomności. Był to właśnie początek jego nieszczęścia.

Kiedy diabeł, zataczając się, wracał nad ranem do swojej siedziby, potknął się i niefortunnie wpadł do studni. Lodowata woda otrzeźwiła w mig Xylofixosa, który zdał sobie sprawę z beznadziei własnego położenia. Najgorsze było to, że diabeł nie potrafił wybawić się z opresji sam, ponieważ każdy ze sług Szatana, jeśli tylko zostanie strącony w dół, traci swą moc i może się podnieść tylko z pomocą człowieka.

Przypadek, los, a może jeszcze całkiem odmienna siła chciała, że przechodził tamtędy Rolf, który wybrał inną drogę niż zwykle. Młodzieniec niósł z sobą skrzypce, bo podążał właśnie za miasto, jak to miał w zwyczaju od czasu śmierci rodziców. Słyszając głośne kwilenie, szybko podszedł do studni i na jej dnie dojrzał Xylofixosa w całej diabelskiej okazałości.

Rolf domyślił się, że ma do czynienia z czartem. Stwór, który siedział w studni, miał koźle rogi, ogon okryty szczelnie łuską, a jego całe ohydne ciało pokrywały czarne kołtuny, jak u starego capa. Czerwone oczy diabła błyszczały przy tym jak świece.

- Proszę uwolnij mnie, chłopcze - zawołał żałośnie Xylofixos z wnętrza ciemnej i głębokiej studni.

- Nie mogę tego zrobić - odparł zdziwiony i przestraszony Rolf. - Jesteś czartem.

- Tak, to prawda. Jestem czartem. Ale czy i diabłu nie należy się łaska?

- Z pewnością będziesz chciał mnie zwieść.

- Ależ skąd! - skłamał diabeł.

- I tak ci nie pomogę - zawołał Rolf.

The Best t.01

- Jeśli wypuścisz mnie z tej pułapki, spełnię każdą twoją prośbę.

Rolf zamyślił się, słysząc tę kuszącą propozycję.

- Każdą?

- Jestem w końcu diabłem. Rozporządzam niepojętą dla śmiertelników mocą.

- Dobrze - powiedział Rolf. - Wypuszczę cię, jeśli zaprowadzisz mnie do bram niebios. Chciałbym zobaczyć jeszcze raz moich rodziców i sprawdzić, czy im się tam dobrze powodzi.

Diabeł z obrzydzeniem splunął. Tyle było tkliwości w tym wyznaniu, że wydawało się to Xylofixosowi nie do zniesienia.

- No, czemu milczysz? - zapytał Rolf. - Czyżby przerastało to twoją moc?

Xylofixos milczał, bo życzenie było niemożliwe do spełnienia. Czart spodziewał się czegoś znacznie prostszego.

- A gdybym podarował ci największy szmaragd świata, który był własnością cesarza Chin? - zapytał przymilnie diabeł.

- Przekonałem się już, że pieniądze nie mogą dać mi pełni szczęścia.

- To może uczynię cię królem?

- To nie na moją głowę - odparł Rolf.

- Mógłbym też sprawić, że najpiękniejsza niewiasta, jaka stąpa po ziemi, upadnie do twych stóp - rzekł diabeł i poczuł, że to trafna oferta. Cnotliwi młodzieńcy, a do takich należał jeszcze Rolf, zwykle ulegali podobnym propozycjom.

- Najpiękniejsza jest dla mnie Lucja, córka młynarza. Kocham ją i wiem, że ona kocha mnie. Gdy skończy się żałoba, poproszę ją o rękę. Nie potrzebuję w tym twojej pomocy.

Diabeł przeszył dreszcz obrzydzenia na kolejną porcję czułości. Czemu przyszło mu spotkać się z takim świętosz-

kiem? Gdzie pijacy, złodziejaszki i lichwiarze? Gdzie kurtyzany i szepczące plugastwa więdźmy? Diabeł zdał sobie sprawę, że ma straszliwego pecha, ale z drugiej strony było to dla niego jakieś wyzwanie.

- Zaczekaj chłopcze! - zawołał Xylofixos z wnętrza studni, widząc że Rolf chce odejść.

W głowie diabła pojawiło się już nowe oszustwo.

- Przecież widzę, że nie jesteś w stanie spełnić mojego życzenia - powiedział Rolf. - Żaden diabeł nie zna drogi prowadzącej do niebios.

- Mylisz się! - wykrzyknął diabeł. - Znam miejsce, gdzie ziemia styka się z niebem. Znajdziesz tam swoją bramę do raju.

- Czy mnie aby nie oszukujesz?

- Ależ skąd - zarzekał się diabeł i poczuł, że ma już Rolfa w garści.

Chłopak nie był jednak tak naiwny, jak spodziewał się Xylofixos, i powiedział całkiem rozsądnie:

- Powiedz mi tylko czarcie, jak tam dojść, a ja później wrócę i wypuszczę cię.

- Droga jest długa - przekonywał diabeł - i najeżona pułapkami. Chyba nie myślisz, że takie miejsce stoi tak po prostu otworem przed śmiertelnikami? Nie uda ci się tam dojść bez mojej pomocy. Wypuść mnie, a obiecuję, że od razu spełnię twoje życzenie. Nawet czart może znać drogę do bram niebios.

Rolf wahał się przez chwilę, ale po namyśle spuścił wiadro na dno studni i wyciągnął na wierzch przemoczonego diabła.

Z bliska Xylofixos wyglądał jeszcze okropniej, a w dodatku przeraźliwie cuchnął. Czart, który odzyskał już piekielną moc, nie czuł jednak potrzeby zmiany swojego oblicza. Bawił

go strach i obrzydzenie Rolfa. Xylofixos postanowił także w tym momencie upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Nigdy nie należał do honorowych diabłów i może właśnie dlatego nic wielkiego w swym życiu nie osiągnął. I choć wydostał się już ze studni, to wciąż było mu mało. Teraz przyszła mu ochota na duszę Rolfa.

- Skoro taka twoja wola, zaprowadzę cię do bram niebios - powiedział diabeł z szelmowskim uśmiechem.

* * *

Xylofixos zabrał Rolfa daleko poza mury Castenvan, do krainy, której ani chłopak, ani żaden śmiertelnik nigdy wcześniej nie widział. Ale chociaż Rolf i diabeł przemierzyli morza i lądy, to dzięki piekielnej mocy czas ledwo ruszył i zdawało się, że od momentu wyjścia Xylofixosa ze studni minęła zaledwie chwila.

- Dokąd mnie prowadzisz? - zapytał Rolf.

- Do Czarnej Wieży - odparł diabeł. - Zaraz będziemy na miejscu.

Kiedy byli już blisko wyznaczonego celu, diabeł wskazał swą szponiastą dłońią na pokryte śniegiem pustkowie, zagubione gdzieś pomiędzy górami. Jak okiem sięgnąć, nie widać było ludzkich siedzib. Pośrodku tej jałowej, targanej porywistymi wichrami krainy znajdowała się ogromna wieża.

Budowla, cała z czarnego kamienia, wzniesiona została na planie koła. Przypominała Rolfowi wieżę rajców z Castenvan, z tą różnicą, że ta, którą miał teraz przed oczami, była znacznie wyższa. Nie zdobiły jej też żadne płaskorzeźby ani malunki, podobna była raczej do warowni sprzed wieków. W jej lśniących murach wykuto niewielkie i wąskie okna, w których nie widać było witraży, szyb, czy nawet błon, tylko przenikliwą

puszkę mroku. Gdy Rolf zadarł głowę do góry, naliczył dwadzieścia jeden pięter, ale i tak szczyt wieży rozmywał się w warstwie ciemnych skłębionych chmur, zakrywających całkowicie niebo.

- Ile ta wieża ma pięter? - zapytał Rolf.

- Sam tego nie wiem - odparł Xylofixos, co akurat było prawdą. - Nigdy nie liczyłem. Mogę cię jednak zapewnić, że ponad chmurami znajduje się większa część Czarnej Wieży.

- Przecież to niemożliwe - powiedział zadziwiony chłopak, który nigdy wcześniej nie widział tak strzelistej budowli. Nawet dzwonnica kościoła w Castenvan, najwyższy punkt zabudowy miasta, sięgałaby tutaj co najwyżej do piątego piętra.

- Wszystko jest możliwe - zapewniał diabeł. - Wieża dotyka w końcu sklepienia niebios. Musi być bardzo wysoka.

- Ludzie nie mogli wznieść takiej budowli.

- Masz rację, chłopcze. Jest ona dziełem samego Luciferusa, pana piekieł.

Rolf aż zatrząsł się, słysząc te słowa.

- Gdy pan nasz, Luciferus - zaczął wyjaśniać diabeł - żył jeszcze pośród anielskich zastępów, przez tysiąclecia obserwował swym sprawiedliwym okiem ziemię. Przekonał się wtedy, że straszliwy jest ludzki los, pełen lęku i niedoli. Zrozumiał także, że temu wszystkiemu jest winny Stwórca. Wydało się Luciferusowi niesprawiedliwe, iż Bóg zsyła na ludzi tyle nieszczęść, a później tylko przed niektórymi otwiera bramy niebios. „Po co męczyć się tak na ziemskim padole?” - myślał słusznie mój pan - „ludzie powinni bez wyrzeczeń i strachu doświadczyć uroków wiecznego życia”. Litujący się nad ciężkim losem ludzi Luciferus, kamień po kamieniu, wznosił w tajemnicy przed Bogiem tę wieżę, aby dopuścić wszystkich ludzi do sekretów wieczności. Za to właśnie został

wygnany z niebios. Jak więc widzisz, Luciferus nie chciał dla ludzi zła i piekła, ale odwrotnie - pragnął, by wszyscy znaleźli się w raju.

- Czemu Bóg nie zniszczył wieży?

- Bo Luciferus rozporządza tak samo potężną mocą. Dzieło diabła jest więc równie trwałe jak dzieło Boga. Stwórca mógł jedynie ukryć wieżę przed wzrokiem śmiertelników.

- Bóg mógł przecież nie dopuścić w ogóle do jej powstania.

- Mówiłem ci, że Luciferus budował wieżę w tajemnicy. Dopiero gdy budowla była gotowa, ktoś zdradził mojego pana.

- Bóg jest wszechwiedzący. Nic nie dzieje się w tajemnicy przed nim.

- Mylisz się. Bóg nigdy nie był wszechmocny. Ale całkiem możliwe, że Stwórca dowiedział się o wszystkim już wcześniej i snuł długo swą intrygę, szydząc ze sprawiedliwego Luciferusa. Często zazdrościł mojemu panu zdolności i tego, że ludzie kochają go bardziej. Zawistny jest wasz Bóg. Wmówił wam, że wygnani archaniołowie czynili źle.

- Czemu więc twój pan nie powróci tam, skąd go wygnano? - pytał dalej Rolf.

- A czy ty chciałbyś dzielić rządy w królestwie z tak zazdrosnym i okrutnym gospodarzem? Ja uważam, że lepiej jest siedzieć w piekle.

- We wszystko to trudno uwierzyć - westchnął chłopiec.

- Ale to prawda - zapewniał Xylofixos.

- Czy dzięki wieży dojdziemy rzeczywiście do niebiańskich bram?

- Tak właśnie będzie. Pospieszmy się jednak, bo czeka nas długa droga.

I tak mozolnie zaczęli się wspinać po krętych schodach wieży, choć należałoby powiedzieć, iż była to męcząca podróż jedynie dla Rolfa. Xylofixos nie trudił się wcale, ponieważ diabeł nigdy nie nosi na swych barkach krzyża, ale zrzuca go na ramiona śmiertelników. Tym samym chłopak męczył się za dwóch, a czart napawał się cudzą krzywdą i cieszył się na myśl, że uda mu się w końcu złapać w swe szpony duszę młodzieńca.

Ale diabeł odwlekał tę chwilę. Nie lubił bowiem zbytniego pośpiechu. Xylofixos, prawdziwy mistrz tworzenia miraży, chciał też porządnie zmęczyć Rolfa. Osłabione ciało osłabiało ducha, łatwiej było złamać wtedy czyjąś wolę i zmusić go do posłuszeństwa.

Długie zęby diabła, podobne do wilczych kłów, błyszczały nieustannie w ciemnościach korytarza. Czart słyszał łomoczące ze strachu serce Rolfa i aż podskakiwał z radości, ale kiedy chłopak spoglądał na niego, wtedy zachowywał powagę.

- Daleko jeszcze? - pytał zląny potem Rolf.

- Już blisko - odpowiadał diabeł, ale jeszcze dokładał Czarnej Wieży pięter.

Jednak po wielu godzinach wędrówki Rolf ujrzał nareszcie, jak wijące się stromo schody kończą swój bieg. Nad głową chłopaka znajdowała się drewniana kłapa.

- Czy doszliśmy do bram nieba?

- Nie da się ukryć - odrzekł diabeł i zachichotał. - Tak, dotarliśmy do sklepienia niebios.

Rolf z niecierpliwością pchnął zamykającą wyjście kłapę, która rozwarła się ze skrzypnięciem. Wnętrze korytarza załała biała poświata księżycy i chłodne powietrze przywołujące na myśl styczniowy poranek. Rolf zdążył rozgrzać się długim marszem i zapomniał zupełnie, że wokół panuje zima. Nie

przejmując się straszliwym ziąbem, wdrapał się na szczyt wieży i przez chwilę stał oszołomiony. Zobaczył jedynie rozgwieżdżone, czarne jak krucze pióro niebo i wielki księżyc w pełni, który obejmował znaczną część nieboskłonu.

Przerażony Rolf podbiegł do oszronionych blanek Czarnej Wieży i spojrział w dół. Przykrytej śniegiem doliny nie przysłaniała już połąć skłębionych chmur, którymi diabeł sprytnie zakrył szczyt wieży, kiedy stali u stóp budowli.

Ziemia wydawała się tak odległa, ale niebo nie było wcale bliższe.

- Okłamałeś mnie! - zawołał Rolf.

- Ja? - dziwił się diabeł. - Jesteś niewdzięczny, chłopcze.

- Czy umowa nie była taką, że zabierzesz mnie aż pod bramę niebios?

- I masz ją na wyciągnięcie ręki. To nie moja wina, że raj, który obiecują wam wasi kapłani, jest tylko złudzeniem. Jak widzisz, Bóg dla siebie zatrzymał to, co najlepsze. Wam zostawił tylko marną ziemię. Nie wiń za to diabła.

- Kłamiesz! Od początku zmyśliłeś to wszystko.

- To ty prosiłeś mnie o rzecz, której spełnić się nie da. A zresztą, jakie to ma znaczenie? Jesteś zdany teraz na mą łaskę. Nic poza tym nie liczy się.

Rolf przeraził się nie na żarty, widząc rozpalone jak u wilka oczy diabła. Miał teraz pełną świadomość, że Xylofixos od początku chciał sobie z niego zadzwic.

- Jesteś moim więźniem - powiedział czart - i nie myśl, że łatwo wykupisz się z tej niewoli.

- Wypuść mnie stąd! - zawołał desperacko Rolf, ale Xylofixos tylko roześmiał się głośno. Role nagle się odwróciły.

- Jeśli oddasz mi swą duszę, będziesz wolny.

- Wolałbym raczej rzucić się z tej wieży.

- W niczym ci to nie pomoże. Dla samobójców niebo jest zamknięte. Co byś nie uczynił i tak czeka cię wieczne potępienie. Ale gdybyś zdecydował się oddać mi duszę, wtedy przynajmniej pożyjesz jeszcze długie lata i będą one pełne uciech.

Rolf wiedział, że diabeł nie żartuje. Wkrótce też zobaczył, jak Xylofixos wyciąga w jego kierunku cyrograf.

- No to jak będzie? - zapytał diabeł. - Daję ci w prezencie wiele lat życia, w których nie zabraknie chwil pełnych radości. Już ja o to zadbam. W zamian nie żądam wiele. Spójrz, jak mało ryzykujesz, tylko złudzenia, że po śmierci czekałoby na ciebie coś lepszego. Sam jestem zdziwiony własną wspaniałomyślnością.

Rolf nie potrafił długo uzalać się nad sobą, chociaż wyrzucał sobie nadmierną naiwność. Zebrał jednak w sobie resztki odwagi i zaczął zastanawiać się poważnie nad wyborem. Co mu przyjdzie z tych szczęśliwych lat, jeśli przez resztę życia będzie rozmyślał o tragicznym ich końcu? Lepiej rzucić się z wieży, nawet jeśli oznaczało to potępienie. Tak przynajmniej nie da satysfakcji diabłu.

- Rozumiem, że musisz się namyślić - zagadnął uprzejmie Xylofixos.

- Nie przejmuj się. Mamy bardzo dużo czasu.

Chłopak wiedział już, co ma czynić. Wybrał śmierć. Ale przed skokiem musiał zrobić jeszcze jedną rzecz.

Spojrzał na skrzypce i smyk, które wciąż trzymał w dłoni. Nawet gdy wspinał się na wieżę i ciało jego drżało ze zmęczenia, nie zostawił instrumentu. Jeśli za chwilę ma go nie być na świecie, to przynajmniej pożegna się z nim najlepiej jak potrafi.

Diabeł, który oczywiście widział, że Rolf niesie z sobą skrzypce, myślał po prostu, że ma do czynienia z wiejskim

grajkiem, dla którego instrument był tylko narzędziem zarobku. Kiedy zobaczył, jak chłopak podnosi skrzypce zgrabiętymi z zimna dłońmi, uśmiechnął się. W końcu nawet najsurowszy kat pozwala straceńcowi na ostatnie życzenie. Przebiegły Xylofixos, który stąpał po ziemi przez tysiąclecia, nie spodziewał się, że stanie się coś, co doprowadzi go do zguby.

Rolf pociągnął smykem po strunach z natarczywą myślą, że będzie to jego ostatni koncert. Przed oczami stanęło mu całe życie, wszystko to, co było w nim ważne, zarówno chwile przepełnione szczęściem, jak i smutkiem, te pełne piękna, ale też strachu. Młodzieniec chciał opowiedzieć muzyką o tym, co go spotkało i uświadomił sobie nagle, że zostanie po nim tak niewiele. W grze Rolfa rozbrzmiała tęsknota do miejsc, ludzi i chwil, które niepowrotnie miały odejść.

W ten właśnie sposób skrzypek zawarł w melodii cafe swoje życie, podobnie jak zrobił to przed laty mistrz Piotr, wiedziony taką samą tęsknotą, niepokojem zbliżającej się śmierci, ale i szczęściem porzucanych trosk.

I znowu zjawiły się zwabione urokiem i ulotnością muzyki anioły, które zaczęły wtórować Rolfowi, chociaż chłopak nie zdawał sobie z tego sprawy, bo zatracił się całkowicie w melodii. Ale diabeł wiedział dobrze, co się dzieje. Anielska jasność oślepiła go i Xylofixos upadł na kolana i zapłakał.

Każdy wygnaniec z niebios, nawet ten najbardziej ztwardziały i przesiąknięty złem do szpiku kości, nosi w sobie pamięć o niebiańskim świetle i muzyce anielskich chórów, która nieustannie umila czas Panu i Świętym. Nie ma też diabła, który przez całe swe wieczne życie nie płonąłby z tęsknoty za porzuconymi cudami raj. Są one w upadłej duszy czarta niewypełnioną pustką. I choć każdy piekielnik próbuje je sobie zohydzić na wszystkie możliwe sposoby, po to, by strata nie

wydawała się aż tak bolesna, to wysiłki są daremne. Diabeł szuka więc pocieszenia w nienawiści do ludzi, nie może bowiem znieść faktu, że to, co on bezpowrotnie utracił, jest dane komuś tak jego zdaniem marnemu jak człowiek. Czart spędza tym samym swój żywot na odciąganiu śmiertelników od światła i muzyki niebios, którą on sam tak bardzo chciałby usłyszeć ponownie.

W Xylofixosie odezwała się właśnie ta pierwotna tęsknota, trawiąca jego wnętrza żywym ogniem. Czart nie mógł powstrzymać płaczu, słysząc, jak Rolf gra na skrzypach. Tak bardzo chciał poczuć, że znów jest w miejscu pełnym prawdziwego szczęścia.

Z każdym dźwiękiem diabeł tracił swą moc, a wszelkie piekielne miraży zrodzone z woli Xylofixosa stały się jedynie igraszką i rozwiały się zupełnie.

Kiedy Rolf skończył swój koncert, był przekonany, że za chwilę przyjdzie mu pożegnać się z życiem. Jednak gdy otworzył zamknięte przez cały czas oczy, uświadomił sobie, że stoi na placu w Castenvan, tuż obok studni, w której ujrzał czarta. Miasteczko budziło się do życia, a udający się na targ mieszkańcy kłaniali się Rolfowi nisko.

Wszystko, co wydarzyło się przed chwilą, wyglądało jak zły sen, który wydaje się realny nawet po przebudzeniu.

★ ##

Na hrabstwo spadła niespodziewanie wiosna. Uwolnione z okowów lodu strumienie znów wartkim nurtem spływały po stokach gór i w dolinach w okamgnieniu zazieleniły się łąki.

W Castenvan zaś skończył się czas żałoby i ludzie na nowo próbowali z nadzieją myśleć o przyszłych dniach, co było o tyle prostsze, że nikt już im nie szeptał do ucha oszczerstw.

Rolf natomiast oświadczył się pięknej Łucji, córce młynarza, a kilka tygodni później przejęty ojciec Anzelm udzielił młodej parze ślubu. Dzwony rozbrzmiały w mieście i ich odgłos niósł się echem po górach. Całe Castenvan bawiło się na weselu, a Rolf nie dał się namawiać długo, wyciągnął swoje skrzypce i zagrał tak, że największym ponurakom wracała chęć do życia.

Rolf i Łucja mieli trzech synów i dwie córki, ale żadne z dzieci nie zdradzało muzycznych talentów. Każde wykształciło się w stolicy i założyło własną rodzinę, z wyjątkiem najstarszego syna Kacpra, który objął probostwo po ojcu Anzelmie, gdy ten odszedł w zacnym wieku dziewięćdziesięciu trzech lat.

Grajek z Castenvan zachwycał dalej całą okolicę swoją muzyką, a pewnego dnia został nadwornym skrzypkiem na zamku hrabiego. Arystokrata, który znudzony był już orkiestrową pompą i nudnymi menuetami układanymi przez leciwego kapelmistrza, dał się oczarować talentowi Rolfa i naturalnością jego muzyki.

Czasem Rolfowi wydawało się, że to właśnie od momentu spotkania z diabłem zaczęło powodzić mu się lepiej, bo wszelkie nieszczęścia i troski jakby w jednym momencie postanowiły omijać grajka szerokim kołem.

I rzeczywiście stał za tym wszystkim Xylofixos. Choć diabeł stracił wiele ze swej mocy i resztkę szacunku, jaką cieszył się wśród zastępów piekielnych, to jednak podążał wciąż wytrwale za skrzypkiem i przestrzegał go nieustannie przed wszelkimi pułapkami losu, oczywiście dyskretnie. Przecież je-

dynie na ziemi Xylofixos mógł cieszyć się muzyką słynnego Jana Bohlio, zwanego Rolfem z Castenvan.

I gdy tylko Rolf zaszywał się gdzieś o poranku w lesie - nigdy bowiem nie porzucił tego zwyczaju - i tam koncertował, diabeł przysiadał niedaleko i wsłuchiwał się z rozkoszą w dźwięk skrzypiec, które powtarzały echa melodii znanych mu z dawnych, szczęśliwych czasów.

Andrzej W. Sawicki

PIES I DUSZE ŁOTRÓW

Awaryjne światła włączyły się po wygaśnięciu jednego z głównych reaktorów. Ich błyski wystraszyły samotnego psa, który podkulił ogon i, popiskując, rzucił się do panicznej ucieczki. Gnał na oślep, wreszcie zatrzymał przed tarczą siłową chroniącą serce okrętu, baterię infonapedu. Tu zwinął się w kłębek i po jakimś czasie zapadł w niespokojny sen.

Niezbyt długo przejmował się nowym zjawiskiem, wreszcie potraktował je jako coś naturalnego i ruszył w swój zwykły obchód. Dostojnie kroczył korytarzami, węsząc i czujnie strzygąc uszami. Gdzieniedzie, blokując prześwit tunelu niczym gigantyczny korek, tkwiła unieruchomiona maszyna. Pies znał je wszystkie na pamięć, każdą obwąchał setki razy, niestrudzenie sprawdzając, czy w kokpicie którejś przypadkiem nie ma śladu pana. Znajdował jednak zawsze te same wysuszone trupy ważkopodobnych robali siedzące za sterami pojazdów.

Nie zniechęcał się jednak niepowodzeniami i ruszał w dalsze poszukiwania.

Czasem zatrzymywał się, poruszony niespodziewaną falą tęsknoty, którą przywoływały przypadkowe zapachy albo ledwo widoczne piętna w infopolu pozostawione przez panów. Psu przypominały się wtedy szczenięce lata spędzone w kojcu pogrążonym w atomowym gorącu. Wracały coraz bardziej zartarte wspomnienia z początków służby na okręcie i z czasów, gdy pełno na nim było jego ukochanych panów. Wreszcie uderzały niezwykle dziś bolesne cienie najprzyjemniejszych doznań - ciepła i miłości, radości pieśczot i przysmaków, którymi go karmiono. Pies przysiadł wtedy i wył długimi godzinami.

Odpowiadała mu absolutna cisza. Okręt płynął pogrążony w idealnie klarownym infopolu, oczyszczanym przez nieustannie pracujący napęd. Statek poruszał się w przestrzennej kaskadzie o zablokowanej matrycy informacyjnej i żadne psie wycie nie miało możliwości opuszczenia niematerialnej sfery. Nawet mimo tego, że pies zawodził, emitując wysokoenergetyczne promieniowanie, które powinno rozchodzić się w kosmicznej pustce niczym błysk rodzącej się gwiazdy. Podróżowanie w sferze zero-informacji czyniło pojazd niewidocznym, całkowicie wycinając go z rzeczywistości. Okręt był duchem, widmem poruszającym się poza granicami świata.

W chwilach gdy psa nie dręczyła samotność i przemożne pragnienie towarzystwa, poświęcał się zwykłym obowiązkom, Pilnował ładunku, a nawet tego, by robale zbyt nie zbliżały się do magazynu. Zdawał sobie sprawę, że wszystkie od dawna są martwe i nie trzeba ich nieustannie mieć na oku, ale codzienny rytm zwykłej służby pozwalał zapomnieć o tęsknocie i smutku. Czasem, gdy rozpierała go energia, bawił się, pędząc

po korytarzach w pościgu za wymyślonym wrogiem. Atakował unoszące się dzięki braku sztucznego ciężenia trupy robali. Nieomal trzymetrowe ważki z podkulonymi odnóżami nie były jednak zbyt wymagającym przeciwnikiem. Ich zamarznięte truchła rozpadały się na kawałki przy byle szturchnięciu. Pies czekał na nie dla zabawy, a wtedy te świeciły od trawiącego je żaru, by po chwili szernieć i rozsypać się w proch.

Większość czasu spędzał, śpiąc przytulony do ciepłej tarczy chroniącej napęd. Wracał wtedy do dawnych czasów, gdy był potrzebny i kochany. Śnił o strawie gorącej jak wewnątrz pracującego reaktora, zabawach z panem i zaczepianiu tępych owadów. Spotykał we śnie inne psy, z którymi bawił się, szalejąc po korytarzach i magazynie. Budząc się, czuł potworny ból samotności. Skomlał wtedy i popiskiwał jak porzucone szczenię.

Czasem pies wchodził do magazynów. Spacerował wśród ażurowych stelaży, których było tysiące w halach ciągnących się całymi kilometrami. Statywy w całości zapełniały metalowe pierścienie z zamocowanymi wewnątrz kryształami wyhodowanymi w jądrze protogwiazdy, w ciśnieniu milionów atmosfer i w atomowym żarze powstającego słońca. Po pierścieniach, od czasu do czasu, przeskakiwały iskry wyładowań, oświetlając hale białymi błyskami. Pies lubił na nie patrzeć i poddawać się hipnotycznym, barwnym refleksom w fasetkach kryształów.

Wreszcie docierał do zewnętrznych magazynów leżących przy rozprutym pancerzu okrętu. Sporo stelaży było tu potraskanych i poprzewracanych, uwolnione pierścienie swobodnie unosiły się w pustce, migocząc i mieniąc się w błyskach wyładowań. Pies podchodził do ogromnych dziur wypalonych w powłoce statku i wyglądał na zewnątrz. Porozrywany

pancerz unosił się długimi włóknami tworzywa, odstając od okrętu niczym rozpuszczone w nieładzie włosy. Dalej była już tylko nieskończona pustka, zimna i absolutnie czarna.

Pewnego razu pies przystanął na krawędzi otworu i utkwiał wzrok w ciemności. Westchnął ciężko. Otchłaniał przyciągała go coraz mocniej. Wystarczył jeden skok, by wpaść w nią, pogрузić się w lodowatym zimnie i pustce. Pozwolić, by wdarła się do umysłu, rozplynać się w niej. Zniknąć. W jednej chwili skończyłaby się męka samotności i tęsknota. Pies opuścił łeb, patrząc w czerń rozciągającą się tuż przed jego łapami. Tkwił tak, pozwalając, by pustka ogarniała go coraz bardziej.

Zupełnie bez ostrzeżenia w otchłani pojawiły się gwiazdy. Miliony światła, większych i mniejszych, migających i świecących najróżniejszymi odcieniami widma. Błysnęły wszystkie naraz. Pies zaskomlał i cofnął się zaskoczony i wystraszony. Widział kiedyś rzeczywisty kosmos, ale od tak dawna przebywał w zamkniętej infosferze, że wspomnienie te niemal całym się zatarło. Widok zapierał dech, przerażał swoim ogromem i skalą. Oszołomiony pies dłuższy czas gapił się w ocean gwiazd nieświadom tego, że okręt po prostu się zatrzymał. Po długiej podróży wynurzył się z przestrzennej kaskady o zablokowanej infomatrycy.

Nagle pomiędzy gwiazdami pojawił się niewielki obiekt. Pies warknął i zaczął węszyć. Wyczuwał smugi informacyjne, jakich jeszcze nie smakował. Nadlatujący statek był zupełnie obcy. Z pewnością nie należał do panów, oni nie stworzyliby tak nieudolnie prymitywnego pojazdu. Może to przybyły robale, by złupić ładownie? Pies uśmiechnął się w myślach. Od dawna pierścienie były puste i ważki niewiele skorzystają. Za to on wreszcie będzie mógł się z nimi zabawić.

Obcy statek okazał się żałośnie niepozorny w porównaniu z okrętem. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości, a z jego wnętrza wyleciał maleńki ciągnik z przypiętymi czterema istotami. Pies dojrzał z daleka, jak śmiesznie i nieporadnie poruszały się w kosmicznej pustce, zakute w zupełnie archaiczne skorupy. Obserwował, jak zbliżają się do statku i wlatują do środka przez jeden z otworów w poszyciu. Natychmiast przyczaił się jak w czasie polowania i wtopił w tło, wymazując swoje ciało z infopola.

Znalazł przybyszy prawie natychmiast, robili wokół siebie straszny szum, zupełnie nie dbając o dyskrecję. Świecili reflektorami i fotonowym napędem ciągnika, rozmawiali na otwartym paśmie radiowym i co najdziwniejsze, w ogóle nie próbowali blokować myśli i emocji. Emitowali je z dziecięcą bez troską, kalając swoimi duszami infopole i wypalając w strukturze przestrzeni piętno swojej obecności. Pies pomachał ogonem zaciekawiony niezwykłymi istotami w śmiesznych białych skafandrach. Wydawali się zupełnie niegroźni, niezdarnie przebierając łapami i próbując zapanować nad swoimi ciałami nieprzystosowanymi do stanu nieważkości.

Pies nieśmiało posmakował ich myśli, powąchał emitowane przez przybyszy skazy w infopolu. Zadrżał. Robale nawet za życia były pozbawionymi uczuć skorupami, panowie świecili ciepłem i nieskończoną mądrością, za to obcy byli czymś zupełnie niesamowitym. Promieniowali fontanny uczuć i kompletny myślowy chaos, każdy z nich był niczym wybuch w infopolu. Przyciągali spragnionego towarzystwa psa niczym magnes. Nawet w dawnych czasach nie obcował z tak niezwykłymi stworzeniami. Zamerdał ogonem, jednak ciągle pozostawał w tle, niewidoczny dla przybyszy. Nie zapomi-

nał o ostrożności, ale nie mógł oprzeć się potrzebie zagłębienia w obce uczucia i relacje. Wąchał, smakował i słuchał.

Czwórka gości okazała się jednym stadem dowodzonym przez grubego, wiekowego samca. Trójka jego dzieci nie była jednak wierna i posłuszna. Może czas starego dobiegał końca i trwała rywalizacja o przewodnictwo w stadzie? Młoda samica i starszy z synów przewodnika każdym gestem podkreślali swoją niezależność, bez przerwy warcząc na ojca. Najmłodszy ze stada, za to największy rozmiarami, trzymał się na uboczu. Najbardziej też zaciekał psa. Zdawał się żyć bardziej swoim wnętrzem niż otaczającą rzeczywistością. Jego myśli były strasznie splątane, a emocje najbardziej gorące i smaczne.

Przybysze zainteresowali się pierścieniami, podlatując do jednego ze stelaży. Pies warknął cicho, ale szybko się uspokoił. I tak nic im po nich, kryształ były puste.

* * *

- Są puste - oświadczyła Ev. - Wszystkie, co do jednego.

Dziewczyna położyła dłoń na kolejnym kryształ i pokręciła głową. Obróciła

się w stronę ojca, patrząc na niego z wyczekiwaniem.

- Lecimy pół kilometra w głąb magazynu - zakomenderował Frank. - Widocznie przy pancerzu wyczyściło zawartość. Pewnie w czasie kolizji, która rozpruła poszycie.

- Bzdury pleciesz - mruknęła Ev. - To niemożliwe. Wysoka temperatura czy wstrząsy nie mają wpływu na zapis kryształu. Przecież właśnie dlatego Odonatci używali ich jako zbiorników. Są niezwykle trwałe i nie reagują na zewnętrzne czynniki. Podejrzewam, że cały ładunek jest pusty.

- Nie podejrzewaj, tylko sprawdź - w głosie Franka pojawiło się zniecierpliwienie. - Nie będziemy bawić się w zgadrywanki. Jazda, lecimy.

Starszy mężczyzna skinął na Teo, który powoli podpłynął do ciągnika i przysiął się za sterami. Najmłodszy syn miał ponad dwa metry wzrostu i potężne bary, w swoim skafandrze wyglądał jak wojskowy cyborg. Efekt psuła tylko mina wiecznie zadumanego idioty. Teo nie był zbyt błyskotliwy, ale posiadał niezwykle dar intuicyjnego radzenia sobie z pilotowaniem. Każde urządzenie, za sterami którego zasiadał, natychmiast stawało się nieomal częścią jego ciała.

- Możemy lecieć, tato - odezwał się dudniącym głosem. Mówił powoli i jakby w skupieniu, zastanawiając się nad każdym słowem.

Frank i Ev szybko podpięli się pod pojazd, musieli tylko czekać na Weba, który miał problemy z zapanowaniem nad manewrowymi silnikami i wirował bezwładnie. Wreszcie złapał się ciągnika i machnął ręką, sygnalizując że jest gotów.

Ojciec zazgrzytał ze złości zębami, ale nic nie powiedział. Gdy zakładali skafandry, czuł od najstarszego syna smród przetrawionej wódki. Web musiał pić w czasie nocnej wachty i był teraz na wpółprzytomny. Jak zwykle nie przyjmował tego do wiadomości, utrzymując, że nie ma najmniejszego problemu z alkoholem i pije tylko przy wyjątkowych okazjach.

Ciągnik ominął zwinnie kilka przechylonych stelaży i pomknął w głąb okrętu. Teo wykonał jeszcze popisowy manewr, zawracając w miejscu i ustawiając pojazd na kursie do szybkiego powrotu. Frank wskazał Ev najbliższe stelaże.

- Chyba nie dam rady. Głowa mnie boli i mam mdłości, okres mi się zbliża - oznajmiła, wykrzywiając usta. - Mówiłam,

że nie mogę się dziś skupić. Dlaczego mnie tu przyciągnęliście? Nie mogłabym w spokoju cierpieć w kajucie? Do tego wszystkiego zimno mi, chyba skafander jest do dupy. Pewnie szlag trafił system podtrzymania życia i zaraz zamarznię albo się uduszę. Tak czy inaczej z pewnością umrę.

- Dość tego, gówniaro! - wybuchnął Frank, szarpiąc się z uprzęgą. - Zrozum dziewczyno, że całe nasze życie zależy od powodzenia tych łowów. Chcesz skończyć jako niewolnik ekonomiczny, zesłany za długi do jakiejś koszarnej kolonii górniczej? Od razu skierują cię do burdelu, a tam, uwierz mi, bardzo szybko wyleczą ze wszelkich przypadłości!

Ev lubiła marudzić, do tego była wiecznie cierpiącą hipochondryczką. W normalnych warunkach jeszcze przekomarzałyby się z ojcem, ale dziś był wyjątkowo rozdrażniony. Zakup znaczników grawitacyjnych i zdobycie namiarów na smugę zmusiły go do zastawienia rodzinnego statku, Aligatora. Hipoteka objęła także załogę, co, inaczej mówiąc, było zgodą na niewolnictwo w razie niemożności spłaty długu.

- Zatrzymanie okrętu widma udało się, gęstość prawdopodobieństwa okazała się trafnie obliczona - mówił, podlatując do stelaża. - Telemaci z Gniazda wzięli za nie dziesięć milionów. Do tego znaczniki grawitacyjne, osiem sztuk po dwa miliony każdy. Policz sobie. Dokładnie tyle warte jest nasze życie.

- Znowu głędzi, stary pierdoła - Web szepnął Ev na ucho, ale jako że porozumiewali się przez radio, Frank oczywiście wszystko słyszał.

Umilkł, zaciskając z wściekłości zęby. Z coraz większą trudnością radził sobie z dziećmi. Po śmierci żony prawie zupełnie utracił nad nimi kontrolę. Dzisiejsze połowy były pierwszymi od miesięcy i miały przełamać złą rodzinną passę.

Udało się razem z Webem poprawnie ustawić osiem znaczników jako rogi sześcianu o boku długości kilku kilometrów. Grawitacyjna presja, którą wytwarzały, brudziła chaotycznie infopole, działając jak nieprzenikalna bariera dla obcych okrętów, poruszających się jako zmiana w polu informacji. Początkowo łowy szły jak po maśle. Gęstość prawdopodobieństwa była dostatecznie wysoka, a tarcza zadziałała, zatrzymując i sprowadzając do rzeczywistości statek widmo. Okazało się, że jest nieco pokancerowany, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Na jego pokładzie i tak mogły znajdować się skarby - zamknięte w magicznych pierścieniach kryształy wypełnione niezwykłymi zapisami.

Okręty widma odkryto lata temu właściwie przypadkiem, w czasie eksperymentalnych badań nad fizyką czasoprzestrzeni. Telemaci zaobserwowali smugowe mikroślady deformujące czasowo infopole. W trakcie badań zablokowali je, tworząc pierwszą tarczę, która niespodziewanie zmaterializowała okręt obcych. Niestety, nie udało się nawiązać kontaktu z jego załogą, którą stanowiły ważkopodobne robale nazwane później Odonatami, ponieważ od kilku tysięcy lat były martwe. Mimo wielu prób nie udało się też wyłączyć napędu przesuwającego pojazd, ludzie potrafili tylko zatrzymać go na dość krótki okres. Technologia obcych była zupełnie niezrozumiała i używała zjawisk i praw fizyki, które ludzkość dopiero poznawała.

Po szybkiej analizie infopola okazało się, że przez naszą galaktykę stale przelatują tysiące okrętów widm. Pojazdy poruszały się w najróżniejszych, niedających się określić kierunkach. Nigdy nie odkryto też portów, z których startowały, ani tych, do których zmierzały. Właściwie nigdzie, w zbadanych przez ludzkość obszarach, nie natrafiono na jakiegokolwiek

ślady działań Odonatów. Nie znaleziono planet przez nich zamieszkałych ani choćby najmniejszej bazy. Wyglądało na to, że okręty widma latały znikąd donikąd.

- Pusto. Wszystkie cholerne kryształy są zupełnie puste - oświadczyła Ev.

Dziewczyna kolejno dotknęła kilku pierścieni, na chwilę przystając i zamykając oczy. Jeszcze będąc dzieckiem, samostnie wykazywała umiejętności genetycznie modyfikowanego empaty. Była naturalnym talentem, który prawdziwie błysnął umiejętnościami dopiero w okresie dojrzewania. Obecnie, w wieku dwudziestu trzech lat, odbierała uczucia i zmiany w infopolu jak rasowy i szkolony telemata, neoczłowiek wychodowany w Gnieździe.

- Lecimy głębiej - rozkazał Frank.

- Nie ma sensu, coś już bym wyczuła - stanowczo zaprotestowała Ev.

- Cały okręt jest pusty.

- Podobno głowa cię boli i nie możesz się skupić - warknął Frank. - Postaraj się jednak. Może coś przegapiłaś?

- Daj jej spokój - wtrącił się Web. - Weźmy ile wlezie pustych kryształów i wracajmy na Aligatora.

- A co, musisz się napić? - warknął Frank. - Nie wytrzymasz dłużej?

- Płacą nawet za puste - odparł chłopak. - Po cholere ryzykować dokładne przeszukiwanie? Jeszcze widmo ruszy w dalszą drogę i spędzimy tu resztę życia, czyli dwanaście godzin, bo na tak długo starczy tlenu. Jeśli zapakujemy cały ciągnik, to nawet za pustaki wystarczy na spłatę kredytu i trochę zostanie.

- Gównno zostanie! - ryknął Frank. - Musimy wreszcie wyciągnąć trochę cenniejszego towaru, bo pójdziemy z torba-

mi. Ale co cię to obchodzi? Byle wystarczyło na wódę! Masz gdzieś, ile nerwów kosztuje mnie utrzymanie rodzinnego interesu.

- Zrozum wreszcie, że nigdy nie dorobimy się na poszukiwaniach! - niespodziewanie wybuchnął spokojny do tej pory Web. - Musimy przystąpić do Hanzy albo sprzedać się któremuś z syndykatów. Przydzielą nam porządny sprzęt, dadzą niezłą pensję i ochronę. Dość ciągłego zaciskania pasa. Dlaczego zmuszasz nas do roboty w głodowych warunkach? W imię tej twojej wydumanej wolności?

- Słuchaj, gówniarzu! Całą młodość spędziłem na pionierskich okrętach należących do różnych korporacji. Dobrze znam metody działania tych sukinsynów. Widziałeś blizny na moich rękach? Wiesz, ile kosztowało mnie wyrwanie się z niewolniczych kontraktów i stanie się wolnym człowiekiem? Chcesz to wszystko zaprzepaścić, byle niczym się nie przejmować i mieć na wódę?

Mężczyźni nieomal stykali się hełmami, wrzeszcząc na siebie coraz głośniej. Frank podkreślał wypowiedź, wymachując rękoma.

- Przestańcie, bo mi łeb pęknie! - piskliwie wrzasnęła Ev.

- Ile razy będziesz opowiadał nam bajki o złych i krwiożerczych korporacjach? Zarówno Web, jak i ojciec nie zwracali uwagi na dziewczynę. - Obudź się wreszcie, człowieku! Od czasów twojej młodości upłynęła masa lat, świat się zmienił. Poszukiwacze traktowani są przez syndykaty jak skarb. Nie ma żadnego wyzysku, tylko dobrze płatana, bezpieczna robota. A tobie co przyszło z tej wolności? Bieda i głód, łaszenie się o parę kredytów do złodziejskich banków, a wreszcie kom-

pletna niemoc w obliczu ciężkiej choroby żony. Tak! To przez ciebie zmarła!

Frank, w reakcji na to oskarżenie, ryknął i rzucił się na syna. Jedną ręką chwycił za skafander, a drugą zaczął z furią tłuc go w hełm.

- Gdybyśmy pracowali dla korporacji, firma zapewniłaby matce konieczną opiekę medyczną - Web chwycił ojca za ramiona i z rozmachem uderzył głową w jego hełm. - A tak, skurwysynu, musieliśmy bezsilnie patrzeć, jak umiera! Nigdy ci tego nie zapomnę!

- Jak śmiesz, szczeniaku? - wycharczał Frank. - Może nie doszłoby do tego, gdyby Bóg obdarzył nas normalnymi dziećmi. Jak miałem z takim obciążeniem prowadzić firmę i zarobić na lekarza? Mając na głowie syna alkoholika, córkę wariatkę i na dokładkę tego wielkiego idiotę? Znikąd pomocy! Byłem sam, rozumiesz?!

- Przestańcie! - wrzeszczała zapłakana Ev. - Wasza nienawiść rozsądzi mi łeb! Przecież to wszystko przeze mnie przeżywa! Dość, do cholery, bo oszaleję!

Zajęta kłótnią trójka nawet nie zauważyła, jak przerażony Teo włącza silniki skafandra i znika między ciągnącymi się w nieskończoność stelażami.

* * *

Pies z zapartym tchem chłonał widowisko. Życie i emocje ludzi były niesamowicie ciekawe i poruszające. Ta pasja, z którą walczyli ze sobą, jednocześnie ciągle pozostając stadem. Ta wewnętrzna sprzeczność, targające ich duszami wykluczające się uczucia. Dwa samce aż świeciły od gniewu i nienawiści, pragnęły pozabijać się nawzajem, ale jednocześnie nadal

związane były silnymi oddziaływaniami emocjonalnymi o zdecydowanie pozytywnym wydźwięku.

Ludzie przybyli na okręt, by go ograbić, pies powinien natychmiast ich zaatakować. Nie mógł się jednak do tego zmusić. Gorzki smak samotności zagłuszył instynkt. Ciekawość i potrzeba towarzystwa okazały się silniejsze. Pragnął zbliżyć się do intruzów, posmakować ich uczuć. Nie chciał robić im krzywdy, nawet jeśli kolidowałyby to z wewnętrznymi uwarunkowaniami, które mu wpojono.

Najbardziej polubił Teo, powolnego olbrzyma o dziwnym umyśle. Chłopak sprawiał wrażenie samotnego i zagubionego, a jego dusza cierpiała bolesną tęsknotę. Pies szybko wywnąchał, że chodzi o utratę ukochanej matki, która była jedyną rozumiejącą go istotą. Samica odeszła, a chłopak nie mógł zrozumieć, dlaczego. Pojęcie śmierci nie mieściło mu się w głowie, jej ostateczność była zbyt przerażająca.

W czasie kłótni Teo z rosnącym lękiem obserwował krzyczących na siebie członków stada. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego walczą, skąd w nich tyle nienawiści. Załkał, czując gwałtowną falę tęsknoty za matką, która potrafiła uśmierzyć takie sprzeczki jednym słowem, jednym uśmiechem uspokoić zarówno ojca, jak i syna. Teraz jej nie było, i nigdy już nie będzie. Świadomość tego faktu tak zasmuciła chłopaka, że zapłakał bezgłośnie. Gdy przez łyzy zobaczył, jak Frank i Web skaczą sobie do gardeł, odwrócił się i włączył napęd skafandra na pełną moc.

Mknał coraz dalej w labirynt wielkich stelaży, nie oglądając się za siebie. Niewiele widział przez załzawione oczy, mimo to bez kłopotów lawirował między ładunkiem. Mijały minuty, a on oddalał się coraz bardziej, ogarnięty poczuciem beznadziei i coraz mocniej dominującym chłodem samotności. Nie

chciał wracać do domu, na Aligatora. Nikt już tam na niego nie czekał. Nikt nie poda pysznego obiadu, nie przytuli, nie wysłucha rozterek i smutków, nie pocieszy. Może lepiej zostać tu, w zimnym i mrocznym okręcie obcych. Ruszyć z nim w dalszą drogę, zanurzyć w nieskończonej czerni i pustce.

Pies śledził go, płynąc tuż na skraju postrzegania, ciągle jednak z ciałem wymazanym z infopola. Czuł się dziwnie, jego duszą targało współczucie i chęć niesienia pomocy. Czegoś takiego nie zaznał jeszcze w swoim długim życiu. Wspomnienia powróciły falą zapomnianych emocji, powodując nienaturalne pobudzenie i... radość. Wreszcie znów mógł być komuś potrzebny. Nieomal zawył ze szczęścia.

- Kto tu? - zadudnił Teo, zatrzymując się gwałtownie.

Wiedział, że coś go obserwuje. Czuł na karku obce spojrzenie, świdrujące niczym laserowy promień. Rozejrzał się, dysząc ciężko. Kątem oka dostrzegął cień umykający, gdy próbowało się na nim zogniskować wzrok. Odpiął z biodra palnik plazmowy i zapalił go, wyciągając w obronnym geście przed siebie. Na końcu metrowego rozdwojonego pręta zapłonęło białym ogniem wyładowanie plazmy.

Umykający cień zastygł i pociemniał. Rósł w oczach zmieniając kształt, powoli i jakby w skupieniu przybierając ostateczną formę. Przed chłopakiem unosiła się wielka bestia, żywcem wyciągnięta z najgorszego koszmaru. Miała kształt przypominający ogromnego psa o rozwartej paszczy, jednym kłapięciem mogącej rozerwać człowieka na pół. Potwór był czarny jak kosmiczna otchłań, choć jego ciało połyskiwało metalicznie, co chwila topiąc się i krystalizując w kanciastą strukturę najeżoną kolcami i rogami. Patrzył na chłopaka oczyma płonącymi białym żarem, niczym dwie kule rozgrzanego żelaza.

Teo opuścił i zgasił palnik, który przy rozmiarach potwora zdawał się być zwykłą zabawką. Obaj zastygli na dłuższą chwilę, mierząc się wzrokiem. Wreszcie chłopak wyciągnął dłoń i śmiało podbiegł do wielkiego psiska. Położył mu rękę na łbie, pogłaskał mocno i zdecydowanie. Wiedział, że nic mu nie grozi, czuł ciepło bijące od bestii, której ogromny pysk zdawał się uśmiechać.

- Skąd się tu wzięłaś, piesku? - spytał.

Potwór zamierdał ogonem i zawirował wokół chłopaka w szalonym tańcu radości. Okrążył go kilka razy, szturchając delikatnie pyskiem. Wreszcie polizał Teo ogromnym jęzorem i próbował wtulić mu łeb pod pachę.

- Hola! Spokojnie, bo wepchniesz mnie w stelaże! - chłopak roześmiał się, klepiąc bestię po łbie i kolczastym karku. - Jak masz na imię? Nie wiesz? No to od dziś jesteś Fafik. Wiesz, zawsze chciałem mieć psa, to było moje największe marzenie, gdy jeszcze mieszkaliśmy na Syriuszu Primie. Ojciec jednak nigdy nie chciał się zgodzić. Trzymanie zwierząt na stacji było bardzo drogie, a my zawsze mieliśmy mało kredytów. Chcesz się bawić?

Teo mówił szybko, bez typowej dla niego powolności i otępiałości. Bezmyślny wyraz twarzy, nadający mu aparycję idioty znikł, zastąpiony autentyczną radością. Pies łapczywie odbierał promieniujące od niego szczęście, upajając się nim i chłonąc je bez opamiętania. Ogarnęła go euforia, powodując, że poczuł się jak dawniej, jakby znów miał kochającego pana, jakby znów był szczeniakiem. Zawirował kilkakrotnie wokół chłopaka i rozpostarł swoją infomatrycę, ogarniając nią człowieka i wpisując się w jego ciało. Utworzył z nim symbiotyczny układ, niematerialną hybrydę. Rzucił się do szaleńczego biegu przez ładownię, ciągnąc Teo ze sobą. Zapra-

gnął pokazać mu swój dom i psie życie, podzielić się wszystkim, co miał.

* * *

Frank oparł się o ciągnik przycumowany magnetycznie do podłogi hali. Miał ochotę walić głową w ścianę. Był wściekły przede wszystkim na samego siebie. Jak mógł nie dopilnować Teo, przecież wiedział, że chłopak na rodzinne awantury zawsze reagował ucieczką. Spojrzał groźnie na starszego syna. Web majstrował przy panelu ciągnika, unikając wzroku ojca. Próbował wzmocnić przekaźnik radiowy, by namierzyć zaginionego brata. Nie mógł uruchomić łączności wiązkami neutronowymi, bo zachodziło niebezpieczeństwo zaburzenia tarczy informacyjnej i okręt mógł ruszyć w dalszą drogę. Byłoby to równoznaczne ze śmiercią, bo nikomu nie udało się jeszcze zatrzymać statku widma od wewnątrz. Ekipy badawcze i samodzielni poszukiwacze, którzy zdecydowali się pozostać na okręcie i ruszyć z nim w dalszą drogę, przepadali bez wieści. Nawet jeśli dolecieli do jakiejś bazy Odonatów, dotychczas nie dali znaku życia.

- I co, Ev? Czujesz go? - Frank zwrócił się do córki.

- Nic a nic - rozłożyła ręce. - Dziwne, powinien zostać po nim jakiś ślad, a wygląda, jakby zapadł się pod ziemię.

- Spokojnie, mamy jeszcze dwie godziny, nim tarcza się wyłączy - odezwał się Web. - Znajdziemy go.

- Statek widmo ma dwadzieścia kilometrów długości i trzy średnicy - mruknął Frank. - W dwie godziny zdążymy przeszukać tylko mały fragment. Niech to cholera, to moja wina!

- Nie ma co pluć sobie w brodę - powiedziała Ev. - Podzielimy okolicę na trzy sektory, rozdzielimy się i sprawdzimy kawałek po kawałku. Może Teo się otrząśnie i sam wróci?

Odpowiedziało jej powątpiewające spojrzenie brata, Frank pokręcił tylko głową. Najmłodszego syna od dzieciństwa podejrzewano o lekką formę autyzmu, a potem o początki schizofrenii. Z czasem rodzina przyjęła do wiadomości, że Teo jest umysłowo niepełnosprawny i trzeba otaczać go szczególną opieką. Zdarzało się, że spuszczone z oka oddalał się pochłonięty marzeniami lub zaciekawiony jakimś zjawiskiem czy obiektem. Za życia matki zwykle sam wracał, ale odkąd odeszła, zdarzało mu się oddalić na którejś stacji czy zaszyć gdzieś na pokładzie Aligatora i nie pojawiać przez wiele godzin.

- Mam coś! - niespodziewanie krzyknęła Ev. - Czuję ludzi z kierunku wyjścia. Nie Teo, ale kilku ludzi. Ble. Co za ohydne emocje. Mamy gości i to w dodatku paskudnych sukinsynów.

- Web, natychmiast wyłącz reflektory i napęd ciągnika! - rozkazał Frank sięgając do kabury przy biodrze. - Zgaście oświetlenie skafandrów, cisza w eterze, dopóki Ev nie poczuje, że się oddalają!

- Obawiam się, że to daremne - w słuchawkach całej trójki rozległ się męski głos. - Do ciągnika wpięty jest nadajnik, wszędzie was znajdziemy.

Pomiędzy stelażami pojawiły się snopy światła, które błyskawicznie zbliżały się do pozycji zajmowanych przez rodzinę. Frank zamachał rękoma, chcąc po cichu zwrócić na siebie uwagę syna i córki. Przyłożył palec do ust, po czym zaczął nadawać językiem migowym. Poszukiwacze znali go na wypadek, gdyby w obawie przed zabrudzeniem infopola trzeba było wyłączyć wszystkie systemy łączności.

- Skupię ich uwagę na sobie. Uciekajcie, gdy dam sygnał - zamigał.

Ev gwałtownie pokręciła głową.

- Bez dyskusji - dodał Frank.

Dziewczyna patrzyła na ojca przerażona. Broda jej drżała, a oczy wypełniły łzy. Dla całej trójki było jasne, że padną ofiarą bandytów żerujących na poszukiwaczach. Szajki obserwowały starty statków parających się budową infotarcz i śledziły je cierpliwie, czekając na łowy. Zwykle przestępcy pozwalali, by poszukiwacze zatrzymali okręt widmo, weszli na niego i korzystając ze swoich empatów znaleźli najcenniejszy towar. Potem bandyci mordowali łowców, a ich ciała pozostawiali na statkach, które ruszały w dalszą drogę. Zacierali w ten sposób ślady zbrodni i przejmowali łup. Policja znajdowała tylko opuszczony statek poszukiwaczy i automatycznie zakładała, że ci polegli w trakcie penetrowania okrętu widma.

Frank zabezpieczał się przed piratami, dokując tylko na stacjach należących do konfederacji kupieckich. Namiarów na widma nigdy nie brał od szemranych handlarzy, a wyłącznie od telematów z Gniazda, gwarantujących absolutną dyskrecję. Teraz zaklął wściekle i odbezpieczył pistolet impulsowy. Wymierzył go w pierwszą zbliżającą się sylwetkę. Nie strzelał. Czekał, aż wszyscy bandyci się pokażą, by zwiększyć szanse ucieczki swoich dzieci. Nie liczył na to, że sam wyjdzie cało z tego spotkania.

- Opuść broń, Frank, bo komuś jeszcze się coś stanie - pierwszy z intruzów powoli zatrzymał przed starszym mężczyzną.

Ten posłusznie opuścił rękę z pistoletem. Napastników było sześciu. Dowodził nimi niski grubas o czerwonej gębie zawsze wykrzywionej jowialnym uśmiechem. Jego towarzysze

byli typowymi drabami o ponurych spojrzeniach zawodowych morderców. Ich skafandry były faktycznie wojskowymi egzozskioletami z demobilu, dlatego Frank zrezygnował ze strzelaniny. Nie miał najmniejszych szans uszkodzić kórego-kolwiek.

- Co to ma znaczyć, Yve? - warknął. - Umówiliśmy się na odbiór towaru wieczorem na stacji.

Mężczyźni dobrze się znali. Frank od kilku lat handlował z grubasem, pośrednikiem zrzeszonym w kupieckiej gildii. Yve Caracas był szanowanym przedsiębiorcą zawodowo zajmującym się artefaktami. Słynął jako wybitny znawca i kolekcjoner kryształów. Frank utrzymywał z nim kontakty wyłącznie na stopie zawodowej, unikając bankietów i innych imprez organizowanych przez gildię. Ostatnio dotarły do niego plotki o rzekomych konszachtach kupca z piratami, ale włożył je między bajki. Przedsiębiorca miał zbyt wiele do stracenia, by ryzykować i wchodzić w układy z mordercami.

- Wybacz stary, ale potrzebuję towaru natychmiast. Niestety, nie będę mógł ci za niego zapłacić - Yve rozłożył ręce w teatralnym geście.

Ev próbowała zbliżyć się do ojca, ale jeden z oprychów zastąpił jej drogę, kierując w pierś zapaloną włócznię plazmową. Dziewczyna ustawiła silniki manewrowe we wsteczny ciąg i odleciała, opierając się plecami o stelaż. Bandzior uśmiechnął się do niej paskudnie i mrugnął. Jego porysowany pancerz zdobiła koślawa namalowana trupia czaszka. Ev poczuła falę mdłości, odbierając prymitywną żądzę i agresję emitowaną przez pirata. Zadrzała.

Pozostali mordercy unosili się nieco ponad osaczoną rodziną. Wszyscy uzbrojeni byli w płonące włocznie i zawieszono

ne u boków miotacze. Widać było, że nie pierwszy raz atakują poszukiwaczy.

- Co zamierzasz, Yve? Co cię opętało? - spokojnie spytał Frank.

- Och, daj spokój! Od razu opętało! - grubas pokręcił głową. - To po prostu interesy. Głupia sprawa, ale dwa dni temu parlament przyjął ustawę o swobodnej eksploatacji widm i uwolnieniu rynku. Minie trochę czasu, zanim nowe przepisy się uprawomocnią, ale tak czy inaczej stracę przez nie robotę. Poszukiwacze będą mogli sprzedawać kryształy na otwartym rynku, z pominięciem dotychczasowej kontroli i procedur. Do tego na Ziemi odkryto nowe zastosowania naszych cacek. Do tej pory używano ich tylko do utrzymywania galaktycznego netu, światowej sieci informacyjnej o natychmiastowym, zerowym czasie łączenia. Teraz okazało się, że zapis można wykorzystać także do generowania niesamowitych światów wirtualnych, szalenie głębokich, z pełną, zupełnie obcą matrycą uczuciową. Z tego co wiem, pracuje się nad kolejnymi zastosowaniami, ponoć także w nowych technikach kierowania statkami transgalaktycznymi. Zapis ma generować dla pilotów i pasażerów nowe światy, które uchronią być może ich umysły przed szokiem nadprzestrzennymi. I tak dalej, i tak dalej. Tak czy inaczej, łowy zaczną się coraz bardziej opłacać. Pojawi się masa nowych poszukiwaczy, rozkwitnie rynek, ale niestety bez takich jak ja fachowców.

- Nie pozostało ci nic innego, jak zająć się piractwem. Niestety, na nas zbyt wiele nie zarobisz. Trafiliśmy na pustaka, wszystkie kryształy są czyste.

Grubas zacisnął dłonie w pięści, jego świńskie oczka zwężyły się w grymasie złości.

- To komplikuje sprawę - mruknął. - Pustaki mają wartość tylko ozdobną. Mogę co najwyżej wybrać coś z tego towaru dla kolekcjonerów. Ale to ledwie pokryje moje bieżące potrzeby. Mamy chyba dziś wszyscy pecha.

- Może zatem zostawisz nas w spokoju?

- Nie mogę. Mam jednak dla ciebie pocieszającą informację, Frank. Twoja córka przeżyje nasze dzisiejsze spotkanie. Empaci są na wagę złota i uważam, że ich zabijanie to czysty idiotyzm. Zamierzam stworzyć własną stajnię czuciowców, których będę używał do samodzielnych poszukiwań i ekspertyzy kryształów. Przyznasz, że to świetny pomysł?

- Zamierzasz nas zamordować, a z Ev zrobić niewolnicę?
- warknął starszy mężczyzna.

- Mhm. Myślę, że twoja córka może umilić niejedną noc - grubas uśmiechnął się szeroko.

Reflektory na hełmie Franka błysnęły pełną mocą niczym fotonowy wybuch. Mężczyzna uniósł pistolet i wymierzył prosto w twarz Yve. Grubas był jednak szybszy, natarł na przeciwnika, uderzając w niego ciałem. Frank odbił się od pirata i z impetem uderzył o stelaże.

- Zabić go - warknął Yve.

- Nie! - Jednym głosem krzyknęli Ev i Web.

Błysk miał być dla nich sygnałem do ucieczki, ale żadne z nich nie posłuchało. Web szarpnął za dźwignię sterową ciągnika, obok którego przez cały czas stał, włączając w maszynie pełen ciąg. Pojazd ruszył jak wystrzelona torpeda, wpadając między piratów. Chłopak pędził razem z nim wpięty do uprzęży. Wyciągnął rękę do ojca, by przechwycić go w locie.

Ev zamknęła oczy i skoncentrowała swoje obrzydzenie i strach w spolaryzowaną, empatyczną lancę, którą pchnęła w

najbliższe źródło agresji i żądy. Unoszący się przed nią pirat z czaszką na pancerzu zgiął się wpół, trzymając za głowę.

Web był już o metr od ojca, gdy któryś z piratów pchnął włącznią w korpus ciągnika, Rozdwojony grot, płonący białymi piorunami plazmy, przepalił pancerz i zagłębił się w sercu pojazdu. Ciągnik gwałtownie zmienił kierunek lotu i grzmotnął w najbliższy stelaż, wbijając się w niego do połowy. Chłopakiem rzuciło w pierścienie z kryształami, kilka z nich wyrывая z mocowania. Natychmiast w jego stronę pomknął kolejny z piratów, śmiejąc się i unosząc włączoną włącznią. Bandydzi nie sięgnęli na razie po miotacze, najwyraźniej nie uważając poszukiwaczy za groźnych przeciwników.

- Uwaga! - ryknął Frank do syna, znów unosząc broń.

Zaczął strzelać do Yve i dwóch towarzyszących mu piratów. Lufa pistoletu zajarzyła się czerwonym blaskiem i plunęła kilkoma impulsami grawitacyjnymi szarpiącymi lokalnie przestrzeń. Bandydzi rozproszyli się, wściekle rycząc przekleństwa.

Web miał wrażenie, że kolizja ze stelażem połamała mu wszystkie żebra. Próbował spazmatycznie łapać powietrze, walcząc z potwornym bólem. Całe szczęście skafander wytrzymał uderzenie i nie rozhermetyzował się. Spojrzał na nadlatującego wroga. Pirat był olbrzymem w krwiście czerwonym pancerzu i z całkowicie czarną przyłbicą. Zdawał się być demonem z sennego koszmaru, a nie rzeczywistym wrogiem. Web nie zdążył nawet wypiąć się z upręży, szamotał się uwięziony splątanymi linkami. Bandyta zatrzymał się tuż przy nim i zamachnął do śmiertelnego ciosu, mierząc w brzuch chłopaka. Web zamarł i zamknął oczy.

* * *

Teo miał oczy szeroko otwarte. Z dziecięcą fascynacją chłonał wszystko, co pokazywał mu pies. Lecieli z ogromną prędkością, szaleńczo klucząc między stelażami. Rozbijali w pył unoszące się gdzieniegdzie truchła wielkich robali. Chłopak odbierał nieomal namacalną pogardę, z jaką odnosił się do nich jego towarzysz. Pies od zawsze ich nie cierpiał, były przecież tylko pozbawionymi uczuć i dusz niewolnikami, których panowie używali do brudnej roboty. Trzeba było bez przerwy strzec przed nimi magazynów, bo ważki chętnie spijały zawartość kryształów.

Potem pies skierował się do jednego z otworów w ścianie, wpadając do sekcji dziobowej okrętu. Teo mógł chwilę podziwiać wąskie i zawile korytarze oświetlone bladym blaskiem. Poszukiwacze obawiali się w nie zapuszczać ze strachu przed zgubieniem w labiryncie tuneli. Dwaj kompani przelecieli przez owalne pomieszczenia, w których stały błyszczące struktury tworzące system nawigacji w infopolu. Nieregularna płatanina przezroczystych kształtów, mieniących się świetle niczym powierzchnia cieczy, sprawiała wrażenie wielkiej, surrealistycznej rzeźby.

Przemknęli przez gniazda robali, pełne wyschniętych i pokruszonych kokonów, obejrzeni maszynownię z kanciastymi, ażurowymi mechanizmami, dotarli do reaktorów i mieniącej się feerią barw tarczy siłowej chroniącej infonapęd. Odwiedzili puste kwatery panów i park maszyn z ciasno ustawionymi owalnymi pojazdami i dziwnymi urządzeniami. Obejrzeni rejony okrętu, których pies nie potrafił nazwać ani w myśli sformułować ich przeznaczenia. Teo zobaczył tam płynące przez krystaliczne konstrukcje rzeki rtęci, zwisające ze sklepienia pajęczynopodobne struktury i pełne martwych roślin baseny zamknięte świetlistymi kopułami.

W czasie błyskawicznej podróży pies nieustannie smakował myśli i emocje człowieka. Delektował się ich mocą i stopniem skomplikowania. Ze zdumieniem obserwował, jak umysł chłopaka płacze się, przeskakuje ze ścieżki na ścieżkę i gubi w chaosie. Cieszyło go, że Teo całkiem zapomniał o bólu i samotności. Pies nie zauważył, kiedy sam przestał dręczyć się dokładnie tym samym, całkowicie koncentrując na człowieku.

Powoli zaczął odkrywać w chaosie ludzkiego umysłu głębsze pokłady. Rozpostarł infomatrycę ciała Teo, węsząc w niej bez opamiętania. Wpadł na trop. Człowiek nie został stworzony w naturalny sposób. Pochodził z dziwnego związku człowieka z genetycznie modyfikowaną istotą. Modyfikowaną topornie i nieudolnie. Chaos genetyczny, z którego się narodził, miał mnóstwo błędów i dziwacznych kombinacji. Teo był kaleką. Otrzymał przypadkową pulę genów, która dawała mu niezwykle ciekawe możliwości, jednocześnie będąc przekleństwem i odciskając piętno na jego umyśle.

Ten człowiek posiadał głęboko ukryte zdolności mentalne nieomal dorównujące umysłom panów. To dlatego tak przyciągał psa. Mimo że Teo był tylko prymitywnym organizmem białkowym, mógł władać niezwykłymi mocami. Objawiały się one szczątkowo, niestety przygniecione umysłowym zamuleniem i chaosem. Wystarczyło tylko je odblokować. Pies już sięgał w głąb ludzkiej duszy, by ją wyprostować i uwolnić od ciężącego otepienia, gdy poczuł szarpnięcie niematerialnego łańcucha. Na okręt wtargnęli kolejni intruzi!

Pies pognał z powrotem do magazynów, ciągnąc za sobą chłopaka. Już po drodze poczuł, że nowi przybysze to bestie. Przyciągali niczym czarna dziura, pochłaniając ciepło emitowane przez rodzinę Teo. Sami emitowali fale nienawiści, po-

gardy, najbardziej plugawej żądz i agresji. Byli niczym potwory, przed którymi kiedyś pies musiał chronić ładunek. Natychmiast zjeżył się, warcząc głucho. Teo wyczuł jego niepokój i rosnącą złość, zatkał ze strachu. Domyślił się, że jego rodzinie grozi niebezpieczeństwo.

Wpadli pomiędzy stelaże, ciągle pozostając w wymazanej infomatrycy, niewidoczni dla ludzi. Pies z trudem powstrzymał odruch, by rzucić się ze szczekaniem na bandytów. Spaliłby swoją złością nie tylko bestie, ale i bliskich Teo. Zamiast tego wdarł się do umysłu chłopaka i szarpnął za wiążące go mentalne pęta. Pchnął człowieka w wir walki, wycinając z kamuflującej matrycy.

Teo poczuł niezwykłą lekkość i jasność umysłu. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się postrzegać świata w tak jasny i przejrzysty sposób. Jednym spojrzeniem zlustrował sytuację, mknąc niczym wystrzelony pocisk. W żyłach zagrział mu gniew i rodząca się furia. Moc uderzyła gorącą falą, krystalizując jego myśli w ostrą szpicę. Świat jawił mu się teraz jako przejrzysty kryształ, w strukturę którego można bez trudu ingerować.

Jedną myślą zacisnął czterowymiarową czasoprzestrzeń, naginając jedną z jej składowych. Czas dla Teo zwolnił, nieomal zastygając w miejscu. Chłopak podleciał do pirata mierzącego włócznią w plecy Ev i pchnął go mocno. W chwili, w której dotknął ramienia bandyty, jednocześnie złapał i szarpnął za jego duszę. Poczuł jak strumień uczuć, emocji i cała świadomość pirata przepływa do jego ciała. Płynnie zablokował ją w stworzonej na poczekaniu infomatrycy i poleciał dalej. Ominął zawieszoną bez ruchu siostrę i musnął dłonią zwiniętego z bólu pirata, którego zaatakowała. Pochłonął całą jego jaźń, jakby

zaciągał się dymem z papierosa. Pomknął dalej, nawet na chwilę nie zwalniając.

Trzeci z piratów zauważył jego obecność i sięgnął do pasa po miotacz, ale poruszał się jak mucha w smole. Teo pchnął go, jednocześnie odbierając haracz w postaci duszy. Zawrócił po krótkim łuku i wpadł na następnego przeciwnika. Ten też nie zdążył się obronić, choć zamachnął włócznią. Chłopak minął go i skierował się ku bandycie mierzącego do Weba. Nie zdążył jednak go zatrzymać. Sekundę wcześniej strzał z pistoletu Franka strzaskał hełm pirata i zmasakrował mu twarz. Teo musnął tylko umierającego wrywając mu duszę. Czuł, że długo nie zdoła panować nad kłębiącymi się w lokalnych, zablokowanych infomatrycach skupiskami świadomości i uczuć. Rozładował je jednym gestem, kierując w unoszące się tuż obok pojemniki. Kryształowe zamknięte w stalowych pierścieniach przetworzyły dusze w fizyczny zapis, rozbłyskując na chwilę wewnętrznym żarem.

Dla uczestniczących w potyczce całe wydarzenie trwało ledwie trzy sekundy. Teo pojawił się jak pędząca kometa, wpadając na piratów i potężnymi ciosami wysyłając ich między stelaże. Każdy, którego dopadł, z ogromną siłą trafiał w metalowe konstrukcje, ginąc na miejscu. Yve zaklął tylko, widząc poruszającego się jak błyskawica chłopaka, który kilkoma pchnięciami zmasakrował całą jego drużynę. Grubas bez zastanowienia włączył napęd swego kombinezonu na pełny ciąg i pomknął w ciemność. Zdążył przelecieć ledwie kilkadziesiąt metrów, gdy z mroku ukształtowała się przed nim wielka bestia wyglądająca jak ogromny, czarny pies o płonących ślepiach.

Yve wrzasnął i w panice skręcił gwałtownie, próbując uniknąć kolizji z potworem. Zahaczył o metalową konstrukcję

i wpadł między pierścienie z kryształami, wrywając je z mocowania. Pchany siłą bezwładności, niezdarnie kręcąc się w kółko i krzycząc z przerażenia, przeleciał przez cały stelaż, by z impetem uderzyć w wewnętrzną krawędź konstrukcji. Ostra stal przecięła go dokładnie w połowie, rozdzielając na dwie części. Teo złapał uchodzącą w pustkę duszę i pchnął ją w jeden z kryształów.

Ev dygotała z przerażenia. Czuła śmierć bandytów, a takie doznania dla każdego empaty były wstrząsające. Skupiła się na rodzinie. Ich uczucia i myśli płynęły nieprzerwaną falą. Wszyscy przeżyli. Dziewczyna westchnęła z ulgą.

Powrót na Aligatora, jedynie z wykorzystaniem silników manewrowych skafandrów, trwał już ponad dwie godziny. W międzyczasie zerowe infopole zabrudziło się i okręt widmo ruszył w dalszą drogę, znikając z postrzeganego wszechświata. Nikt z rodziny nawet się nie odwrócił, by oglądać start kolosa, cała czwórka zajęta była utrzymaniem się w szyku i holowaniem skarbów. Ev i Teo trzymali się za ręce, ciągnąc sześć pierścieni nanizanych na stalową linkę. Frank i Web lecieli kilkanaście metrów za nimi, pilnując, by żadne ze znalezisk się nie zgubiło.

Zgodnie z tym co mówiła Ev, artefakty były niezwykle cenne. Empatka twierdziła, że świecą energią niczym miniaturowe słońca. Tak nasycone kryształy były rzadkością i kosztowały majątek. Aż zadziwiające, że wcześniej ich nie wyczuła. Zobaczyła je dopiero po incydencie z piratami, gdy witała się z Teo.

- Braciszek pokazał, na co go stać - odezwał się Web na wewnętrznym paśmie ustawionym tak, by słyszalny był tylko

dla Franka. - Aż dziw bierze, że idiota tak świetnie poradził sobie z bandziorami.

- Nie mów w ten sposób o Teo - mruknął ojciec. - Nie jest idiotą, ma tylko problemy z jasnym formułowaniem myśli. Poza tym wszystko z nim w porządku.

Web zamilkł na chwilę. Przemówił powoli, jakby ważąc słowa.

- Przepraszam za to, co wtedy powiedziałem, Frank. Wcale nie jesteś odpowiedzialny za śmierć matki. W gniewie ludzie mówią czasem straszne rzeczy. Wybacz.

- Po części jestem - starszy mężczyzna pokręcił głową. - Wiedzieliśmy, że jej kres nadejdzie szybciej niż u zwykłego człowieka, a jedyną szansą jest terapia genetyczna na lo. Powinienem zadbać o zabezpieczenie na nią środków.

- Matka była neoczłowiekiem - stwierdził Web. - Z Ev domyśliliśmy się tego już dawno. Kuracja niezbyt by pomogła, konstrukty pierwszej generacji miały mnóstwo błędów, praktycznie nie do uleczenia.

- Spotkałem ją w stacji telematycznej, w Dolnym Gnieździe, wpiętą w układ infotechniczny jak jakaś maszyna. Ukradłem ją i wywiozłem z terenu korporacji. Wiedziałem, że po czymś takim nie będę mógł liczyć na pracę w jakimkolwiek syndykacie. Skazałem ją na śmierć.

- Dałeś jej coś, czego nie dałaby żadna korporacja. Pamiętam, że umierała spokojnie, z uśmiechem. Była naprawdę szczęśliwa.

- To dzięki wam. Frank spojrzał na Weba. - Koniecznie chciała mieć dzieci, mimo ryzyka, że urodzą się kalekie. Wiesz już, dlaczego Ev jest czuciowcem, a Teo cierpi przez uszkodzenie mózgu.

- Chyba się o to nie obwiniasz? - chłopak uśmiechnął się do ojca. - Normalnym ludziom też rodzą się niepełnosprawne dzieci. Spójrz na tę dwójkę. Wcale nie sprawiają wrażenia pokrzywdzonych przez los. Widziałeś, jak świetnie sobie poradzili w czasie zagrożenia. Zresztą, rodziny się nie wybiera, musisz kochać, to, co masz.

Frank pokiwał głową, uśmiechając się coraz mocniej.

- Tato - niespodziewanie odezwał się Teo, odwracając w stronę ojca. Mówił jak zwykle wolno i z namysłem. - Czy mógłbym mieć psa?

- Pewnie. Kupię ci na stacji handlowej. Stać nas.

- Ale ja już go mam. Znalazłem na statku widmie. Pytam tylko, czy mogę go zatrzymać.

Ojciec westchnął i spojrzął na Weba, szukając wsparcia. Ten wzruszył ramionami.

- Teo jest w szoku, gołymi rękami zabił kilka osób - szepnął. - Wymyślony pies to może być ochronna reakcja umysłu na wstrząs. Wiesz, coś jak wymyślanie przyjaciół przez dzieci.

Frank skinął głową i zwrócił się do najmłodszego syna.

- Oczywiście, możesz go zatrzymać. Dobrze się nim opiekuj.

- Dzięki, tato. On ma na imię Fafik, wiesz?

* * *

Fafik położył się obok łóżka, na którym spał Teo. Pies zmodyfikował swoją infomatrycę, dostosowując rozmiary i kształt ciała do wyobrażeń chłopaka. Był teraz rozszczękanym, białkowym stworem sięgającym człowiekowi do połowy łydki. Krótką, białą sierść pokrywały brązowe łaty, z jedną na-

chodzącą na prawe oko i nadającą mu wygląd psiego zawadziaki. Nowa forma, siłą rzeczy, wpłynęła też na jego psychikę. Instynkt stróża znacznie się przytępił, także porzucenie okrętu widma przyszło mu bez problemów.

Położył się tak, by widzieć swego nowego pana. Nie lubił tracić go z oczu. Podświadomie przerażało go, że mógłby zostać porzucony, jak kiedyś. Poza tym czuł się potrzebny. Musiał opiekować się tym kalekim człowiekiem, by w razie czego odsłonić jego zablokowaną moc. Nie potrafił zrobić tego na stałe, mógł tylko siłą woli zamarkować mentalne defekty Teo, w dodatku i tak na niezbyt długo. Nie miał więc innego wyjścia, jak zostać przy swoim człowiekiem, by się nim opiekować. W zamian wystarczy mu odrobina miłości, a tym chłopak obdarzał go w ogromnych ilościach. Pies niczego więcej nie potrzebował.

Postanowił na razie nie afiszować się obecnością przed pozostałymi członkami ludzkiej rodziny. Gdy pojawiała się któreś z nich, wymazywał swą infomatrycę, pozostając postrzegalnym jedynie dla Teo. Obawiał się, że nie zostanie przez nich zaakceptowany. Marzył o tym, by kiedyś stać się pełnoprawnym członkiem stada, ale czuł, że musi jeszcze na to poczekać. Zresztą, nie miał po co się śpieszyć.

Wciągał przez nos powietrze, delektując się nowymi, organicznymi zmysłami. Psi węch okazał się niezwykłym instrumentem, prawdziwie fascynującym Fafika. Czuł zapach tworzyw sztucznych, którymi było wypełnione wnętrze Aligatora, warzywnej zupy, zrobionej przez Ev, metaliczny posmak powietrza odświeżanego przez filtry, wilgoć z łazienki, gdzie właśnie mył się Frank, wreszcie zapach śpiącego Teo. Pies czuł swój nowy dom, Westchnął z rozpierającego go szczęścia i zasnął.

Kazimierz Kyrz Jr & Łukasz Radecki

HIPOPOTAM

Tego dnia wypadła moja kolej przywiezienia Hipolita ze szkoły. Oboje z żoną pracujemy, więc mały zwykle musi długo czekać w świetlicy. Co prawda chodzi do czwartej klasy i mógłby wracać sam, ale po pierwsze - mieszkamy daleko, a po drugie - okolica nie jest oazą spokoju. Trzy lata temu jakiś psychopata zgwałcił i udusił córeczkę Michalskich. Kradzieże i pobicia też się zdarzają. Postanowiliśmy więc, że na razie Hippek będzie zawożony i przywożony ze szkoły.

Ledwie Hipolit wszedł do nissana, wielkie krople deszczu zabębniły o szyby i dach.

Sprawdziłem, czy zapiął pasy, i ruszyłem z piskiem opon. Chciałem jak najszybciej dotrzeć do domu, coś przekąsić i wyrwać się na spotkanie koła łowieckiego. Skoro należą do niego takie osoby jak starosta, ordynator oddziału ginekologicznego, sędzia, dwóch prokuratorów i komendant policji, mnie też nie może tam zabraknąć... Poza tym już strasznie dawno nie byłem na polowaniu! Aż mnie nosiło, żeby wpakować trochę ołowiu w jakiegoś liska czy kaczkę.

Mieliśmy do pokonania ponad kilometrowy odcinek drogi wiodącej przez stary dębowy las. Gdzieś tak w połowie trasy silnik zakrztusił się i zgasł.

- Jasna cholera! - zakląłem i po kilku bezowocnych próbach odpalenia samochodu wygramoliłem się na zewnątrz, by

sprawdzić, co się stało. Burza tymczasem rozszalała się na dobre. Wiatr wiał potężnie, igiełki lodu siekły mnie po twarzy. Niedaleko ze złowieszczym pogłosem przetoczył się grzmot.

Podniosłem maskę. W zapadłych przedwcześnie ciemnościach niewiele było widać. Miałem właśnie wracać po latarkę, gdy... Nie tyle usłyszałem, co raczej podskórnie odczułem jakiś zgrzyt czy chrobot. W następnej sekundzie moje ramię eksplodowało bólem.

Kiedy ocknąłem się, ujrzałem nachylającego się nade mną Hipka.

- Tatooo! Tatusiuuu! - krzyczał z rozpaczą. - Nie umieraj!

Leżałem na mokrym asfalcie, przygnieciony przez wyrwane z korzeniami drzewo. Patrzyłem na mojego synka, ale nie byłem w stanie nic powiedzieć.

Oczywiście, wcale nie miałem zamiaru umierać. Tym bardziej, że wiedziałem, że Hipek mnie potrzebuje, że nie mogę, ot tak po prostu, go zostawić. To nie mogło się tak skończyć. Nie mogłem odejść!

★ * ★

I nie odszedłem. Przynajmniej nie do końca. Nie mam pojęcia, jakim cudem to się stało, ale kiedy następnym razem otworzyłem oczy, byłem u siebie. Co prawda nie w swoim ulubionym fotelu, lecz w pokoju Hipka...

Moment, nie powiedziałem wam najważniejszego. Obudziłem się nie tyle w pokoju mojego syna, co w nim samym. To znaczy - byłem nim. Widziałem to, co on, jadłem jego śniadanie, piłem ten sam sok, słyszałem dokładnie to, co i on... Była

jednak między nami jedna zasadnicza różnica. On robił, co chciał, ja nie miałem na to wpływu.

Mówiłem do niego, krzyczałem, próbowałem tak pokierować ręką, by napisała list do mojej żony. Wszystko na próżno.

Pogrzeb odbył się następnego dnia. Poszło sprawnie, bo wszystkim zajął się mój szwagier. To człowiek-orkiestra, nieprzeciętny organizator i prowodyr rodzinnych imprez.

Natura zachowywała się tak, jakby chciała udaremnić ceremonię. Lało jak z cebra, nieliczni żałobnicy, którzy odważyli się stawić czoła temu meteorologicznemu monstrum, modlili się w duchu, by ksiądz się streszczał. Nikt nie miał ochoty stać się kolejną ofiarą zabójczej pogody.

Ksiądz chyba podzielał ten punkt widzenia. Zmówił obowiązującą formułkę, pokropił wszystko święconą wodą i zmył się jak niepyszny. Kilka osób rzuciło na trumnę po grudce wilgotnej ziemi, a grabarze pochwycili łopaty.

Było mi szczerze żal Hipolita. Patrząc na tę scenę, bardziej musiałem się wszystkiego domyślać niż rzeczywiście cokolwiek widziałem jego zapuchniętymi od płaczu oczami.

* * *

- Pośpiesz się mamó, bo spóźnię się na lekcje! - Hipek stanął w progu w kurtce, czapce i z plecakiem w ręku. Matka odwróciła się od toaletki, ukazując groteskowe oblicze klauna, który zdążył namalować jedynie połowę swego scenicznego makijażu. Zmierzyła syna niewidzącym wzrokiem i wróciła do przerwanej czynności.

- Za dziesięć minut będę gotowa - odparła, - A teraz się rozbierz.

- Mamo!
- Bez dyskusji - ucięła.

Zawsze jeździła bardzo ostrożnie, jednak po mojej śmierci doprowadziła wymóg bezpieczeństwa do granic absurdu. Samochód włókł się niemilosierdzie, mijany przez rozwścieczonych kierowców, którzy nie omieszkali klaksonami i obraźliwymi gestami zmanifestować niezadowolenia.

Hipek siedział naburmuszony, nie zwracając uwagi na otoczenie. Z narastającym niepokojem obserwował tarczę zegarka i liczył, ile jeszcze czasu minie, nim dotrze do szkoły. Koniec końców samochód zatrzymał się przed piętrowym budynkiem, w którym mieściła się podstawówka.

Dwadzieścia po ósmej.

- Uważaj na siebie... - poprosiła matka. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Hipek już porwał plecak i wyskoczył z samochodu. Kobieta spojrzała z żalem za znikającym we wnętrzu szkoły synem, po czym powoli zawróciła, kierując się do bramy wjazdowej.

Hipek popędził korytarzem, omal nie zderzając się z woźną.

- Gdzie z tym błotem?! Co za bydło! - krzyknęła zagniewana. - Nie widzi, że zmywam?!

Wymamrotał coś niezrozumiale i śmignął do szatni. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że po dzwonku jest zamknięta. Zwykłe zabezpieczenie przed wałęsającymi się i wagarującymi uczniami starszych klas obróciło się teraz przeciwko niemu. Wolał nie ryzykować awantury i nie prosić woźnej o otwarcie boksu. Usiadł więc na ławce, szybko zmienił buty, chowając do reklamówki te, w których przyszedł. Przewiesił kurtkę przez ramię i pobiegł do klasy. Bał się spóźnienia, polonistka zwana Kosą nie należała do wyrozumiałych nauczy-

cielek. Chłopcy w starszych klasach żartowali, że żyje we własnym matriksie, nie zauważając zmian zachodzących na trzeciej planecie od Słońca.

„Cokolwiek by to miało znaczyć”, pomyślał Hipek. Dopadł do drzwi, odczekał, aż wyrówna mu się oddech i zastukał niegłośno. Po chwili nacisnął klamkę i z duszą na ramieniu wśliznął się do środka. Powitały go śmiechy, automatycznie zgaszone przez zabójcze spojrzenie nauczycielki. Jej orlnos, zapadnięte policzki i przypominająca kościotrupa sylwetka świadczyły niezbicie o tym, że właśnie przegrała kolejną bitwę z anoreksją. Wynikające z tego wieczne rozdrażnienie czyniło ją jeszcze groźniejszą.

- No, proszę, proszę... Jezicki bawi się w śpiącą królową? Czy może ziarnko grochu było za małe i śpioszek nie poczuł, że trzeba wstać? - Szpila za szpilą, metodycznie i powoli. Gdyby chłopak był motylem, tkwiłby przytwierdzony do tablicy.

Hipek otworzył usta, jakby nagle zabrakło mu powietrza, bąknął przeprosiny i ruszył do ławki. Niepisane mu było przybić do tej bezpiecznej przystani.

- Ty dokąd, Jezicki, pchasz się z tymi tobołami? Tabory cygańskie chcesz tu założyć? W Wielką Emigrację się bawisz? Stój prosto, jak do ciebie mówię! Nie gibaj się jak paralytyk! To nie cyrk! - dogadywała polonistka, wyraźnie uskrzydłona swoją erudycją.

Czwartoklasiści ledwo powstrzymywali się od śmiechu, ze złośliwą satysfakcją patrząc na upokorzenie kolegi. To przecież strasznie śmieszne, gdy nauczycielka wyżywa się na kimś innym, prawda? A ona akurat uwielbiała pogrywać sobie w ten sposób. Wprawdzie uczniowie słyszeli, że podobne praktyki są zabronione, ale nawet oni - pomimo swego wieku -

zdążyli zorientować się, że na tym świecie są równi i równiejsi. Kto przy zdrowych zmysłach ośmieliłby się zadzierać z Kosą?

- No dobrze, koniec przedstawienia! Siadaj do ławki! A ty, Konarska zwróciła się do przewodniczącej - pokaż naszemu błędnemu rycerzowi, co ma przepisać. Tylko niech usłyszę choć jedno zbędne słowo, wszyscy wyciągają karteczki! - dodała na koniec i wróciła do przerwane go monologu na temat bezokoliczników o trudnych zakończeniach.

Hipolit zabrał się do przepisywania nowych wiadomości i regulek, zadowolony, że nie musi czynnie uczestniczyć w lekcji.

Ten względny błogostan nie trwał długo.

- Jezicki! - Z zadumy wyrwał go skrzek nauczycielki. - Zobaczmy, czy wróciłeś z orbity. Do odpowiedzi!

- Ale, proszę pani... - Hipek zerwał się wystraszony.

- Żadnego „ale”! - warknęła Kosa. - Zeszyt bierz i do mnie! Przepytały się z trzech ostatnich lekcji.

- Mnie nie było... - jęknął chłopiec.

- To nie jest żadne wytłumaczenie - odparła dobitnie polonistka. - Rozumiem, że oddajesz walkowerem. Siadaj, nadal dobrze.

- Ja byłem...

- Nie czas na łyzy, śpiąca królowo - weszła mu w słowo nauczycielka. - Trzeba się było uczyć. Tyle razy powtarzałam wam, że nic nie osiągniecie bez systematycznej pracy. I co?! Do was jak grochem o ścianę!

* * *

Noga za nogą powlókł się do szatni, gdzie w zamian za kurtkę i buty dostał numerek. W połowie schodów ktoś złapał go za łokieć.

- Stój, młody! - usłyszał z tyłu.

Domyślał się, kogo zobaczy. Buncor i Masakra, dwaj drugoroczni szóstoklasiści, patrzyli na niego z wyższością. Nic dziwnego, zwłaszcza że obaj byli wyrośnięci ponad swój wiek.

Jeśli się ma takich przyjaciół, to żaden wróg nie jest już potrzebny, pomyślał Hipek, rozglądając się gorączkowo. Daremny trud. Jak zwykle w podobnych sytuacjach w pobliżu nie było żadnego nauczyciela. Pozostali uczniowie omijali ich pośpiesznie, udając, że nie wiedzą, co się święci.

- Masz fanty? - syknął Masakra.

Hipek markotnie kiwnął głową.

- To na co czekasz? Dawaj! - zarządził Buncol, owiewając go nieświeżym oddechem. Hipek uklęknął i wygrzebał z plecaka drugie śniadanie. Podał je drżącymi rękoma. Wyrostek wyszarpnął kanapki z dłoni chłopca niczym pies rzucający się na ochłap mięsa.

- A sałata? - spytał Masakra. - Mamusia nie dała na soczek? Lepiej nie ściemniaj, bo i tak znajdziemy! - dodał, zezując po korytarzu. Hipek poczuł, że zbiera mu się na płacz, jednak powstrzymał łzy. Poszperał w kieszeni spodni i wyciągnął dwa złote, które dostał od matki.

- Pięknie, młody! - wyszczerzył się Buncol, odsłaniając poźółkłe od nikotyny

Hipopotam Kazimierz Kyrz Jr & Łukasz Radecki

siekacze. - No to rób rząd i pedatuj stąd! - zarządził łaskawie. Masakra rzucił jeszcze na odchodnym;

- Tylko nie kłap gębą za dużo, żeby coś ci się nie przytrafiło! A tu masz na szczęście! - parsknął, wymierzając mu kopniaka.

Hipolit zatoczył się, wtulił głowę w ramiona i powlókł się pod klasę. Usiadł pod ścianą, chowając twarz w dłoniach. Korytarz dudnił gwarem obcych, nieprzystępnych i całkowicie obojętnych istot.

Nie mogłem uwierzyć, że to, co widzę, naprawdę się dzieje. W czasach, gdy tyle się mówi o reformie szkolnictwa, gdy trąbi się o bezstresowym wychowywaniu dzieci, mój syn był gnębiony przez zołzowatą nauczycielkę i młodocianych bandytów, regularnie ściągających z niego haracz! Boże! Hipek! Dlaczego nic mi nie mówiłeś? Kiedy pytałem, jak w szkole, odpowiadałeś, że okej. Owszem, oczekiwałem takiej odpowiedzi, bo skąd mogłem wiedzieć, że masz takie problemy?!

* ★ ★

- Muszę coś ci pokazać - Hipek wyciągnął z plecaka zeszyt do polskiego i wyjął z niego klasówkę. Podał ją mamie. Cztery strony upstrzone czerwonymi podkreśleniami. W prawym górnym rogu ocena - jedynka - wielka jak wieża Eiffla.

Bez słowa patrzyła na to świadectwo porażki syna.

- Nic nie powiesz? - spytał chłopiec, bardziej przestraszony brakiem reakcji niż spodziewaną karą.

- Nic - odparła obojętnie.

- A możesz tu podpisać?

- Tu?

- Tak.

Złożyła zamaszty podpis, oddała Hipkowi klasówkę, po czym wróciła do oglądania reklam. Tych najgłupszych i najbardziej kłamliwych, bo wyborczych.

Minęło kilka minut wypełnionych przez lejące się z ekranu obietnice bez pokrycia.

- Mamo - odezwał się niepewnie chłopiec.

- Tak?

- Czy z tobą wszystko w porządku?

- Dlaczego pytasz? - Gapiła się w telewizor, jakby grała w dorosłą odmianę zabawy pod tytułem: „kto pierwszy odwróci wzrok? ”.

- Bo... w ogóle nic do mnie nie mówisz. Nie interesujesz się, co u mnie w szkole, nie spotykasz się z nikim...

- To coś złego?

- No nie... ale od śmierci taty jesteś jakaś dziwna.

- A jaka według ciebie powinnam być? Mam się cieszyć, podskakiwać ze szczęścia?! A może wolałbyś, żebym wystąpiła w „Szansie na sukces” i pokazała całemu światu, że wdowa też może coś osiągnąć?!

Nawet głuchy usłyszałby ironię w jej głosie.

- Mamo... masz jeszcze mnie.

- Myślisz, że o tym zapomniałam? - Wreszcie wyłączyła telewizor i spojrzała na syna. - Jesteś tak podobny do niego... To boli...

* * *

Poduszka była mokra od łez, więc odwróciłem ją na drugą stronę. Ja. Ja to zrobiłem. Nie wiem, jakim cudem, ważne, że w końcu się udało.

Hipek w pierwszej chwili nawet nie zauważył, że jego ręce wykonały cudze polecenie. A kiedy to zrozumiał, zaczął przyglądać się im z takim przerażeniem, jakby były stworami z innej galaktyki albo postaciami z horroru.

- Posłuchaj mnie, skarbie - odezwał się do niego. - To ja, twój tata.

Usłyszał. Nie było co do tego wątpliwości - prawie poczułem, jak na jego ciele unoszą się włoski.

- Spokojnie, synku, spokojnie.

- Co... co...? - jęknął. - Czy to mi się śni?

- Nie, to nie sen, słoneczko. Ja naprawdę do ciebie mówię.

Nie miałem własnego ciała, lecz i tak wydawało mi się, że czuję ciepło gdzieś koło serca. Zważywszy na okoliczności, całkiem przyjemne uczucie.

- Jak to możliwe, że cię słyszę, tatusiu? Przecież ty... ty...

- Tak, wiem. Nie żyję. I mogę tylko zgadywać, jak to się stało. Niektórzy wierzą, że w następnym wcieleniu odradzamy się w tym, na co patrzymy w chwili śmierci. Może to i racja. Tak się składa, że ja patrzyłem na ciebie.

- Tatusiu - Hipek nadspodziewanie szybko przyjął do wiadomości moją nieco, hmm, dyskusyjną obecność. - Ja mam dosyć... Mama zachowuje się jak manekin, w szkole...

- Wiem. Ta baba od polskiego to wariatka. Ale nie ma się co martwić - wykujesz wszystko na blachę i będzie musiała postawić ci dobrą ocenę. A z tymi dwoma...

- Oni...

- Na nich też znajdziemy sposób!

* * *

Kosa skończyła sprawdzać obecność i zmierzyła klasę pełnym pogardy wzrokiem.

- Była przerwa. Jesteście wystarczająco duzi, by kontrolować swoje potrzeby fizjologiczne - skomentowała podniesioną rękę Hipka.

- Proszę pani... - jęknął mój syn.

- Co znowu za dyskusje, Jezicki? - warknęła nauczycielka. - Chcesz do odpowiedzi?

- Tak - odparł chłopak.

Wśród uczniów dało się słyszeć szmer. Przez moment przez twarz nauczycielki przemknął cień zdziwienia, szybko jednak ustąpił miejsca ledwie maskowanej złośliwości.

- No proszę. - Uśmiechnęła się w sposób, który przywodził na myśl głodną hienę. - Królewicz chce ze mną rozmawiać...

- Chciałbym poprawić wczorajszą jedynekę - powiedział spokojnie mój syn, a ja poczułem dumę, że tak szybko pokonał strach przed tą heterą. No, może nie do końca, ale przynajmniej był gotów dyskutować z nią bez paraliżu ściskającego gardło.

- Proszę bardzo. - Kosa udowodniła z kolei, że potrafi uśmiechać się jak rekin ludojad.

Hipek wziął zeszyt i pewnym krokiem podszedł do jej biurka. W klasie panowała niezmacona cisza. Nie na co dzień znajdował się ochotnik gotów z własnej woli rozmawiać z polonistką.

- Cenię sobie odwagę... - Kosa nie zaszczyliła chłopca spojrzeniem, tylko wertowała jakiś notes. - Co to jest bezkolicznik?

- Bezokolicznik to bezosobowa forma czasownika zakończona na -ć, -ść i -źć - odparł spokojnie Hipek. Zuch chłopak!

- Przez co odmienia się czasownik? - Nauczycielka nie raczyła pochwalić poprawnej odpowiedzi.

- Przez liczby, osoby, rodzaje - odpowiedział jednym tchem.

- W której jesteś klasie?! - syknęła. - Co to za odpowiedź? Pełnymi zdaniami mówimy! Jakies półsłówka to ty sobie możesz z kolegami na podwórku wymieniać. Tu żądam pełnych i konkretnych odpowiedzi!

Muszę przyznać, że aż mnie zmroziło. Tak jawna agresja uświadomiła mi, że chłopak nie ma szans. Został już oceniony i nauczycielka tylko szukała pretekstu, by wstawić mu pałę. Czułem, że pewność siebie opuszcza Hipka, postanowiłem więc ruszyć mu na odsiecz.

- Bez paniki - szepnąłem. - Jestem z tobą, razem damy radę.

Hipek drgnął i uśmiechnął się mimowolnie. Kosa natychmiast to wykorzystała.

- Coś cię bawi? Nie dość, że nie jesteś przygotowany, to jeszcze sobie kpiny urządzasz? - burknęła. - To nie przegląd kabaretów! Albo odpowiadasz na moje pytania, albo wracasz na miejsce z niedostateczną.

- Nie zadała pani następnego pytania - rzekłem ustami syna. Kobieta zamilkła, a wargi ściągnęły jej się do ledwie widocznej kreski. Najwyraźniej przygotowywała się do frontalnego ataku.

- Trzymaj się, synku - szepnąłem. - Poradzimy sobie.

- Odmień przez osoby czasownik „pójść”.

- Poszedłem - powiedziałem za niego, byłem bowiem pewien, że w nerwach powie „poszłem” i wtedy będzie po nas.

- Poszedłeś, ona poszła, on poszedł, ono poszło...

- A gdzie liczby? - spytała Kosa. - Najpierw mówimy liczba pojedyncza, potem dopiero odmieniamy! Skąd mam wiedzieć, jaka to liczba?!

Hipek chciał coś odpowiedzieć, ale nakazałem mu milczeć. Trzeba było rozegrać sprawę dyplomatycznie i dać się babie wyżyć.

- „Wygraliśmy”. Jaki to rodzaj? - padło kolejne pytanie.

Na to nas nie złapiesz, pomyślałem. Szepnąłem Hipkowi odpowiedź. Chłopak uśmiechnął się i otworzył usta:

- Męsk... - zaczął, ale Kosa znów bezceremonialnie mu przerwała.

- I z czego znowu się cieszysz? Męskoosobowy! To liczba mnoga! Ale ty nie znasz liczby mnogiej, co przed chwilą udowodniłeś odmieniając poprzedni czasownik. I ciągle mówisz równoważnikami zdań! Nie dość, że źle, to jeszcze niepoprawnie! Niedostateczna! Nie pozwolę, żeby w mojej klasie byli uczniowie, którzy nie potrafią mówić po polsku! A jak ty, Jezicki, nie odróżniasz liczby mnogiej od pojedynczej, to chyba powinieneś zastanowić się nad powtórzeniem klasy - podsumowała i wpisała ocenę do zeszytu.

Byłem wściekły. Pograła z nami jak z dziećmi. No, fakt. Hipek jest dzieckiem. Jednak żeby w taki sposób gnoić ucznia? Nie chodzi nawet o to, że to mój syn. Ta kobieta nie powinna wykonywać zawodu! Ona w ogóle nie powinna przebywać wśród ludzi!

- Następnym razem jak będziesz chciał poprawiać oceny, to naprawdę się naucz - powiedziała z triumfem w głosie, oddając nam zeszyt.

- Ale ja umiem - zaprotestował Hipek.

- Jakoś tego nie zauważyłam - odparowała Kosa. - Wracaj do ławki!

- Pani jest niesprawiedliwa.

Jeśli klasa wcześniej była cicho, to teraz osiągnęła apogeum bezdźwięczności. Oczekiwałem wybuchu, jednak nauczycielka zaskoczyła mnie po raz kolejny. Spojrzała w dziennik, następnie przeniosła wzrok na Hipka.

- Kazałam ci usiąść - powiedziała spokojnie. - Nie wykonałeś polecenia, utrudniasz prowadzenie lekcji, przeszkadzasz innym. Muszę postawić ci minus za pracę na lekcji. Niestety, to już twój trzeci. A więc niedostateczna. Siadaj.

Przegrywaliśmy trzy do zera. Jednak mecz jeszcze się nie skończył! To nasze będzie na wierzchu!

* ★

Hipek zerwał się, gdy tylko zabrzmiał dzwonek, i wybiegł na korytarz. Choć Kosa krzyknęła coś za nim, nie zwrócił na nią uwagi. Wcale mu się nie dziwię. Też miałem idiotkę w głębokim poważaniu.

- Ej, hipciu-dupciu! - Zaczepka wyrwała mnie z zamyślenia. Hipolit drgnął. Przed nami w całej swej beznadziejności stanęli Buncor i Masakra.

- Masz fanty? - spytał Buncor, znów racząc nas oddechem świadczącym o słabości do ruskich fajek i niechęci do jakiegokolwiek pasty do zębów.

- Na co się gapisz? - Masakra popchnął chłopca, widząc, że ten nie reaguje. Ja wiedziałem, że nie zareaguje też nikt na korytarzu.

Buncor rozejrzał się czujnie i chwycił Hipka za kołnierzyk. Szarpnięciem pociągnął go do toalety. Masakra podążył za nimi, serwując chłopakowi kopniaka. Zawrzało we mnie. Jak mówią, sąd sądem, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie. Nie mogłem czekać na pomoc innych, nie mogłem liczyć na to, że później sprawcy zostaną ukarani. Musiałem bronić syna.

Hipek był tak przerażony, że nawet nie zorientował się, że pokierowałem jego nogą i trafiłem Buncora prosto w kroczce.

- Zostawcie mnie! - ryknąłem najgłośniejszym głosem.

Buncor zwinął się w kłębek, jednak Masakra już doskoczył do mego syna i złapał go za ramię.

- Ty gnoju! - warknął.

- Spierdalajcie! - krzyknął Hipek i na odlew uderzył następnika. Nie spodobało mi się takie słownictwo, ale to nie był dobry moment na dyskusję o wulgaryzmach. Zwłaszcza że sprawy przybrały niekorzystny obrót. Masakra obrócił Hipkiem i rzucił nim o ścianę. Chłopiec padł zamroczony na posadzkę. Buncor wyprostował się z trudem i kopnął leżącego w brzuch. Przed kolejnym kopniakiem powstrzymał go Masakra.

- Zostaw! Lepiej, żeby nie było śladów. Bierz fanty i zjeżdżamy!

Buncor sprawnie zerwał z ramion mego syna plecak, wysypując na ziemię

zawartość. Wygrzebał kanapki i portfel, po czym wpełchnął je do kieszeni kurtki.

- Jeszcze cię dorwiemy za fikanie, gnoju! - wycedził mściwie i splunął nam w twarz. Dopiero po dłuższej chwili Hipek starł plwocinę z policzka. Powstrzymując łkanie, zbierał rozsypane rzeczy.

Wtedy zrozumiałem, że moja dotychczasowa pomoc tylko mu zaszkodziła. A przecież na nikogo innego nie mógł liczyć. Sąd sądem, tak? A gdzie sprawiedliwość?! Nie, tym razem załatwimy to inaczej!

* * *

- Nie chcę, tato...

- Wiem, rozumiem, że to trudne - powiedziałem uspokajająco. - Sam widzisz, że tak dłużej być nie może.

- Tato, dopóki nie zacząłeś się w to wszystko mieszać, nie było aż tak źle - jęknął chłopak.

- Za bardzo się z nimi cackałem - odparowałem. - Za bardzo wierzyłem, że niektórych ludzi da się zmienić. Tu trzeba podjąć radykalne środki.

- Pójdiesz do dyrektora? - spytał z nadzieją Hipek.

- Nie - odpowiedziałem, żałując, że nie mogę go przytulić. - Co zrobią tym draniom? Wezwą na dywanik, udzielą nagany i tyle... A potem oni będą się mścić. Tak samo Kosa. Ona jest niereformowalna...

- Co? - zdziwił się Hipolit.

- Nieważne, powiedzmy, że nie nadaje się do naprawienia. Ich wszystkich trzeba ukarać. Bardzo, bardzo mocno...

- Tatusiu... Ja nie chcę z nimi walczyć.

- Ja ci pomogę.

- Może...

- Zrobię to wszystko za ciebie - przekonywałem. - Damy im wszystkim nauczkę.

- Tatusiu...

- Nie broń się - wyszeptałem, czując, że próbuje mi się przeciwstawić.

Spiąłem się i zdusiłem jego opór. Podszedłem do lustra, by spojrzeć w swoje oczy wierzające z ciała Hipolita.

- Tatuś się wszystkim zajmie - powiedziałem głośno, ignorując paniczny wrzask w głębi mego umysłu.



Ustami Hipka powiedziałem żonie, że mam gorączkę. Po nieprzespanej nocy oczy chłopca błyszczały niezdrowym blaskiem, więc kłamstwo brzmiało bardziej niż prawdopodobnie.

Kiedy zostaliśmy sami, wzięliśmy sztucer ze schowka, pięć paczek naboju i schowaliśmy do nissana. Pojechaliśmy do szkoły bez tornistra. Tym razem nie będzie nam potrzebny.

Robert Cichowias

ODGŁOSY CYTADELI

Kiedy po raz pierwszy doszły mnie słuchy, że na Cytadeli dzieją się dziwne rzeczy, niezbyt się tym przejąłem, żeby nie powiedzieć, że olałem temat. Jak na wolnego Strzelca przystało, często włóczę się po mieście, obserwuję, fotografuję. Czekam na konkretny materiał, a kiedy już ktoś wpadnie pod tramwaj albo zginie w wypadku samochodowym, zabieram się do roboty. Artykuły pisuję zarówno dla „Głosu Wielkopolskiego”, jak i dla „Echa Miasta”. Czasami także dla czołowych portali internetowych. Nie mam wielkich ambicji, nie szukam tego jednego tematu, który uczyniłby mnie bogatym (choćby byłoby miło). Po prostu wykonuję swoją robotę, aby mieć co do garnka włożyć, a latem wybrać się na jakieś wakacje i odpocząć od poznańskiego zgiełku.

O dziwacznych dźwiękach na Cytadeli dowiedziałem się zupełnie przypadkowo. Szedłem Szelałowską w stronę najbliższego przystanku autobusowego, kiedy zaczepił mnie bezdomny. Miał pooraną zmarszczkami twarz, cały się trząsał i capił na kilometr. Chciał forsy, więc odparowałem, żeby się odpierdolił. Nie posłuchał.

- Dwa złote - wyjąkał albo raczej wybełkotał. Miał podpuchnięte i nabiegłe krwią oczy. - Tylko tyle potrzebuję. Dwa złote, nie więcej.

- Wiesz, czego ja potrzebuję? - odparłem grubiańsko. - Złotej rybki, która spełnia życzenia.

Łachmaniarz spoważniał, jakby wziął sobie do serca moją odpowiedź. Zatrzymałem się. On również, po czym wzruszył ramionami:

- Nie mam - powiedział. Choć ledwo trzymał się na nogach, nie był pijany. Pewnie delirka, pomyślałem.

- Słuchaj, mam robotę, a to znaczy, że nie mam czasu na rozmowę z tobą - starałem się zabrzmieć w miarę uprzejmie, ale chyba mi nie wyszło. - Więc zejdź mi z drogi.

- Spokojnie, już sobie idę. Nie chciałem pana denerwować. Mieszkam na Cytadeli - wskazał palcem niewysoki, żelazny płot, za którym zielenił się park.

- Odkąd moi kumple dali nogę, muszę sam dbać o siebie... Myślę, żeby też się ulotnić. Może na dworzec, nie wiem jeszcze. W każdym razie Cytadeli mam dość.

Spojrzałem wymownie na żula, po czym spytałem:

- Skończyłeś?

Skinął głową.

- W zasadzie tak. Chociaż...

- Słuchaj, odpuść sobie. Nie dostaniesz forsy, bo jej nie mam. Sam ledwie wiązę koniec z końcem. Właśnie teraz, kiedy

tracę czas na beznadziejną wymianę zdań z tobą, tracę również szansę na...

Przerwałem, zastanawiając się, po kiego grzyba rozmawiam z tym zawszonym obibokiem? Lepiej znalazłby sobie jakąś robotę albo chociaż umył się w stawie...

- Wygląda mi pan na dziennikarza - powiedział. - Zgadłem?

Pociągnąłem nosem, lekko zaskoczony. Nikt wcześniej nie odgadł mojej profesji po wymianie zaledwie kilku zdań. Ten facet był dziwny i coraz bardziej działał mi na nerwy.

- Jestem wolnym strzelcem - odparłem ogólnikowo. - Powiedzmy, że zgadłeś. A teraz spadam stąd.

- Niech pan zaczeka.

Przełknąłem ślinę, starając się nie wpaść w furję. Było paskudnie gorąco, oblewałem się potem, a ten łachmaniarz wciąż mnie molestował. Smród, jaki roztaczał wokół siebie, tylko potęgował moją irytację. Kiedy spojrzałem mu w oczy, a potem otworzyłem usta, by powiedzieć głośno i wyraźnie, żeby spierdalał, on odezwał się pierwszy:

- A więc mam materiał dla pana... Materiał, na którym na pewno pan trochę zarobi. Chodź pan za mną. No dalej - ruszył w stronę alei Niepodległości, ale po chwili przystanął i obrócił się w moją stronę.

- Muszę to powiedzieć od razu - dodał, jakby nagle przypomniał sobie coś bardzo ważnego. - Te dźwięki, które słychać na Cytadeli... Te wystrzały... Pochodzą nie z tego świata. Z innego wymiaru. Wiem to, bo mieszkam na Cytadeli i słyszę je codziennie. Powiem panu więcej, ale to później...

O czym ten idiota do mnie mówi? Zrobiłem krok w tył. Dość, kurwa, pomyślałem. Spadam stąd.

Kilka sekund później zmierzałem w stronę zatrzymującego się na przystanku autobusu.

- Niech pan zaczeka! - usłyszałem za sobą. - Niech pan zaczeka, na miłość boską! Tutaj dzieją się dziwne rzeczy i pan może o tym napisać! Proszę pana! Dasz pan piąta, a sam zarobisz ładnych parę setek, albo i więcej! Halo!

Nie odwracając się w stronę łachmaniarza, wsiadłem do przegubowca.

** *

Nie dalej jak tydzień po dziwacznej rozmowie z żulem zadzwonili do mnie z „Echa Miasta” i powierzyli bojowe zadanie.

- Mieszkańcy Winograd i Szelałowskiej wypisują nam dziwne rzeczy - mówiła Kamila Nosowska, redaktor naczelna. Jej głos nie znamionował żadnych uczuć. Był jak zwykle bezbarwny, z nutką szorstkości. - Dostajemy też sporo maili, jeden lepszy od drugiego...

Dowiedziałem się o tajemniczych dźwiękach dobiegających z różnych części Cytadeli. Jedni twierdzili, że brzmiały jak wystrzeliwane pociski, inni, że jak eksplozje wysadzanych w powietrze pojazdów i budynków. Podobno w ostatnim tygodniu na redakcyjną skrzynkę przyszło kilkanaście wiadomości, w których przerażeni mieszkańcy Winograd podkreślali, że to, co się dzieje w parku, zakrawa na jakąś cholerną anomalię, że nie zwariowali i że należy wreszcie zająć się tematem. Ktoś napisał, że ostatni raz coś podobnego słyszał podczas II wojny światowej. Inna osoba oświadczyła, że słyszała również inne dźwięki, jakby okrzyki nieopisanego radości, lecz kiedy zbliżyła się do miejsca, które, jak jej się zdawało, było źródłem odgłosów, nagle wszystko ucichło.

Słuchałem uważnie, mając przed oczyma twarz łachmaniarza, nakłaniającego mnie, bym poszedł z nim do parku. A niech to, pomyślałem. Może facet jednak coś słyszał. Ale co? Nie powiem, abym od razu podejrzewał wpływ sił nadprzyrodzonych, niemniej temat mnie mocno zaintrygował.

- Chciałabym, abyś zajął się tą sprawą - ciągnęła Notowska. - Dowiedz się, co w trawie piszczy. Może pogadaj z paroma osobami mieszkającymi przy Cytadeli, dobra? Tylko delikatnie. Coś czuję, że szykuje się ciekawy temat. Za chwilę prześlę ci na mejla kilka adresów. Parę osób chętnie opowie ci o tym, co słyszało.

- Myślisz, że mamy do czynienia z czymś nadzwyczajnym? - zapytałem, na co Nosowska chrząknęła tylko i raz jeszcze beznamietnie poprosiła, abym zbadał sprawę.

Wyłączywszy komórkę usiadłem na sfatygowanej kanapie w pokoju gościnnym i rozdziawiłem gębę w uśmiechu.

Chciałem dobrego tematu i mam dobry temat, pomyślałem, zastanawiając się, czym były dźwięki, które słyszeli mieszkańcy Winograd. Może po parku krążył jakiś czubek ze spluwą? Pewnie gliny już badały sprawę. Byłem ciekawy, co odkryły i czy uda mi się dowiedzieć czegoś nowego. Już widziałem odjechany nagłówek w gazecie, a pod nim swój artykuł. Jeśli to będzie coś naprawdę dobrego, dumałem, materiał bankowo łyknie kolorowe pismo, a to oznacza konkretny...

Szmalec, moi drodzy, szmalec! Wreszcie coś się dzieje!

Parsknąłem śmiechem raz i drugi, po czym poszedłem do kuchni i nalałem sobie podwójną gorzałę.

* * *

Cytadela to największy park w Poznaniu, położony na północ od Starego Miasta. Mieści wiele cmentarzy, muzea, a

także obiekty forteczne. O ile miejsce to stanowi wielką atrakcję dla amatorów historii II wojny światowej, fotografików czy rowerzystów za dnia, tak w nocy lepiej się tam nie zapuszczać. Raz, że można się łatwo zgubić, a dwa, dostać po ryju. Tak się składa, że było już grubo po dwudziestej drugiej, kiedy pojechałem tam swoim dwudziestoletnim kadettem. Wył tak upiornie, że średnio raz na pół minuty dopadała mnie ochota, aby zjechać na pobocze i przyładować w drzewo, i raz na zawsze zakończyć żywot tej pieprzonej gabloty.

Zaparkowałem na końcu alei Niepodległości i zgasilem silnik. Zapanowała cisza, którą długo się delectowałem. Uzmysłowiłem sobie, że odszukanie znajomego żuła będzie niełatwym zadaniem. Facet mógł mieć legowisko zarówno w pobliżu amfiteatru, jak i w ruinach Bastionu II czy Reduty I. Miałem do pokonania spory kawałek, w dodatku nie wszystkie latarnie w parku działały, a nie pomyślałem o latarce. Nie zapomniałem natomiast o Nikonie. To na wypadek, gdyby zaczęło się coś dziać. Nie bardzo wiedziałem, co mogłoby się wydarzyć, jednak lata pracy jako wolnego Strzelca zakodowały w mojej mózgowicy jedno: aby nie rozstawać się z aparatem, nawet jeśli wzywa natura.

Przekroczywszy wrota Cytadeli, znalazłem się na wojennym cmentarzu Wspólnoty Brytyjskiej. Jedynie na kilku grobach paliły się znicze; były jak maleńkie punkciki w mrocznej otchłani. Gdzieś w oddali dostrzegłem światło latarni i odetchnąłem z ulgą. Pokonałem kilkadziesiąt metrów piaszczystą ścieżką wzdłuż cmentarza, po czym wkroczyłem na oświetloną aleję. Jej końca nie było widać. Zadrzałem z zimna i chyba strachu. „Niech to szlag” - pomyślałem. Wielkość Cytadeli przytłaczała, wręcz onieśmiała. Nie było szans na odszukanie łachmaniarza. Mrok spowijał większość parku, a

nie miałem nawet pierdolonej latarki... „Gdzie ty masz łeb, frajerze” - rzuciłem pod swoim adresem, następnie podążyłem aleją, co jakiś czas rzucając groźne spojrzenie drzewom i krzakom, rosnącym po obu jej stronach.

Było chłodno i bezwietrznie. Niebo miało kolor smoły. Żadnej gwiazdy, żadnego światełka nadziei. Tylko ta cisza, jakbym oberwał w parnik kijem bejsbolowym.

Dotarłem do końca alei, skręciłem w lewo w następną, a potem w prawo, w kolejną. Było ich całe mnóstwo, przecinały się pod różnymi kątami i zdawały prowadzić do miejsc jeszcze nieodkrytych, skrywających miliony sekretów.

Blisko czterdzieści minut krążyłem po Cytadeli jak jakiś porażony poeta, szukający natchnienia w gęstwinie mroku. Doszedłem do amfiteatru, ale nie wypatrzyłem ani jednego żuła. Teren świecił pustkami. Szybszym już krokiem udałem się pod budynek Muzeum Uzbrojenia. Z dwóch stron otaczały go czołgi, z pozostałych samoloty, samochody, śmigłowce i armaty z czasów II wojny światowej. Imponujący widok, a jeszcze bardziej interesująca jest historia muzeum, które zostało założone w latach 60. XX w. w dawnym laboratorium artyleryjskim. Napisałem kiedyś dość obszerny artykuł na ten temat dla „Expressu Poznańskiego”, a potem jeszcze jeden dla „Głosu Wielkopolskiego”, a w trakcie przygotowań liznałem trochę historii dotyczącej całego Fortu Winiary.

Widoki widokami, historia historią, tymczasem moja nadzieja, że zdołam spotkać znajomego żuła, powoli we mnie wygasła. Cholera jasna, porwałem się z motyką na słońce i tyle. Byłem na siebie wściekły. Nie tylko dlatego, że nie pomyślałem logicznie, zanim wybrałem się na Cytadelę, ale również dlatego, że gdy gość chciał ze mną gadać, sprzedać mi dobry temat za marnego piątaka, kazałem mu spieprzać na drzewo.

Dochodziła północ, gdy postanowiłem zmyć się do domu. Byłem zmęczony łażeniem po parku i głodny jak wilk. Marzyłem o gorącym prysznicu i kilku kawałkach pizzy z ananasem i szynką. I o piwie. Sama myśl o takiej wyzerce dodała mi sił. Miałem właśnie ruszyć w stronę cmentarza wojskowego, a potem wpakować się do wozu i odjechać, gdy nagle usłyszałem ten dźwięk.

W zasadzie nie jeden dźwięk, a całą serię. Brzmiało to jak wystrzały armatnie i zmroziło mnie do szpiku kości. Zrobiłem wielkie oczy, nie bardzo wiedząc, co jest grane. Wybuchła trzecia wojna? Natychmiast przypomniałem sobie słowa Nosowskiej, kiedy mówiła o tym, co dokładnie słyszeli mieszkańcy Poznania na Cytadeli. Huki, wystrzały, grzmoty. Właśnie to słyszeli. Do moich uszu dobiegały teraz identyczne odgłosy. Było tak ciemno, że nie widziałem, co dzieje się kilkadziesiąt metrów przede mną. Ruszyłem w mrok, ostrożnie stawiając kroki, jednocześnie chwytając obiema rękoma mojego nowego Nikona.

Rozległ się kolejny wystrzał. Nie był głośny, ale w ciszy, jaka panowała w parku, usłyszałbym nawet pierdnięcie skowronka. Aż podskoczyłem. Do licha, jak to możliwe... Kto mógł o tej porze bawić się w żołnierzy? I jakim sprzętem? Może to jakiś czubek i trzeba mieć się na baczności?

Doszedłem do metalowego płotu, za którym znajdował się głęboki na kilka metrów dół, a zaraz za nim ruiny Reduty I, jednego z czterech identycznych dział bojowych wzniesionych w szyjowej części umocnień Cytadeli. Dźwięki dochodziły właśnie stamtąd. Sęk w tym, że było tak ciemno, że nie potrafiłem wypatrzeć czegokolwiek. Widziałem tylko gęstą czerń.

Kolejny huk sprawił, że chwyciłem aparat, włączyłem go i dłuższą chwilę grzebałem w ustawieniach. A potem zacząłem

pstrykać, mając cichą nadzieję, że kiedy już zajadę do domu, fotografie okażą się bezcenne. Czego me oczy nie widziały, dostrzegał Nikon. Zawsze tak było. Podekscytowany i zarazem wystraszony sytuacją, robiłem kolejne zdjęcia, powtarzając w duchu: „Tam musi ktoś być, do diabła. Ktoś siedzi w tym pieprzonym dole i strzela... ”.

Być może to tylko jakiś idiota z magnetofonem robi sobie jaja, żeby wywołać szum, nieważne. Artykuł to artykuł. A ja miałem być tym, który go napisze i ukaże prawdę o dziwnych odgłosach na Cytadeli, odgłosach wywołujących ciarki na plecach mieszkańców okolicznych ulic. „Jeśli to rzeczywiście jakiś młodzik odstawia szopkę, artykuł tylko na tym zyska” - pomyślałem. Będzie ironicznie i wesoło, już ja się o to postaram!

Po wykonaniu kolejnej serii zdjęć poczułem, że cierpną mi ręce. Byłem tak pochłonięty robotą, że dopiero gdy dałem odsapnąć dłoniom i Nikonowi, uzmysłowiłem sobie, że tajemnicze dźwięki ucichły. Przełknąłem ślinę. Była wyjątkowo niesmaczna. Gorzka. Kleista. Jeszcze bardziej zapragnąłem piwa.

Kusiło mnie, by przejść przez płot i zobaczyć, co skrywa dół, ale nie starczyło mi odwagi. Albo po prostu zadziałał zdrowy rozsądek. Kto raz był na Cytadeli, niekoniecznie wieczorem czy w nocy, wie, jak łatwo tam połamać nogi. Przez kolejną minutę albo dwie stałem w bezruchu i nasłuchiwałem, lecz huk wystrzałów armatnich nie powtórzyły się.

Czułem się bardzo nieswojo. Podążając w stronę wyjścia z parku, zastanawiałem się, kto jest odpowiedzialny za te odgłosy. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że to sprawka młodego, znudzonego na śmierć szczona. Jeśli łachmaniarz mieszkał na Cytadeli, oznaczało to, że mógł słyszeć te dźwięki naprawdę często. Za dnia i w nocy. Z pewnością nieraz próbował zna-

leżć odpowiedź na pytanie: kto i dlaczego tak hałasuje? Jajcarz w końcu zostałby zauważony, bez dwóch zdań.

Ciekawiło mnie, od jak dawna mieszkańcy Winograd słyszą te dźwięki i żałowałem, że wcześniej nie zadałem tego pytania redaktorce. Mogłem się tylko domyślać, że mejle mogły przychodzić od dłuższego czasu. Początkowo sporadycznie i nie zwracano na nie szczególnej uwagi, a gdy wreszcie na redakcyjne konto posypała się lawina wiadomości, firma zainteresowała się sprawą.

Miałem ochotę zadzwonić do Nosowskiej i opowiedzieć o tym, czego doświadczyłem. Było jednak bardzo późno i musiałem to odłożyć do następnego dnia. Nie mogłem się wprost doczekać, kiedy zajadę do domu, odpalę kompa i skopiuję zdjęcia na twardy dysk. Opuszczając Cytadelę, przyśpieszyłem. Ulica była wyludniona, gdzieś w oddali dostrzegłem tylko bezpańskiego psa.

Wskoczyłem do kadetta i odetchnąłem z ulgą. Silnik uruchomiłem już za czwartym razem, co przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Wolno wycofałem, następnie ruszyłem aleją Niepodległości w stronę centrum, co jakiś czas zerkając ukradkiem na spoczywającego na siedzeniu pasażera Nikona.

* * *

Wziąłem prysznic, ogoliłem się i na bosaka polazłem do kuchni przygotować pizzę. Mikrofala nadawała się do wymiany, ale nie miałem kasy na zakup nowej. Tak czy siak, żarcie, które właśnie niosłem do pokoju, z całą pewnością było ciepłe i chyba zjadliwe. Nawet przypominało kształtem i barwą zdjęcie z kartonika, a to naprawdę dobrze wróżyło.

Jadłem, aż uszy mi się trzęsły, popijając schłodzonym browarem. Było wpół do drugiej nad ranem, gdy zmyłem na-

czynia i wróciłem do komputera. Zaczynała mi doskwierać senność, ale wiedziałem, że nie zmrużę oka, jeśli przedtem nie obejrzę zdjęć.

Mieszkałem sam w dwupokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze kamienicy przy Dąbrowskiego. Po rozstaniu z Wiesią dwa lata temu (oznajmiła mi pewnego wieczoru, że potrzebuje kogoś innego, z forszą, kij jej w ko) nie poszukałem sobie nowej dziewczyny. Zająłem się pracą. Nie wiem, czy wyszło mi to na dobre. Jako dwudziestodziewięciolatek dorobiłem się spróchniałego kadetta, telewizora i wieży stereo. Nikona wygrałem w konkursie fotograficznym, a mieszkanie wynajmowałem. Żeby było weselej, zalegałem z czynszem za trzy miesiące. Krótko mówiąc, ledwie wiązałem koniec z końcem, ale rekompensowała mi to pasja, z jaką wykonywałem swój zawód. Nigdy nie nastawiałem się na wielki sukces, choć, nie ukrywam, po cichu wierzyłem, że nadejdzie dzień, w którym zarobię trochę konkretnego grosza i będę mógł kupić własne mieszkanie. Cóż, nie od razu Rzym zbudowano.

Utworzyłem na pulpicie nowy folder, po czym skopiowałem wszystkie zdjęcia z Cytadeli. Popijając piwo, zacząłem je przeglądać. Pierwsze cztery były do natychmiastowego usunięcia. Na kolejnych dwóch dostrzegłem zarysy ruin budowli z okresu II wojny, ale nic poza tym. Kolejne zdjęcia przedstawiały wnętrze dołu. Dostrzegłem górę gruzu, jakieś chaszczce i śmieci. Krótko mówiąc, były również do wyrzucenia.

Przejrzałem kilka kolejnych zdjęć. To samo.

„Gdyby w tym cholernym dole był jakiś szczeniak z magnetofonem, uchwyciłbym go” - powtarzałem w duchu. Nie było tam nikogo. Nikoguśko. Chyba że gość się schował w krzakach. albo w jakiejś wnęce. - Ruiny były pełne rozmaitych zakamarków, nierzadko korytarzy, ale te były zabite dechami

albo ogrodzone płotem. Ze względów bezpieczeństwa. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony czułem ciężki zawód, bo przecież na marne poszedł czas, który spędziłem w parku. Z drugiej jednak strony, adrenalina w moich żyłach zaczęła pracować na zwiększonych obrotach. Skoro było słyhać dźwięki...

Oparłem się na obrotowym krześle i westchnąłem.

Czyżbym miał do czynienia z czymś poza... Z czymś paranormalnym? Nie wierzyłem w duchy, kosmitów ani w inne potwory, choć jako dzieciak nasłuchiwałem się różnych niesamowitych opowieści od dziadka. Podobno widział swoją nieżyjącą matkę. Zszedł do piwnicy po węgiel i ona tam była. Siedziała na drewnianym stołku i spoglądała na niego. Z pleców staruszki wystawała wielka siekiera, a jej ręce były powyginane i przypominały gałęzie wiekowego drzewa. Dziadek wrzasnął na całe gardło i wtedy zjawa nagle zniknęła. Innym razem obudził się w środku nocy, a przy jego łóżku stał ksiądz i dwóch ministrantów. Kropili go wodą święconą. W zasadzie to wręcz polewali. Wylewali na niego całe misy wody święconej. Dziadek, ku nieopisanemu zdziwieniu babci, wyskoczył z łóżka jak porażony prądem, zapalił światło i... Ksiądz z ministrantem zniknęli, ale w pokoju wciąż było pełno wody.

Swego czasu, gdy słuchołem tych i wielu innych opowieści dziadka, przechodziły mnie dreszcze, ale z wiekiem nabrałem dystansu. Teraz przypomniałem sobie niektóre historie z duchami w rolach głównych i zacząłem się zastanawiać, ile było w nich prawdy.

A potem od niechcienia kliknąłem w kolejną fotografię z Cytadeli.

Spoglądałem na nią nie dłużej niż kilka sekund, w trakcie których dostrzegłem jedynie fragment płotu, a na dalszym

planie znajomy dół. Wszystko tonęło w ciemnościach. Miałem właśnie zamknąć zdjęcie i otworzyć następne, kiedy dostrzegłem ten cień. Gdyby nie fakt, że przypominał kształtem człowieka, pewnie nie zwróciłbym na niego uwagi. Wytężyłem wzrok. Cień był wysoki i chudy. Na wysokości głowy rozmywał się, jakby w momencie błysku flesza postać była w ruchu. Gapiłem się na fotografię, starając się zrozumieć, na co patrzę. Krzaki w wielu miejscach gęsto porastały ściany dołu, dumalem. Może to po prostu...

- Nie - burknąłem, uważnie studiując zdjęcie. To nie były krzaki, lecz człowiek. Nie miałem wątpliwości.

- Mam cię, skurwysynu.

Otworzyłem kolejne zdjęcie. Postaci na niej nie było, ale na następnym znowu się pojawiła, już w nieco innej pozycji, jakby była w biegu. Jedną nogę miała wyprostowaną, drugą odrzuconą do tyłu. Nie mogłem dostrzec twarzy, jedynie sylwetkę. Na oko był to zupełnie inny facet niż ten na wcześniejszej fotografii, bardziej barczysty, potężniejszy. Zdawał się przebiegać z jednej strony dołu na drugą, jakby chciał wbiec prosto do ruin Reduty.

Zaskoczony, kliknąłem w jeszcze jedną fotografię. Tu znów dostrzegłem czarną postać, niby cień, a przyjrawszy się dokładniej, zauważyłem kolejną sylwetkę. I następną. Wszystkie ledwie widoczne, w ruchu - biegnące albo maszerujące. Jedna z postaci trzymała coś w rękach. Coś długiego, co kształtem przypominało...

Karabin.

- Co, do... - wymamrotałem, świdrując wzrokiem zdjęcie. Doskwierało mi coraz większe zmęczenie, ale priorytetem było przeanalizowanie wszystkich fotografii. Byłem mocno skołowany i cholernie zaskoczony. Na sześciu zdjęciach udało mi

się uchwycić postaci, które z zupełnie niewyjaśnionych powodów przebywały na terenie ruin Reduty bardzo późnym wieczorem. Kilka z nich miało na głowach hełmy, a przynajmniej tak mi się wydawało. I jeszcze te karabiny. Jezu...

Nie mam pojęcia, która była godzina, gdy kładłem się do łóżka. Zanim jednak zasnąłem, rozmyślałem o sylwetkach ludzi na zdjęciach. Kim oni byli i co robili na Cytadeli? I do kogo strzelali, u licha? Teren Reduty był ogrodzony, z pewnością nie mogłyby się tam odbywać ćwiczenia wojskowe. A już na pewno nie o tak późnej porze.

Odpywając w objęcia Morfeusza, słyszałem huk wystrzałów, a potem, śniąc, obserwowałem żołnierzy biegnących w moją stronę i strzelających do mnie z karabinów. Widziałem własną krew i strzępy mięsa. Stałem w kompletnym bezruchu, zastanawiając się, jak to możliwe, że jeszcze żyję. Przecież miałem wielką jak lisia nora dziurę w brzuchu...

* * *

O dziesiątej bytem umówiony na spotkanie z Pauliną Budzińską. Nosowska poinformowała mnie, że kobieta jest w średnim wieku i że na adres gazety wystąpiła dwa mejle, w których dość dokładnie opisała swoje spacerunki z córką po Cytadeli. Twierdziła, że słyszała wtedy wystrzały i dziwne rozmowy ludzi, których jednak nie widziała, ale doskonale czuła ich obecność.

- Mieszka na Szelągowskiej, w odnowionej kamienicy, na pierwszym piętrze. Pogadaj z nią. Może okazać się pomocna.

Zaparkowałem na chodniku nieopodal bramy prowadzącej na podwórze kamienicy, w której mieszkała Budzińska. Wysiadłszy z auta, poczułem zapach przypalonego ciasta. Na

pobliskim trzepaku ktoś rozwiesił sfatygowany dywan, a kawałek dalej na rozciągniętych na całą szerokość podwórza linkach wisiało pranie.

Klatka schodowa była nieprawdopodobnie duża, ściany odrapane, a drewniane schody tak wysokie, że co chwila zahaczałem o nie czubkami butów. Przeklinając pod nosem, wspinałem się na pierwsze piętro i gdy wreszcie dostrzegłem drzwi do mieszkań, odetchnąłem z ulgą. Na skrzydle po prawej widniała tabliczka z nazwiskiem: P. K. Budzińscy. Zapukałem.

Na odzew nie musiałem długo czekać. Po kilku sekundach drzwi stanęły otworem i zobaczyłem ostrzyżoną na jeża dość wysoką kobietę o bardzo przyjemnych dla oka kształtach. Mogła mieć ze trzydzieści trzy, może trzydzieści pięć lat. Ubrana w obcisłe białe spodnie i brązową bawełnianą koszulkę, skrywającą całkiem spore krągłości, wyglądała naprawdę świetnie.

- Witam - odezwała się i posłała mi lekki uśmiech. Skóra na jej twarzy była bardzo gładka, zdrowa, lekko opalona.

- Dzień dobry - powiedziałem - Jestem dziennikarzem...

- Domyślam się - weszła mi w słowo. - Pani Nosowska napisała mi, że się pan zjawi.

Gestem zaprosiła mnie do środka. Korytarz nie był duży, ale za to w pokoju gościnnym można było urządzić całkiem spore przyjęcie. Stały w nim trzy skórzane kanapy, kilka foteli i długa szklana ława. Na ścianie wisiała pięćdziesięciocalowa plazma oraz wiele barwnych obrazów. W pomieszczeniu było bardzo chłodno i przez moment zastanawiałem się jak to u diabła możliwe. Dopiero po chwili dostrzegłem klimatyzator. Nadałem wargi, zdumiony.

- Ma tu pani klimę? - spytałem. Pierwszy raz widziałem taki sprzęt w przedwojennej kamienicy.

Paulina Budzińska poprosiła, abym zajął miejsce na kanapie, po czym przytaknęła.

- Owszem. Napije się pan czegoś, panie... Przepraszam, ale chyba pani Nosowska nie pisała, jak panu na imię.

Zreflektowałem się natychmiast, wstając i podając kobiecie rękę.

- Jestem Waldek Kownacki.

- A więc panie Waldku...

- Po prostu Waldek - uśmiechnąłem się. Nie potrafiłem oderwać wzroku od jej cycków.

- To czego się napijesz?

- W... Wody. Jeśli to nie problem.

- Ależ skąd. Zaraz przyniosę. A potem porozmawiamy.

Wróciła po kilku minutach z dwiema szklankami mineralnej. Podziękowałem skinieniem głowy.

- Kamila Nosowska wspominała, że masz dzieci - podjąłem, upijając łyk.

Paulina usiadła na fotelu i skrzyżowała ręce.

- To prawda - odparła. - Mam czteroletnią córkę Zuzię.

- Która lubi spacerować po Cytadeli.

- Można tak powiedzieć - kobieta zachichotała. - Przynajmniej do niedawna lubiła. Sądzę, że więcej tam nie pójdziemy.

- Opowiedz mi o tym, co słyszałaś i widziałaś na Cytadeli, dobrze?

- Jeśli tylko obiecasz, że nie będziesz się śmiać.

Przyłożyłem prawą dłoń do serca.

- Masz moje słowo.

Paulina nieco spoważniała. Wzięła głębszy wdech i popatrzyła mi prosto w oczy.

- Nie pamiętam, kiedy dokładnie pierwszy raz usłyszałam te dźwięki. Dwa, może trzy tygodnie temu. Mój mąż musiał zostać po godzinach w pracy, a ja postanowiłam wybrać się z córką na spacer. Jak zwykle padło na Cytadelę.

- A więc to się wydarzyło w dzień.

- Tak. Około szesnastej, może trochę po.

- Co dokładnie słyszałaś?

- Początkowo nie byłam pewna. Dźwięki były ciche, jakby stłumione. Wiesz, zupełnie jakby pochodziły z bardzo daleka, z pomieszczenia wytłumionego kartonikami po jajkach.

- Uhm. A potem?

Paulina zamyśliła się na moment.

- A potem usłyszałam wystrzały. Jeden po drugim. Głośne. Coraz głośniejsze.

- Brzmiały jak wystrzały z broni palnej?

- Tak, zdecydowanie. Pomyślałam, że to pewnie pokazy sztucznych ogni, potem, że może jakaś impreza, ale nie. To nie to.

- Po czym wnosisz, że to nie to? - spytałem łagodnie.

- Po tym, że obeszliśmy z sporą część parku i nie zauważyliśmy nikogo z bronią, wiesz, żadnych żołnierzy, żadnych tłumów. Tylko same dźwięki. Minęło z dziesięć minut, po których Zuzia zaczęła głośno płakać. Wystrzały zdawały się dochodzić zewsząd. Wokół nikogo nie było. Nikogo... Nie miałam już wątpliwości, że to najdziwniejsza sytuacja, z jaką miałam do czynienia.

Teraz ja się zamyśliłem. Dumiałem nad ostatnią nocą, nad tym, co sam słyszałem i co widziałem na zdjęciach.

- W którym miejscu Cytadeli słyszałaś te dźwięki?

- W różnych - odparta natychmiast Paulina. - W pobliżu cmentarza wojskowego, potem w okolicach muzeum lotnic-

twa. Słyszałam je również nieopodal amfiteatru, a potem także pod dzwonem... Nie pamiętam jego nazwy.

- Chodzi pewnie o Dzwon Pokoju i Przyjaźni między Narodami.

- Właśnie.

- Uhm - nadałem wargi, analizując słowa Budzińskiej. Trochę mnie zaskoczyła informacja, że słyszała wystrzały za dnia.

- Dużo ludzi było w parku, kiedy to się działo?

Wzruszyła ramionami.

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba nie. Przynajmniej ja nikogo w pobliżu nie widziałam. Byłam przerażona. Do teraz jestem. Tam nikogo nie było, wierz mi, a te wystrzały... Zdawały się dobiegać zewsząd. Myślałam o tym długo, starając się to jakoś racjonalnie wytłumaczyć... Nie wiem. Po prostu nie wiem, jak to możliwe, że te dźwięki dobiegały jednocześnie z wielu miejsc. A tak było. Jakby dookoła mnie toczyła się jakaś bitwa.

- Czy tamtego dnia wydarzyło się coś jeszcze? - upiłem trzy łyki mineralnej i odstawiłem szklankę na ławę.

- Tamtego dnia nie, ale kilka dni później - owszem.

- Opowiedz mi o tym.

Paulina chrząknęła, a potem nagle uśmiechnęła się i zmieniła temat.

- Powiedz mi, ty nagrywasz naszą rozmowę? - zapytała konfidencjonalnym tonem.

Pokręciłem głową, nie kryjąc zaskoczenia.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Nie?

- Absolutnie.

- Wybacz, że zapytałam. Po prostu pierwszy raz zwierzę się dziennikarzowi. Myślałam, że takie rozmowy się nagrywa.

Teraz to ja się uśmiechnąłem.

- Ja nigdy nie nagrywam, a notuję niezwykle rzadko - wyjaśniłem bez cienia ironii w głosie. - Mam dobrą pamięć - popukałem się w czoło palcem wskazującym.

Kobieta puściła do mnie oko.

- Nie wątpię, naprawdę.

- Opowiedz o kolejnym spacerze po Cytadeli - poprosiłem.

- Dobrze - Paulina dopiła swoją wodę i kontynuowała. - W pobliżu amfiteatru znowu usłyszałam wystrzały. Byłam zdziwiona nie na żarty. I cholernie zaniepokojona. Chyba wtedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że te odgłosy... - przerwała na chwilę, jakby nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów - Że one są oddechem przeszłości, wiesz? Że nie dobiegają z naszego wymiaru...

Nie odezwałem się, chcąc jak najszybciej poznać ciąg dalszy opowieści.

- A potem doszły te szepty... Nie rozumiem, jak mogłam je słyszeć, skoro odgłosy wystrzałów ani na moment nie przycichły. Rozlegały się w mojej głowie. Nie umiem tego wyjaśnić.

- Spokojnie - powiedziałem, gdy Budzińska zaczęła nerwowo pocierać dłonie - Nie denerwuj się.

- Łatwo ci mówić. Wiesz, ja z natury jestem dość poważną kobietą. Wykonuję poważną pracę. Kiedy cię zobaczyłam w progu, zrozumiałam, że muszę wyluzować, bo inaczej... Do diabła, w ustach skończonego ponuraka tego typu opowieść brzmiałaby jeszcze bardziej idiotycznie, co?

- Tego nie wiem - odparłem, nie mając też pojęcia, kim z zawodu jest Paulina Budzińska, choć, nie ukrywam, zaczęło mnie to intrygować. - W twoich ustach ta opowieść tak nie brzmi, w porządku? Jestem tu, aby cię wysłuchać. I nie musisz udawać kogoś, kim nie jesteś.

- Pewnie nie wierzysz w ani jedno moje słowo.

- Zdziwiłabyś się.

Popatrzyła na mnie uważnie. W jej spojrzeniu było zaciekawienie, może nawet nadzieja, że podzielę się z nią własnym niesamowitym doświadczeniem i utwierdzę w przekonaniu, że nie zwariowała. Nie miałem jednak zamiaru opowiadać jej o ostatniej nocy. Miałem swoje zasady. W mojej robocie to ja słuchałem, a nie odwrotnie.

- Nie rozumiałam ani słowa z tych szeptów - dodała Budzińska. - Może dlatego, że nie znam niemieckiego.

Zmarszczyłem brwi.

- Niemieckiego, tak? - to była cenna informacja.

„Odgłosy przeszłości” - pomyślałem. Całkiem niezły tytuł na artykuł.

- Zdecydowanie. To na pewno był niemiecki.

- Ile głosów słyszałaś?

- Wiele. Dziesiątki, może setki. Trudno mi dokładnie to opisać, ale... Hm. To brzmiało tak, jakby dwa wydarzenia nałożyły się na siebie, rozumiesz. Jakby taśmy z dwoma różnymi nagraniami zostały puszczone w tym samym czasie.

- Wystrzały, wojna...

- Dokładnie. I jednocześnie te szepty, rozmowy.

- Ciekawe.

- I przerażające. Moja córka była roztrzęsiona. Kiedy wychodziłyśmy z parku, pytała, co to było. Drżała. Naprawdę się bała.

- Czy wtedy też nie dostrzegłaś w pobliżu żadnych ludzi?

- Nikogo nie dostrzegłam. To zastanawiające, prawda? Wzruszyłem ramionami.

- Sam nie wiem.

- Napisz o tym wielki artykuł - powiedziała Paulina. - Niech ktoś zajmie się sprawą. Ludzie są przestraszeni. Tak dłużej być nie może. Niektórzy podobno widzieli jakieś postacie, które przenikały przez ściany ruin twierdzy. To poważna sprawa. Musi ujrzeć światło dzienne.

Zapewniłem Paulinę Budzińską, że wszystkim się zajmę i zapytałem, czy chciałaby jeszcze coś dodać. Odparła, że powiedziała wszystko, co słyszała i co wie o tajemniczych wydarzeniach na Cytadeli.

- Dolać wody? - odezwała się w momencie, gdy miałem wstać.

- Nie, dziękuję. Czeka mnie dzisiaj jeszcze jedna rozmowa w wiadomej sprawie. Muszę lecieć.

Odprowadziła mnie na korytarz, zapewniając, że ani razu nie skłamała podczas naszej rozmowy.

- Ani przez moment nie pomyślałem, że kłamiesz - zapewniłem. - Było mi bardzo miło cię poznać.

Zanim wyszedłem, wręczyła mi wizytówkę.

- W razie czego, dzwoń.

Zbiegając po schodach, rzuciłem okiem na lekko pożółkły kartonik.

PAULINA BUDZIŃSKA. Dyrektor domu pogrzebowego cmentarza Miłostowo...

Rzeczywiście, poważny zawód. Omal nie wywinąłem orła.

* * *

Na pierwszy rzut oka Franciszek Żygulski bardziej wzbudził litość niż zaufanie. Miał siedemdziesiąt kilka wiosen, siwe, sterczące włosy i wielkie oczy, którymi mrugał średnio raz na dwie sekundy, całkowicie mnie tym rozpraszając. Mieszkał w starej, odrapanej willi na Winogradach, gdzie aby dosięgnąć sufitu, potrzeba drabiny strażackiej.

Po tym jak się przedstawiłem, zaprosił mnie do salonu, przepraszając za bałagan.

- Moja żona wyjechała do sanatorium - wyjaśnił. - Nie ma kto sprzątać ani gotować. Zaczynam popadać w obłąd.

- Niech się pan nie przejmuj - odparowałem. - Całkiem przyjemny dom.

- Daj pan spokój - sarknął staruszek. - W którym miejscu on przyjemny? Czuję się tu jak w jakimś cholernym domu starców. Jedyny szczegół odróżniający ten dom od starucholandii jest taki, że zamieszkuję go tylko ja i Teresa.

- Teresa to pańska żona?

Na dębowej komodzie przy oknie dostrzegłem oprawione w ramkę zdjęcie, z którego uśmiechała się do nas elegancko ubrana starsza pani.

- Zgadza się - Żygulski zauważył, że przypatruję się fotografii. - To dobra kobieta, a jeszcze lepsza żona. Tylko schorowana i często wyjeżdża na różne leczenia.

- Co jej dolega?

- Starość, młodzieńcze. Starość.

Miałem ochotę się uśmiechnąć, ale powaga malująca się na twarzy gospodarza dała mi do zrozumienia, że byłoby to nietaktowne. Zająłem miejsce na dość mocno sfatygowanym fotelu w kącie salonu i czekałem, aż Żygulski do mnie dołą-

czy. Nie zapytał, czy chciałbym się czegoś napić, a ja o nic nie prosiłem.

- Od jak dawna jest pan pismakiem? - zapytał, wyciągając z kieszeni kraciatej koszuli paczkę mainów. Przez chwilę rozglądał się za popielniczką i kiedy wreszcie znalazł ją w szufladzie komody, przyczłapał do drugiego fotela i usiadł.

- Wystarczająco długo, aby zdawać sobie sprawę, że tam, na Cytadeli, dzieją się dziwne rzeczy.

Zygulski mruknął coś pod nosem, a potem zapalił i zaciągnął się dymem. W czasie tej czynności zamrugął z dziesięć razy albo nawet jedenaście.

- Opowie mi pan o tym, czego doświadczył w parku?

- Opowiem, chłopcze, opowiem. Po to właśnie się spotkaliśmy, prawda? Abym mógł ci opowiedzieć o tym, co słyszałem i co... - zawahał się na moment, po czym dokończył donośniejszym głosem -... i co widziałem na Cytadeli. Nie pisałem wam o wszystkim. W mejlu zawarłem tylko kilka informacji.

- Jestem zaintrygowany - powiedziałem.

- Ja też byłem, kiedy wybrałem się na Cytadelę, aby sfotografować naturę i kiedy nagle usłyszałem te dźwięki.

- Proszę mówić.

Żygulski chyba wyczuł, że go popędzam, bo obrzucił mnie ostrym spojrzeniem.

- Proszę mnie posłuchać - warknął nagle. - Nie zależy mi na rozgłosie, musi pan o tym wiedzieć. Chcę jedynie opowiedzieć o tym, czego doświadczyłem w parku.

Podniosłem rękę w obronnym geście, robiąc przy tym najbardziej niewinną minę, na jaką było mnie stać.

- Rozumiem, proszę pana. A ja jedynie chcę wysłuchać pańskiej opowieści, to wszystko.

- Jestem za stary, aby wymyślać niesamowite historie.

Wszyscy w podobnych sytuacjach bali się tego samego - że wyjdą na idiotów. Zapewniłem Żygulskiego, że nie przyszedłem tu, aby pośmiać się z kawałów o duchach, ale wysłuchać w skupieniu tego, co ma do powiedzenia. Dodałem, że siedzę w temacie od dłuższego czasu i zależy mi na napisaniu dobrego artykułu.

- Jeśli pan chce pozostać anonimowy, nie ma problemu.
- Tak - staruszek uspokoił się nieco. - Tak będzie lepiej.

Chwilę później zaczął mówić o Cytadeli. Opowiedział mi o tym, jak postanowił wybrać się do parku, by sfotografować ptaki i usłyszał wystrzały z karabinów. Słuchałem z uwagą, choć byłem żądny czegoś nowego, jakiejś zaskakującej informacji, za sprawą której mógłbym utwierdzić się w przekonaniu, że w parku działają siły nieczyste. Tymczasem wciąż słyszałem o wystrzałach, jakichś szeptach i odgłosach kroków. Nieraz miałem ochotę przerwać mu i zapytać o to, co widział na Cytadeli, bo kwestia samych dźwięków zaczyna mnie powoli nużyć. Musiałem jednak uzbroidać się w cierpliwość, pozwolić staruszkowi trzymać się toru, jaki sobie obrał, by dojść do meritum.

Franciszek Żygulski mrugał oczami jak szalony, a ja starałem się nie zwracać na to uwagi. Choć wciąż mnie to rozpraszalo, zacząłem się przyzwyczajać i gdy rozpoczął opowiadać, co zobaczył w parku, mogłem wpatrywać się w jego twarz przez pół minuty, ani razu nie gubiąc wątku.

- Pomyślałem sobie, że te dźwięki muszą coś oznaczać - ciągnął. - Że muszą mieć swoje źródło. Nie byłem przerażony, po prostu mocno skonsternowany, rozumie pan. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że je słyszę. Nigdy nie byłem podatny na działanie sił paranormalnych. Tylko raz zdarzyło mi się ujrzeć ducha, dawno temu, ale w mojej rodzinie byli tacy, któ-

rzy dość często widywali różne zjawy. Na wojnie napatrzyłem się na cierpienie, widziałem umierających ludzi. Nasłuchałem się wielu opowieści o duchach żołnierzy, którym wydawało się, że wciąż żyją i którzy nawet popędzali swoich żyjących towarzyszy do walki. Nigdy jednak osobiście nie doświadczyłem spotkania z duchem na wojnie. Znam je tylko z opowieści. I wie pan, pewnie nadal bym nie wierzył w tego typu rzeczy, gdyby nie fakt, że tam, na Cytadeli, zobaczyłem ich...

Żygulski przerwał, jakby nagle uświadomił sobie, że powiedział o jedno słowo za dużo. Tym razem nie odezwałem się, nie chcąc, aby pomyślał, że znowu go popędzam. Czekałem, aż znowu zacznie mówić.

- To byli żołnierze, ale nie walczący, a jedynie obserwujący coś z daleka. W tym samym czasie, kiedy ich zobaczyłem, wystrzały ucichły. Nie pamiętam, ilu ich było, tych żołnierzy ma się rozumieć, ale prawdopodobnie setki. Jedni z nich byli nad wyraz dobrze widoczni. Mogłem dostrzec wyraz ich twarzy. Inni migotali, jakby mieli za moment zniknąć.

Przyznam, że poczułem dreszcze, choć usilnie starałem się zachować trzeźwość umysłu i nie popadać w euforię. Staruszek zgasił niedopałek w szklanej popielnicy i sięgnął po nowego papierosa. Zapalił, zaciągnął się dymem i wbił spojrzenie w ścianę.

- A potem zobaczyłem innych ludzi - kontynuował oschle. - Nie widziałem dokładnie, czy byli to żołnierze, czy może cywile. Stali oddaleni ode mnie o dobrych kilkadziesiąt metrów. Krzyczeli. I śmiali się.

- Śmiali? - zapytałem.

- Tak. Również klaskali. Byli czymś wyraźnie zaaferowani. Cieszyli się tak bardzo, że niektórzy nawet skakali z radości, rozumie pan?

Pokręciłem głową.

- Domyśla się pan, kto to mógł być?

Żygulski oderwał wzrok od ściany i popatrzył na mnie bystro. Papieros w jego dłoni powoli się wypalał. Dym leniwie roznosił się po całym salonie.

- Czy się domyślam? Owszem. I chyba wiem również, co wzbudziło w tych ludziach tak wielką radość. Zna pan historię Cytadeli?

Zaskoczyło mnie to pytanie.

- Trochę tak - odparłem. - Napisałem kilka artykułów na ten temat.

- Trochę... - staruszek nadał wargi. - A czy słyszał pan o Arthurze Karlu Greiserze?

Zmarszczyłem brwi.

- O tym zbrodniarzu wojennym?

- Właśnie o nim.

- Niewiele. Wiem, że był nazistowskim politykiem urodzonym w Środzie Wielkopolskiej. I że odpowiadał za śmierć wielu niewinnych ludzi.

Żygulski milczał przez dobrą minutę, w czasie której wypalił papierosa, zaciągając się raz za razem. W końcu zgasił niedopałek i zakaszłał.

- Ten facet rzeczywiście miał wiele na sumieniu - powiedział wreszcie. - Po wybuchu I wojny zgłosił się do marynarki wojennej jako ochotnik, następnie został wysłany na front i awansowany na oficera. Przez ten czas pod jego czaszką rodziły się rozmaite plany i pomysły.

- Co ten człowiek ma wspólnego z wydarzeniami na Cytadeli? - spytałem.

- Ma wiele wspólnego, niech mi pan wierzy. Jeśli jednak nie jest pan zaznajomiony z postacią Greisera, muszę naświe-

tlić panu jego poczynania. Będzie panu łatwiej pojąć pointę mojej opowieści.

Niechętnie zamilkłem.

- Postaram się nie owijać w bawełnę i skupić tylko na ważniejszych informacjach, czyli kwestiach związanych z II wojną. Greiser przejął kierownictwo cywilne w Poznaniu, a następnie funkcję namiestnika w Kraju Warty. To był okres, w którym przeprowadzał nad wyraz brutalną germanizację i eksterminację ludności z podległych obszarów. Znany był ze skłonności do sadyzmu. Znęcał się w sposób niezwykle okrutny nad ludźmi, którzy ośmielili mu się przeciwstawić. Aż do zakończenia wojny prowadził okrutne praktyki wobec niewinnych obywateli naszego kraju. Dopuszczał się indywidualnych i zbiorowych zabójstw, znany był z tego, że w wyszukany sposób znęcał się i prześladował jeńców wojennych, a także wysiedlał całe osiedla, ulice, rodziny bądź osoby samotne na obszar Generalnego Gubernatorstwa lub do obozów pracy przymusowej w Rzeszy. Miał naprawdę wiele na sumieniu.

Suszyło mnie, ale postanowiłem nie przerywać.

- W 1945 roku został aresztowany przez wojska amerykańskie i wydany Polsce. Pewnie się pan domyśla, jaki spotkał go los.

- Został zlikwidowany - wymamrotałem bez zastanowienia.

Staruszek zaśmiał się, lecz nie było w tym wesołości.

- Tak, tak - odparł, krzyżując ręce na piersi. - Istotnie, został stracony. 21 lipca 1946 roku powieszono go publicznie na stokach poznańskiej Cytadeli.

Pociągnąłem nosem, dumając przez chwilę.

Powieszony na Cytadeli...

- Zaraz, zaraz... - zwilżyłem językiem spieczone usta. -
Do czego pan zmierza...

- Słyszałem odgłosy tamtego wydarzenia, do tego zmierzam. I widziałem ludzi, którzy byli na tej egzekucji. Słyszałem, jak cieszyli się, gdy stracono tego człowieka. Zresztą trudno im się dziwić, prawda?

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Skąd pan wie, że to akurat była egzekucja Greisera?

- Ponieważ widziałem nie tylko żołnierzy i bacznych obserwatorów tego widowiska - odrzekł spokojnie Żygulski. - Był tam też Artur Greiser. Dostrzegłem go w oddali, wiszącego nieruchomo, wydającego ostatnie tchnienie. A potem nagle wszystko ucichło, wizja zniknęła i zostałem w parku sam na sam ze swoimi myślami.

Franciszek Żygulski wyprostował nogi i sięgnął po jeszcze jednego papierosa. Zanim go jednak zapalił, dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Na tego Greisera trzeba uważać. To był zły człowiek. Jego duch również pozostał zły. Tego jestem pewien.

* * *

Wsiadając do samochodu, miałem magiel w głowie. Pierwsze co zrobiłem, to wyjąłem ze schowka pod deską rozdzielczą paczkę fajek i zapaliłem. Żygulski ani pomyślał, aby mnie poczęstować, podczas gdy sam kopał jednego po drugim. Byłem zde gustowany jego postawą, a moje płuca - głodne papierosowego dymu. Co za typ, pomyślałem, usiłując przeanalizować opowieść staruszka o egzekucji Artura Greisera. Wydawała się mocno naciągana. Trudno mi było uwierzyć, że duch nazistowskiego zbrodniarza nawiedził Cytade-

lę. Równie dobrze mogła to być jakakolwiek zjawia albo też kilka zjaw, na przykład tragicznie zmarłych żołnierzy.

Czy Żygulski naprawdę widział egzekucję? Historia brzmiała absurdalnie, ale biorąc pod uwagę to, co słyszała Budzińska oraz własne doświadczenia, nie mogłem od razu uznać jej za wyssaną z palca. Czy była prawdziwa, czy też nie, idealnie nadawała się jako wzmianka do artykułu. Tego typu urozmaicenie doda pikanterii mojej pracy, przyznałem z zadowolaniem. Ciekawe, co powie Nosowska, kiedy napomkne jej o spowiedzi Franciszka Żygulskiego.

Gdy przejeżdżałem obok jednej z bram Cytadeli, siła wyższa sprawiła, że zaparkowałem wóz na alei Niepodległości, wygramoliłem się na skąpany w słońcu parking i, mrużąc oczy, spojrzałem w stronę parku.

„Jaką tajemnicę skrywasz? ” - zapytałem w myślach. Nie miałem przy sobie aparatu fotograficznego, chciałem jedynie się rozejrzeć, poczuć atmosferę niesamowitości tego miejsca. Nafaszerowany opowieściami Budzińskiej i Żygulskiego czułem, jak mrowieje mi kark, gdy wchodziłem po kamiennych schodach na teren Cytadeli.

Matka, kiedy jeszcze żyła, nieustannie powtarzała mi, abym nie pakował się w kłopoty i unikał miejsc, w których nie jestem mile widziany. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, co by powiedziała, dowiedziawszy się, że badam sprawę nawiedzzonego parku. Pewnie kazałyby mi trzymać się z daleka od tego miejsca w obawie, że stanę się ofiarą jakiegoś idiotycznego skandalu.

Problem w tym, że ja naprawdę się zaangażowałem. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z czymś podobnym. Gdzieś w oddali czarnego tunelu paliło się światełko. To była moja szansa na urzeczywistnienie marzeń. Bóg raczy wiedzieć,

co kryła Cytadela. Gdyby udało mi się tego dowiedzieć... Gdyby mi się udało...

Wiedziałem, że za artykuł do „Echa” nie dostanę dużo pieniędzy. Lecz jeśli udałoby mi się wstrzelić z tematem do telewizji... Miałem świetne zdjęcia. Unikatowe. Pewnie zbada-no by je pod kątem autentyczności, ale przecież nie musiałem się obawiać, że zostanę wyśmiany. Były jak najbardziej prawdziwe. Ukazywały duchy żołnierzy z II wojny światowej.

„Muszę najpierw dowiedzieć się, co w trawie piszczy” - mruknąłem w duchu. I nie popaść przy tym w przesadne podniecenie.

Postanowiłem, że przemyślę spokojnie sprawę, gdy wró-cę do domu. Tymczasem powąłęsałem się trochę w okolicach amfiteatru, następnie krętą aleją polazłem w stronę ruin Reduty I. Byłem ciekawy, czy spotkam wreszcie znajomego żula, ale nic z tego. W całym parku nie było ani jednego bezdomnego. Dostrzegłem za to parę zakochanych, powoli zmierzającą w stronę Muzeum Uzbrojenia. Chłopak miał może ze dwadzie-ścia lat i czule obejmował niewysoką, pulchną blondynkę. Dziewczyna co chwila zatrzymywała się, stawiała na palcach i obdarowywała swego księcia soczystymi pocałunka-mi. Kilkadziesiąt metrów dalej, w pobliżu niewielkiej pizzerii rudowłosa kobieta pchała wózek z chłopcem, który wierzgał beztrosko nogami i pokrzykiwał coś niezrozumiale. Chwilę potem dostrzegłem mężczyznę w czerwonej koszulce polo, wychodzącego z muzeum i kierującego się w stronę pobliskie-go cmentarza.

Nie miałem pojęcia, czy ci ludzie wiedzieli o tym, co działo się ostatnimi czasy w parku. Przez pewien moment zastana-wiałem się, czy nie zaczepić rudej kobiety z wózkiem, gdyż akurat przechodziła tuż obok mnie, błagając dzieciaka, aby

przestał się wydzierać, lecz ostatecznie zrezygnowałem z tego pomysłu, uznając, że na dziś dość mam prowadzenia przesłuchań. Zboczyłem z alejki na wąską ścieżkę, ciągnącą się do ruin Reduty I. Tam usłyszałem ciche zawodzenie.

Zatrzymałem się przy płocie, za którym głęboka wyrwa w ziemi skrywała ruiny działa bojowego z okresu wojny. Teren porastały trawa i chwasty. W nich zaś pełno było fragmentów cegieł, gruzu i piachu.

Nastawiłem uszu, usiłując zlokalizować źródło dźwięku. Po chwili nie miałem wątpliwości, że zawodzenie dobiega z dołu. Przez sporych rozmiarów dziurę w płocie przedostałem się na teren Reduty i rozejrzałem dookoła.

Na oko czterdziestoletnia, odziana w szare, niemodne spodnie i białą bawełnianą koszulkę kobieta stała dokładnie przed zakratowaną wnęką, ciągnącą się w głąb ruin. Usłyszałem jak woła:

- Jacek? Dość tego, proszę, wyjdź już stamtąd!

Mąż, czy też, co. bardziej prawdopodobne, dzieciak, nie posłuchał.

- Jacek? Słyszysz mnie? Wychodź!

Kobieta znowu zaczęła zawodzić. W pewnym momencie pomyślałem, że to Cyganka. Miała bardzo ciemne włosy i charakterystyczny głos, na dźwięk którego dostałem gęsiej skórki. Minęła minuta, kiedy uzmysłowiłem sobie, że się myliłem. Kobieta odwróciła się tak, że mogłem dokładnie zobaczyć jej twarz. To nie była Cyganka, zdecydowanie.

- Proszę pana! - usłyszałem. - Proszę pana!

Spoglądała na mnie z rozpaczą i strachem.

Przez moment stałem nieruchomo, zastanawiając się, co powinienem zrobić. Po chwili ruszyłem w dół skarpy, modląc

się w duchu, by nie zahaczyć stopą o wystające z ziemi korzenie i nie rozbić gęby na spoczywającej na dole stercie cegieł.

* * *

Dwa pręty okratowania były wygięte, toteż z łatwością wlałem do środka ciemnego, cuchnącego szczykami tunelu. Musiałem się pochylić, by nie zawadzić czubkiem głowy o obłożony pajęczynami sufit.

- Nie wiem, jak panu dziękować - mamrotała kobieta, spoglądając na mnie żałośnie z zewnątrz. Zauważyłem, że pod koszulką nie nosiła biustonosza i pomyślałem, że jak na swój wiek, ma całkiem jędrne piersi. - Cierpię na klaustrofobię. Boję się, strasznie się boję. On musi tam gdzieś być. Pan go znajdzie, prawda? Mój Boże, niech pan go znajdzie.

Miała łzy w oczach.

- Spokojnie - powiedziałem. - Zaraz go znajdziemy. Nie mógł daleko zajść.

- Ma tylko dziesięć lat - łkała kobieta. - Mogło mu coś spaść na głowę. „Teraz srasz w gacie ze strachu?” - pomyślałem. Trzeba było bachora przypilnować.

- Ma na imię Jacek, prawda?

- Tak, Jacek. Proszę, niech go pan znajdzie.

Klnąc pod nosem, ruszyłem wąskim korytarzem, pogrążając się w ciemności. Pokonałem pięć, może sześć metrów, po czym zacząłem nawoływać. Wykrzykiwałem imię chłopca, ale za każdym razem odpowiadała mi cisza. Nie miałem pojęcia, jak długi jest tunel. Uszedłem kolejnych kilka metrów.

I znów przystanąłem.

- Jacek! - krzyknąłem. - Odkrzyknij, jeśli mnie słyszysz!

Znowu nic.

Odwróciłem głowę, aby zobaczyć, jak długa droga dzieli mnie do wyjścia. Niewielki świetlny punkcik gdzieś w oddali kazał mi sądzić, że pokonałem znacznie więcej niż kilka metrów. Zastanawiałem się, dokąd ten korytarz prowadzi i czy nie czekają mnie po drodze jakieś niespodzianki. Może chłopakowi rzeczywiście coś się stało? Może wpadł do jakiejś dziury albo zwałił się na niego sufit w dalszej części tej nory? Jeśli tak, to nic tu po mnie. Powiem tej cycatej, aby zadzwoniła do glin.

Nie miałem latarki, do diabła, bez niej niewiele mogłem zrobić. Brrr.

Zadrżałem, kiedy dotarło do mnie, ile robactwa pełza, wiję się, skacze i biega mi nad głową. W dodatku ścierpłem. Zaczęły boleć mnie plecy. Niech to szlag!

- Jacek! - warknąłem. - Ty głupi bachorze, odezwij się!

Wtedy to usłyszałem. Brzmiało, jak ciągnięty po ziemi worek z cementem. Znieruchomiałem, nastawiając uszu.

Dźwięk powtórzył się, a potem ktoś wystrzelił z broni palnej. Jeden krótki strzał, po którym nagle wszystko ucichło.

- Kurwa - zdołałem wyjąkać.

Nie miałem odwagi, aby poruszyć ręką i zetrzeć z twarzy fragment pajęczyny, który oderwał się z sufitu. Na moment wstrzymałem oddech, sądząc, że usłyszę kolejne dźwięki, ale nic takiego się nie stało.

Musiałem stamtąd wiać. I to szybko. A potem wezwać gliny.

Jakiś skurwiel zastrzelił dzieciaka. W głowie mi się to nie mieściło. Żaden duch. Żaden pierdolony poltergeist. To musiał być ktoś żywy, ktoś...

Odgłosy kroków sprawiły, że oniemiałem. Drżały mi ręce, skóra na czaszce naciągnęła się i doznałem wrażenia, że za chwilę wypadną mi wszystkie włosy.

Ktoś szedł w moją stronę, pewnie i szybko.

Miałem rzucić się biegiem do wyjścia, ale już na starcie zawadziłem nogą o coś twardego i, upadając, wyrznąłem głowę w ścianę. Byłem otumaniony, ale wiedziałem doskonale, że jeśli nie zdołam się podnieść na czas, skończę jak tamten biedak...

- Jezu - wycharczałem.

Odgłosy kroków były coraz wyraźniejsze.

Gdyby nie to, że wpadłem w panikę, pewnie nie udałoby mi się wstać i pobiec. Praktycznie nie myślałem o niczym, gdy parłem w stronę światła, w stronę wyjścia z tego przekłętego lochu.

Gdy zostało mi do pokonania kilka metrów i gdy już byłem pewien, że wydostanę się z tunelu, usłyszałem kolejny dźwięk. Tym razem nie był to ani wystrzał z pistoletu, ani seria z karabinu maszynowego, ani huk wywołany zderzeniem dwóch czołgów.

Było to głuche uderzenie czymś twardym w moją głowę.

Zdołałem się zatrzymać. Czas nagle stanął w miejscu. Nic nie widziałem i nie słyszałem.

Chwilę potem osunąłem się na ziemię.

* * *

Zanim otworzyłem oczy, jęknąłem z bólu. Moja głowa zdawała się pękać w szwach, a prawa ręka była bezwładna. Dopiero po minucie albo dwóch usilnych starań udało mi się poruszyć palcami. Leżałem płasko na ziemi, moje powieki były

posklejane, a nos zatkany. Oddychałem przez usta. W gardle czułem gorączkę. Chciało mi się pić.

Powoli, walcząc z bólem, odwróciłem głowę i otworzyłem oczy na pełną szerokość.

W pomieszczeniu było ciemno. Jedynym źródłem światła była szczelina w ścianie, przez którą wpadały promienie.

Pierwsze, co zobaczyłem, to ciało, spoczywające w pozycji półembrionalnej nieopodal mnie. Dostrzegłem kosmyki siwych włosów i kawałek ręki. Skóra na dłoni była pomarszczona, pokryta plamami wątrobowymi. Ktokolwiek to był, lata świetności miał już za sobą.

Nie wiedziałem, czy facet żyje, czy nie. W każdym razie nie poruszał się. Mógł być nieprzytomny. Albo spał.

Albo go zabito. Jak tamtego chłopca. Jezu.

Ale... W takim razie dlaczego i mnie nie załatwiono? Spokojnie, tylko spokojnie. Nie daj się zwariować.

Nie miałem ochoty beczynnianie analizować każdej przelatującej mi przez głowę myśli. Wciąż oddychałem. To już sukces. Byłem obolały, śmiertelnie skołowany i przerażony. Mniejszy sukces.

Musiałem się wydostać z tego... Pomieszczenie nie było duże. Cztery metry na cztery, może odrobinę większe. Ściany były czarne od pajęczyn i brudu. To samo sufit, znajdujący się może dwa metry nad moją głową.

Spojrzałem w stronę szczeliny. Następnie usiadłem po turecku, starając się rozruszać prawą rękę. Nie była bezwładna. Chyba zbyt długo na niej leżałem, pocieszałem się.

Dopiero po kilku ciągnących się w nieskończoność minutach dostrzegłem trzecie ciało. Leżało w kącie pomieszczenia, w miejscu, gdzie nie docierało światło. Gdyby nie jasna koszula, pewnie umknęłoby mojej uwadze.

Ciało spoczywało głową do dołu. Błyskawicznie zdałem sobie sprawę, że to dzieciak. Drobne dłonie, niewielki wzrost, krucha postura.

Jacek... - nie pamiętam, czy wypowiedziałem imię chłopca czy tylko pomyślałem, że to musi być syn cycatki, która wpa- kowała mnie w całe to gównno.

Miałem cichą nadzieję, że zawiadomiła już gliny. W końcu trochę czasu minęło, odkąd wlałem do tego cholernego tune- lu. Nie wiedziałem, jak długo byłem nieprzytomny. Może pięt- naście minut, a może kilka godzin. Gliny na pewno już są w drodze, dodawałem sobie otuchy.

A potem kolejna myśl odebrała mi nadzieję: co, jeśli zła- pali tę kobietę?

Zacisnąłem szczęki w akcie bezradności, następnie powo- li wstałem i podszedłem do chłopca. Jego twarz pokrywały pa- jęczyny, a w ustach miał piach. Dzięki Bogu, oddychał.

- Jacek?

Szturchnąłem go w ramię.

- Hej, młody, obudź się.

Zero reakcji. Dopiero po trzecim szturchnięciu otworzył oczy.

- Jak się czujesz? - zapytałem.

Chłopiec podniósł głowę i spojrzał na mnie obojętnie. Nie odezwał się.

- Twoja mama cię szuka. Jak się tu dostałeś?

Dzieciak był albo niemową, albo pod wpływem ciężkiego szoku nie miał pojęcia, co się dzieje. Z powrotem zamknął oczy i położył głowę na ziemi. Nie bardzo wiedziałem, co robić. Zo- stawiałem go w spokoju, mając nadzieję, że fizycznie nic po- ważnego mu nie dolega, następnie sprawdziłem, co u starusz- ka. Obszedłem ostrożnie jego ciało i przykucnąłem. Na widok

jego twarzy omal po raz kolejny nie zemdlałem i to nie dlatego, że coś z nią było nie tak, ale dlatego, że...

- Ja pierdolę - wymamrotałem, nie dowierzając.

Nie chciało być inaczej. Kucałem przy ciele Franciszka Żygulskiego.

* * *

- Natychmiast po tym, jak pan wyszedł z mojego mieszkania, postanowiłem pójść do parku - oznajmił posepnie staruszek. O dziwo, nie mrugał z taką intensywnością jak podczas naszego pierwszego spotkania. - Sam nie wiem, co mnie do tego popchnęło. Chyba ciekawość. Rozumie pan, chciałem jeszcze raz posłuchać odgłosów Cytadeli.

Siedziałem na ziemi, opierając się o ścianę i słuchając Żygulskiego. Jednocześnie obserwowałem solidne drewniane drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Tego typu drzwi często widuje się w piwnicach starych kamienic. Jednak te, które miałem przed sobą, sprawiały wrażenie dużo bardziej masywnych. Wyważenie ich nie wchodziło w grę.

- Jak pan dostał się do wnętrza ruin? - zapytałem, zamyślony.

- Zapewne tak jak i pan.

Zmarszczyłem brwi.

- To znaczy?

- Ktoś musiał tu pana zwabić, myślę się?

Nie odpowiedziałem. Staruszek pokręcił głową.

- Pełno tu duchów, proszę pana - powiedział. - Aż roi się od nich. Ostatnimi czasy trudno poznać, kto jest kim w tym parku. Rozumie pan...

- Chyba nie bardzo.

- Na przykład chłopiec, który był tu z nami...

Co?

Spojrzałem w stronę, gdzie dosłownie dwie minuty temu leżał dzieciak rudowłosej cyncatki. Jacek, czy jak mu tam. Teraz miejsce w rogu pomieszczenia było puste. Zamarłem.

- Gdzie on się podział, do cholery? - wydusiłem.

- Odszedł - odparł krótko Żygulski, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Wstałem na równe nogi, następnie zamrugałem kilka razy, ale to nic nie dało.

- Jacek? - wykrztusiłem. - Kurna, to niemożliwe.

Ale chłopiec zniknął. Nie było innego wytłumaczenia.

- Niby dokąd odszedł? - wypaliłem.

- Tego nie wiem - odrzekł Żygulski.

- Zaraz, zaraz. Chyba nie sądzi pan, że to był duch?

- Ma pan co do tego wątpliwości?

- A jego matka, która prosiła mnie, abym...

Staruszek zaśmiał się.

- Nie do wiary. Mnie też prosiła, abym zajrzał do tej ciemni i go odszukał. Wie pan, naprawdę ładnie prosiła. I była roztrzęsiona. Uwierzyłem jej.

Skinąłem głową.

- Ja również. A potem dostałem w łeb jakimś ciężkim narzędziem.

- One potrafią być niebezpieczne.

- Kto? Pan ciągle o duchach?

- A pan nadal ma wątpliwości?

Zamilkłem.

- To prawdopodobnie była cegła - odezwał się ponownie Żygulski.

- Słucham?

The Best t.01

- To ciężkie narzędzie, którym pan oberwał. I ja również. Pamiętam, że zanim straciłem przytomność, zobaczyłem, jak coś ląduje mi pod stopami. To była cegła.

- Duchy przecież nie potrafią...
- Te najwyraźniej potrafią, proszę pana.
- Jest pan bardzo pewny siebie.

Staruszek pociągnął nosem, a potem wyjął z kieszonki zabrudzonej i nieludzko wygniecionej koszuli paczkę papierosów.

- Nie, proszę pana, nie jestem. Wiem jednak, co widziałem i co słyszałem na Cytadeli. Tego typu doświadczenia uświadamiają człowiekowi, że wszystko jest możliwe.

- Będzie pan tutaj palił? - spytałem poirytowany. Sam chętnie był zajarał, ale moje fajki zostały w samochodzie.

- Myśli pan, że może mi zaszkodzić? - sarknął Żygulski, wtykając papierosa do ust.

- Nie, ale myślę, że mógłby mnie pan poczęstować.

Staruszek popatrzył na mnie uważnie. Już myślałem, że pokaże mi środkowy palec, ale zamiast tego wzruszył tylko ramionami i rzucił paczkę w moją stronę. Złapałem pewnie, ale już mniej pewnie wyjąłem z niej papierosa. Staruszek zapalił swojego, po czym podał mi zapalniczkę. Po chwili kopciliśmy w milczeniu, aż dym wypełnił całą tę cholerną pieczarę.

- Ma pan pomysł, jak stąd wyjść? - odezwałem się, podchodząc do drzwi. Nie miały klamki ani żadnego uchwyty.

- Nie mam.
- Zastanawiające - mruknąłem, usiłując otworzyć drzwi kopniakiem. Bezskutecznie.
- Co takiego?
- Jest dziurka od klucza.
- Co za spostrzegawczość.

Odwróciłem się do Żygulskiego, poirytowany jego odzywką.

- Sądzi pan, że duchy potrafią również zamykać drzwi na klucz? Bo ja w to wątpię. Musiał to zrobić ktoś... - chrząknąłem, a dopiero potem dokończyłem - ktoś żyjący.

Staruszek nadał wargi. Coraz bardziej nie podobał mi się sposób, w jaki reagował na to, co mówiłem. Gdyby był ze czterdzieści lat młodszy, walnąłbym go w pysk.

- Chce pan napisać artykuł o duchach, a nie ma pan o nich zielonego pojęcia.

Wstrzymałem oddech, ledwie nad sobą panując.

Żygulski wyrzucił niedopałek przed siebie i spokojnie sięgnął po kolejnego papierosa.

- Te drzwi najprawdopodobniej nie są zamknięte na klucz, szanowny panie - odezwał się, spoglądając na mnie obojętnie. - Nie mam stuprocentowej pewności, sądzę jednak, że pilnują ich siły, które opanowały Cytadelę.

Nie mieściło mi się to wszystko w głowie. Zaczynałem być głodny, a za szklankę wody oddałbym mojego nowego Nikona. Sytuacja nie malowała się zbyt optymistycznie. Ślęczałem w brudnej, cuchnącej szczytnami norze, bez możliwości ucieczki. A towarzyszył mi starzec, któremu wydawało się, że pozjadał wszystkie rozumy i który najwyraźniej nie podzielał mojego przerażenia.

Wyjąłem z kieszeni spodni telefon komórkowy, ale na niewiele mi się przydał. Nie było zasięgu.

Gówno.

Zacząłem się zastanawiać, co będziemy jeść i pić. Nie mieliśmy kompletnie nic.

Nie piłem od rana, pomyślałem, coraz bardziej zdenerwowany. Co robić? Co robić? Co ja mam, kurwa, robić?

Podszedłem do niewielkiej szczeliny w ścianie i usiadłem po turecku.

- Hej! - wrzasnąłem. - Pomocy!

- Małe szansę, że ktokolwiek nas usłyszy - skomentował Żygulski.

- Naprawdę? - fuknąłem.

- Ściany Reduty są bardzo grube. Sam pan przecież widzi.

Jasne, że widzę, ty stary wysuszony kutasie!

- Mimo wszystko będę próbował - wycedziłem. Niemal przytknąłem usta do szpary między cegłami i zacząłem wyć jak wilk do księżyca. - Hej! Pomocy! P-o-m-o-c-y!

- To miejsce jest ogrodzone, proszę pana - tłumaczył niestrudzenie starsuszek. - Nikt tutaj nie zachodzi, a nawet jeśli, to bardzo rzadko.

- Może akurat się nam poszczęści, do diabła.

- Szkoda pańskiego gardła. Ściana jest zbyt gruba. Prawdopodobnie w ogóle pana nie słychać.

Wykrzyczałem jeszcze kilka razy HEJ! oraz POMOCY!, po czym skapitulowałem.

Nie wytrzymam tu, pomyślałem. Nie wytrzymam.

Podejrzywałem, że czeka mnie długa noc w ruinach Reduty, ale starałem się o tym nie myśleć. Sęk w tym, że ilekroć spoglądałem na drzwi albo na pieprzoną szczelinę w ścianie, dostawałem szału.

- To niemożliwe, abyśmy zostali tu na noc - wyjąkałem jakiś czas później, gdy do wnętrza pomieszczenia nie przedzierało się już światło.

Żygulski westchnął, a zaraz potem do naszych uszu dobiegł rozsadzający uszy huk wystrzału.

* * *

Pogrążeni w ciemnościach wsłuchiwalismy się w paraliżujące umysł dźwięki. Jakiś mężczyzna znajdujący się w pobliżu Reduty krzyknął coś niezrozumiale, następnie rozległ się strzał. Usłyszałem jęk człowieka padającego na ziemię, zapewne postrzelonego, a zaraz potem inny mężczyzna wrzasnął po niemiecku:

- Scheise!

Ktoś inny przebiegł nieopodal ruin, w których byliśmy uwięzieni. W oddali rozległ się huk eksplozji.

To była wojna.

- Niemożliwe, aby to wszystko się działo - powiedziałem.

Żygulski zapalił papierosa. Płomień zapalniczki na moment oświetlił jego poraną zmarszczkami twarz.

- Ma pan rację - odparł. - To się nie dzieje. To tylko odgłosy przeszłości.

- Odgłosy przeszłości - wydukałem, choć zamierzałem prychnąć.

- Wielu ludzi straciło życie na Cytadeli podczas wojny. Inni zostali tu po prostu pochowani. Cytadela to siedlisko cmentarzy. A co za tym idzie, również siedlisko dusz.

Przełknąłem ślinę. Nie prosiłem Żygulskiego o papierosa, gdyż wiedziałem, że po jego wypaleniu umarłbym z pragnienia. Wkurzało mnie to, że staruszek zachowywał się, jakby nic wielkiego się nie działo. Wkurzało mnie również to, że ja tak nie potrafiłem.

- Skąd biorą się te dźwięki? - spytałem.

- Sądzę, że Cytadela została nawiedzona.

- Przez duchy...

- Tak. Widzę, że zaczyna pan rozumieć.
- Niewiele z tego rozumiem, proszę mi wierzyć.
- Wielu żołnierzy zginęło od kul, granatów czy moździerzy. To była nagła śmierć. Czasami potrzeba wielu lat, by dusza tragicznie zmarłego zaakceptowała to, co tak naprawdę się wydarzyło... Myślę, że duchy się zjednoczyły i...

Kolejna eksplozja zagłuszyła Żygulskiego. Huknęło tak głośno, jakby w pobliże drzewa trafiła seria piorunów. Mimowolnie odskoczyłem od ściany.

- Mówi pan tak, jakby był przekonany o swojej racji - wydyszałem. Serce w mojej piersi waliło jak oszalałe.

Żygulski przez dłuższą chwilę milczał. W tym czasie rozległy się kolejne wystrzały.

- Kiedy zginęła moja matka, udałem się do znachora - podjął wreszcie. - To było wiele lat temu, ale pamiętam każde jego słowo. Facet podawał się za medium. Był naprawdę skuteczny.

- Do czego pan zmierza?

- Skontaktował mnie z matką. Uprzedził jednak, że mogę mieć problemy z porozumieniem się z nią. Wcześniej powiedziałem mu, że zginęła tragicznie.

Żygulski nie od razu powiedział, jak zginęła jego rodzicielka, a ja nie dociekałem.

- Rozmawiał pan z nią?

- Przez moment nawet ją widziałem. To naprawdę była ona, choć początkowo wątpiłem. Myślałem, że to jakiś trik, rozumie pan.

Skinałem głową, choć Żygulski nie mógł tego zobaczyć.

- I co było dalej? - spytałem.

- Wydawała się rozkojarzona. Albo przestraszona, sam nie wiem. Powiedziała mi, że mnie kocha, a potem zaczęła przekręcać wyrazy, rozumie pan.

„Nie bardzo” - pomyślałem.

- Nie potrafiłem pojąć, o co jej chodzi - ciągnął starszek. - Przez pół minuty nadawała jak opętana, albo raczej jej duch, ale ja nic z tego nie rozumiałem. A potem zobaczyłem coś... - starszek zawahał się na kilka sekund.

- Zobaczyłem coś za jej plecami. Było wielkie i zdawało się pędzić w jej stronę. Pamiętam to dokładnie. Jechało prosto na nią w zastraszającym tempie. Słyszałem stukot. Coraz głośniejszy. Coraz bardziej piorunujący. Aż wreszcie zobaczyłem to w pełnej krasie.

- Co to było?

- Pociąg.

- Pociąg?

- Tak. Moja matka zginęła pod kołami pociągu. Została popchnięta na tory.

- Jezu...

- Zapytałem medium, co to ma znaczyć, wie pan, to jej zachowanie

- kontynuował Żygulski. - Facet wyjaśnił mi, że jej dusza nie pojęła jeszcze swojego położenia.

- Dlatego, że zmarła tragicznie?

- Właśnie. Duchy z Cytadeli wydają się zachowywać bardzo podobnie. One odtwarzają wydarzenia sprzed wielu lat. Chcą wrócić do momentu, kiedy utraciły zdolność pojmowania. Chcą zrozumieć, co się stało.

Zapewne nie muszę tłumaczyć, jak brzmiały te słowa w ustach ponad siedemdziesięcioletniego mężczyzny.

- Naprawdę pan myśli, że po tylu latach nie odzyskały jeszcze spokoju?

- zapytałem.

- Być może spokój odzyskały, ale nadal nie pojmują, co się wtedy stało.

- Ci ludzie zginęli na wojnie, jak wielu innych żołnierzy na całym świecie. Jak to możliwe, że akurat duchy tych tutaj tego nie pojęły?

Staruszek jęknął, zanim odparł:

- Być może więcej jest takich miejsc jak Cytadela. Skąd możemy wiedzieć?

- A egzekucja Greisera? Jak pan to wytłumaczy? Widział pan cywili... Oni przecież nie zginęli.

- To wizja, proszę pana. Duchy połączyły siły, by móc wiernie odtworzyć każdy moment z tego, co się wtedy wydarzyło. A duch Greisera... Cóż, duch tego zbrodniarza z pewnością nie jest do nikogo jowialnie nastawiony.

- Czego te duchy od nas chcą? - warknąłem. - Dlaczego nas tu trzymają?

- Wiedzą, że chce pan o nich napisać. Najwyraźniej sobie tego nie życzą. - Staruszek zakaszłał. - Wiedzą też, że z panem rozmawiałem. To tak, jakbym również chciał je wydać, rozumie pan. Przy pierwszej lepszej okazji dorwały i mnie.

Wcześniej gadałem też z Budzińską. Miałem cichą nadzieję, że nie wybrała się po raz kolejny z córką do parku. Chciałem powiedzieć o niej Żygulskiemu, ale w ostatniej chwili dałem sobie spokój. Wolałem sądzić, że z panią dyrektor domu pogrzebowego wszystko jest w najlepszym porządku.

Jasny gwint... Moja matka dobrze prawiała, abym unikał kłopotów. A ja jak zwykle nie posłuchałem. Wpadłem w gówno po uszy. Żałosne.

Nie mogłem się powstrzymać od zadania starcowi kolejnego pytania:

- Jak pan myśli, jakie są szanse, że wyjdziemy stąd żywi? Żygulski westchnął.

- Nie mam pojęcia. Żywię jednak nadzieję, że niedługo ktoś się tu zjawi.

- O kim pan mówi? O glinach?

- Na przykład. Trzeba zachować spokój.

Zachciało mi się sikać. Po omacku dotarłem do przeciwnego kąta pomieszczenia i rozpiąłem rozporek.

- Skąd niby gliniarze mają wiedzieć, że tu jesteśmy?

Staruszek nie odpowiedział. Machinalnie odwróciłem głowę w jego stronę, ale nie dostrzegłem absolutnie nic. Mrok był gęsty jak w knajpie Dark Restaurant na Garbarach, gdzie w kompletnych ciemnościach delektujesz się smakiem przyrządzonych przez szefa kuchni potraw.

- A więc czekamy, tak? - odezwałem się ponownie, wysikując ostatnie kropelki moczu. - Może te duchy odpuszczą, co? Jak pan uważa? Nie mogą wiecznie blokować drzwi.

„Bożej, co ja wygaduję?” - pomyślałem.

Chowając przyrodzenie, zdałem sobie sprawę, że już nie chce mi się pić tak bardzo jak wcześniej. Byłem za to głodny. Burczało mi w brzuchu. Za ociekającego tłuszczem hamburgera z miejsca oddałbym dziesięć lat życia.

Żygulski nadal milczał. Pomyślałem, że pewnie zasnął.

Na zewnątrz wciąż słychać było wystrzały, ale już nie dochodziły zewsząd i nie były głośne. Z czasem wszystko ucichło. Zostałem sam ze swoimi myślami. Przykucnąłem pod ścianą, a następnie zdjąłem koszulę i położyłem się na niej. Byłem tak cholernie zmęczony, że zanim zdołałem przemyśleć opowieść

Żygulskiego na temat zabitych na Cytadeli żołnierzy, odpłynąłem w objęcia Morfeusza.

* * *

Obudziłem się spocony i rozdygotany. Śniły mi się koszmary, lecz niczego z nich nie pamiętałem. Przez dłuższą chwilę starałem się uspokoić i kiedy wreszcie przestałem się trząść, podniosłem głowę. Żygulski siedział na ziemi, oparty o ścianę, z której przez niewielką szczelinę przedostawało się światło. Wyglądał na zamyślonego. Jego siwe włosy były w nieładzie, a twarz jakby bardziej pomarszczona niż zwykle. Spojrzał na mnie posępnie, ale nie odezwał się. Ja też milczałem. Mój organizm domagał się wody. Pragnienie tak mnie osłabiło, że dopiero po jakiejś minucie zdołałem wstać. Zdałem sobie sprawę, że jeśli nie zostaniemy uwolnieni, umrzemy. Próbowaliśmy sobie przypomnieć, ile człowiek jest w stanie wytrzymać bez picia. Trzy dni. Jeden przeszedł już do historii. Zostały dwa. Dwa dni. Dwa dni. Powtarzałem to sobie w kółko.

Dwa dni.

- Ktoś musi nam pomóc - odezwałem się.

Żygulski nawet nie poniósł głowy, aby na mnie spojrzeć. Przez noc wyraźnie osłabł. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie dowiedział się, że stracił najbliższych. Albo że ma raka i zostały mu dwa miesiące życia.

Dwa miesiące...

Raczej dni. Dwa dni. Dwa dni. Dwa dni...

Podszedłem do drzwi. Nie miałem w sobie wiele nadziei, że mogą być otwarte, toteż po dwóch próbach ich wyważenia za pomocą pięści i nóg, z całkowitym spokojem przyjąłem do wiadomości fakt, że moje starania na nic się zdały.

Cóż mi pozostało? Chyba tylko poddać się. Czekać na śmierć.

Śmierć. Śmierć...

Zerknąłem na starca. Przez ułamek sekundy w mojej głowie świeciła pewna myśl. Myśl, że mógłbym... Że mógłbym...

To niedorzeczne. Chore!

Nie. Nigdy bym tego nie zrobił...

Ale byłem tak cholernie głodny, że zjadłbym nawet...

Spuściłem głowę nisko, aby Żygulski zniknął mi z pola widzenia.

Jest stary, usłyszałem własny głos dochodzący z głębi duszy. Stary. Przeżył już swoje.

Było mi wstyd. Czułem niewyobrażalny wstyd. Rozpadałem się. Wierście mi, było ze mną naprawdę źle. Siadała mi psychika. Wiedziałem, że bez żarcia jestem w stanie jeszcze trochę wytrzymać, więc nie myślcie, że chciałem pod wpływem paniki wykończyć Żygulskiego, a potem...

Chciałem się tylko napić. Nie miałem nic. Nic. Czułem mdłości na samą myśl o krwi, ale nie potrafiłem nad sobą zapanować. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem takiego pragnienia.

Usiłowałem traktować ten pomysł jedynie jako jedną z alternatyw, ale dobrze wiedziałem, że innych nie było.

Wystarczy kilka uderzeń w głowę Żygulskiego. Nie będzie miał najmniejszych szans.

Nie teraz, mówiłem do siebie w duchu. Tylko w ostateczności. Wtedy to zrobisz. Może ktoś nas uratuje.

Było mi naprawdę wstyd. Ale myśl, że zdechnę z pragnienia, w dodatku tak cholernie młodo...

On już swoje przeżył. Wciąż słyszałem ten głos dobywający się z wnętrza mojej głowy. Przeżył wiele lat. Był szczęśliwy.

Na pewno. Ty też możesz. A przynajmniej możesz zwiększyć szansę na to, aby tak było.

Kurwa. Kurwa...

Spróbujcie nie pić przez cały dzień. Spróbujcie tylko. I nie jeść, nie licząc marnego śniadania wcześniej rano. Jestem ciekawy, jakie myśli będą wam towarzyszyć po przebudzeniu dnia następnego.

Wyobraźcie sobie teraz, że jesteście uwięzieni. Gdziekolwiek. Bez możliwości ucieczki. Bez jedzenia. Bez picia. Zdrugotani psychicznie.

Na moim miejscu pomyślelibyście o tym samym, co ja. Założę się o kupę forsy, że właśnie tak by było.

Po prostu pomyślelibyście.

Nie chciałem tego robić. Próbowałem myśleć pozytywnie: że ktoś nas wreszcie uwolni z tej dziury, ale ilekroć zadawałem sobie pytanie - niby kto mógłby nas ocalić? - słabłem coraz bardziej.

Zona Żygulskiego wyjechała, dumałem. Zapewne wróci nieprędko. W przeciwnym razie staruszek powiedziałby, że jest jakaś szansa...

Była jeszcze Nosowska. Pewnie próbowała się do mnie dodzwonić, ale co z tego? Mogła pomyśleć, że dałem sobie spokój z tematem. Że mnie przerósł... Nie mogła wiedzieć, co tak naprawdę się stało. Bo niby skąd?

Już po nas. Pomrzemy z głodu i pragnienia. A potem zgnijemy, a nasze kości przez wiele lat będą walać się w tej ciemnej norze.

Nie, tak przecież nie może być, myślałem zrozpaczony. Musi być jakaś szansa. Jakieś światło w tunelu.

The Best t.01

To światełko paliło się w Żygulskim. Staralem się odganiać myśli o sobie samym, pożywiającym się ludzkim mięsem, ale obraz wracał, ba, stawał się coraz bardziej wyraźny.

* * *

Mijały godziny, w trakcie których żaden z nas nie mówił, ani nawet nie poruszał się. Żygulski opierał się o ścianę. Światło, które wpadało przez szparę, stawało się słabsze, aż w końcu ta zapomniana przez Boga komnata pogrzyła się w ciemnościach. Nadchodziła kolejna noc. Być może ostatnia dla Żygulskiego, który już nawet nie sięgał do kieszonki po papierosa. W mroku późnego wieczora nie byłem w stanie dostrzec, czy śpi, czy może się modli. Od czasu do czasu dało się słyszeć jego miarowy oddech, który jednak szybko cichł. Stawał się wręcz niesłyszalny.

Milczały także duchy.

Cisza była porażająca i przerażająca. Zacząłem dygotać, nie to z zimna, nie ze strachu przed śmiercią. Moje myśli krążyły już tylko wokół staruszka. On i tak umrze prędzej ode mnie. Jest bardzo stary. Nie ma żadnych szans.

Jeśli dotrwa do rana bez jedzenia i picia, z pewnością zjedzie po południu.

Jeść... Tak cholernie chciało mi się jeść i pić.

* * *

Rozpiąłem zamek błyskawiczny spodni. Wyjąłem przyrodzenie. Złączyłem dłonie na kształt półmiska, do którego następnie zacząłem oddawać mocz.

Zwymiotowałem. Mocz przeciekał. Musiałem się śpieszyć.

Wreszcie napiłem się. Wypiłem tyle, ile się dało, by po chwili znowu zwymiotować.

Oczy zaszyły mi łzami. Oprócz głodu i pragnienia czułem też mdłości. Przez kolejną minutę rzygałem jak opętany. Gdy wreszcie mój organizm uznał, że nie ma już czego zwracać, wziąłem głęboki oddech i zamknąłem oczy.

Jeszcze nie czas, pomyślałem, z trudem przetykając ślinę. Jeszcze wytrzymam. Jeszcze trochę wytrzymam...



Żygulski zaczął pochrapywać. Usiłowałem przypomnieć sobie ostatnie słowa, jakie wypowiedział w tej stęchłej dziurze. Nie potrafiłem ich jednak przywołać. Nie miałem też pojęcia, która może być godzina. Moja komórka zdechła, a zegarka nie noszę. Staruszek, o ile dobrze pamiętałem, miał na rękę jakiś zegarek, ale w egipskich ciemnościach raczej nie świecił. Chociaż kto wie. W dzisiejszych czasach nawet niepozorni panowie w starszym wieku rozbijają się jaguarami czy mercedesami z najwyższej półki. Chociaż Żygulski nie sprawiał wrażenia nadzianego, to jednak mógł mieć zegarek z podświetlaną tarczą.

„Tylko kogo to obchodzi? ” - zapytałem w duchu. Miałem w dupie to, która jest godzina. Starąłem się po prostu myśleć o czymś, co nie byłoby związane z miejscem, które mnie pochłonięło...

Przywołałem w pamięci obraz matki. Uśmiechała się do mnie. Ciepło. Czule. Tak, jak tylko matka potrafi. Kochałem ją. Tak bardzo ją kochałem.

Być może już niedługo się zobaczymy...

Była nadopiekuńcza. Jako dzieciak prawie nie opuszczałem domu. Bała się, że coś może mi się przydarzyć. Pozwalała mi jedynie wychodzić na podwórko, gdzie bawiłem się resorakami i kopałem w piłkę. Ona obserwowała mnie z okna, rzucała gorące bułki, kiedy byłem głodny i plastikowe butelki z sokami, kiedy chciało mi się pić.

Pić...

Mieszkaliśmy na drugim piętrze kamienicy przy Kochanowskiego. Nieopodal znajdował się posterunek policji, toteż okolica była wolna od pedofili, złodziei i innych zbrodźców. Ale mama i tak bała się o mnie.

Mama. Moja kochana...

Żygulski wciąż chrapał. Mijały kolejne minuty, a potem godziny, a on wciąż chrapał.

Dopiero gdy zaczynało świtać, zamilkł.

Początkowo sądziłem, że się obudził i że za moment otworzy oczy. Nie zrobił tego. Wbiłem w niego wzrok. Patrzyłem, czy oddycha. Czy żyje.

Oddychał.

Przez otwór w ścianie wpadało światło. Mogła być siódma albo ósma rano.

Było cicho. Żadnych głosów z zewnątrz, żadnego śpiewu ptaków. Nic. Kompletna cisza.

One czekały. Czekały na śmierć Żygulskiego i moją. Chciały mieć pewność, że pozbyły się intruzów, którzy naruszyli ich prawo do poznania prawdy na temat własnej śmierci.

Obraz zamazywał mi się przed oczami. Raz widziałem poorly zmarszczkami twarz Żygulskiego, a po chwili jakby należąca do kogoś innego. Bolały mnie plecy, ręce, nogi. Rozpadałem się. Drżałem, oblewałem się potem i mamrotałem

pod nosem byle co, aby słyszeć swój głos i móc wiedzieć, że jeszcze żyję.

Jest źle, powtarzałem. Jest kurewsko źle.

* * *

Otworzył oczy w tym samym momencie, kiedy moje palce oplotły jego szyję. Spojrzał na mnie wzrokiem pozbawionym emocji, jakby chciał powiedzieć: zrób to. Teraz. Szybko. Nie miałem czasu na zastanawianie się. Targały mną sprzeczne uczucia, ale starałem się nie podporządkowywać żadnym z nich. Rób swoje, myślałem. Ocal chociaż siebie. On ci nie będzie miał tego za złe. Jesteś młody. Zbyt młody, by umierać.

Zacząłem dusić Żygulskiego. Mocno, pewnie. Zaciskałem szczęki, jakbym walczył z piekielną bestią. Serce waliło mi w piersiach, żołądek podchodził do gardła, mimo to nie przestawałem. Oczy staruszka. niemal wyszły z orbit, targnął nim dreszcz, po chwili kolejny. Żygulski nie stawiał żadnego oporu, jakby doskonale wiedział, co się dzieje i nie miał nic przeciw temu. Albo po prostu nie miał siły, by się bronić.

Po kilku minutach, po których miałem pewność, że staruszek jest martwy, zwolniłem uścisk. Czułem się paskudnie, gdy patrzyłem, jak głowa Żygulskiego opada na ziemię. Zabiłem go, powtarzałem w duchu. Zabiłem go, a za chwilę...

Nie namyślałem się zbyt długo. Pierwsze, co zrobiłem, to zdjąłem mu koszulę. Z kieszonki na piersi oprócz paczki fajek wypadł mały telefon komórkowy. Pochwyciłem go w dłonie, chociaż wiedziałem, że do niczego się nie przyda.

Był wyłączony. Usiłowałem go uruchomić, ale najwyraźniej bateria była zbyt słaba.

- Pieprzyć to - syknąłem i upuściłem komórkę.

Na bladym, wychudzonym torsie Żygulskiego widniały blizny, zapewne z czasów wojny. Niektóre były bardzo duże i głębokie. Mogłem się tylko domyślać, jak potwornie musiały wyglądać rany. Pierwszy raz w życiu widziałem coś takiego. Staruszek przeszedł niejedno, to było oczywiste. A teraz leżał martwy w ruinach Reduty. Nie było przy nim żony, dzieci. Nie było nikogo...

Udusiłem go.

Aby przeżyć.

Boże...

Teraz, gdy miałem przed sobą ciało, którym mogłem się pożywić, głód jakby zelżał. Pozostało jednak pragnienie. Patrząc na wychudzonego Żygulskiego, zastanawiałem się, gdzie ugryźć. Sytuacja malowała się o tyle bardziej dramatycznie, że nie miałem żadnego narzędzia, którym mógłbym odkroić kawałek...

Dotknąłem ramion staruszka. Były zbyt kościste. Przedramiona, bicepsy... Jezu, wszędzie tylko skóra, kości i żyły.

Byłem zdruzgotany. Nieustannie zadawałem sobie jedno pytanie: od czego zacząć?

Od łydek? Ud? A może od pośladków?

W końcu mój wzrok powędrował na szyję Żygulskiego. To wrażliwe miejsce. I ukrwione. Wypiję tylko trochę krwi. Tylko trochę.

Niczym wampir wgrzyłem się w szyję staruszka. Krew miała metaliczny posmak. Nie tryskała strumieniami, jak to jest przedstawiane na filmach. Po prostu sączyła się z ran, jakie zadałem. Zdołałem przełknąć trochę, po czym palcami powiększyłem otwór w szyi. Dosłownie rozerwałem skórę, następnie rozszarpałem żyłę. Tym razem krew wytrysnęła mi na twarz. Było jej naprawdę dużo. Pochyliłem się i, ściskając szyję

Żygulskiego niczym bidon z sokiem truskawkowym, upiłem pełne dwa łyki. Nie czułem mdłości. Nie myślałem o rzyganiu. Tylko o tym, aby przeżyć. Jeśli wypiję wystarczająco dużo krwi... Jeśli zdołam się pożywić... Będę do przodu o minimum dwa dni.

Byłem w zbyt kiepskim stanie, aby smak krwi wywoływał odruchy wymiotne. Mój organizm za bardzo potrzebował płynów - jakichkolwiek - więc gdy udało mi się wyssać z rany kolejny łyk, przełknąłem bez najmniejszych problemów.

To było jak katharsis. Wiem, że może się wam to wydać nierealne, ale w tamtej chwili poczułem się silniejszy. Naprawdę silniejszy. Jakby wraz z krwią Żygulskiego moje wnętrze wypełnił jego optymizm i siła woli. Znów miałem siłę, aby wstać i spróbować zmierzyć się z mocą, która blokowała drzwi. Miałem ochotę krzyczeć, wołać o pomoc. Wiedziałem jednak, że to nic nie da. Przynajmniej na razie. Trzeba było się skoncentrować. Nastawić uszu i czekać, aż ktoś pojawi się w pobliżu Reduty. Oszczędzać głos na ten moment. Głęboko wierzyłem, że nadejdzie ta chwila. Chwila wybawienia.

Ponownie pochyliłem się nad szyją Żygulskiego. Zębami rozerwałem skórę w innym niż poprzednio miejscu, a potem upiłem jeszcze trochę krwi. Jednocześnie odmówiłem w duchu wieczny odpoczynek i przeprosiłem staruszkę za swój czyn. Następnie zmówiłem Ojczy Nasz i Zdrowaś Mario. A potem w akcie kompletnej desperacji odgryzłem kawałek mięsa z ramienia Żygulskiego. Smakowało jak guma, z trudem dało się pogryźć, ale było zbawienne dla mojego organizmu.

Wybacz, zawodziłem w myślach i odrywałem zębami kolejne kawałeczki. Tym razem drobniejsze i nawet nie musiałem ich gryźć. Po prostu połykałem, jeden po drugim, czując, jak mój żołądek domaga się więcej.

Dłonie lepiły mi się od krwi, dławilem się, mimo to nie przestawałem odrywać mięsa z ciała Franciszka Żygulskiego. W tej chwili trudno mi opisać to, co czułem. Moja psychika była w strzępach. Myślałem jedynie o tym, aby zjeść jak najwięcej.

W pewnym momencie zachłysnąłem się i zacząłem kaszleć. Wtedy też usłyszałem ten głos. Dochodził z zewnątrz.

- Franek? Franek?

Znieruchomiałem. Ktoś zbliżał się do ruin, bez dwóch zdań. Ktoś, kto wiedział... Nie, zrugąłem się. Tylko ci się wydaje, że kogoś słyszysz. To niemo...

- Franek? Do diabła! Franek?

Oczy zaszyły mi łzami. Nie mogłem w to uwierzyć.

- Franek?

Usłyszałem czyjeś kroki. Ktokolwiek to był, podchodził coraz bliżej.

- Tu... - wycharczałem. - Tutaj!

- Franek, to ty?

- Tutaj!

- Gdzie jesteś, u licha? Prawie cię nie słyszę.

Męski głos zabrzmiał po raz kolejny, ale nie usłyszałem słów, gdyż płakałem jak dzieciak.

Starąłem się za wszelką cenę wykrztusić z siebie cokolwiek, ale nie potrafiłem. Człowiek po drugiej stronie zapytał, czy nazywam się Franciszek Żygulski. Nie miałem siły, aby zaprzeczać.

- Tak - wydusiłem po prostu. - Tak!

Przez chwilę panowała cisza i pomyślałem, że facet sobie poszedł. Krzyknąłem. A potem jeszcze raz. I kolejny. Rzuciłem się na ścianę i wyjrzałem przez szczelinę.

- Pomocy...

The Best t.01

- Spokojnie - usłyszałem. - Spokojnie. Nie wiem, jak się do ciebie dostać. Muszę znaleźć...

- Zadzwoń... - wydukałem.

- Słuchaj, ktoś tu jeszcze jest. Jakaś kobieta. Zaczekaj.

Kobieta. Kurwa, tylko nie to. Nie. Nie. Nie możesz...

- Nieee idź tam - wymamrotałem.

- Mówi, że jej dzieciak wszedł do tych ruin. Cholera jasna, daj mi chwilę...

- Nie idź! - krzyknąłem. - Policja. Zadzwoń na policję!

- Na policję? Franek, co się dzieje?

- Teraz. Dzwon na policję. Zadzwoń! Słyszysz? Ona jest niebezpieczna. Ona jest...

Omal nie dokończyłem zdania.

- Tak, tak, już dzwonię... Ale jej dzieciak...

- Nie słuchaj jej! Dzwon na policję! Sprowadź pomoc!!!

Coś tu jest. Więzy nas.

Musisz sprowadzić pomoc! Nie słuchaj tej kobiety. Po prostu zadzwoń po gliny! Zostaliśmy uwięzieni!

Nie zdołałem powiedzieć ani słowa więcej. Poczułem ból. Głowa, pomyślałem. Moja głowa. Ktoś rąbnął mnie w łeb. Wyłożyłem się jak długi na ziemi. Co nastąpi teraz? Śmierć? Czy to już koniec? Kątem oka dostrzegłem wysoką postać w mundurze. Nie zdołałem jednak dosięgnąć wzrokiem twarzy. Była poza moim zasięgiem. Zobaczyłem natomiast sporej wielkości kamień. Było to na sekundę przed tym, zanim wymierzono mi nim kolejny cios, tak silny, że przestałem widzieć cokolwiek.

* * *

Kiedy się ocknąłem, poraził mnie dojmujący ból u nasady czaszki. Przez dobrą minutę nic nie widziałem. Leżałem na czymś miękkim. Było mi ciepło, ustało pragnienie i głód. Otworzyłem usta, aby coś powiedzieć, ale słowa utknęły mi w gardle.

Stopniowo zaczynałem widzieć. Dostrzegłem okno, a za nim drzewo. Oświetlała je stojąca nieopodal latarnia. Na dworze panował mrok. Jest noc, pomyślałem. A więc byłem nieprzytomny ładnych kilka godzin.

Zacząłem główkować, co się stało, jakim sposobem znalazłem się w...

Szpital. Leżałem w szpitalnym łóżku, w pojedynczej sali. Do moich uszu zaczęły dopływać rozmaite dźwięki. Ktoś chodził po korytarzu. Szeptał coś, może do pielęgniarki, a może rozmawiał przez telefon komórkowy. Usłyszałem też chrapanie. Dobiegało zza ściany.

Spróbowałem się podnieść, ale nic z tego, byłem zbyt słaby. Zorientowałem się, że podłączono mnie do kroplówki. Przełknąłem ślinę. I poczułem ulgę. I wdzięczność dla faceta, który sprowadził pomoc. Kim on był i skąd dowiedział się o tym, że byliśmy z Żygulskim uwięzieni? Z pewnością znał staruszka. Wymawiał jego imię. Może to jego brat? Albo przyjaciel? Długo się nad tym zastanawiałem. Miałem mętlik w głowie. Nieustannie bombardowały mnie nowe pytania. Odpowiedzi jednak pozostawały gdzieś w tyle, niewidoczne, niepoznane.

* * *

Następnego dnia rano dowiedziałem się, że osobą, która zawiadomiła policję, był Maciej Michalak, sąsiad Żygulskiego, z którym staruszek często grywał w brydża. Jakimś sposobem,

najprawdopodobniej zaraz po tym, jak został uwięziony, Franciszkowi Żygulskiemu udało się złapać zasięg i przesłać SMS-a do Michalaka. Później, w trakcie przesłuchania, poznałem treść tej wiadomości.

„Reduta I. Jesteśmy uwięzieni. Sprowadź pomoc. Pośpiesz się”.

Przez wiele dni po opuszczeniu szpitala dręczono mnie telefonami. Gliniarze byli moimi najczęstszymi i zarazem jedynymi gośćmi.

Wreszcie odbył się proces. Był naprawdę długi. Ostatecznie nie postawiono mi żadnych zarzutów. W trakcie jego trwania poznałem Macieja Michalaka. Rozmawialiśmy przez kilka minut. Powiedział, że na moim miejscu prawdopodobnie postąpiłby tak samo. Później nie zamieniłem z nim już ani jednego słowa w bezpośredniej rozmowie. Poznałem też Teresę, żonę Żygulskiego. Była roztrzęsiona, zapłakana, ale nie wytykała mnie palcem i nie syczała, że jestem mordercą. Kiedy pewnego dnia opuszczałem gmach sądu, ona tam była. Siedziała na ławeczce. Towarzyszył jej jakiś starszy mężczyzna i młoda, jasnowłosa kobieta. Nie wiedziałem, co robić, czy odezwać się, czy może udać zamyślnego i przejść obok bez słowa. Nasze spojrzenia się spotkały. Byłem zmieszany. Poczułem się jeszcze bardziej nieswojo, gdy kobieta powiedziała, że nie muszę jej unikać, bo nie ma do mnie żalu o to, co zrobiłem, by ratować własne życie. Byłem jej wdzięczny za to, co powiedziała. Skinąłem niepewnie głową, po czym spuściłem głowę i oddaliłem się.

Przez kilka miesięcy pozostawałem pod opieką psychoterapeuty. Na ostatnim spotkaniu życzył mi powodzenia i posłał uśmiech tak ciepły, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest odmiennej orientacji.

Co ciekawe, żadna telewizja nawet nie wspomniała o tym, co wydarzyło się na poznańskiej Cytadeli. Jedyne „Gazeta Poznańska” zamieściła artykuł, z którego można było się dowiedzieć, że „w parku dało się słyszeć dziwne odgłosy, jakby pochodzące nie z tego świata, a jeden z dziennikarzy lokalnej gazety został uwięziony w ruinach Reduty I”. I to było wszystko.

W rzeczywistości odprawiono serię egzorcyzmów, po których owe „dziwne odgłosy” ustały. Jak wspomniał mi funkcjonariusz zajmujący się moją sprawą, z którym pozostawałem w kontakcie, sprawę załatwiono szybko i bez żadnych komplikacji.

Przez jakiś czas nie brałem poważnych zleceń. Pisałem krótkie artykuły, czasami recenzje, aby tylko mieć co do garnka włożyć. Nosowska nieustannie namawiała mnie do napisania dużego artykułu o tym, co wydarzyło się na Cytadeli. Powiedziała, że jeśli nie chcę puścić tego w jej gazecie, załatwi znacznie poważniejsze pismo, które sporo mi zapłaci.

- Za same zdjęcia dostaniesz kupę forsy - mówiła. - To szansa dla ciebie.

Długo myślałem o tym, czy powinienem.

W końcu zacząłem pisać ten artykuł. Przywołując wspomnienia, co wieczór siadałem przed komputerem i wstukiwałem po pół strony tekstu. Tak przez blisko dwa tygodnie. W międzyczasie przeglądałem zdjęcia, jakie udało mi się zrobić na Cytadeli. Zdjęcia duchów żołnierzy z II wojny światowej.

Kiedy pracowałem nad ostatnią stroną artykułu, nadal nie będąc pewnym, czy chcę go ukończyć, usłyszałem, jak ktoś wchodzi do mojego pokoju.

Odwróciłem się powoli, jakby w zwolnionym tempie. W jednej chwili zrobiło mi się zimno. Poczuję głód i pragnienie. Zupełnie jak wtedy... w ruinach.

Mężczyzna miał na sobie doskonale skrojony mundur, na prawej ręce błyszczał złoty zegarek. Był średniego wzrostu. Łysiał. Spojrzenie jego jasnych oczu paraliżowało. Było nad wyraz ostre, karcące.

Przełknąłem ślinę, czując, że jeśli za chwilę nie napiję się wody, moje gardło zamieni się w Saharę. Nie wstałem jednak z krzesła, aby pójść do kuchni. Patrzyłem na mężczyznę, który dał dwa kroki w moją stronę, następnie skierował spojrzenie na monitor komputera.

Wiedziałem, kim był i o co mu chodzi.

Posłuchałem jego niemej prośby. Wykasowałem cały artykuł na jego oczach, a potem to samo zrobiłem ze zdjęciami. Bez żalu, bez żadnych sprzeciwów.

A potem zapytałem:

- Czy teraz dasz mi spokój?

Ale on nie odpowiedział. Po prostu wyszedł z mojego mieszkania.

I już nigdy nie wrócił.